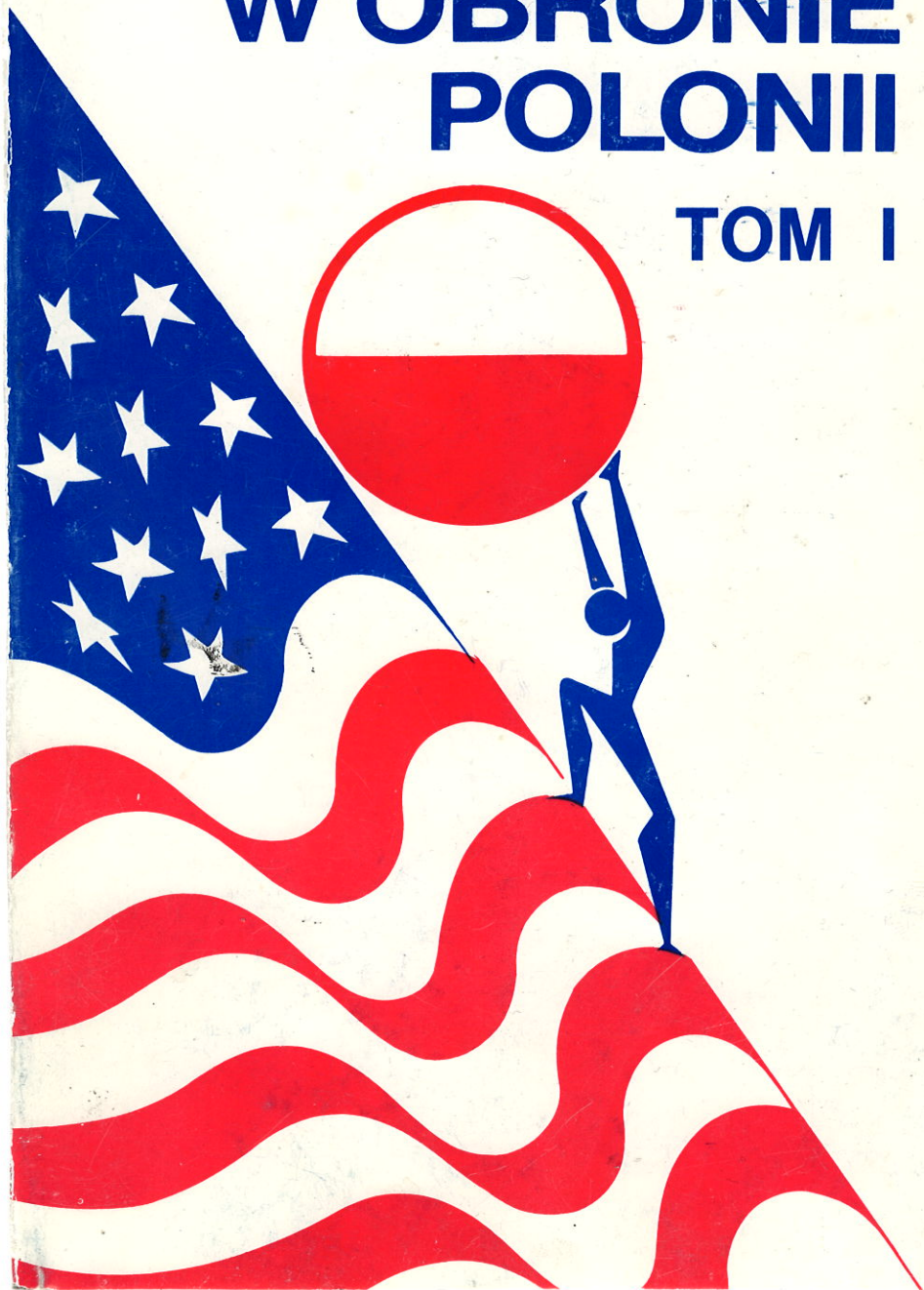


KS. LONGIN TOŁCZYK

W OBRONIE POLONII

TOM I



W OBRONIE POLONII

TOM I

*Pracę tę poświęcam Polonii
w trosce o jej przyszłość,
ABY POLONIA BYŁA POLONIA
zachowując wiarę, język,
kulturę w zgodzie i wzajemnej
miłości, które budują
a nie rujną.*

**OKŁADKĘ ZAPROJEKTOWAŁ: AUTOR
WYKONAŁ: JAN DELECKI**

**KSIĄŻKA: „W OBRONIE POLONII” DO NABYCIA:
P.O. BOX 7505
NORTH PORT, FL 34287**

lub

**P.O. BOX. 34496
CHICAGO, IL 60634**

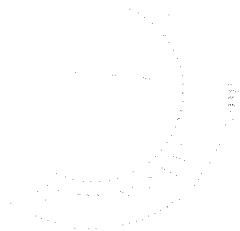
**CENA KSIĄŻKI W DWÓCH TOMACH WRAZ
Z PRZESYŁKĄ \$17.00.
PRZY ZAKUPIE 10 EGZEMPLARZY
PRZYSŁUGUJE RABAT 30%.**

**© Copyright by Autor
All rights reserved**

**Druk: PANORAMA PUBLISHING
3104 N. Cicero Ave.
Chicago Ill. 60641
tel. (312) 685-0406**



AUTOR Z RODZICAMI



W S T Ę P

Pracując jako ksiądz w wielu parafiach przekonałem się, że Polonii potrzebna jest nie tylko odnowa moralna, ale i społeczna, oparta na równości, sprawiedliwości, prawdzie i wzajemnej dobroci i miłości. Doszedłem do wniosku, że aby ksiądz mógł wypełnić zalecenia ostatniego Soboru trzeba zacząć od pracy społecznej celem podniesienia poziomu duchowego i materialnego bytu. Przecież i nasz Mistrz, Jezus Chrystus, nie tylko nauczał chodząc po ścieżkach Palestyny, lecz przede wszystkim czynił dobrze, dbał o materialny i fizyczny byt człowieka, karmił i uzdrawiał.

Toteż, by głodnych nakarmić, a biednym i potrzebującym pomagać, mimo trudów i sprzeciwów, założyłem Centrum Polsko-Słowiańskie i zdobyłem dla niego programy tj. fundusze miejskie, stanowe i federalne, na prowadzenie określonych akcji społecznych.

Sądziłem, że to będzie dobry początek, oparty na znajomości życia i warunków, w jakich nam tu na emigracji wypada bytować.

Tu, w Ameryce, bardziej niż gdziekolwiek, konieczne jest ułożenie współżycia z innymi grupami etnicznymi i rasowymi. Musimy więc nauczyć się współżyć ze wszystkimi, a szczególnie z innymi narodami słowiańskimi. Nie dzieli nas bowiem teraz nic, przeciwnie, łączy nas wspólna niedola naszych narodów w Europie. Tym bardziej więc w tej naszej przybranej ojczyźnie łączyć nas winna wspólna praca dla wspólnego dobra.

Postanowiłem współpracować ze wszystkimi, którzy przyjaźnie odniosą się do nas Polaków, i okażą dobrą wolę, bez względu na to, czy to będzie Żyd, Irlandczyk, Włoch, Murzyn, czy ktokolwiek, byle by okazał życzliwość dobrym słowem i czynem, byle by podał nam swoją pomocną dłoń.

Trzeba przyznać, że w moich oczekiwaniach nie zawiodłem się. Wielu obcych nam narodowościowo stało się przyjaciółmi, zarówno moimi osobieście, jak i utworzonego przeze mnie Centrum. Wielu obcych pomogło mi w realizacji trudnych planów zorganizowania Centrum Polsko-Słowiańskiego i Polsko-Słowiańskiej Federalnej Unii Kredytowej. Ich nazwiska są dość często wymieniane na łamach niniejszej książki. Korzystam też z okazji jej wydania, by złożyć im wszystkim serdeczne podziękowania.

Tym bardziej ciąży na mnie obowiązek podziękowania tym wszystkim, którzy swą pracą, ofiarami i poświęceniem, przyczynili się do utworzenia tak potrzebnej placówki pracy społecznej.

Dziękuję więc wszystkim ludziom dobrej woli z naszej grupy etnicznej, tym budowniczym, którzy pomogli mi w zakładaniu Centrum i Unii Kredytowej, a o których obecni władcy tych instytucji nawet wspominać nie raczą, sobie tylko przypisując wszystkie zasługi i honory, wbrew prawdzie, wbrew faktom. Bóg wam zapłać, drodzy przyjaciele.

Muszę także już na wstępie tej książki wyznać, że nigdy nie lubiłem pisać. Nawet z korespondencją zwykle zalegałem. Pisanie męczyło mnie. Wolałem nauczać, mówić, a tym bardziej — działać. Pociągało mnie praktyczne działanie, a szczególnie: działanie na korzyść bliźnim, pomaganie potrzebującym.

W czasach posoborowych o autorytecie księdza nie stanowi już obecnie noszenie sutanny, lecz jego osobowość, jego dobroć, umiejętność poświęcania się dla innych, dawanie przykładu w codziennym życiu, i to nie w słowach, lecz w czynnym angażowaniu się w życie społeczne wiernych, zamiast krytykowania i rządzenia z zewnątrz, „z góry”, co miało często miejsce w przeszłości.

W naszych czasach, wśród wielu narodów, kapłan i działacz społeczny stały się synonimami. Współczesny kapłan nie korzysta z zaufania i autorytetu płynących z jego tytułu, lecz zdobywa je sobie wśród wiernych pracą, ofiarnością i miłością bliźniego.

Układałem sobie życie tak, aby to, co uważałem za swój święty obowiązek realizować. Nagle — zostałem wyrzucony za burtę. Moje życie, moje codzienne działanie, zostało przecięte. Nic dziwnego, że i moje zdrowie fizyczne od tego czasu zaczęło się pogarszać. Przeżyty cios odbierał mi siły. Moja działalność skurczyła się, zmaląła. Trzeba było sporo czasu, by nadwyreżone zdrowie i siły ratować.

Nie mogłem jednak zrezygnować z zamiaru pokazania całej Polonii prawdy o wydarzeniach związanych z moją działalnością. Powoli zabrałem się do tego, choć sporo materiałów, po usunięciu mnie ze stanowiska wywiezionych do składnicy niszczało, no i trzeba było zabrać się do pisania, czyli do tego, czego zwykle starałem się unikać, czego rzeczywiście nie lubię.

Jakież więc były powody, że przemogłem się i zdecydowałem jednak napisać tę książkę? Jakaż to siła zmusiła mnie do jej wydania? Z pewnością nie urażona duma osobista, czy żądza pochwał, boć przecie pisząc prawdę i pozostając wiernym faktom muszę przytoczyć także wszelkie obelgi, kłamstwa, szkalowania i opisywać walki, jakie wytyczano przeciwko mnie. Czyż warto pisząc przeżywać je na nowo? Fakt, że pochwały i autorytet były mi bardzo potrzebne wtedy, kiedy organizowałem i pracowałem. Szczególnie zależało mi na nich wobec obcych i wobec władz administracyjnych, właśnie wtedy, kiedy moi wrogowie najbardziej

obrzucali mnie błotem... Ale dziś? Dziś, mnie staremu i schorowanemu człowiekowi, są one zupełnie niepotrzebne.

Piszę więc także nie po to, aby usprawiedliwić się z czegośkolwiek. Nie mam z czego usprawiedliwić się, gdyż nie czyniłem niczego poza dobrem. Nikomu nic złego nie uczyniłem. Mówiono co prawda głośno i często o rzekomych moich nadużyciach, lecz nikt nigdy mi nic podobnego nie udowodnił, więc i to nie jest powodem napisania tej książki.

Nie jest też pobudką do jej wydania nawet mój wiek starczy, kiedy to zwykle człowiek pragnie raz jeszcze „przeżyć” dawne czasy, powspominać, uwiecznić drukiem swoje minione życie...

Nic z tych rzeczy nie skłoniło by mnie do podjęcia się tej najtrudniejszej i tak bardzo nie lubianej przeze mnie pracy, pisania. Tym bardziej książki w języku polskim, której wydanie, tu na obczyźnie nie jest ani łatwe, ani proste. Co więcej, impreza taka jest bardzo kosztowna dzisiaj i nic nie gwarantuje nawet zwrotu poniesionych kosztów. A więc i ten czynnik, czynnik ekonomiczny, przemawia zdecydowanie przeciwko wydaniu tej książki.

Usprawiedliwienie powodów jej napisania znajdzie czytelnik w samym tytule, nad którym długo i wiele zastanawiałem się. Wybrałem go wreszcie spośród wielu wariantów, gdyż moim zdaniem oddaje on najlepiej to, co skłaniało mnie zarówno do działania, jak i do przedstawienia społeczeństwu polonijnemu prawdy o mojej działalności: w o b r o n i e P o l o n i i ! To był przecież sens, cel i istota całego mego życia kapłańskiego, całej tej wielkiej walki dla dobra jednostki, ogółu — w obronie Polonii!

Poza pracą w parafiach, z racji swego stanowiska dyrektora wykonawczego Centrum Polsko-Słowiańskiego, występowałem publicznie nie tylko przed władzami amerykańskimi, przed władzami miejskimi, stanowymi i federalnymi, ciągle jeszcze walcząc dla dobra Polaków na obczyźnie, w obronie Polonii. Reprezentowałem przecież tą naszą nowojorską Polonię w sprawach społecznych i byłem jej przedstawicielem w oczach władz... Nagle... zgasłem, jak świeca, pozostawiając po sobie ciemność. Nagle to moje pełne, religijno-społeczne życie zostało przecięte. Zaszczuto mnie oszczerstwami, kłamstwami, posądzeniami o nadużycia.

Z komunikatu zarządu Centrum, z Mieczysławem Przybyłowskim na czele, oraz kilku artykułów napisanych przez współników wydawnictwa Nowego Dziennika, dowiedziało się nasze społeczeństwo o rzekomym zwolnieniu mnie ze stanowiska przez władze miejskie. Był to fałsz. W normalnych warunkach mógłbym przedstawić opinii publicznej drugą stronę medalu, bronić się przed zalewem kłamstw i oszczerstw. Nie było to jednak możliwe, gdyż Nowy Dziennik tych normalnych zasad,

obowiązujących moralnie każde szanujące się pismo, nigdy nie przeszedł. Nowy Dziennik mnie do głosu nie dopuścił. Społeczeństwo nie miało żadnych szans, by dowiedzieć się prawdy o tym wszystkim. Kiedy byłem bardzo chory, o jedno Boga prosiłem, by mi pozwolił kiedyś jednak ujawnić Polonii całą prawdę. Zajmowałem przecież stanowisko publiczne i opinia publiczna ma prawo dowiedzieć się o niej. Uważałem zresztą za swój obowiązek, by prędzej, czy później Polonii tę całą prawdę przedstawić. Dlatego też musiałem się przełamać, zabrać do pisania, przygotować na poważny wydatek i wydać tę książkę. Czynię to więc także: w obronie Polonii przed kłamstwami. Społeczeństwo polskie na emigracji ma prawo poznać prawdę nie tylko o faktach związanych z utworzeniem Centrum, lecz i o tych, którzy byli lub są nadal działaczami społecznymi. Trzeba bowiem znać dobrze ludzi, którym powierza się piastowanie publicznych stanowisk. Mandat społeczny musi opierać się na zaufaniu, a zaufania nie można zdobyć inaczej, jak tylko poprzez ujawnienie zakamarków swej duszy, poprzez zapoznanie społeczeństwa z charakterem i działalnością kandydata na publiczne stanowisko.

Konfrontacji z opinią publiczną boją się tylko potakiwacze, ludzie bez własnego zdania, tchórze i oszuści. Aby taka konfrontacja doszła do skutku — konieczne jest jakieś forum. Tym forum, w normalnych warunkach, bywa prasa. W normalnych warunkach, podkreślam, to znaczy wówczas, kiedy ta prasa dopuszcza obie strony ewentualnego sporu, kiedy umożliwia wyrażanie różnych opinii, a sama zajmuje stanowisko bezstronne. Prasa, która reprezentuje interesy jednej tylko grupy i nie dopuszcza do głosu żadnego sprzeciwu, czy choćby obrony ze strony osób i organizacji przez tą grupę zwalczanych — nie powinna uzurpować sobie miana prasy polonijnej.

Tendycyjność tej prasy polega między innymi na tym, że o pewnych osobach, należących do jakby klanu, do „ich” grupy interesów, jest zawsze przedmiotem pochwał, a nigdy nagany, czy krytyki, nawet jeśli dokona jakichś nadużyć, czy popełni inny, niechlubny czyn. Przykładów takiego postępowania mamy moc. Czy ktoś kiedyś czytał w prasie o faktycznych przyczynach upadku polskich parafii, które były własnością społeczną? Czy ktoś kiedyś dowiedział się z prasy o osobach, ponoszących za ten upadek odpowiedzialność? Czy była mowa w prasie o organizacjach, które zamierają na skutek niezdolności władców, lub w ogóle przestały istnieć? Czy pisano o ludziach, którzy z szumem przyjęli na siebie obowiązek zdobycia funduszy dla Polskiego Instytutu Naukowego, lecz nic nie osiągnęli nawet wtedy, kiedy ten stracił nawet lokal, w którym się mieścił?

Pochwały w tej rzekomo polonijnej prasie — oczywiście tylko w stosunku do „swoich” ludzi — pojawiają się już w momencie ogłoszenia

samego tylko zamiaru, czy pomysłu. Później, kiedy z zamiaru nic nie wychodzi, o pomysłodawcach — cisza. Dawno temu nader hałaśliwie ogłoszono, jak to Bolesław Wierzbiański, na czele grupy wybitnych działaczy, będzie budował wielki, wspaniały gmach Domu Żołnierza. Drapacz chmur na miejscu obecnego budynku, dochodowy, nowoczesny, który będzie pełnił funkcję taką, jak POSK w Londynie... Czas upływa, nic oczywiście nie dzieje się i nikt nie pyta, co się z projektem stało.

Chcę więc w tej książce powiedzieć całej Polsce prawdę. A prawda, jak wiadomo, to nie same tylko sukcesy i wzloty, lecz także i upadek i klęski. Takie jest życie... Nie wstydę się więc przedstawić tu w tej książce zdjęć protestujących przeciwko mnie, z napisami „Nie kradnij!”. Piszę otwarcie o czterech walkach stoczonych: z biurami podróży i agencjami wysyłki paczek, z polonijnymi organizacjami, z byłymi studentami i pracownikami programu CETA i wreszcie o walce od wewnątrz, z zarządem opanowanym przez „grupę działaczy” związanych z Nowym Dziennikiem. Trzy pierwsze walki — wygrałem. Ta czwarta walka okazała się najtrudniejszą. Padłem jej ofiarą.

Wiem, że za opinie wyrażone w tej książce, za przedstawienie Polsce wszystkich znanych mi faktów, za krytykowanie „zawodowych działaczy” emigracyjnych — zostanę zaatakowany. Napadną na mnie ci, którzy do swoich wad przyznać się nie mogą i nie potrafią. Napadną na mnie ci, którzy potrafią tylko pisać i władać tylko słowem, ale czynem utwierdzić się nie są zdolni. Jeszcze ich nawet nie zaczepiłem, a już mi w Nowym Dzienniku odmawiano nawet praw wynikających z moich święceń kapłańskich. Widocznie i na kościelnym polu chcieliby mieć prawo rządzenia...

Książka ta zawiera więc materiał dowodowy o Centrum i Unii Kredytowej, obejmujący okres co prawda niezbyt długi, ale bogaty w przeżycia i wydarzenia. Pisana jest w oparciu o fakty i wspomnienia moje, to jest osoby będącej w samym sercu tego wielkiego dzieła i smutnego konfliktu, który z niego się zrodził. Nie jest ona pisana dla ludzi nauki, choć i oni znajdą sporo materiału porównawczego w analizie życia Polonii, lecz dla szerokiego ogółu, a szczególnie dla tej wielotysięcznej rzeszy nowych emigrantów. Umożliwi im ona poznanie swego nowego środowiska, nie teorii, lecz fakty z tego środowiska, w którym działałem przez ponad 28 lat.

Dobrze by było, gdyby czytelnik, obecny i przyszły działacz społeczny, wyciągnął z tej książki praktyczne wnioski. Spełni ona wówczas swój cel.

„W Obronie Polonii” — to nie jest tylko tytuł tej książki, to także kierunek potrzebnego działania, aby Polonia znalazła się na właściwym, i godnym miejscu, wśród innych grup etnicznych, które zbudowały i które tworzą Stany Zjednoczone

CZĘŚĆ PIERWSZA

O AMERYCE I O POLAKACH

1. AMERYKA I POLACY ZARYS HISTORYCZNY

Amerykanie, a nawet ONZ, mają obchodzić w roku 1992 500-ną rocznicę odkrycia Ameryki przez Krzysztofa Kolumba. Swego czasu prasa donosiła o gorących dyskusjach na ten temat na forum Narodów Zjednoczonych. Podczas sesji Zgromadzenia Ogólnego doszło do namiętnych sporów pomiędzy delegatami, kto był w rzeczywistości odkrywcą tego łądu. Historycy uparli się przyznać pierwszeństwo Kolumbowi, ale nie przekonało to Skandynawów, potomków Wikingów. Delegaci Norwegii, Danii, Szwecji i Islandii twierdzili, że odkrywcą Ameryki był Leif Ericson, który odkrył ten Nowy Łąd jakoby pół tysiąca lat wcześniej. Dziś nowe wykopaliska archeologiczne na wschodnim wybrzeżu Ameryki zdają się tę tezę potwierdzać, gdyż znaleziono szczątki łodzi Wikingów. Nie przekonuje to jednak np. Irlandczyków, którzy utrzymują, że odkrywcą Ameryki był św. Brendan. Brakowało jedynie głosu z Polski, któryby wysunął kandydaturę Jana z Kolna, zasługującego na palmę pierwszeństwa jakoby z tej racji, że ten szlachcic i żeglarz w służbie duńskiej floty przybył tutaj przed Kolumbem, bo w roku 1471. Nadal nie wiadomo, która z tych teorii, szwedzka, irlandzka, czy polska, zasługuje na powszechne uznanie. Absolutnie pewnych dowodów historycznych brak. Jeśli jednak Polacy nawet nie byli „odkrywcami” Ameryki, to z pewnością dość wcześnie tu zawitali. Krążą wieści i opowiadania, jakoby polscy żeglarze, choć w służbie flot morskich angielskich, skandynawskich, czy hiszpańskich, zjawiali się w Ameryce w wieku XV i XVI.

Pozostańmy jednak przy faktach historycznie sprawdzonych.

Wiadomo, że pierwszymi kolonistami byli Holendrzy. Gubernator holenderski, Piotr Minuit kupił od Indian wyspę Manhattan za 24 dolary i jakąś ilość ozdób, potocznie nazywanych „świecidełkami”. Skądinąd wiadomo także, że Holendrzy przywieźli ze sobą sporo napoi alkoholowych, z czego można wnioskować, że Indianie dokonali tej transakcji w stanie nietrzeźwym. Jednak nawet najtrzeźwiejszy umysł w owych czasach nie mógł przewidzieć, że wartość tej wyspy w niespełna trzy i pół wieku później będzie sięgała zawrotnej sumy co najmniej kilkudziesięciu miliardów dolarów i że zaledwie jednodniowe obroty na now-

ojorskiej giełdzie pieniężnej wynosić będą około 90 miliardów dolarów. Holendrzy ochrztili powstające tu miasto Nowy Amsterdam i pozostawili po sobie kilka nazw: Bowery, Brooklyn, Harlem itp. Panowanie ich trwało niezbyt długo, bo od 1626 do 1664.

Anglicy dość często zajmowali siłą kolonie utworzone przez innych. Mieli lepszą flotę i armię, więc też bez większego trudu odebrali Nowy Amsterdam Holendrom. Generał angielski York był tym, który dowodził wojskami, lecz nie jest pewne czy nowa nazwa, Nowy Jork, pochodzi od jego nazwiska, czy raczej od hrabstwa York w Anglii.

W Polsce nie przykłada się wagi do nauczania historii Stanów Zjednoczonych, czy też historii Polonii. Nie zaszkodzi chyba, jeśli poświęcę temu tematowi kilka stron.

Po odkryciu Ameryki przez Kolumba w roku 1492 nastąpiła emigracja do tego bogatego i pięknego kraju z Europy. Przybywali tu więc Hiszpanie, Anglicy, Holendrzy, Francuzi, Niemcy, Polacy i wiele innych narodowości. Ale Anglicy umieli już zręcznie podbijać ówczesny świat. Szybko zagarnęli więc część tego kontynentu od strony wybrzeża Atlantyckiego, budując tu sobie nową ojczyznę. Francuzi, Hiszpanie i Niemcy przybywali tu głównie w poszukiwaniu złota, oraz zajmowali się zdobyczą i handlem skórami, futrami i innymi atrakcyjnymi towarami. Koloniści angielscy natomiast czując się tu władcami, stacali walki z Indianami, zajęli się uprawą roli, rybołówstwem, myśliwstwem i handlem. Anglia też wprowadzała przepisy prawne, celem zapewnienia porządku publicznego, lecz głównie dla zabezpieczenia interesów własnych kolonistów. Poszanowanie prawa i wolności wabiły coraz to większe rzesze imigrantów z Europy.

Wojna Siedmioletnia (1756-1763), w której Anglia pomagała Prusom Fryderyka II przeciwko Austrii, Francji, Saksonii, Rosji i Szwecji, spowodowała znaczny kryzys ekonomiczny. Anglia, by z tego wybrnąć, nasiliła wyzysk swych kolonii. Odczuła ten wyzysk dotkliwie Ameryka Północna, w której Anglia miała wówczas 13 kolonii, obszarów administracyjnych, które stały się załącznikiem późniejszych Stanów. Ogromne niezadowolenie wśród ludności wywołało nałożenie ceł na towary i wysokich podatków. Działacze polityczni i intelektualisci owych czasów, tacy jak Samuel Adams, Benjamin Franklin, Thomas Jefferson i inni, publicznie urągali Anglii za jej niesprawiedliwe decyzje. Powstał poważny zatarg. Król Anglii Jerzy III ogłosił Proklamację w roku 1763, zabraniającą kolonialistom zawierania traktatów pokojowych — prywatnych — z Indianami i wstrzymał dalsze osadnictwo, zabraniając także nadawania ziemi osadnikom poza granicą pasma górskiego Appalachów. Proklamacja wywołała oburzenie mieszkańców Ameryki. Teraz było już jasne, że Anglia na stałe umacnia swoje panowanie w tych 13 koloniach. Było to sprzeczne

z pierwotnie przyjętymi zasadami, na podstawie których koloniści mieli znaczny głos w sprawowaniu władzy, z prawem uchwalania ustaw i własnym sądownictwem włącznie. Prawie we wszystkich koloniach były zatargi pomiędzy kolonistami a mianowanym przez króla gubernatorem. W związku z tym, rzekomo celem obrony tych gubernatorów, Anglia przysłała dodatkowy kontygent wojska, w sile 10.000 ludzi. W rzeczywistości nie chodziło o obronę gubernatorów, lecz o wzmocnienie ich władzy i zastraszenie ludności. A celem pozbawienia kolonistów władzy nad sądownictwem, król zarządził, że odtąd będą oni opłacani przez skarb angielski, czyniąc ich w ten sposób królewskimi urzędnikami i poddając nadzorowi sędziów angielskiej Admiralicji. Kiedy izby ustawodawcze poszczególnych stanów stały się ośrodkami oporu przeciwko brytyjskim zarządzeniom, to gubernatorowie starali się uniemożliwić im przeprowadzenie sesji i zebrań. Izby ustawodawcze Nowego Jorku — za protest przeciwko przymusowemu zakwaterowaniu wojsk brytyjskich, oraz Massachusetts — za wydanie odezwy wzywającej inne kolonie do sprzeciwu, zostały zawieszane w czynnościach. Wreszcie parlament brytyjski uchwalił podwyżkę podatków, tzw. Stamp Act. W związku z czym zebrał się Pierwszy Kongres reprezentantów Izb Kolonialnych, w październiku 1765, w Nowym Jorku, uchwalając rezolucję, w której domagał się od Anglii odwołania tej ustawy i nawołując do bojkotu towarów brytyjskich, które znacznie zdrożały wskutek nałożenia specjalnych opłat celnych.

Na tym Kongresie delegat z Południowej Karoliny zażądał, by kolonistów nie nazywano „ludźmi z Nowej Anglii”, lecz po prostu Amerykanami.

Nowy duch wstąpił w kolonistów. W Nowym Jorku i Bostonie doszło do rozruchów, w których pobito wielu kupców nie zamierzających wstrzymania handlu z Anglikami. Bojkot towarów angielskich, zwłaszcza wyrobów wełnianych, spowodował znaczny spadek eksportu z fabryk angielskich. Coraz częściej dochodziło do poważniejszych walk. W kolonii Rhode Island jacyś „nieznani sprawcy” zaatakowali w nocy mały statek angielski, spalili go, a załogę rozpendzili. Wskutek tych nacisków parlament angielski odwołał „Stamp Act”, ale zaraz w roku 1766 wprowadził „Declaratory Act”, na mocy którego miały być egzekwowane wszelkie przepisy prawa brytyjskiego, czyniąc w ten sposób Amerykanów poddanymi angielskiego królestwa.

To znów rozgniewało kolonistów jeszcze bardziej. W Bostonie ludność obrzucała żołnierzy angielskich kulami śnieżnymi i kamieniami. Wojsko odpowiedziało strzałami do tłumu, zabijając 5 osób cywilnych. Dwa pułki z Halifaxu zostały wysłane dla wzmocnienia garnizonu w Bostonie i zastraszania mieszkańców tego miasta. Sąd angielski skazał dwóch żołnierzy za fakt strzelania do tłumu bez rozkazu, ale decyzja ta uznana

została za niedostateczną, wywołując jeszcze większe oburzenie wśród kolonistów. Incydent ten zyskał nazwę „Masakry Bostońskiej”.

Parę lat później rząd brytyjski musiał jednak ustąpić wobec żądań kolonistów, znosząc wszelkie podatki, za wyjątkiem cła od herbaty. Nastąpiło pewne uspokojenie umysłów. Amerykańscy przywódcy — patrioci nadal jednak utrzymywali kontakty między sobą i nazywali siebie „córkami i synami wolności”. Utworzyli oni w tych 13 koloniach komitety, współpracujące ze sobą i rozstrzygające trudniejsze sprawy.

W roku 1773 East India Tea Company przeżywała kryzys. Centrali tej ogromnej spółki w Londynie groziło bankructwo. Rząd, celem jej ratowania, zwolnił spółkę od podatków i dał jej monopol na sprzedaż herbaty w koloniach amerykańskich. Na wieść o tej sytuacji Amerykanie postanowili zorganizować bojkot dostaw herbaty w portach Filadelfii i w Nowym Jorku. Miejscowi kupcy odmówili nabywania herbaty, a w Filadelfii i w Nowym Jorku nie pozwolono nawet statkom brytyjskim wiozącym herbatę na zawinięcie do portów.

W Bostonie natomiast patrioci amerykańscy zwołali wiec i zorganizowali „herbacianą zabawę” (Tea Party). Przebrali się za Indian, wtargnęli w nocy na pokłady statków i wyrzucili do morza 342 skrzynie, zawierające herbatę. Straty wyniosły około 75.000 dolarów. Kupcy w Bostonie ogłosili nawet zbiórkę pieniędzy na pokrycie tych strat, ale rząd brytyjski uznał, że dalej tego stanu rzeczy tolerować nie może i dlatego w marcu 1774 parlament brytyjski uchwalił „Intolerable Acts”, ustawę, na podstawie której Anglia chciała ukarać mieszkańców Bostonu i kolonię Massachusetts.

Karą za te „niedopuszczalne czyny” miało być zamknięcie portu w Bostonie, rozpatrywanie spraw wyłącznie w sądach angielskich w dowolnie wybranych miastach, zakaz zebrań i zgromadzeń miejskich oraz pozbawienie kolonii Massachusetts jej autonomii.

To postępowanie brytyjczyków spowodowało opór już nie tylko w samym Bostonie, ale i falę solidarności w prawie wszystkich pozostałych koloniach, które pospieszyły z dostawami żywności dla mieszkańców miasta, wysyłając setki wozów. We wszystkich koloniach poczęto organizować magazyny z zapasami żywności i broni, przystępując do organizowania armii ochotniczej. W Filadelfii młodzież założyła organizację pod nazwą „Quaker Blues”, a tymczasem ze wszystkich kolonii, za wyjątkiem Georgii, zjeżdżali się delegaci na tzw. Kongres Kontynentalny, do Filadelfii. Kongres ten odbył pierwszą sesję w roku 1774, uchwalając „Deklarację Praw i Zażaleń”, którą przesłano królowi angielskiemu. Żądano w niej zwolnienia kraju od postanowień parlamentu brytyjskiego i zaniechanie handlu z Anglią. Wypadki toczyły się coraz szybciej. Wojna

stawała się nieuniknioną. Wczesnym rankiem 19 kwietnia 1775 r. brytyjski oddział w sile 700 ludzi zniszczył amerykańskie magazyny wojskowe w Concord, ale w marszu na Boston wojska brytyjskie zostały zaatakowane przez Amerykanów i poniosły klęskę pod Lexington, gdzie 273 Anglików poniosło śmierć, przy stratach amerykańskich wynoszących jedynie 93 zabitych.

Wiadomość o tym zwycięstwie ożywiła ducha wszystkich kolonistów. Wkrótce potem angielski generał Gage, dowodzący wojskami, został otoczony przez oddziały ochotników amerykańskich, liczące około 10.000 i znów Amerykanie odnieśli zwycięstwo na wzgórzu panującym nad Bostonem. Anglicy przystąpili do ataku, ale stracili 40% ludzi w bitwie o Bunker Hill. Armia powstańcza nabrała pewności siebie. W kolonii Vermont mała grupa kolonistów, oddział zwany „Green Mountain Boys”, pokonała załogi dwóch fortec, Crown Point i Ticonderoga, zdobywając tam 300 armat.

Dnia 10 maja 1775 zebrał się II Kongres Kontynentalny w Filadelfii, akceptując rewolucję i uznając armię ochotniczą oblegającą Boston jako Armię Amerykańską. Dowództwo tej armii Kongres powierzył zdolnemu i doświadczonemu generałowi G. Washingtonowi. Kongres wydał też odezwę do wszystkich kolonii, by rozpoczęły działania wojenne przeciwko Anglii i by dostarczyły materiałów wojennych, żywności i ochotników. O pomoc finansową i wojskową Kongres zwrócił się do innych państw.

W Kongresie pełnej zgody nie było. Niektórzy delegaci, bardziej bojaźliwi, domagali się wyczekiwania na odpowiedź królewską, mając nadzieję na pogodzenie się z Anglią. Inni natomiast, bardziej patriotyczni, jak np. Samuel Adams, byli przekonani, że rozpoczęta wojna musi doprowadzić do uzyskania pełnej niepodległości. Król angielski zignorował żądania Kongresu, zażądał wydania przywódców Ameryki w ręce brytyjskiej sprawiedliwości i ukarania ich jako zdrajców. Wreszcie, Anglia zarządziła blokadę wszystkich portów.

W zimie, saniami przewieziono ciężkie działa zdobyte w twierdzy Ticonderoga, które Washington polecił ustawić na pozycjach na wzgórzu Dorchester, z którego można było ostrzeliwać miasto i zatokę Boston. Po ciężkich walkach dowódca brytyjski zmuszony został do wycofania się. Wojska angielskie odplynęły do portu w Halifax.

W pierwszych miesiącach 1776 roku kolonistom udało się wyprzeć wojska brytyjskie z 13 kolonii. Ustał handel z Anglią. Trzeba było nawiązać kontakty z innymi krajami, ale w tym celu konieczne było ustalenie statusu prawnego. Niepodległość okazała się rzeczą nie tylko pożądaną, ale i praktycznie konieczną. Na Kongresie w Filadelfii, po długich dyskusjach, 7 czerwca 1776 roku, przedstawiciel Virginii, Richard Henry Lee, wniósł o uchwalenie niepodległości i pełnomocnictwa dla rządu do zawierania

międzynarodowych umów handlowych. Nad wnioskiem tym debatowano znów prawie miesiąc, aż wreszcie 2 lipca 1776 dwanaście delegacji stanowych głosowało nad wnioskiem, a dnia 4 lipca 1776 Kongres ogłosił Deklarację Niepodległości Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej i wprowadzenie własnych praw, na miejsce brytyjskich. Wyznaczono Komitet redakcyjny Deklaracji z Thomasem Jeffersonem na czele, oraz Johnem Adamsem, Benjaminem Franklinem, Rogerem Shermanem i Robertem Livingstonem.

Amerykanie zawarli umowę z Francją, która dostarczała już pomocy w postaci broni, amunicji i innych, niezbędnych towarów. Generał Washington szkolił ochotniczą armię amerykańską, mając już na stanie 20.000 ludzi.

W sierpniu jednak Anglia przysłała do Ameryki armię składającą się z 32.000 żołnierzy pod dowództwem gen. Williama Howe oraz 30 okrętów wojennych, licząc że tymi siłami zgniecie amerykańską rewolucję. Dość prędko Anglicy zdobyli Nowy Jork i dorzecze Hudsonu oraz New Jersey aż po rzekę Delaware. Wojska amerykańskie poniosły bardzo poważne straty. Armia zmalała do 5.000 ludzi. Kongres Kontynentalny opuścił Filadelfię i szukał schronienia w Baltimore. Wydawało się, że już wszystko stracone. Ale oto Francja przyszła z pomocą, dostarczając trzy dywizje doskonale wyszkolonego wojska oraz flotę wojenną z dobrym wyposażeniem. Z Francji przybył także generał Lafayette, z Niemiec generał Steuben, a z Polski, z grupą oficerów, 12 września 1777 przybył Kazimierz Pułaski. Wkrótce potem przyplłynął inżynier, specjalista fortyfikacji wojennych, Tadeusz Kościuszko. Oddali oni w tym krytycznym momencie nieocenione usługi sprawie niepodległości Stanów Zjednoczonych..

Generał Washington odniósł dwa świetne zwycięstwa w stanie New Jersey: pod Trenton i pod Princeton, co znów podniosło ducha powstańców, choć nie na długo, gdyż Anglicy postanowili wziąć odwet za klęskę pod Trenton i w nowej ofensywie zadali ciężkie straty armii Washingtona, zajmując Filadelfię i zimując tam w latach 1777 i 1778.

Dzięki pomocy Francji i naszych rodaków wojska amerykańskie odniosły zwycięstwo pod Saratogą. Po tej bitwie Francja i Ameryka podpisały układ wojskowy — traktat przymierza przeciwko Anglii, gwarantując nie tylko pomoc wojskową, ale i pieniądze na opłacenie żołdu. Negocjatorem tego traktatu w Paryżu był Benjamin Franklin.

Zima 1777/78 okazała się bardzo ciężką dla armii Washingtona, rozlokowanej głównie w Valley Forge. Mróz dokuczał żołnierzom, z trudem przetrwali. Ale na wiosnę Anglicy opuścili Filadelfię i przystąpili do walk na terenach Południowej i Północnej Karoliny, Georgii i Virginii.

Dopiero w roku 1781 wojska gen. Washingtona, wsparte przez flotę francuską, zadały klęskę ostateczną Anglikom, odciętym w fortach Yorktown. Nie mogły one wydostać się z oblężenia ani drogą lądową, ani morską i musiały poddać się w październiku tegoż roku.

Po tej decydującej bitwie Anglia nie miała już innego wyjścia, jak tylko podpisać traktat pokojowy. Nastąpiło to w Paryżu, we wrześniu 1783, i odtąd niepodległość Stanów Zjednoczonych została przypieczętowana prawem. Obszar tych 13 kolonii obejmował ziemie od Atlantyku po rzekę Mississipi, czterokrotnie większy od Francji i jedenastokrotnie większy od Wysp Brytyjskich. Dzięki bogactwom naturalnym i ogromnej energii imigrantów, przybyszy z Europy, Stany Zjednoczone szybko stały się potężnym państwem.



Pierwsze dane historyczne mówiące o Polakach w Ameryce pochodzą z początku XVI wieku. Oparte są one nie tylko na badaniach polonijnych historyków, jak np. Haimana, lecz i na pisanych dokumentach angielsko-amerykańskich. O Polakach pisze m.in. Channing w swej Historii Stanów Zjednoczonych, Griffin w książce pt. *Katolicy w Kolonialnej Wirginii*, Harrington w dziele pt. *Produkcja Szkła w Jamestown*, oraz w *Aktach Amerykańskiego Katolickiego Towarzystwa Historycznego*. Według tych dokumentów, w październiku 1608 roku przybyła pierwsza grupa polskich osadników, do założonej za ledwie w 1607 roku osady Jamestown w Wirginii. O fakcie tym wspomina w swej kronice jeden z polskich pionierów, Zbigniew Stefański. Dokładnie nie wiadomo, ilu ich przyjechało, choć niektóre dokumenty podają liczbę pięciu. Wkrótce jednak przybyło więcej. Wiadomo także, że mieli oni kwalifikacje zawodowe. Założyli hutę szkła, tartak, uprawę lnu i konopi. Produkcja obejmowała: szkło, tarcicę, sznury, płótno, mydło, smołę, dziegieć i inne towary. Wykopali oni pierwszą studnię i przynieśli tu z kraju grę w palanta, która następnie rozwinęła się w popularny dzisiaj, uznany za czysto amerykański, baseball.

Choć nieliczni, Polacy już wówczas odegrali znaczną rolę w życiu politycznym angielskiej kolonii w Ameryce. W roku 1619 odmówiono im prawa głosowania w wyborach do pierwszego zgromadzenia Izby Obywateli Wirginii, twierdząc iż są cudzoziemcami. Na znak protestu Polacy porzucili pracę. Był to pierwszy w historii polityczny strajk Polaków, który przyniósł pozytywny skutek, gdyż w aktach sądowych Kolonii Wirginia z dnia 21 lipca 1619 roku czytamy, że „...powinni być obdarzeni prawem głosu, czuć się wolnymi jak każdy inny tutaj mieszkaniec. Aby



Drawn by V. Gawron

Polscy szklarze w Jamestown (2 latach 1608-1625)



Drawn by V. Gawron

Pierwszy strajk w Ameryce, zorganizowany przez Polaków w Jamestown w 1619 na znak protestu przeciw ich dyskryminacji w stosunku do obywateli anglosaskiego pochodzenia.

The Records of The Virginia Company of London

THE COURT BOOK, FROM THE MANUSCRIPT
IN THE LIBRARY OF CONGRESS

EDITED
WITH AN INTRODUCTION AND BIBLIOGRAPHY, BY
SUSAN MYRA KINGSBURY, A. M., Ph. D.
INSTRUCTOR IN HISTORY AND ECONOMICS
SIMMONS COLLEGE

JULY 21, 1619

251

*Upon some dispute of the Polonians resident in Virginia, it was now
agreed (notwithstanding any former order to the contrary) that they shall
be enfranchized, and made as free as any inhabitant there whatsoever
and because their skill in making pitch & tarr and sopeshees shall not
die with them, it is agreed that some young men, shalbe put vnto
them to learne their skill & knowledge therein for the benefitt of
the country hereafter.*

(Mr. Chamberlaine)

Jr

Upon some dispute of the Polonians resident in Virginia, it was now agreed (notwithstanding any former order to the contrary) that they shalbe enfranchized, and made as free as any inhabitant there whatsoever: And because their skill in making pitch & tarr and sopeshees shall not dye with them, it is agreed that some young men, shalbe put vnto them to learne their skill & knowledge therein for the benefitt of the Country hereafter.

Orzeczenie sądowe, przyznające Polakom w Virginia
równe prawa do głosowania (1619 rok)

zaś ich umiejętność wyrobu smoły, dziegciu i mydła nie zanikła, ustala się, że pewna ilość młodych ludzi będzie umieszczona między nimi, aby wyuczyć się ich umiejętności i wiedzy dla przyszłej kraju korzyści". Tak więc strajkujący odnieśli zwycięstwo, gdyż nie chodziło im jedynie o własny interes, lecz o podstawowe prawa demokratyczne, o równość, wolność i sprawiedliwość.

Choćby dlatego winniśmy dziś z dumą głosić, że to nasi rodacy pierwsi strajkowali w walce o sprawiedliwą demokrację w Ameryce i że jest faktem historycznym iż tę walkę wygrali.

Conway Whittle Sams, w książce pt. Zdobycie Wirginii, pisze m.in., że Polacy cieszyli się wśród kolonistów dobrą opinią i byli szanowani jako fachowcy i sprawiedliwi ludzie. Gdy w lutym 1609 roku, w pobliżu huty szkła, założyciel osady Jamstown kapitan John Smith został zaatakowany przez Indian, to życie uratowali mu Zbigniew Szafranski i Jan Bogdan. Wybitny historyk polonijny, Waldo, pisze o tym zdarzeniu: „Sam kapitan Smith pisze w swych „Relacjach”, że Indianin był znacznego wzrostu i o niepospolitej sile. Zawłókł on go do rzeki by utopić, ale zobaczywszy nadbiegających dwóch Polaków usiłował uciec. Wówczas Smith go przytrzymał, a Polacy doprowadzili do więzienia”.

Dnia 28 września 1958 roku Polonia Amerykańska urządziła uroczysty obchód 350-lecia przybycia pierwszych Polaków na ziemię amerykańską. Dzięki Sokolstwu Polskiemu i Kongresowi Polonii Amerykańskiej, uroczystości w Jamestown, w Wirginii, wypadły okazale. Mimo znacznego oddalenia od wielkich ośrodków polonijnych, zebrało się tam ponad 4 tysiące ludzi. Przybyli liczni przedstawiciele władz miejscowych, stanowych i federalnych. O wkładzie Polaków w dzieło budowy Stanów Zjednoczonych mówili w swych przemówieniach m.in.: przedstawiciel Prezydenta USA i Rządu, Min. Spraw Wewnętrznych Fred Seato, Admirał Chandler, kongresman z Detroit Tadeusz Machrowicz i prezes KPA Karol Rozmarek, który przekazał dyrektorowi Parków Historycznych Stanley Abbotowi tablicę pamiątkową, odsłoniętą podczas tej uroczystości i stanowiącą trwały pomnik naszych dziejów w Ameryce. Tablica ta wymienia pionierów polskich, przybyłych na brytyjskim statku „Mary and Margaret” i opisuje pracę Michała Łowickiego, Jana Bogdana, Zbigniewa Szafranskiego, Jana Mata i Stanisława Sadowskiego, jako założycieli i ojców dzisiejszego wielkiego przemysłu amerykańskiego.

W czasie tego wielkiego jubileuszu narodzin Amerykańskiej Polonii odprawiona została uroczysta Msza św., celebrowana przez J.E. Ks. Biskupa Bernarda Sheila, z udziałem licznie zgromadzonego duchowieństwa i wiernych. Nabożeństwo odprawiono pod Krzyżem Pielgrzymów, na miejscu gdzie pierwsi przybysze postawili Krzyż, składając Bogu dzięki

za szczęśliwy przyjazd.

W drugiej połowie XVII wieku Polaków nadal nie było zbyt wielu w Ameryce, ale dokumenty historyczne angielskich trzynastu kolonii często wymieniają polskie nazwiska. Polacy ciężko pracowali, karczując lasy, uprawiając rolę, budując osiedla i forty i biorąc żywy udział w życiu społecznym kolonii.

Pierwszy gubernator holenderski miasta New Amsterdam, obecnego Nowego Jorku, Peter Stuyvesant, doradzał rządowi Holandii, aby starano się o polskich osadników. W roku 1659 przybył z Polski m.in. Karol Aleksander Kurcjuś (Curtius), który założył na Manhattanie pierwszą wyższą szkołę z językiem wykładowym łacińskim, w której czesne opłacano jeszcze skórami. W kilka lat później przybył tu Olbracht Zaborowski (albo Zborowski), który nawiązał wielką przyjaźń z Indianami, a nawet ożenił się z córką wodza plemienia Indian. Wkrótce też został właścicielem ogromnych obszarów w obecnym stanie New Jersey i pierwszym sędzią pokoju w powiecie Bergen. Od niego wywodzi się jedna z najstarszych rodzin amerykańskich — Zaboroskie, która przetrwała do naszych czasów. Istnieją też wzmianki o znanym na terenie obecnego Nowego Jorku Konradzie Popolskim i bankierze Stadnickim, który gwarantował pożyczkę dla nieuznanego wówczas jeszcze rządu rewolucyjnego Stanów Zjednoczonych. Znany był także W. Adamkiewicz, budowniczy pierwszych wysokich budynków na Manhattanie.

Z XVIII wieku pozostało oczywiście jeszcze więcej śladów działalności Polaków na amerykańskiej ziemi. W roku 1735 Jan Antoni Sadowski dotarł aż do Ohio, gdzie założył ośrodek handlu i fort, znany dziś jako Fort Sandusky. Jego synowie, Jakub i Józef, torują drogę europejskiej kolonizacji przez Ohio, Kentucky i Tennessee, i jako pionierzy, niespenetrowanymi jeszcze szlakami wodnymi, docierają aż do Nowego Orleanu.

Polskie nazwiska można znaleźć w dokumentach Pensylwanii i Delaware już w roku 1750. Pierwsze mapy wybrzeża Atlantyku i Nowej Anglii sporządził Karol Błaszkiwicz jeszcze przed rewolucją w koloniach brytyjskich.

W XVII wieku istniały już stosunki handlowe pomiędzy Ameryką a Polską. Import z Polski odgrywał znaczną rolę w przemyśle angielskich kolonii. Przywożono tu z Polski materiały drzewne, liny konopne, płótno, krochmal, balsam, kadzidło, len i miód. Z Wirginii do Polski eksportowano tytoń, o czym mowa w raporcie O Stanie Plantacji Tytoniu w Ameryce z roku 1708, w którym stwierdza się, że niepokoje w Rosji, Polsce i Szwecji przeszkodziły normalnemu wywozowi poważnych ilości tytoniu, i że Wirginia i Maryland odczuły dotkliwie straty ekonomiczne wskutek wstrzymania eksportu.

Początki rewolucji amerykańskiej zbiegają się z ruchami wyzwoleńczymi w świecie i w Polsce. Po nieudanych powstaniach, wiele zawiedzionych żołnierzy, porwanych hasłami wolności i sprawiedliwości, przybywa do Stanów Zjednoczonych. W wojnie o niepodległość Stanów, oprócz powszechnie znanych Kościuszki i Pułaskiego, brali udział także m.in. pułkownik Michał Kowacz, kapitanowie Kotowski i Jan Zieliński, oraz porucznicy: Karol Litomski, Jerzy Uzdowski i Michał Grabowski. Rejestry wojskowe notują ponad 150 nazwisk polskich żołnierzy, przybyłych w czasie wojny, nie licząc około setki innych, spośród tych, którzy osiedlili się tu już wcześniej. Ogólną ilość polskich ochotników w armii amerykańskiej szacuje się na około 500, co stanowiło spory odsetek i znaczny wkład w tą wojnę z naszej strony.

Po wojnie Kongres Stanów Zjednoczonych odwdzieczył się nadając Polakom wysokie odznaczenia, a generałom nadając także znaczne połacie ziemi i wynagrodzenie w gotówce.

O umiłowaniu absolutnej wolności Tadeusza Kościuszki niech świadczy fragment jego testamentu, w którym pisał m.in.: „Niniejszym upoważniam mojego przyjaciela Tomasza Jeffersona do obrócenia wszystkich moich posiadłości ziemskich na wykup Murzynów, będących obecnie w niewoli i nadanie im wolności w moim imieniu, zapewnienie im nauki w rzemiosłach i innych kierunkach, i na uświadomienie ich w zakresie obowiązków moralnych, które uczynią ich dobrymi ojcami i matkami, mężami i żonami, a także w zakresie obowiązków obywatelskich, aby wiedzieli jak bronić swej wolności i kraju i dobrego porządku w społeczeństwie, i jak polepszyć swój byt i użyteczność, i czynię tegoż wspomnianego Tomasza Jeffersona wykonawcą mej woli”.

Dokument ten spisany został dnia 5 maja 1793 roku. Tomasz Jefferson tak pisał o Kościuszcze: „Jest on tym czystym synem wolności, jakiego tylko znam, i to wolności dla wszystkich, a nie tylko dla bogatych i nielicznych.”

Drugim wielkim bohaterem tej wojny był generał Kazimierz Pułaski, który za wolność Ameryki oddał swe życie. Na wieść o walkach w Ameryce wraz z grupą oficerów opuszcza kraj wiosną 1777, aby w już następnym roku zorganizować kilkusetosobowy „Legion Pułaskiego”, składający się z piechoty i konnicy. Otrzymał rangę generała amerykańskiej kawalerii i w marcu 1779 uderza na liczne i dobrze uzbrojone wojska angielskie pod Charleston, odnosząc pierwsze zwycięstwo. Dnia 9 października 1779 atakuje dobrze ufortyfikowane pozycje angielskie pod Savannah, w Georgii. Postrzelony w czasie dowodzenia tym atakiem, Pułaski przeniesiony zostaje na pokład okrętu wojennego „Wasp”, ale po dwóch dniach umiera. Miejsce pochowania nie jest znane, prawdopodobnie zgodnie z

marynarskim zwyczajem zwłoki zostały wrzucone do wody. Żył lat zaledwie 33, ale zdobył tytuł Ojca Kawalerii Armii Amerykańskiej i stał się bohaterem obu światów, Polski i Ameryki. Kościuszko i Pułaski, zarówno w kraju jak i tu w Ameryce, mają niezliczoną ilość pomników, a ich nazwiska zdobią wiele miast, osiedli, mostów, placów i ulic. Udział Polaków w wojnie o niepodległość Stanów Zjednoczonych, w latach od 1773 aż po 1783, jest dla nas wszystkich podstawą do zasłużonej dumy.

2. PRZYCZYNY EMIGRACJI I WKŁAD POLAKÓW W ŻYCIE USA

Jakie były przyczyny emigrowania do Ameryki? Odpowiedź na to pytanie znajdziemy łatwo studiując historię. Streścić ją można w kilku słowach: warunki polityczne, prześladowania religijne i sytuacja materialna wielu narodów Europy skłaniały je do opuszczenia rodzinnego kraju.

Po Powstaniu Listopadowym 1830-1831 przyплыw wyrzucił na brzeg amerykański setki zawiedzionych żołnierzy-powstańców. W roku 1833 Austria wysiedliła 235 Polaków, którzy przybyli do Ameryki. Kongres Stanów Zjednoczonych obdzielił ich ziemią w stanie Illinois. Ci wygnancy-powstańcy wkrótce odznaczyli się ważnymi osiągnięciami w dziedzinie nauki i kultury Ameryki. Pozostały liczne ślady ich prac szczególnie z dziedziny geografii i topografii. Stan Kalifornia został dokładnie opisany i przemierzony przez Feliksa Pawła Wierzbickiego. Jego książka pt. „Kalifornia Jaką Jest i Jaką Być Może, czyli Przewodnik po Regionie Złota” została wydana w roku 1848 i przyczyniła się nie tylko do zwiększenia poszukiwań złota, ale i do osadnictwa w tym stanie. Jan Joachim Hołyński wydał w roku 1854 mapę stanu Kalifornia, do dziś przechowywaną w Muzeum miasta Sacramento, oraz książkę pt. „Kalifornia i Drogi Oceaniczne”, w języku francuskim. Kazimierz Bielawski przez długie lata pracował w Urzędzie Ziemijskim (US Land Office) w San Francisco i był autorem opublikowanej w roku 1865 Mapy Topograficznej i Kolejowej Cen-

tralnej Części Kalifornii i Newady. Aleksander Bielawski wykonał zdjęcia topograficzne Florydy, w niezwykle trudnych warunkach, w latach 1835-37.

Imigranci z okresu powstań narodowych przyczynili się znacznie do rozwoju oświaty i nauki w Ameryce, zapisując się trwale na kartach historii. Polacy mają i tu istotne podstawy do dumy.

Pierwsza politechnika została założona w Stanach Zjednoczonych w roku 1854 przez Polaka, profesora Leopolda Boeka.

Józef Karge, generał, był profesorem wykładającym języki obce i literaturę narodów słowiańskich na Uniwersytecie w Princeton. W Amerykańskiej Narodowej Encyklopedii Biograficznej, wydanej w 1898 roku, napisano o nim, że „dzięki wysokiemu wykształceniu, zaletom charakteru i rzadkim talentom pedagogicznym, stał się jednym z najsłynniejszych profesorów”.

Ogrom wkładu polskich uchodźców w budowę Stanów Zjednoczonych na polu historii, nauki, myśli politycznej, gospodarki i kultury, nie został jeszcze w pełni zbadany, ale z pewnością jest on nie mniejszy od wkładu imigrantów niemieckich, skandynawskich, czy irlandzkich.

Wybitny znawca dziejów Polonii, historyk Joseph A. Wytrwał, w swojej trzeciej książce pt. „Polacy w Historii i Tradycji Amerykańskiej”, przytacza wiele interesujących dowodów historycznych, mówiących o tym udziale Polaków w budowie życia na amerykańskiej ziemi.

Oblicza się na przykład, że podczas wojny domowej w latach 1861-1865 w Stanach Zjednoczonych mieszkało już 30 tysięcy Polaków. Po stronie Unii walczyło około 4000 Polaków. Trzech Polaków było generałami brygady w armii Unii: Włodzimierz Krzyżanowski, Józef Karge i Albin Schoepf. Stopnie oficerskie miało 163 Polaków. Natomiast po stronie Konfederacji (Południe) walczyło około 1000 żołnierzy i 40 oficerów, w tym płk Hipolit Oladowski i płk Walerian Sulakowski, dowódca saperów. Polaków nie brakło także i w następnych wojnach, jakie Stany Zjednoczone toczyły w Teksasie, przeciwko Hiszpanii i w wyprawach na Meksyk. Historyk emigracji, Mieczysław Haiman, miał aż nadto powodów, by napisać: „nie ma wprost piędzi ziemi w Ameryce, w którą by nie wsiąkł pot i krew Polaka, przez którą by nie przeszła jego pionierska stopa”. Nasi rodacy potem i krwią potwierdzili prawo do życia w wolności i równości narodów na tej amerykańskiej ziemi.

W drugiej połowie XIX wieku nastąpiła masowa emigracja z ziem Polski: z Królestwa, z Poznańskiego, ze Śląska i z Galicji. Głównymi przyczynami tej emigracji było prześladowanie ludności przez zaborców, niechęć do służby wojskowej w armiach zaborców, bieda na wsi. Rząd Stanów Zjednoczonych wydał w roku 1864 zarządzenie zezwalające na przyjazd imigrantów. Powstały wówczas różne firmy werbunkowe i

przewozowe, ciągnące ogromne zyski z niedoli nowoprzybytych. Rozwój przemysłu w Stanach był w tym okresie tak gwałtowny, że brak było siły roboczej. W Pensylwanii powstawały kopalnie węgla, huty i stalownie, w Detroit ogromne fabryki. Rozwijał się bardzo szybko Nowy Jork, Buffalo, Chicago. Budowano nowe miasta i osiedla, koleje, a wszędzie potrzebne były ręce do pracy, także i w rolnictwie. Przebywający tutaj Polacy byli biedni, nie znali języka, często nie mieli żadnych kwalifikacji zawodowych. Wcześniej tu osiadli, znający język angielski, pochodzący z Niemiec, czy Wysp Brytyjskich, górowali nad nimi i częstokroć dyskryminowali innych. Wysyłano Polaków do najcięższych prac, kazano im pracować po 12 godzin, często nawet przez 7 dni w tygodniu, płacąc połowę tego, co zarabiali Anglicy, Irlandczycy, czy Niemcy. Ale w porównaniu ze standardem życia w kraju, zarobki Polaków i tak były bardzo wysokie i pozwalały na robienie oszczędności. Wkrótce też stali się przedmiotem podziwu innych, gdyż mimo tych trudności potrafili dorabiać się, tworzyć własne życie społeczne i budować własne osady o pięknych nazwach, np. Panna Maria w Teksasie, czy też Polonia w stanie Wisconsin. Polacy budują kościoły i szkoły, zakładają swoje organizacje. Wiele z ich dorobku z ubiegłego stulecia przetrwało do dziś.

Nie sposób w tak krótkim przeglądzie dorobku Polonii Amerykańskiej wymienić wszystkich jej twórców. Warto jednak przypomnieć choć kilka nazwisk.

W administracji i sądownictwie wyróżnili się Włodzimierz Krzyżanowski, Henryk Kałussowski i Kasper Tochman.

Erazm Jerzmanowski przybył do Nowego Jorku w 1873 roku i w czasie 23 lat swego tu pobytu założył kilka wielkich spółek gazowych: Equitable Gas and Light Company w Nowym Jorku, Chicago, Baltimore, Albany, Troy, Indianapolis i innych miastach. Był założycielem spółki Carbide Calcium and Acetylen Company, zdobywając tytuł pioniera i ojca gazownictwa w tym kraju.

Edmund Zalinski był w latach 1872-76 wykładowcą w słynnym Massachusetts Institute of Technology. Wynalazca lontów i wielu udoskonaleń w produkcji dział i łodzi podwodnych.

Alfred Korzybski był wybitnym językoznawcą, autorem wielu dzieł naukowych z dziedziny semantyki i założycielem Instytutu Semantyki Ogólnej w Chicago.

Fizyk, Albert Michelson, był laureatem Nagrody Nobla w roku 1907.

Adam Gurowski wydał dzienniki z okresu wojny domowej, do dziś traktowanej jako główne źródło wiedzy historycznej tamtych czasów, a w roku 1860 wydał książkę pt. „Slavery in History”.

Helena Modrzejewska (1840-1909) przybyła wraz z synem Rudolfem

w roku 1876. Szybko opanowała język angielski i przejeżdżała Amerykę wzdłuż i wszerz, występując na scenach najlepszych teatrów. W ciągu ponad 20 lat grała 260 ról, czarując widownię talentem mimicznym i niedorównanym kunsztem artystycznym.

Na Kongresie Kobiet w Chicago wystąpiła z patriotycznym przemówieniem. Skutek tego był taki, że gdy udała się na występy w Warszawie, rząd carski ją wydalili, zabraniając wstępu na terytorium cesarstwa rosyjskiego.

Historia powtarza się. Teraz także wielu rodaków nie może udać się do kraju, doznając różnych szykan za swoje patriotyczne stanowisko w sprawach politycznych.

W tym samym roku co i Modrzejewska, do Stanów przybył Henryk Sienkiewicz. Ten wielki pisarz opisał swoje wrażenia z pobytu w Ameryce w znanej noweli „Za Chlebem” oraz w „Listach z Ameryki”.

Ogromny wkład w amerykańską cywilizację wnieśli polscy inżynierowie. Przy budowie dróg i mostów pracował inż. Kazimierz Stanisław Gzowski, którego dziełem jest 9-cio przęsłowy most kratowy nad rzeką Niagarą, oraz porty i inne mosty w Kanadzie. Kolej żelazną w Illinois budowali inżynierowie Aleksander Bielawski i Józef Truskolaski.

Najzdolniejszym inżynierem, budowniczym mostów, był Rudolf Modrzejewski, syn aktorki Heleny, (1861-1940), znany tu pod zamerykanizowanym nazwiskiem Ralph Modjeski. Pozostawił po sobie dosłownie dziesiątki mostów. Wszystkich wymienić tu nie sposób, ale choćby kilka, dla przykładu: Ambassador Bridge nad rzeką Detroit, łączący Stany z Kanadą. Mid Hudson Bridge w Poughkeepsie, nadzór nad budową Manhattan Bridge w Nowym Jorku, McKinley Bridge w St. Louis, most nad Mississipi w Rock Island, most nad rzeką Delaware im. Benjamina Franklina w Filadelfii — wówczas (1926) najdłuższy most wiszący na świecie, i most Golden Gate w San Francisco. Przez długie lata był prezesem Amerykańskiego Stowarzyszenia Inżynierów Lądowych.

Róża Potowska walczyła o prawa kobiet i występowała przeciwko niewolnictwu.

Dr Maria Elżbieta Zakrzewska założyła pierwszą przychodnię dla Kobiet i Dzieci w Nowym Jorku i Bostonie.

Ignacy Jan Paderewski (1861-1941), światowej sławy pianista i kompozytor, polityk i działacz społeczny, przybył do USA w roku 1891 i zdobył tu ogromną sławę artystyczną. Dochody z koncertów przeznaczal na budowę pomników (Pomnik Grunwaldu w Krakowie) i na cele społeczno-kulturalne. Po wybuchu Pierwszej Wojny Światowej, razem z Henrykiem Sienkiewiczem, założył Komitet Pomocy Ofiarom Wojny w Vevey (Szwajcaria) i w Londynie. Został przedstawicielem Polskiego Komitetu

Narodowego w USA, wzywając do tworzenia ochotniczych polskich oddziałów wojskowych, organizowanych jako Armia Gen. Hallera. Armia ta przyczyniła się do wyzwolenia Polski.

Nie ma przesady w tym, że Polonia uwielbiała Paderewskiego i ufała mu bezgranicznie. Był to ostatni wielki autorytet stojący na czele Polonii Amerykańskiej. Paderewski był także mężem stanu. Prezydent USA Wilson uważał go za przyjaciela i doradcę w sprawach polskich; debatował z nim kwestie granic przyszłej Polski.

W grudniu 1918 roku Paderewski wrócił do kraju, zostając wkrótce premierem rządu i ministrem spraw zagranicznych. W roku 1919, w imieniu wolnego już Państwa Polskiego, podpisał razem z Dmowskim Traktat Wersalski. Po ponownym rozbiórce Polski w roku 1939, przybywa znów do Ameryki, stając do akcji na rzecz niepodległości. Mimo choroby i wieku wygłasza swoją ostatnią odezwę na (byłej) Polance Zjednoczenia Narodowego Polskiego w Oak Ridge, w czerwcu 1941, mówiąc m.in.: „jeden jedyny cel przyświecać będzie wszystkim moim poczynaniom, a jest nim oddanie mych wszystkich sił świetlanemu dziełu odzyskania, ratowania i odbudowy naszej ukochanej Polski. Cokolwiek czynić zamierzam, cokolwiek Bóg pozwoli mi dokonać, będzie nieustanną służbą dla Ojczyzny, jej dobro mając na widoku. Siły moje są już słabe, możliwości osobistej pracy ograniczone, ale oddaję Wam Bracia mojego ducha, moją wiarę w nieśmiertelną Polskę i w jej ostateczne zwycięstwo. W zamian liczę na Was, na Wasze siły i na Waszą pomoc...” A zakończył słowami: „To jest żądanie umęczonej Polski, które wiąże nas wszystkich. Pokładanego w nas zaufania nie zawiedzimy — Tak nam dopomóż Bóg!” Czyż te słowa, nawet dziś, po upływie tylu lat, nie odnoszą się także i do nas?

Wkrótce po tym przemówieniu, 29 czerwca 1941 roku odszedł do wieczności ten wierny sługa Ojczyzny i ukochany syn Polskiej Ziemi. Odszedł, niestety, gdy losy Polski znów się ważyły, kiedy jego osobisty wpływ był jak najbardziej potrzebny, kiedy w Jałcie handlowano wolnością naszego narodu i niepodległością naszego państwa.

Dnia 9 maja 1963 roku na Narodowym Cmentarzu Arlington w Waszyngtonie odbyła się niezwykła uroczystość, zorganizowana przez Armię USA. Odsłonięto tablicę pamiątkową na miejscu spoczynku trumny ze zwłokami śp. Ignacego Paderewskiego. Prezydent Stanów Zjednoczonych wziął udział w tej uroczystości osobiście, w towarzystwie Sekretarza Stanu Dean Rusk'a, senatora Williama Harrisona, ks. płk. Józefa Chmielewskiego i wielu innych osobistości. Po przemówieniu prezesa KPA, Karola Rozmarka, przemawiał Prezydent John F. Kennedy, mówiąc m.in.: „Zgromadziliśmy się dzisiaj, by złożyć hołd jednej z przytłaczająco wielkich postaci

naszego wieku. Ignacy Paderewski był wielkim Polakiem, i muzykiem, a ponadto mężem stanu i współczującym człowiekiem. Życie jego łączy w sobie niektóre z najbardziej zadziwiających kontrastów naszej epoki. Żadne bowiem z dziedzin działalności ludzkiej nie wydają się być bardziej oddalone od siebie, jak muzyka i obowiązki męża stanu. A jednak Paderewski był wirtuozem w obu dziedzinach. Nie było to zresztą przez padek, gdyż wiedział on, że zarówno jedna jak i druga dziedzina zakorzeniły się w idei wolności, że obie należą do swobody, z jaką ludzka istota może wyrażać swoją własną nić życia. Dla Paderewskiego świat sztuki był dopełnieniem świata polityki. Nikt z większą hojnością nie podązał z pomocą ofiarom Pierwszej Wojny Światowej, jak Paderewski. W stolicach państw sprzymierzonych był on przekonywującym szermierzem niepodległości Polski, a jego wpływ osobisty przyczynił się do nakłonienia Prezydenta Woodrow Wilsona, by żądać nowego Państwa Polskiego, jako jednego ze swych 14 punktów. Gdy Druga Wojna Światowa ponownie zagroziła istnieniu Polski, 80-cio letni już wówczas Paderewski stał się raz jeszcze orędownikiem Polskiej Sprawy. Dla Amerykanów Paderewski jest symbolem narodowej niepodległości, narodowej powagi, ludzkości i sztuki. Jest więc godnym, że śmiertelne szczątki tego polskiego patrioty, którego życie i działalność tak ściśle były związane ze Stanami Zjednoczonymi, spoczywają na naszym Narodowym Cmentarzu, aż do czasu złożenia jego zwłok w jego ojczyźnie. Jego muzyka zamilkła, ale sprawa dla której żył i umarł pozostaje nieśmiertelna.”

3. STARA EMIGRACJA W WALCE O WOLNOŚĆ POLSKI

Rok 1914 zastał polską emigrację w Ameryce zorganizowaną w setkach parafii i szkół, w dziesiątkach zgromadzeń zakonnych żeńskich i męskich, w licznych stowarzyszeniach ubezpieczeniowych bratniej pomocy i w szeregach wielu innych towarzystw, organizacji i instytucji społecznych, religijnych i narodowych. Wszystkich Polaków łączył jeden cel: odzyskanie wolności dla kraju. Na apel duchownych i świeckich powstaje w październiku 1914 roku w Chicago centralna organizacja pod nazwą „Polski Centralny Komitet Ratunkowy w Ameryce, który przyjmuje jako naczelną hasło: „Zjednoczenie i niepodległość wszystkich ziem polskich, a jako urzeczywistnienie tego postanowienia w praktyce, postanowiono natychmiast nieść czynną pomoc Ojczyźnie”.

W styczniu 1915 roku organizacja ta wchodzi w ścisły kontakt i porozumienie z Generalnym Komitetem Ratunkowym założonym przez Henryka Sienkiewicza, Ignacego Paderewskiego, A. Osuchowskiego i E. Piltza w Vevey, w Szwajcarii. Tegoż samego roku przybywa Paderewski do Ameryki i staje na czele PCKRwA, który śle ogromną pomoc, w milionach dolarów, poprzez Komitet w Vevey, dla rodaków pod zaborami.

Sytuacja zmieniła się, kiedy Stany Zjednoczone przystąpiły do wojny z Niemcami w dniu 6 kwietnia 1917 r. Wobec zmienionej sytuacji politycznej w USA, Polski Centralny Komitet Ratunkowy przekształca się z organizacji charytatywnej w polityczną i przyjmuje nazwę Wydział Narodowy Polski, który pod kierownictwem Ignacego Paderewskiego, Jana Smulskiego, ks. bpa. P. Rhodogo, ks. Władysława Zapały i wielu innych, co wybitniejszych Polaków w Ameryce zabiega, by pozyskać względy rządu USA i wysłać uzbierane fundusze nowo powstałemu Komitetowi Narodowemu Polskiemu w Paryżu, kierowanemu przez Romana Dmowskiego. Komitet Narodowy Polski w Paryżu również czynił wysiłki, aby pozyskać dla sprawy Polski rządy Anglii, Francji i Stanów Zjednoczonych. Rezultat był pomyślny. Oto Prezydent USA Woodrow Wilson, w orędziu wygłoszonym w Senacie dnia 22 stycznia 1917 roku, wypowiedział słowa nie słyszane od stulkudziesięciu lat: „Polska powinna być wolną, zjednoczoną i samorządną”. A dnia 8 stycznia 1918 roku Wilson przedkłada Kongresowi USA swoje słynne 14 punktów, stanowiących warunki pokoju, z których

jeden głosi, że „Polska ma być niepodległa i obejmować wszystkie zamieszkałe niewątpliwie przez Polaków terytoria, z wolnym dostępem do morza, pod gwarancją traktatu międzynarodowego”. Dnia 9 marca 1917 roku wybucha rewolucja w Rosji, tydzień później car abdykuje, a rząd rewolucyjny z Lwowem i Liliukowym na czele wydaje manifest do Polaków, w którym ogłasza, że „Polska ma prawo być zupełnie niepodległą”. Dnia 15 kwietnia 1917 Francja, Anglia i Włochy wydają deklarację, że „godzą się w zupełności z Rosją co do powołania do życia Zjednoczonego Państwa Polskiego”. Rada Wojenna Koalicji uznaje 3 marca 1917 roku Polskę jako państwo sprzymierzone z Koalicją i wspólnie z nią walczące przeciwko germańskiemu militarystom. Prezydent Francji Poincaré wydaje dekret zezwalający na organizowanie armii polskiej we Francji. Rząd Stanów Zjednoczonych uznaje Narodowy Komitet w Paryżu i zezwala na działalność powołanej przez ten Komitet Komisji Wojskowej, której zadaniem jest rekrutacja ochotników do armii polskiej na terytorium USA. Jedyną uznaną organizacją przez rząd USA, reprezentującą sprawy Polski, był Wydział Narodowy Polski pod kierownictwem Ignacego Paderewskiego.

Wypadki dziejowe wytworzyły atmosferę sprzyjającą sprawnie przywrócenia niepodległości Polsce. Czekwały na tę chwilę liczne organizacje już od 1891 roku: Towarzystwo Rycerzy Polskich, Ochotnicy Pułaskiego, Gwardia Kościuszki, Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej, a szczególnie Sokolstwo Polskie, które z zapałem przystąpiły do pracy. Przy wszystkich tych organizacjach powstały punkty rekrutacyjne, rozpoczęto szkolenie pierwszych oficerów. Obóz szkoleniowy dla ochotników powstał w obozie wojskowym w Niagara-on-the-Lake w Kanadzie, a po jego przepelnieniu Fort Niagara w Stanach Zjednoczonych. Związek Narodowy Polski oddał do użytku szkoleniowego swoje Kolegium w Cambridge Springs. Ignacy Paderewski napisał melodię i słowa do „Hymnu Bojowego”. Wydział Narodowy Polski zorganizował kapelę wojskową w mundurach Wojska Polskiego, która pod dykcją Tadeusza Wrońskiego objeżdżała wszystkie polskie skupiska w Stanach, budząc entuzjazm i ofiarność dla sprawy Polski. Napływ ochotników do armii polskiej był wielki i osiągnął liczbę ponad 30.000. Było to dużo, jeśli brać pod uwagę fakt, że ponad 200.000 polskiej młodzieży w Ameryce zaciągnęło się do armii amerykańskiej. Do armii polskiej masowo wstępowała członkowie organizacji Sokolstwa Polskiego, pod kierownictwem dra Teofila Starzyńskiego.

Wydział Narodowy Polski zwołał na dzień 26 sierpnia 1918 roku do Detroit Pierwszy Sejm Patriotycznej Polonii. Była to największa manifestacja jedności wewnętrznej Polonii. Manifestacja tak potężna, że rząd USA musiał liczyć się z Polonią. Na sejm zjechało około tysiąca delegatów z

całych Stanów. Z Francji przybył Roman Dmowski, by poinformować zebranych o stanie spraw polskich na politycznej arenie Europy. Głos zabrali także: Ignacy Paderewski, ks bp P. Rhode i Jan Smulski. Reportaże z tego sejmku zamieściła cała prasa amerykańska. Polonia była w stanie zebrać miliony dolarów na zaopatrzenie Armii Polskiej, na ratunek biednym i potrzebującym w Polsce i na koszt akcji politycznej w Waszyngtonie i w stolicach Europy.

Pierwsze oddziały wojsk ochotniczych z Ameryki lądują we Francji 28 grudnia 1917 roku, a w lipcu następnego roku otrzymują chrzest bojowy w walkach w Szampanii, Alzacji i Lotaryngii. Na żądanie Polaków, domagających się polskich dowódców, rząd francuski mianuje generała Hallera naczelnym dowódcą Armii Polskiej.

Haller, w swym historycznym rozkazie dziennym, mówi: „Jedynie tylko siłą oręża zdołamy oswobodzić Warszawę i Kraków, odbić Wilno i Lwów, odebrać Poznań i Gdańsk. Armia Polska będzie sformowana i walczyć będzie nie tylko na froncie zachodnim, na którym rozstrzygnie się zwycięstwo, ale i na wschodnim, gdzie wkroczy ono zwycięsko do Polski”.

Pierwsze oddziały „Błękitnej Armii” przybywają do kraju w okresie Wielkiejnocy 1918 roku. Wojska gen. Hallera mają obecnie 6 dywizji, około 100.000 żołnierzy, i walczą dzielnie na frontach pomorskim, wołyńskim, lwowskim i śląskim, wspierając Legiony i inne formacje wojskowe pod naczelnym dowództwem Marszałka Józefa Piłsudskiego. Uderzenie alian-tów na Zachodzie i kompletna demoralizacja wojsk na Wschodzie spowodowały, że Niemcy nie miały już właściwie żadnych możliwości dalszego prowadzenia wojny i dlatego skapitulowały wobec Marszałka Focha dnia 11 listopada 1918 roku, godząc się na rokowania pokojowe w oparciu o te słynne 14 punktów prezydenta Wilsona. Traktat pokojowy podpisano 28 czerwca 1919 roku. Niemcy uznali niepodległość Polski, oddając Wielkopolskę i Pomorze, ale bez Gdańska, któremu nadano status Wolnego Miasta, ze szczególnymi przywilejami dla Polski. W Warmii, na Mazurach i Górnym Śląsku miały odbyć się plebiscyty.

Z ramienia Polski traktat podpisali Ignacy Paderewski i Roman Dmowski. Rosja bolszewicka nie brała udziału w konferencji pokojowej i wskutek tego nie była sygnatariuszem traktatu pokojowego.

W kwietniu 1920 wydawało się, że wojna jest rzeczywiście skończona. Władze niepodległej Polski wyraziły podziękowania swym braciom z Ameryki i innych krajów. Pierwsze transporty ochotników powracających do swych przybranych ojczyzn zaczęły opuszczać Polskę udając się do Ameryki, Brazylii, Francji, Holandii, Serbii i do innych krajów europejskich, a nawet i do Chin, bo i stamtąd mieliśmy garść Polaków — ochotników.

Tymczasem nowe nieszczęście nadciągało ze wschodu. Bolszewicka

Rosja zgromadziła potężne siły wojskowe, których zadaniem było przebić się przez Polskę i wkroczyć do całej Europy, by pomóc komunistycznym rewolucjom, wznieconym już w Niemczech, na Węgrzech i w innych krajach. Ruszyła na Polskę armia czerwona pod dowództwem Tuchaczewskiego, którego hasłem było: „Po trupie Polski wiedzie droga do wszechświatowego pożaru!”.

Rozegrała się decydująca bitwa, w której wzięło udział kilkanaście tysięcy ochotników z Ameryki. Potężna armia bolszewicka została rozbita w dniu święta Wniebowzięcia Matki Boskiej, 15 sierpnia 1920 roku, przechodząc do historii pod sławną nazwą „Cudu nad Wisłą”.

* * *

Powrót Polski na mapę polityczną Europy, po długim okresie niewoli, był wielką chwilą dziejową. Polonia Amerykańska odegrała poważną rolę w decydującym o losie Polski momencie.

Polityczna, ekonomiczna i wojskowa pomoc Polonii doprowadziła do uzyskania zamierzonego celu. Dzięki wojskom ochotniczym z Ameryki możliwe było uformowanie Błękitnej Armii we Francji, która wydatnie pomogła Legionom w osiągnięciu zwycięstwa. Pomoc polityczna Polonii umożliwiła wejście Polski do wspólnej z aliantami walki przeciwko Niemcom i otworzyła drogę do udziału Polski w pertraktacjach pokojowych na konferencji w Paryżu, gdzie przygotowywano tekst traktatu wersalskiego. Bez zbiorów, licznych ofiar ze strony emigrantów, nie byłoby możliwe zwycięstwo. Pomoc materialna sięgnęła sumy około 20 milionów dolarów, co było kwotą na owe czasy ogromną.

Prezydent Wilson myślał początkowo o Polsce niewielkiej. Szefowie rządów innych państw koalicji tylko pocieszali Polaków, nie myśląc poważnie o naszej przyszłości. Dopiero wpływ Paderewskiego i innych działaczy emigracyjnych spowodował, że koncepcja niepodległej Polski zaczęła dojrzywać w jej późniejszych, realnych kształtach.

Mamy więc dosyć podstaw by twierdzić, że ta Stara Polonia, o której dziś niektórzy mówią z przekąsem, potrafiła jednak dopilnować sprawy Polski w czasie Pierwszej Wojny Światowej. Ze złości wypada nam mówić o tych polskich patriotach, o których obszernie przeczytać możemy w książce pł. „Czyn Zbrojny Wychodźstwa Polskiego w Ameryce”, wydanej w 1957 roku.

CZĘŚĆ DRUGA

ŻYCIE ORGANIZACYJNE POLONII

1. NIEKTÓRE ORGANIZACJE POLONIJNE I ICH DZIAŁALNOŚĆ

W przeszłości całe życie religijne i społeczne emigrantów koncentrowało się w parafialnym kościele. Proboszcz był inicjatorem, kierownikiem, doradcą, obrońcą i najwyższym autorytetem. Organizował on komitet budowy, komitet szkolny, a gdy tylko zbudowano salę parafialną ze sceną, to zaraz powstawały zespoły artystyczne, kluby sportowe, organizacje młodzieżowe, urządzano zabawy i przedstawienia. Na wzór działalności parafialnej w kraju, powstawały dziesiątki towarzystw kościelnych. Parafia stawała się małym światem, samowystarczalnym ośrodkiem pracy społecznej. Poszczególne parafie nawet rywalizowały ze sobą w zakresie budowy pięknieszego kościoła, czy też okazałości religijno-narodowych manifestacji.

Z czasem jednak to zamykanie życia społecznego i narodowego wewnątrz parafii zaczęło ujemnie wpływać na siłę wpływów amerykańskiej Polonii w sprawach ogólnokrajowych. Emigranci irlandzcy, czy niemieccy, byli już zorganizowani na skalę ogólnokrajową, kiedy my ciągle jeszcze żyliśmy życiem odizolowanym w kulturalnie kwitnących parafiach.

Działacze duchowni i świeccy zrozumieli nasze zacofanie i zabrali się do usuwania „parafialnych barier”, powołując do życia szereg większych organizacji polsko-amerykańskich o charakterze narodowo-społecznym, lecz o zasięgu ogólnokrajowym. Jednym z pierwszych było TOWARZYSTWO BRATNIEJ POMOCY ŚW. STANISŁAWA KOSTKI w Chicago. O jego powstaniu pisze polonijny historyk Mieczysław Haiman w dziele pt. „Historia Zjednoczenia Rzymsko-Katolickiego” (wyd. 1958). Dokumenty założycielskie tak mówią o celach tego towarzystwa: „Aby naród polski rzymsko-katolicki mógł się połączyć węzłem miłości braterskiej, aby w tym gronie braterskim panowały warunki miłosierne, jak to: chorych nawiedzać, umarłych grzebać, wdowy i sieroty wspierać, a przy tym, aby żyło braterstwo, zgoda, jedność i obyczaje moralne tak duszy jak ciała.”

Towarzystwo Bratniej Pomocy św. Stanisława Kostki powstało w 1864 roku. Założycielem był Piotr Kiołbassa, były nauczyciel z polskiej szkółki parafialnej z miasta Panna Maria w stanie Teksas, późniejszy kapitan szeregów unijnych podczas Wojny Domowej: Antoni Smugorzewski-Sherman, Józef Niemczewski, Jan Arkuszewski i Andrzej Kurr, zwany także

„królem Kaszubów”.

Austriackie statki przywiozły do Ameryki powstańców dra Henryka Kałussowskiego i ks. Ludwika Jerzykowicza, którzy 20 marca 1842 roku założyli w Nowym Jorku TOWARZYSTWO POLAKÓW W AMERYCE. Zebranie odbyło się przy Division Street nr 235, a 63 osoby zapisały się na członków. Towarzystwu Polaków w Ameryce przyświecały te same idee, co powstańcom zgrupowanym we Francji: „Wrócić do rodzinnej ziemi z okrzykiem rewolucji na ustach — umrzeć za Polskę i za swobodę wolnego polskiego ludu”. W Paryżu wydano broszurkę pt. „Dwudziesty Dziewiąty Listopada w Ameryce 1844”, w której mowa jest o rocznicowych obchodach tej organizacji, jakie odbyły się w nowojorskim Stuyvesant Institute. Czytamy w niej, że „Towarzystwo Polaków w Ameryce jest jedyną istniejącą polską korporacją w Ameryce”.

Można też w dokumentach archiwalnych znaleźć notatkę o tym, że tenże dr Henryk Kałussowski założył w Nowym Jorku w roku 1852 „TOWARZYSTWO DEMOKRATYCZNE WYGNAŃCÓW POLSKICH”.

Trzecią większą organizacją była założona w roku 1866 w Chicago przez majora wojsk polskich Mikołaja Michalskiego „GMINA POLSKA”. Jej żywot był jednak krótki i nigdy nie wyszła poza zasięg lokalny.

Z inicjatywy ks. Teodora Gieryka i przy wydatnej pomocy ks. Leopolda Moczygęby i ks. Wincentego Barzyńskiego oraz jego brata Jana Barzyńskiego, w roku 1873 zostało założone w Chicago — ZJEDNOCZENIE RZYMSKO-KATOLICKIE. Księża ci zaapelowali do parafii, lokalnych towarzystw oraz do emigrantów rozsianych po wielu stanach, by połączyli swe siły w jedną całość „materialną i duchową”, uzyskując przez to wpływy i znaczenie w amerykańskim życiu społecznym i politycznym, i aby im łatwiej było wspólnie walczyć o wolną i niepodległą Polskę.

W tamtych latach nie było w Ameryce żadnych ubezpieczeń społecznych, toteż podstawą finansową ZRK miał być statut towarzystwa ubezpieczeniowego. Dochody z tej działalności były przeznaczane na cele religijno-narodowe: pomoc materialna w organizowaniu polskich parafii i zakładów dobroczynnych, patronat nad Kolegium i Seminarium w Orchard Lake, pomoc materialna uczącej się młodzieży polskiej, założenie biblioteki, archiwum i muzeum, poświęconych kulturze polskiej i dorobkowi Polonii, opieka nad polskimi imigrantami i biednymi, oraz łączność z Kościołem i polskimi organizacjami patriotycznymi. Zjednoczenie Rzymsko-Katolickie posiadało już w 1950 roku majątek szacowany na 30 milionów dolarów, a wartość ubezpieczeń sięgała 90 milionów dolarów. W roku 1967 ZPRK liczyło 176 tysięcy członków. Siedzibą tego towarzystwa jest Chicago, a organem prasowym — dwutygodnik „Naród Polski”.

Powstanie Zjednoczenia Polskiego Rzymsko-Katolickiego nie podo-

bało się jednak wszystkim. Sama nazwa była nie do przyjęcia dla dość prężnej w Ameryce masonerii, uważającej Rzym, Stolicę Apostolską, za swojego głównego wroga. Poza tym, nie wszyscy rzeczywiście są katolikami, sporo też było radykałów, ateistów i ludzi obojętnych pod względem religijnym. Masoneria podjudzała przeciwko księżom, a Zjednoczenie Polskie Rzymsko-Katolickie przezywano organizacją „klerykalną”. Wrogowie ZPRK założyli więc własną organizację: ZWIĄZEK NARODOWY POLSKI. ZNP oparto także na statucie towarzystwa ubezpieczeniowego, powstały więc walki, tarcia wzajemne, rywalizacja w werbowaniu członków, a cały konflikt przybierał charakter „religijnej wojny domowej”, gdyż kwestie wyznaniowe odgrywały tu niewątpliwie istotne znaczenie. Po kilku latach te walki nieco ustały, gdy księża zaczęli wstępować w szeregi ZNP. Ponowne rozbitcie spowodował wniosek grupy księży na Sejmie ZNP w Buffalo w roku 1889, domagających się niedopuszczania do stanowisk w zarządzie głównym ZNP bezwyznaniowców i Żydów. Wniosek tego rodzaju w zorganizowanym na wzór masonerii związku przejść, rzecz jasna, nie mógł. Księża wystąpili więc z ZNP i pod przewodnictwem ks. Dominika Majera utworzyli kompromisową organizację, pod nazwą UNIA POLSKA RZYMSKO-KATOLICKA, której celem miało być harmonijne połączenie ZNP i ZPRK. Nic z tych wysiłków nie wyszło, wskutek czego Unia wkrótce też upadła.

Związek Narodowy Polski powstał w roku 1880. Jego założycielem byli: Juliusz Andrzejkowicz, Jan Blachowski, Jan Biatyński, Wincenty Domański, Antoni Wojczyński, Piotr Beczkiewicz i Jan Popieliński.

Na liście jego członków były takie znane nazwiska, jak: Włodzimierz Krzyżanowski, generał Wojny Domowej, Erazm Jerzmanowski, pierwszy polonijny milioner i „ojciec gazownictwa” w Ameryce, oraz wiele innych osobistości.

Po Zjednoczeniu Polskim Rzymsko-Katolickim, Związek Narodowy Polski stał się drugą wielką, polską organizacją ubezpieczeniową o krajowym zasięgu.

ZNP przyjmował zasadę przyjmowania w swoje szeregi wszystkich Polaków, bez względu na wyznanie, przyjmując nawet Żydów. Umożliwiło mu to większy rozgłos i rozkwit, dzięki czemu stał się najzasobniejszym towarzystwem w USA. 39 Sejm ZNP w Orlando na Florydzie, w roku 1983, wykazywał, że majątek ZNP przekracza 176 milionów dolarów, suma ubezpieczeń członkowskich wynosi blisko 434 miliony dolarów. Z biegiem lat, wskutek powstania w USA całego systemu ubezpieczeń wzajemnych, m.in. przez powołanie stanowych i federalnych kas kredytowych, zainteresowanie etnicznymi towarzystwami ubezpieczeniowymi znacznie osłabło w społeczeństwie. Liczba członków, nie tylko w ZNP, ale i we wszy-

stkich organizacjach tego typu, szybko zaczęła maleć.

Związek Narodowy Polski, podobnie jak i inne polsko-amerykańskie organizacje, od początku swego istnienia podkreśla patriotyczne cele walki o niepodległość Polski. ZNP brał udział w tworzeniu Ochotniczej Armii Polskiej w USA w roku 1917, zajmował się krzewieniem języka polskiego, szerzeniem oświaty i kultury polskiej w USA, niesieniem pomocy materialnej żołnierzom obu wojen światowych i zawsze umęczonemu Narodowi Polskiemu.

ZNP założył w roku 1912 kolegium pn. Polish National Alliance College, na które w latach 1979-83 wydatkowano blisko 2 i pół miliona dolarów. ZNP udziela pomocy stypendialnej kształcącej się młodzieży, a także wydaje dwutygodnik „Zgoda” oraz „Dziennik Związkowy”.

ZNP od lat patronuje Kongresowi Polonii Amerykańskiej, a od wielu lat mec. Alojzy Mazewski pełni funkcję prezesa zarówno ZNP jak i KPA, podobnie jak przedtem obie funkcje piastował mec. Karol Rozmarek.

Trzecia pod względem wielkości polonijna organizacja ubezpieczeniowa to ZWIĄZEK POLEK W AMERYCE, założony 22 maja 1898 roku przez Stefanę Chmielińską. W rok później przyłączyły się do niego: Towarzystwo św. Heleny i Towarzystwo Królowej Wandy, wspólnie tworząc największą organizację kobiecą.

Poza statutową działalnością ubezpieczeniową, Związek Polek w Ameryce stawia sobie także zadania patriotyczno-narodowe: obrona dobrego imienia Kobiety-Polki, utrzymywanie ducha i ideałów polskich wśród młodzieży przez studiowanie języka, historii i kultury polskiej oraz przez ciągłe kontakty z Krajem Ojców, pomoc dla Narodu Polskiego, a szczególnie dla żołnierzy obu wojen światowych. Warto podkreślić, że jedna z uchwał Sejmu ZPwA głosi, że: „Każda członkini ZPwA zobowiązuje się mówić z dziećmi po polsku, uważając to za obowiązek każdej dobrze myślącej Polki”.

Organizacja ZPwA składa się z 548 grup i 481 „wianków”, przy czym do grup należą dorośli, a do wianków — młodzież i dzieci. Majątek ZPwA wynosi ponad 32 miliony dolarów, a członkiń liczy sobie ZPwA ponad 92.000. Stara siedziba ZPwA w Chicago, przy 1309-15 N. Ashland Avenue, miała bogatą tradycję jako ośrodek pracy społecznej, patriotycznej i narodowej. Od lat odbywały się tam lekcje języka polskiego, lekcje pieśni i tańców, a w czasie walk o niepodległość mieścił się tam Wydział Narodowy i pierwszy punkt rekrutacyjny do Armii Błękitnej. Tam też odbywały się zjazdy i narady w sprawach Polonii i Polski, a po wyzwoleniu dom ten służył także jako siedziba pierwszego konsulatu Niepodległej Polski. W progach tego domu witano wiele wybitnych osobistości. Spośród Polaków gościli tu: I. Paderewski, gen. Haller, M. Curie-Skłodowska,

gen. W Sikorski, gen. Anders i inni.

Od lipca 1979 siedziba główna ZPwA mieści się przy 205 Northwest Highway, w Park Ridge, Illinois. ZPwA wydaje dwutygodnik „Głos Polek”. Po Adeli Łagodzińskiej, prezeską jest Helena Zielińska.

Obok tych opisanych wielkich, bratnich towarzystw ubezpieczeniowych o zasięgu ogólnokrajowym, w późniejszych czasach powstało jeszcze kilka podobnych. LIGA POLSKA W AMERYCE istniała krótko, ale niektóre przetrwały i do dzisiaj: MACIERZ POLSKA W CHICAGO, ZWIĄZEK MŁODZIEŻY POLSKIEJ, STOWARZYSZENIE SYNÓW POLSKI, ZWIĄZEK SPIEWAKÓW POLSKICH W AMERYCE, ZWIĄZEK SOKOŁÓW ITP. Niektóre z tych organizacji działały tylko w jednym, lub w kilku stanach. Do takich organizacji o ograniczonym zasięgu na terenie Brooklyna należy ZJEDNOCZENIE POLSKO NARODOWE.

ZPN powstało w roku 1903 z połączenia trzech towarzystw: Towarzystwa im. Stanisława Małachowskiego, Towarzystwa Trzeciego Maja i Towarzystwa Króla Zygmunta. Na zebraniu dnia 10 lutego 1903 r. postanowiono zjednoczyć się, wybrano zarząd z prezesem Janem Marcinkiewiczem na czele i zapisano pierwszych 227 członków.

Założycielami ZPN byli ludzie ciężko pracujący i mało wykształceni, a wśród ówczesnej inteligencji brak było nawet chętnych, by pomóc im w napisaniu statutu i zarejestrowaniu towarzystwa. Dopiero 20 kwietnia 1905 roku, w dwa lata później, uzyskano rejestrację statutu, tzw. „charter”, w Departamencie Ubezpieczeń Stanu Nowy Jork, na podstawie którego ZPN stał się towarzystwem ubezpieczeniowym, uprawnionym do działania na terenie tego stanu. W kilka lat potem ZPN uzyskał prawo rozszerzenia działalności na pobliskie stany New Jersey i Connecticut. Przed sejmem ZPN w roku 1911 pisano o tej organizacji m.in. że Polonii na wschodzie Ameryki należy wskazać na ZPN nie tylko jako najtańszą ubezpieczeniową organizację ludową, lecz jako złożoną z robotników, z ludzi ciężkiej pracy, znających dokładnie smutny los ludu polskiego i wiedzących jak oszczędzać ciężko zapracowany grosz robotnika”.

I znów, podobnie jak to widzieliśmy na przykładzie innych towarzystw ubezpieczeniowych, ZPN stawiał sobie także — od początku swego istnienia — ważne cele patriotyczne i narodowe: akcja zbiórkowa na Fundusz Obrony Narodowej, udział w odsłonięciu pomników Tadeusza Kościuszki i Kazimierza Pułaskiego, rekrutacja do Armii Błękitnej gen. Hallera, pomoc w licznych akcjach w czasie Drugiej Wojny Światowej, oraz pomoc charytatywna dla kraju.

Niestety, doszło także do współpracy niektórych członków zarządu ZPN z władzami reżymu komunistycznego.

W roku 1955 ZPN osiągnęło swój zenit — ponad 20 tysięcy ubezpie-

czonych członków. Od tej pory „linia rozwojowa załamuje się”, jak pisze sam kapelan ZPN, ks. Józef Szpilski, w artykule pt. „80 lat Zjednoczenia Polsko-Narodowego w Brooklynie” („Nowy Dziennik”, 7 czerwca 1983). Przyczyny tego upadku tkwią zarówno w zaszarganiu własnej opinii wskutek współpracy z komunistycznym reżimem, jak i w beczynności starych ludzi w zarządzie, traktujących swoją pracę jako synekurę i nie szukających nowych form adaptacji „pocziwej organizacji” do zmienionych warunków w nowoczesnym świecie.

Od roku 1905 ZPN posiadało własny tygodnik „Czas”, służący zarówno sprawom organizacji, jak i całej Polonii. Pismo cieszyło się dobrą reputacją aż do momentu, kiedy redaktorem został Jerzy Panciewicz, który natychmiast zabrał się do walki z nowojorskim dziennikiem „Nowy Świat”.

Inna „afera” Panciewicza polegała na tym, że podczas swej pracy w ZPN skrzętnie zbierał materiały przeciwko ZPN, licząc na to, że je wykorzysta w przyszłości na sejmie ZPN, albo wprost doręczy wrogom ZPN. Wpadł wskutek własnej nieostrożności. Zgubił teczkę z materiałami dyskredytującymi ZPN, a uczciwy znalazca dostarczył ją do zarządu tej organizacji. Skutek był oczywisty: Panciewicza natychmiast usunięto. Co nie znaczy, że ten przestał zajmować się Zjednoczeniem Polsko-Narodowym. Zbuntował drukarzy Spółki Wydawniczej „Czas”, aby domagali się utworzenia związku zawodowego w drukarni pisma, co pociąga za sobą znacznie zwiększone koszty wydawnicze. ZPN nie stać było na przyjęcie warunków umowy zbiorowej, drukarze nie ustępowali, i w rezultacie spółkę wydawniczą ZPN musiał rozwiązać. W roku 1975 tygodnik „Czas” w Nowym Jorku przestał istnieć. Była to dla ZPN niepowetowana strata. „Afera” Panciewicza to przykład, jaką szkodę może wyrządzić pracy społecznej jedna tylko osoba, jeśli kieruje się własnym interesem, a nie dobrem ogółu.

Przed Pierwszą Wojną Światową, a także w okresie międzywojennym, wielu Polaków emigrowało w pogoni za chlebem, w poszukiwaniu pracy, opuszczając biedne wsie polskie. Imigranci z dawnej Galicji osiedlali się w zwartych grupach, głównie w Chicago. O tej masowej emigracji, jej przyczynach i organizacji życia społecznego pisze Włodzimierz Wnuk, autor książek „Szarotki rosną w Chicago” (Wwa, 1964) i „Związek Klubów Małopolskich w Ameryce” (Wwa, 1974). W pierwszej z nich pisze o „stu klubach małopolskich”, a w drugiej mówi już o „dwustu klubach małopolskich”, zrzeszonych w ZWIĄZKU KLUBÓW MAŁOPOLSKICH. Kluby te noszą nazwy małopolskich wsi, parafii, osiedli, miast i powiatów. Wszystkim im przyświecają trzy zasadnicze cele: samopomoc, podtrzymywanie słabnących więzów z kulturą polską i polskością, oraz niesienie pomocy swym bliskim. „Od 70 lat kluby te kultywują w Ameryce

polską mowę i tradycję, polskie obyczaje, a jednocześnie wysyłają z trudem zarobione dolary do Starego Kraju, abypomóc rodzinom i także by zadośćuczynić społecznym potrzebom rodzinnych stron. Długa jest lista kościołów, domów ludowych, szpitali, ośrodków zdrowia, remiz strażackich, mostów, dróg, bibliotek, orkiestr i stypendiów, zbudowanych lub ufundowanych w całości bądź częściowo przez Kluby Małopolskie w Ameryce.” — jak pisze Włodzimierz Wnuk.

Przed Drugą Wojną Światową istniał przy tych Klubach FUNDUSZ OBRONY NARODOWEJ, a po 1939 roku — FUNDUSZ RATUNKOWY POLONII AMERYKAŃSKIEJ. Pomoc dla Kraju świadczona przez Kluby Małopolskie była znaczna: do roku 1945 wysłano 55 ton odzieży, wartości około 200 tys. dolarów, nie licząc składek pieniężnych. W latach 1946/47 wysłano około 600 ton odzieży, lekarstw, przyborów szkolnych itp. oraz 500 koni.

O KLUBACH BIAŁOSTOCCZYNY

Swego czasu w Chicago mieszkało więcej Polaków, aniżeli w Warszawie, a dzięki temu istnieje tam największa liczba polskich kościołów, polonijnych instytucji, organizacji i wszelkiego rodzaju klubów. Według niektórych ocen, we wszystkich skupiskach polonijnych w Stanach Zjednoczonych istnieje ponad 10 tysięcy różnych organizacji i towarzystw. Nie sposób wymienić je wszystkie ani też nie jest to celem tej książki. Dla zorientowania czytelnika jedynie podaję niektóre z nich, lecz nie mogę pominąć tych, z którymi zetknąłem się osobiście, lub które okazały mi pomoc w realizacji moich celów.

Do takich należą niektóre kluby w Chicago, z którymi współpracowałem w latach 1957-59. Muszę więc tu wspomnieć o wspomniałym, gościnnym programie radiowym Marishia Data, dzięki któremu miałem możliwość przemawiać do rodaków na temat nadchodzącego Tysiąclecia Chrześcijaństwa Polskiego i zrealizować w ten sposób zadania powierzone mi przez śp. Stefana Kardynała Wyszyńskiego, Prymasa Polski. Pomnikiem tej wielkiej rocznicy miało być Seminarium i Kościół Tysiąclecia. Jednak ich budowy nie zatwierdzono, choć prace przygotowawcze były rozpoczęte. Wtedy to założyłem w Chicago Towarzystwo Przyjaciół Seminarium Duchownego w Białymstoku. Do zarządu weszli: Hieronim Czarnecki, prezes; Wiktor Hermanowski, sekretarz; Helena Czarnecka, skarbnik; a dyrektorami zostali: Aleksander Tołczyk, Stefania Ulanowicz, Władysław i Anna Gołaszewscy oraz Józef i Waleria Wroczyńscy. Nadto, w zarządzie tego Towarzystwa reprezentowane były kluby, których prezesi weszli w skład rady nadzorczej jako dyrektorzy: Adam Nowakowski, prezes Klubu Łomżyńskiego; Tytus Kochanowski, prezes Klubu Białostockiego;

Ludwik Karwowski, prezes Klubu Starzyńskiego; Leon Andrak, prezes Klubu Dolistowskiego; Marian Leśnikowski, prezes Klubu Suwalskiego; Jan Krzysztop, prezes Klubu Grodzieńskiego.

Drobne ofiary nadsyłane na ten program radiowy Marishi Data oraz drobne datki uzyskane przy pomocy wymienionego tu zarządu, za radą władz kościelnych, zdeponowałem w roku 1959 na oprocentowanym koncie Ligi Katolickiej, w czym pomoc okazał mi jej prezes, Ks. Prałat Stanisław Piwowar.

Po latach władze „PRL” udzieliły zezwolenia na budowę Seminarium Duchownego. Dzięki zabezpieczeniu zebranych funduszy przeze mnie, Ks. Bp. Alfred Abramowicz, obecny prezes Ligi Katolickiej umożliwił Ks. Bp. Ordynariuszowi Archidiecezji Białostockiej Ks. Bp. Edwardowi Kisielowi podjęcie tych pieniędzy, wraz z odsetkami. Otrzymałem za to podziękowanie, którego odbitkę zamieszczam.

KURIA ARCYBISKUPIA
w Białymstoku
ul. Kościelna 1
15-087 BIAŁYSTOK
Skr. poczt. 312 Tel. 3-47-14

Białystok, dnia 10 października 1983 r.

Nr 1025/83

O ś w i a d c z e n i e

Kuria Arcybiskupia w Białymstoku niniejszym oświadcza, że Ks. LONGIN TOŁCZYK z własnej inicjatywy założył w Chicago Ill. Towarzystwo Przyjaciół Seminarium Duchownego w Białymstoku oraz w latach 1957 - 1959 zebrał poważne fundusze na budowę Seminarium, które w całości zdeponował na koncie Ligi Katolickiej w Chicago. Gdy Kuria Arcybiskupia w Białymstoku po 20-tu latach otrzymała pozwolenie na budowę Seminarium, otrzymała wszystkie fundusze z procentami. Cała więc zebrana suma wraz z procentami została odebrana z Ligi Katolickiej na budowę Seminarium Duchownego w Białymstoku.

Kuria Arcybiskupia w Białymstoku wyraża gorące podziękowanie inicjatorowi tej akcji Ks. Longinowi Tołczykowi za jego poświęcenie i pracę dla dobra Archidiecezji w Białymstoku oraz przekazuje staropolskie "Bóg zapłać" wszystkim Rodakom z Chicago Ill. za ich hojne ofiary.



+ Edward Kisiel, bp
Dr Edward Kisiel, bp /
Administrator Apostolski
Archidiecezji w Białymstoku

Ks. Dr Cezary Potocki
Kancelarz Kurii

Poza tym, dzięki tym organizacjom, ich prezesom, członkom i ludziom dobrej woli, którzy składali swoje ofiary nawet mnie osobiście, mogłem przeznaczyć zebrane fundusze na wybudowanie kilku ołtarzy w kościołach w Polsce.

Natomiast dzięki ofiarności byłych parafian: Downarskich, rodzinie Eugeniusza Opryszko, Adeli Obryzok, rodzinie Zygmunta Zyskowskiego, Czesławowi Pasiewiczowi i innym, mogłem używane organy z parafii Pięciu Braci Polaków i Męczenników w Chicago, zawieźć i zainstalować w parafii Downary. I za tę akcję otrzymałem podziękowanie z tej parafii, które także zamieszczam na następnej stronie.

KURIA ARCYBISKUPIA
w Białymstoku
ul. Kościelna 1
15-087 BIAŁYSTOK
Skł. poczt. 312 Tel. 3-47-14
Nr 281/83

Białystok, dnia 18 lutego 1973 r.

Z a ś w i a d c z e n i e

Kuria Arcybiskupia w Białymstoku niniejszym
zaświadcza, że Ks. Longin T O Ł C Z Y K, kapłan tu-
tejszej Archidiecezji, za zebrane ofiary od Rodaków
w USA zakupił organy dla parafii Downary i w 1969 r.
organy te przywiózł do Polski i przekazał dla wyżej
wymienionej parafii.



Cezary Potoczny
Ks. Dr Cezary Potoczny
Kancierz Kurii

Korzystam też i z okazji wydania tej książki, aby raz jeszcze gorąco podziękować wszystkim ofiarodawcom, składając im staropolskie „Bóg zapłać!”

W zakresie pomocy i działalności charytatywnej pamiętamy jeszcze z czasów wczesno-powojennych UNRRA, United Nations Relief and Rehabilitation Administration, która działała w latach 1943-47. Był to organ ONZ, ale oparty na kilkumiliardowej subwencji Stanów Zjednoczonych. Polska korzystała z tej pomocy w bardzo ograniczonym zakresie. Ta skromna pomoc nie zawsze docierała do tych, którzy jej rzeczywiście potrzebowali.

W roku 1919 Episkopat Amerykański założył NARODOWĄ KATOLICKĄ KONFERENCJĘ POMOCY (National Catholic Welfare Conference). W roku 1943, w ramach tej organizacji, biskupi amerykańscy powołali do życia instytucję pod nazwą SŁUŻBA POMOCY WOJENNEJ (War Relief Services), której celem było niesienie pomocy krajom zniszczonym w toku ostatniej wojny. Na czele stanął Ks. Arcybiskup Edmund Mooney z Detroit, później Kardynał Samuel Stritch z Chicago, a od roku 1947 przewodniczącym był Arcybiskup Jan McNicholas z Cincinnati, a dyrektorem wykonawczym był Ks. Prałat Patrick O'Boyle.

Organizacja ta w przeciągu kilku lat objęła pomocą i opieką 48 krajów. Z uwagi na ogromne zniszczenia w Polsce i rozproszenie Polaków w świecie, utworzono osobny Wydział Polski, na czele którego stanął ks. dr Alojzy Wyciśło, obecny biskup. Kapłan ten całą duszą oddany był sprawie polskiej. Natychmiast po objęciu tego stanowiska w Nowym Jorku, udał się do Anglii, Afryki i na Bliski Wschód, celem zorganizowania w tych krajach ośrodków pomocy Polakom. Dzięki jego wyteżonej pracy zorganizowano liczne ośrodki pomocy: 233 w Anglii, 18 w Egipcie, 31 w Palestynie, 8 w Indiach, 11 w Rodezji, 36 we Włoszech, 10 w Tanganice, 18 w Ugandzie, 3 w Meksyku i kilka w Niemczech.

Zaraz po zakończeniu działań wojennych, w roku 1945, z ramienia Służby Pomocy Wojennej do Polski udał się ks. dr Edward Swanstrom oraz ks. Alojzy Wyciśło, aby zapoznać się na miejscu z ogromem zniszczeń wojennych. Sporządzili oni odrębne sprawozdania, w których opisali straszliwe warunki, w jakich znalazła się ludność w kraju. Ludność mieszkała w Warszawie w podmokłych piwnicach, w ziemiankach, w gruzach, usiłując przywrócić życie miastu z wielkim wysiłkiem do normalnego stanu. Ich sprawozdania pobudziły duchowieństwo i wiernych do jeszcze większej ofiarności. W rezultacie pomoc tej Służby, działającej w ramach Katolickiej Konferencji Pomocy, w latach 1943-48 wyraziła się łączną kwotą ponad 145 milionów dolarów, z czego do Polski trafiło ponad 20 milionów dolarów.

W chwili najazdu Rosji i Niemiec na Polskę w roku 1939, w Stanach Zjednoczonych powołano do życia centralną organizację, łączącą prawie wszystkie wielkie i małe organizacje i towarzystwa, celem niesienia

pomocy umęczonemu narodowi, uchodźcom i żołnierzom polskim.

Do zorganizowania tej centralnej organizacji, nazwanej RADA POLONII AMERYKAŃSKIEJ, przyczynił się sędzia Franciszek Świetlik, dziekan prawa na Jezuickim Uniwersytecie w Marquette, w stanie Michigan. Rada Polonii Amerykańskiej, po angielsku zwana American Relief for Poland, jako organizacja charytatywna, uzyskała od rządu USA wszelkie przywileje. Zwolniona od podatków, miała prawo nabywania nadwyżek rolnych i innych artykułów ze składnic państwowych po niższych cenach. Koszty transportu były w wielu przypadkach pokrywane przez skarb USA. RPA miała prawo przeprowadzania zbiórek pieniędzy, odzieży i leków. Od pierwszych dni istnienia tej organizacji wysyłano pomoc Polakom przebywającym na obczyźnie, a później kierowano pomoc do kraju. Rząd amerykański wprowadził wówczas zasadę, że każda organizacja pomocy otrzyma trzykrotną wartość pomocy ze strony rządu, w stosunku do sum uzbieranych wśród emigrantów. Rada Polonii Amerykańskiej zdołała zebrać łącznie 2.250.000 dolarów i otrzymała blisko 7 milionów dolarów dodatkowo od Rządu. Grecy jednak okazali się znacznie hojniejszymi wobec swych cierpiących braci. Uzbierali oni w ciągu ledwie kilku miesięcy około 5 milionów dolarów i otrzymali na tej podstawie od rządu amerykańskiego dalsze 15 milionów dolarów.

Hojna pomoc zakończyła się jednak dość szybko, choć nadal była paląca potrzeba dalszej pomocy. Z Polonii nie dało się już więcej wydusić, więc Rada Polonii w roku 1946 rzuciła hasło rozszerzenia akcji zbiórkowej na wszystkich Amerykanów. Dzięki tej zbawiennej myśli udało się zebrać jeszcze 2 miliony dolarów w gotówce i około 10 milionów dolarów w naturze.

W apelu prezesa RPA, Franciszka Świetlika, do polonijnego duchowieństwa, pisany 8 czerwca 1963 roku czytamy m.in.: „W wyniku decyzji Dyrekcji RPA Stanisław Turkiewicz mianowany został delegatem Rady w Polsce i od kilku miesięcy przebywa w Warszawie, przygotowując plany przyszłej działalności”. Działalność ta obejmowała programy dożywiania młodzieży w szkołach, internatach, przedszkolach, domach dziecka, szpitalach, prewatoriach i sanatoriach, obejmujące 200,000 dzieci na terenie dwóch województw. Z nadwyżek rolnych USA skierowano na ten cel około 10 milionów funtów mąki, mleka w proszku, serów i tłuszczu. Nadto utworzono centrum rehabilitacyjne w Katowicach, którego trzonem była wytwórnia protez, mające obsłużyć około ćwierć miliona inwalidów. Pomoc narodowi polskiemu zorganizowana przez Radę Polonii Amerykańskiej była więc znaczna i miała charakter działalności stałej.

Drugą wielką organizacją centralną materialnej pomocy narodowi polskiemu stała się LIGA KATOLICKA, założona przez polonijną hierar-

chę kościelną w roku 1943. Przyczyniła się ona poważnie do odbudowy życia religijnego w Polsce. Na jej czele stoi Komisja Episkopatu, do której należą biskupi amerykańscy polskiego pochodzenia: ks. bp Stanisław Bona, ks. bp Roman Atkielski, ks. bp Henryk Klonowski, ks. bp Tomasz Noa, ks. bp Stefan Woźnicki. Pierwszym dyrektorem wykonawczym został ks. dr Prałat Stanisław J. Piwowar z Archidiecezji Chicagowskiej.

Zaraz po wojnie Ks. Prałat Piwowar odwiedził Polskę i naocznie przekonał się o straszliwych zniszczeniach miast, wsi i kościołów, oraz poznał nędzę polskiego ludu. Po powrocie przystąpił do energicznego działania. Co miesiąc wydawał pismo pn. „Liga” w nakładzie 50.000 egzemplarzy, w którym nawoływał do akcji ratowniczej na rzecz Polski, przedstawiał sprawozdania ze zbiórki i ożywiał pismo korespondencją, otrzymywaną z Polski od biskupów i księży.

Ks. bp M. Klepacz pisał między innymi: „Cała Polska katolicka, od chwili uwolnienia Ojczyzny naszej z tyranii hitleryzmu, doświadczyła z dużym odczuciem wdzięczności, ile Liga Katolicka zdziałała już dla sprawy pomocy biedującemu Kościołowi w Polsce, dając dowód chrześcijańskiej miłości... Kościoły pozbawione najkonieczniejszych szat liturgicznych i sprzętów, mogły dzięki szlachetnej pomocy Waszej rozpocząć wzniesłe dzieło przyciągania zmaterializowanego świata do królestwa Bożego, a kapłani... zaopatrzeni teraz w najkonieczniejsze sprzęty i odzież mogą skuteczniej dla sprawy Bożej pracować.”

Ks. bp K. Kowalski, ordynariusz chełmiński, pisał: „Doszedł znowu do moich rąk nowy transport darów Ligi Katolickiej: kapy, alby, ornaty, monstrancje, trybularze, kropidelka, żelazka do pieczenia hostii, skrzynia z przyborami liturgicznymi, a nadto odzież dla księży: trzewiki, koszule, płaszcze, skarpetki, tkaniny na sutanny, oraz z wielką radością przyjęte książki, „szkice tysiąca kazań”... Te rzeczy są dla nas prawie niedostępne, stąd Wasza pomoc tak w porę przychodzi i jest tak upragnioną, bo nieodzowną... Niech Wszchemocny błogosławi wszystkim Waszym dobrodziejom.”

Wymowny jest także list ks. bpa. Karola Pękali, sufragana tarnowskiego i dyrektora Krajowej Centrali „Caritas”: „Nie potrafię doprawdy opisać radości, jaką sprawił Ich Ekscelencjom księżom biskupom w Polsce dar Ligi Katolickiej w postaci materiału fioletowego na sutanny, jak również trudno mi należycie oddać całą wdzięczność duchowieństwa polskiego za wspianą pomoc Ligi w szatach i sprzętach liturgicznych oraz odzieży.”„Prowadząc nadal Krajową Centralę „Caritas” i uczestnicząc bezpośrednio w rozdzielaniu nadsyłanych darów, mogę z całą przyjemnością stwierdzić coraz więcej pogłębiającą się u nas wdzięczność i miłość do katolików w Ameryce..”

Jest również i list ówczesnego Kardynała Augusta Hlonda, Prymasa Polski. Pisze On m.in.: „Pragnę przesłać swoje, Episkopatu, duchowienstwa i ludu polskiego wyrazy serdecznej i głębokiej wdzięczności za bogate dary Ligi Katolickiej dla naszych kościołów i księży. ... W naszych powojennych warunkach była to cenna pomoc. Dzięki niej mogły w ogóle ruszyć nabożeństwa w wielu kościołach na Ziemiach Odzyskanych. Trudno oddać piórem radość księży i wiernych, którzy zostali obdzieleni darami Ligi... Nie zapomnimy Wam tego. ...Niech Bóg wynagrodzi obfitością swych łask w dobre i złe dni.”

Nie sposób cytować tu wszystkie listy z wyrazami wdzięczności, znajdujące się w archiwach Ligi Katolickiej. Warto jednak wspomnieć, że są wśród nich listy ks. bpa Stefana Wyszyńskiego, ordynariusza lubelskiego, późniejszego wielkiego Kardynała i Prymasa Polski, ks. bpa K. Niemiry, ks. bpa I. Świerskiego, ks. bpa K. Radońskiego, ks. bpa W. Majewskiego, ks. bpa Kaźmarka i innych.

Liga Katolicka, dzięki swej usilnej pracy, wysłała pomoc dla kraju w roku 1947 wartości ponad półtora miliona dolarów, a w rok później — wartości 2 milionów dolarów.

W 25 rocznicę istnienia Ligi, ks. bp Władysław Rubin pisał na łamach „Duszpasterza Polskiego Zagranicą”, w roku 1969: „Trudno byłoby tu podać choćby tylko ramowy szkic tej wielorakiej pomocy, jakiej Liga udzieliła naszej Ojczyźnie w ciągu tych 25 lat. ... Z pomocy Ligi Katolickiej korzystają wciąż Seminarium Duchowne w Polsce, Katolicki Uniwersytet Lubelski, Instytut i Kolegium Polskie w Rzymie, oraz Polskie Seminarium Duchowne w Paryżu. ...Katolicy polscy w Kraju i za granicą czują głęboką wdzięczność dla Ligi Katolickiej za jej dotychczasową działalność i oczekują nadal tego braterskiego wsparcia, aby mogli przeciwstawić się trwającemu ciągle naporowi przeciwnych sił i rozwijać coraz pełniej chrześcijańską działalność, jak przystoi wyznawcom Chrystusa.”

Cytowany już wcześniej wielokrotnie „Sodalis” w wydaniu z maja 1965, przytacza słowa Stefana Kardynała Wyszyńskiego, pisane z okazji Tysiąclecia Polski: „Radujemy się, Drodzy Rodacy, że Liga Katolicka wyznaczyła swoją zbiórkę na pierwszą niedzielę majową, w miesiącu Marii. Bo tej najlepszej Matce możemy dziś opowiedzieć, ile serca nam okazaliście. To Liga Katolicka umożliwiła Biskupom z Polski pobyt na Soborze. Lidze Katolickiej zawdzięczamy to, że możemy przysyłać najzdolniejszych księży z Polski i kształcić ich w Rzymie i w Paryżu do pracy, na którą wracają do Ojczyzny. To Liga Katolicka zaopatrzyła nas w księgi liturgiczne. To ona drukuje nam obecnie Biblię Tyniecką, na Tysiąclecie Chrztu Polski. Od Ligi Katolickiej oczekujemy, że pomoże nam wydać nowy mszał ołtarzowy, łacińsko-polski, zgodnie z uchwałami Soboru Watykańskiego.

Któż zdoła wyliczyć te zasługi, które Liga Katolicka kładzie, dzięki Waszej ofiarności.”

Obecnie dyrektorem Ligi Katolickiej jest ks. bp Alfred Abramowicz.

2. POLSKI INSTYTUT SZTUKI I NAUKI

Pierwszym, który pomyślał o konieczności utworzenia polskiej instytucji naukowej w Ameryce był ks. prof. dr Andrzej Krzesiński. Przybył on tutaj w październiku 1939 roku i szybko doszedł do wniosku, że walcząca Polska powinna posiadać ośrodek naukowy, by z tej bazy przedstawiać światu sprawę Polski. Pomysł był bardziej niż słuszny, gdyż Włosi, Francuzi i inne narody miały już tutaj swoje instytuty naukowe. Opracował więc zarys działalności tej projektowanej placówki, która miała zapoznać Amerykanów z Polską, z jej kulturą i wkładem w wiele dziedzin nauki, oraz ze stanem walki o wyzwolenie kraju. Tym celom miały służyć wykłady naukowe i odpowiednie wydawnictwa. Prócz tego, projektowany instytut miał stworzyć dla Polonii w Stanach Zjednoczonych ośrodek niezniszczalnych wartości polskiej kultury, stawiając je na równi z innymi narodami, a tym samym chronić polską grupę etniczną przed poniżaniem, ośmieszaniem i wpływem wrogich sił.

Zwierzył się ks. Krzesiński z tym projektem m.in. profesorowi prawa z Uniwersytetu Jagiellońskiego, Rafałowi Taubenschlagowi, który, jak wielu innych, w czasie wojny przebywał w Nowym Jorku. Po wielu naradach postanowili wysłać, każdy z nich osobno, pisma do rządu RP w Londynie. Píše o tym ks. Krzesiński w cytowanej już gdzie indziej książce pt. „W Obronie Polski”: „Oprócz tego wystosowałem pismo do ambasadora polskiego w Waszyngtonie. W obu tych pismach podniosłem potrzebę stworzenia naukowej instytucji w Stanach Zjednoczonych i proponowałem na dyrektora Oskara Haleckiego, profesora historii... Odnośne ministerstwo rządu RP osobę prof. O. Haleckiego zatwierdziło i wyznaczyło na początek kwotę 30.000 dolarów, przyrzekając wpłacać każdego roku odpowiednią kwotę.”

Dzięki temu, 12 maja 1942 roku nastąpiło otwarcie tej placówki pod nazwą Polski Instytut Sztuki i Nauk. Pierwszym prezesem został antropolog Bronisław Malinowski, który tegoż dnia zmarł. Dyrektorem wykonawczym został wspomniany już prof. Oskar Halecki. Na członków instytutu powołano polskich uczonych z różnych dziedzin nauki, których w czasie wojny była w Ameryce pokaźna ilość.

Po nagłej śmierci Bronisława Malinowskiego prezesem został historyk, Jan Kucharzewski, były prezes rady ministrów.

Skarżył się jednak już sam inicjator tego instytutu w swej książce, że „Działalność Polskiego Instytutu zaznaczyła się głównie w urządzaniu od czasu do czasu odczytów, w wydawaniu co trzy miesiące, a później znacznie rzadziej, biuletynu pt. „Bulletin of the Polish Institute of Arts and Sciences in America” i ogłaszaniu niektórych prac naukowych. Odczyty jednak miały charakter przygodny, zależnie od tego, kto i z jakim tematem się zgłosił. Nie było w nich żadnego planu... Teoretycznie istniały wprowadzić cztery sekcje: literacko-artystyczna, prawnicza, historyczna i wychowawcza, które zdaje się nie prowadziły nawet odczytów i nie dawały znaku życia o sobie.

Przygodność i bezprogramowość charakteryzowały również działalność wydawniczą Polskiego Instytutu. Na ogół poruszano najrozmaitsze tematy. Były one jednak zbyt odległe od współczesnej, polskiej naukowej i politycznej rzeczywistości... Ważniejszym jednak od tych rzeczy był fakt pomijania w wydawnictwach prac naukowych poruszających problemy współczesnej Polski... pod względem politycznym. Zdecydowane stanowisko w obronie Polski i jej granic, zarówno na wschodzie jak i na zachodzie, obszerne naukowo opracowane memoriały skierowane do czynników rządowych, instytucji naukowych, poważnych dzienników i czasopism, miałyby wielkie znaczenie. Na ten temat również wypadło mi przemawiać, lecz pod tym względem zawód mój był zupełny. Instytut, z winy dyrektora, nie tylko nic w tej sprawie nie uczynił, lecz nadto, jak już wspominałem, nie dopuścił nawet do tak drobnej rzeczy, jak urządzenie odczytów, czy ogłaszanie prac, w obronie Polski i jej odzyskanych ziem na zachodzie. Szkoda, bardzo wielka szkoda! Piszę o tych rzeczach z wielką przykrością, kierując się obowiązkiem mówienia prawdy tam, gdzie zachodzi potrzeba...”

Od początku swego istnienia Instytut mógł rozwinąć szybko swoją pożyteczną działalność. Dzięki ofiarności H.L. Satterlee uzyskał bezpłatne i bardzo dogodne pomieszczenie w jego domu na Manhattanie, gdzie już się mieścił Fundusz Paderewskiego.

Po wojnie, w lipcu 1945 roku, rząd USA cofnął uznanie rządowi RP w Londynie, wskutek czego w historii PIN zaczął się nowy etap. Przestał on

być instytucją władz rządowych RP, a stał się jedną z wielu instytucji polonijnych, częścią składową Polonii Amerykańskiej. Instytut liczy sobie ponad tysiąc członków. Od roku 1956 wydaje kwartalnik w języku angielskim pt. „Polish Review” dawniej pod redakcją prof. Ludwika Krzyżanowskiego, a obecnie — prof. Stanisława Barańczaka. Utworzona została biblioteka i poważne zbiory archiwalne. Organizowane są odczyty, wystawy, sesje i zjazdy naukowe. Pierwszy taki zjazd odbył się co prawda w 25-lecie istnienia PIN (w roku 1966), ale wzięło w nim udział około 300 naukowców. Uczestnicy zgłosili 200 referatów w najrozmaitszych dziedzinach: literatura, ekonomia, historia, filozofia, nauki polityczne, chemia, fizyka, prawo, medycyna, socjologia, geografia, biologia, psychologia, sztuki piękne i inżynieria.

Następne zjazdy PIN odbyły się w latach 1971, 1975, 1980, 1981, 1982, 1983 i ostatnio w 1987 w różnych miastach Stanów Zjednoczonych i Kanady. Prasa sporo pisała o tej znacznej aktywności Instytutu.

Nie wszystko jednak przedstawiało się w PIN tak różowo. Rozgłos nadawany mu przez „Nowy Dziennik” miał wiele wspólnego z faktem, że członkami Polskiego Instytutu Naukowego zostali nie tylko naukowcy, lecz również red. B. Wierzbiański oraz ówczesny właściciel biura podróży „Fregata” p. B. Łaszewski. Nie szczędzili oni miejsca w swej gazecie na liczne zdjęcia, artykuły i wywiady z prof. Feliksem Grossem, socjalistą, który stał się filarem działalności Instytutu.

Sytuację opisywano jako wspaniałą. Zwerbowano w szeregi PIN tak wybitne jednostki, jak np. Zbigniewa Brzezińskiego, ówczesnego doradcę d/s bezpieczeństwa państwa w rządzie prezydenta Cartera, dra Johna Gronouskiego, poczmistrza naczelnego USA, oraz byłego ambasadora USA w Warszawie. W kwietniu 1971 „Nowy Dziennik” pisał m.in.: „Grupa polsko-amerykańska, złożona z dawnej — zarobkowej, powojennej i najnowszej emigracji, zaczyna w życiu amerykańskim ustawiać się w układzie pionowym, to znaczy, że miejsce swoje widzi na wszystkich jego poziomach i we wszystkich dziedzinach: gospodarczej, politycznej i intelektualnej. Zjazd unaocznia zarazem, jak grupa polsko-amerykańska sama wspina się na wyższy poziom i na lepsze pozycje.”

Od wystawienia tej pocieszającej prognozy i od sypania licznymi innymi obietnicami upłynęło już kilkanaście lat. Każdy zgodzi się chyba ze mną, że nic z tych rzeczy nie spełniło się. Dola Polonii Amerykańskiej prawie we wszystkich dziedzinach jest gorsza, nawet w porównaniu z narodami o niższej kulturze.

Wpływ Polskiego Instytutu na opinię publiczną w Ameryce okazał się minimalny, praktycznie bez żadnego znaczenia. Z biegiem czasu okazało się, że obiecywana przez „Nowy Dziennik” pomoc przyniosła skutki wręcz

odwrotne. Samo istnienie Instytutu okazało się być zagrożonym.

„The Polish Review” w numerze 1 z 1974 roku informował swych członków (na str 129), że: „Należy zwrócić uwagę na godną pochwałę działalność Komitetu Finansowego, zorganizowanego z inicjatywy Bolesława Wierzbiańskiego, wydawcy „Nowego Dziennika” i naszego nowego członka, Bolesława Łaszewskiego. Stwierdzono, że Instytut powinien być główną siłą Polonii i mógłby znacznie podnieść wagę polsko-amerykańskiego środowiska. Rozważane są obecnie różne projekty, które będą pomocne w urzeczywistnieniu tych zadań. Ale dla ich realizacji potrzebne są pieniądze. Komisja Finansowa proponuje zebranie w ciągu pięciu lat sumy miliona dolarów, korzystając z usług wyspecjalizowanych firm, zajmujących się zbiórką funduszy na tego rodzaju cele. Powołano komitet, w skład którego weszli: dr Edward Luka, p. Zbigniew Konikowski i p. Bolesław Wierzbiański. Komitet ten zajmuje się wybraniem odpowiedniej firmy, której powierzy się sprawę zbiórki”.

Był to jeszcze jeden, generalny „niewypał” w historii Instytutu. Na jego horyzoncie rozjaśniło się w latach, kiedy dyrektorem był prof. dr Eugeniusz Kleban, były prezes Centrum Polsko-Słowiańskiego. Dyr. Klebanowi udało się uzyskać dotacje z Fundacji Rockefellera, na przeprowadzenie badań na temat Polonii. Nawiązał on współpracę z Kongresem Polonii Amerykańskiej oraz ośrodkami katolickimi. Spotkał się i rozmawiał o sprawach Instytutu z Kardynałem Królem w Filadelfii. Utworzył zespół do spraw studiów polsko-amerykańskich w Chicago, pod kierownictwem dr Heleny Znanięckiej-Łopato. Rezultatem była jej praca naukowa, na którą powołują się naukowcy piszący o sprawach Polaków w Ameryce.

Po czym zagadnienia Polonii znów przestały być przedmiotem zainteresowania Instytutu. Odtąd „The Polish Review” para się problemami ubiegłych wieków, zaspokajając potrzeby małej garstki naukowców. Instytut oderwał się od Polonii i życia codziennego, przestał zajmować się aktualnymi sprawami historycznymi i politycznymi. Na odczytach pojawia się już tylko mała elitarna grupka, złośliwie przez niektórych nazywana „wysoko urodzonych”. Członkowie Instytutu piszą naukowe rozprawy na temat życia i działalności np. byłego redaktora „Nowego Świata”, ale nie o problematyce Polonii. Planu studiów i publikacji nie ma. Nawet honorowy prezes Jan Gronouski krytykował bezplanowość i bezcelowość pracy Instytutu. Oto fragment jego uwag na ten temat, wygłoszonych na zebraniu dyrektorów PIN 7 września 1974:

„Prezes Gronouski podkreślił ważność utrzymywania bliskiego kontaktu z członkami Instytutu i skłonienie ich do zainteresowania się projektami Instytutu. Nie ma sensu zbierania pieniędzy na utrzymanie Instytutu — powiedział Gronouski — jeżeli Instytut nie posiada określonego prog-

ramu pracy i żadnej działalności, w której uczestniczyłaby jakaś większa ilość członków”.

Instytut rzeczywiście, zamiast kontynuować pracę rozpoczętą badaniami naukowymi dr Heleny Łopata, zaniechał tę dziedzinę, która mogła mieć istotne znaczenie dla polepszenia doli Polonii.

Nawet po upływie 5 lat od powołania do życia tego osławionego „Komitetu Finansowego”, który nie zdziałał dla Instytutu dosłownie niczego, „Nowy Dziennik” miał jeszcze dość tupetu, by pisząc o zebraniu zarządu Instytutu kontynuować samochwalstwo: „Instytut operuje skromnym budżetem, zbyt małym wobec potrzeb. Dlatego odwołuje się do ofiarności polsko-amerykańskiej społeczności i organizuje imprezy kulturalne oraz Kiermasz Książki Polskiej, który przechodzi już do tradycji polskiej w Nowym Jorku. Na zimę i wiosnę przygotowuje się kampanię finansową (drive). Nad jej przygotowaniem pracuje komisja, której przewodniczącym jest Bolesław Łaszewski.”

Upływa dalsze pięć lat. „Nowy Dziennik” publikuje wywiad z prof. F. Grossem. Czytamy w nim m.in.: „cierpimy na wielki niedobór funduszy. Pracujemy na minimalnym budżecie, zawsze w atmosferze kryzysu finansowego. Zastanawia mnie nieraz, dlaczego tak liczna i zamożna grupa polsko-amerykańska nie udziela dostatecznego poparcia instytucjom, które ją reprezentują na zewnątrz w zakresie nauki, badań, piśmiennictwa, dziennikarstwa i sztuki... Nie umiem znaleźć odpowiedzi na pytanie, dlaczego tak bogata dziedzina naszej działalności jest niedostrzegana.”

Red. Wierzbiański, jak echo, powtarza słowa prof. Grossa: „To samo pytanie gnębi nas wszystkich. Warto by tej sprawie poświęcić więcej uwagi. A może sam Polski Instytut Naukowy zająłby się przestudiowaniem tej sprawy? Ciekawy problem i fenomen społeczny...”

A ponoć ten problem miał rozwiązać red. Wierzbiański, jako wielki inicjator Komitetu Finansowego? Najwidoczniej, po upływie kilku lat sam zapomniał o swych projektach i obietnicach wyciągnięcia PIN z finansowego upadku...

Zdziwienie prof. Grossa odnośnie braku poparcia ze strony zamożnych wynika chyba z tego, że nie zastanawiał się on nad tym, komu właściwie Instytut służy. Ludzie na ogół chętnie udzielają wsparcia takim organizacjom, które w sposób widoczny przysparzają konkretnych wartości, lub przynajmniej stwarzają nadzieję, że ich działalność przyniesie pożytek dla Polski, dla narodu, dla jego życia duchowego lub materialnego.

Polski Instytut Naukowy legitymował się efektami tak mizernymi, tak mało widocznymi, że nie był w stanie stworzyć tej nadziei, nie był w stanie zwrócić na siebie uwagi szerszych warstw emigracyjnych społeczeństwa. PIN służył elitarniej grupce, a ta elitarna grupka wsparcia finansowego

udzielić mu nie chciała. Gdyby PIN służył w sposób efektywny całemu społeczeństwu, to z pewnością spotkał by się z poparciem całego społeczeństwa.

Institutowi nie można zarzucić braku koncepcji. Cierpiał on jednak stale na nieudolność kierownictwa. Jedno z nielicznych osiągnięć Instytutu, to skatalogowanie archiwum. Sięgnijmy tu po fragment artykułu Marka Krzyżanowskiego (Nowy Dziennik, 25.4.81): „W podziemiach nowojorskiego Polskiego Instytutu Naukowego rzucają się w oczy przede wszystkim papierzyska. Są ich wszędzie sterty; spoczywają w kufrach i pudłach. Piętrzą się na stołach i na podłodze. Na zgromadzonych tu kartach dokumentów, w wielu wypadkach pożółkłych, zawarto kawał historii (od XIV stulecia do czasów współczesnych) tej najstarszej i najnowszej, związanej z Europą i Ameryką, a raczej polską Europą i polską Ameryką...”. „Skatalogowanie dokumentów nie mogło rozpocząć się bez funduszy, których żadna polska instytucja na obczyźnie nie ma w nadmiarze. Polski Instytut Naukowy uzyskał możliwość rozpoczęcia prac nad uporządkowaniem dokumentów dzięki stypendium Fundacji Rockefellera...” „W miarę postępu prac zabrakło jednak funduszy na opłacenie badaczy, którzy katalogowali dokumenty i nagrania dźwiękowe. PIN zwrócił się więc o stypendium do National Endowment for the Humanities. Niestety, ta czołowa agencja w zakresie patronatu nad naukami humanistycznymi zażądała, by archiwum dźwiękowe potraktować jako uzupełnienie archiwum dokumentów. PIN nie przystał na to, lecz bronił swojej koncepcji, w związku z czym stypendium musiano odpisać na straty.”

Sprawa wydania katalogu materiałów archiwalnych była niewątpliwie sprawą o zasadniczym znaczeniu. Nie można korzystać z bogatych materiałów, jeśli nie są one uporządkowane i jeśli nie można ich znaleźć. Dziwić się raczej należy, że trzeba było aż dziesiątków lat, by wreszcie, za amerykańskie pieniądze, jakoś doprowadzić tę sprawę do końca.

Nieudolność kierownictwa Instytutu w kierowaniu własną odpowiedzialnością, choć podważała prestiż i znaczenie PIN w oczach rodaków i nie-rodaków, okazała się drobnostką w porównaniu z całkowitym brakiem zmysłu ekonomicznego, praktycznego, tam, gdzie chodziło o kwestię najistotniejszą, bo o samą egzystencję Instytutu.

„Nowy Dziennik”, który ustami swych wydawców obsypywał nas tak pięknymi obietnicami na temat wyciągnięcia PIN z upadku finansowego, tym razem odegrał inną rolę. Przedstawił bardzo obiektywnie, w kilku artykułach, historię tego upadku.

Nic tak nie zagraża życiu jakiegokolwiek placówki, mającej służyć społeczeństwu, jak brak własnego lokalu, brak miejsca, gdzie by ta działalność koncentrowała się. Pozbawienie lokalu, to właściwie stan agonalny.

I nic nie pomoże zwalanie winy na tych, którzy nie dali pieniędzy na utrzymanie Polskiego Instytutu Naukowego. Winę ponosi wyłącznie kierownictwo PIN, a także ci, którzy pochopnie udzielali obietnic, z których nigdy nie mieli zamiaru wywiązać się. Spełniliby te obietnice, gdyby chcieli. Co do tego nie należy mieć żadnych wątpliwości.

Przypomnijmy więc fragmenty tych artykułów z „Nowego Dziennika”, tak szczegółowo opisujących agonię Polskiego Instytutu Naukowego w nowym Jorku.

LOS POLSKIEGO INSTYTUTU NAUKOWEGO W NASZYCH RĘKACH

Minął już cały kwartał od chwili, gdy Polski Instytut Naukowy w Ameryce opuścił swoją dawną siedzibę przy 66 Ulicy. Od trzech miesięcy dyżurujący przy telefonie pracownicy odpowiadają prawie niezmiennie: niestety, nie możemy przesłać potrzebnych panu/pani książek, nie jesteśmy w stanie sprawdzić tej informacji, nie będzie pan mógł z biblioteki, wykorzystać czasopism, zapoznać się z archiwum. Jesteśmy odcięci od naszego księgozbioru, materiałów informacyjnych, kolekcji, archiwów, nawet „Polish Review” i innych wydawnictw własnych, nawet ewidencji członków...

Doktorantka z Uniwersytetu Columbia jest w rozpacz. Zamknięcie biblioteki poważnie opóźnia napisanie pracy. Stypendystka z jednej ze śląskich uczelni liczyła na archiwa polskiego ruchu socjalistycznego na emigracji. Jej stypendium kończy się w lipcu. Czy do tego czasu archiwa zostaną otwarte? Muzycy przygotowujący kwietniowe przedstawienie *Strasznego dworu* Stanisława Moniuszki potrzebują nut i ilustracji. Muszą się dowiedzieć, jak wyglądały stroje polskiej szlachty. Biblioteka Instytutu z bólem serca kieruje ich do innych źródeł. Jej piękne albumy tkwią gdzieś głęboko w czeluściach magazynów firmy „Sophia Brothers”.

Zaalarmowani sytuacją członkowie Instytutu przysyłają listy z wyrazami zdumienia, współczucia, oburzenia, gniewu; zasypują Instytut radami, które — choć nie zawsze realne, świadczą o przywiązaniu do organizacji i szczerzej trosce o jej losy. Niektórym wydaje się, że milion dolarów, który Fundacja Jurzykowskiego przeznaczyła na nowy dom, to suma wystarczająca nie tylko na zakupienie siedziby ale i na rozwiązanie wielu innych problemów. Inni — świadomi cen nieruchomości — proponują wyniesienie się z Manhattanu lub w ogóle z Nowego Jorku; jeszcze inni — umieszczenie miliona w banku na cele zabezpieczenia materialnej przyszłości Instytutu. Rady te pochodzą od ludzi, którzy nie wiedzą, że

Fundacja Jurzykowskiego przyrzekła dać ów milion wyłącznie na zakupienie nowej siedziby, że działalność Instytutu w poważnej mierze uwarunkowana jest jego lokalizacją. Przecież jedyna polska biblioteka musi znajdować się w centralnym punkcie miasta, a nie np. na Long Island. Przecież na wieczorne odczyty nikt nie wybierze się do Queensu. A co powiedzieć o naukowcach z Polski, którzy przyjeżdżając do Ameryki tradycyjnie zwykli szukać oparcia w PINie przy 66 Ulicy.

Z tych i wielu innych powodów zarząd Instytutu próbuje wszelkimi siłami znaleźć sposób umożliwiający pozostanie na Manhattanie. Okazuje się jednak, że byłoby to stosunkowo proste, gdyby zamiast miliona Instytut dysponował kwotą milion czterysta lub nawet milion trzysta tysięcy. Suma taka nie jest jednak osiągalna dla organizacji, która dotąd nigdy nie dysponowała żadnym majątkiem i przywykła działać w ramach bardzo skromnego budżetu, opartego na członkowskich składkach i sporadycznych stypendiach, przeznaczonych zawsze na konkretne programy. Praktycznie myślący członkowie, nadsyłając doroczne składki, dołączyli do nich dodatkowe datki. Tak właśnie zareagowało na obecny kryzys 73 spośród 1200 członków Polskiego Instytutu Naukowego. Ofiary wahają się od wysokości 25 dolarów do kilku tysięcy. Razem złożyły się one na sumę 5.605 dolarów dobrowolnie nadesłanych w przeciągu dwu miesięcy. Nie miejsce tu na wymienianie nazwisk wszystkich ofiarodawców, ale trzeba podkreślić, że Instytut jest głęboko wdzięczny członkom i sympatykom za tak wyrażone poparcie i liczy na pomoc ze strony wielu innych. Ale przecież, realnie myśląc, nawet gdyby wszyscy członkowie podwoili swoje składki, to otrzymana suma (około 30 tysięcy dolarów) nie rozwiązałaby problemu.

Dlatego Polski Instytut Naukowy podejmuje wyzwanie rzucone niezależnie przez kilku członków i rozpoczyna poważną akcję gromadzenia kapitałów, które umożliwią mu podjęcie na nowo działalności w odpowiedniej siedzibie i prowadzenie jej z większym rozmachem i na większą niż dotychczas skalę. Instytut musi w krótkim czasie powiększyć fundusze na kupno nowej siedziby, jej urządzenie i prowadzenie regularnej działalności naukowej, oświatowej i kulturalnej.

Początek akcji, zwanej po angielsku *fund drive*, wyznaczono na 15 kwietnia. Na uroczystym koktajlu z inauguracyjnym przemówieniem wystąpi wiceprezes Instytutu prof. Zbigniew Brzeziński. Bilet wstępu kosztować będzie 100 dolarów od osoby, co powinny zapewnić znaczny dochód, rzędu kilkunastu tysięcy dolarów. Wszystko zależy jednak od popularności imprezy, na którą Polski Instytut Naukowy zaprasza wszystkich przyjaciół.

EKSMISJA

Polski Instytut Naukowy utracił swą siedzibę na Manhattanie. Pracownicy Instytutu przez wiele dni pakowali pudła i nalepiali na nie pomarańczowe, czerwone i zielone plakietki. Nalepiali także czerwone papierki z napisem *Don't Move* (nie ruszaj). Były to sygnały dla pracowników firmy przewozowej. Jeden kolor oznaczał — magazyn stały. Drugi kolor — magazyn czasowy. Trzeci kolor — przytulisko w Fundacji Kościuszkowskiej. *Don't Move* oznaczało — to krzesło, albo ta teka papierów będą potrzebne do ostatniej chwili i zabierzemy je sami.

Magazyny, którym powierzono mienie Instytutu — piętnastowieczne dokumenty Warneńczyka i dwudziestowieczną konspiracyjną korespondencję polskich socjalistów, przemówienia radiowe prezydenta Starzyńskiego i zapisane na taśmie wykłady Lechonia, dzieła Matejki, Boznańskiej, Gierzyńskiego, Wyspiańskiego, Makowskiego — są podobno solidne i z jednego z nich korzysta nawet Metropolitan Museum. Lecz nawet najlepiej przewietrzony magazyn izoluje depozyty od osób, które by chciały zrobić z nich użytek, a więc od studentów, uczonych, pisarzy, lub po prostu — czytelników, widzów, słuchaczy. Magazyn to bank, który niestety nie daje procentów.

W kameralnym wnętrzu, wśród książek, sztychów i obrazów, spotkali się Amerykanie polskiego pochodzenia i Polacy, nieraz świeżo przybyli z kraju. Łączyło ich zainteresowanie kulturą i nauką polską, a często wybitny dorobek naukowy lub kulturalny. W siedzibie, którą stracił PIN, gościli: kardynał Karol Wojtyła, laureaci Nagrody Nobla — członkowie Instytutu — Andrew Shally, Isaac Bashevis Singer, Czesław Miłosz. Bywali tu stale i pracowali w bibliotece: Wittlin, Wierzyński, Janta. Przemawiali John Kennedy i Robert Kennedy. Tutaj odbył się kongres uczonych polskiego pochodzenia w Ameryce, w którym uczestniczyło 600 osób. Tutaj organizowano doroczne zjazdy, połączone z sesjami naukowymi, niezliczone odczyty, wykłady, spotkania, wieczory autorskie i artystyczne, kiermasze. Wszystko to tworzyło nastrój tego domu, który dla wielu Amerykanów polskiego pochodzenia i wielu Polaków z kraju był czymś znacznie więcej niż instytucją. Było to po prostu miejsce, które nawet nowo przybyli zaznaczali kółkiem na mapie Manhattanu, jako przyjazne i własne.

Jan Paweł II w 1982 roku przekazał Instytutowi pozdrowienia z okazji dorocznego zjazdu, który odbył się w 40 rocznicę działalności PIN. W

piśmie z Watykanu czytamy słowa uznania pod adresem ludzi, którzy „swoją inteligencją, powagą i pracowitością sprawiali, że Instytut uzyskał stałe prawo obywatelstwa w nauce i kulturze Stanów Zjednoczonych i całego świata, zdobył zasłużony szacunek i wielu przyjaciół”. Czytamy także: „Zwykle przy takich zjazdach obejmuje się spojrzeniem przeszłość i z troską myśli o przyszłości, o nowych zadaniach. O lepszej jeszcze i pełniejszej odpowiedzi na potrzeby, które niosą ze sobą współczesne i przyszłe pokolenia”.

Tę troskę w liście z Watykanu można uznać za proroczą. Cios bowiem, który spotkał Instytut, stawia pod znakiem zapytania jego przyszłą działalność.

Jak to się stało, że Polski Instytut Naukowy utracił swoją siedzibę, cały majątek musiał powierzyć magazynom, a działalność prowadzi kątem w gmachu gościnnej Fundacji Kościuszkowskiej?

Zwolennicy decyzji o sprzedaży domu twierdzą, że Instytut był anachroniczny i że jeśli koszty utrzymania PIN podzielić przez liczbę jego interesantów, interesanci byli piekielnie kosztowni.

SIEDZIBA PIN SPRZEDANA

NOWY JORK (*Inf. własna*) — Dom pod numerem 59 przy 66 Ulicy (east) w Manhattanie, w którym mieści się siedziba Polskiego Instytutu Naukowego w Ameryce, został sprzedany przez właściciela, tj. Fundację im. Alfreda Jurzykowskiego. Dom został przed laty zakupiony na siedzibę Instytutu przez założyciela Fundacji Alfreda Jurzykowskiego; tytuł własności pozostał jednak w rękach Fundacji. W budynku obok biur i archiwów Instytutu, mieści się również Biblioteka im. Alfreda Jurzykowskiego oraz siedziba Komisji Doradczej Nagród im. Alfreda Jurzykowskiego. Fundacja zgłosiła postulat, aby Instytut opuścił budynek do końca roku.

Decyzja Fundacji Alfreda Jurzykowskiego stawia Polski Instytut Naukowy, najpoważniejszą polską instytucję naukową w Stanach Zjednoczonych, w niezmiernie trudnej sytuacji.

* * *

Z radością dowiaduję się, że ostatnio PIN nabył nową siedzibę. Może teraz PIN będzie miał więcej osiągnięć, czego szczerze życzę.

3. KONGRES POLONII AMERYKAŃSKIEJ

Na kartach naszej historii Polonia Amerykańska zapisała się chwalebnie podczas pierwszej wojny światowej, niosąc narodowi i krajowi pomoc wojskową, materialną, polityczną i moralną.

Druga wojna światowa, rozpoczęta nagłym zdobyciem polskiego terytorium przez sprzymierzonych, odwiecznych naszych wrogów, Niemcy i Rosję, a także szybką ucieczką władz państwowych z kraju za granicę, zdezorientowały Polonię i oszołomiły polonijnych działaczy. Tym bardziej, że rząd RP usadowił się na dobre w Londynie, a placówki dyplomatyczne RP nadal działały na terenie Stanów Zjednoczonych, z których jednak nie popłynęły wezwania do Polonii by pośpieszyła na ratunek Ojczyźnie. Stara, patriotyczna Polonia była przekonana, że dopilnowanie spraw Polski należy od placówek dyplomatycznych i to uspiło jej czujność. Ratunku poczęto szukać dopiero wtedy, kiedy stwierdzili, że zawiedli się, że nie powinni byli liczyć na działanie urzędników.

W skupiskach polonijnych zawrzało. Postanowiono natychmiast zorganizować się. Nie była to jednak sprawa łatwa, gdyż rząd prezydenta Roosevelta najwidoczniej już planował „ostateczne rozwiązanie” kwestii polskiej, poprzez ofiarowanie naszego kraju w ręce sowieckiego okupanta. Rząd Roosevelta był zdecydowanie przeciwny akcjom patriotycznym amerykańskiej Polonii.

Polonia amerykańska zwołała w roku 1944 zjazd organizacyjny do Buffalo, w stanie Nowy Jork. Rząd Roosevelta przeszkadzał temu zjazdowi we wszelki możliwy sposób. Między innymi odmówiono wynajęcia specjalnych pociągów, które miały przywieźć do Buffalo delegatów z większych skupisk Polonii, z Chicago, Detroit, Cleveland, czy Nowego Jorku. Mimo tych trudności, na zjazd przybyło około 15 tysięcy delegatów, reprezentujących 809 parafii, 1063 różne organizacje, 35 przedsiębiorstw przemysłowych, 43 instytucje naukowe i kulturalne oraz 194 działaczy politycznych i społecznych. Cel zjazdu: wyłonienie silnej reprezentacji politycznej dla ratowania Polski.

Na zjeździe tym powstał Kongres Polonii Amerykańskiej. Fakt ten powitano radośnie. Powstała nadzieja, że Polska, w tak krytycznym momencie swych dziejów, będzie miała tu w Stanach Zjednoczonych rze-

cznika swych słusznych, acz brutalnie złamanych praw. Naród Polski, a szczególnie polscy żołnierze walczący na alianckich frontach „za naszą i waszą wolność”, dzięki swemu bohaterstwu, cieszyli się wielkim uznaniem w Ameryce.

Prezydent Roosevelt, wraz ze swoimi pro-sowieckimi doradcami, postawił siebie w roli „siostrzeńca”, wynosząc zbrodniarza Stalina do rangi „wujka”. „Uncle Joe” — „wujek Józio” — to było hasło dnia za czasów czterech kadencji tego władcy USA. Tenże Roosevelt, aby uspić czujność Polaków i omamić ich, nazywał Polskę „natchnieniem narodów”, choć jej losy przesądził już w Jaltcie.

Polonii jednak przyświecało hasło ratowania Polski. Niestety nie było jednak to, że brak było męża stanu i polityka na miarę zadań stojących przed Polakami. Zabrakło człowieka na miarę Paderewskiego. Okazało się, że powodzenie i osiągnięcie celu, nawet przy pełnej demokracji, zależy głównie od zdolności jednostek, stojących na czele danej akcji. Od pierwszego dnia zjazdu organizacyjnego zarysowała się sytuacja przypominająca przysłowiowy „z wielkiej chmury — mały deszcz”. Nadzieje na powodzenie akcji Kongresu Polonii Amerykańskiej zostały zawiedzione już w dniu jego narodzin.

Pisze o tym ks. prof. dr Krzesiński w cytowanej już kilkakrotnie książce w sposób następujący: „...przystąpiono do obrad bez obmyślenia z góry planu. Nikt o tym nie pomyślał. Dopiero w toku obrad wyznaczono kilka osób, które miały zająć się tą sprawą. Niebawem wróciły one na salę z przygotowanym naprędce programem obrad, a kiedy go odczytano okazało się, że zawiera on w sobie tyle rozbieżnych i nie mających ze sobą związku projektów, a nie zwrócono uwagi na to, co dla przyszłej działalności Kongresu miało być rzeczą najważniejszą. Mimo to program ten z olbrzymimi poprawkami zatwierdzono, wraz z mnóstwem komitetów, wśród których Komitet Informacyjny powinien był stać się głównym ośrodkiem wysiłków i prac Kongresu. Chaotyczność ta i bezprogramowość najlepiej uwydatniały się w przemówieniu Karola Rozmarka, przewodniczącego zebrania...

Karol Rozmarek był wtedy prezesem największej polonijnej organizacji, Związku Narodowego Polskiego, więc miał tę największą bazę działania; dlatego też nie trudno mu było uzyskać największą ilość głosów i zostać prezesem Kongresu Polonii Amerykańskiej.

W czasie zjazdu można było zaobserwować dziwne zjawisko. Zjechali się z różnych części Stanów Zjednoczonych przedstawiciele Polonii w tym celu, aby Polsce pomóc. Świadczyło to o wielkim do niej przywiązaniu i o miłości, jeśli nie wszystkich, to w każdym razie ich większości. Czym jednak wytłumaczyć fakt, że równocześnie względem tych Polaków, któ-

rzy przybyli do Stanów Zjednoczonych z Polski w czasie wojny, Rozmarek, jako przewodniczący Zjazdu, nie tylko zachował zupełną obojętność, ale wprost niechętnie do nich się ustosunkował. Przecież stanowili oni część Narodu Polskiego. Wielu z nich w czasie wojny przeszło przez gehenną cierpienie... Jeszcze przed Zjazdem wysunął Rozmarek zasadę, że Polacy, którzy nie są obywatelami Stanów Zjednoczonych, nie mogą być członkami Kongresu i nie mają prawa głosu.

Okazuje się z tego, że Rozmarkowi nie chodziło o Polskę. Nie chciał mieć w Kongresie Polaków świeżo z Polski przybyłych, gdyż miał swoje własne cele, które przy pomocy Kongresu starał się osiągnąć. Polacy z Polski mogli mu być w tym przeszkodą, gdyż przypominaliby mu o potrzebach swego narodu, gdy on myślał tylko o sobie. Prócz tego gotowi by oni wglądać bliżej w jego działalność i poddawać ją krytyce, przed którą się on za wszelką cenę pragnął zabezpieczyć...

Nieszczerość ta jeszcze jaskrawiej zaznaczyła się w fakcie pominięcia sposobności zapewnienia Polsce tej wyjątkowej pomocy, jaką otrzymać ona mogła w obrębie samej Polonii amerykańskiej. Chodzi tu o polsko-amerykańskich członków Izby Reprezentantów Kongresu Amerykańskiego, których w tym czasie było dziesięciu. Wciągnięcie tych osób do prac Kongresu Polonii Amerykańskiej miałyby donieść znaczenie, za ich bowiem pośrednictwem można by zainteresować sprawą polską całą Izbę Reprezentantów i Senat, a pośrednio oddziaływać na rząd amerykański. Dlaczego te osoby pominięto? Dlaczego nie zapewniono sobie ich współpracy?...

Dla każdego zrozumiałą jest rzeczą, że Polonia Amerykańska, nawet przy najlepszych chęciach, sama z siebie nie może Polsce pod względem politycznym pomóc. Pomóc może Polsce tylko społeczeństwo amerykańskie przez wywarcie nacisku na swych przedstawicieli parlamentarnych i na swój rząd w Waszyngtonie. O tym nie wolno zapominać. Przy organizowaniu tedy Kongresu należało nawiązać łączność z tym społeczeństwem amerykańskim, wśród którego się żyje. Należało zaprosić przedstawicieli prasy amerykańskiej i odbyć z nimi dobrze z góry opracowaną konferencję. Wtedy, w ciągu kilku dni, cała Ameryka zainteresowałaby się działalnością Kongresu i, co jest rzeczą najważniejszą, sprawą polską.

Źródłem zła i szkód dla sprawy polskiej stała się zasada klucza związkowego (Związku Narodowego Polskiego), jaką zastosowano przy tworzeniu zarządu. W myśl tej zasady prezesi i prezeski stowarzyszeń i związków dostali się do zarządu Kongresu i różnych komitetów. Zasadę kwalifikacji odrzucono. Miało to bardzo ujemne i daleko idące następstwa i nie tylko paraliżowało akcję Kongresu, ale nadto sprowadzało ją na bez-

droża...

Rozmarek, jako prezes Związku Narodowego Polskiego, doszedł w swych obliczeniach do przekonania, że powinien on być prezesem również Kongresu... Był on jednak najmniej odpowiednim do sprawowania tego urzędu. Brak mu było wszystkich kwalifikacji, które powinien posiadać prezes Kongresu. Brak taktu i umiejętności postępowania z ludźmi sprawił, że zraził sobie dosłownie wszystkich mężów stanu, od których decyzji zależeć może los Polski. Drzwi Białego Domu i Departamentu Stanu stały dla niego zamknięte. Ani prezydent Truman, aż do czasu kampanii wyborczej w roku 1948, ani sekretarz stanu Byrnes, w czasie swego urzędowania w Waszyngtonie (jako obywatela USA przyjął w Paryżu, ale obrzucił go obelżywymi słowami, gdy Rozmarek zbliżył się by zrobić z nim zdjęcie), ani jego następcą Marshall, ani następcą Marshalla — Acheson, nie przyjął go u siebie. Te same wady sprawiły, że w czasie jego pobytu w Paryżu również drzwi przed nim były zamknięte i to nie tylko do premiera rządu francuskiego i ministerstwa spraw zagranicznych, ale także do wszystkich innych wyższych urzędników. Zamknięte przed nim były również drzwi do Bevina, brytyjskiego sekretarza spraw zagranicznych, który w tym czasie bawił na konferencji w Paryżu... Ks. Marcin Lipiński był niewątpliwie dobrym kapłanem, ale nie nadawał się na kierownika Komitetu Wydawniczo-Informacyjnego... Zamiast zabrać się do informowania członków rządu, przedstawicieli Kongresu amerykańskiego i wszystkich wybitnych osób w Ameryce o sprawie polskiej i wielkiej krzywdzie wyrządzonej narodowi polskiemu, oraz o potrzebie jej naprawienia, przez wysyłanie odpowiednich, poważnych i źródłowych książek angielskich i dłuższych, należycie opracowanych pism, cały czas zajmował się skupywaniem bezwartościowych dla sprawy polskiej książek i broszur w języku polskim... Tym mniej pod tym względem usprawiedliwić można ks. Lipińskiego, że różne poważne osoby zwracały mu wielokrotnie uwagę na niewłaściwość takiego postępowania i marnowanie pieniędzy, których wedle woli ofiarodawców należało celowo na ratowanie Polski używać. Między innymi uczynił to na swój sposób jego własny biskup z Trenton, bardzo Polakom życzliwy, William A. Griffin. Po przeczytaniu w pismach amerykańskich bardzo pochlebnych recenzji o mojej książce „Poland's Rights to Justice”, zakupił on w księgarni większą ilość jej egzemplarzy i jeden z nich ofiarował ks. Lipińskiemu, dając do zrozumienia, że tylko tego rodzaju książki mogą prawdziwie sprawie polskiej oddać usługę...

Wprawdzie ks. Lipiński przy zakupywaniu polskich książek i broszur bezwartościowych dla sprawy polskiej, z całkowitym pominięciem książek angielskich, ...kierował się życzeniem i poleceniami prezesa Kongresu,

Rozmarka, ale to nie uwalnia go od winy niedbalstwa na urzędzie kierownika Komitetu Wydawniczo-Informacyjnego...

Oto jacy ludzie dostali się na naczelne urzędy w Kongresie Polonii Amerykańskiej! Czy możliwą było rzeczą, by przy takiej obsadzie najważniejszych urzędów mógł Kongres coś dobrego dla sprawy polskiej zrobić?... Całą działalność swoją zamknął Kongres w granicach Polonii, która przybrała charakter ghetta. Na zewnątrz działalność ta była dość ożywiona. Bardzo często w pismach polskich ukazywały się artykuły i komunikaty o Kongresie i sprawie polskiej. Do przygotowania tych artykułów i komunikatów stworzono w Waszyngtonie osobne biuro, nad którym kierownictwo objął Karol Burke. Miał on zadanie ciężkie do spełnienia. Z polecenia Rozmarka musiał on różne poczynania Kongresu i drobne fakty tak przedstawiać, aby człowiek nabrał przekonania, iż dla Polski bardzo wiele się czyni. W wielu wypadkach należało uciekać się do bujnej wyobraźni i jej urojenia przedstawiać jako fakty rzeczywiste... W roku 1947 otwarto w Nowym Jorku nowe biuro, którego zadaniem było wyszukiwanie po pismach ogłoszonych komunikatów i artykułów Kongresu, gromadzenie ich i przekazywanie Rozmarkowi. Te same artykuły i komunikaty wysyłano później do wielu osób z Polonii jako głosy prasy o Kongresie i jego prezesie... Artykuły te i komunikaty ogłaszały głównie pisma bezkrytyczne i ciągnące zyski z Kongresu. Niektóre jednak z tych artykułów były do tego stopnia nieodpowiednie, że nawet te pisma odmawiały ogłoszenia ich na swoich szpaltach. Między innymi pismami znalazł się również „Dziennik Związkowy”, urzędowy organ Związku Narodowego Polskiego, którego Rozmarek był prezesem. Kiedy jednak Rozmarek chcąc skłonić do uległości redakcję wstrzymał wypłacenie poborów to do tego stopnia podziałało na naczelnego redaktora, że odtąd nie tylko ogłaszał wszystkie nadesłane artykuły, ale nadto na jego życzenie umieszczał bez wahania w swym piśmie najbardziej oszczercze artykuły i paszkwile na osoby, które dla dobra ogólnego poddawały krytyce jego działalność, szkodliwą dla prasy polskiej...”

„Weźmy dla przykładu „Nowy Świat”. Pismo to stale zwalczało jednych i wychwalało drugich, zależnie od tego, po której stronie były zyski. Piłsudskiego i rząd sanacyjny wystawiało, bo to zapewniało wielkie dochody. Rząd polski na wygnaniu, premiera Sikorskiego i ministrów, a później premiera Mikołajczyka zwalczało z całą namiętnością, głównie dlatego, że rząd ten odmawiał mu dochodów, jakich się natarczywie domagano. Radę Polonii bojkotuje, krytykuje od czasu do czasu jej prezesa Franciszka Świetlika i najczęściej nie umieszcza jego komunikatów, choć przecież chodzi o ratowanie od przymierania głodem dzieci polskich i całego narodu. Dlaczego? Dlatego, że Świetlik postępując uczciwie nie

chce trwonić funduszy publicznych i komunikaty poleca wysyłać bez czeków.

Natomiast Rozmarka pismo to stale uwielbia i zapełnia swe szpalty jego najbardziej nieraz naiwnymi i niedorzecznymi komunikatami. Pilnie strzeże ono jego osoby. Na każdego, kto ośmieli się wypowiedzieć przeciwko niemu słowa uzasadnionej krytyki, z całą brutalnością napada i posługuje się nieetycznymi środkami. Pieniąc się ze złości wołają jego redaktorzy, znani marksiści i faszyci: „Paszkwil, paszkwil!.. Nie wiercie!... To komunista!”

Kiedy ktoś na jakimś zebraniu Kongresu zacznie wypowiadać krytyczne uwagi o Rozmarku i uzasadniać swą krytykę powszechnie znanymi faktami, natychmiast z całą gwałtownością przeciwko niemu występują płatni bojownicy, którzy obrzucają go obelgami i nie pozwalają mu mówić... Oto jeden z przykładów, jak odbywają się takie zebrania. Dnia 25 kwietnia 1948 roku odbyło się w Nowym Jorku zebranie delegatów Kongresu z południowej części stanu Nowy Jork. Zebranie otworzył Franciszek J. Wazeter, prezes Kongresu tego okręgu. Przewodniczył zaś Jan Pol, członek komisji rewizyjnej. Wobec tego, iż poprzednio wielu spośród delegatów zapewniało mnie, że obecnie po moim wystąpieniu przeciwko Rozmarkowi powszechnie wśród członków i delegatów Kongresu znaną jest rzeczą, iż nieodpowiednim jest on na stanowisko prezesa, i ze względu na szkody, jakie wyrządził sprawie polskiej, konieczną jest na tym stanowisku zmiana. Sądziłem, że po rozpowszechnieniu się prawdy o Kongresie i roli Rozmarka z większym pożytkiem będzie można zwrócić obecnym na tym zebraniu uwagę na najważniejsze zadanie, jakie w sprawie polskiej należy spełnić i na potrzebę reorganizacji Kongresu. Zabrałem tedy głos i mówiłem, że obecnie kiedy Ameryka i Anglia zabiegają o pozyskanie Niemiec w zbliżającym się konflikcie z Rosją, najbardziej żywotną dla Polski sprawą jest obrona ziem odzyskanych nad Odrą i Nysą, gdyż właśnie kosztem tych ziem państwa te usiłują zapewnić sobie pomoc ze strony swego wroga z okresu drugiej wojny światowej. Wspomniałem iż dowodem doceniania z mej strony ważności tej sprawy jest ogłoszenie mej pracy w obronie tych prapolskich ziem, pt. „Poland, Germany — A Lasting Peace”. Dodałem przy tym, iż jeżeli nie dopomożemy Polsce do zatrzymania tych ziem przez szybkie poinformowanie rządów wspomnianych państw, ich ciał prawodawczych i wybitnych osobistości o bezsprzecznych jej do nich prawach, i nie wywrzemy silnego wpływu na te rządy celem przekonania ich, że odebranie ziem zachodnich Polsce równoznaczne byłoby z wyrządzeniem jej strasznej krzywdy... W drugiej części swego przemówienia starałem się przekonać obecnych o potrzebie reorganizacji Kongresu i wybrania na najbliższym walnym zjeździe kogoś

odpowiedniejszego od Rozmarka.

Zaledwie kilka zdań wypowiedziałem o potrzebie wybrania kogoś innego na miejsce Rozmarka, gdy Kazimierz Dąbski, zarządzający redaktor „Nowego Świata”, który do tej chwili siedział spokojnie wraz z dwoma redaktorami tego pisma, zerwał się nagle i w wielkim podnieceniu zawołał: — „Nie pozwalać dalej mówić księdzu doktorowi... Nie dopuszczać!... To komunista!”...

Moja odpowiedź jest krótka: „Zwykle oszczerstwo najmiły!...”, Od czasu do czasu urządzano zebrania, o których szeroko rozpisywały się pisma polskie, wzywając do wzięcia w nich licznego udziału. „Spełnijcie swój obowiązek!” — Nakłaniały one swych czytelników i przedstawiały sprawę tych zebrań w ten sposób, jak gdyby stanowić one miały najważniejszą i najistotniejszą część działalności Kongresu. Na zebraniach tych wygłaszano mowy, protestowano, odgrażano się i zapewniano obecnych, iż nie pozwolą krzywdzić Polski. Nieraz zapraszano jakiegoś Amerykanina do wygłoszenia mowy. Wtedy z dumą i pewnością siebie podnosili przedstawiciele zarządu Kongresu: „Oto sami jesteście świadkami, jak wspaniale pracujemy! Potrzeba nam tylko więcej poparcia z waszej strony i więcej pieniędzy!”

Sprawę pieniędzy załatwiano w ten sposób, iż bez większych zabiegów miały one stale napływać. Najpierw na każdym zebraniu urządzano zbiórki. O ile na takim zebraniu było wiele osób, zbiórka pieniędzy dawała bardzo dobre wyniki. Kiedy z racji udziału jakiejś wybitnej osoby, na przykład wodza powstania warszawskiego, gen. Bora-Komorowskiego, wzięły udział w zebraniu tłumy, wtedy pieniądze sypały się jak z rogu obfitości. Następnie każdy członek Kongresu stosownie do powziętej uchwały, płacił po 10 dolarów rocznie, każda zaś instytucja i grupa organizacyjna uiszczala opłaty roczne najmniej po 25 dolarów. Niektórzy w imieniu własnym lub instytucji, których byli przedstawicielami składali po 100, po 1000 dolarów i więcej. W końcu, w roku 1946 i 1947, urządzono zbiórkę milionowego funduszu. Wtedy zawieszono prawie w zupełności wszystkie inne czynności i skupiono całą uwagę celem zebrania jak najwięcej pieniędzy.

Dodać trzeba, że Kongres zatrudniał „zawodowych” zbieraczy pieniędzy, płacąc 25 dolarów dziennie, co w owych czasach było znaczną sumą. „Pieniądze uzbierane wysyłano do Chicago na ręce Karola Rozmarka, prezesa Kongresu. Miało ich być według niego 770.000 dolarów. Do tego należy doliczyć znaczne kwoty z opłat członkowskich i różnych ofiar, oraz dochody z urządzanych wieców. Kongres tedy uzyskał od Polonii na potrzeby swej akcji przeszło milion dolarów. Kwota ta powiększała się stale, gdyż opłaty członkowskie i ofiary w dalszym ciągu

napływały. Funduszami tymi do woli rozporządza sam prezes. Na walnym zebraniu Kongresu wyznacza on kilku swoich urzędników tej komisji zabiera głos i oświadcza, że komisja zbadła wszystkie rachunki i znalazła je w najlepszym porządku. Tak było np. na zebraniu walnym Kongresu w Waszyngtonie w lutym 1947. ...Tak wyglądała kontrola milionowego funduszu. Jak szafował tym funduszem Karol Rozmarek mamy dowód w fakcie ujawnionym przez wiceprezesa zarządu głównego Ignacego Nurkiewicza. Wymieniając podaną przez Rozmarka kwotę 770.000 dolarów zaznaczył on, że z tego funduszu po kilku miesiącach pozostało zaledwie 315.000 dolarów... Na co poszło prawie pół miliona dolarów? Czy na cele ratowania Polski pod względem politycznym!? Nie, bynajmniej! Pieniądzy tych użyto głównie na utwierdzenie stanowiska Rozmarka w Kongresie, na zjednywanie sobie poparcia prasy i na inne cele znane tylko tym, którzy tymi pieniędzmi rozporządzali.

... sprawa sprowadzenia z Kanady generała Sosnkowskiego na wiec urządzany przez Kongres w Stanach Zjednoczonych. Proszono go kilkakrotnie o tak drobną rzecz, jak wygłoszenie przemówienia. Dodać do tego trzeba, iż gen. Sosnkowski był bardzo umiarkowanym pilsudczykiem, człowiekiem uczciwym i dobrym patriotą. A jednak, mimo to, władze amerykańskie odmawiały udzielenia zezwolenia na jego przyjazd, dlatego jedynie, że zajmował się sprawą Kongres, i że przemawiać miał na wiecu..."

Tyle o sprawach Kongresu Polonii Amerykańskiej naoczny świadek okresu jego powstania, ks. dr prof. Krzesiński.

4. POLSKI KOMITET IMIGRACYJNY I SPÓŁKA ZAWODOWYCH „LIDERÓW”

Rozwijająca się gospodarka Stanów Zjednoczonych potrzebowała rąk do pracy i dlatego już w roku 1864 rząd wydał specjalne zarządzenie ułatwiające przyjazd robotników. Powstały specjalne firmy werbunkowe, które dorabiały się poważnie na tej akcji. Kryzys gospodarczy pierwszej połowy naszego wieku ograniczył napływ imigrantów. Przepisy imigracyjne znacznie obostrzono, upośledzając głównie narody słowiańskie. W okresie międzywojennym z Polski przybyło do USA zaledwie 6524 osoby. Tylko najbliżsi krewni mogli zapraszać i musieli pokryć koszty przyjazdu oraz zapewnić opiekę nad przyjeżdżającymi. W tej sytuacji nie było żadnej potrzeby tworzenia jakiejś organizacji, która by zajmowała się tymi sprawami.

Zmiany nastąpiły po Drugiej Wojnie Światowej. Rozegrała się nowa tragedia dla polskiego narodu wskutek postanowień jaftańskich. Nową Polskę utworzono na wzór i podobieństwo Rosji, przez co nie stała się ona ojczyzną, o jakiej marzyli prawie wszyscy Polacy. Setki tysięcy tych, których zakończenie wojny zastało w Niemczech i w innych krajach Europy, Azji, czy Afryki, a także większość żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych walczących na Zachodzie, nie godziły się z narzuconym systemem rządów w Polsce i na znak protestu odmówiły powrotu do kraju.

Powstała konieczność przyścia im z pomocą. Większość z nich ubiegała się o prawo osiedlenia w Stanach Zjednoczonych. I znów ta, tak zwana, „stara Polonia” pośpieszyła z pomocą. W roku 1947 powstaje w Nowym Jorku Polski Komitet Imigracyjny, zorganizowany przez ks. prałata Feliksa Buranta, byłego kapelana wojskowego i proboszcza parafii św. Stanisława w Nowym Jorku. Komitet ten oparł się początkowo na funduszach parafii, co wkrótce okazało się zupełnie niewystarczające.

Kongres Polonii Amerykańskiej na zjeździe w Waszyngtonie uchwalił już w pierwszym roku istnienia tego Komitetu pomoc w sumie 17.000 dolarów, obiecując wpłacać 500 dolarów miesięcznie. Po wpłaceniu łącznie 2.500 dolarów, KPA wstrzymał dalszą pomoc, stwarzając Komitetowi Imigracyjnemu poważne kłopoty. Z pomocą przyszła wówczas Rada Polonii Amerykańskiej, biorąc Komitet pod swoją opiekę. Od tego momentu nazywał się on Komitetem Imigracyjnym Rady Polonii.

Dopóki kierownictwo Komitetu spoczywało w rękach ks. Feliksa Buranta i jego pomocnika, ks. Ludwika Makulca, wszystko szło sprawnie, choć potrzeby często przerastały możliwości udzielania pomocy. Później, kiedy tą czcigodną instytucją zaczęli administrować przedstawiciele powojennej emigracji, Komitet Imigracyjny stracił swoją dobrą opinię i zaczęły się narzekania. Na dowód, że nie podnoszę niesprawiedliwie jakies gołosłowne zarzuty, przytaczam tu fragment książki ks. dra prof. Andrzeja Krześcińskiego pt. „W Obronie Polski”:

„Przypatrując się bliżej działalności tego komitetu musimy z przykrością wyznać, iż nie spełnia on należycie swego zadania. Zamiast zająć się polskimi wysiedleńcami i imigrantami uprawia on samochwalczą reklamę w „Nowym Świecie”, trwoni wielkie sumy pieniędzy na opłacanie pustych komunikatów, umieszczanie własnych fotografii i śmiesznie przesadnych artykułów.

Prócz tego komitet ten naraża imigrantów na poniewierkę i różnego rodzaju nadużycia przez powierzanie ich opiece niesumiennego przedsiębiorcy. W wielu wypadkach nadużycia są tak wielkie, iż szkodzą na dobrym imieniu Polonii amerykańskiej.

Nic dziwnego iż narzekania lub wprost złożyczenia wśród imigrantów są dość powszechne”.

W zarządzie Komitetu Imigracyjnego, oprócz tych o których pisze Krześciński, znalazło się kilka osób z wydawnictwa „Nowego Świata” i tych także, moim zdaniem, należy obarczyć winą za złą pracę tej, tak ważnej dla emigrantów, instytucji.

Cały rozdział możnaby napisać o niedomaganiach Komitetu Imigracyjnego, szczególnie w okresie rządów Hieronima Wyszyńskiego, obecnego współwydawcy „Nowego Dziennika”. Nie sposób opisać doznawanych krzywd przez nowoprzybyłych, którzy wówczas polegali na pomocy tego Komitetu. Wydajnej pracy być nie mogło, gdyż zaledwie 3 osoby pracowały w Nowym Jorku, oraz kilku przedstawicieli w Europie i dwie, czy trzy osoby na terenie Chicago, Hartford w Connecticut oraz w Houston w stanie Teksas, które pomagały w znalezieniu pracy i mieszkania. A tymczasem w Nowym Jorku zarząd wydawał masę pieniędzy na brudne hotele, choć na Greenpoincie były wówczas bardzo tanie domy, które można było za te pieniądze nabyć i zorganizować własne schroniska dla imigrantów.

Dyrektorzy Komitetu doprowadzili jego gospodarkę do takiego stanu, że zmuszeni byli do korzystania z pomocy Centrum Polsko-Słowiańskiego. Komitet wydawał nawet kartki nowoprzybyłym, na podstawie których stołówka CPS wydawała im bezpłatne posiłki.

Wydawało mi się, że wszyscy rozumieją problem uchodźców. Wszyscy mówili pięknie i pisali ładnie na ten temat. W praktyce jednak te piękne słowa nie wydały spodziewanych owoców, a uchodźców przybywało coraz więcej. Mówił kiedyś prezes KPA Alojzy Mazewski: „Po-zory przekonują dziś wielu ludzi, że tragedia narodu polskiego, wynikająca z drugiej wojny światowej, należy do przeszłości, że czasy wielkiej potrzeby skończyły się. Mylą się oni i to mylą się tragicznie. Kryzys uchodźcy ani nie ustał, ani nie zmalał dziś, i nie zanosi się na to, aby zmalał w przyszłości...”

Obecny Kardynał Władysław Rubin, były duszpasterz emigracji, w roku 1977, na 30-lecie Komitetu Imigracyjnego, powiedział m.in.: „Zadania Polskiego Komitetu Imigracyjnego są ciągle aktualne. Choć upłynęło 30 lat od jego założenia, to jednak fale emigracyjne naszych rodaków napływają wciąż w mniejszych lub większych rozmiarach, tak iż obecnie, w okresie kryzysu ekonomicznego, trudności emigracji wzrosły niewspółmiernie”.

O konieczności działania na rzecz tego Komitetu mówili także delegaci z 11 krajów zachodnich w listopadzie 1975 roku na konferencji zwanej „Polonia 75” w Waszyngtonie. W deklaracji tego zjazdu pisano: „Emigracja z Polski stanowi przedmiot naszych ciągłych zainteresowań i trosk. W tym względzie dążyć będziemy do poszerzenia działalności Polskiego Komitetu Imigracyjnego”. Puste słowa, bez pokrycia w czynach.

Trzy lata później nowy zjazd. „Polonia 78 — Polonia Jutra” zebrała się w maju 1978 w Toronto i wezwała wszystkie organizacje do współpracy, gdyż należy „pomóc uchodźcom spod doktryny komunistycznej, poprzez współdziałanie z Komitetem Imigracyjnym.”

Rezultat? Jak zwykle, jedno wielkie nic. Czcza gadanina. Ale powód to wystarczający, by obwieścić światu, że oto pojawili się nowi „liderzy”, przywódcy „Polonii Jutra”, zapraszający się nawzajem na zjazdy, konferencje i bankiety.

Podczas gdy ci „liderzy” doprowadzali jedną po drugiej organizację do martwoty, powstało Centrum Polsko-Słowiańskie, uzyskując programy finansowane przez władze miejskie, stanowe i federalne, uruchamiając stołówkę, kasę kredytową, stając się jedyną nowoczesną i potężną organizacją polonijną naszych czasów. To Centrum, to jest jeden z moich „grzechów”. Karząc mnie za jego popełnienie, owi „liderzy” przystąpili do bojkotu.

To Centrum także mogło stać się podporą dla Komitetu Imigracyjnego. W ostatnich latach przyjechało z kraju bardzo dużo ludzi wykształconych, działaczy „Solidarności”, prawdziwych patriotów, którzy rzeczywiście stanowić będą tą „Polonię Jutra”. Przyszłość Polonii jest w ich rękach.

Niestety, zawodowi i nałogowi „liderzy” nie mają nawet zamiaru dopuszczać nowych ludzi do zarządów organizacji. W obawie o swoje stanowiska i rzekomy autorytet — hamują każdą nową inicjatywę. A jeśli ktoś odważy się podjąć realizację jakiegoś projektu sam, i jeśli — co gorsze — uda mu się coś konkretnego zorganizować, to trzeba mu tę inicjatywę odebrać, albo całe osiągnięcie zniszczyć, przywracając wszystko na powrót do stanu martwoty i letargu.

I znów, aby nie być gołosłownym, muszę tu zrobić małą dygresję. To odbieranie inicjatywy, zabieranie cudzych osiągnięć, usuwanie ludzi nowych i „stawianie na czele”, nie jest dziełem przypadku, lecz planowego działania, od lat przeprowadzanego przez ten sam zespół. Wrócić nam trzeba do wspomnianego okresu rządów Hieronima Wyszyńskiego w Komitecie Imigracyjnym, który zbiegł się w czasie z bankructwem nowojorskiej gazety „Nowy Świat”. Celem jej uratowania zawiązała się spółka: Mathew Brożyna, dr Edward W. Luka, Bolesław Łaszewski, ks. Edward Majewski, ks. prałat Franciszek Pałęcki, Marian Świącicki, Bolesław Wierzbiański i ojciec Michał Zembrzuski.

Spółka ta założyła wydawnictwo i rozpoczęła publikację gazety pn. „Nowy Dziennik”.

Księża w tej spółce stanowią oczywistą dymną zasłonę, za wyjątkiem chyba O.M. Zembrzuskiego, który nie należy do kategorii ludzi nieświadomych tego, co czynią.

Ktokolwiek z czytelników zadałby sobie trud sprawdzenia składu zarządów różnych organizacji przekonałby się, że pewne nazwiska powtarzają się z żelazną prawidłowością. I czy tego chcę, czy nie chcę, w każdym prawie podrozdziale, pisząc o tej czy innej instytucji, czy organizacji, przyjdzie mi znów o tych samych osobach wspominać...

Co więcej, pisząc o tych instytucjach nie da się uniknąć czy to krytyki pod ich adresem, czy też smutnych stwierdzeń, że i tą, i inną, i jeszcze jedną spotka ten sam smutny los: martwość, letarg, lub zgoła bankructwo.

Pojawianie się tych samych osób, jak złe fatum, zapowiada zagładę... Tak się stało ze SWAPem, z Komitetem Imigracyjnym, z Polskim Instytutem Naukowym...

Teoretycznie, to nic złego, jeżeli ktoś jest członkiem zarządu w kilku organizacjach, czy instytucjach. Ameryka jest wolnym krajem, obowiązują demokratyczne zasady, jeśli kogoś wybierają na jakieś stanowisko, to ma on i prawo i obowiązek spełniać powierzone funkcje.

Z tymi wyborami w Metropolii Nowojorskiej bywa jednak różnie. Jeśli para „liderów” z jakiejś kliki raz już się do zarządu wciśnie, to potrafi przeprowadzić odpowiednie „uchwały”, zamykające drogę do władz wszystkim „niepowołanym” osobom. Stwarza się „komisję matkę”, od-

bywa „tajne zebranie” przed zebraniem wyborczym, ustala „nowy” zarząd, a wyborców stawia przed faktem dokonanym. Wszelkie dopisane kandydatury nie mają żadnych szans. Podbój organizacji przez klikę staje się faktem dokonanym.

W dobie tzw. masowych środków przekazu nie można nie doceniać wartości posiadania do dyspozycji własnego organu prasowego. Jeśli jakaś gazeta panuje na miejscowym rynku, to społeczeństwo dowiaduje się tylko o tym, o czym monopolistyczna grupa raczy je poinformować. Zgodnie z tą zasadą, czytelnik „Nowego Dziennika” w Nowym Jorku może dowiedzieć się o życiu i działalności tylko tych organizacji, które należą do „sfery zainteresowań” wydawców tej gazety. Nie dowie się on jednak i nie przeczyta nawet o istnieniu takiej organizacji, która przez ten fachowy zespół „liderów” nie została jeszcze opanowana. Dawniej odbywało się w ciągu roku kilka imprez, mających na celu zebranie funduszy dla Polskiego Komitetu Imigracyjnego. Ostatnimi laty jest ich coraz mniej. Pojawiły się za to imprezy „Nowego Dziennika”: z okazji rocznicy pisma, lub z jakiegokolwiek innej okazji, byle zbierać grosze od „przyjaciół Nowego Dziennika”. Wydawcy zapominają jednak, że zbiórki datków na cele przedsiębiorstwa, będącego prywatną firmą są poważnym nadużyciem.

Specjalnością tych panów jest oczywiście autoreklama, pianie peanów na własną cześć, urabianie opinii, że to tylko oni są prawdziwymi rzecznikami interesów całej Polonii.

Niewielka, lokalna organizacja w Perth Amboy, w stanie New Jersey, na przykład, o szumnej nazwie „Zjednoczenie Polaków w Ameryce”, w której ten zespół zawodowych liderów jest od dawna dobrze usadowiony, ogłosił red. Bolesława Wierzbiańskiego w roku 1981 „Człowiekiem Roku”. Dało to okazję, by „Przegląd Polski” — tygodniowy dodatek do „Nowego Dziennika” — zamieścił obszerną relację, zawierającą coś w rodzaju „wzajemnego kultu jednostek”, wychwalającą zarówno uhonorowanego tym tytułem, jak i tych, którzy go uhonorowali. Zjawia się więc na bankiecie (7 czerwca 1981) członek tejże spółki, Paulin, Ojciec Michał Zembrzusi, by wygłosić pean ku czci innego członka spółki. Czytamy więc m.in., że „Następnie zebrani odśpiewali hymny narodowe, amerykański i polski, po czym O. Zembrzusi wygłosił krótką inwokację, podkreślając znaczenie faktu wyróżnienia Bolesława Wierzbiańskiego w dniu Zielonych Świątek — w dniu symbolizującym triumf ducha nad materią, oraz jego rolę jako bojownika o trwałe wartości w dziedzinie ducha, myśli i intelektu.” ...Słuchacze myśleli, że Duch Święty ma wpływ tylko na wybór Ojca Świętego...

Drugim mówcą był, a jakże, następny członek spółki, były dyrektor Komitetu Imigracyjnego, pracownik tegoż „Nowego Dziennika”, Hieronim

Wyszyński, który „w oparciu o codzienne kontakty scharakteryzował sylwetkę Bolesława Wierzbiańskiego, jako szefa redakcji „Nowego Dziennika”, miesięcznika polonijnego w języku angielskim „New Horizon” oraz wydawanego od niedawna tygodnika „Przegląd Polski”, podkreślając, że prezes Wierzbiański z niezwykłą łatwością łączy pracę publicysty, organizatora i zwierzchnika stale rozrastającego się zespołu, bowiem jest tytanem pracy, nie znającym co to sobota, niedziela, czy święto.”

Rok 1981 obfitował w rozdawaniu honorów. Oto Polsko-Amerykańskie Stowarzyszenie Lekarskie nadaje złoty medal Tysiąclecia Polski Chrześcijańskiej O.M. Zembrzuskemu za to, że „jest założycielem i dyrektorem federalnego, charytatywnego programu opieki nad chorymi w domach w Greenpoint.” Rozpisały się o tym gazety, ale nikt jakoś nie wspomniał, że Tow. „Medicus” obdarzyło zaszczytem ówczesnego dyrektora, ale nie założyciela tego programu. Utworzenie tego programu było także jednym z moich „grzechów”, za który zostałem ukarany umiejętnym wpakowaniem na stanowisko dyrektora O. Zembrzuskiego, „spalonego” w Amerykańskiej Częstochowie.

Zamiast więc zbiorów na cele naprawę charytatywną, jak na przykład na rzecz Komitetu Imigracyjnego, urzędują co roku „Dzień Nowego Dziennika” na Polance w Sommerville, NJ. Imprezę uatrakcyjnia się meczem piłki nożnej i mszą połową, odprawianą przez ks. Emila Altmajera. Wydawcy, Bolesław Łaszewski i Bolesław Wierzbiański, apelują o dalsze poparcie dla jedynej codziennej gazety publikowanej w języku polskim. Zbiórkę datków ułatwia loteria fantowa z licznymi nagrodami, w postaci nawet wyrobów złotniczych, ale i nie tylko... Z pomocą pośpieszył Orbis, państwowe biuro podróży z „RPL”, ofiarowując trzytygodniowy pobyt dla dwóch osób w warszawskim hotelu dla cudzoziemców „Victoria” oraz udział w 10-cio dniowej wycieczce po kraju, bilety lotnicze itp. Te fanty ofiarowane przez Orbis pasują oczywiście do „Nowego Dziennika”... Dla Komitetu Imigracyjnego nie byłyby odpowiednie... Trudno rzeczywiście pogodzić patriotyczne frazesy „Nowego Dziennika” z licznymi reklamami reżymowych przedsięwzięć, łącznie z ogłoszeniami wychwalającymi polską wódkę... Ale to już jest inne zagadnienie, o którym też przyjdzie mi wspomnieć w innym rozdziale.

Okazało się także, że „Nowy Dziennik” jest ulubieńcem wszystkich. Nawet Kongresu Polonii Amerykańskiej. Czytamy więc w tej gazecie 16 marca 1984, że KPA Oddział Południowej części stanu Nowy Jork uhonorował redakcję nowym zaszczytnym tytułem. Znowu bankiet, tym razem w Domu Żołnierza, czy raczej Weterana, na którym p. Preisler powiedział m.in. „Jest dla mnie wielkim zaszczytem, że w imieniu organizacji, którą reprezentuję — Kongresu Polonii Amerykańskiej — mogę przekazać

„Nowemu Dziennikowi” Odznaczenie Praw Ludzkich za wielką i pożyteczną pracę tej gazety dla dobra Polski — szczególnie dzisiaj, kiedy naród polski walczy o swoje słuszne prawa ludzkie, jak również i dla dobra naszej grupy etnicznej. Niech Polonia popiera polskie pisma i niech w każdym polskim domu znajdzie się egzemplarz „Nowego Dziennika”. Nie mogło być inaczej. Wkrótce bowiem miały odbyć się wybory, a do „komisji matki” wszedł adjutant generalny SWAP, Zbigniew Konikowski, którego nazwisko przez szereg lat figurowało w stopce „Nowego Dziennika”. Nastąpiło jawne powiązanie interesów całego szeregu nowojorskich organizacji: Kongresu Polonii Amerykańskiej, Polskiego Instytutu Naukowego, Stowarzyszenia Weteranów Armii Polskiej, Stowarzyszenia Polskich Kombatantów, Centrum Polsko-Słowiańskiego, Kasy Kredytowej przy tym Centrum, Bratniej Pomocy... trudno wyliczyć je tu wszystkie. A we wszystkich, z żelazną konsekwencją, figurują te same nazwiska, z Bolesławem Wierzbiańskim i Bolesławem Łaszewskim na czele...

Przez długie lata nie mogłem zrozumieć, dlaczego ciągi dostają ci, co usiłują cokolwiek krytykować w tych organizacjach i instytucjach, i dlaczego ciągle nietykalni pozostają ci, którzy są w ten czy inny sposób związani z zespołem zawodowych „liderów” z „Nowego Dziennika”. Tych zjawisk z pewnością nadal nie rozumie spora część naszego emigracyjnego społeczeństwa.

Przypomina mi się pewna historia, która może oświetlić nieco te ciemne sprawy „politycznej” działalności zawodowych „liderów”.

Stary społecznik, dobry patriota, Jan Mierzwa, pracownik Centrum Polsko-Słowiańskiego, był tym zdarzeniem wstrząśnięty.

Byłem wówczas jeszcze dyrektorem tego Centrum, kiedy Bolesław Łaszewski zwrócił się do nas z prośbą, aby dostarczyć tradycyjne polskie potrawy do jego biura podróży „Fregata”, gdyż urządza małe przyjęcie z okazji zbliżających się świąt Bożego Narodzenia. Nie odmówiłem. Wspomniany tu Jan Mierzwa, wraz z dyrektorem dożywiania Eugeniuszem Witem, udali się więc furgonetką, aby zamówione potrawy dostarczyć. Jan Mierzwa wrócił wstrząśnięty do głębi. Drżał i miał łzy w oczach.

„Co się stało, panie Mierzwa?” — zapytałem.

„Proszę księdza, to ja tyle lat straciłem na walkę, tyle lat brałem udział w zebraniach, w różnych akcjach niepodległościowych, a teraz dowożę żarcie dla „patriotów”, którzy stukają się kieliszkami z tymi panami z konsulatu „PRL”? — i opowiedział mi scenę, której był świadkiem.

Tak to, niestety, wygląda w naszych czasach.

Krytykują niektórzy „starą Polonię”, że to niby ani czytać, ani pisać nie potrafi, a jednak to ona zbudowała nam w Ameryce i kościoły, i Domy Narodowe, i Domy Żołnierza. To oni utworzyli masę organizacji, by

pomagać narodowi w kraju.

Powojenna emigracja zrobiła sporo, by ten dorobek zaprzepaścić. Wśród „starej Polonii” było wielu prawdziwych działaczy, społeczników, ludzi z charakterami, ludzi prostolinijnych, dla których pojęcie wiary katolickiej zrosło się z poczuciem polskości w jedną, nierozzerwalną całość.

Nową emigrację opanowały zespoły zawodowych „liderów”, często kolaborujących z komunistycznym reżymem. Aby utrzymać się „na czele” gotowi są niszczyć każdego i nikomu nie pozwolą na zrobienie czegoś pożytecznego dla Polonii, jeśli nie należy on do „ich zespołu”. A jeśli już coś powstanie bez ich udziału, to będą uparcie milczeli o „cudzych” osiągnięciach, będą ignorować istnienie jakiegokolwiek pisma, poza własnym „Nowym Dziennikiem”.

5. PARADA PUŁASKIEGO — POLONIJNE FORUM OD ŚWIĘTA

Zgodnie z wieloletnią tradycją, w pierwszą niedzielę października odbywa się na Piątej Alei w Nowym Jorku największa doroczna uroczystość Polonii na wschodzie USA — Parada Pułaskiego. Prowadzi ją specjalna organizacja, pod nazwą General Pulaski Memorial Committee, której pierwszym prezesem był komisarz Frank Wazeter, później mec. Józef Świerzbński, a następnie Adam Cieślik. Jak potężnie rozbudowana jest ta organizacja świadczy jej struktura wewnętrzna i ilość zasiadających w niej przedstawicieli świata polonijnego. W roku 1972 na przykład, zarząd główny składał się z 10 osób, komisja rewizyjna z 5 osób, wiceprezesów było 15, komitet honorowy liczył sobie 16 osób, wiceprezesów komitetu honorowego było aż 56, dyrektorów 133, w komitecie przyjęć zasiadało 37 osób, komitet prasowy liczył sobie 6 osób, komitet radia — dalsze 6 osób, komitet biura — 6 osób, komitet pamiątnika — 27 osób, komitet trybuny — 14 osób, a prócz tego dyrektor zgromadzenia z czterema asystentami oraz komitet haseł i transparentów, liczący sobie 4 osoby. Razem — 330 osób!

Ledwie zakończy się jedna parada, krótki oddech, i zaczynają się przygotowania do następnej... Ale nie tylko te 330 osób zajmują się

przygotowaniami. W domach narodowych, parafiach i wszystkich organizacjach, przygotowuje się przez cały rok stroje narodowe, mundury, chorągwie, sztandary, transparenty, udekorowane pojazdy itp. Wydawać się może, że Parada Pułaskiego jest tą jedyną imprezą, która łączy całą Polonię w jednym wielkim, wspólnym wysiłku.

Nie ulega kwestii, że te imponujące demonstracje polskości od święta są wspaniałą rewią polskiego folkloru. Piątą Aleją maszerują dziesiątki tysięcy Polaków i Amerykanów polskiego pochodzenia z okolicznych trzech stanów, co dla zwykłego śmiertelnika jest rzeczą niezwykłą. Można więc na Paradzie Pułaskiego oglądać nie tylko dzieci w strojach krakowskich, góralskich, czy łowickich, ale i paradyjących w nich dorosłych, a także zespoły taneczne z wielkim artyzmem odtwarzające polki, krakowiaki, czy tańczące zbójnickiego. To ludowe widowisko niewątpliwie podtrzymuje na amerykańskiej ziemi polskie tradycje, co jest ważne szczególnie dla młodzieży, częstokroć nie znającej już nawet ojczystego języka, ale od święta noszącej narodowe stroje i tańczącej mazurka, czy krakowiaka.

Nowy emigrant z zadowoleniem czytał aktualne hasła na transparentach, z pewnością burzące krew u władców „PRL” i sowieciarzy, którzy zwykle tę paradę pilnie obserwują na żywo, lub na ekranach telewizji. A jednak widziałem zarówno zalety, jak i wady Parady Pułaskiego. Ogrom pracy i kosztów nie dawał spodziewanych wyników. Amerykańscy politycy zawsze starali się upiec przy tym ogniu i własną pieczeń, wykorzystując okazję zajęcia miejsca na trybunie, lub przedefilowania razem z Polakami, dla własnych, wyborczych celów. Rodacy cieszą się, dumni, że notable, choć raz do roku, zauważają Polonię, lecz nie umieją stawiać żądań, nie umieją sprzedać swych głosów amerykańskim politykom za coś konkretnego, co przyniosłoby Polonii lub krajowi jakiś rzeczywisty pożytek.

Na tym jednak nie koniec. W niektórych latach Parada Pułaskiego stawała się bolesnym kompromisem pomiędzy interesami politycznymi Polonii, a komercyjnymi i politycznymi interesami władz „PRL”.

Im więcej w tej paradzie defilowało reklam ORBISu, LOTu i Banku PeKaO, tym bardziej Komitet Parady domagał się „stonowania” politycznych haseł i starał się nie dopuszczać do udziału w Paradzie tych organizacji, które znane były ze swego zdecydowanie anty-reżymowego stanowiska. Poza uczczeniem bohatera dwóch światów, generała Kazimierza Pułaskiego, wykazaniem polonijnego wkładu w budowę Stanów Zjednoczonych, czy przedstawieniem naszego folkloru, kultury i tradycji religijnych i narodowych, trzeba oczywiście tę Paradę bardziej wykorzystywać dla naszych celów politycznych, w walce przeciwko narzuconej naszemu narodowi władzy.

Nadto, moim zdaniem, każda organizacja winna przedstawiać swoje cele i aktualizować Paradę Pułaskiego co roku, wykazując swoje osiągnięcia i trudności. Z tą myślą zapisałem Centrum Polsko-Słowiańskie jako członka Komitetu Parady i starałem się, aby naszym udziałem podkreślać silne związki Amerykanów polskiego pochodzenia z tysiącletnią tradycją i kulturą Polski.

Zarząd Komitetu Parady szczególnie nie lubił krytykowania miejscowych władz, nawet wówczas, kiedy jasne było, że te nie sprzyjały Polakom. W 1974 roku Centrum Polsko-Słowiańskie zdobywało po raz pierwszy w historii Polonii tzw. programy społeczne, fundowane przez zarząd miasta i przez władze stanowe i federalne. To było wielkie osiągnięcie. Lecz już w roku następnym widzieliśmy, że nie wszystko idzie jak z płatka. Postanowiłem więc wykorzystać Paradę Pułaskiego jako swego rodzaju forum publiczne, na którym moglibyśmy przedstawić nie tylko nasze osiągnięcia, ale także i trudności.

Wystąpiliśmy więc w roku 1975 z następującymi hasłami:

„WALKA O RÓWNOUPRAWNIENIE POLAKÓW I SŁOWIAN TRWA”
„CENTRUM ŻYWI, UCZY, LECZY I BRONI”
„CENTRUM POLSKO-SŁOWIAŃSKIE to PIERWSZA POMOC w
POTRZEBIE”
„POLACY I SŁOWIANIE NIE SĄ OBYWATELAMI DRUGIEJ
KATEGORII”
„WIĘCEJ STANOWISK dla POLAKÓW”
„DOMAGAMY się JĘZYKA POLSKIEGO w SZKOŁACH
AMERYKAŃSKICH”
„ZJEDNOCZENI w PRACY SPOŁECZNEJ SŁUŻYMY POLONII”.

Częste brawa, jakie słyszało się maszerując przed szpalerem widzów, były aprobatą naszej pracy i celów. Jednak nasze miejsce w Paradzie wypadło — wskutek niczym nieuzasadnionych uprzedzeń organizatorów — prawie na końcu. Argumentowaliśmy, że mamy sporo emerytów i dlatego nie możemy iść zbyt późno. Prośb naszych nie uwzględniono. Zmęczeni wielogodzinnym oczekiwaniem wytrwaliśmy jednak.

Telewizja amerykańska pokazała nasze hasła, ale nie podobały się one organizatorom parady i „zawodowym” przywódcom Polonii, którzy prawdy nie lubią, starają się wszystkim przypodobać i obwijać wszystko w przysłowiową bawełnę. Te hasła były chyba główną przyczyną, dlaczego zamiast maszerować z Nowym Jorkiem — a w paradzie biorą udział delegacje z trzech stanów — kazano nam iść na końcu. Liczono na to, że miejscowi notable, zmęczeni wielogodzinnym pochodem, zejść już z

trybuny i nie będą widzieli naszych transparentów... Też metoda... Programy Parady są najlepszym dowodem, że w latach 1972-80 tylko raz czy dwa udało nam się maszerować na właściwym miejscu. W pozostałych latach spychano nas na sam koniec Parady.

To doroczne, polonijne forum od święta pochłania wiele trudu i pieniędzy, ale korzystają z niego nie Polacy, lecz amerykańscy kandydaci, jako z najtańszej dla nich kampanii wyborczej. W niedzielę Manhattan jest pusty, wymarły. Ożywia je tylko ten wielotysięczny pochód i kilku zainteresowanych tą imprezą polityków. Czasem bywa też i druga trybuna przed Katedrą św. Patryka, gdzie na krótko zasiadają duchowni, na czele z Kardynałem. Gdyby nie telewizja, to Paradę oglądałoby ledwie paruset Amerykanów. Handlarzy natomiast na Piątej Alei jest sporo. Korzystają z okazji i sprzedają polskie chorągiewki, znaczki z napisem: „Smacznego”, „Jak się masz”, czy też „Kiss me, I am Polish”. Zdarzają się także nierzadko napisy obrzydliwe, typowe: „Polish Jokes”, ośmieszające Polonię, jak np. „Kiełbasa Power”. Zgoła nieprzyzwoitych nie chcę tu przytaczać.

Co roku, po każdej paradzie, w miejscowej prasie polonijnej pojawiają się artykuły krytyczne, nawołujące do tego, aby następna Parada Pułaskiego była lepsza... Co roku też dość jest przyczyn, by stwierdzić, że niewiele się poprawiło...

Nakład pracy i kosztów na każdą kolejną Paradę Pułaskiego jest ogromny. Efekty tych imprez są dla Polonii nowojorskiej żadne, jeśli nie liczyć jedynie prestiżowego „pokazania się”, że istniejemy.

6. STOWARZYSZENIE WETERANÓW ARMII POLSKIEJ I STOWARZYSZENIE POLSKICH KOMBATANTÓW

Trzydziestu ośmiu byłych żołnierzy Armii Błękitnej gen. Hallera zebrało się w maju 1921 roku w Cleveland, w stanie Ohio. Przewodniczącym zebrania został wybrany Walenty Karolczak, a po trzydniowych obradach uchwalono statut i powołano do życia Stowarzyszenie Weteranów Armii Polskiej. Ustalono, że organizacja będzie miała charakter bezpartyjny, a najważniejszymi jej celami będzie praca na rzecz członków, opieka nad inwalidami, chorymi i sierotami po byłych żołnierzach.

Już w pierwszych dniach swego istnienia SWAP objął opieką 126 inwalidów, a z upływem czasu ilość podopiecznych stale wzrastała.

Stowarzyszenie wiernie wypełniało przyjęty na siebie obowiązek pomocy materialnej i moralnej swym członkom i kolegom. Zorganizowano nawet dla weteranów szkolenie zawodowe, by przystosować ich do pracy i życia w warunkach emigracyjnych.

Założyciele objawili wielki patriotyzm. Jedną z uchwał zebrania założycielskiego głosiła, że „zebranie wyraża votum zaufania rządowi polskiemu i postanawia od Polski niczego nie żądać, gdyż Polska dała nam więcej niż dać była w stanie, wobec czego weterani przebywający w Ameryce są jeszcze Polsce dłużni”. Tak było w roku 1921.

Na Trzecim Walnym Zjeździe w roku 1925, dzięki inicjatywie polskich kobiet-patriotek, Agnieszki Wisły, Teresy Rak i innych, powołano do życia Korpus Pomocniczy Pań, który w roku 1939 liczył już 4252 członkinie. W późniejszych latach ten Korpus Pomocniczy Pań, a także Koła przyjaciół Żołnierza Polskiego oraz Fundusz Inwalidzki im. Ignacego Paderewskiego, stał się główną bazą działalności opiekuńczej SWAP. Wspomniany Fundusz Inwalidzki powstał w roku 1926 dzięki ofiarowanej na ten cel sumie 10.000 dolarów przez Ignacego Paderewskiego. W roku 1934 zainicjowano tzw. Niedzielę Bławatka, podczas których weterani zbierają ofiary na ulicach i przed kościołami, przypinając do kłap bławatek, jako symbol. Akcje te prowadzone są do dzisiaj z niegasnącym powodzeniem. Polonia i jej organizacje nie są, na szczęście, głuche na potrzeby naszych inwalidów wojennych i wiele z nich wspiera SWAP i Fundusz Inwalidzki z

większą lub mniejszą systematycznością. Kapitał SWAP urósł do setek tysięcy dolarów.

W czasie wybuchu Drugiej Wojny Światowej SWAP posiadał już 138 placówek i 4346 członków-weteranów. W czasie wojny SWAP spełniał należycie patriotyczne obowiązki, niosąc pomoc żołnierzom polskim, przebywającym w niemieckich obozach jenieckich.

Jeszcze w 1923 Rząd RP nagroził SWAP Oficerskim Krzyżem Odrodzenia Polski „Polonia Restituta”.

Tuż przed Drugą Wojną Światową, Zarząd Główny SWAP, widząc że ciemne chmury nadciągają nad Polskę, wezwał Polonię do utworzenia Funduszu Ratunkowego, a w roku 1941 zabrał się do akcji rekrutacyjnej ochotników. Ponad 1000 Polaków z USA i Kanady przeszło przez obóz szkoleniowy Wojska Polskiego dzięki tej akcji.

Były to piękne czyny ze strony byłych żołnierzy Armii Błękitnej, o których historia nie zapomniiała.

W ostatnich latach jednak obserwuje się przykre zjawiska w tym Stowarzyszeniu. Przyczyną ich jest powstanie po Drugiej Wojnie Światowej innego stowarzyszenia weterańskiego, pod nazwą Stowarzyszenie Polskich Kombatantów. Po wymuszonej demobilizacji Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, zwolnieni żołnierze, pragnąc utrzymać więź między sobą, zawiązaną w dniach doli i niedoli na różnych frontach ostatniej wojny, zorganizowali się w Koła Oddziałowe, które z biegiem lat połączyły się w jedną wielką organizację SPK, z siedzibą w Londynie.

Z czasem zarysowywały się znaczne różnice polityczne pomiędzy tymi dwoma organizacjami weterańskimi. SWAP, utworzony po Pierwszej Wojnie, został zdominowany przez wpływy Stronnictwa Demokratycznego, znanego pod nazwą „Endecji”. SPK natomiast stał się wyraźnie zwolennikiem tzw. obozu niepodległościowego. T.J. Hobler, krytykując SPK na łamach endeckiej „Myśli Polskiej” tak pisał na ten temat: „Dziś praca społeczna SPK ogranicza się do prowadzenia Szkół Sobotnich, klubów sportowych i domów oraz klubów SPK. Odnośnie dwu pierwszych SPK spełnia jedynie funkcję formalnego patronatu, gdyż szkoły i kluby sportowe utrzymują się własnym wysiłkiem. Natomiast domy i kluby SPK są organizacjami dochodowymi i charakteru społecznego prawie nie mają...”

„Na konstruktywną myśl społeczną prezesów władz SPK nie było stać. Bardziej byli zajęci sprawowaniem rządu dusz, wysuwaniem się do przodu na akademiach i walką o władzę polityczną, której ukoronowaniem było uznanie prezydentury p. Ostrowskiego i wyznaczenie delegatów do Rady Państwowej”.

Wojna dawno skończyła się, ale weterani nie schodzą z pola walki:

walczą teraz między sobą. Logicznym rozwiązaniem byłoby oczywiście połączenie obu organizacji weterańskich, ale tu właśnie rozgorzała najbardziej zaciekle bitwa, trwająca do dziś.

Nie chcę być „obcizowany” za ten osąd i dlatego przytoczę fragmenty z artykułu opublikowanego w organie SWAP „Weteran” (z kwietnia 1981): „Komunikat SPK, zamieszczony w organie „Kombatant w Ameryce” z grudnia 1980, w sprawie połączenia SPK i SWAP.” — „W ciągu ubiegłego roku prowadzone były rozmowy na temat połączenia obu organizacji. Rozmowy zostały zakończone jednostronnym komunikatem delegacji SWAP, opublikowanym w prasie polonijnej w Stanach Zjednoczonych we wrześniu 1980, z którego wynika, że prowadzone rozmowy zostały zakończone negatywnie, gdyż nie potrafiono uzgodnić strony ideowej oraz reprezentacji. SWAP nie mając dalszych pełnomocnictw musi odwołać się do Rady, której zebranie miało odbyć się w listopadzie 1980.

W ciągu trwania rozmów przedyskutowano wiele spraw dotyczących struktury organizacyjnej nowego stowarzyszenia i zgodzono się, że na okres pierwszej kadencji dwie główne funkcje, komendanta/prezesa i sekretarza generalnego/adjutanta generalnego, będą rozdzielone między dwa łączące się stowarzyszenia. Ale delegacja SWAP nie zgodziła się na równy podział pozostałych funkcji w zarządzie głównym na pierwszą, trzyletnią kadencję, uważając, że to nie będzie „demokratyczne”. Natomiast delegacja SPK godziła się na taki podział i uznała, że równy podział byłby dopuszczalny i demokratyczny, ale tylko na jednoroczną kadencję. Przewodniczący delegacji SWAP, Bolesław Łaszewski, nie wyjaśnił, jaką logiką kierował się ogłaszając taki wniosek. Sprawa jest również o tyle niejasna, że uzgodnione przepisy poddane pod głosowanie wszystkich członków obu organizacji w drodze referendum miały poprzedzać zjazd połączeniowy. Ponieważ każdy zjazd daje tylko ogólne wytyczne, a rozpracowanie szczegółów pozostawia wybranym władzom, trzeba aby w pierwszym zarządzie wspólnej organizacji zarówno SPK jak SWAP miały równą ilość głosów, aby uniemożliwić przegłosowanie się blokami. W sprawach ideowych stwierdzono różnicę poglądów pomiędzy SPK, reprezentującym ideały żołnierzy PSZ drugiej wojny światowej, a SWAP, reprezentującym ideały żołnierzy pierwszej wojny światowej.

Od Zjazdu SWAP w Utica w 1952 roku, dyskryminującego żołnierzy PSZ drugiej wojny światowej, SPK w Stanach Zjednoczonych deklarowało potrzebę istnienia jednej żołnierskiej organizacji i gotowość prowadzenia rozmów połączeniowych na zasadach równi z równymi. Tę gotowość nadal podtrzymujemy.

W rozmowach połączeniowych SWAP było reprezentowane przez delegację w składzie: dyr. B. Łaszewski — przewodniczący, kmdt. nac. B.

Skrzyński, wicekmdt. A. Machowski, adiutant generalny Z. Konikowski i skarbnik S. Rajkowski. Z ramienia SPK w rozmowach brali udział: prezes J. Krzyżanowski, wiceprezesi B. Rodowicz i B. Wojewódka, skarbnik W. Krusz oraz przew. Sądu Koleżeńkiego S. Jordanowski”.

W odpowiedzi, w tymże „Weteranie”, ogłoszony został artykuł pt. „Stanowisko SWAP”. Artykuł zbyt długi, by go tu przytoczyć.

Trzeba jednak przyjąć za fakt, że w szeregach SWAP pozostało chyba nie więcej jak 3% byłych żołnierzy Armii Hallera, gdyż reszta musiała już odejść z tego świata. Większość członków SWAP to tacy sami żołnierze Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, co i członkowie SPK. Jak uzasadniać „różne” rzekomo ideały obu tych grup, doprawdy pojąć nie mogę. Czyżby nie walczyli razem o wolność i niepodległość Polski? Czyżby zapomnieli o tym, co ich łączy i co ich łączyć powinno?! Z tych artykułów czytelnik nie dowiedział się jednak rzeczy najważniejszych, jeśli sprawę połączenia obu organizacji kombatanckich traktować poważnie. Jak rozumieć zasadę „równi z równymi”? Jaki jest stan kół i członków SPK? Ilu weteranów, po rozłamie na Zjeździe w Utica w roku 1952 przeszło pod sztandary twózonego wówczas SPK, a ilu pozostało w szeregach SWAP? Jakim funduszem rozporządza SPK na pomoc dla inwalidów? Ile posiada własnych domów kombatanta? Takich pytań jest znacznie więcej, ale odpowiedzi na nie brak. Milczą na ten temat obie strony. Nie milczą natomiast o rozbieżnościach ideologicznych... Niestety, rozłamy, rokosze, prywata, to cechy wielu organizacji emigracyjnych. Przykro, że nie uniknęli ich nasi żołnierze.

Trzeba przyznać, że SWAP wiele odziedziczył po żołnierzach Armii Hallera. Domy Weterana w Chicago, w New Jersey, w stanie Illinois, w Nowym Jorku, parki, polanki, a także schronisko dla samotnych weteranów w Wanda Park pod Detroit. Spore też miało SWAP kapitały nagromadzone w bankach.

Połączenie SWAP z SPK to sprawa trudna, głównie dla tych, którzy od lat zajmują ciepłe posadki w SWAP, a serca swe ogrzewają poczuciem władzy: nad ludźmi i nad majątkiem. SWAP od dawna jest folwarkiem rządzonym przez Zbigniewa Konikowskiego, Eugeniusza Kaleniaka i Bolesława Łaszewskiego, a teraz przez Eugeniusza Wita. Zresztą w obu tych organizacjach są „wodzowie”, którzy do swych stanowisk przyrośli i za skarby świata nie ustąpią. A przecież połączenie musiałoby ilość kierowniczych posadek zmniejszyć... Tu zgody być nie może.

Różnice pomiędzy „lepszymi” i „gorszymi” weteranami nie są zresztą tylko kwestią bytu doczesnego... Prześladowają ich one aż poza grób. SWAP i SPK co prawda zgodnie spoczywają obok siebie na cmentarzu, ale ta równość po śmierci nie dotyczy niestety wszystkich weteranów. Nie, wca-

le nie robię sobie kpin z naszych zmarłych bohaterów. Czytam tylko ze zdumieniem w „Weteranie” z sierpnia 1980 roku (str. 22), że istnieje dokument zatytułowany „Umowa między SPK i SWAP w sprawie użytkowania Cmentarza Kombatanckiego w Amerykańskiej Częstochowie, w Doylestown, PA”, w którym m.in. obie te organizacje uzgodniły, co następuje:

„Doceniając potrzebę wspólnego miejsca wiecznego spoczynku, Stowarzyszenie Polskich Kombatantów i Stowarzyszenie Weteranów Armii Polskiej w Ameryce uznają cmentarz przy Sanktuarium Matki Boskiej Częstochowskiej w Doylestown, PA. za Cmentarz Stowarzyszonych Żołnierzy PSZ i postanawiają roztoczyć opiekę nad tą działką.

Następujące przepisy regulują używalność, opiekę i administrację Cmentarza Stowarzyszonych Żołnierzy PSZ:

1. Prawo do miejsca na działce cmentarnej mają: a) byli żołnierze PSZ z obu wojen, zrzeszeni w organizacjach podpisujących niniejszą umowę; b) bezpośrednia rodzina — mąż, żona i nieletnie dzieci; c) niezrzeszeni byli żołnierze PSZ, za zgodą obu zarządów głównych SPK i SWAP...

5. Do użytkowania Cmentarza zaprasza się na podstawie bilateralnych umów: Stowarzyszenie Weteranów Polskiej Marynarki Wojennej, Stowarzyszenie Lotników Polskich, Związek Polskich Spadochroniarzy w Ameryce i Koło Armii Krajowej”.

Z powyższego dokumentu widzimy, że choć przez całe życie wojskowe łączyła weteranów jedna sprawa i jedna idea walki o wolną i niepodległą Polskę, i choć wszyscy legitymowali się tym samym hasłem wypisanym na sztandarach — Bóg, Honor i Ojczyzna — nie równa ich wspólny, wygnany los na wolnej ziemi Waszyngtona nawet w obliczu majestatu śmierci. Nawet cmentarz weterański nie może stać się Wiecznym Zjednoczeniem Polskich Sił Zbrojnych. Jedni są lepsi, ważniejsi, a drudzy należą do drugiej kategorii.

Przywileje nawet na cmentarzu, podział weteranów na „zrzeszonych w SPK i SWAP” i na tych „niezrzeszonych”, którzy na drodze łaski, za zgodą najwyższych władz obu tych dominujących organizacji, i za odpowiednią opłatą, mogą ewentualnie zdobyć prawo złożenia swych doczesnych szczątków na weterańskim cmentarzu — to sprawa haniebna.

7. POLSKA BRATNIA POMOC

Pewnego dnia, Roku Pańskiego 1956, w mieszkaniu państwa Jana i Marii Dembińskich w Nowym Jorku, zebrało się grono przyjaciół. Na tym spotkaniu postanowiono założyć organizację dobroczynną, niosącą pomoc potrzebującym, których coraz więcej napływało do USA po drugiej wojnie światowej. Polską Bratnią Pomoc zarejestrowano jako instytucję wyższej użyteczności publicznej, zwolnioną od podatków, pod nazwą w języku angielskim „Polish Assistance, Inc.”.

Cele tej instytucji określa się jako niesienie pomocy chorym, niezatrudnionym, ludziom w podeszłym wieku, ludziom z wolnych zawodów, a szczególnie ludności polskiej, zarówno chrześcijańskiej, jak i żydowskiej. Szczególną troską mieli być więc objęci nauczyciele, pisarze, naukowcy, dziennikarze, jednym słowem — polska inteligencja. Robotnicy, rzemieślnicy, czy rolnicy, nie mieścili się w sferze zainteresowań tej elitarniej organizacji.

Wielu członków i sympatyków Polskiej Bratniej Pomocy legitymuje się szlacheckim, czy nawet arystokratycznym pochodzeniem. Status milionera uważany jest za nie mniej arystokratyczny. Ta elitarna organizacja „wysoko urodzonych”, obchodząca trzydziestolecie swego istnienia, nigdy nie splamiła się jakąkolwiek współpracą z organizacjami „plebsu” na Greenpoincie.

Trzeba przyznać, że Polska Bratnia Pomoc mocno dzierży sztandar elity i godnie reprezentuje w Nowym Jorku mały światek dawnej inteligencji, czy raczej magnaterii. Doroczne imprezy towarzyskie i klasyczne bale dobroczynne, urządzone przez tę organizację, cieszą się wielką frekwencją zarówno polskiej, jak i obcej magnaterii, o podobnie elitarnych ciągotach.

Dobroczynne bale, stanowiące główne źródło dochodów Bratniej Pomocy uczęszczane są przez liczne osobistości ze świata nauki i sztuki, ale głównie przez ludzi „z nazwiskami”. Oprócz dorocznych bali urządzone są zabawy w ekskluzywnych miejscowościach poza Nowym Jorkiem, także uczęszczane przez „szlachetnie urodzonych”. Kolekcja tych nazwisk jest nawet imponująca: księżniczka Lucie Shirazee, Marta Eggerth-Kiepcura, de Friedberg, de Rosset, Campbell, Rubinstein, Brzeziński, księżna

Monaco, księżna Oxenberg, książę Stanisław Radziwiłł, książę Filip Poniatowski, książę i księżna de Lewenhaupt... nie mówiąc już o samej hrabinie Dembińskiej oraz nieodłącznych filarach wszelkiej działalności emigracyjnej: Bolesławie Wierzbiańskim, Bolesławie Łaszewskim i Hieronimie Wyszyńskim, wraz z małżonkami, bez których wszystkie te imprezy byłyby nieważne. Wierzbiański i Łaszewski są, oczywiście w radzie nadzorczej Bratniej Pomocy.

W roku 1973 Bratnia Pomoc nabyła dom w pięknej nadmorskiej okolicy w Ocean Grove, w stanie New Jersey, nazwany „Villa Maria” od imienia współzałożycielki na cześć pani Rubinstein oraz „Villa Milena”. Te domy służą starszym osobom jako spokojne miejsce zamieszkania, a członkom umożliwiają spokojny odpoczynek w czasie lata.

Uzyskanie pomocy od tej instytucji nie jest jednak rzeczą prostą. Trzeba mieć odpowiednie rekomendacje, lub poparcie którejś z tych wybitnych osobistości.

8. FUNDACJA KOŚCIUSZKOWSKA

W roku 1923 profesor Stefan Mierzwa, korzystając z poparcia dra Władysława Wróblewskiego, ministra RP w Waszyngtonie (ambasady wówczas jeszcze nie było), zyskał pomoc amerykańskich przemysłowców i założył Polsko-Amerykański Komitet Stypendialny. Parę lat później społeczeństwo polsko-amerykańskie przygotowywało się do obchodów 150 rocznicy przybycia Tadeusza Kościuszki do Ameryki. Prof. Mierzwa wykorzystał tę okazję i zamiast budować jeszcze jeden pomnik, zaproponował założenie żywego pomnika w postaci Fundacji Kościuszkowskiej, która miała propagować kulturę polską w Stanach Zjednoczonych i kulturę amerykańską w Polsce. Na apel ogłoszony w prasie polskiej nie było prawie żadnej reakcji ze strony przywódców polonijnych. Jedynie dr Teofil Starzyński, prezes Sokolstwa Polskiego, nie licząc się z opinią innych, poparł Fundację Kościuszkowską nazywając jej utworzenie szlachetnym pomysłem. Prof. Mierzwa wysłał listy do 900 księży polonijnych z apelem o poparcie Fundacji, ale otrzymał tylko 5 odpowiedzi,

z których zaledwie jedna, od Prałata Adamskiego z Buffalo była pozytywna.

Nie znajdując zrozumienia wśród rodaków, prof. Mierzwa zwrócił się do Amerykanów, którzy pomogli mu w utworzeniu Komitetu Stypendialnego. Pomoc uzyskał z wielkim trudem. Pierwsze 50 tys. dolarów otrzymał po jakimś czasie od prezesa Baldwin Locomotive Works, Samuela Vaucaina, dzięki czemu w roku 1925 Fundacja rozpoczęła działalność.

Fundacja Kościuszkowska dysponowała przed wojną skromnym biurem w konsulacie RP w Nowym Jorku. Dopiero po wojnie, wskutek zmian spowodowanych zainstalowaniem się reżymu komunistycznego w kraju, Fundacja została zmuszona do znalezienia własnej siedziby. Nabyty został piękny budynek w najlepszej dzielnicy Manhattanu, przy 15 East 65th Street.

Cele i zadania Fundacji Kościuszkowskiej wkrótce udowodniły użyteczność tej instytucji. Kultura polska była rzeczywiście przez nią propagowana, a młodzież otrzymywała stypendia. Przez długie lata prof. Mierzwa borykał się z trudnościami. Dopiero w 1956 roku otrzymał pierwszy większy zapis, pozostawiony przez śp. Stana Leśnego, inżyniera z Detroit, na ustanowienie serii stypendiów jego imienia, przyznawanych co roku kilku studentom na studia w dziedzinie matematyki i innych nauk ścisłych. Zapis ten wynosił 135 tys. dolarów. Od tego czasu prof. Mierzwa zyskiwał coraz więcej zapisów dla Fundacji. Oblicza się, że Polonia traci około 7 milionów dolarów rocznie tylko dlatego, że ludzie umierają bez testamentów i bez spadkobierców, wskutek czego ich majątek przechodzi na rzecz miasta lub stanu. Fundacja lokuje otrzymane fundusze w papierach wartościowych i korzysta jedynie z dochodu uzyskanego w ten sposób, nie naruszając podstawowego kapitału.

Poza udzielaniem stypendiów, prof. Mierzwa propagował i subsydiował wydawanie książek o Polakach i o polskiej kulturze. Sam w ciągu swego życia napisał biografie Chopina i Kopernika, oraz wielką ilość broszur i artykułów na różne tematy. Wydał także książkę pt. „Great Men and Women of Poland”. W okresie swej blisko pięćdziesięcioletniej pracy Fundacja pomogła finansowo w wydaniu ponad 70 książek, a pod koniec kadencji prof. Mierzwy ukazał się monumentalny Słownik polsko-angielski i angielsko-polski.

Gdyby prof. Mierzwa żył, to z pewnością zaprotestował by temu, co na temat Fundacji napisał jego następca, dr Eugeniusz Kusielewicz. W „Sodalis Polonia” z marca 1971 ukazał się bowiem artykuł pt. „Historia Stefana Mierzwy”, w którym Kusielewicz pisze m.in. „...Niestety, wielu Amerykanów polskiego pochodzenia dotychczas nie rozumie, że Fundacja jest instytucją amerykańską; że główne poparcie finansowe otrzymała od Amerykanów nie-polskiego pochodzenia; i że jednym z celów Fundacji

jest propagowanie kultury polskiej wszystkimi osiągalnymi środkami, włączając pomoc potrzebującym i zasługującym na pomoc Amerykanom bez względu na pochodzenie narodowe, którzy studiują jakiś aspekt studiów o Polsce. Z około dwóch tysięcy stypendiów, które Fundacja dotychczas udzieliła, ponad tysiąc dziewięćset zostało udzielonych studentom polskiego pochodzenia...”

Można zgodzić się z kryteriami przydzielanych stypendiów, ale za karygodne uznać należy odmawianie Fundacji jej polskości. W tym artykule autor skarży się na „niesłuszne zarzuty Ojca Andrzeja Krześcińskiego, który w swej książce pt. „W Obronie Polski” potępił Fundację”. Ks. Krześciński pisał: „Dziwnym również był w czasie wojny rozdźwięk uczuciowy między Polską pogrążoną w żałobie z powodu olbrzymich ofiar, a Fundacją Kościuszkowską. Rząd polski, a szczególnie jego premier Władysław Sikorski, w czasie swego kilkakrotnego pobytu w Stanach Zjednoczonych, nawoływał do wstrzymania się, na znak żałoby i solidarności z narodem polskim, od publicznych zabaw. Nie licząc się z tym wcale, urządzano w tym czasie każdego roku huczne bale. Było to aż nadto rażące, na co obcy zwracali uwagę”.

Niemniej uderzającym jest fakt obojętnej postawy Fundacji Kościuszkowskiej w stosunku do reżymu narzuconego po wojnie Polsce przez Moskwę. Fundacja usiłuje udawać, że nauka i kultura nie ma nic wspólnego z polityką. Już w roku 1949 cytowany tutaj ks. prof. dr Krześciński pisał: „Ale najdziwniejszym ze wszystkich rzeczy było ogłoszenie neutralności ze strony Stefana Mierzwy, jako dyrektora Fundacji Kościuszkowskiej, w czasie wielkiej dla Polski tragedii, kiedy Anglia i Stany Zjednoczone odmówiły uznania legalnemu rządowi polskiemu i w miejsce jego uznały rząd utworzony przez Moskwę z przewagą komunistów. Czynem tym Stefan Mierzwa wymierzył wielki moralny cios Fundacji Kościuszkowskiej. Nikt nie wymagał od takiej instytucji uprawiania polityki, ale ogłoszenie zupełnej obojętności jakim jest rząd polski i wprowadzenie zamętu pojęć, jest czynem godnym potępienia”.

Z tym szerzeniem polskiej kultury także nie było najlepiej. Świadczyć o tym może artykuł Andrzeja Dobrowolskiego, zamieszczony w „Nowym Dzienniku” 8 marca 1983, pt. „Czy Fundacja Kościuszkowska ożywi życie Polonii?” Autor pisze m.in.: „... nie zdołaliśmy mocno zaznaczyć tu swej odrębności, wyartykułować w życiu politycznym, gospodarczym i społecznym... Źródłem tego jest w znacznej mierze ubóstwo życia kulturalnego Polaków na obczyźnie. Jego rozwój mógłby w kapitalny sposób zespolić i umocnić naszą zbiorowość. Jakkolwiek w Stanach Zjednoczonych istnieją instytucje propagujące naukę, sztukę i kulturę polską, jakkolwiek wiele osób poświęca wiele wysiłku, aby nie zginęło tutaj polskie

słowo, tradycja i obyczaje — jest to często łataniem dziur. Rezultaty ich pracy są nikłe, częstokroć niedostrzegalne, zwłaszcza dla nowoprzybyłych z Polski. Tym bardziej, że giną w zalewie propozycji, możliwości, z całą agresywnością narzucanych odbiorcom przez amerykańskie media ofert. Placówki zajmujące się działalnością naukową, kulturalną itp. nie dostrzegają zmiany warty. Zbyt kurczowo trzymają się metod, które być może skutecznie funkcjonowały dziesięć, dwadzieścia, czy pięćdziesiąt lat temu; nie widzą przemian, nie potrafią sprostać potrzebom i oczekiwaniom ludzi wychowanych i wykształconych w innych warunkach, o innej mentalności niż ich ojcowie lub dziadowie. Bał, odczyt, Oplątek, wystawa lub bankiet, są pożytecznymi formami wypełniania wolnego czasu. Na tego rodzaju przedsięwzięciach nie może się wszakże wyczerpać działalność kulturalna. Współczesnego odbiorcy nie zdobędzie się sięgając wyłącznie do takich atrakcji”.

W Stanach Zjednoczonych przebywa znaczna i ciągle powiększająca się grupa artystów, plastyków, pisarzy, aktorów, filmowców, a także naukowców i dziennikarzy. Nie wszystkim udało się z miejsca zdobyć pracę w swoim zawodzie. Niejeden, w przerwach między sprzedawaniem orzeszków, malowaniem mieszkań, czy prowadzeniem taksówki, chętnie, przynajmniej na chwil kilka, wróciłby do swego ulubionego zawodu. Wielu aż pali się do tego. Czy Polaków w Ameryce nie stać na zorganizowanie działalności artystycznej, na założenie warsztatów twórczych? Czy zespół muzyczny, klub filmowców, czy zakład usług plastycznych, przekracza naprawdę możliwości wielotysięcznej Polonii w Nowym Jorku? Na pytanie Dobrowolskiego „Czy Fundacja Kościuszkowska ożywi życie Polonii?” — nikt nie odpowiedział.

Czy Fundacja pragnie dalej działać w elitarnym zaciszu, w zupełnym wyobcowaniu z życia polsko-amerykańskiego społeczeństwa? Fundacja w sposób wyraźny zawęziła swoją działalność do przyznawania stypendiów i do „wymiany kulturalnej” z władzami „PRL”. Sprawy kultury polskiej na własnym terenie najwidoczniej nie interesują już nikogo z tej „amerykańskiej” fundacji.

9. FUNDACJE

Tysiące Amerykanów na zawsze utrwaliło swoje nazwiska w historii nie dlatego, że sami byli artystami, wynalazcami, czy naukowcami, lecz dlatego, że mając pieniądze patronowali różnym dziełom, zakładając fundacje lub udzielając wsparcia finansowego istniejącym fundacjom. Zachętą do takiego postępowania jest amerykańskie prawo podatkowe, zezwalające na odpisywanie od dochodów sum przeznaczonych na cele służące dobru publicznemu.

My, Polacy, posiadamy zaledwie kilka takich fundacji, z których najbardziej znanymi są: Fundacja Kościuszkowska oraz Fundacja im. Alfreda Jurzykowskiego; choć i te dziś trudno nazwać polskimi, gdyż ich Rady Nadzorcze składają się w dużej części z Amerykanów, a nie Polaków.

Inne grupy etniczne w USA mają o wiele więcej fundacji, o czym można łatwo przekonać się, gdy weźmie się grube tomy spisów fundacji, z ich adresami i opisem celów, jakim mają służyć. Jak w wielu innych przypadkach, tak i tu góruje grupa żydowska, posiadająca największą ilość fundacji stworzonych dla popierania najrozmaitszych inicjatyw. W porównaniu z innymi grupami etnicznymi, Polonia i w tej dziedzinie jest raczej biedna, często niezdolna nawet do utrzymania stanu posiadania, będącego dorobkiem poprzednich pokoleń.

Wprawdzie polskojęzyczna prasa przyniosła w ostatnich latach sporo informacji na temat utworzenia szeregu nowych fundacji, lecz są to instytucje małe i słabe. Niektóre z nich zamaryły wkrótce po powstaniu, a inne ledwie wegetują i służą jedynie jako organizacje zbierające fundusze na określony cel, niezdolne do zdobycia kapitału, z którego odsetki dopiero byłyby wykorzystywane, co jest zasadą istnienia dużych fundacji.

Do takich małych fundacji, o których w ubiegłych latach wspominała prasa, to: Fundacja Chopinowska, założona w roku 1975, której celem jest pomoc zdolnym pianistom; Fundacja Armii Krajowej, której celem jest utrzymywanie Studium i Archiwum AK; Polska Fundacja Kulturalna; Fundacja im. Elżbiety i Krzysztofa Pendereckich; Fundacja im. Marii Curie-Skłodowskiej, finansująca polsko-amerykańskie badania naukowe; Fundacja Pole, założona przez Edwarda J. Piszka z siedzibą w Orchard Lake, Michigan; czy choćby powstała dopiero w roku 1985 Fundacja Wolności,

z siedzibą w Buffalo, w stanie Nowy Jork.

Trudno wymienić nawet tu wszystkie, stwierdzić trzeba tylko ze smutkiem, że choć cele tych fundacji są wspaniałe, to pozostają one zbyt często tylko w sferze pobożnych życzeń, bez widocznych efektów ich działalności.

Większe sukcesy odniosły inicjatywy fundacji o zasięgu szerszym, aniżeli tylko polsko-amerykańskim. Na Zjeździe zwanym Polonia Jutra, na którym w roku 1978 powołano do życia Radę Koordynacyjną Polonii Wolnego Świata, uchwalono także wezwanie do zebrania funduszy na Dom Jana Pawła II w Rzymie. Efekty tej zbiórki były niezłe: z USA 2.400.000 dolarów, z Kanady ok. 100.000, z Niemiec Zach. i Austrii 60.000, z Brazylii 35.000, z Anglii 30.000 dolarów, z tym, że dalsze fundusze są systematycznie zbierane nadal.

Papież Jan Paweł II powołał do życia Fundację swego imienia w roku 1981, w trzecią rocznicę pontyfikatu. Zwierzchnikiem tej Fundacji jest sam Ojciec Św., a w przyszłości zarząd przejdzie w ręce każdorazowego metropolity krakowskiego, co gwarantuje, że Fundacja ta pozostanie na zawsze pod zarządem Kościoła w Polsce. Fundacja ta realizuje swe zadania poprzez trzy finansowane przez nią instytucje, niezależnie od siebie: Dom Polski Jana Pawła II, służący pielgrzymom polskim z kraju i z emigracji; Polski Instytut Kultury Chrześcijańskiej, prowadzący sympozja naukowe, udzielający stypendiów i zajmujący się wydawnictwami; oraz Ośrodek Dokumentacji, prowadzący archiwa, muzeum i bibliotekę.

Dzięki „Solidarności” ożyła Fundacja Charytatywna Kongresu Polonii Amerykańskiej, która udzieliła sporo pomocy Krajowi w ostatnich latach.

Wskutek bankructwa gospodarki pod rządami komunistów w Polsce, a w szczególności wobec upadku rolnictwa i coraz większych braków w zaopatrzeniu ludności w żywność, Kościół Polski chciał dopomóc rolnictwu przez utworzenie Fundacji Rolniczej. Reżym bał się jednak wzrostu wpływów Kościoła i nie dopuścił do jej powstania.

Miałem plany utworzenia Fundacji Polsko-Słowiańskiej, w oparciu o dochody Unii Kredytowej, Stołówki i innych inicjatyw Centrum, ale z żalem stwierdzam, że obecne kierownictwo Centrum marnotrawi te dochody na niepotrzebne remonty i niekończące się wymiany drogich systemów alarmowych, zamiast ufundowania Domu Spokojnej Starości, czy Domu Imigranta, o którym marzyłem.

Za moich czasów szereg osób przyrzekało solennie, że zapiszą w testamencie poważne sumy na cele Centrum. Jedna z tych osób powiedziała mi niedawno: „O nie, nic im nie zapiszę, bo tam nic nowego się nie tworzy, korzystają tylko z dorobku zostawionego przez księdza. Sama widziałam, jak ksiądz ciężko pracował, nawet przy remontach, nawet sam

śmiecie wynosił, a ci panowie przyszli na gotowe. Wpierw niech się wezmą do roboty, tak jak to uczynił Ojciec Tołczyk...”

Staralem się przekonać, że po nich przyjdą lepsi ludzie, z prawdziwych wyborów, którzy pójdą w moje ślady, więc warto coś zostawić dla Centrum, gdyż instytucja nie zaginie. Moje przekonywanie nie pomogło jednak. Ludzie stracili zaufanie, które trzeba by dopiero odbudowywać. Ta rozmowa potwierdziła tylko moją tezę, że ludzie zawsze pomogą i dadzą pieniądze, jeśli zobaczą rzetelną pracę i społecznie użyteczne efekty. Dowodem tego są przecież tak liczne kościoły, zbudowane przez poprzednie pokolenia imigrantów.

10. MUZEA, ARCHIWA, BIBLIOTEKI

Z upływem czasu, w miarę oddalania się od naszych początków na amerykańskiej ziemi, gromadzi się coraz więcej dokumentów i pamiątek z naszej przeszłości. Ofiarni ludzie zbierają je z zamiłowania, a muzea, archiwa i biblioteki polonijne czynią to w poczuciu dobrze rozumianego obowiązku. Dzięki takiej właśnie ofiarnej pracy dra Haimana powstało w Chicago największe muzeum polonijne, prowadzone przez Zjednoczenie Rzymsko-Katolickie, istniejące od 1935 roku. Początkowo było ono jedynie muzeum i archiwum tego Zjednoczenia, ale w roku 1960 zostało zreorganizowane w taki sposób, że muzeum stało się instytucją ogólnopolonijną. Do współpracy zaproszono wszystkie organizacje polonijne i rzucono projekt budowy odrębnego budynku. Od słowa do czynu okazało się droga jest daleka. Muzeum nadal mieści się w starym budynku ZPRK. Zbiory tego muzeum są znaczne, a biblioteka posiada ogromny zbiór polonijnych czasopism. Wiele „białych kruków” niszczyje jednak, gdyż nie wszyscy wykazują należyłą troskę o narodowe pamiątki.

Powstało ostatnio nowe Muzeum Polskie w Port Washington, na Long Island koło Nowego Jorku. Cenna to inicjatywa. Materiały archiwalne zbierają także Zakłady Naukowe w Orchard Lake. I znów z bólem trzeba stwierdzić, że Polonia Amerykańska nie potrafiła się jakoś zdobyć na założenie własnej, wielkiej biblioteki, na wzór Biblioteki Paryskiej, czy Londyńskiej. Muzeum Polskie w Chicago ma np. ok. 28 tys. tomów,

podczas gdy założona dopiero w roku 1959 biblioteka Polskiego Instytutu Naukowego w Nowym Jorku, która przejęła zbiory prof. Jana Kucharzewskiego oraz Stowarzyszenia Prawników Polskich, posiada już około 5 tys. tomów. Pozostałe biblioteki mają zbiory jeszcze mniejsze.

Natomiast w dziedzinie dokumentów i rękopisów pierwsze miejsce zajmuje niepodzielnie Instytut Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku, mający w swym posiadaniu dziesiątki tysięcy dokumentów, broszur i czasopism polskich, reprezentujących około 10.000 tytułów.

Wyższe uczelnie amerykańskie oraz biblioteki publiczne posiadają pewną ilość polskich książek. Te instytucje mają spore budżety na ich zakup, ale polska książka nie cieszy się dostatecznym zainteresowaniem. Szczególnie wydawane w PRL-u są nabywane niechętnie przez te instytucje, gdyż mają kilka braków utrudniających ich wprowadzenie na obcy rynek. Brak zwykle indeksu przedmiotowego, streszczenia w języku angielskim, a szata graficzna często pozostawia wiele do życzenia.

CZĘŚĆ TRZECIA

CENTRUM POLSKO-SŁOWIAŃSKIE

ZAŁOŻENIE CENTRUM POLSKO-SŁOWIAŃSKIEGO

Idea założenia Centrum Polsko-Słowiańskiego zrodziła się po latach mojej pracy w polskich parafiach, Matki Boskiej Częstochowskiej i św. Józefa, w Diecezji Brooklyńskiej, skąd zostałem przeniesiony do czysto amerykańskiej parafii św., Mateusza, pracując wśród księży pochodzenia irlandzkiego, włoskiego i nowoprzybyłych księży z Haiti, miałem doskonałą okazję zapoznania się z ich działalnością na rzecz swoich grup etnicznych. Ich praca nie ograniczała się do biernego oczekiwania na interesantów, siedząc z założonymi rękami na plebanii. Zgodnie z zaleceniami Kościoła po II Soborze Watykańskim, ci księża biorą czynny udział w życiu społecznym swoich wiernych.

Dopiero na przykładzie obcych poznałem, jak bardzo jest nasze własne, polonijne podwórko zaniedbane i dlatego w połowie 1971 roku wybrałem się do Rzymu, aby tę sprawę przedstawić opiekunowi i duszpasterzowi Polaków Zagranicą, Ks. Biskupowi Władysławowi Rubinowi, obecnemu Kardynałowi. Już przy pierwszym spotkaniu przedstawiłem projekt założenia Centrum Polsko-Słowiańskiego, które zajęłoby się losem ludzi potrzebujących. Jako główny cel przedstawiłem potrzebę zjednoczenia Polonii w walce o słuszne prawa społeczne, niesienie pomocy Rodakom we wszelkich trudnościach życiowych, opieka nad starszymi i chorymi, oraz upowszechnienie i utwierdzenie wśród młodszego pokolenia najlepszych, chrześcijańsko-narodowych tradycji.

Polonia metropolii nowojorskiej ani jej organizacje nie wykazywały żadnej działalności w tym kierunku, podczas gdy inne grupy etniczne otrzymywały wielką pomoc materialną zarówno z Diecezji Brooklyńskiej i Nowojorskiej, jak i od władz miejskich, stanowych i federalnych, w formie funduszy na różne programy społeczne.

Szczególnie w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, inne grupy etniczne założyły wiele ośrodków opieki społecznej i pracy kulturalnej i artystycznej, korzystając z subsydiów miejskich i państwowych, podczas gdy Polonia nie zrobiła nic w tym kierunku, ani w Nowym Jorku, ani w innych miastach o dużym skupieniu Polaków.

Ksiądz Biskup Rubin nie tylko poparł moją inicjatywę, ale stał się od tego momentu wielkim zwolennikiem Centrum.

Mając obiecaną poparcie i błogosławieństwo Ks. Buskupa Rubina, natychmiast po powrocie z Rzymu zabrałem się do działania. Przedłożyłem ten projekt Biskupowi Diecezji Brooklyn, Francis Mugavero, z prośbą o zatwierdzenie planów uruchomienia Centrum usług społecznych i kulturalnych dla ludności polsko-słowiańskiej, oraz o zezwolenie na kupno budynku byłej szkoły i konwentu byłych sióstr zakonnych przy Czwartej Alei i 9-tej Ulicy w South Brooklynie. Ks. Walter Masiulis, proboszcz parafii Św. Tomasza z Akwinu, zarządzający tą nieruchomością, skłonny był do jej sprzedania, ale zgodnie z przepisami konieczne było zezwolenie na kupno, które należało uzyskać od Ks. Prałata Johna Rudena, zarządcy posiadłości diecezjalnych. Ten jednak zażądał zgody Biskupa Mugavero. Mój pierwotny plan przewidywał zlokalizowanie Centrum w Południowym Brooklynie. Znałem tę dzielnicę, dzięki siedmioletniej pracy w tamtejszych parafiach i wiedziałem, że biedni ludzie z tej okolicy dosłownie czekają na jakąś pomoc.

W odpowiedzi na mój wniosek, 20 lipca 1971 otrzymałem odpowiedź z Diecezji, podpisaną przez kanclerza Anthony Bevilaqua, o następującej treści: „Biskup Mugavero prosił mnie poinformować księdza, że po dokładnym przestudiowaniu złożonej przez księdza propozycji założenia Centrum Polsko-Słowiańskiego zdecydował powołać komitet złożony z 4 księży, którzy przedyskutują propozycję księdza i wyrażą opinię na ten temat. Ponieważ obecnie są wakacje i kilku z tych księży znajduje się na wakacjach, to nie wcześniej jak w pierwszych dniach września ci księża będą rozmawiać z księdzem w tej sprawie”.

Upłynął wrzesień, ale nadal panowała cisza. Dzwoniłem do Ks. Fusa, który zajmował się tymi sprawami w Kurii Biskupiej, rozmawiałem znów z Bevilaqua. Otrzymałem odpowiedź, że muszę czekać. Biskup nie zna potrzeb Polonii i dlatego wyznaczył polskich księży, aby wyrazili opinię w tej sprawie. Upływały tygodnie mego niecierpliwego czekania. Wreszcie w połowie października 1971 napisałem do Biskupa Mugavero list, wyrażając ubolewanie, że wyznaczeni polsko-amerykańscy księża do tej pory nie zdecydowali się przedyskutować ze mną propozycji uruchomienia Centrum. W miesiąc później otrzymałem list od Kanclerza Kurii, w którym informuje mnie, że Biskup Diecezji Brooklyńskiej, Francis Mugavero, powołał komitet do przestudiowania mego projektu w składzie: Ks. Edward Fus, z parafii Św. Krzyża, jako przewodniczący, oraz Ks. Walter C. Gałuszka, z parafii św. Jana Kantego, Ks. Thomas R. Oborowski, z parafii M.B. Częstochowskiej oraz Ks. Gothard Krzysteczko, z parafii św. Stanisława Kostki, jako członkowie. W dalszej części tego listu czytamy: „Wyżej wymieniony komitet spotkał się dnia 27 września na plebanii św. Stanisława Kostki w Greenpoint. Wszyscy wyżej wymieni członkowie

komitetu byli obecni na zebraniu. Cały materiał przedłożony na temat celowości założenia Centrum Polsko-Słowiańskiego został dokładnie przestudiowany z różnych punktów widzenia. Jednogłośnie wniosek został uchwalony przez komitet i przesłany do Biskupa Mugavero za pośrednictwem Diecezjalnego Biura Migracji. Po dokładnym przestudiowaniu opinii komitetu i moich uwag, Biskup zdecydował, że nie może zatwierdzić prośby księdza o zezwolenie na kupno budynku opuszczonego przez siostry zakonne od parafii św. Tomasza z Akwinu, ani nie będzie popierał założenia w innym miejscu proponowanego przez księdza Centrum”.

Byłem zaskoczony tą bezwzględnością i krzywdzącą decyzją. Szczególnie dotkliwie odczułem ból wskutek kompletnego braku zrozumenia ze strony tych „polskich” księży, którzy zlekceważyli nawet polecenie biskupa, by rozmawiali ze mną w sprawie tego projektu.

Zamówiłem się więc z wizytą w Kurii i poszedłem osobiście, aby porozmawiać z Kanclerzem. A oto odpowiedź, jaką usłyszałem: „Biskup nie zna potrzeb wiernych polskiego, czy słowiańskiego pochodzenia i dlatego powołał komitet złożony z polskich księży. Ten komitet jednogłośnie wypowiedział się, że Centrum nie jest polskim ludziom potrzebne, a sprawy jakieś i kłopoty nowych emigrantów zostały powierzone do załatwienia w ramach Diecezjalnego Biura Migracji, ks. Edwardowi Fusowi”. Sądziłem więc, że może uda mi się znaleźć jakąś współpracę, czy zrozumienie, u tego ks. Fusa. Zatelefonowałem więc, aby umówić się na osobistą rozmowę.

„W jakiej sprawie?”

„W sprawie mego projektu uruchomienia Centrum w Brooklynie”.

„Ksiądz otrzyma w tej sprawie odpowiedź z Diecezji Brooklyńskiej”.

„Właśnie otrzymałem. Ta odpowiedź jest negatywna i dlatego chciałem porozmawiać...”

„Takie było stanowisko naszych polskich księży, to już teraz tego nie zmienię. Nie mamy więc po co spotykać się, bo nie ma o czym mówić”.

W tej sytuacji znalazłem się wobec dylematu: pracować dla siebie, to jest pozostać po prostu księdzem w Diecezji Brooklyńskiej, czy też pracować dla Kościoła i dobra społecznego z narażeniem własnej „kariery” przez poświęcenie się Polonii idei założenia Centrum.

Sumienie nie dawało mi spokoju. Ciągłe przypominały mi się słowa Arcybiskupa Romualda Jałbrzykowskiego, który wyświęcał mnie na kapłana Archidiecezji Wileńskiej: „w życiu kapłańskim musicie wybierać cel trudnej służby dla biednych i potrzebujących ludzi w pracy religijno-społecznej, a przez to na pewno wypełnicie Prawo Boże i Kościelne”. W tym czasie Biskup przeniósł mnie do parafii św. Stanisława Biskupa i

Męczennika w South Brooklynie. Dojeżdżałem stamtąd na Greenpoint, by poznać potrzeby tej polskiej dzielnicy. Zatrzymywałem się w biurze Polonia Universal Service Agency, prowadzonym przez moją siostrę i panią Żołnierowicz. Do dziś dnia złośliwi wrogowie moi i sprawy Centrum przypisują mi, jakobym był właścicielem tej agencji...

Wkrótce zorientowałem się, że Greenpoint jest jest jeszcze lepszym punktem lokalizacyjnym projektowanego Centrum, aniżeli Południowy Brooklyn. Dlatego też w ostatnich tygodniach 1971 roku zakupiłem budynek przy 940 Manhattan Avenue. Długie miesiące ciężko pracowałem, aby ten budynek przystosować do użyteczności publicznej, zgodnie z przepisami, i wyremontować tak, aby mógł się stać siedzibą projektowanego Centrum. Z własnych funduszy przeprowadziłem remont i zakupiłem meble oraz konieczny sprzęt. Dzięki temu nie musiałem przeprowadzać zbiórki, ani korzystać z czyjejs łaskawości.

Największe trudności sprawiało sporządzenie wszystkich wymaganych dokumentów, koniecznych dla zarejestrowania Centrum jako instytucji wyższej użyteczności publicznej i uzyskanie następnie wszelkich zwolnień podatkowych, bez czego nie można było ani działać, ani tym bardziej domagać się funduszy na programy społeczne.

Nie miałem pieniędzy na wynajęcie adwokata. Pomagał mi w tym zacny adwokat Józef Płoński, dojeżdżający z Mineoli. Czynił to bezpłatnie, co mnie krępowało. Nie mogłem zwracać się do niego o pomoc zbyt często także dlatego, że był mi bardzo pomocny w moich usiłowaniach kupna budynku po zakonie w South Brooklyn, z których nic nie wyszło.

W urzędach Stanu Nowy Jork poinformowano mnie, w jaki sposób mają być te wymagane dokumenty przygotowane. Wniosek musiały podpisać trzy osoby. Musiałem więc znaleźć dwoje chętnych, co okazało się wprost niemożliwe. Kogokolwiek poprosiłem o podpisanie wniosku wraz ze mną odpowiadał mi, że w Stanach jest i tak za dużo polskich organizacji, które nic nie robią, więc po co jeszcze jedna? Wszyscy mieli dość zebrzań, zbiórek, bankietów, obietnic, z których Polacy nie mają żadnego pożytku. Moje argumenty i wyjaśnianie celu Centrum nie trafiały do przekonania. Wielu nie rozumiało nawet znaczenia dokumentów, które należało podpisać. Przyzwoitsi uważali to wszystko za moje mrzonki. Wielu uśmiechało się z politowaniem. Nie wierzono w możliwość zrealizowania moich zamierzeń. I tak mijały tygodnie, podczas których ciągle jeszcze nie mogłem znaleźć dwóch osób, trzeźwo myślących i zdolnych do wyobrażenia sobie przyszłości.

Tak to zostałem zmuszony by poprosić młodego studenta, Krzysztofa Żołnierowicza oraz energiczną perswazją skłonić moją siostrę, Apolonię Niececką, by stali się współzałożycielami Centrum.

Wielokrotnie pytano mnie i krytykowano, dlaczego nadałem Centrum nazwę „Polsko-Słowiańskie”, a nie po prostu „Polskie”, czy też „Polsko-Amerykańskie”. Wielu naszych rodaków miało do mnie o to pretensję, chyba słuszną, gdyż nazwę tą nadałem sam, bez żadnej dyskusji z innymi organizatorami. A przyczyna była prosta. Nie miałem z kim dyskutować, gdyż Centrum zakładałem sam. Żadnych innych organizatorów nie było. Jest to więc twór jednego człowieka.

Niektórzy, widząc tę nazwę na szyldzie, bali się początkowo nawet wejść. Nazwa odstraszała. Myśleli, że to siedziba polityczna jakiejś zbieraniny Białorusinów, Czechów, Słowaków, Ukraińców czy innych Słowian. Nie wiedzieli, że to organizacja czysto polska. Musiałem tę kwestię często wyjaśniać.

Kierowałem się jednak przy wyborze tej nazwy określonymi celami. Trzeba wiedzieć, że tu w Ameryce czołową pozycję zajmują anglosasi, zwani także WASP-ami. A WASP to nie tylko skrót od White Anglo-Saxon Protestant, lecz oznacza także — osa. Miodu nie daje, lecz zniecka użądlić może. Anglosasi z pogardą odnoszą się nawet do anglojęzycznych Irlandczyków, tylko dlatego, że są katolikami. Nie chcą oni nawet słyszeć o tym, że Amerykanów niemieckiego pochodzenia jest nawet więcej, aniżeli tych pochodzących z Wielkiej Brytanii. A co dopiero Słowianie. WASP nigdy nie miał dla Słowian szacunku.

Trzeba także wiedzieć, że amerykańska statystyka nie bierze właściwie pod uwagę prawdziwej narodowości kraju pochodzenia, lecz poprzednie obywatelstwo. Doszło do tego, że urzędowe formularze amerykańskie zawierają rubrykę „nationality”, którą my uważamy za pytanie o narodowość, zgodnie z rzeczywistym znaczeniem tego słowa, podczas gdy im chodzi jedynie o obywatelstwo. Skutek tego celowego zacierania różnicy pomiędzy obywatelstwem i narodowością jest taki, że według amerykańskiej statystyki najbogatszą grupą narodowościową są... „Rosjanie”. Tymczasem nie chodzi tu wcale o Rosjan, których w ogóle jest tu niezbyt wiele, lecz o Żydów, którzy emigrowali do USA z Rosji i z Polski, w czasach gdy duża część Polski okupowana była przez carską Rosję. Zaliczono więc wszystkich, także i Polaków, którzy z tych terenów wschodnich przybyli do Ameryki przed Pierwszą Wojną Światową, do „Rosjan”. Podobnie kwalifikowano także i po ostatniej wojnie.

Wiedząc o tym, że nawet Polacy urodzeni w Wilnie czy we Lwowie nie są zaliczani do Polaków, uważałem iż uzupełniając nazwę Centrum Polskie dodatkiem „słowiańskie” wzmocnię je jakoby w oczach Amerykanów, zwiększę ilość tych, którzy działalnością tego Centrum mają być objęci, a tym samym będę miał większą podstawę do domagania się funduszy na programy społeczne, a o to przecież chodziło.

I wcale nie pomyliłem się.

Miałem także na uwadze siłę polityczną, jaką takie bardziej szeroko pojęte Centrum mogło w przyszłości stworzyć. Marzyłem o tym, aby to Centrum rzeczywiście było nie tylko polskie, lecz by przyciągnęło i innych Słowian. Z pewnością zwiększyłyby się nasze wpływy na wybory władz w Ameryce, gdyby udało się osiągnąć jedność i poczucie wspólnoty wśród wszystkich Słowian. Tu jednak zawiodłem się. Tego celu dopiąć nie udało się.

A wierzyłem, że wspólnymi siłami uda się wreszcie przełamać mur dyskryminacji w stosunku do Słowian, że wzajemne porozumienie umożliwi w przyszłości powołanie wspólnego Centralnego Biura Słowiańskiego, które wreszcie stanowiłoby prawdziwą siłę — „Slavic Power”, zdolną do wywierania presji w walce o wspólną przecież sprawę, o sprawiedliwość tu w Ameryce, a następnie także i w krajach naszego pochodzenia. Na osiągnięcie tych celów trzeba jednak dużo czasu i jeszcze więcej energii i dobrej woli. A tego czasu mi zabrakło. Piękna idea została pogrzebana, gdy mi bracia Polacy, na własnym polskim podwórku, wprawdzie zaczęli stwarzać kłopoty i trudności, aż wreszcie w nieusprawiedliwiony sposób zabrali mi możliwość kontynuowania tej pracy społecznej wspólnie z innymi narodami słowiańskimi.

Był też jeszcze jeden aspekt mojej idei stworzenia Centrum. Polonia amerykańska płaci wszelkiego rodzaju podatki, na równi ze wszystkimi mieszkańcami USA, nie otrzymując w zamian od władz nic. Inne grupy narodowościowe były zdolne skłonić władze do przyznawania im rozmaitych dotacji, tylko nie Polacy... I nie było żadnej polskiej organizacji, która stawiałaby sobie za cel wywalczenie od władz tego, co nam się słuszenie należy.

Podobnie zresztą ze składkami i ofiarami kościelnymi. Ogromna część kolekt idzie na fundusz diecezjalny. Inne narodowości potrafiły także i od swych diecezji otrzymywać dotacje na działalność społeczną. Tylko Polacy nie mieli i nie mają żadnej organizacji społecznej, która byłaby traktowana przez władze diecezjalne na równi z innymi grupami etnicznymi.

Centrum powstało formalnie dnia 15 sierpnia 1972 roku, gdyż właśnie w tym dniu otrzymałem Akt Założycielski (Charter), uprawniający do rozpoczęcia działalności. Publiczne otwarcie Centrum nastąpiło dnia 7 października tegoż roku. O uroczystej ceremonii otwarcia pisał wówczas red. Józef Dubicki w Nowym Dzienniku:

„Instytucja ta, zorganizowana olbrzymim wysiłkiem ks. Longina Tołczyka, który własnym sumptem i pracą przeprowadził renowację starego domu oraz wyposażył go w nowoczesne urządzenia, służyć ma

potrzebującym pomocy i szukającym pomocy społecznej członkom polskiej i innych słowiańskich grup etnicznych. Ma zająć się pomocą dla biednych, starszych, emerytów, inwalidów, ludzi opuszczonych i bez pracy, nowoprzybyłym emigrantom itp.

W ceremonii otwarcia Centrum Polsko-Słowiańskiego przy 940 Manhattan Avenue w Greenpoincie uczestniczyło liczne grono znanych osobistości, a wśród nich: Michał Ciepłiński z Departamentu Stanu w Waszyngtonie, kongresman John J. Rooney, sędzia Urzędu Imigracji i Naturalizacji p. Viaggio, proboszcz parafii św. św. Cyryla i Metodego ks. L. Baltrucki, ks. prałat Mroziński, gość z Polski ks. prałat Chrzanowski, oraz liczne grono przyjaciół i znajomych ks. L. Tołczyka, m.in. rodzina Niecieckich, Żołnierowiczów, S. Ulanowicz, St. Korcyl, J.H. Dubiccy, Sutowsy, Posikiry, Modzelewscy, M. Hryniewicz, A. Karol i wielu innych.

Po przemówieniach połączonych z życzeniami dla ks. Tołczyka i jego pierwszej tego rodzaju placówki, gości bawiła orkiestra W. Piotrowskiego z solowymi występami artystów. Była to zarazem uroczystość weselna młodej i dobranej pary: Heleny Tołczyk i Edmunda Fidozewicza, którzy tego dnia zawarli ślub w kościele św. św. Cyryla i Metodego, korzystając później z niezwykle miłego przyjęcia w sali Centrum Polsko-Słowiańskiego. Łącząc otwarcie Centrum z uctwą weselną w ten sposób wyraziłem jednocześnie wdzięczność mojej siostrze Helenie, która była pierwszą pracownicą Centrum. Dopomagała mi ona przeprowadzić rozeznanie potrzeb Polonii i zlokalizować Centrum właśnie na Greenpoincie.

Właściwą pracę Centrum rozpoczęło jeszcze przed tą uroczystością otwarcia. Od września czynne były już kursy języka angielskiego. Nie było jednak wtedy jeszcze żadnych członków Centrum, żadnego zarządu, żadnych zebrań. Wszystko odbywało się „prywatnie”, wszystko stanowiło rezultat moich własnych wysiłków. Pierwsze zebranie Centrum zwołałem na niedzielę, 29 października. Przybyły 33 osoby, a wśród nich przedstawiciele niektórych organizacji oraz siedmiu księży. Wśród tych księży nie było oczywiście proboszczów: Edwarda Fusa, Waltera Gałuszki, Thomasa Oborowskiego i Gotharda Krzysteczki, gdyż ci już wcześniej złożyli raport biskupowi brooklyńskiej diecezji, ks. Mugavero, że Centrum Polsko-Słowiańskie jest niepotrzebne. Inni księża byli odmiennego zdania, skoro na moje zaproszenie przybyli na zebranie organizacyjne, a ks. Leon Baltrucki został wybrany i przyjął funkcję przewodniczącego komisji rewizyjnej, jednak widząc niechęć innych proboszczów wkrótce zrezygnował. Głównym przedmiotem obrad tego zebrania, oraz następnych zebrań w dniach 19 listopada, 14 grudnia i 26 grudnia 1972 roku oraz 6 stycznia 1973, była sprawa statutu, który został ostatecznie zatwierdzony na walnym zebraniu członków Centrum dnia 21 stycznia 1973 roku. Ustalono

także warunki członkostwa i składkę roczną w wysokości 10 dolarów, a do pierwszego zarządu wybrano: Roman Mizgalski — prezes, Franciszek Gacek — wiceprezes, ks. Longin Tołczyk — dyrektor wykonawczy, Andrzej Rudziński — sekretarz, oraz dyrektorzy (członkowie rady nadzorczej) — Apolonia Niecicka, Józef Dubicki, Halina Dubicka i Walter Kuskawski. W skład pierwszej Komisji Rewizyjnej weszli: ks. Leon Bałtrucki, William Krusz — przewodniczący, Jan Mierzwa, Stanisław Matyjas i Ignacy Błaszczuk.

Na jednym z walnych zebrań uznano wszystkich obecnych na pierwszym zebraniu Centrum za członków honorowych Centrum. Lista ta obejmuje 33 osoby. Grzechem jednak z mojej strony byłoby pominięcie innych, którzy nie tylko przyszli na zaproszenie lub przyjęli urząd w Centrum, lecz swą pracą czy pieniędzmi przyczynili się do jego założenia.

Do nich należą przede wszystkim moi krewni, którzy pozostawili mi trochę grosza w spadku, dzięki czemu mogłem zacząć działać. Pracując w kościele miałem dziennego dochodu około 5 dolarów, więc wiele bym za te pieniądze nie wskórał. Wdzięczność należy się więc tym spadkodawcom z rodziny Tołczyków oraz ofiarodawcom, którzy zbudowali materialny fundament Centrum: Wojciech, Aleksander i Eleonora, Henryk i Teresa, Zdzisław i Krystyna, Jerzy i Teresa, Władysław, Jan i Romualda, Roman i Wincenta — Tołczykowie, Antoni i Stefania Ulanowicz, Władysław i Apolonia Niecieccy, John i Cecylia Wargaccy, Halina, Krzysztof i Ewa Żołnierowicz, Józef Wargacki z rodziną, rodzina Gołaszewskich, Nerowiczów, Opytów, Czarneckich i innych.

Jeszcze Centrum nie istniało, a ci wyżej wymienieni przyszli już z pomocą, dając ofiary prywatnie dla mnie, które następnie użyłem na ten dobry cel, na utworzenie Centrum dla nowojorskiej Polonii.

Nawet przed formalnym uruchomieniem Centrum odbywały się już lekcje języka angielskiego i prowadzone były usługi społeczne. Pierwszymi pracownikami — wolontariuszami byli: Helena Tołczyk, Barbara Matyjas, Apolonia Niecicka, Krzysztof i Halina Żołnierowicz, Jan Słoniowski, Alicja Chmielicka-Parzęcka i inni. W takich to warunkach, niemal prywatnie, powstawało Centrum Polsko-Słowiańskie. Nie było wówczas jeszcze do dyspozycji setek tysięcy na administrację, jak to jest obecnie. Teraz jest za co się chwalić za pomocą płatnych reklam...

2. NAUCZANIE ANGIELSKIEGO

Bariera językowa, jak wiadomo, jest jedną z największych przeszkód w życiu imigranta, uniemożliwiająca mu uzyskanie lepszej pracy i branie udziału w życiu społecznym kraju zamieszkania.

Mając to na uwadze, zorganizowałem nauczanie języka angielskiego, jako pierwszy program działalności Centrum. Przyszło to o tyle łatwo, że uzyskałem już wcześniej od wydziału oświaty stanu Nowy Jork zezwolenie na uruchomienie takiego kursu. Roman Mizgalski był wówczas przewodniczącym Rady Oświatowej XIV Dystryktu, więc zwróciłem się do niego, by pomógł mi w uzyskaniu nauczycieli z Urzędu Oświaty. Dzięki niemu mieliśmy tych nauczycieli, płatnych przez Urząd Oświaty. Pierwsze grono nauczycielskie było pochodzenia polskiego.

Jeszcze nie istniał zarząd Centrum, a już ruszyły kursy języka angielskiego. Uroczyste otwarcie istniejących do dziś dnia kursów odbyło się 22 września 1972 roku. Liczba uczniów wzrastała szybko, osiągając z czasem średnio 300 osób. Kursy prowadzone były na kilku poziomach zaawansowania, prowadzone przez 6 dni w tygodniu, a w niektórych latach także w niedzielę. Od 15 grudnia 1972 roku prowadziłem kurs przygotowania obywatelskiego dla tych osób, które miały przyjąć obywatelstwo Stanów Zjednoczonych. Na kursie tym wykładałem m.in. Konstytucję i historię USA, strukturę administracji miejskiej, stanowej i federalnej, oraz prawa i obowiązki obywateli.

Warto wspomnieć, że p. Ewelina Sanz, wiceprezeska zarządu Centrum, w ciągu kilku lat prowadziła bezpłatnie lekcje angielskiego w soboty, wykorzystując swych słuchaczy także i w innym kierunku: jej klasa dawała przy różnych okazjach efektowne występy artystyczne. Wesole to były i niezmiernie żywe czasy w Centrum. Choć bywały też i trudności. Często na początku roku szkolnego nie mogliśmy pomieścić wszystkich w dwóch salach. Po paru tygodniach ilość uczniów dziwnie topniała. Okazało się, że niektórzy przychodzili tylko po to, aby zapoznać się z innymi; część dochodziła do wniosku, że angielski jest zbyt trudny i rezygnowała z nauki. Klasycznych przykładów „słomianego ognia” widzieliśmy sporo.

Dużo jednak było tak wytrwałych, że domagali się kontynuowania kursów nawet podczas wakacji. Musieliśmy im ustąpić, wskutek czego

nauczanie w Centrum odbywało się przez okrągły rok.

Zdarzały się także przypadki chorobliwego skąpstwa. Korzystać z kursów — owszem, ale zostać członkiem Centrum i zapłacić 10 dolarów rocznie składki? Co to, to nie. Nie mam pretensji do nowoprzybyłych, ale wiem, że wśród tych opornych byli także wcale nie biedni, którzy pracowali w USA już od lat. A nam chodziło przecież bardziej o ilość członków, aniżeli o składkę.

Skarżyli się więc do Wydziału Oświaty, że zmuszam ich do członkostwa. Musiałem się z tego tłumaczyć. Wydział Oświaty stał na stanowisku, że skoro on płaci nauczycielom, więc nie mamy prawa pobierania jakichkolwiek opłat. Argumentowałem, że my przecież dajemy salę, światło, ogrzewanie, sprzątanie itd., ale te argumenty nie trafiły upartym biurokratom do przekonania.

Z uczniami, to jeszcze pół biedy. Gorzej było z nauczycielami... tymi swoimi, rodakami. Po roku działalności kursów dogadali się oni po cichu z prezesem Centrum, gdyż tak jak i on — wszyscy oni byli urodzeni w Ameryce, by wszystkie klasy przenieść do szkoły publicznej, w której jedna z naszych nauczycielek była zastępczynią kierownika. W połowie grudnia 1973 ze zdumieniem zobaczyłem, że nauczyciele rozdają naszym uczniom kartki z adresem szkoły, do której kurs zostaje przeniesiony.

Byłem przecież dyrektorem wykonawczym Centrum i wiedziałem, że nie było ani takiej decyzji zarządu, ani takiego zarządzenia władz oświatowych. Zdenerwowany zatelefonowałem do prezesa, który oświadczył mi, że tak zadecydowano w Wydziale Oświaty.

„Jak to?! Bez uprzedzenia? Bez żadnego pisma? Nie wierzę!” Była sobota, ostatni dzień nauki przed feriami świątecznymi. Porozumiałem się z pozostałymi członkami zarządu i postanowiliśmy sprostować informację nauczycieli. Musiałem oznajmić w każdej klasie, że kursy przeniesione nie będą, gdyż nie jest to zgodne z decyzją zarządu, a lekcje będą odbywać się po świętach Bożego Narodzenia nadal w Centrum. Jeśli nauczyciele nie zechcą tu uczyć, to mogą sobie odejść. Wysłaliśmy także natychmiast telegram do Wydziału Oświaty:

„Prosimy o odłożenie decyzji odnośnie przeniesienia kursów języka angielskiego z Centrum Polsko-Słowiańskiego, do czasu naszego wspólnego spotkania. Centrum poniosło wiele kosztów i pracy dla zorganizowania tych kursów, a teraz wasza nagła decyzja zmierza do zniweczenia naszych wysiłków. Brak odpowiedzi i pozytywnego załatwienia tej sprawy spowoduje, że obciążymy Wydział Oświaty wszystkimi kosztami. Z poważaniem: Franciszek Gacek, wiceprezes; ks. Longin Tołczyk, dyrektor wykonawczy”.

W poniedziałek o 8 rano telefon od superintendenta Wydziału Oświa-

ty. „Co ma znaczyć ten telegram, proszę księdza? Nic nie wiemy o żadnym przenoszeniu!”

Ale zastępczyni kierownika szkoły przyniosła mi pismo na blankiecie szkoły, z jej własnym podpisem, więc musiałem potraktować sprawę poważnie. Pojechałem z tym listem do Wydziału Oświaty. Rezultat był taki, że wyznaczono posiedzenie rady szkolnej za tydzień. Chciałem wziąć ze sobą parę osób, trochę bałem się, nikogo w tej radzie nie znałem, ale nikogo nie wpuszczono, oprócz mnie. Musiałem sam się bronić. Debaty toczyły się po angielsku, ale błotem obrzucali Centrum nasi rodacy-nauczyciele po polsku... a że miejsce nauczania nie ma ubezpieczenia, i drabiny nie ma, by uciekać w razie pożaru... Odpowiedziałem, że polisę ubezpieczeniową mam i przedstawię ją władzom na każde żądanie. Natomiast drabina jest chyba niepotrzebna, gdyż wszystkie kursy mieszczą się w pomieszczeniach na parterze... Wybuchł śmiech. Nauczycielom nakazano nadal nauczać w Centrum, a Rada Oświatowa przeprowadzi inspekcję warunków lokalowych. Komisja była zachwycona zarówno frekwencją w klasach, jak i samym lokalem i jego czystością. Prezesa Mizgalskiego, na specjalnym zebraniu, członkowie zawiesili w czynnościach... Rezultat afery okazał się dla nauczycieli niepomysłny. Poradzono nam wymienić nauczycieli i skierowano nas do Wydziału Oświaty dla Dorosłych, skąd kierowano do nas co prawda obcych, nie Polaków, ale lepszych pedagogów. Bywali i... nienajlepsi, na których uczniowie skarżyli się, ale ci „obcy” już nigdy nie byli w stanie zmontować „frontu jedności” przeciwko Centrum...

Jak wykazało moje dziesięcioletnie doświadczenie w Centrum, najlepszym rozwiązaniem są jednak nauczyciele opłacani przez Centrum, a nie przez Wydział Oświaty. Nauczyciele angażowani przez miasto mają zbyt wiele wymagań, oferując w zamian nie zawsze dobrą pracę. Centrum nie ma prawa ich zwalniać. A tymczasem nasi uczniowie chcą opanować język szybko, co wymaga bardziej intensywnej pracy wykładowcy.

Szukałem wyjścia z tej sytuacji. Korzystając z faktu, że inne grupy etniczne miały podobne powody do niezadowolenia, założyliśmy Radę Amerykańskiego Nauczania Imigracyjnego, w skład którego weszły następujące organizacje: Agadath Israel of America, Hellenic Neighborhood Action Committee, Chinatown Planning Council, Jewish Community Council of Washington Heights, New York Association for New Americans oraz nasze Centrum Polsko-Słowiańskie. Wspólnie przedłożyliśmy władzom propozycję, aby fundusze na kształcenie nowoprzybyłych były przekazywane wprost do rąk organizatorów kursów, zamiast poprzez Wydział Oświaty, dzięki czemu moglibyśmy sami angażować odpowiednich nauczycieli.

Sprawa ta nie została zakończona podczas mojej kadencji. Nie wiem nawet czy starania w tym kierunku po moim odejściu były w ogóle kontynuowane. Nowi władcy Centrum, z Przybyłowskim na czele, nie pozwolili mi na realizację moich planów. Niechaj więc sami ponoszą odpowiedzialność za losy nauczania w przyszłości. Z czystym sumieniem twierdzę, że w porównaniu z innymi grupami etnicznymi byliśmy jednym z najbardziej uczęszczanych ośrodków nauczania, zarówno pod względem ilości godzin nauki, jak i ilości słuchaczy. Centrum spełniało w ten sposób jeden z najważniejszych obowiązków społecznych względem naszych braci, potrzebujących nowego startu w kraju osiedlenia.



Lekcja języka angielskiego w CPS

3. SPRAWY IMIGRACYJNE

Cztery dni trwały męczące przesłuchania w Wydziale Docho-dzeniowym nowojorskiego Urzędu Imigracyjnego, prowadzone pod kierownictwem Alexandra Flastersteina. Musiałem bronić się przed dziesiątkami kłamstw, oszczerstw i zarzutów, które zawarte były w doniesieniach na mnie. Fabrykantami donosów były agencje i biura pod-róży, oraz ludzie złośliwi, którzy myśleli, że Centrum zabierze im całą klientelę. Byli oni początkowo tak zaskoczeni szybkim rozwojem Centrum, że zaatakowanie mojej osoby wydało im się najlepszą formą obrony swoich interesów. Dopiero po jakimś czasie niektórzy z nich spostrzegli się, że Centrum nie zamierza sprzedawać biletów lotniczych, lecz załatwia ulgowe bilety komunikacji miejskiej dla osób starszych oraz kartki żywnościowe dla biednych.

Najdłużej pisała listy szkalujące Centrum i mnie pewna agencja z Broadwayu; nawet do City Hall wystąpiła z wnioskiem by nie przydzielać Centrum żadnych funduszy i nie zatwierdzać żadnych programów społecznych. Po dwóch tygodniach wezwano mnie do Urzędu Imigracyjnego ponownie, by oznajmić decyzję, że wszelkie zarzuty były bezpodstawne. Uznano mnie za niewinnego, przeciwnie, pochwalono, że robię dobrą robotę pomagając wypełniać formularze i załatwiać różne sprawy imigracyjne ludziom, których nie stać na opłacenie agentów czy adwokatów. Wkrótce też złożyłem wniosek o zalegalizowanie tej działalności. Zdałem odpowiedni egzamin, a Centrum zostało zaopatrzone w zapas różnych potrzebnych formularzy. Uzyskałem oficjalne przedstawicielstwo w sprawach imigracyjnych, to znaczy prawo reprezentowania Polaków i innych Słowian przed władzami imigracyjnymi we wszelkich sprawach, włącznie z obroną przed deportacją w najwyższym Urzędzie Odwoławczym, a także prawo pobierania minimalnych opłat za te usługi. Z prawa tego nie korzystałem. Przeciwnie. Z własnych pieniędzy nabywałem wiele formularzy, a także dokonywałem poświadczeń notarialnych bezpłatnie. Zależało mi na tym, by pozyskać jak najwięcej członków Centrum i dlatego chciałem, aby wszystkie usługi Centrum były w miarę możliwości bezpłatne.

Mimo to, opanowane jakąś niezrozumiałą nienawiścią ciemne siły

nadal szerzyły się plotki: „Patrzcie, jak on was okrada i jak się na was bogaci!”

Pewnego razu w hotelu Plaza odbywała się konferencja z władzami imigracyjnymi, połączona z obiadem. Przed jej rozpoczęciem podszedłem do grupy znanych mi urzędników nowojorskiego urzędu i zacząłem witać się. Nagle jakaś kobieta rzuciła się do ucieczki. Mój znajomy urzędnik, człowiek z dobrym sercem i rozumiejący nieszczęście Polaków, John Gilligan, zawołał za nią: „Sawojka, Sawojka, nie uciekaj! Powiedz nam teraz przy księdzu Tołczyku, co o nim nam ciągle mówisz”... Lidii Sawojki nie znałem i nigdy z nią osobiście nie rozmawiałem. Miałem jednak coraz to groźniejsze informacje, że szkaluje mnie wobec władz imigracyjnych tak uporczywie, że w końcu czułem się zmuszony zwrócić do jej dyrektora z Migration and Refugee Service, Edmunda E. Cummingsa z zażaleniem, domagając się jej ukarania i skłonienia do zaprzestania tych praktyk. Po usunięciu mnie nowi władcy Centrum uhonorowali ją dyplomem. Mnie na złość?...

Jak bardzo starano mi się zaszkodzić niech świadczy następujący fakt, opowiedziany mi przez znanego w środowisku polskich księży Ojca Władysława Gowina, Chrystusowca, obecnie przedstawiciela Episkopatu Polskiego. A oto jego słowa:

„Kiedy jeszcze byłem w kraju, konsul amerykański odmówił wizy wjazdowej do USA mojej kuzynce. Postanowiłem zbadać sprawę i w tym celu udałem się do konsulatu amerykańskiego osobiście. Urzędnik spojrzął na dokumenty poświadczone notarialnie przez ks. Tołczyka i powiedział: „Ks. Tołczyk już chyba siedzi w więzieniu za nadużycia w sprawach imigracyjnych. Piszą tu do nas o tym”.

Tak to ciemne siły potrafią oczernić człowieka. A Amerykanie chętnie zbierają wszelkiego rodzaju donosy, gdyż w ten sposób władze nie potrzebują bać się mniejszości narodowych. Nie poskramiają donosicieli i oszczerców, nawet jeśli donosy okażą się całkowicie bezpodstawne, gdyż dzięki temu nie muszą nikogo pilnować. Mają w ten sposób masę informacji, co dzieje się wewnątrz różnych grup etnicznych, a taka polityka nic władze nie kosztuje.

W przypiływie szczerości jeden z wyższych urzędników imigracyjnych powiedział mi: „Niech ksiądz powie swoim rodakom, aby tak strasznie siebie nawzajem nie oskarżali... Gdy byłem młody, to wiele czytałem o waszej historii, o wielkich uczonych i wodzach narodu polskiego, o generałach Pułaskim i Kościuszką, którzy przyjechali do Ameryki, aby walczyć o naszą wolność. Myślałem wtedy, że Polacy to zacni i honorowi ludzie. Teraz po wielu latach mojej pracy w Urzędzie Imigracyjnym zmieniłem zdanie, bo nasz wydział dostaje najwięcej donosów i wzajem-

nych oskarżeń właśnie od Polaków. Wczoraj nawet miałem taką sprawę. Brat oskarżył swego brata, że przyjechał do niego na wizytę, a pracuje bezprawnie na cudzy numer Social Security. Podał miejsce pracy i adres. Zagroził nam, że jeśli go nie deportujemy, to będzie pisał w tej sprawie do wyższych władz, do Waszyngtonu. A teraz, kiedy aresztowaliśmy jego brata, to przyszedł go bronić. Przedstawiłem więc mu jego własny list. Zaparł się, że to nawet nie jego charakter pisma. Wyjąłem jego akta i porównałem. Nie jestem ekspertem, ale byłem stuprocentowo pewny, że to on pisał. Powiedziałem mu więc, że na podstawie jego własnych dokumentów przez eksperta mu udowodnię, że to on pisał donos, ale wtedy za kłamstwo deportuję również i jego. Wtedy przyznał się, błagał by mu darować, przeproszał, że pisał w zdenerwowaniu i że tego teraz żałuje bardzo”.

A i sam miałem przykłady podłych donosów. Pewna młoda pani zgłosiła się do mnie z płaczem, że adwokat Jabłoński odmówił dalszego prowadzenia jej sprawy przed sędzią administracyjnym Urzędu Imigracyjnego. Celem upewnienia się, że nie wchodzę w cudze kompetencje, zatelefonowałem do mecenasa Jabłońskiego, by dowiedzieć się, czy rzeczywiście zrezygnował. Odpowiedział mi, że nie widzi możliwości obrony, gdyż petentka trzykrotnie podpisała kłamliwe oświadczenia przedłużając wizę, że nie pracuje. Teraz adwokat złożył wniosek o pobyt stały, a ona znów pod przysięgą zeznała, że nie pracuje i nie posiada Social Security. Tymczasem Urząd Imigracyjny ma adres jej miejsca pracy i zna jej numer Social Security. „Nie radzę Księdzu wtrącać się w tę sprawę, bo będzie ksiądz tylko świadkiem deportacji”. — powiedział mi adwokat. W tej sytuacji chętnie bym się od prowadzenia tej sprawy wymigał, ale biedna niewiasta rozplakała się: „Kto mi pomoże, jeśli Ksiądz odmówi?!”

Nie miałem nawet czasu na przejrzanie akt, a dwa dni później był termin rozprawy. Poszedłem. Prokurator ostrzegł mnie, że od deportacji jej nie wybronię, gdyż świadczą przeciwko niej czterokrotne kłamstwa. Mówiąc to, przerzucał grubą teczkę z aktami. Zauważyłem długi, ręcznie pisany list po polsku. Zdążyłem tylko zauważyć, że zarówno imię jak i nazwisko podpisanego zaczynają się na literę „J”.

„Nawet jeśli wytłumaczy się z kłamstwa, to druga sprawa ją obciąża tak, że wizy na pobyt stały nie dostanie” — dodał prokurator. Miałem jeszcze kilka minut przed rozprawą, więc zapytałem klientkę, kogo zna o imieniu i nazwisku, zaczynającym się na literę „J”? Natychmiast mi powiedziała jego imię i nazwisko, więc poprosiłem, by szczerze opowiedziała, co ją łączyło z tym człowiekiem.

„Poznałam go w kolejce podziemnej. Mówił, że jest agentem, urzędnikiem i może mi we wszystkim pomóc. Dwa razy umawiał się ze mną,

w restauracji przy hotelu, ale mu dwa razy uciekłam. Kiedy widziałam go ostatni raz, to powiedział, że ma chody w Urzędzie Imigracyjnym i postara się, aby mnie deportowali”.

To już był jakiś argument obrony. Z pierwszego zarzutu o czterokrotnym kłamstwie obroniła się w sposób następujący: „Kiedy byłam małym dzieckiem, w czasie wojny to zawsze widziałam i słyszałam, że moi rodzice musieli kłamać do władz niemieckich, później rosyjskich, a potem i do polskich. Myślałam, że władzom trzeba zawsze kłamać.” Sędziemu spodobało się to oświadczenie. Kazał tłumaczowi dwa razy powtarzać sobie to zdanie. Wreszcie zapytał: „A czy pani zamierza władzom amerykańskim nadal kłamać?” Skruszona klientka odpowiedziała, że nie, kłamać nie chce, i za te kłamstwa bardzo przeprasza. Sędzia uśmiechnął się do mnie, zerknął na prokuratora i stwierdził, że uznaje tę odpowiedź za wystarczającą.

„Co pan ma jeszcze przeciwko niej?” — zapytał sędzia prokuratora. Prokurator zdezorientowany szybkim załatwieniem sprawy zaczął nerwowo przerzucać akta i wreszcie poprosił o odroczenie sprawy, gdyż nie jest przygotowany.

Wtedy i ja zabrałem głos. Powiedziałem, że o sprawie dowiedziałem się wczoraj i także nie jestem przygotowany, wobec czego prosiłem prokuratora o odroczenie. Ale nie zgodził się, tylko zagroził, że dziś jeszcze będzie deportowana. A skoro tak twierdził, to znaczy, że był przygotowany, a wobec tego ja proponuję dokończenia sprawy na dzisiejszym posiedzeniu.

Sędzia zarządził półgodzinną przerwę, podczas której prokurator przy pomocy tłumacza raz jeszcze odcyfrował posiadany donos. A ja tymczasem przygotowywałem klientkę do dalszej obrony na oszczerce i kłamliwe zarzuty tego pana „J”.

Rozprawa została wznowiona. Prokurator oświadczył, że poruszane będą sprawy dotyczące prywatnego życia mojej klientki, kompromitujące ją, więc może nie życzy sobie, aby ksiądz słyszał te zarzuty. Na jej życzenie ksiądz może wyjść, a ona może odpowiadać sama, lub zażądać innego obrońcy. Odpowiedziała, że nie ma nic złego na sumieniu i życzy sobie odpowiadać w mojej obecności, gdyż na adwokatów nie stać ją. Prokurator zarzucił jej, że jest kobietą złego prowadzenia się, a prawo imigracyjne zabrania udzielania wizy na pobyt stałym osobom uprawiającym prostytutkę. Powołał się przy tym na posiadane w aktach dowody.

Nagle klientka przerwała wywody prokuratora i z płaczem, podniesionym głosem, wymieniła imię i nazwisko tego pana „J”, oskarżając go, że dwa razy zapraszał ją do restauracji i dwa razy mu uciekła, mimo iż ten już zapłacił za hotel.

Sędzia zapytał o adres i nazwę hotelu i restauracji, a po krótkiej nara-dzie z prokuratorem odłożył sprawę na miesiąc.

Przedstawiłem wówczas wniosek, by władze ustaliły dane dotyczące tego pana „J”. Czy jest żonaty? Czy ma dzieci i ile? Jaki ma status imig-racyjny, czy jest obywatelem, czy tylko mieszkańcem USA? Po upływie miesiąca sędzia orzekł, że gratuluje mojej klientce. Otrzyma ona wizę stałego pobytu w Stanach Zjednoczonych. Udzielił także odpowiedzi na moje poprzednie pytania, podając wszelkie dane o donosicielu i zapytał, czy domagam się jakiejś kary dla niego. Odpowiedziałem, że nie należy go karać, gdyż żona i dzieci i tak już cierpią mając takiego ojca i męża, a byłiby wraz z nim także ukarani. Wniosłem tylko, aby wpisano do jego akt, że nie powinien nigdy otrzymać obywatelstwa USA. Sędzia zgodził się i zarządził wpisanie odpowiedniej wzmianki.

Jednak kontakty z władzami imigracyjnymi nie zawsze były tak sielankowe. Chyba w żadnym kraju urzędnicy imigracyjni nie mają tak wielkiej władzy i tak szerokich uprawnień, jak w USA, co bywa też po-wodem różnych nadużyć. Niejeden z nas miał okazję o tym się przekonać, a ja przekonałem się na własnej skórze.

Pierwszych doświadczeń w prowadzeniu spraw imigracyjnych nab-rałem w toku starań o zmianę wizy czasowej na pobyt stały. Nie wiedziałem jak się do tego zabrać. Mój znajomy, Ludwik Szulc, wziął mnie do swego, „dobrego” adwokata, a ten z miejsca zażądał 3 tysięcy dolarów. Wzru-szyłem ramionami i powiedziałem, że niestety, pieniędzy nie mam, a sprawa spadkowa w Chicago ciągnie się już długo i nie wiadomo, kiedy jakiś grosz zobaczę. Wobec tego adwokat natychmiast spuścił z tonu. Obniżył cenę do 2,500 dolarów, ale zażądał wpłaty 1 tysiąca dolarów w momencie wniesienia sprawy. To było dla mnie także nierealne. Nastę-pnego dnia poprosiłem panią Marię Szulc, by udała się ze mną do Urzędu Imigracyjnego po wszystkie potrzebne formularze. Po kilku dniach skompletowałem dokumenty, łącznie z gwarancją pracy wydaną przez Diecezję Brooklyn, podpisaną przez Kanclerza Kurii Biskupiej, co jest wymagane w takich przypadkach.

Nieszczęście chciało, że w dniu składania wniosku w Urzędzie spotkał mnie ten sam adwokat i zapytał, czy sam wnoszę sprawę bez jego pomocy. Odpowiedziałem potakująco. Skoro nie mam pieniędzy, to muszę to sam zrobić. Wyraził mocne powątpiewanie, czy będę zdolny sam sobie to załat-wić.

Tymczasem urzędniczka sprawdziła moje papiery i powiedziała, że wszystkie dokumenty są w porządku i że moja sprawa, jako księdza, pójdzie poza preferencjami, tak iż w ciągu 4 miesięcy otrzymam odpo-

wiedź. Spięła wszystkie dokumenty, opatrzyła pieczęciami i poleciła wpłacić w kasie 10 dolarów. Zdziwiłem się, że tak mało.

Minęło jednak dwa razy po cztery miesiące, a odpowiedzi ciągle nie było. Zacząłem co miesiąc odwiedzać Urząd Imigracyjny, wypełniając za każdym razem formularz wniosku o przyspieszenie, i za każdym razem otrzymując odpowiedź, że trzeba jeszcze poczekać.

Po upływie roku nie wytrzymałem i wybrałem się z samego rana do Urzędu z zamiarem domagania się konkretnej odpowiedzi, gdyż paszportu nie chciano mi już więcej przedłużać.

Zgodnie z praktyką biurokratów Urzędu, usiłowano mnie pozbyć się. Tym razem nie poddałem się i zażądałem rozmowy z Dyrektorem Dystryktu, któremu opowiedziałem całą sprawę.

Wzięto mnie z powrotem do poczekalni i kazano czekać. Urzędniczka otrzymała polecenie odnalezienia moich akt. Nie mogła znaleźć. Pięć razy wracała do mnie po bliższe informacje, kiedy i jak wniosek został złożony. Pytała o pokwitowanie. Nie miałem. Popełniłem błąd. Płaciłem gotówką, a pokwitowania nie otrzymałem. Nie mogąc znaleźć mojej teczki usiłowała wmówić we mnie, że może składałem wniosek w jakimś innym urzędzie i abym dłużej nie czekał; zawiadomi mnie kiedy akta znajdzie. Tym razem nie wytrzymałem. Oświadczyłem kategorycznie, że będę czekać do piątej, a jeśli nie znajdzie, to przyjdę następnego dnia rano i tak będę przychodził codziennie, aż akta się znajdą i otrzymam konkretną odpowiedź, dostanę wizę czy nie.

Biedaczka znów poszła szukać i na kilka minut przed piątą wróciła z wiadomością, że znalazła... w dziale akt przeznaczonych na spalenie. Przypomniały mi się słowa tego adwokata, „specjalisty od spraw imigracyjnych”, że sam sprawy nie załatwię. Nie posądzałem go i nic nikomu nie powiedziałem.

Dano mi wreszcie nazwisko i numer telefonu osoby, która mi następnego dnia miała udzielić odpowiedzi, czy otrzymam wizę.

Udało się...

Bywały też i inne trudności. Często dyskryminacyjną politykę w stosunku do Polaków uprawiali amerykańscy konsulowie w kraju.

W latach siedemdziesiątych na przykład, przy udzielaniu wizy wpisywano klauzulę „Only for one month”. Nie postępowano tak wobec obywateli innych krajów, tylko wobec naszych biednych rodaków z „PRL”. Zwykle konsulaty udzielają wizę w taki sposób, że pozostaje okres do 3 miesięcy zanim nastąpi wyjazd. Ważność wizy zaczyna się normalnie od momentu przekroczenia granicy USA. Skoro jednak konsul zastrzegł jej ważność tylko na jeden miesiąc, to sugerowało to urzędnikowi na lotnisku, czy innym punkcie przekroczenia granicy, że należy udzielić prawa pobytu

tylko na jeden miesiąc. Nasz rodak był zdezorientowany i często wpadał w pułapkę.

Obywatelom innych krajów konsulaty amerykańskie udzielają zwykle wiz z prawem wielokrotnego przekraczania granicy, ale nie Polakom. Nam dają tylko zezwolenie na jednorazowy wjazd. Korzystając z moich uprawnień w Centrum, pisałem skargi w tej sprawie do Głównego Urzędu Imigracyjnego, zapytując, kto wydał takie instrukcje konsulom, by dyskryminować Polaków? Odesłano mnie do Departamentu Stanu. Odpowiedzi już nie zdążyłem otrzymać. Nasi rodacy załatwili mnie... zostałem usunięty.

* * *

Najwięcej jednak bezprawia dzieje się w punktach przekraczania granicy USA. Przyjeżdżający nasz rodak z miejsca traktowany jest jak podejrzany. Urzędnicy imigracyjni nierzadko zabierają mu wszystkie dokumenty i nakazują zgłosić się za kilka dni do Urzędu Imigracji celem złożenia wyjaśnień przed sędzią administracyjnym Urzędu. Wielokrotnie występowałem w takich sprawach. Takie postępowanie nie jest jeszcze najgroźniejsze, gdyż zwykle są szanse uzyskania jakiegoś okresu pobytu w USA. Gorzej, gdy urzędnik na lotnisku sam podejmuje decyzję, korzystając z najmniejszego niedopatrzeń przy udzielaniu wize w konsulacie. Urzędnik przywłaszcza sobie wówczas funkcję sędziego i sam decyduje o odesłaniu podróżnego z powrotem do ojczyzny pierwszym, lepszym samolotem.

Nasz rodak marzył nieraz całe życie o tej wyśnionej Ameryce, a teraz, nagle został uznany na granicy za przestępcę. Nie znając języka nie może nawet zapytać o swoje prawa do obrony. Jakiś przypadkowy tłumacz zdawkowo mu coś odpowie, z czego nasz rodak niewiele zrozumie. Wprowadzają go, jak przestępcę, do samolotu i wraca zrozpaczony, bo wydał na tę podróż nieraz dorobek swego życia, lub zapożyczył się w nadziei, że pobyt w Ameryce umożliwi mu spłatę długu.

A co na to ta cała nasza „wielka Polonia”? Zna przecież przepisy prawa i dobrze wie, że każdy ma w takiej sytuacji prawo do obrony, prawo do skorzystania z pomocy adwokata, i że jedynie sędzia może wydać w takich sprawach wiążącą decyzję, a nie zwykły urzędnik imigracyjny, często uprzedzony w stosunku do Polaków i dyskryminujący ich bezkarnie pod osłoną autorytetu i prawa administracyjnego. Trzeba przyznać, że w tej dziedzinie nasi dzielni wojacy z ostatniej wojny, którzy już dawno prawem naturalnym przejęli ster rządów Polonii, wyraźnie stchórzyli. Nie tylko nic nie robią nawet w najbardziej rażących przypadkach dyskry-

minacji rodaków, ale też i dawno zapomnieli o swych współpracach, którym nie udało się wydostać z głębokiej Rosji.

Weźmy przykład z Żydów. Jakże oni pracują dla swoich! Ich delegacje zawsze czekają na lotnisku, kiedy przybywają emigranci z Rosji. Ci nie muszą błąkać się w poszukiwaniu informacji lub pomocy.

Nasi rodacy są zdani na łaskę losu...

Kilka wzmianek w polskiej prasie na temat dyskryminacji Polaków sprawy nie załatwi. Polonia winna by zorganizować delegację do Dyrektora Dystryktu Urzędu Imigracyjnego i zażądać zaniechania tych praktyk w stosunku do Polaków. Tylko taka postawa może dać jakieś rezultaty. A jeśli i to by nie pomogło, to delegacja musiałaby udać się do Wysokiego Komisarza Urzędu w Waszyngtonie.

W ostateczności jest i droga sądowa. Można wnieść o odszkodowanie przeciwko Urzędowi Imigracyjnemu i Konsulowi, który udzielił wize, niewłaściwie sklasyfikował kandydata i naraził go na straty wskutek u niemożliwienia zaplanowanego pobytu w USA. Kilka takich procesów zmusiłoby władze administracyjne do zaniechania dyskryminacji.

Wiele razy byłem na lotnisku J.F. Kennedy w Nowym Jorku i spotykałem przybywających z kraju, służąc im jako tłumacz i pomagając przy pierwszym spotkaniu z urzędnikami imigracyjnymi. Ani razu nie widziałem tam jednak przedstawiciela z Polskiego Komitetu Imigracyjnego. Polski Komitet Imigracyjny ogranicza się do spraw azylowych i zajmuje tylko przybyszami z obozów w Europie. Przez parę ubiegłych dziesięcioleci lokował swych podopiecznych w brudnych hotelach, na okres kilku dni, rzadziej tygodnia lub dwóch, i dając im kartki na wyżywienie w Stołówce naszego Centrum, czy kilka dolarów na przejazdy. Nikt jakoś nie pomyślał, że z funduszy tego Komitetu można było stworzyć załączek własnego Domu Imigranta, co znów byłoby dostateczną podstawą do wnioskowania o subwencje stanowe lub federalne na jego utrzymanie.

Organizacje innych grup etnicznych potrafiły jakoś delegować swych przedstawicieli na lotnisko, upoważnionych nawet do natychmiastowego wypełniania i podpisywania „affidavit of support” — dokumentu koniecznego do otrzymania wize pobytowej. Władze imigracyjne liczą się z autorytetem takich organizacji i nie odmawiają wize nawet w przypadkach które bez tej pomocy uznać by należało za bardzo wątpliwe.

* * *

Szukałem odpowiednich ludzi, którzy mogli by poświęcić się tym sprawom, gdyż sam pracowałem często po 16 godzin dziennie i nie mogłem podołać wszystkim zadaniom, jakie sam na siebie przyjmowałem

w intencji pomocy naszym rodakom. Szukałem też jakichś rozwiązań finansowych, aby takim specjalistom do spraw nowoprzybyłych zapewnić zapłatę. Żał mam do moich wrogów, że nie pozwolili mi tej pracy, tych starań, kontynuować. A sami przecież tym się nie zajmą, to pewne...

4. PIERWSZA OBRONA CENTRUM PRZED ATAKIEM AGENCJI POLONIJNYCH

Wszyscy wiemy, że tu w Ameryce panuje żelazna zasada konkurencji, nie zawsze uczciwej, ale zawsze zacieklej, we wszystkich dziedzinach życia gospodarczego, a także politycznego.

Polacy działają raczej na marginesie w obu tych dziedzinach, ale w małym światku drobnych interesów toczą walkę konkurencyjną z gorliwością i zaciętością prześcigającą innych, ustępując tylko mafii w tym, że nie posuwają się do mordowania fizycznego swych przeciwników. Niechaj tylko jakiś Polak spróbuje organizować przedsięwzięcie w branży, w której usadowił się już inny Polak, to nie spotka się z pomocą, czy dobrą radą, lecz przeciwnie. Napotka wrogość i przeszkody ze strony swych współrodaków.

Pewnego razu zgłosił się do naszej Unii Kredytowej Andrzej Wojnarowski z prośbą o pożyczkę na dom. Jest on zresztą teraz właścicielem wielkiego sklepu spożywczego „Associated” przy Manhattan Avenue i innych nieruchomości na Greenpoincie. Wówczas jednak jego wniosek spotkał się z odmową, mimo że był zgodny z wymaganiami Unii Kredytowej. Mieczysław Przybyłowski i Ryszard Konopka, posiadacze podobnego, ale mniejszego sklepu, sprzeciwili się, uzasadniając wprost tym, że Wojnarowski zamierza kupić dom i otworzyć konkurencyjny sklep spożywczy.

To już przecież nie zwykła walka konkurencyjna, kiedy obie strony starają się prześcignąć niższymi cenami, czy lepszym zaopatrzeniem i obsługą. To zwykła zazdrość: nikt nie może mieć więcej od nich, nikt nie ma prawa być bogatszym, nikomu nie może powodzić się lepiej od nich.

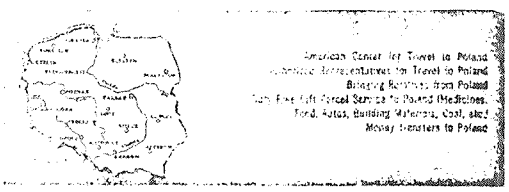
Nasz rodak poszedł więc do obcych, którzy mu pomogli. Okazał się zdolnym kupcem. Rezultat jest taki, że teraz ani Centrum ani Unia Kredytowa na jego pomoc liczyć nie mogą i z pewnością swoich oszczędności u nas nie ulokuje. Tak to zazdrość pożera nas i niszczy.

Kiedy Centrum stawiało pierwsze kroki uzasadniałem jego potrzebę koniecznością pomocy nowoprzybyłym w ich sprawach imigracyjnych. Komitet polskich księży, mianowany przez biskupa, orzekł, że to jest zbędne. Wystarczy załatwianie w Ośrodku Diecezjalnym, czy otwarte później jakieś małe biuro migracyjne o jednym pracowniku. Sprzeciwiałem się temu, więc przeszkadzano mi. Doszło do tego, że kiedy załatwiałem jakieś sprawy u władz imigracyjnych, to dzwoniono do biskupa, pytając czy zostałem delegowany do załatwiania tych spraw. Odpowiedź była oczywiście negatywna. Brak poparcia i trudności zmusiły mnie później do uzyskania oficjalnego prawa występowania w urzędzie imigracyjnym. Podobnie było i w innych dziedzinach.

Przeszkadzały mi w tej działalności dla dobra naszych rodaków nie tylko władze kościelne. Piekelną wojnę wytoczyli mi właściciele biur podróży, choć wcale nie byłem ich konkurentem w tym czasie. Centrum paczek do kraju nie wysyłało i nie sprzedawało biletów na podróż do kraju. Załatwialiśmy kartki żywnościowe dla biednych, uprawnienia do bezpłatnej pomocy lekarskiej itp. By nie drażnić tych agentów podróży, pamiętam, nawet zakazałem swego czasu pracownikom Centrum udzielania pomocy w wystawianiu zaproszeń na wizytę z kraju. Nic nie pomogło.

Rzucono się na mnie, aby mnie „pożreć”. Atakował mnie Jan Pargiełło, właściciel Deluxe Travel Agency, który na krótko przed śmiercią podczas wizyty w kraju sprzedał swoją agencję bezpośrednio PBP „Orbis”. Napadał na mnie właściciel Wieczorek Travel Agency, który skończył zresztą brzydko, gdyż zebrał setki tysięcy dolarów na samochody od klientów, nie wpłacając ich do PEKAO i pewnej nocy zniknął z horyzontu na zawsze.

Dowodem jak mnie szkalowano do władz miejskich, już w 1973 roku, niech będzie przytoczony tu w oryginale list z Polish American Agency. Władze miejskie udostępniły mi ten paszkwil kiedy przekonały się, że chodzi mi o dobro Centrum i Polonii, a nie o moje własne interesy.



ESTABLISHED 1948
CABLE ADDRESS:
POLAMAGENCY

POLISH AMERICAN AGENCY, INC.

Honorable Joseph Fallon
Assistant to Mayor Lindsay for Ethnic Affairs
City of New York
52 Chambers Street
New York, N.Y.

November 28 1973

RE: Reverend Longin Tolczyk
Polish and Slavic Center
940 Manhattan Avenue
Brooklyn, N.Y.

Dear Sir:

We note from an article in the last SUNDAY NEWS that the City and federal funding is being considered for the above ethnic center. As New York City tax payers, may we protest most vigorously against such a misuse of public money.

The Polish and Slavic Center is in fact another business venture and a cover-up for profit making activities of Reverend Longin Tolczyk, it's director and owner of the building in which the Center is located.

While the City-paid social worker in the Center may be disseminating information on food stamps, social security, etc., we know for a fact that the Center is also a steering point from which Polish people are sent to POLONIA TRAVEL SERVICE at 141 India Street, Brooklyn, N.Y. which is owned by Reverend Tolczyk and operated by his sister and one of his girl friends. There, Polish people arrange their travel to Poland, bring relatives to the U.S.A., send gift parcels and money to Poland, and are assisted in their immigration problems, each service for a substantial fee. Rev. Tolczyk visits his business each and every day, blesses his customers, lets them kiss his hand, uses religious phrases and exploits in every possible way the prestige of a Roman Catholic priest. You will appreciate that competition with him, in such circumstances, is very difficult. We and a number of other Polish American agencies have been making complaints to Roman Catholic Church authorities and other official agencies, however, we achieved no satisfactory results.

We consider it shocking for the City of New York to give away our tax money to this privately owned center without a thorough investigation and a public hearing. While there is an obvious need for a Polish ethnic center to assist the needy and the aged, surely it should be located in a public building and run by a person truly dedicated to helping the people and not benefiting and making money on them. Reverend Tolczyk is a businessman ruthlessly concentrated on his self-interest and on enriching himself, and should be barred from a City sponsored and City-founded social Center.

May we hope that you will investigate the entire proposition of giving our tax money to Reverend Tolczyk, and that you will bring the above facts to the attention of other City and Federal officials before making a final decision in this matter. Your reply would be appreciated.

Yours very truly,

Victor M. Wygry, President

List ten odsłania nam całą perfidię, smutną prawdę o tym, jak to jeden Polak zaszczuć pragnie drugiego, byle zniszczyć nawet wymagowaną konkurencję. Ksiądz chce zrobić coś dobrego dla Polonii? No to na zapas, z góry, zrobić go oszustem, przestępcą...

Nikt nie czeka na rezultaty, by zobaczyć, czy będą dobre, czy złe. Niedawno przyjechał? No, to znaczy — „nasłany”. Robi coś dobrego z poświęceniem? Niemożliwe. Musi mieć w tym własny interes! — Takie jest rozumowanie tych, co sądzą podług siebie.

W kraju potrafią komuniści zamordować księdza. Pod naciskiem opinii publicznej skazują jednak morderców na więzienie. Tu, na emigracji, morduje się nie fizycznie, lecz moralnie. I to — bezkarnie. Iluż to księży tutaj zaszczuto. Dobrych patriotów wykańczano moralnie z premedytacją, pisząc o nich bzdury, kłamstwa wierutne. Posunięto się nawet do tego, że Nowy Dziennik rzucił się nawet na samego Papieża, tuż po Jego wybraniu, pisząc jakoby był on żonaty. Skoro zdolni są do takiej kalumnii nawet, to cóż dopiero jakiś tam, biedny księżulek, który dopiero co z Polski przyjechał i waży się na jakieś organizowanie, bez ich, „możnych”, zgody.

Wycinki z prasy atakujące moją osobę, listy do władz, paszkwile, ta broń wrogich mi „konkurentów”, trafiły także do władz kościelnych, czyniąc tę walkę rzeczywiście przykrą i bolesną dla mnie, jako księdza.

Gdyby ktoś zadał sobie trud zbadania tych napęczniałych teczek z donosami, gromadzonych w wielu urzędach i instytucjach, nie tylko przeciwko mnie, lecz przeciwko tysiącom uczciwych ludzi, atakowanych tylko dlatego, że swoją działalnością wyróżniali się od innych, to z pewnością odkryłby, że te donosy i paszkwile pisane są głównie przez niewierzących, często nie-chrześcijan, a z pewnością nie przez tych, którzy wierzą w cokolwiek i jakkolwiek religię praktykują. Potwierdza się odwieczna zasada, że najtrudniej bronić własnej niewinności. Toczy się odwieczna walka złego z dobrem, ale co gorsza, wydaje się, że tu, na emigracji zło, choć na krótką metę, zwycięża...

5. O PROGRAMACH CENTRUM

Moje własne, uciulane przez 12 lat, centy otrzymywane w parafiach oraz skromne fundusze odziedziczone po krewnych (Alex i Eleonora Tołczyk, Wojciech Tołczyk i Antoni Ulanowicz, a także datki od dobrych ludzi — John i Cecylia Wargaccy, Józef i Waleria Weońscy, Maria i Ludwik Szulc, i inni) zostały wydane na kupno i remonty budynku, wyposażenie i przystosowanie go do potrzeb Centrum, a później na zakup koniecznego sprzętu i koszty związane z jego utrzymaniem, a wreszcie na opał, światło i telefony, a nawet na pensje dla pracowników, gdyż wolontariuszy nie było dużo, a interesantów coraz więcej.

W ten sposób ciągnąłem finansowo Centrum do maja 1974 roku. Jedyne wpływy pochodziły ze składek członkowskich, ale była to przysiówiowa kropla w morzu.

Trzeba było szukać pomocy u obcych. Polskie organizacje i moi panowie, rządzący dziś dobrze zagospodarowanym Centrum, na moje prośby i wezwania do współpracy i pomocy w utrzymaniu Centrum odpowiadać nie raczyli.

W wielkiej bibliotece nowojorskiej znalazłem spis fundacji dobroczynnych i byłem zaskoczony jego ogromem. Tysiące najrozmaitszych fundacji o określonych celach lub obejmujących potrzeby różnych grup etnicznych. Polską fundację znalazłem tylko jedną: im. Jurzykowskiego. Byłem zaskoczony, dlaczego nie figuruje w tym spisie przynajmniej jeszcze jedna: Fundacja Kościuszkowska. Poinformowano mnie, że jest zbyt mała, nie ma dostatecznych funduszy. A więc i w tej dziedzinie jesteśmy na szarym końcu...

Wynotowałem sobie dziesiątki fundacji, których cele wydawały się odpowiadać naszym i rozesłałem około setki listów z uprzejmym zapytaniem o możliwości uzyskania pomocy. Otrzymałem wiele odpowiedzi, w typowo amerykańskim stylu. Piękne słowa, gorące życzenia sukcesów w podjętej pracy, i jakże przekonujące wymówki, wyjaśnienia o istniejących przeszkodach, które „uniemożliwiają” przydzielenie pomocy finansowej... Zawiodły więc i te nadzieje.

Zacząłem rozglądać się za funduszami rządowymi. Wszyscy pamiętamy rozruchy Murzynów i Portorikanów. Paliły się domy i całe dzielnice miast amerykańskich. Skutek był między innymi taki, że rząd dla

zażegnania niebezpieczeństwa ufundował liczne tzw. programy społeczne, na które przeznaczono ogromne sumy. Istnieje nawet spis takich programów, w postaci książki, zawierającej ponad 3 tysiące pozycji! Po kilku latach istnienia tych programów szereg grup etnicznych doszło do wniosku, że biali są dyskryminowani. W ślad więc za Murzynami poszli Włosi, Grecy i Żydzi, domagając się równych praw. Udało im się uzyskać fundusze na swoją działalność społeczną. Polacy znów znaleźli się na szarym końcu. Jakby czekali, że ktoś będzie raczył o nich pamiętać...

Liczebność naszej grupy etnicznej nie miała znaczenia na początku starań. Ważniejsze było posiadanie mocnej organizacji. Zwracałem się do braci kapłanów, do prezesów różnych organizacji, do przyjaciół i znajomych... nadaremnie. Nie mogli znaleźć nawet paru osób do podpisania dokumentów koniecznych do założenia własnej organizacji. To smutna prawda, ale warto by o tym nasze społeczeństwo emigracyjne wiedziało....

Zacząłem więc działać sam i liczyć tylko na własne siły. Odważnie, przez blisko dwa lata, chodziłem od biura do biura, od instytucji do instytucji, szukając możliwości uzyskania funduszy na programy społeczne dla Polonii. Patrzono na mnie z politowaniem. Nieraz nawet drwiąco. Bardziej odważni urzędnicy pytali mnie wprost: Ilu ksiądz ma ludzi? Ile organizacji ksiądz popiera? Dlaczego ksiądz przychodzi sam, a nie z przedstawicielami popierających organizacji?... A z kim miałem przyjść? Tłumaczyłem więc, że wielu naszych biednych ludzi nie zna języka, pracują ciężko na kawałek chleba... Nie mogłem przecież przyznać, że organizacje polonijne to towarzystwa wzajemnej adoracji, które żadną pracą społeczną poza balami i bankietami nie interesują się, że nie mają nawet najmniejszej chęci do wspólnej walki o dobro współrodaków.

Pytania tych urzędników nie były wcale ani dziwne, ani złośliwe. Oni przecież domagali się swoich praw idąc do władz z licznymi delegacjami. Zanim sami zajęli stanowiska urzędnicze musieli wpierw dosłownie zastraszyć groźną postawę swych delegacji innych urzędników. Słowo „dyskryminacja” stało się tym hasłem, działającym na władze jak pistolet przystawiony do skroni. Wiedzieli oni z własnego doświadczenia przecież, że wszyscy mogą walczyć za jednego, ale jeden za wszystkich? Nie, to niemożliwe... Sprzeciwia się to normalnemu porządkowi rzeczy, zdrowemu rozsądkowi. Tylko Bóg mógł posłać swego jedyne Syna, by ten, Jezus Chrystus, sam uzdrawiał, karmił, ratował i wreszcie odkupił wszystkich ludzi. A tu jeden mały biedny człowiek, jakiś, młody jeszcze wówczas, księżulek, którego nawet jego współbracia nie chcą uznać... to przysłowiowe wyruszenie z motyką na słońce.

W tej sytuacji postanowiłem zabrać się do dzieła inaczej.

W styczniu 1974 roku spowodowałem, że Centrum ogłosiło apel, opublikowany zresztą nawet w Nowym Dzienniku:

Odezwa Centrum Słowiańskiego

Centrum Polsko Słowiańskie wydało odezwę poniższej treści:

„Sto lat temu nasi pradziadkowie i dziadkowie zaczęli przybywać masowo do Stanów Zjednoczonych i budować tu nowe życie.

W ciężkim trudzie i znoju budowali nowoczesną Amerykę, a równocześnie zdołali stworzyć własne parafie, szkoły i organizacje — starając się zachować odrębność narodową i w lepszych warunkach wychować swe dzieci i wnuków.

Dziś Polacy i in. Słowianie muszą na nowo walczyć o równouprawnienie z innymi grupami rasowymi i narodowościowymi, dali się bowiem w ostatnich latach usunąć z powierzchni życia społecznego i politycznego.

Nowy York — najbogatsze miasto świata, centrum finansowe i kulturalne Stanów Zjednoczonych — jest rządzony przez przedstawicieli różnych grup. Nie ma Polaków i in. Słowian ani w Radzie Miejskiej ani wśród wpływowych członków Zarządu Miejskiego. Jesteśmy całkowicie pomijani przy rozdziale funduszy na pomoc społeczną, podczas gdy inne grupy mieszkańców miasta otrzymują miliony. A przecież tak samo płacimy podatki, jak inni, co więcej, w naszych dzielnicach jest najmniejszy procent przestępstw.

„Najwyższy czas, abyśmy się przebudzili z apatii i położyli temu stanowi rzeczy kres!

Centrum Polsko-Słowiańskie, posiadające poparcie wszystkich niemal organizacji polskich, zwołuje na niedzielę 5 maja o godzinie 2.30 po południu Walne Zebranie Solidarności pod hasłem „Musimy walczyć o nasze prawa”.

Miejsce zebrania: Centrum Polsko-Słowiańskie — 940 Manhattan Avenue, pomiędzy Java Street i Kent Street w dzielnicy Greenpoint — w Brooklynie. Przemawiać będą wybitni mówcy. Uchwalimy nasze postulaty pod adresem władz. Zebranie będzie krótkie. Będą zainstalowane głośniki”.

Nowy duch wstąpił w członków zarządu Centrum. Jakby w boskim natchnieniu jednomyślnie podjęto uchwałę o zorganizowaniu wielkiej manifestacji Polonijnej Solidarności, rozumiejąc, że tylko w ten sposób udowodnimy naszą siłę. „Zamiast prosić, będziemy żądać!” — powiedziała pełniący obowiązki prezesa Franciszek Gacek.

O samej manifestacji pisze w innym, odrębnym rozdziale. Tu chcę

tylko opowiedzieć ile trudu trzeba było, aby otrzymać fundusze na te programy społeczne. Manifestacja dała spodziewany wynik. Wywalczyliśmy prawa dla naszej grupy etnicznej. Wpisano nas na listę organizacji uprawnionych do starań o finansowanie. Ale to dopiero początek. Teraz zaczęły się mnożyć najrozmaitsze, biurokratyczne wymagania. Trzeba więc było udokumentować, że jesteśmy organizacją dobroczynną, społeczną, zatwierdzoną przez władze, i że nasz statut obejmuje tę działalność społeczną, którą mamy zamiar realizować zgodnie z założeniami programów fundowanych przez władze.

Trzeba było wykazać, że ludność polsko-słowiańska tej pomocy potrzebuje i że w naszej dzielnicy nie ma innej organizacji, która ma podobne cele. To wszystko wymagało poparcia danymi statystycznymi i naukowymi, a jak wiadomo i pod tym względem Polonia jest całkowicie zaniedbana. Nikt nie wie ilu nas jest i jak żyjemy. O tym piszę zresztą także w innym rozdziale. Tu tylko wspomnieć muszę, że opracowaliśmy te materiały gruntownie, odrabiając zaległości wielu lat i doganiając w ten sposób inne grupy etniczne, które nas od dawna w tym zakresie wyprzedziły.

Na każdy cel, na każdy program, trzeba było pisać wielostronicowe propozycje, wykazując, że za określoną sumę możemy dokonać wielokrotnie więcej, aniżeli instytucje miejskie. Pisanie tych propozycji okazało się wielką sztuką. Trzeba było mieć cały zespół specjalistów w tym celu. Inni piszą dziesiątki propozycji, aby choć parę programów uzyskać. Polacy, jak zwykle, z trudem zaborą się do jednej sprawy, a potem dziwią się, że inni otrzymują więcej... Uprawialiśmy amatorszczyznę. A tu trzeba było dosłownie polować, czy jest jakiś nowy program, czy jest jakiś fundusz, o który można by się starać. Co więcej, na początku nawet samo istnienie tych programów trzymano w ścisłej tajemnicy. Ktokolwiek coś nowego się dowiedział, ten trzymał to zazdrośnie dla siebie. Zrobił się szum i w tej sprawie, wskutek czego później władze rozsyłały zawczasu pełne informacje i wielostronicowe kwestionariusze na temat składania propozycji na nowe programy do wszystkich zarejestrowanych organizacji.

Biurokraci większą wagę przywiązywali do wypełniania propozycji na kilkudziesięciu stronicach, niż na właściwe potrzeby biednych ludzi. Trzeba było wyczuwać, czego władze właściwie chcą i odpowiednio do tego pisać, i pisać, i pisać, udawadniając potrzeby.

Pierwsze propozycje Centrum składało w latach 1972 i 1973, ale nic nie uzyskaliśmy wówczas, za wyjątkiem wynagrodzenia dla nauczycieli języka angielskiego, które płacił Wydział Oświaty.

Pierwszą propozycję na program dożywiania napisała Danuta Sobczyńska, pracownica społeczna, z którą spędziłem dużo czasu, by

rozgrzyć skomplikowane pytania licznych kwestionariuszy.

Ogromną pomoc znalazłem wówczas w tu urodzonym i wykształconym społeczniku, żydowskiego pochodzenia zresztą, Robercie Ledermanie, który wiele mnie nauczył, a sam miał łatwy dostęp do urzędów miejskich, korzystając z pomocy swych licznych kolegów i przyjaciół. Tą drogą uzyskiwałem także najświeższe informacje na temat nowych programów, czy możliwości licznych kontaktów dla Centrum.

W późniejszych latach w przygotowywaniu propozycji pomagali mi: Sheila Kelly, James Thomas, dr Witold Płoński, Halina Kamiński, Krzysztof Żołnierowicz i inni pracownicy Centrum, którzy zbierali dane statystyczne konieczne do ich uzasadniania. W ostatnich latach mojej kadencji pisanie propozycji w dobrym języku angielskim zajmowała się sekretarka, Krystyna Gacek-Pityńska, a po jej odejściu — Irena Slewini. Ostatnią propozycję za moich czasów pisał pan Oleń, w oparciu o którą otrzymałem Program Akcji Społecznej. Przedłożyliśmy kilkanaście propozycji na różne programy, ale z różnych przyczyn nie wszystkie zostały zatwierdzone.

A oto główne argumenty, które musiały być między innymi odpowiednio przedstawione w każdej propozycji:

- * Opis celu i zadań statutowych Centrum, dlaczego i kiedy powstało
- * Centrum zna najlepiej potrzeby swej społeczności i wstawia się za jej członkami biednymi, nowoprzybyłymi, starszymi i potrzebującymi pomocy we wszystkich urzędach.
- * Dysponuje wolontariuszami i zapewnia usługi społeczne, których żadna agencja publiczna nie jest w stanie udzielić z uwagi na znajomość środowiska i języka.
- * Centrum może wykonywać określone usługi tańszym kosztem, aniżeli agencje miejskie.
- * Do naszej społeczności ciągle przybywa wielu nowych imigrantów, potrzebujących szczególnej opieki.
- * Żadna agencja, czy urząd miejski, nie jest otwarty w soboty i niedziele, a potrzeby i nieszczęścia ludzkie wymagają natychmiastowej pomocy.
- * Centrum od marca 1972 roku świadczyło następujące usługi społeczne: starszym i chorym pomagało w uzyskaniu pomocy miejskiej, zasiłków SSI, ubezpieczeń chorobowych Medicaid i Medicare, zniżkowych biletów na przejazdy miejskimi środkami lokomocji, w sprawach ulgowych opłat czynszowych i kart żywnościowych; dowoziło chorych do szpitali; nowoprzybyłym pomaga w sprawach imigracyjnych, w znalezieniu mieszkania i pracy, wydając odpowiednie rekomendacje i skierowania; udzielało informacji o zasiłkach chorobowych i dla bezrobotnych;

pomagało w wypełnianiu najrozmaitszych formularzy, udzielało porad, tłumaczyło dokumenty itp.

* Centrum nie może być zastąpione żadną instytucją miejską w dziedzinie kulturalnej i w zakresie tradycji narodowo-religijnych, a m.in. w: organizowaniu wystaw artystycznych, zespołów ludowych, urządzaniu festiwali, przygotowywania tradycyjnie polskich posiłków, urządzaniu prelekcji związanych z tematyką kultury i historii, czy też w urządzaniu obchodów, zgodnych z polskimi tradycjami narodowymi i religijnymi, jak Wigilie dla samotnych, opuszczonych i wypędzonych z ojczyzny, świąt Wielkanocnych i „święconek”, nieznanych przecież w ogóle Amerykanom.

To są tylko niektóre z motywów, które musiały być w tych propozycjach odpowiednio uzasadnione, by udowodnić, że tylko my, Polacy, jesteśmy w stanie zaspokoić wielostronne potrzeby naszej własnej społeczności, jeśli nie będziemy dyskryminowani i otrzymamy pomoc finansową na prowadzenie tej działalności.

Taka propozycja, choćby najlepiej umotywowana, nie zostanie zatwierdzona, jeśli nie zostanie poparta ze strony organizacji polonijnych i ze strony całego społeczeństwa. Społeczeństwo poparło nas w sposób dobitny: poprzez tę wielką manifestację Polonijnej Solidarności, dnia 5 maja 1974 roku.

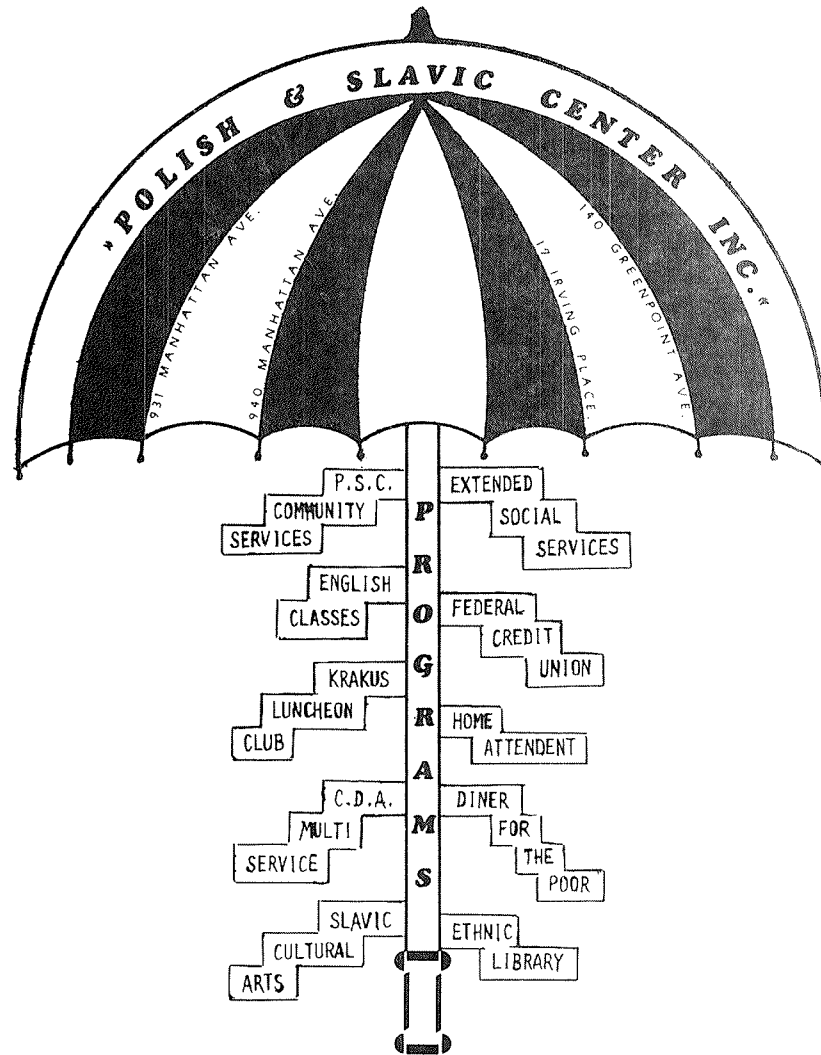
A poparcie ze strony najważniejszej organizacji polonijnej, Kongresu Polonii Amerykańskiej, uzyskaliśmy „po cichu”, dzięki wielkiemu patriotcie i prawdziwemu działaczowi społecznemu i politycznemu, Bolesławowi Wojewódce, który miał odwagę dać nam pełne poparcie, jako ówczesny prezes nowojorskiego oddziału KPA, na piśmie.

Z drugiej strony konieczne jest także poparcie lokalnych władz politycznych. W początkowej fazie zawdzięczamy je senatorowi stanowemu Chesterowi Straub, który napisał szereg pism do burmistrza Nowego Jorku i do innych władz, prosząc o uznanie naszego Centrum i udzielenie mu pomocy, na którą w pełni zasługuje. Ale i to poparcie na piśmie nie miałoby żadnego znaczenia, gdyby nie ta ogromna manifestacja na Greenpoincie, która przekonała władze miejskie, że z nami muszą się liczyć!

Początkowo usiłowano nas ugłaskać drobnymi datkami. Pierwszą dotację na Centrum otrzymałem w wysokości 25 tysięcy dolarów. To były oczywiście zupełne grosze w stosunku do naszych potrzeb. Ośmieliła nas jednak ta dotacja. Wiedzieliśmy już, że od tej pory tylko nasz nieustający nacisk i upór doprowadzą wreszcie do pełnego sukcesu.

Amerykanie uwielbiają określenie „umbrella” — parasol, to jest jakby nadrzędna organizacja, pod którą znajdują się podległe jej oddziały. Wykorzystałem ten pomysł i opracowaliśmy graficzne przedstawienie Centrum właśnie w postaci „parasola”, wraz z działami usługowymi pro-

wadzonymi przez Centrum, znajdującymi się pod nim. Zamieszczam tu reprodukcję tej ulotki, która służyła nam jako bardzo przekonujący argument w oczach amerykańskich urzędasów, a teraz jest dowodem, co Centrum już posiadało za mego urzędowania.



Na załączonej „umbrelli” — szkicu, w graficzny sposób, według pomysłu K. Żołnierowicza i w wykonaniu A. Wójcika zostały przedstawione wszystkie programy fundowane przed administrację amerykańską i członków CPS w okresie kiedy byłem dyrektorem wykonawczym.

Jak wiadomo, moja działalność nie podobała się „zawodowym leaderom” Polonii. Usunięto mnie. Zaszczuto mnie kłamstwami i paszkwilami. Dnia 10 czerwca 1981 roku ukazał się w Nowym Dzienniku artykuł pt. „Zmiany w Centrum Polsko-Słowiańskim”, o treści wysoce dla mnie krzywdzącej i wprowadzającej w błąd opinię publiczną. Na ten artykuł odpowiedziałem listem, domagając się jego opublikowania. Skądże, Bolesław Wierzbiański nie miał zamiaru dopuścić mnie do głosu. A nie jest to w Ameryce częsty przypadek, aby gazeta oskarżała kogoś i zaszczuwała, w celach „podboju”, przejęcia kierownictwa danej organizacji, nie dając możliwości wypowiedzenia się swojej ofierze.

Zarzucano mi „niewłaściwe metody działalności społecznej”, zapowiadając, że „po doświadczeniach, przez jakie przeszło Centrum Polsko-Słowiańskie w Brooklynie, należy wierzyć, że rozwinie ono działalność bardziej dynamiczną, wszechstronniejszą w oparciu o pomoc tych czynników, które dotychczas od Centrum stroniły...”

A od tego pamiętnego roku 1981 upłynęło już sporo lat... i jakoś te „czynniki” żadnym rozwojem nie wykazały się.

Czemu wcześniej, zanim ja to zrobiłem, te „czynniki” nie wzięły się za zorganizowanie podobnego Centrum? Od 1981 roku „trawią” oni tylko to, co sam zdobyłem dla Polonii. Niechże wykażą się przed całym naszym społeczeństwem, ile nowych programów zdobyli po moim odejściu?! To nie sztuka chwalić się cudzymi osiągnięciami. Nie udowodnili oni zapowiadanej szumnie „dynamicznej i wszechstronnej działalności”. Udowodnili jedynie tupet, z jakim zagarnęli cudzą pracę i cudze sukcesy. Chwalić Boga, że przynajmniej nie pogrzebali Centrum całkowicie, że przynajmniej jakoś egzystuje w oparciu o programy wywalczone przeze mnie. Dewizą każdego Zarządu CPS i Unii Kredytowej musi być: działać, tworzyć, rozwijać i budować, a nie trawić i siedzieć beczynnienie.

6. WIELKA MANIFESTACJA SOLIDARNOŚCI POLONII

Była to z pewnością największa manifestacja w ostatnich paru dziesiątkach lat. Nie była to ceremonialna „parada”, jak parada Pułaskiego, lecz prawdziwa demonstracja, stawiająca wobec władz określone żądania.

Centrum, wysyłając często alarmujące artykuły do prasy, stworzyło atmosferę konieczną dla jej skutecznego przeprowadzenia. Kampania prasowa prowadzona była już od lutego 1974, na trzy miesiące przed planowaną manifestacją. O żądaniach Polonii nowojorskiej pisała prasa nie tylko polskojęzyczna, lecz i amerykańska.

Początek dał artykuł w The New York Times, już 25 listopada 1973, pt. Ethnic Center Seeks Funding (Centrum Etniczne poszukuje funduszy). Long Island Press pisze 4 lutego 1974: Stress on Ethnicity Defended by Reader (Nacisk na pochodzenie etniczne bronione przez czytelnika). Greenpoint Gazette zamieszcza cały szereg artykułów: (podaję tytuły w tłumaczeniu na język polski): „Musimy walczyć o nasze prawa” (12 marca 1974), „Polacy Nowego Jorku walczą o równe prawa” (10 marca 1974), „Zarząd Miasta zaniedbuje Polaków” (19 marca 1974), „Polacy żądają równego traktowania” (23 kwietnia 1974), „Centrum Polsko-Słowiańskie zwołuje wielką manifestację na 5 maja” (30 kwietnia 1974).

Również w języku angielskim pojawia się szereg artykułów na ten temat. Wyżej cytowane: The New York Post: „Polacy domagają się stanowisk miejskich”; Polish American World z dnia 2 stycznia 1974: „(senator stanowy) Straub domaga się pomocy społecznej dla Centrum Słowiańskiego”; z dnia 22 lutego 1974: „Centrum Słowiańskie woła o pomoc”; z dnia 8 marca 1974: „Ratusz odpowiada Księdzu: Przykro nam (że nie pomożemy...)”; z dnia 29 marca 1974: „Nowe twarze konieczne w życiu politycznym”; z dnia 19 kwietnia 1974: „Nie ma pomocy dla Centrum Słowiańskiego!”; z dnia 3 maja 1974: „Lud woła — próbujmy jeszcze!”; i z dnia 3 maja 1974 raz jeszcze artykuł pt. „Musimy walczyć!”. (Uwaga: wszystkie tytuły podaję w tłumaczeniu na język polski). Były także artykuły w tygodniku „Czas” oraz w Nowym Dzienniku. W tych gazetach wydrukowano także odezwę Centrum, wzywającą do udziału w tej wielkiej manifestacji.

Nowy Dziennik nie stanął jednak całym sercem po stronie Polonii.

Na dłuższy i poważniejszy artykuł na temat złego traktowania Polaków przez władze wydawcy Nowego Dziennika odważyć się nie mogli. Redaktorowi Józefowi Dubickiemu pozwalano jedynie na zamieszczanie krótkich notatek na temat naszej działalności. A w decydującej chwili, 12 kwietnia 1974, o naszej depeszy do ówczesnego burmistrza miasta Nowy Dziennik napisał notatkę pod dwuznacznym tytułem „Okrutne Igraszki”.

Tymczasem ten telegram do burmistrza Beame wcale dwuznaczny nie był. Przeciwnie. Miałem odwagę podpisać go, mimo, iż zawierał wyraźną groźbę publicznej manifestacji:

„Kiedy 100 dni temu objął Pan zarząd miasta mieliśmy nadzieję, że skończyła się krzywdząca polityka Pańskiego poprzednika, Lindsay’a w stosunku do Polaków i Słowian. Nadzieje te zawiodły. Polska grupa etniczna w Nowym Jorku jest nadal niedostrzegana przy obsadzaniu wyższych stanowisk miejskich, przy podziale funduszu na działalność etnicznych ośrodków społecznych. Co gorsze, Zarząd Miasta gra fałszywą rolę wobec Polaków, dając im oszukańcze obietnice. Czy Polacy i Słowianie mają wyjść na ulicę, aby Pan nas wreszcie zauważył?”

Walka Centrum o równouprawnienie spodobała się studentom, z którymi wszedłem w porozumienie.

W piątek, 3 maja 1974, tuż przed planowaną demonstracją, studenci Zrzeszenia Studentów Słowiańskiego Pochodzenia Uniwersytetu Miejskiego w Nowym Jorku, pod kierownictwem prof. Goya, wydali odezwę solidaryzującą się z nami, w której odważyli się podnieść niezmiernie drażliwą kwestię. Otóż stwierdzili oni, że wśród 95 wyższych urzędników mianowanych przez burmistrza Beame nie ma ani jednego Polaka. Wśród jego najbliższych współpracowników w Zarządzie Miasta znalazło się 22 Żydów, 7 Murzynów i 2 Portorykańczyków. Zareagował na to natychmiast kongresman Badillo, Portorykańczyk, i zorganizował demonstrację, w wyniku której w ciągu kilku następných dni mianowano 3 dalszych Portorykańczyków na wysokie stanowiska. Studenci powołali się w swej odezwie na dane zaczerpnięte z miesięcznika The Ethnic Affairs, według którego na jeden tylko program społeczny Żydzi otrzymali 775.000 dolarów, Włosi 200.000 dolarów, Grecy 80.000 dol., Chińczycy 50.000 dol. oraz Biuro Spraw Etnicznych — 65.000 dol. Były to dane najświeższe, za rok 1973. Dla Polaków, czy jakiegokolwiek innej słowiańskiej grupy etnicznej nie znalazło się ani jednego centa! A przecież wiadomo, że w Nowym Jorku mieszkają tysiące nie tylko Polaków, lecz także i Białorusinów, Bułgarów, Czechów, Chorwatów, Rosjan, Słowaków, Serbów, Słowenów, Ukraińców. Tak więc, Zrzeszenie Studentów Słowiańskiego Pochodzenia zwróciło się do władz z żądaniem zaprzestania polityki dyskryminacji wobec wszystkich grup etnicznych.

POLISH & SLAVIC CENTER INC.

940 Manhattan Avenue
Brooklyn, N.Y. 11222
Tel. 383-2360
383-3324

NON-PROFIT ORG.
U. S. POSTAGE
PAID
Brooklyn, N. Y.
Permit No. 11938

RODACY!

Sto lat temu nasi pradziadowie i dziadowie zaczęli przybywać masowo do Stanów Zjednoczonych i budować tu nowe życie.

W ciężkim trudzie i znoju budowali nowoczesną Amerykę a równocześnie zdołali stworzyć własne parafie, szkoły i organizacje starając się zachować odrębność narodową i w lepszych warunkach wychować swe dzieci i wnuków.

Dziś Polacy i Słowianie muszą na nowo walczyć o równouprawnienie z innymi grupami rasowymi i narodowościowymi dali się bowiem w ostatnich latach usunąć z powierzchni życia społecznego i politycznego.

Nowy York — najbogatsze miasto świata, centrum finansowe i kulturalne Stanów Zjednoczonych — jest rządzony przez przedstawicieli różnych grup. Nie ma Polaków i Słowian ani w Radzie Miejskiej, ani wśród wpływowych członków Zarządu Miejskiego. Jesteśmy całkowicie pomijani przy rozdziale funduszy na pomoc społeczną podczas, gdy inne grupy mieszkańców miasta otrzymują miliony. A przecież tak samo płacimy podatek, jak inni co więcej w naszych dzielnicach jest najmniejszy procent przestępstw.

Najwyższy czas, abyśmy się przebudzili z apatii i położyli temu stanowi rzeczy kres!

Centrum Polsko-Słowiańskie, posiadające poparcie wszystkich niemieal organizacji polskich zwołuje na

NIEDZIELĘ 5-GO MAJA o godzinie 2:30 po południu

WIELKIE ZEBRANIE SOLIDARNOŚCI

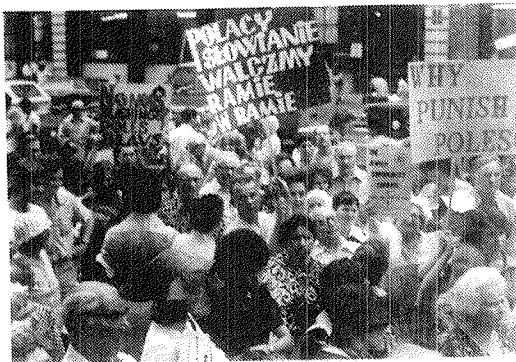
pod hasłem

“MUSIMY WALCZYĆ O NASZE PRAWA”

Miejsce zebrania: Centrum Polsko-Słowiańskie 940 Manhattan Avenue pomiędzy Java Street i Kent Street w dzielnicy Greenpoint w Brooklynie. Przemawiać będą wybitni mówcy. Uchwalimy nasze postulaty pod adresem władz. Zebranie będzie krótkie. Będą zainstalowane głośniki.

RODACY! Zebranie odbędzie się w 183 rocznicę uchwalenia Konstytucji 3 Maja. Ziożymy hold jej twórcom, walczyli oni bowiem o sprawiedliwość społeczną. O tę sprawiedliwość musimy walczyć teraz na naszym terenie dla naszej grupy etnicznej.

Wszyscy do szeregów! Niech nikogo nie braknie, kto poczuwa się do solidarności narodowej! W Jedność siła!



SUNDAY NEWS, FEBRUARY 17, 1974
 Advertising supplement to the
SUNDAY NEWS
 NEW YORK'S POLISH AND SLAVIC CENTER

**Polish & Slavic Center
 A Voice in Wilderness**

By WILLIAM HEPPERNAN
 Many Polish and Slavic people living in Greenpoint and Williamsburg feel they have been deceived and discarded by institutions they believed would never fail them. Their city government and their church, which usually helps pay for their education, have failed them.

**ZARZĄD MIASTA NOWEGO JORKA
 IGNORUJE ŻĄDANIA POLAKÓW**

Na ostatnim posiedzeniu nowojorskiego Centrum dla Spraw Grup Etnicznych (New York Center for Ethnic Affairs) przedstawiali na Longin Tolczyk, sekretarz i dyrektor Centrum Polsko-Słowiańskiego (Centrum Polsko-Słowiańskie w Brooklynie) przedstawił w dniu 17 lutego 1974 roku udział od sierpnia 1973 roku. Informacji i



Activities Of The Polish & Slavic Center

occupied either at PASC or at the immigration offices. In addition, PASC has 200 adults registered in education classes provided by the PASC. Classes are in reading and writing.

CITY HALL NEGLECTS POLES

The Polish and Slavic Center, which claims to be the only community center in New York City, pleaded last week in court for the city to recognize its status as a community center.

We Have To Fight!

by Rev. Lesław Tolczyk
 WE HAVE TO FIGHT FOR OUR RIGHTS. According to the 1970 U.S. Census, the Polish population in New York State is the second largest in New York State. We are Polish, German, Irish or British groups. nationalities we are not recognized as such. We are not recognized as such. We are not recognized as such.

Poles See Neglect By City Hall

The Polish and Slavic Center, which claims to be the only community center in New York City, pleaded last week in court for the city to recognize its status as a community center.

THE POLES ARE ANGRY AND TIRED OF CONSTANT NEGLECT BY CITY HALL

in a great big world has raised great criticism and anger among other groups particularly the Poles. It took the city administration when Polish and Slavic people were in a situation of emergency and they were in a situation of emergency.

Crisis in Pol-Am Community: In Greenpoint:

POLISH world AMERICA

Vol. 16 No. 8
 Second Class Postage
 Paid at Brooklyn, N. Y. 11210

Friday, February 22, 1974

Slavic Center Cries For HELP!

NOWY DZIENNIK
 Polish Daily News

CENTRUM SŁOWIAŃSKIE
 Polish Daily News

NOWY DZIENNIK
 Polish Daily News

NOWY DZIENNIK
 Polish Daily News

Published daily except Sundays, Mondays and the Bicentennial Publishing Corp.

ALARMUJĄCE WIADOMOŚCI

Prasa w walce o równouprawnienie Polaków i Słowian
 Kopia z „Dwa lata walki i osiągnięć Centrum Polsko-Słowiańskiego”

Komentator telewizyjny Alan Burke przeprowadził ze mną wywiad, nadany następnie dnia 9 kwietnia 1974 roku (kanał 11). Hasło „Musimy bronić naszych praw!” stawało się coraz bardziej popularne. Dzięki ówczesnemu prezesowi nowojorskiego KPA, Bolesławowi Wojewódce, Wydział Stanowy Kongresu Polonii Amerykańskiej podjął odpowiednią uchwałę na temat stosunku władz do Polaków już 10 marca 1974. Wielkie poparcie tej uchwały okazali działacze tej miary co Stefan Markowski, Józef Basiaga, Józef Dubicki, Kotowicz, Mierzwa, Preisler i inni. Delegat Prymasa, obecny Kardynał, Władysław Rubin, poparł moją akcję listem z dnia 4 lutego 1974. Czuję, że mam za sobą prawie wszystkich.

Programy radiowe Natalii Kęckiej i Dwóch Edwardów bezinteresownie wzywały Polonię do masowego udziału w tej manifestacji. W ostatnich tygodniach przed manifestacją Centrum rozwiesiło liczne afisze i rozdało dziesiątki tysięcy ulotek. Wszystko to przygotowało odpowiedni grunt i dało podstawy wierzyć, że manifestacja będzie nie tylko udaną imprezą, lecz i że przyniesie ona pożądaną skutek.

Pamiętam jednak, że nie wszyscy tak łatwo wierzyli w nasze powołanie. Zwróciłem się do ks. proboszcza Leona Baltruckiego z prośbą o wypożyczenie 500 krzesel, które chcieliśmy ustawić na ulicy przed Centrum, aby starsi i słabsi mogli usiąść. Proboszcz, z niedowierzaniem, jakby źle usłyszał, powtórzył: „Ile?” — „Pięćset krzesel!” — powtórzyłem. „A cóż to, ksiądz nie zna naszych „Polaczków?” Ksiądz naiwnie myśli, że oni przyjdą? Czy ksiądz chce się ośmieszyć?! Niech ksiądz wystawi najwyżej 50 krzesel. To pierwsza niedziela maja, we wszystkich polskich parafiach będzie koronacja figury Matki Boskiej. Ile ksiądz myśli będzie ludzi? Jak będzie 50, to będzie dobrze, jak przyjdzie setka, to będzie bardzo dobrze”. Po długich targach pozwolił na wzięcie kilkuset krzesel składanych ze szkoły parafialnej św. św. Cyryla i Metodego. Wiedziałem, że nie żałuje mi tych krzesel, lecz szczerze nie wierzy w większą frekwencję i naprawdę obawia się mojej kompromitacji. Faktem jest, że lepiej, kiedy krzesel zabraknie, aniżeli kiedy stoją całe szeregi puste. Byłem mocno przygnębiony. Nikt mi nie dodawał otuchy. Przeciwnie. Posypały się telefony od różnych prezesów i rzekomych „przywódców” Polonii ze słowami „przyjacielskich ostrzeżeń”. Niektóre z nich trafiały mi w serce tak dotkliwie, że zapamiętałem je po dziś dzień: „Ksiądz bierze na siebie odpowiedzialność za ośmieszenie Polonii, bo przyjdzie najwyżej kilka osób!” „...Ksiądz wystawia Polonię do wiatru!” „...Ksiądz nie ma prawa występować w imieniu Polonii!”, „Ksiądz będzie odpowiedzialny przed Kongresem i Polonią za samowolne zwoływanie manifestacji!”, „...Od zwoływania manifestacji są inne, powołane do tego organizacje, KPA, SWAP, SPK, a ksiądz dopiero co przyjechał i chce przewracać całe życie

Ameryki i Polonii?!”

Tłumaczyłem cierpliwie konieczność solidarnego wystąpienia, tłumaczyłem cele, jakie sobie stawiamy, namawiałem, aby wszystkie organizacje przyszły, w zwartym szyku, w mundurach, ze sztandarami i flagami... Moje argumenty spotykały się jednak nawet z bezczelnymi odpowiedziami, w rodzaju: „jakiś tam „ksiądz-patriota” niedawno od komunistów przyjechał, a teraz chce nam tu Polonię rozbijać! My na to nie pozwolimy!”

Spać nie mogłem. Jak tu zasnąć spokojnie, kiedy człowieka obarczają taką odpowiedzialnością? A czy pogoda dopisze? Czy ludzie naprawdę przyjdą? Czy nie skompromitują się nieudaną imprezą? Czy ci wrogowie nasi przypadkiem nie szykują jakiegoś bojkotu? Te i podobne pytania nie dawały mi spokoju.

Amerykańscy politycy są także bardzo ostrożni. Nikt mi z nich nie obiecał, czy przyjdzie na naszą manifestację. Jest jasne, że gdyby było mało ludzi, to i z władz nikt by się nie zjawił. Muszą mieć jakieś swoje „czujki”, które sprawdzają sytuację i telefonują, kiedy pojawienie się jakiejś „grubej ryby” jest już konieczne.

Wierzyłem, że Bóg ma nas w swojej opiece. Dzień nastał piękny. Ten 5 maja 1974 stał się rzeczywiście przełomowym dniem w życiu naszego Centrum i nowojorskiej Polonii. Na długo przed 2-gą godziną policja ustawiła bariery na Greenpoint Avenue i India Street, zostawiając w ten sposób kilka bloków na Manhattan Avenue wolnych od ruchu kołowego. Na tej głównej arterii dzielnicy Greenpoint, przed siedzibą Centrum, na pół godziny przed zapowiedzianą manifestacją, zespół młodzieżowy zaczął grać wiązkę polskich melodii. Trybunę otaczały flagi polskie i amerykańskie, do których dołączyły poczty sztandarowe Polskiego Legionu Weteranów Amerykańskich Post Nr 3, Skrzydła Lotników Polskich i Stowarzyszenia Polskich Kombatantów z Koła Nr 39. Były to więc, jak widzimy, ledwie trzy oficjalne reprezentacje. Inni trzymali się z daleka. Rozpoczęliśmy z kilkunastominutowym opóźnieniem, gdyż czekaliśmy na przybycie proboszcza z parafii św. Stanisława Kostki, który miał odmówić modlitwę. Nie przyszedł. Nie przyszedł nie tylko on, lecz i żaden inny ksiądz...

A jednak, mimo wszystko, była to największa i pierwsza w moim życiu w Ameryce manifestacja, na której zebrało się ponad 3 tysiące ludzi! Zebranie otworzył prezes Centrum, Franciszek Gacek. Przewodniczył później Aleksander Jordan. Joanna Bartosiewicz odśpiewała hymn amerykański i polski, przy akompaniamencie jej syna, Toma Bartosiewicza. Wygłoszono szereg ważkich przemówień. Między innymi przemawiali: Czester Straub, senator stanowy; Joseph Lentel, poseł stanowy; Fred Richmond, radny

miejski z dzielnicy Greenpoint.

Wśród obecnych zauważyłem wielu działaczy polonijnych.

Manifestację zakończyliśmy uchwaleniem rezolucji i odśpiewaniem hymnu „Boże, coś Polskę”. Jej przebieg był wieczorem pokazany w wiadomościach programu telewizyjnego NBC (kanał 4).

To wielkie wydarzenie opisała szczegółowo prasa amerykańska oraz polskojęzyczna. Zamieszczam tu rezolucję z tej manifestacji oraz jeden artykuł prasowy pt. Nadzwyczajny Sukces Manifestacji w Greenpoint.

REZOLUCJA ZEBRANIA MANIFESTACYJNEGO

1. Grupy polskie i słowiańskie są najbardziej upośledzone w ostatnich dziesięciu latach, jeśli chodzi o zajmowanie stanowisk i prac w administracji federalnej, stanowej i miejskiej.

2. Specjalnie jaskrawo stan ten występuje na terenie metropolii nowojorskiej, której ludność składa się z kilkudziesięciu grup narodowościowych, wśród których Polacy i inne grupy słowiańskie zajmują pod względem liczebności czołowe miejsce.

3. Fakt ten nie znajduje żadnego odpowiednika we władzach miejskich. Polaków i Słowian nie ma na żadnym odpowiedzialnym stanowisku, a procent zatrudnionych w 400-tysięcznym aparacie administracyjnym poza policją, działem sanitarnym i strażą pożarną jest minimalny.

4. Żądamy, aby stan ten, który posiada charakter celowej i systematycznej dyskryminacji, został szybko poprawiony. Domagamy się, aby została powołana do życia specjalna komisja miejska, która by zajęła się tą sprawą i wprowadziła osoby pochodzenia polskiego i słowiańskiego na stanowiska do różnych działów administracji miasta.

5. Na szczególną uwagę zasługuje fakt, że na 25 tysięcy pracowników opieki społecznej w Human Resources Administration znajduje się niewiele osób władających językiem polskim, które mogą pomagać Polakom i Słowianom w załatwianiu spraw związanych z opieką społeczną.

6. Podstawą wprowadzania w życie różnych programów społecznych jest opracowanie potrzeb danej grupy ludnościowej. Takie opracowania zostały dokonane za

pieniądze federalne — rozdzielone przez Zarząd Miejski Nowego Jorku, między innymi przez grupę włoską i grecką. Polacy i Słowianie zostali pominięci przy rozdziale tych funduszy, dlatego nie mogą korzystać z wielu programów, które by im się należały. Zebrani domagają się w jak najszybszym czasie przydziału funduszy na przeprowadzenie takich samych studiów, jak grupy włoska, grecka i inne.

7. Miasto Nowy Jork wydaje corocznie biliony dolarów na opiekę społeczną. Korzystają z tych pieniędzy setki centrów społecznych i agencji zapewniających pomoc we wszelkich dziedzinach życia różnym grupom rasowym i narodowościowym. Centrum Polsko-Słowiańskie nie otrzymało dotychczas ani centa, mimo że od dwóch lat działa i pomaga tysiącom mieszkańców miasta. Zapowiedziana w przeddzień dzisiejszego zebrania mała suma na wydatki administracyjne, która ma pomóc Centrum w przetrwaniu, nie stoi w żadnym stosunku do potrzeb ludności polskiej i słowiańskiej i może być uważana tylko za wstęp do dalszych dotacji, które pozwoliłyby na rozbudowanie takich programów, które posiadają już dawno inne grupy etniczne. Są to: przedszkola, pomoc prawna, bezpłatne kliniki, działalność młodzieżowa i kulturalno-artystyczna, dokształcanie w zawodach, zatrudnienie, pomoc dla starszych wiekiem mieszkańców i wiele innych. Musimy też walczyć o powstanie podobnych jak nasze centrów w innych dzielnicach miasta.

8. Co roku napływa do Nowego Jorku wiele tysięcy imigrantów z krajów Europy środkowowschodniej. Są to także nasi bracia i siostry. Imigranci ci wymagają szczególnej opieki i pomocy, nie znając języka angielskiego. Łączy się z tym sprawa szkolnictwa dwujęzycznego, a także studiów z zakresu historii i kultury krajów pochodzenia. Studia dwujęzyczne są wprowadzone obecnie już w ośmiu językach: między innymi w hiszpańskim, włoskim, francuskim, greckim i chińskim. Domagamy się wprowadzenia studiów w języku polskim i w innych językach słowiańskich.

9. W ostatnich czasach jesteśmy świadkami wzmagającej się kampanii antypolskiej przez środki masowego przekazu. Ostatnim tego rodzaju wyczynem było wyświetlenie kosztem wielu milionów dolarów przez American Broadcasting Company paszkwilu antypolskiego "QB VII". Potępiając tego rodzaju akcje domagamy się od Federal Communication Agency ukrócenia tego rodzaju szkodliwej działalności.

10. Tematem dzisiejszego zebrania była walka o

równouprawnienie grupy polskiej i grup słowiańskich.

Zebrani stwierdzają, że walka ta musi być prowadzona przez wszystkie grupy zainteresowane, zgodnie i solidarnie, aż do zwycięstwa!



Poświęciliśmy tyle miejsca zebraniu majowemu dlatego, że miało ono przełomowe znaczenie. Od niedzieli 5 maja postawa czynników rządzących miastem uległa radykalnej zmianie, co oczywiście nie zmieniło faktu, że wielu urzędników na niższych, lecz nieraz decydujących szczeblach jest wciąż niechętnie lub wręcz wrogo nastawionych.

NADZWYCZAJNY SUKCES MANIFESTACJI W GREENPOINT

Trzeba było dużej wiary i zaufania w instynkt solidarności Polonii nowojorskiej, aby zwołać masowe zebranie publiczne w niedzielę 5 maja. W dniu tym bowiem odbywało się w różnych dzielnicach miasta szereg imprez. Około trzy tysiące osób wypełniło szczelnie blok pomiędzy Java i Kent Street na głównej arterii dzielnicy Greenpoint w Brooklynie przed siedzibą Centrum Polsko-Słowiańskiego entuzjastycznie reagując na program zebrania i jednomyślnie uchwalając rezolucje domagające się równouprawnienia dla Polaków i Słowian.

Zjawilo się dużo młodzieży dla której tego rodzaju wiec

na otwartej przestrzeni — był nowością. Na pół godziny przed zebraniem zespół muzyczny młodzieżowy zaczął grać wiązkę melodii polskich. Trybunę, otoczyły sztandary: Koła Lotników i Stowarzyszenia Polskich Kombatantów Koła nr. 39. Pojawiła się reprezentacja George Washington Post nr. 3 Polskiego Legionu Amerykańskich Weteranów. Zebranie otworzył p. Gacek, poczym oddał przewodnictwo wiceprezesowi Centrum red. Aleksandrowi Jordanowi. Ks. dyr. Longin Tołczyk odmówił następnie krótką inwokację, p. Joanna Bartosiewicz przy akompaniamencie syna — Toma Bartosiewicza odśpiewała hymny: amerykański i polski.

Senator stanowy Czesław J. Straub, jedyny pochodzący z wyborów Polak — z metropolii nowojorskiej w swoim przemówieniu wykazał, jak nikła jest reprezentacja Polonii w legislaturze i w senacie stanowym. A jednak Polonia jest jedną z najliczniejszych grup etnicznych w stanie N.Y. i od niej samej, od jej aktywności i zaangażowania zależy, czy zdoła wywalczyć należną sobie pozycję.

Asemblyman Józef Lentol jest rodzinie także związany z Polakami i Słowianami. Wykazał on dużo troski i interweniował wielokrotnie w sprawach przyznania polskiej grupie etnicznej programów społecznych. Radny miejski z dzielnicy Greenpoint Fred Richmond stwierdził, że jest dumny z tego, że reprezentuje m.inn. społeczność polonijną. Od dawna był czynny w popieraniu propozycji składanych przez Centrum Polsko-Słowiańskie i zapowiedział, że będzie nadal o nie walczyć w Ratuszu Miejskim.

Redaktor Józef Dubicki nawiązał do 183 letniej rocznicy uchwalenia wiekopomnej Konstytucji 3 Maja. **W taki sam piękny i słoneczny dzień, jak dzisiaj — stwierdził mówca**

stał się cud jedności w Warszawie, kiedy to ostatni polski król wraz z reprezentantami wszystkich stanów uchwalili słuszne prawa. Teraz o takie same słuszne prawa musimy walczyć w naszej przybranej ojczyźnie.

Następnie przemawiali: Michał Preisler, prezes Stowarzyszenia Więźniów Politycznych i sekretarz Wydziału Stanowego Kongresu Polonii Amerykańskiej, Rudolf Stobierski, prezes North Side Community Center i wybitny przywódca Polonii z Dzielnicy Williamsburg w mocnych słowach potępił dotychczasowy stan dyskryminacji stosowanej wobec Polaków, także i w szkołach i wezwał do dalszego nieustannego wysiłku w walce o równouprawnienie. P. Stefan Markowski, wiceprezes krajowej Republikańskiej Rady Grup Narodowościowych apelował o solidarne i wspólne wystąpienia Polonii bez względu na podziały organizacyjne, czy przynależność partyjną. Dr. Leon Nadrowski, prezes Polish Heritage Committee mówił o ostatnim antypolskim wyczynie stacji telewizyjnej ABC — kanał 7. która kosztem wielu milionów dolarów

sfinansowała sześć i pół godzinny program szkalujący cały naród polski i przedstawiający Polaków jako tych, którzy rzekomo znęcali się nad Żydami w obozach koncentracyjnych. Film QB VII był obelgą dla tych milionów patriotów polskich, którzy w walce z bestialstwem niemieckim zginęli wspólnie z Żydami w obozach koncentracyjnych.

Ostatnim mówcą był założyciel Centrum Polsko-Słowiańskiego i jego niezmordowany dyrektor wykonawczy, ks. Longin Tołczyk. Miarą uznania dla tego nieustraszonego bojownika o sprawiedliwość dla Polaków i Słowian, był entuzjazm z jakim go powitano i gorące reakcje na jego przemówienie. "Jest przeszło trzy tysiące różnego rodzaju programów społecznych", mówił ks. Tołczyk, "ale my walczymy tylko o te, które są najważniejsze i najbardziej dla naszych współbraci potrzebne: opieka nad dziećmi, programy młodzieżowe, dokształcanie zawodowe, opieka dla starszych, kursy oświatowe i szkolnictwo dwujęzyczne, programy artystyczne, bezpłatne kliniki i służba zdrowia, opracowanie potrzeb grupy ludnościowej polskiej i grup słowiańskich." "Kiedy byłem ostatnio na całodzienną, bardzo ważną konferencję, przywódców agencji i centrów społecznych Nowego Yorku w której brali udział także czołowi urzędnicy miejscy, stanowi i federalni" — mówił ksiądz Tołczyk — "daremnie rozglądałem się wśród pięciuset uczestników za innym Polakiem — byłem sam. A dostałem się na tę konferencję tylko dlatego, że od dwóch lat istnieje i działa Centrum Polsko-Słowiańskie". W zakończeniu swego przemówienia ks. Tołczyk podał, że w przeddzień dzisiejszego zebrania otrzymał zawiadomienie z miasta, że Centrum otrzyma pierwszą dotację na wydatki administracyjne w wysokości \$5,000 dolarów. Jest to suma bardzo mała w porównaniu z setkami tysięcy a nawet milionami, które otrzymują inne, często znacznie mniejsze grupy, ale jest wreszcie zrobiony początek.

Po przemówieniu ks. Tołczyka odczytano i uchwalono rezolucję po polsku i po angielsku, po czym odśpiewaniem chóralnym hymnu "Boże, coś Polskę...", zakończono tę wspaniałą manifestację solidarności.

W czasie zgromadzenia przybył zespół telewizyjny NBC. Funkcję informującego o przebiegu manifestacji objął Robert Lederman i doskonale się ze swego zadania wywiązał. Przeprowadzono również rozmowę z ks. Tołczykiem. Wieczorem przebieg manifestacji został pokazany na kanale 4.

(Fragment opracowania z „Dwa lata walki i osiągnięć CPS”)

7. PROGRAM ETNICZNY

Wszystkie starania Centrum o programy, tj. o umowy z władzami miejskimi na wykonywanie określonych usług społecznych, w latach 1972 i 1973 nie dawały rezultatów. Dopiero wskutek naszej wielkiej Manifestacji Solidarności Polonii w dniu 5 maja 1974 roku udowodniły władzom, że Centrum Polsko-Słowiańskie stanowi siłę, z którą należy się liczyć. W sobotę przed tą manifestacją władze miejskie poinformowały o przyznaniu pierwszych funduszy, w kwocie 25 tysięcy dolarów, które mieliśmy otrzymać na specjalny program usług społecznych, ale otrzymaliśmy tę subwencję z puli funduszy federalnych, administrowanych przez Community Development Agency w Nowym Jorku, na podstawie kontraktu podpisanego 24 maja 1974. W tymże roku subwencję tą powiększono nam o dalsze 12,500 dolarów. Był to pierwszy krok. W ślad za tym miejska agencja usług społecznych Human Resources Administration, zwróciła się do Board of Estimates pismem, w którym czytamy: „Program etniczny winien być zatwierdzony w oparciu o pozytywną działalność Centrum Polsko-Słowiańskiego w dziedzinie pracy społecznej od marca 1972 roku i dobre wywiązanie się ze specjalnego programu o niskiej sumie 25,000 dolarów, przyznanej zgodnie z umową z Community Development Agency z dnia 24 maja 1974. Jesteśmy przekonani, że tak jak i w przeszłości, Centrum-Polsko-Słowiańskie będzie kontynuować swoją działalność niosąc wszelką pomoc potrzebującym Polakom i Słowianom, wraz z innymi mieszkańcami miasta Nowy Jork, o ile zwrócą się oni o to, bez względu na pochodzenie etniczne, rasę, czy wyznanie.

Z tego okresu w innym piśmie czytamy:

„Zgodnie ze Statutem Miasta Nowy Jork, Sekcja 349, Board of Estimates zatwierdza program etniczny jako nagrodę i poleca Human Resources Administration zawrzeć umowę z Centrum Polsko-Słowiańskim na sumę nieprzekraczającą 87,460.00 dolarów na okres roku fiskalnego, od 1 lipca 1975 do 30 czerwca 1976”.

Tak rozpoczął się program etniczny, którego celem było udzielanie rozmaitych usług społecznych. Sprawą dla nas najważniejszą była nie suma tego programu, lecz o obudzenie świadomości Polonii, że jej też się coś należy, że i ona ma prawo do subwencjonowanej działalności społecznej. Uzyskanie tego programu było jakby sygnałem, że Centrum będzie mogło uzyskać także i inne programy, w ramach celów społecznych ujętych w naszym statucie. Koordynacja wykonania umów o programy

społeczne była powierzona przez Human Resources Administration mnie osobiście, jako dyrektorowi wykonawczemu Centrum.

W dalszych latach program ten ulegał różnym zmianom i poprawkom, wprowadzanym przez administrację miejską, ale główny jego charakter pozostawał ten sam. W pierwszym roku zatrudnialiśmy 5 pracowników, w późniejszych latach nawet więcej. Budżet programu był zawsze podzielony na dwie części: pensje pracowników (w pierwszym roku — 61,860.00) oraz inne wydatki, jak ubezpieczenia, czynsz, sprzęt, materiały biurowe, publikacje, druki, telefon itp. (w pierwszym roku — 25,600.00). Przyznanego funduszu nigdy nie otrzymuje się w jednorazowej kwocie, lecz w ratach, po przedstawieniu odpowiednich rachunków. Wszystkie programy mają podobną zasadę. Gospodarzenie tymi funduszami wcale nie jest tak łatwe, jakby się mogło wydawać. Co najważniejsze, że uzyskując ten pierwszy program Centrum zostało oficjalnie uznane przez władze Nowego Jorku i wprowadziło nas jako piątą grupę etniczną, na równi z żydowską, grecką, włoską i irlandzką, oraz weszło w skład Amerykańskiej Koalicji Etnicznej. Mimo różnych okresów kryzysowych program ten trwa nadal głównie dzięki temu, że te pozostałe cztery grupy etniczne są bardzo prężne i wpływowe. Władze liczą się z nimi.

Dzięki temu programowi Centrum świadczyło usługi społeczne w sporym zakresie. Pracownicy Centrum, opłacani z tego programu, załatwiali zwracającym się do nas sprawy imigracyjne, wypełniali dla nich wszelkiego rodzaju podania i formularze, wykonywali tłumaczenia, reprezentowali naszych klientów w różnych urzędach miejskich, pomagali uzyskać Medicaid i Medicare, a także SSI, kupony żywnościowe dla ludzi o niskich dochodach, niżkowe bilety komunikacji miejskiej dla osób starszych, pomagali nowoprzybyłym w znalezieniu pracy i mieszkania, starali się o pomoc domową dla osób starszych i chorych, udzielali rozmaitych porad, a nawet godzili zwaśnione małżeństwa. Nie sposób zresztą wymienić tu tej całej różnorodności usług społecznych, gdyż życie jest skomplikowane, a nieraz bardzo ciężkie nawet w bogatej Ameryce... A piszę o tym wszystkim w czasie przeszłym, gdyż nie odpowiadam za stan obecny...

Byłem więc dyrektorem tych programów, specjalnego pierwszego i etnicznego od 1974 do 1981 roku. Praca ta dawała mi ogromne zadowolenie. Przyznać trzeba, że wiązała się z tym i korzyść osobista dla mnie. Otóż, jak wiadomo, moja praca w charakterze dyrektora wykonawczego Centrum i odpowiedzialnego za organizację zarówno przed władzami, jak i przed członkami Centrum, była pracą całkowicie bezpłatną. Natomiast dzięki funkcji dyrektora programu etnicznego otrzymywałem pensję, początkowo w wysokości 12 tysięcy dolarów

rocznie, a później nawet 18 tys. dolarów rocznie. Ten program był także źródłem utrzymania dla szeregu naszych pracowników.

Był jednak i taki moment, że dla utrzymania jednego pracownika, którego urzędnicy miejscy sugerowali zwolnić w związku z cięciami budżetowymi, zrzekłem się 2 tys. dolarów rocznie z własnej pensji i prosiłem, by pozostali pracownicy zrzekli się po 1 tys. dolarów rocznie, tak by w ten sposób wygospodarować dodatkową pensję dla Gregory Czuchlewskiego. Pracownicy poszli w moje ślady i zgodzili się na obniżkę zarobków. Czuchlewski pozostał w pracy, ale wkrótce „odwdzińczył” mi się udziałem w tajnych zebraniach u O. Zembrzuskiego, na których ukarowano moje wyrzucenie. Czuchlewski nie robił tego bezinteresownie — zajął później moje miejsce, został dyrektorem programu etnicznego. Prowadzi mu się znacznie lepiej, aniżeli mnie wówczas, gdyż ma rentę Social Security oraz rentę z wojska... Poważniejsze trudności w realizacji tego programu wynikały z tego, że wśród Polaków nie było praktycznie ani jednej osoby, która by miała „zielone pojęcie”, jak w Ameryce prowadzić tego rodzaju działalność społeczną. W USA istnieje nawet specjalność tzw. social worker, czyli urzędnika opieki społecznej, i tak jak w każdym zawodzie, wytworzył się specyficzny żargon zawodowy, składający się głównie z mnóstwa różnych skrótów literowych i setek najrozmaitszych formularzy, które trzeba było umieć odpowiednio wypełniać.

Poza tym, taki pracownik społeczny musiał okazywać niezwykłą cierpliwość, umiejętność wysłuchiwanie ludzkich żalów i znalezienia jakichś sposobów zaradzenia ludzkim kłopotom życiowym.

I wreszcie, władze miejskie chciały wiedzieć dokładnie, co i jak w tej dziedzinie robimy i jak realizujemy podpisane umowy.

Obawiając się cięć budżetowych, organizacje żydowskie wpadły na pomysł wprowadzenia dodatkowego formularza, który z jednej strony stanowił niezmiernie praktyczną kartotekę interesanta, a z drugiej — umożliwiał wykazanie władzom miejskim, ile czasu poświęcono danemu interesantowi, dokąd go skierowano, jakiej udzielono mu pomocy itd. Formularz ten był podobny do istniejącego formularza informacyjnego, ale zawierał całą masę dodatkowych danych: oprócz danych personalnych interesanta, meritum sprawy, oraz wszystkie czynności z nią związane. Co najważniejsze jednak, ten formularz musiał być przez interesanta podpisany, stanowiąc w ten sposób dowód dla władz, ile spraw załatwiono i że żadna z czynności nie była zmyślona, lecz odpowiadała faktycznej usłudze.

No i tu natrafiliśmy na nieprzewidziane trudności: nasi kochani rodacy nie byli skorzy do podawania prawdziwego adresu, a tym bardziej do podpisywania takiego formularza. Trzeba było im długo tłumaczyć, że ten

formularz nigdzie nie będzie wykorzystywany na ich niekorzyść, że stanowi dla nas jedynie dowód, rozliczenie z dokonanej pracy. Jeśli nie udowodnimy naszej działalności na piśmie, tłumaczyliśmy, to władze nam nie dadzą środków na kontynuowanie naszej pracy społecznej. Niestety. Nie pomagały nasze zapewnienia, że to nigdy nie zostanie przekazane do władz imigracyjnych i że nie ma to nic wspólnego z jakąkolwiek robotą polityczną. Perswazje nie pomagały. Większość podpisywać nie chciała. Musieliśmy więc gęsto tłumaczyć miejskim biurom, że nasi ludzie są znękani wojną, komunistycznym terrorem, okupacją, boją się cokolwiek podpisywać. Po długich targach udało mi się namówić władze, by przysłały w dowolnym czasie kontrolę do nas i po prostu policzyli sobie ilość interesantów załatwianych w ciągu określonego czasu. Pracownicy pamiętają zapewne te częste kontrole, które zresztą wypadły dla nas zawsze bardzo pomyślnie, gdyż interesantów mieliśmy dużo. Potrzebujących naszej pomocy nigdy nie brakowało.

Dzięki temu właśnie programowi etniczemu (oraz dzięki pracownikom tego programu: James Thomas, Elizabeth Bajorek, Sheila Kelly, Marian Kots, Jerzy Pańciewicz, Lesław Jurewicz, Krzysztof Żołnierowicz, Wacław Warchoł, Alicja Chmielnicka, Andrzej Pityński i inni) udało nam się opracować i wydać niezmiernie potrzebną książkę pt. *Polish Americans in the City of New York — An Outline of Socioeconomic and Cultural Needs, 1979*, która służyła nam jako dokument uzasadniający starania o programy.

Jak wspomniałem, w tamtych latach wśród Polaków brak było ludzi znających zawodowo pracę tzw. social worker. Zwracałem się w tej sprawie o pomoc do kilku instytucji, m.in. do Fundacji Kościuszkowskiej i do Polskiego Instytutu Naukowego. Nikt mi jednak nie był w stanie pomóc. A sam przecież także w tym się nie specjalizowałem. Pamiętam, na pierwszych zebraniach siedziałem jak na tureckim kazaniu. Nie rozumiałem nawet, o czym mówią, gdyż posługiwałem się swoistym żargonem i mnóstwem skrótów. Musiałem się tego wszystkiego uczyć. Takie same przeżycia mieli wszyscy nasi pracownicy. Zwracałem się z tym problemem do władz, lecz i tam nic nie wskórałem, aż mnie skierowano do zastępcy komisarza Human Resources Administration, Gladys Harrington, która znalazła wreszcie dwie osoby. Jedna z nich była starszą wiekiem Żydówką, słabo zresztą mówiącą po polsku, a druga Danuta Sobczyńska okazała się zdolną, młodą, dobrze prezentującą się Polką wśród kilku tysięcy pracowników społecznych! Trudno uwierzyć, ale tak było w istocie. Poprosiłem więc o oddelegowanie jej do Centrum. Była ona pierwszą naprawdę fachową siłą, więc wykorzystywaliśmy ją do załatwiania spraw najbardziej trudnych. Nadto, nie była ona na etacie Centrum, lecz

otrzymywała pobory z innej instytucji, co też stanowiło dla Centrum znaczną oszczędność. Pracowała u nas długo i przyczyniła się do zbudowania fundamentów polonijnej pracy społecznej. Ona to opracowała pierwszy wniosek (tzw. propozycję), dzięki któremu uzyskaliśmy Program Dożywiania dla Osób Starszych, istniejący do dziś w Centrum.

Gladys Harrington stała się wielką przyjaciółką Centrum. W jej biurze wisiały na ścianach wielkie kolorowe zdjęcia z naszej Manifestacji Solidarności Polonii. Przysyłała mi do pracy studentów i studentki uczelni szkolących pracowników społecznych na praktykę. Wszystkich nie jestem już w stanie wymienić. Dokumentów mi niektórych brak, a pamięć też zaczyna mi zawodzić, najwidoczniej starzeje się... Długo pracowała pani Restrepo, hiszpańskiego pochodzenia, a najbardziej zdolnym był Robert Lederman, który u nas pracując zrobił dyplom magistra nauk społecznych. Zajmował później szereg stanowisk w administracji miejskiej, ale do końca pozostał moim i Centrum przyjacielem. Był dla mnie najlepszym doradcą i współpracownikiem od 1974 roku aż po 1981. Dzięki niemu miałem zawsze aktualne informacje, co się dzieje w Wydziale Usług Społecznych. W tym tkwiła też „tajemnica” naszych możliwości składania w terminie wniosków i propozycji na programy subwencionowane. Dzięki niemu zawsze wiedzieliśmy, co należy szczególnie w naszej propozycji podkreślić, aby zapewnić sobie przyznanie programu. Gdyby mnie sami nie przesładowali, Centrum mogłoby mieć o wiele więcej programów i rozwinąć się ogromnie.

Tenże program etniczny wykorzystywałem także dla osiągnięcia innego wielkiego celu, jakim było utworzenie Unii Kredytowej. Na etapie tego programu zatrudniłem bowiem Mariana Kotsa, działacza ukraińskopolskiego, który był głównym motorem uruchomienia Unii Kredytowej. Dzięki założonej przeze mnie Unii Kredytowej Greenpoint nie tylko pozostała polską dzielnicą, ale i rozwinął się, a dziś przeżywa prawdziwy rozkwit. Iluż naszych rodaków dorobiło się dzięki pożyczkom udzielanym przez naszą Unię Kredytową na kupno domów. Wielu naszych ludzi ma nie jeden, lecz po kilka domów...

Tak więc skromny początkowo program etniczny uczyniłem załącznikiem wielkich rzeczy, owocujących do dziś dnia. Osiągnęliśmy bardzo wiele w ciągu pierwszych 6 lat działalności tego programu. Są tego liczne dowody. Niestety, następne 6 lat, program ten, pod kierownictwem Gregory Czuchlewskiego i ks. Emila Altmajera, nie zrobił nic. Stał i stoi w miejscu. Zbiurokratyzował się. Realizuje kontrakt z miastem, bo przedłuża go z roku na rok, ale nie wykazuje żadnego rozwoju, nie planuje niczego na przyszłość, nie rozbudowuje organizacji. Gdyby tak w jakimś momencie miasto cofnęło kredyty, lub nie przedłużyło umowy, to wszystko rozlecia-

łoby się. Realizacja programu etnicznego opierała się bowiem na żywej organizacji, na Centrum, które rozwijało się z dnia na dzień coraz bardziej i miało także swoje własne fundusze. Centrum miało prawo i ma to prawo nadal korzystać z zysków Unii Kredytowej i na tej podstawie może kontynuować swoją działalność społeczną nawet wtedy, gdyby z jakiegoś powodu zabrakło subwencji rządowych. Nadto, pracować społecznie, to znaczy pracować nie tylko dla pensji, lecz z prawdziwym poświęceniem i oddaniem dla dobra własnego społeczeństwa.

Brak tych przesłanek powoduje, że organizacje bazujące na samych tylko subwencjach i pensyjkach przestają istnieć z momentem „zakręcenia kurka” z pieniędzmi. Tak stało się m.in. z krótkotrwałymi organizacjami „People for People”, czy „Polish American Cultural Affairs”, zabrakło łatwych pensyjek, zabrakło ciepłych posadek, i wszystko się rozleciało...

Centrum budowałem na innych podstawach. Chciałem, aby to była organizacja prawdziwie społeczna, mająca dobro polskiej społeczności na względzie przede wszystkim. Nie chciałem dopuścić do zaprzepaszczenia tego, co zbudowałem. Chciałem obronić Centrum i Polonię zarówno przed zbiurokratyzowaniem, jak i przed prywatą. Bronilem Centrum przed ludźmi żądnymi jedynie sławy, posadki, stanowiska z tytułem... Nie obroniłem. Wyrzucono mnie. Pozostawiłem jednak po sobie żywy pomnik — Centrum, i ten podstawowy, pierwszy z uzyskanych, program etniczny, a także drugi pomnik — Unię Kredytową.

8. KLUB SENIORÓW — KRAKUS

Wiedziałem, że na terenie metropolii nowojorskiej mieszka wielu starszych ludzi, którzy w ciągu swego długiego żywota wnieśli spory wkład w rozwój życia naszej Polonii. Wskutek wieku i niemocy wielu z nich usunęło się w cień, wyłączyło z życia społecznego, żyjąc nieraz samotnie, w opuszczeniu. Obecni „przywódcy” Polonii zapomnieli o nich. To jest nie tylko błąd, lecz wprost grzech, okrucieństwo.

Dlatego drugim programem społecznym, na który uzyskaliśmy fundusze od władz administracyjnych, był program dla seniorów, polegający nie tylko na wydawaniu bezpłatnych posiłków dla wszystkich, którzy ukończyli 60 lat życia, a więc nie koniecznie wyłącznie dla biednych, lecz także udzielania pomocy w sprawach duchowych i osobistych. Ustawodawcy w Waszyngtonie wiedzieli bowiem, że człowiek „nie samym chlebem” żyje. Starsi ludzie mają wiele codziennych kłopotów, których nie są w stanie pokonać bez obcej pomocy. Na przykład, biurokracja żąda od nich wypełniania licznych formularzy, z czym zresztą i młodszy mają często nie lada trudności.

Głównym celem tego programu jest wyciągnięcie ludzi starszych z osamotnienia i zaniedbania, umożliwienie im spotkania swych rówieśników, serdecznej rozmowy, jakiegoś zajęcia, czy rozrywki.

Dowiedziałem się o istniejących programach tego rodzaju i rozpocząłem szukanie dróg do uzyskania funduszy na ten cel. Okazało się, że tzw. program tytuł XVI dla starszych jest już zamknięty, ale właśnie Kongres uchwalił tytuł VII, który płaci za żywność oraz dwie pensje: dla dyrektora i kucharki. Resztę kosztów musi ponieść organizacja otrzymująca dotację z tego funduszu. Wpierw jednak starałem się wysłuchać opinii wśród naszych rodaków, co myślą o takim programie. Pamiętam wypowiedź red. J. Dubickiego na ten temat:

„Czy ksiądz nie wie, że każdy z nas Polaków cierpi na chorobliwy przerost ambicji? Każdy Polak mówi, że chociaż jestem biedny, ale honorowy. Nikt nie zechce korzystać z takiego programu.

Wiem, że ksiądz za ostatnie grosze kupił ten budynek, pięknie go odnowił, zrobił z niego prawdziwe polskie Centrum, a teraz chce go zniszczyć? Na dożywianie zejdzie się cała hołota z okolicy, zabrudzi, zapaskudzi, a wtedy tym bardziej żaden Polak nie przyjdzie. Nasi nie zechcą się do stołu razem z Murzynami i Portorikanami. Tylko będą pretensje z tego powodu do księdza...”

Były prócz tego także inne trudności. Fundusze na ten program były z zasady przyznawane wielkim organizacjom i tylko w dzielnicach zaliczanych do biednych. Nadto sąsiednia organizacja na Leonard Street otrzymała fundusze z tytułu XVI, a więc z pokryciem kosztów lokalu, ogrzewania, elektryczności itp., czego ja otrzymać nie mogłem, bo było za późno. A sprawa była pilna. Obszerny wniosek trzeba było opracować w ciągu tygodnia, nie było nawet czasu na przedyskutowanie tej sprawy na posiedzeniu zarządu.

Porozumiałem się więc z prezesem i wiceprezesem. Ich odpowiedź postawiła mnie w jeszcze trudniejszej sytuacji: „Jak ksiądz zadecyduje, to my na zebraniu zaakceptujemy...” Modliłem się i chodziłem spać z tą

myślą: złożyć wniosek, czy nie? Po kilku dniach doszedłem do przekonania, że nie wolno mi stracić tej okazji, gdyż niewiadomo, czy jeszcze się nadarzy. Skoro nikt z Polaków do tej pory o takiej inicjatywie nawet nie pomyślał, to moim obowiązkiem jest ją zrealizować.

Trzeba tu wspomnieć, że uzyskanie funduszy miejskich na taki program, to sprawa wcale nie prosta. Już samo opracowanie wielostronicowej propozycji, to ogromna praca, której wykonanie powierzyłem p. Danucie Sobczyńskiej, jedynej Polce pracującej w aparacie opieki społecznej miasta Nowy Jork. Lecz i złożenie fachowo opracowanej propozycji nie gwarantuje skutku. Konieczne jest poparcie wniosku ze strony działaczy amerykańskich i polskich. Na moją prośbę senator stanowy Chester Straub wystosował szereg pism do władz miejskich. Propozycję poparli także: radny miejski Joseph Lentol, kongresman Fred Richmond, oraz paru wyższych urzędników zarządu miasta.

Ze strony polskiej udało mi się pozyskać poparcie ks. Leona Baltruckiego z parafii św. św. Cyryla i Metodego, gdzie wówczas pracowałem, oraz od niezawodnego patrioty Bolesława S. Wojewódki, który był wówczas prezesem nowojorskiego oddziału Kongresu Polonii Amerykańskiej.

W styczniu 1974 inspektorzy miejscy uznali, że kuchnia i sala odpowiadają wymaganiom programu, ale miasto miało i argumenty przeciwko pozytywnej decyzji. Greenpoint nie był zaliczany do biednych dzielnic, a w sąsiedztwie istnieje podobna placówka. Nie wygralibyśmy tej pierwszej wielkiej batalii Polonii przeciwko miastu, gdyby nie fakt, że w tym właśnie okresie nasze Centrum Polsko-Słowiańskie prowadziło energiczną kampanię przeciwko dyskryminacji Polaków i Słowian w ogóle, która miała swój punkt kulminacyjny w Manifestacji Solidarności Polonii w dniu 5 maja 1974 roku. Manifestacja ta okazała się najlepszą formą nacisku i skłoniła władze miejskie do ustąpienia. Dnia 15 lipca 1974 roku program został nam przyznany. A była to właściwie ostatnia szansa. Ze stu pięćdziesięciu propozycji zaakceptowano jedynie 12. Fundusze przyznano jedynie organizacjom kościelnym i była to ostatnia akcja rozpatrywania tego rodzaju wniosków o finansowanie dożywiania. Wśród tych dwunastu organizacji, które otrzymały fundusze było: 1 — z kościoła Episkopalnego, 1 — z kościoła Luterńskiego, 1 — z kościoła Rzymsko-Katolickiego, oraz 8 z gmin żydowskich, oraz nasze Centrum.

W związku z zatwierdzeniem funduszy dla Krakus Dining Club zrodziły się nowe wymagania w stosunku do pomieszczeń. Zarząd miasta delegował inżyniera, który zaczął swój protokół od pochwał: „miejsce jest

atrakcyjne, wysoki sufit wyłożony niepalnymi płytami, dobrze oświetlone, dobrze rozplanowane wnętrza, stoły i krzesła wygodne dla osób starszych, a na ścianie wewnątrz oraz na zewnątrz budynku duża tablica informacyjna z ogłoszeniami. Atmosfera całkowicie przyjemna, stosunki pomiędzy klientami i personelem przyjazne. Wydaje się, że w tych warunkach seniorzy będą czuli się dobrze”.

Po tych pochwałach następuje jednak długa lista wymagań. Zażądano wybudowania dodatkowych ubikacji, dodatkowych drzwi awaryjnych, oraz uzyskania szeregu zezwoleń: na użytkowanie pomieszczeń przez określoną, maksymalną ilość ludzi (Certificate of Occupancy), na zgromadzenia publiczne i związane z tym urządzenia przeciwpożarowe, etc. Oprócz tego, władze domagały się aby właściciel domu podpisał zobowiązanie, że bierze na siebie i na swoją odpowiedzialność: utrzymywanie systemu ogrzewania, ochładzania i instalacji elektrycznej, dostarczania opału i ciepłej wody, utrzymywanie czystości wewnątrz i zewnątrz lokalu oraz utrzymywanie zarządzającego i stróża, płacenie wszelkich należności dokonywania wszelkich napraw, zabezpieczanie drzwi i okien przed owadami oraz dezynfekcja pomieszczeń, utrzymywanie i naprawa mebli i urządzeń kuchennych, odnawianie lokalu co dwa lata, pokrywanie kosztów elektryczności i innych opłat miejskich, zabezpieczenie okien i drzwi, dbanie o zamki, kraty i system alarmowy itd.

A właścicielem budynku byłem nie sam, lecz wspólnie z moją siostrą, Heleną Tołczyk-Fiedosewicz. Musiałem więc ją nakłonić, by podpisała wraz ze mną to zobowiązanie, mimo iż stwarzało ono poważne niebezpieczeństwo ponoszenia w niedalekiej przyszłości dużych kosztów, aby te żądania miasta spełnić..

Bez żadnej przechwałki mam prawo dziś postawić pytanie: kto z możliwych, rządzących Centrum obecnie, zechciałby podpisać tak wielkie zobowiązanie? Któż z tych „zawodowych” działaczy społecznych podjął się zorganizowania społecznej placówki we własnym budynku? A ryzyko było spore i bałem się przyjętej na siebie odpowiedzialności. Dzięki Bogu, wyszło to z pożytkiem i dla dobra wszystkich naszych rodaków starszego pokolenia.

Z biegiem czasu udało mi się tak pokierować sprawami Centrum, że inne fundusze specjalne mogły pokrywać koszty utrzymania pomieszczeń Klubu Seniorów, któremu dałem nazwę „Krakus”.

Oficjalne otwarcie stołówki dokonane zostało 29 sierpnia 1974 roku. Uroczystość była wspaniała, po czym... musiałem sam zabrać się do sprzątnięcia i wynoszenia śmieci. Dyrektorem programu został p. Aleksander Jordan, ten z kolei przyjął sobie red. Jerzego Pańciewicza i zaan-

gażował na swego zastępcę red. Edwarda Duszę. Wszyscy oni uważali siebie za dyrektorów, więc przychodzili, kiedy chcieli. Uważali, że za pomoc w organizowaniu manifestacji należy im się to stanowisko, z nieziłą i stałą pensją. Byli zapewne niezłymi redaktorami, ale do pracy w stołówce... raczej nie nadawali się. Potrafili jednak co innego...

A. Jordana darzyłem zaufaniem, wobec czego zarząd CPS powierzył mu, jako dyrektorowi programu, uzupełnienie koniecznych urządzeń i zakup brakującego sprzętu, oraz prowadzenie gospodarki zgodnie z ustaleniami budżetu.

Po kilku miesiącach stwierdziliśmy, że moje prywatne meble (krzesła, stoły, biurka i szafy) zostały sprzedane dla programu dożywiania. Zarząd zmuszony był na zebraniu 3 kwietnia 1975 zobowiązać p. Jordana do zwrotu kwoty 2232 dolarów i zrezygnowania ze stanowiska. W ten to prosty sposób straciłem część moich mebli na rzecz programu, zdobywając w zamian paru nowych wrogów, gdyż zwolniony został także zastępca p. Jordana, Edward Dusza, który później pisał brednie, podpisując pseudonimem Marian lub Andrzej Porembski.

Nowym dyrektorem został Eugeniusz Witt. Te pierwsze zmiany personalne nie pozostały bez konsekwencji. Posiane zostało ziarno zła, które wkrótce też zaowocowało. Zaczęły się kłopoty z władzami, które zostały spowodowane przez donosy niezadowolonych. Niespodziewanie dyrektorka Biura Dożywiania Starszych Osób, Roda Howard, zażądała by następnego dnia o oznaczonej godzinie był w biurze CPS prezes i zwołał nadzwyczajne zebranie.

Nie wiedziałem co się stało. Zapanowała panika. Eugeniusz Witt już chodził zmartwiony, że straci dobrą posadę.

Następnego dnia, równie niespodziewanie, zjawił się także delegat komisarza Human Resources Agency, Robert Lederman, i oznajmił, że chce być obecny, gdyż pragnie zaraz zawiadomić komisarza o wynikach zebrania, gdyż słyszał, że Roda Howard przychodzi zamknąć program. Przybył prof. Eugeniusz Kleban, prezes Centrum, a wraz z Rodą Howard przyszedł Thaddeus Taberski, dyrektor programów dla starców z ramienia stanu Nowy Jork. Spotkanie zapowiadało się dramatycznie... Pani Howard zaczęła od wykazywania braków oraz nieudolności prowadzenia programu przez Eugeniusza Witta. Zarzucała m.in. brak odpowiedniego programu rozrywkowego dla seniorów.

W odpowiedzi na ten zarzut przedstawiłem kalendarz imprez, który był świetnym kontrargumentem na fałszywe donosy. Dyrektor biura stanowego, T. Taberski, obejrzał go ze zdziwieniem i powiedział, że w całym stanie żaden klub seniorów takiego programu nie posiada. Argumentowałem także, że od dłuższego czasu nie mamy kierownika prog-

ramu kulturalno-rozrywkowego, gdyż sama p. Howard nie zatwierdziła naszego kandydata, ks. dra Ryszarda Hermanowicza na to stanowisko. Zażądałem więc przy tej okazji wyjaśnienia, dlaczego?

Zdenerwowana odpowiedziała: „bo on jest księdzem”, czym dała mi podstawę do ostrzejszego wystąpienia.

— „Niechże mi pani powie, ilu rabinów pracuje na różnych stanowiskach miejskich i ilu rabinów pracuje w programie dla seniorów, którzy są nie tylko kierownikami kulturalno-rozrywkowymi, ale i dyrektorami?!” Atmosferę konsternacji rozładował T. Taberski wybuchając głośnym śmiechem.

Dalsze zarzuty były poważniejszej natury. Dotyczyły one braku odpowiednich dokumentów, zezwalających na użytkowanie budynku przez publiczność. Miałem wszystkie wymagane zezwolenia, ale celowo ich do tej pory nie przedkładałem p. Howard, gdyż sprzeciwiała się ona płaceniu za dostęp do drzwi awaryjnych. Musiałem płacić 60 dol. miesięcznie za to właścicielowi sąsiedniej posesji.

Skoro poprzednie zarzuty zostały obalone, to p. Howard oznajmiła, że zamyka stołówkę, gdyż Centrum nie posiada Certificate of Occupancy i Permit of Assembly na budynek, w którym ona się mieści.

Dyrektorowi T. Taberskiemu wyjaśniłem sprawę tych nieszczęsnych 60 dolarów miesięcznie za dostęp do drzwi awaryjnych, po czym przedstawiłem posiadane zezwolenia, oświadczając:

— „Wszyscy obecni są świadkami, że wymagane dokumenty posiadamy, wobec czego zamknięcie stołówki byłoby tylko wyrządzeniem krzywdy starcom, Centrum i dyskryminacją Polonii”.

Zaskoczona takim obrotem sprawy p. Howard zamilkła w wielkim zdenerwowaniu. Poczula się skompromitowana w oczach dyrektora stanowego i więcej już głosu nie zabierała.

Pierwszy atak władz przeciwko Centrum został przez nas wygrany. Czuliśmy jednak, że nikt nas nie kocha, a zatem musimy starać się pracować w ścisłej zgodzie ze wszystkimi przepisami, tak aby nam nie wyrządzono poważniejszej szkody.

Mimo to, wrogowie nasi odtąd już nigdy nie dawali nam spokoju...A Klub Seniorów Krakus rozrósł się ze stołówki do prawdziwej instytucji pomocy społecznej. Chorym rozwoziliśmy posiłki do domów, w lokalu Centrum przeprowadzano badania lekarskie, a nadto i działalność kulturalno-rozrywkowa stała się coraz bardziej popularną inicjatywą. Imprezy odbywały się z okazji wszystkich ważniejszych rocznic historycznych i świąt religijnych. Co miesiąc urządzano seniorom przyjęcia urodzinowe, a w sezonie letnim Klub zorganizował dziesiątki wycieczek autobusowych.

Centrum wraz z Klubem urządzało nawet festiwale, nie tylko w Brook-

lynie, lecz nawet w Bryant Park, na rogu 42-ej Ulicy, na Manhattanie, koło głównej Biblioteki Publicznej. Tysiące ludzi oglądało nasze zdjęcia, rysunki i plansze, wykazujące dyskryminację Polaków i Słowian, a jednocześnie nasz ogromny wkład w budowę Stanów Zjednoczonych. Wysiłek informacyjny poparty był argumentami rzeczowymi: pierogi podawane wprost z patelni, wspaniały bigos, polska kielbasa na gorąco, pączki wyrobu mistrzów Nachajskiego i Heleny Waltoś, smakowite ciasta wypiekane przez Sobierajską i Stojda. A także zespół słowiańskich mandolinistów.

Klub Krakus stał się znany w mieście, jako „polski” klub. I tak było w istocie. To był nasz cel. Stanowiliśmy wzór dla innych. U nas wszystko odbywało się po polsku.



Otwarcie Klubu Seniorów, w głębi od lewej — p. Lederman, p. Gerges, p. Jordan, p. O'Dwyer, p. Krupsak, ks. Tolczyk

9. DRUGA OBRONA CENTRUM PRZED ATAKIEM ORGANIZACJI POLONIJNYCH

Zetknięcie się trzech pokoleń emigracji, tej pierwszej, starej, zwanej zarobkową, która jednak pozostawiła po sobie ponad 800 kościołów i prawie tyleż szkół, domów narodowych i różnych instytucji, tej drugiej, powojennej, zwanej emigracją polityczną, która właściwie niczym specjalnym szczyć się nie może, i wreszcie tej trzeciej, najnowszej, trudnej jeszcze do scharakteryzowania, nie wpłynęło korzystnie na kształt życia społecznego naszej Polonii. Wydaje się, że w tym naszym etnicznym organizmie wszystko się popsuło. Najrozmaitsze niedomagania mają swoje źródło w waśniach, zazdrości, antagonizmach, przejawiających się w niezliczonych paszkwilach, atakach na osoby i na organizacje.

Przykładem tu także i wojna wytoczona przeciwko mojej osobie i przeciwko utworzonym przeze mnie organizacjom.

Po otrzymaniu pierwszych subsydiów na programy społeczne, o czym jakoś wcześniej polonijne organizacje nawet nie marzyły, choć prezesi i kierownicy tych organizacji mieli dużo czasu i nie mniejsze ode mnie możliwości, nagle powstało istne piekło zazdrości.

Niektórzy mówili mi wprost w oczy: „Ksiądz dopiero przyjechał z Polski i już chce tu swoje rządy zakładać? Od programów społecznych to my tu jesteśmy. My tu mamy kościoły, sale parafialne, domy narodowe, mamy członków, parafian, mamy wszelkie warunki, by organizować Polonię. A ksiądz nie ma nic i chce reprezentować Polonię, a nawet Słowian?!”

Miałem dla nich tylko jeden argument. „A na co panowie czekali przez tyle lat? Czy na mój przyjazd? Mieliście wszystkie warunki, ale nie widać żadnych owoców waszej pracy społecznej!” Gdyby z podobną inicjatywą wystąpił ktoś z „ich” ludzi, któryś z tych „żelaznych prezesów”, to inna sprawa. Może... może nawet przyłączyli by się. Dopuszczać jednak, aby działał na „ich terenie” ktoś nowy, „obcy”, nie, tego było za wiele...

Uznano to za skandal, że jakiś tam ksiądz Tołczyk zdołał otrzymać fundusze od władz miejskich, stanowych, czy federalnych, a ich organizacje, choć stare i zasłużone, okazały... przespały.

Wśród tej „politycznej” emigracji nadal pokutowały zwyczaje, które zdecydowały o tragicznym końcu tzw. Afery Bergu. Zwyczaj ten polegał

na tym, że w imię solidarności kliki otrzymywane fundusze dzieli się wg „klucza partyjnego”. Tak to były ambasador Raczyński pieniądze otrzymywane od CIA „dzielił” nie według potrzeb walki z komuną, lecz do rąk „udziałowców” w aferze: PPS, SN i jeszcze jakiegoś ugrupowania politycznego.

Zgodnie z tymi „zasadami”, na publicznym zebraniu nowojorskiego oddziału Kongresu Polonii Amerykańskiej, William Krusz miał odwagę oświadczyć, że „wtedy zapanuje w naszych organizacjach ład i porządek, jeżeli uzyskane z miasta fundusze będą podzielone proporcjonalnie dla wszystkich organizacji polonijnych. Wtedy nie będzie zazdrości. Dlaczego ma je otrzymywać tylko jedna i to najmłodsza organizacja?!”

Tłumaczyłem, że to jest błędne rozumowanie, gdyż władze nie dają funduszy żadnym grupom etnicznym „do podziału”, lecz zawierają umowę z uznawaną przez siebie organizacją na wykonanie określonych programem prac społecznych dla biednych i potrzebujących. A fundusze na ten cel określane są w budżecie władz według ustalanych celów. Władze są dysponentem tych funduszy i otrzymują je ze skarbu stanu lub rządu federalnego i w ratach wypłacają organizacjom prowadzącym dany program. Tłumaczyłem także, że przy poparciu polonijnych organizacji możemy uzyskać jeszcze więcej tych programów. Tyle, ile otrzymują inne grupy etniczne. Jeśli natomiast organizacje polonijne nas nie poprą, lub będą nam szkodziły, to nie uzyskamy nic. Polonia tylko stracić może wskutek tej zazdrości i niezrozumienia systemu tych subsydiów. Rozbicie, brak jedności działania, przyniesie szkodę całej Polonii.

Moje argumenty nie trafiały do przekonania. Nie trzeba było długo czekać, bo już na początku 1975 roku, ledwie w rok po otrzymaniu pierwszych subsydiów przez nasze Centrum, trzy inne organizacje złożyły propozycje do władz miejskich o przyznanie im programów. Były to: White, Red and Blue, Inc., Polonia Organizations League (POL) oraz Polish American Center for Urban Affairs (PACUA). Wnioski tych trzech grup zmierzały oczywiście do podminowania działalności Centrum. Dowiedziałem się jednak, że władze nie zamierzają uznać tych organizacji, jako godnych realizacji umów z miastem. Zwróciłem się więc już 25 kwietnia 1975 roku do tych organizacji z pojednawczym listem, proponującym współpracę. Treść tych listów była mniej więcej następująca:

„Doszło do mojej wiadomości, że wasza organizacja pragnie nieść pomoc dla ludności polskiej w Nowym Jorku. Centrum zajmuje się tym już od 1972 roku, więc wzywamy was do współpracy, abyśmy razem zaczęli jeszcze wydajniejszą pracę na korzyść naszej grupy etnicznej. Posiadamy przygotowanych do pracy ludzi oraz programy: etniczny, dożywiania ludzi starszych, a także otrzymany obecnie program CETA, na podstawie

którego możemy zatrudnić 36 osób. Jeśli wasza organizacja ma ludzi potrzebujących pracy, to zapewniamy ich przyjęcie. W przyszłości chcielibyśmy mieć przedstawicieli waszej organizacji w naszym wspólnym zarządzie, by w ten sposób wspólnie pracować dla dobra naszej grupy etnicznej”

Oczywiście zabrakło dobrej woli. Na te listy nie otrzymałem żadnej odpowiedzi. Dowiadywałem się jedynie od urzędników miejskich, jak to te organizacje wysyłają delegacje do władz miejskich, by zdobyć fundusze.

W grudniu 1975 rozgorzała już prawdziwa wojna. Zacytuję tylko krótki fragment artykułu wydrukowanego w Polish American World, Nr 50, w tłumaczeniu na polski, zatytułowanego: „Polskie Ośrodki walczą przeciwko sobie o fundusze”.

„Zaciekle wojna rozgorzała w kołach polonijnych. Dawniej Polonia nie otrzymywała pomocy finansowej od władz miejskich, obecnie jednak Centrum Polsko-Słowiańskie w Greenpoint otrzymuje ją i mogłoby zapewnić podobną pomoc także i innym ośrodkom w pozostałych dzielnicach miasta.

Ksiądz Longin Tołczyk, który założył to Centrum walczy obecnie o zwiększenie dotacji miejskich, by utrzymać i rozwinąć wielostronną działalność społeczną i aby utworzyć filie Centrum w Południowym Brooklynie i w dolnej części Manhattanu.

Ksiądz ten spotkał się jednak z wielką opozycją ze strony księży, oskarżających go w biurze burmistrza Nowego Jorku i wobec innych przedstawicieli władz, że wtrąca się on i działa na ich parafialnych terytoriach.

Prałat Jan Karpiński, duchowy przywódca polsko-amerykański, z pomocą byłego sędziego Waltera Bayera, Edwarda Mallena i innych działaczy z dolnej części Manhattanu, usiłuje otrzymać fundusze i otworzyć podobne Centrum, ale ich zabiegi nie przyniosły żadnych pozytywnych skutków...

Biskup Magavero odmówił księdzu Tołczykowi udostępnienia pomieszczeń w opuszczonej szkole, które ks. Tołczyk chciał wykorzystać na przedszkole. Wskutek tej opozycji, ks. Tołczyk może utracić przyznane mu na ten cel fundusze”.

Centrum nie miało zamiaru, ani nie rościło sobie żadnej pretensji, by stać się jedynym przedstawicielem Polonii na nowojorskim terenie. Na wszystkich zebraniach i spotkaniach z moimi adwersarzami podkreślałem, że pragniemy współpracować ze wszystkimi organizacjami polonijnymi. Wyciągaliśmy rękę pojednania i zgody, pomimo wielu czynów wrogich w stosunku do nas, nawet wobec SWAPu, a raczej etatowego adiutanta generalnego tej organizacji, Zbigniewa Konikowskiego, który miał tylko

jeden cel: uwić wygodne i dochodowe gniazdko dla swej żony, jak się później okazało.

Okazało się jednak, że chęć współpracy z innymi organizacjami nie wystarczy. Konieczna jest dobra wola, a tej większość organizacji polonijnych wobec Centrum za moich czasów nigdy nie miały...

10. ZAMIAST ZJEDNOCZENIA — ROZBICIE

Jak Polonia potrafi zaprzepaścić najlepsze nawet inicjatywy, niech posłuży następująca historia.

Największy Polski Dom Narodowy w Nowym Jorku, przy St. Mark's Place, wskutek zaniedbania wykonywania koniecznych remontów oraz płacenia podatków od nieruchomości, został opuszczony przez organizacje polonijne i ich prezesów. Zadłużenia podatkowe wzrosły do sumy ponad 100 tysięcy dolarów. Mogło do tego nie dojść, gdyby te organizacje starały się w przeszłości o zwolnienie od podatków, oddając budynek w ręce fundacji lub stowarzyszenia wyższej użyteczności publicznej. Większe organizacje, jak np. Kongres Polonii Amerykańskiej, znalazły schronienie w Domu Żołnierza, przy Irving Place; mniejsze rozproszyły się lub zaniechały działalności. Życie organizacyjne wokół parafii św. Stanisława zamarło zupełnie. Dopiero kiedy powstało Centrum i nabrało rozmachu po pierwszym roku działalności zdobywając fundusze miejskie na programy społeczne, wtedy — jak to zwykle u nas Polaków bywa — zaczęło się gorączkowe naśladowanie, czy też konkurowanie z nami na dolnym Manhattanie. Były sędzia Bayer, S. Markowski, J. Kowalski i Marian Sukiennik, który był ostatnim gospodarzem utraconego budynku, uzyskali 20 lipca 1973 roku rejestrację nowej organizacji pn. Polish American Center for Urban Affairs, Inc. i odbyli 6 września tegoż roku zebranie, na którym zatwierdzono statut.

Kiedy Centrum już miało swoje pierwsze programy, a główny program etniczny z filią w Domu Żołnierza, wtedy zarząd wspomnianego PACUA złożył swoją propozycję do tegoż zarządu Human Resources Administra-

tion, o identyczny program etniczny. Delegacja PACUA, jak skarżyła się później pani Gladys Harrington z zarządu HRA, żądała przyznania tej organizacji funduszy nie szczędząc ostrych i obelżywych słów. Ta niezdrowa konkurencja w oczywisty sposób szkodziła całej sprawie Polaków w oczach władz amerykańskich i groziła rozbiciem organizacyjnym naszemu Centrum.

Proponowaliśmy kompromis. Nawoływaliśmy do współpracy. Obiecaliśmy zatrudnienie wszystkich pracowników PACUA. Chcieliśmy dokooptować działaczy PACUA do zarządu Centrum. Argumentowaliśmy, że razem będziemy silniejsi i więcej od władz uzyskamy. Spotykaliśmy się z ks. prałatem J. Karpińskim, który wreszcie odwiedził nasze Centrum. Dzięki tym naszym wysiłkom rodziły się jakieś nadzieje na współpracę. Na jakiś czas sprawa ucichła. PACUA nie dawała znaku życia. Tymczasem część zatrudnianych przez Centrum studentów i pracowników opłacanych z funduszy programu CETA walczyła przeciwko nam i musiała odejść, a wraz z nimi niektórzy członkowie zarządu Centrum, jak np. dr Witold Płoński. Dr Płoński przyłączył się do istniejącej właściwie tylko na papierze PACUA, a z nim także Aleksander Jordan, który musiał odejść z Centrum w trybie karnym. Mieli oni już doświadczenie w pracy tego rodzaju, więc też część założycieli PACUA odeszła w cień, a nowi ludzie, na czele z drem Płońskim, stali się kierownikami tej organizacji. Udało im się przekonać sporo ludzi, że Centrum jest w kłopotach, wskutek czego zginie wkrótce śmiercią marną, stwarzając wyjątkową szansę dla nowej organizacji. Aleksander Jordan umiał dobrze pisać, więc jego obietnice brzmiały przekonująco. „Stworzymy polską koalicję dla wszystkich” — pisał, a na jego wezwanie — choć jawnie zmierzające do rozbięcia istniejącego Centrum — pospieszył z poparciem Polski Komitet Imigracyjny, gdzie zawsze duże wpływy miał ks. Karpiński, a także Polski Instytut Naukowy i Liga Polska. W ślad za nimi pospieszył SWAP, Polonia Technica i PIN, na czele z nowojorskim oddziałem Kongresu Polonii Amerykańskiej. Dr Płoński wymieniał nawet w spisie organizacji wspierających tę „koalicję” organizacje istniejące tylko w marzeniach niedoszłych założycieli, jak np. Polski Komitet Etniczny. Komitet ten nie powstał jednak, gdyż na zebraniu z polonijnymi księżmi do zgody nie doszło...

Organizacje te wystąpiły do władz miejskich z odpowiednimi pismami, dzięki czemu udało się drowi Płońskiemu stworzyć wrażenie, że ta nowa Polska Koalicja reprezentuje całą Polonię.

To był silny cios, wymierzony naszemu Centrum.

A Centrum było wtedy pod obstrzałem zarówno wrogów „wewnętrznych” w osobach z konieczności zwalnianych z pracy studen-

tów i pracowników opłacanych z funduszy CETA, jak i „zewnętrznych”, w postaci „konkurujących” obcych organizacji, jak np. Koalicji Greenpoint-Williamsburg, czy School Settlement. A PACUA, zamiast poprzeć Centrum i współpracować, złożyła odrębny wniosek o fundusze miejskie.

Wskutek tego sprawa przyznania funduszy przeciągała się. Władze nie chciały podjąć decyzji w sytuacji niepewności, po której stronie jest racja. Byli jednak i złośliwi, wrogo nastawieni do Polaków, którzy mi wręcz mówili: „Kto teraz wie, gdzie jest prawda. Sam Ojciec widzi, że teraz Centrum nie ma poparcia wśród własnych ludzi, gdyż założyli nową koalicję i domagają się programów społecznych dla PACUA. Nawet Kongres Polonii Amerykańskiej jest po ich stronie...”

Wroga atmosfera stawała się coraz bardziej uciążliwa. Dochodzenia przeciwko Centrum wydawały się nie mieć końca. Nagonkę na nas podsycały kłamliwe artykuły w piśmie „Tydzień”, wydawanym przez Jerzego Myssurę, którego później organizacja „Wolna Polska” i KPA zdemaskowały jako reżymowego agenta.

Rozpętana przez naszych wrogów kampania zmuszała nas do marnowania czasu na odpowiadanie na oszczerstwa i donosy. Rozgorzała wojna, trwająca aż po rok 1979.

Władze rozstrzygnęły sprawę kompromisowo. Centrum dostało zmniejszony przydział funduszy dla pracowników, a PACUA otrzymała 650 tys. dolarów z funduszu CETA. Dowiedziałem się o tym podczas spotkania u burmistrza Nowego Jorku. Mimo doznanych przykrości ze strony dra Płońskiego, szczerze mu pogratulowałem. Cieszyłem się z tego dlatego, że przecież to jednak swoi, Polacy, dostali te fundusze.

Ośrodek Usług PACUA został uroczystie otwarty 10 marca 1978 roku. Otrzymał lokal w budynku szkolnym przy 122 Pierwsza Avenue, na Manhattanie.

Chociaż powstanie PACUA rozbijało niewątpliwie zjednoczony wysiłek Polonii, ze szkodą dla Centrum, to jednak — skoro zaczął pracować dla polonijnego społeczeństwa — trzeba było ją popierać. Nie mogliśmy okazywać tego publicznie, rzecz jasna, gdyż Centrum nadal było przez organizatorów PACUA zwalczane na każdym kroku, nawet po uzyskaniu programu CETA. Kierownicy PACUA nie zapraszali naszych przedstawicieli na swoje zebrania i do współpracy skłonni nie byli. Mimo to, po cichu błogosławiłem ich wysiłkom i byłem zadowolony z ich sukcesów. Dzięki Bogu, nie mam zazdrości w swym charakterze, a wiedziałem, że czeka ich ciężka praca. Sam byłem obrzucany błotem za moją ofiarną pracę i godziłem się z tym, wiedząc że tak zwykle bywa. Dlatego moją zasadą było tylko bronienie się przed fałszywymi zarzutami, gdy chodziło o dobro Centrum i Polonii. O swoją osobę nie dbałem, a tym bardziej

nigdy nie atakowałem innych i nie płaciłem „pięknym za nadobne”. Doszło do tego, że grupa studentów i kilku zbuntowanych byłych pracowników CETA ruszyło przeciw mnie z transparentami. Zignorowałem to. Ludzie rozsądni wiedzieli przecież, że miasto dobrze pilnuje przydzielonych przez siebie funduszy, a poza tym: czyż miałyby sens kraść z tego, co powstało z moich własnych, skromnych oszczędności?

Zazdrość i złość ludzka, jak zwykle, granic nie mają, lecz prowadzą tych co tym grzechom ulegają do ruiny moralnej. Niejedna pożyteczna organizacja i nie jeden człowiek, starający się działać dla społecznego dobra, bywali w ten sposób zaszczeni, a polonijny dorobek zniszczony.

Tak też i stało się z PACUA. Wiele poważnych organizacji popierało PACUA i obecność ich przedstawicieli w zarządzie tej Koalicji winna była odegrać pozytywną rolę w powstrzymaniu wrogów od jej zniszczenia. Wrogowie znaleźli się jednak wewnątrz PACUA i od wewnątrz tę organizację wreszcie rozsadzili. Długie miesiące pozywano się wzajemnie do sądów. W końcu drzwi tej placówki zostały zamknięte na zawsze. Założyciele tej organizacji, którzy prócz rejestracji PACUA niczego nie dokonali, zniszczyli sukcesy dra Witolda Płońskiego i Aleksandra Jordana, uzyskując nakaz sądowy zablokowania konta bankowego, przyznanego z funduszu CETA. Niechże ta relacja będzie dowodem mego obiektywizmu. Płoński i Jordan byli wrogami Centrum, a jednak chwalebę ich za to, co dobrego uczynili. Potępiam natomiast tych, którzy cieszyli się, że dzięki ich szkodliwej działalności miasto odebrało fundusze zablokowane przez sąd. Decyzją sądową z dnia 23 marca 1979 PACUA została zlikwidowana. Wiele wstydu musiałem się najeść, gdy przedstawiciele władz miejskich drwili z nas, że Polacy nie potrafili dotrzymać warunków umowy z miastem i zaprzepaścili poważne fundusze, z których mogłaby Polonia skorzystać. Sprawa ta stała się klasycznym przykładem, że gdzie dwóch się bije, tam wszyscy tracą. A straty Polonii były poważne: Polski Komitet Imigracyjny korzystał za pośrednictwem PACUA z 6 pracowników, opłacanych z funduszy CETA, Polski Instytut Naukowy — 12 pracowników, a Liga Polska (czyli Nowy Dziennik) — także 6 pracowników.

Inny wyrok sądowy skazywał nadto kierownictwo PACUA wraz z tymi organizacjami, które miały pracowników z programu CETA na zapłacenie tysiąca dolarów odszkodowania za wyrządzone szkody, poniżenie itp., za dyskryminację p. Edie Furman. Wyrok ten został rozesłany do wszystkich władz, rzucając przykry cień na te polskie organizacje. Przykre to i bolesne, że kierownicy tych organizacji nie potrafili załatwić tych spraw bez rozgłosu. Warto przypomnieć tu, głównie tym którzy zażarcie walczyli przeciwko mnie i nazywali mnie dyktatorem lub „właścicielem” Centrum — choć byłem przecież tylko dyrektorem wykonawczym — że przez 10 lat

mojej pracy dla Polonii nigdy nie wciągnąłem Centrum w procesy sądowe, nigdy nie byłem skazany — ani ja, ani Centrum — za jakiegokolwiek nadużycia, i z pewnością nigdy nie popsułem opinii Polaków, ani wśród swoich, ani wśród obcych.

Wiadomo, że w każdej społeczności są burzyciele i krytycy. Nie jestem jednak panną, by mnie uwielbiano. Cieszę się natomiast, że przeciwko mnie szasta się tylko gołosłownymi zarzutami, których nigdy i nikt nie był w stanie podeprzeć jakimś oczywistym dowodem przewinień. Przeciwnie. Jeśli którykolwiek z pracowników Centrum stanął wobec poważnych zarzutów, to Zarząd Centrum natychmiast prosił go, by zrezygnował z pracy i nie obciążał swoją osobą dobrego imienia Centrum. Nasze wysiłki w kierunku zjednoczenia Polonii, zawsze torpedowane przez wroga, nie kończyły się na sprawie PACUA. Nie udawało się doprowadzić do współpracy na terenie Domu Żołnierza. Władze nowojorskiego oddziału KPA, po wyjeździe prezesa Bolesława Wojewódki do Pensylwanii z rezerwą odnosiły się do Centrum. Dlatego na pół roku przed odebraniem nam naszej filii, mieszczącej się w tym Domu Żołnierza przez Konikowskiego i Kaleniaka, szukałem oparcia dla uruchomienia nowej filii przy którejś z polskich parafii, z intencją niesienia pomocy potrzebującym i w nadziei zatrudnienia w tej filii naszych studentów. Wiedząc dobrze o zimnym stosunku niektórych proboszczów do mnie i do księży z Polski pracujących w Centrum, aby nie popsuć sprawy w samym załączku, posłużyłem się grupą pracowników i studentów, na czele z dr. Witoldem Płońskim, Bogdanem Wasiutyńskim, D. Gregorek, A. Marynowską, K. Sabik, M. Klik i innymi. Udało się bez mojej obecności zorganizować spotkanie z księżmi w sali parafii św. Kazimierza, na które przybyli: ks. Tomasz Oborowski, jako były proboszcz tej parafii i przewodniczący księży polskich w Diecezji Brooklyńskiej, ks. proboszcz Edward Fus, ks. Franciszek Podgórski, O. Bruno, OFM Conv. i ks. proboszcz Józef Szpilski.

Na tym zebraniu omawiano potrzeby opieki społecznej dla Polonii, w oparciu o artykuł śp. red. Józefa Dubickiego, pt. „Problemy odnowienia życia społecznego i religijnego w ramach programów etnicznych”, opublikowanym w Nowym Dzienniku 23 stycznia 1976.

Dr Witold Płński nawiązywał do niedawnej konferencji katolickiej na temat spraw etnicznych i sąsiedzkich. Anna Marynowska mówiła o realnych możliwościach przyścia z pomocą ludziom w dziedzinie nauczania języka angielskiego, mieszkań, opieki zdrowotnej, transportu, dożywiania i duchowego wsparcia dla emerytów. Bogdan Wasiutyński podkreślał konieczność zbiorowego wysiłku, aby Polonia korzystała z opieki społecznej w równej mierze z innymi grupami etnicznymi, a prof. E. Osysko

zwrócił uwagę na fakt wyprzedzenia Polonii przez inne grupy etniczne nie tylko w sprawach opieki społecznej, ale i w szkolnictwie, w awansie społecznym i polityce, nie wyłączając upośledzenia naszego duchowieństwa w hierarchii kościelnej, ubolewając także nad gwałtownym i szkodliwym procesem wynaradawiania naszego młodego pokolenia.

Obecni na tym spotkaniu księża zajęli stanowisko, niestety, przeciwne. Jeszcze nie spróbowali działania, a już narzekali na „trudności uspołecznienia nowego elementu imigracyjnego”, na to, że „ludzie w potrzebie są bardzo nieliczni”, że „nie zgłaszają się po pomoc, gdyż wstydzą przyznawać się do biedy”, i że „wielu parafian stanowczo nie życzy sobie, by ich dzieci uczyły się języka polskiego w szkole parafialnej, bo połowa zrezygnowałaby z nauki”. „Duchowieństwu nie sposób zajmować się sprawami opieki społecznej”. „Istnieje zakaz przyjmowania subsydiów miejskich”. To ostatnie twierdzenie całkowicie mijają się z prawdą; gdyż nawet diecezje otrzymują programy i subsydia na cele społeczne na podstawie umów z zarządem miejskim. Parafianie domagali się kategorycznie nauczania języka polskiego, wbrew temu co twierdził ks. Szpilski.

Zeznaję tu nie tylko przed ludźmi, ale i przed samym Bogiem, że od początku istnienia Centrum aż do mego odejścia, żadna działalność Centrum nie spotkała się z pomocą lub stałym poparciem ze strony tu urodzonych księży polskiego pochodzenia. Smutne to, ale prawdziwe. Jedyne, co czynili, to odsyłali szukających pomocy biednych i potrzebujących do nas, do Centrum.

A jak jest dzisiaj?

Skoro mnie już w Centrum nie ma, skoro mnie uważano za najgorszego, a ku waszemu zadowoleniu zostałem usunięty, to winniście dziś chyba to Centrum popierać i rozbudowywać?

Dzisiejsi władcy Centrum urządzają dla niektórych z was, dla polonijnych księży, huczne bankiety, jubileusze, łaskoczą waszą próżność wynoszeniem na piedestał, by tym łatwiej utrzymać się przy władzy i zatrzeć swoje grzechy w oczach zawsze ofiarnego i pobożnego ludu polonijnego. Lud ten patrzy i widzi, że ksiądz z ich parafii modli się przed zebraniem, wzniośle i pięknie mówi, z czego wyciąga wniosek, że ksiądz Centrum, czy Unię Kredytową popiera. A czy tak jest w istocie? Próżne żale...

Wróćmy jednak do faktów. Wspomniane tu zebranie w parafii św. Kazimierza żadnego pozytywnego rezultatu nie przyniosło. Należało się tego spodziewać, widząc tak negatywny stosunek zaproszonych księży. Wszystkie wysiłki i starania, szereg poprzedzających to zebrania spotkań

— wszystko poszło na marne.

Księża polonijni, zamiast być przewodnikami swego ludu, jak to uczynili ich poprzednicy w dawnych czasach, stali się przeszkodą w pracy dla dobra naszego społeczeństwa. Nie zechcieli nawet skorzystać z idei proponowanych im przez tenże wierny lud boży. Zamiast być budowniczymi społecznego życia polonijnego i wzmacniać tym samym pracę Kościoła, stali się zobojeźniali na życie polonijne. Przestali się interesować potrzebami swych wiernych. A efekty takiego postępowania stały się widoczne już w parę lat później. Właśnie ten kościół św. Kazimierza stał się przykładem i sam padł pierwszą ofiarą. Parafia została zlikwidowana, gdyż zabrakło wiernych, przy takiej organizacji. Ostatni proboszcz tego najstarszego polskiego kościoła w Brooklynie Edmund Mańkowski sam poprosił biskupa o jego zamknięcie... Wygląda to na prawdziwą karę Boską... A budynek kościoła został sprzedany jakimś murzyńskim organizacjom, które wykorzystywały go w celach niby społecznych, na tańce i hulanki, ale jakże dalekich od Chwały Bożej... Budynek kościoła został sprzedany za jakieś marne 75 tysięcy dolarów, które — przy dobrych chęciach — mogła dać jakaś polska organizacja, by pracę religijno-społeczną w tej dzielnicy uratować.

Powstał nawet Komitet Obywatelski, z prezesem Adamem Bałabanem na czele, stawiający sobie za cel uratowanie tego kościoła. Niestety, nie pomogły interwencje tych szlachetnych ludzi nawet u samego biskupa Mugavero. Komitet uznał wówczas za konieczne wystąpienie do sądu z wnioskiem o unieważnienie umowy sprzedaży. Skarga sądowa została podpisana przez 32 osoby spośród byłych parafian oraz ponad 600 osób — potomków parafian, nadal przywiązanych do swych rodzinnych tradycji. Wszyscy byli gotowi przybyć na rozprawę sądową. Niestety, adwokaci obu stron odwołali jeden termin, pośpiesznie wyznaczili drugi, tak iż nie starczyło czasu, by zainteresowanych wezwać do sądu. Sprawa wskutek tych machinacji upadła...

Tak oto Polonia zaprzepaszcza najlepsze nawet inicjatywy. Kopanie dołków pod innymi wyrządza nam wszystkim ogromne straty. Także tym, którzy je nieustannie kopią...

11. STOŁÓWKA

Sprawy stołówki Centrum Polsko-Słowiańskiego zasługują na to, by je przedstawić w oddzielnym rozdziale. Głównym celem, jakim kierowałem się przy jej zakładaniu było niesienie pomocy naszym rodakom. Dlatego przede wszystkim ubiegałem się o uzyskanie funduszy na Program Dożywiania. Drugim celem było stworzenie placówki o czysto polskim charakterze. Nasz program dożywiania w Klubie „Krakus” różnił się od wielu innych w mieście tym, że panował tu język polski, tradycyjna kuchnia polska.

Żywiliśmy nie tylko seniorów, którym ta pomoc przysługiwała według założeń programu finansowanego przez miasto, ale i osoby młodsze, traktowane jako goście, rekrutujące się głównie spośród nowoprzybyłych. Doniosło się to do władz administracyjnych, które zabroniły tej praktyki, zezwalając na sprzedaż po niskich cenach jedynie pozostałości, kilku posiłków dziennie, a nie kilkudziesięciu. Argumentowałem, że nowoprzybyłym trzeba także pomóc i że Centrum dodaje produkty żywnościowe kupowane przez siebie, a nie z funduszy miejskich. Nic to nie pomogło i trzeba było szukać innego wyjścia, jeśli chcieliśmy taką akcją kontynuować.

Zarząd Centrum zgodził się co prawda na założenie własnej stołówki, ale brak było funduszy. „Jeśli ksiądz chce, to niech to robi na własną rękę” — taka była konkluzja.

Zacząłem więc działać „na własną rękę”. Naprzeciwko lokalu Centrum właśnie zwolnił się lokal po aptece. Skorzystałem z okazji i wynająłem go na stołówkę. Trzeba było jednak dokonać generalnych przeróbek, zbudować kuchnię, chłodnię, zamrażalnik, założyć odpowiednie instalacje wodno-kanalizacyjne i elektryczne. Koszt remontu udało się ograniczyć do 12.000 dolarów, ale i tę sumę spłacaliśmy na raty. Te oszczędności w wydatkach na remont uzyskałem tylko dzięki temu, że wiele prac wykonywałem sam z kilkoma pracownikami Centrum i paroma osobami dobrej woli, które zechciały nam dopomóc bez żadnego wynagrodzenia. Byliśmy bogaci w personel. W tym okresie mieliśmy, łącznie z przydzielonymi studentami, ponad 70 osób, ale byliśmy biedni, jeśli chodziło o pieniądze. Centrum miało trochę składek zaledwie i trochę złożonych

ofiar, co na remont i założenie stołówki wystarczyć, rzecz jasna, nie mogło. Pożyczaliśmy więc Centrum swoje własne, skromne fundusze.

Wreszcie, w roku 1979, Unia Kredytowa przeniósła się do własnego budynku i od tego czasu cały lokal służył stołówce, a jej sala była wykorzystywana także w odpowiednich godzinach jako czytelnia i biblioteka, oraz na wykłady języka angielskiego dla nowoprzybytych.

Stołówka powstała w roku 1975, a jej pierwszymi stołownikami byli pracownicy Centrum, którzy płacili za ledwie 50 centów za obiad z trzech dań, co ledwie wystarczało na pokrycie kosztów produktów żywnościowych. Pierwszymi pracownikami kuchni byli bezrobotni, którym za pracę płaciło miasto w ramach tzw. Programu CETA.

Popularność stołówki szybko wzrosła, tak że wydawanie tanich i smacznych posiłków odbywało się od 10 rano do 7 wieczorem, a sala była stale wypełniona. Biedni otrzymywali posiłki bezpłatnie, inni płacili minimalną kwotę, ale i spośród tych gości bywało do 35 osób dziennie, których od opłaty zwalnialiśmy. Często byli to nowoprzybyli uchodźcy, kierowani do nas przez Polski Komitet Imigracyjny. Dziękowałem Bogu, że udało nam się zrealizować ten cel, że mogliśmy już nakarmić głodnych pomoc w znalezieniu mieszkania lub pracy oraz załatwianiu spraw w różnych urzędach. Zadowolenie z uruchomienia stołówki podzielali nie tylko korzystający z niej i członkowie Centrum, lecz także władze miejskie. Chwalono nas i stawiano naszą stołówkę jako przykład dla innych organizacji. Władze miejskie, po zapoznaniu się z naszą działalnością, a stołówka nie ograniczała się do obiadów, lecz także wypiekała ciasta i produkowała pierogi w dużych ilościach na wynos, zaproponowały nam zwrócenie się do władz stanowych o przyznanie artykułów spożywczych z tak zwanych nadwyżek rolnych. Uzyskaliśmy i tą pomoc, w postaci przydziałów miesięcznych masła, margaryny, serów, kur i innych produktów.

Tak było do mojego odejścia. Nie wiem, czy stołówka nadal otrzymuje taką pomoc, gdyż obecny zarząd Centrum praktycznie biorąc nie prowadzi już sam stołówki. Karmienie biednych uznał za rzecz niedochodową. Biednych nie karmi się bezpłatnie. Ceny są podobne do cen w okolicznych restauracjach. Ze stołówki pozostała już tylko nazwa — przestała ona być instytucją prawdziwie społeczną, niosącą pomoc.

Nawet kiedy straciliśmy pracowników opłacanych z programu CETA, i kiedy zdrożały artykuły spożywcze, cena obiadów nadal była bardzo niska, a straty pokrywaliśmy z dochodów uzyskiwanych ze sprzedaży ciast, pierogów i prawdziwie polskiego, razowego chleba. Dla obniżenia kosztów sam dowoziłem mąkę, cukier, i inne artykuły z hurtowni. Niestety i ta piękna inicjatywa, stołówka Centrum, jak wiele innych, pod rządami nowych władców utraciła swój pierwotny charakter.



Stółówka Centrum Polsko-Słowiańskiego

12. KSIĄŻKA — POLACY W NOWYM JORKU

„Polish-Americans in the City of New York — An outline of Socioeconomic and Cultural Needs” — „Amerykanie polskiego pochodzenia w Nowym Jorku — Zarys potrzeb społeczno-ekonomicznych i kulturalnych” — to był tytuł opracowania książkowego, wydanego za moich czasów w Centrum. Byłem głównym inspiratorem tej pracy. Jej pomysł zrodził się zaraz na początku, jak tylko uzyskaliśmy pierwsze fundusze: na program etniczny i program dożywiania seniorów. Okazało się bowiem, że pisząc propozycje i wnioski na uzyskanie programów trzeba dysponować obszernym materiałem faktograficznym o naszej grupie etnicznej. Podstawowe dane statystyczne i sporo różnych informacji trzeba było opierać na dokumentach lub na istniejących publikacjach, a takich po prostu nie było. Materiałów na temat Polonii w Nowym Jorku brak. Nikt, nigdy tym się nie zajmował. Jedyne na naszym terenie Polskie Instytut Naukowy wydawał „Polish Review”, ale przeżuwał w nim zagadnienia ubiegłych wieków. Dopiero wtedy, kiedy Centrum pierwsze rozpoczęło pracę w tej dziedzinie, to Polskie Instytut Naukowy uzyskał — po raz pierwszy chyba w historii — subwencję w wysokości 30.000 dolarów na studium o polskiej grupie etnicznej. Żadna książka jednak, jako rezultat tych badań, nie ukazała się. A tymczasem nasze Centrum, mimo braku jakichkolwiek funduszy na ten cel, zaciągnęło pożyczkę we własnej Unii Kredytowej i opracowanie wydało w formie książki.

Centrum Polsko-Słowiańskie nie jest jednak instytucją przystosowaną do prowadzenia badań naukowych, czy wydawania rozpraw i książek. Nie było to celem Centrum, ani jego zadaniem. Toteż ciążyło na nas swego rodzaju amatorstwo, powodujące rozliczne trudności. Pracownicy Centrum zatrudniani z nakazu programów, choć było ich w tym czasie ponad 70, nie mieli odpowiedniego przygotowania i nie wiedzieli, jak się zabrać do takiej pracy naukowej o Polonii. Musiałem uciec się do pomocy ludzi spoza Centrum. Mogłem sobie na to pozwolić tylko dlatego, że jako dyrektor programu etnicznego sam decydowałem o zatrudnieniu pracowników płatnych z tego programu. Prezes Przybyłowski i jego zwolennicy w zarządzie Centrum poburkiwali, że sam się rządzą, ale korzystałem z tego uprawnienia aby zrealizować po-

stawione sobie zadania.

Zwracałem się do Polskiego Instytutu Naukowego i do Fundacji Kościuszkowskiej z prośbą o przedstawienie mi kandydatów do kierowania tymi pracami. Niestety, z przykrością muszę wyznać, że nie znalaziono dla mnie ani jednego kandydata polonijnego, tak iż zmuszony byłem zatrudnić obcych, by kierowali napisaniem pracy o Polonii i jej potrzebach. Zatrudniliśmy więc absolwenta socjologii z Uniwersytetu Oxford, Jimmy Thomasa oraz Sheila Kelly, a z ramienia HRA uzyskałem doradcę Roberta Ledermana. Pod ich kierownictwem pracownicy różnych programów, głównie studenci Humane College i pracownicy z programu CETA, zostali podzieleni na grupy i otrzymali odpowiednie wskazówki jak gromadzić potrzebne materiały. Opracowano też anonimowy kwestionariusz, w języku angielskim i polskim, który także służyć miał zebraniu odpowiednich danych. Kwestionariusz ten rozesłaliśmy do wszystkich członków, wyłożyliśmy go także w wielu miejscach publicznych, uczęszczanych przez Polonię, a nadto rozdawaliśmy go na różnych imprezach. Kilkanaście tysięcy kwestionariuszy rozdanych zostało nawet na Paradzie Pułaskiego.

Bardzo duża ilość ludzi potraktowała ten kwestionariusz poważnie, odsyłając go nam wypełniony, często z dodatkowymi, trafnymi uwagami. Stos zebranych formularzy rósł szybko, a i inne materiały zostały także w krótkim czasie zgromadzone. Powstały setki stron maszynopisu, będącego pierwszą wersją, „na brudno”. Jimmy Thomas pisał je nieraz do północy. Niestety, jego nagłe odwołanie i wyjazd do Anglii. Dobrze rozpoczęta praca została tym wyjazdem przerwana. Następcę było trudno znaleźć. I tu zaczęła się prawdziwa historia, o której trzeba mi opowiedzieć, choć wstrzymuję się z podaniem nazwisk zainteresowanych osób, aby nie urazić ich profesorskiej godności...

O trudnej sytuacji, spowodowanej wyjazdem Jimmy Thomasa, poinformowałem zarząd Centrum na zebraniu. Obecny był także pewien profesor, członek zarządu, który powiedział, że zajmie się tą sprawą bezinteresownie.

Wkrótce też przyjechał ze swoją przyjaciółką, profesorką z New School for Social Research, obiecując współpracę Mercy College w Dobbs Ferry oraz wydziału socjologii Uniwersytetu Nowojorskiego i zabierając — na szczęście tylko kopie wszystkich materiałów. Materiały te uznano za bardzo dobre i obiecano w ciągu kilku miesięcy zrobić z nich jedną całość, odpowiednio redagując.

Otrzymały referat okazał się broszurą, a nie książką. Całość składała się zaledwie z 20 stron maszynopisu, a jej tytuł ujawnił, że to wcale nie jest to, czego oczekiwaliśmy. Tytuł bowiem brzmiał: „Analysis of Polish

Community in New York City", z dopiskiem stwierdzającym, że część tych badań była przedstawiona w Mercy College, Ethnic Colloquium w lutym 1976, oraz na konferencji stowarzyszenia socjologicznego stanu Nowy Jork na Hofstra University w roku 1975 a także podczas Dnia Historii Dwustulecia, Queens College, w październiku 1974. Po przejrzeniu szybko zorientowałem się, że ten przestarzały materiał jest dla Centrum absolutnie bezpożyteczny. Centrum musi przedstawiać lokalnym władzom aktualne dane. A tymczasem dostarczone opracowanie zawierało nawet adresy instytucji dawno nieistniejących, lub podawało nieaktualne adresy istniejących.

Na wszelki wypadek zrobiłem cztery kopie tego nieszczęsnego opracowania i rozesłałem do oceny trzem profesorom i jednemu adwokatowi. Ten adwokat odesłał mi egzemplarz, na którym z dużym mozołem naniósł moc poprawek, radząc jednocześnie dopisanie wielu nowych rozdziałów. To była rzeczywiście przyjacielska postawa.

Dwaj profesorowie wykręcili się nieszczerze, że z braku czasu nie mogą zająć się tą sprawą i żadnej oceny nie przedstawili.

Trzeci profesor był szczerzy:

„Oddaję księdzu tę pracę osobiście, gdyż nie chcę na piśmie dawać żadnej opinii. Radzę tylko tego nie wydawać, aby nie ośmieszyć się”. No, cóż. Zdawałoby się, że na tym ta niefortunna próba skończona. Niestety, to nie tak było.

Centrum otrzymało rachunek na sumę 1500 dolarów do zapłacenia za tę pracę, chociaż nigdy o zapłacie mowy nie było, ani też nie istniała w tym względzie żadna umowa.

Przedstawiłem sprawę zarządowi Centrum, informując że dyrektor zarządu nie może domagać się zapłaty, gdyż byłby to konflikt interesów. Postanowiono wezwać obu profesorów na następne zebranie zarządu. Profesorowi — dyrektorowi zarządu przypomniano, że obiecał on zająć się tą pracą bezpłatnie, a pani profesor (nie polskiego pochodzenia), którą pan profesor do tej pracy zwerbował, miała otrzymywać — i otrzymała — jedynie zwrot kosztów dojazdu oraz opieki nad dzieckiem w czasie jej nieobecności w domu.

Profesorowie obrazili się i zagrozili sprawą sądową o zapłatę tych 1500 dolarów. Rezultat był taki, że nasz rodak-profesor odszedł z zarządu Centrum na zawsze. Spotykaliśmy się jeszcze kilkakrotnie na przestuchaniach u adwokatów, gdyż groźby swej profesorowie dotrzykali. Zarzucano mi kłamliwie, że Centrum skorzystało z napisanej pracy tych profesorów przy otrzymywaniu programów (funduszy na te programy), czym jakoby chwaliłem się na spotkaniu z biskupami w Orchard Lake. Nasz adwokat żądał udowodnienia roszczeń, wobec czego sprawa ucichła

na szereg lat. Dopiero kiedy profesorowie zorientowali się, że ja już nie jestem w Centrum, to zaczęli znów straszyć odnowieniem tej sprawy. Sprawę tą „załatwił” w rezultacie nie sąd, a prezes Przybyłowski. Wbrew przepisom prawnym polecił wypłacić profesorom żadaną kwotę. Po tej smutnej dygresji wróćmy do sprawy wydania książki, tak potrzebnej dla uzasadniania propozycji o programy do władz rzeczywiście naukowymi danymi o stanie Polonii w Nowym Jorku.

Trzeba było wrócić do materiałów zebranych uprzednio i do brudnopisów opracowanych przez Jimmy Thomasa. Większość tych materiałów była gromadzona przez pracowników Centrum i studentów, a pracę tą koordynował dr Witold Płoński. Teraz potrzebny był jednak znawca, nie tylko socjolog, ale i redaktor, który by z tych materiałów opracował książkę. Znów zwróciłem się do Polskiego Instytutu Naukowego i do Fundacji Kościuszkowskiej, by pomogli w znalezieniu odpowiedniego człowieka, czy profesora, który podejmie się tej pracy za wynagrodzeniem. Niestety, wszelkie zabiegi okazały się daremne. Czas upływał, coraz to nowe wnioski i propozycje trzeba było danymi statystycznymi motywować, a materiały leżały, w stanie nie nadającym się do wykorzystania. Wprowadzone przez WSAPów (White Anglo-Saxon Protestant) zasady „tygla” — „melting pot” — nie zdawały egzaminu i coraz bardziej modne stało się poszukiwanie „korzeni” własnego pochodzenia. Ta moda sprzyjała naszym interesom. Coraz więcej ludzi przyznawało się do polskiego pochodzenia, a „tubylcy” przestawali się panicznie bać ludzi o innym, niż „amerykańskim” pochodzeniu. A tu jeszcze Opatrzność Boska zesłała nam Papieża-Polaka. „Narodziny „Solidarności” w kraju także przyczyniły się do tego, że do Polaków zaczęto wreszcie odnosić się z jakimś szacunkiem.

Jednym z podstawowych pytań jest kwestia, ilu nas właściwie jest? Ilu Polaków jest w USA, ilu ludzi przyznaje się do polskiego pochodzenia? Nikt na te pytania nie potrafi dać konkretnej odpowiedzi. Rzucanie liczbami 15, 12 czy 8 milionów, może być przyjemne dla ucha, ale nie ma żadnego znaczenia dla polityków i władz. Władze lokalne na przykład, w Nowym Jorku, nie chcą nawet słyszeć, czy jest nas 600 tysięcy, czy tylko 600, gdyż taka odpowiedź nie zadowala potrzeb pytającego. Ważniejsze jest wiedzieć, ilu Polaków ma prawo głosowania i ilu z tego prawa korzysta, lecz i na to pytanie nikt nie potrafi dać odpowiedzi. Tu leży też główna przyczyna naszej całkowitej niemożności stawiania żądań przedwyborczych kandydatom na wysokie urzędy.

W czasie mojej pracy miałem okazję zapoznać się z wieloma przywódcami innych grup etnicznych, którzy potrafili walczyć o swoje sprawy z pozycji siły, opartej na udokumentowanych statystycznych danych. A z

takimi faktami zarówno władze, jak i kandydaci liczą się. Polonia musi zacząć od takich badań naukowych, jeśli chce być traktowana na równi z innymi grupami etnicznymi. Dopiero takie naukowe opracowanie, nie tylko pod względem liczebności i uprawnienia do udziału w wyborach, ale i pod wieloma innymi aspektami stanu posiadania i potrzeb, da prawdziwy obraz środowiska polonijnego w USA, a wyniki tych badań będą doniosłym i podstawowym argumentem w walce o należne nam prawa do pełnego udziału w życiu społecznym i politycznym kraju osiedlenia, czego nam dziś brak. To są właśnie zadania, które powinien był dawno spełnić Polski Instytut Naukowy, czy choćby Kongres Polonii Amerykańskiej. Tylko poprzez zdobycie silnej pozycji tu, w Stanach Zjednoczonych, Polonia mogłaby oddziaływać na bieg wydarzeń politycznych w Polsce znacznie skuteczniej, aniżeli obecnie.

Widziałem dobrze ten smutny obraz. Na konwencjach, zjazdach, zebnaniach i obchodach, wiele pustych słów, piękne hasła, dyskusje, jak wyzwolić kraj spod jarzma komunistów, a jednocześnie zupełny brak znaczenia politycznego w Stanach Zjednoczonych.

Trudno winić o to miliony członków i tysiące organizacji, które z pewnością chciałyby tę sytuację zmienić. Odpowiedzialność za ten stan rzeczy spada na bezwład i prywatę kierownictwa, zarządów tych organizacji.

Zakładając Centrum Polsko-Słowiańskie stawiałem sobie za cel, aby przynajmniej na terenie metropolii nowojorskiej osiągnąć zrównanie w prawach z Portorikanami i Murzynami, którzy nas w tej dziedzinie dawno prześcignęli. Chodziło mi o to, aby Polonia zaczęła wreszcie korzystać z dostępnych przywilejów na równi z innymi. Zacząłem więc od współpracy z różnymi grupami etnicznymi, głównie celem zapoznania się z metodami działania. Dzięki Bogu i dobrym ludziom, choć z ogromnym wysiłkiem, udało nam się ten cel osiągnąć. Uzyskaliśmy fundusze od władz administracyjnych na szereg programów i wywalczyliśmy przynajmniej tu, w Nowym Jorku, równouprawnienie dla naszej grupy etnicznej. Fundusze na te programy, raz przyznane, są przydzielane teraz systematycznie. Teraz tylko od nas samych będzie zależało, czy obecny zarząd Centrum będzie tylko „trawił” to, co przed laty uzyskałem, czy też potrafi te programy rozwinąć i pomnożyć. Od nas tylko zależy, czy trwać będą kłótnie i wewnętrzne rozprawianie się z obecnymi władcami Centrum.

Można śmiało stwierdzić, że Centrum, choć istnieje niezbyt długo, rozwinęło się szybko, ale już zostało przez obecnych władców ściągnięte do grajdołka organizacji polonijnych, zrównało w dół, do poziomu tych licznych organizacji i instytucji, które dawniej były prężne i zrobiły wiele dobrego dla Polonii, ale zaprzepaściły swoją pozycję, jak tylko zabrakło założycieli i prawdziwych przywódców.

Wróćmy jednak do „Polaków w Nowym Jorku”.

Materiały leżały więc przygotowane, a w sercu smutek i żal. Zawiedli profesorowie, zawiodły polskie instytucje. Musiałem kontynuować jakoś to dzieło sam. Znalazłem wreszcie człowieka, któremu można było powierzyć zredagowanie całości i przygotowanie jej do druku. Lesław Jurewicz, prawnik z Polski, po wyemigrowaniu z kraju studiował na Uniwersytecie Nowojorskim oraz na Uniwersytecie Columbia. Był autorem paru książek. Nie zawiodłem się na nim. Zajęło to co prawda sporo czasu, ale wreszcie w roku 1979 książka została wydana przez Centrum, w nakładzie 5000 egzemplarzy. Na 185 stronach mieszczą się podstawowe informacje z zakresu historii, imigracji, socjologii, polityki, zagadnień ekonomicznych, oraz dane dotyczące wykształcenia, języka, religii itp., wraz ze źródłami bibliograficznymi oraz informacjami o czasopismach. W sumie, praca ta ułatwia — szczególnie obcym — wgląd w dorobek Polonii, umożliwia zapoznanie się z jej aktualnym stanem. Podkreślono w niej także sprawy dyskryminacji Polaków. Książka ta nie ma absolutnie charakteru propagandowego, przeciwnie, napisana jest z umiarem i obiektywnie. Poza danymi statystycznymi i faktograficznymi uwypukla jedynie żądanie, by Polaków traktowano na równi z innymi mniejszościami. Jej głównym celem było udowodnienie, że Polacy nie korzystają z tych wszystkich przywilejów, jakie im przysługują w Stanach Zjednoczonych.

Książka jest oczywiście opracowana w języku angielskim, gdyż jej zadaniem było poinformowanie świata amerykańskiego. Niestety, z całego nakładu 5000 egzemplarzy rozsprzedano i rozdano do bibliotek zaledwie około 1000. Pozostałe 4000 egzemplarzy, nie wiem, czy marnują się gdzieś w kącie magazynu, czy zostały już zniszczone. A należałoby je rozdać, rozesłać wszystkim wyższym urzędnikom władz lokalnych, stanowych i federalnych. W listach, towarzyszących wysłanym egzemplarzom okazowym, należałoby domagać się opinii, zajęcia stanowiska w sprawach uprawnień naszej mniejszości narodowej. Z bólem dochodzę do wniosku, że sporo moich inicjatyw zostało przez naszych władców Centrum zaprzepaszczone.

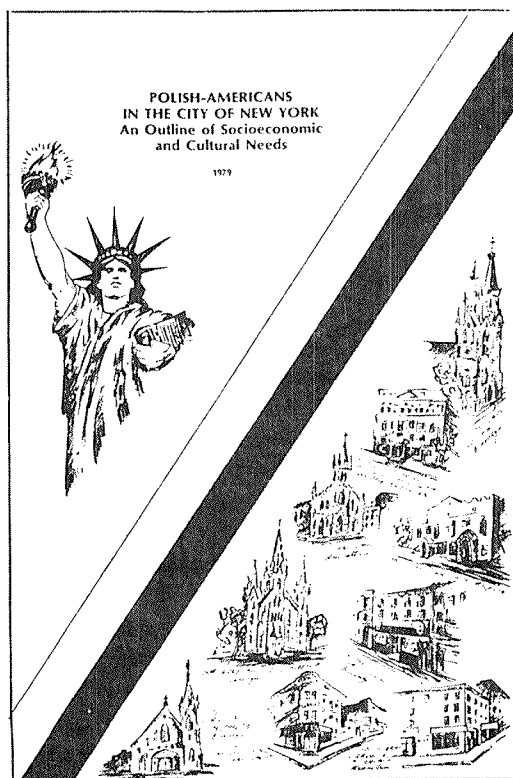
Obawiam się, że obecni członkowie Centrum nadal nie są zorientowani w sprawach własnego środowiska polonijnego, że nic nie wiedzą o tej książce, w którą tyle włożyliśmy trudu.

Po moim odejściu upadł także „Informator Społeczny” i nie ukazywał się przez kilka lat. Odnoszę wrażenie, że nowi władcy Centrum wcale nie mają zamiaru starać się o nowe fundusze, na jakieś inne programy społeczne, albo o rozrost istniejących programów. Zadawalają się tym, co osiągnąłem wkrótce po założeniu Centrum; spoczywają na niezasłużonych laurach.

Książkę tą tutejsza prasa polonijna powinna była rozreklamować darmo. Niestety, „Nowy Dziennik” domagał się zapłaty wtedy, kiedy Centrum pieniędzy nie miało. Później, kiedy prezesem był współwłaściciel tej gazety, Mieczysław Przybyłowski, mógłby przecież tę bezpłatną reklamę książki zatutkować... Ale nie, przypuszczam, że to się obecnym władcom Centrum wydaje niemożliwe z tej prostej przyczyny, że w tej książce widnieje moje nazwisko jako inicjatora... Czyżby z powodu jedynie mojego nazwiska można było pozwalać sobie na marnotrawienie dorobku Centrum?!

A tymczasem nowojorska Polonia nadal potrzebuje zarówno aktualnej informacji, jakiegoś „informatora społecznego” z prawdziwego zdarzenia, jak i opracowań o sobie, o Polakach w Nowym Jorku, tak w polskim, jak i angielskim języku.

Zabrakło w Centrum ludzi z pasją, z ideą, z ambicjami, a wskutek tego brak też jakiegokolwiek inicjatywy, jakiegokolwiek twórczego działania, które cechowało pierwsze lata istnienia.



13. BIBLIOTEKA

Dobrze wiedziałem, że aby uzyskać pomoc materialną od władz miejskich, w pierw trzeba wykazać się prowadzeniem jakiejś akcji. W pierw trzeba udowodnić, że społecznie potrzebna placówka już istnieje, a dopiero wtedy można starać się o jej finansowe wsparcie. Dlatego też gdy tylko udało się wygospodarować trochę miejsca w lokalu stołówki, jako wstęp niejako do działalności kulturalnej, założyłem bibliotekę. W „Informatorku Społecznym” Centrum ogłosiłem także apel, by ludzie ofiarowywali zbędne książki, z których ta biblioteka miała powstać. Wyjaśniałem, że Biblioteka Publiczna dzielnicy Greenpoint posiada zaledwie 300 tomów w języku polskim, z czego większość dobrze znanych klasyków.

Ape:ę i prośby okazały się błogosławieństwem tej akcji. Otrzymaliśmy sporo książek i czasopism od naszych rodaków, tym bardziej, że jako instytucja zwolniona od podatków mogliśmy wystawiać potwierdzenia wartości otrzymanych darów, które ofiarodawcom służyły do ulg podatkowych. Darowizny książek wzrosły jeszcze bardziej, kiedy ogłosiliśmy, że nazwiska ofiarodawców znajdą się na tablicy pamiątkowej przyszłej wielkiej biblioteki polskiej.

Nie jestem w stanie wymienić tu wszystkich hojnych ofiarodawców, gdyż podczas niehumanitarnego potraktowania mojej osoby usunięto także masę dokumentów, które uległy zniszczeniu i dlatego nie mogę wymienić wszystkich ofiarodawców. Wiele wartościowych dzieł, a nawet „białych kruków”, dostaliśmy w darze od dra L.J. Obierka, byłego wydawcy „Nowego Świata”, od kapitana „Batorego” Jana Ćwiklińskiego, który przekazał część swego cennego księgozbioru w testamencie dla Centrum, od prof. Witolda L. Langroda, od Instytutu im. Józefa Piłsudskiego, od pp. Z. Nagórskich, od A. Kawczyńskiego, K. Morawskiego, Feliksa Szczepańskiego, prof. Tymona Terleckiego, i od wielu, wielu innych osób.

W imieniu własnym i w imieniu wszystkich ludzi dobrej woli, którzy pomagali mi budować Centrum, przynajmniej tu w tej książce — zamiast na tablicy pamiątkowej — chciałbym jakoś podziękować. Wiem, że to nie jest ta forma, której spodziewali się. Sam znalazłem się poza burtą, więc niech przyjmą te wyrazy wdzięczności przynajmniej, jako że więcej

uczynić nie jestem w stanie.

Biblioteka Centrum była naszym debiutem na polu działalności kulturalnej. Miała fachowe kierownictwo. Szkoda, że muszę o tym pisać w czasie przeszłym. Mogła ona rozwinąć się i być bastionem polskości. Niestety, spadła do roli marginesu. A co uczynili nowi władcy Centrum z tysiącami unikalnych książek — doprawdy nie wiem. Zmarnowano i tą inicjatywę.

14. SPRAWY KULTURY

W czasie swej pierwszej pielgrzymki do Ojczyzny w roku 1979 Papież Jan Paweł II wiele miejsca i czasu poświęcił w swych wypowiedziach sprawom kultury. Mówił on m.in.: „Kultura jest przede wszystkim dobrem wspólnym narodu. Kultura polska jest dobrem, na którym opiera się życie duchowe Polaków. Ona wyodrębnia nas jako naród. Ona stanowi o nas przez cały ciąg dziejów. Stanowi bardziej niż siła materialna. Bardziej nawet niż granice polityczne. Widzimy, że naród polski przeszedł przez ciężką próbę utraty niepodległości, która trwała z górą sto lat, a mimo to pośród tej próby pozostał sobą. Pozostał duchowo niepodległy, ponieważ miał swoją kulturę. Więcej jeszcze, moi kochani, wiemy że w okresie najtragiczniejszym, w okresie rozbiorów, naród polski tę swoją kulturę ogromnie jeszcze wzbogacił i pogłębił; bo tylko tworząc kulturę można ją zachować”.

Sławny pisarz Aleksander Janta w przedmowie do „Fletu i Apokalipsy”, mówiąc o kulturze, cytuje fragment listu otrzymanego od młodego pisarza z Polski: „Proszę sobie wyobrazić, co to dla mnie znaczyło, gdy jako młody człowiek zakochany w literaturze, dopiero w roku 1956 odkryłem, że literatura polska to pojęcie znacznie szersze od wymiaru granic państwowych, że pomiędzy tym, co robią i piszą Polacy gdziekolwiek w świecie, a tym co piszą i wydają w kraju, następuje ciągłe iskrzenie, związek, łączność, których nie można zahamować. Każda więc książka,

którą udaje mi się zdobyć, książka wydana w Paryżu, w Londynie, czy Nowym Jorku, ma dla mnie większą wartość, niż może się to na pozór wydawać. Mam sporo kontaktów z uniwersytetami, ze studentami i wiem jak wiele „niewiedzy” rozszerzyło się w tym zakresie...” Potwierdziło się to kilka lat później, gdy do głosu doszła „Solidarność”. Grupa pracowników kultury i sztuki, która w listopadzie 1980 roku wyszła na strajk okupacyjny w budynku Urzędu Wojewódzkiego w Gdańsku — na znak solidarności ze służbą zdrowia i nauczycielstwem — tak wyjaśniała swoją postawę: „Wielokrotne manipulowanie kulturą, traktowanie jej instrumentalnie, spowodowało bezpowrotne spustoszenie, zarówno w świadomości społeczeństwa, jak i w funkcjonowaniu instytucji kulturalnych. Mecenasem w naszym ustroju jest państwo. Trzeba postawić pytanie, czy mecenas, przeznaczając od lat wielu tak niskie nakłady na kulturę, działał świadomie? Czy zdawał sobie sprawę z katastrofalnych skutków, których być może nie można będzie odrobić przez następne parę pokoleń? Z ubolewaniem stwierdzamy, że działanie takie w efekcie sprowadzało społeczeństwo polskie do roli bezmyślnego konsumenta. Dewastowano pomniki narodowej kultury. Dowolnie interpretowano historię w ciągle zmieniających się programach nauczania. Odmawiano wartości dziełom powstałym poza oficjalnym nurtem polityki kulturalnej. Odzwyczajano od samodzielnego myślenia systemem zunifikowanej prasy i informacji...”

Po wypowiedzeniu wojny narodowi, w toku likwidacji NSZZ „Solidarność”, reżym zlikwidował także Związek Literatów Polskich w kraju. Na ten widomy znak zniewalania kultury oburzył się cały świat. Protestowali nie tylko pisarze polscy przebywający na Zachodzie, apelując do międzynarodowej opinii publicznej, lecz także i pisarze i artyści amerykańscy. Trzy wielkie organizacje wysłały list do Jaruzelskiego, w którym czytamy: „W imieniu 12 tysięcy pisarzy i artystów, członków The Authors League of America, The Authors Guild i The Dramatists Guild, pragniemy wyrazić nasze zdumienie i oburzenie na decyzję rozwiązania Związku Literatów Polskich. Cios, który został przez władzę pana wymierzony w serce kultury narodu i w jego pisarzy jest dla nas wyraźnym pogwałceniem najbardziej podstawowych praw człowieka. Zawodowym obowiązkiem pisarza jest dążenie do przedstawiania prawdy i jej utrwalanie w rzeczywistości oraz wyrażanie niezależnych od jakiegokolwiek władzy poglądów. Dlatego wzywamy rząd polski do ponownego rozpatrzenia tej krzywdzącej decyzji i do reaktywowania Związku Literatów Polskich, by mógł nadal reprezentować większość pisarzy w Polsce”.

Krytyka i oburzenie ze strony światowej opinii publicznej nic nie pomogły.

Władysław Bartoszewski, profesor Katolickiego Uniwersytetu

Lubelskiego, w swym artykule „Sytuacja Kultury Polskiej”, opublikowanym m.in. w Nowym Dzienniku 29 marca 1984, przedstawił następującą ocenę: „Sytuacja kultury polskiej jest bardzo ciężka, powiedziałbym, że może przechodzimy okres bardziej krytyczny, aniżeli w ciągu całych ostatnich 40 lat, od 1944 do 1984”.

Pracując przez wiele lat wśród obcych, a szczególnie od czasu założenia przeze mnie Centrum i uzyskania funduszy na pierwsze programy społeczne, miałem możliwość zapoznania się z przywódcami innych grup etnicznych. Na wielu zebraniach dowiadywałem się od nich, że byli dobrze zorientowani nie tylko o życiu kulturalnym swych własnych środowisk emigracyjnych, lecz także odnośnie spodziewanych zmian w w polityce i w życiu społecznym i kulturalnym Ameryki. Dziwiłem się tej ich dobrej orientacji, ale wkrótce odkryłem, że zawdzięczają ją specjalistom, prowadzącym różnego rodzaju badania, oraz wskazówkom i pomocy otrzymywanym od swych placówek dyplomatycznych. Mowa tu oczywiście o narodach cieszących się wolnością i demokracją w swych krajach pochodzenia. Placówki dyplomatyczne tych krajów dbają o swoich ziomków w Ameryce; starają się o rozpowszechnianie tutaj ich własnej kultury narodowej.

Nie muszę chyba rozwodzić się tu nad tym, w jakiej sytuacji znajdują się emigranci z krajów zniewolonych przez komunistów. Szerzenie kultury polskiej jest praktycznie uniemożliwione. Skoro w kraju jest ona podporządkowana potrzebom systemu i jego polityki, to nie nadaje się ona tym samym na eksport do krajów wolnego świata.

Zamiast kultury, reżym eksportuje chałturę, robioną „pod publiczke”, zaprawioną od czasu do czasu nawet ciężkawym dowcipem politycznym, czy jakąś pseudo-patriotyczną nutką, aby pokazać jaka to „wolność” panuje w kraju... Znajduje też reżym gorliwych dorobkiewiczów, którzy chętnie pośredniczą w sprzedawaniu tych imprez „kulturalnych” wygłodzonej publiczności emigracyjnej. Uczciwi Polacy stronią jednak od kolaboracji z reżymowymi instytucjami w rodzaju ARS Polona, Tow. Współpracy z Polonią Zagraniczną, i wystrzegają się kontaktów z attaché kulturalnymi konsulatów. Upolitycznionej przez komunistów „kultury” nikt tu na emigracji nie chce.

Rezultat tej sytuacji jest taki, że brak właściwie jakiegokolwiek ośrodka kultury polskiej w Ameryce. Dopiero w ostatnich latach powstało kilka polskich księgarni w Nowym Jorku. Nadal brak jednak jakiegokolwiek galerii sztuki, biblioteki, czy innej instytucji z prawdziwego zdarzenia, która mogłaby spełniać tę rolę, służąc naszym rodakom osiadłym w USA i zainteresującym jednocześnie społeczeństwo amerykańskie sprawami naszej

kultury i sztuki. Przykładem naszej opieszałości w tym względzie może być wspomniana już tutaj biblioteka Polskiego Instytutu Naukowego w Nowym Jorku, która skatagolowała swoje zbiory dopiero w 40 lat po wojnie...

Zaniedbania kulturalne wśród Polonii Amerykańskiej narastały nie tylko z winy samych Polaków. Od wielu, wielu lat panowała tu w Ameryce doktryna tzw. „melting pot”, tygla, w którym miały wszystkie narody stąpić się w „nowotwór”, zwany „Amerykaninem”. Stąd też celowo starano się zaciemnić pojęcie „narodowości” — „nationality” — podsuwając pod ten termin inne znaczenie, a mianowicie „obywatelstwo”. Każdy imigrant, z chwilą przyjęcia obywatelstwa amerykańskiego, stawał się automatycznie „Amerykaninem”. Celem przyspieszenia procesu asymilacji nowoprzybyłych stosowano dyskryminację wobec tych, którzy temu procesowi jakoś się opierali. Jakże bolesne musiało być czytanie w amerykańskiej prasie o „wewnętrznych wrogach Ameryki”, o „chołocie i śmieciach ludzkich znad Renu, Dunaju i Wisły”, jak pisano w roku 1886 po wybuchu bomby w Chicago.

Zabiedzona kultura polonijna sprowadzała się do „karcianek”, tańców ludowych i chórów; poleczki tańczono z zapalem godnym lepszej sprawy, a teksty przyspiewek oddalały się coraz bardziej od literackiego języka polskiego, stając się żargonem, w którym angielski i polski przemieszały się ze sobą w zupełnie niekulturalny sposób.

Niestety, nie było komu właściwie zajmować się krzewieniem polskiej kultury. Nawet wierni księża polscy, po przybyciu na emigrację, zdani byli na łaskę i niełaskę Kościoła Amerykańskiego, który przyjął na siebie zadanie amerykanizowania nowoprzybyłych.

Mimo to, „stara Polonia” uparcie kultywowała polskość, język i tradycje narodowe, i idąc śladami swych przodków budowała kościoły i szkoły, zakładała organizacje społeczne i kulturalne.

„Stara Polonia” doczekała się niepodległości kraju w roku 1918 i od tego czasu, przez następne dwadzieścia lat, korzystała z poważnej pomocy rządu Drugiej Rzeczypospolitej. Z wybuchem Drugiej Wojny Światowej sytuacja znów się pogorszyła i odtąd było już tylko gorzej i gorzej.

Mimo tych wszystkich trudności, mimo braku wszelkiej pomocy ze strony władz państwowych, czy nawet Kościoła, naród polski uparcie i wiernie broni swego dziedzictwa kulturalnego. Tylko hartowi ducha „fanatyków”, których nie brak wśród Polonii, zawdzięczamy, że języka polskiego uczą się dzieci nawet urodzone w Stanach Zjednoczonych, że jednak kultura polska na emigracji nie zamiera.

Co prawda, inne grupy etniczne potrafiły jakoś zdobywać na ten cel dotacje miejskie, stanowe, czy federalne, dzięki czemu działały na tym

polu więcej od nas. U nas odbywa się to jakoś spontanicznie, po amatorsku. Są jednak ludzie dobrej woli, którym sprawy polskiej kultury leżą na sercu. Ciężko nieraz pracują fizycznie, aby poświęcić swój wolny czas i zarobek dla wspólnego dobra.

Każda fala imigracyjna niesie ze sobą artystów, pisarzy, twórców kultury, którzy wkrótce stają się rozczarowani i zawiedzeni, że Polonia do tej pory nie ma stałego teatru, ani nawet klubu, gdzie mogliby się spotykać. Muszą więc chwytać się byle jakiej pracy, aby żyć, a dopiero po jakimś czasie, kiedy zrozumieją specyfikę emigracyjnych warunków, usiłują włączyć w polonijny nurt jakże ubożego życia społecznego.

Spotykałem i takich, którzy gotowi byli dać z siebie wiele, starali się stworzyć jakiś zespół, coś zaprezentować współemigrantom, ale i oni często napotykali na sztuczne przeszkody. Zasiedzieli prezesi różnych organizacji nie byli skłonni do udzielenia im pomocy. Często odmawiali nawet wypożyczenia sali widowiskowej nowoprzybyłym, młodym artystom. Ze stratą dla siebie i dla Polonii wielu zerwało z zawodem. Byli jednak i tacy, którzy dokonywali cudów, aby w tych warunkach urządzać wystawy artystyczne, koncerty, lub odczyty. Takich należało podziwiać. Takim ludziom należy nieść pomoc nie tylko materialną, ale i moralną. Trzeba zapewnić im uznanie społeczeństwa i znaleźć dla nich miejsce wśród Polonii.

Z myślą o nich utworzyłem Centrum i Kasę Kredytową. Liczyłem na to, że Kasa Kredytowa, jako instytucja finansowa pozostająca wyłącznie w naszych rękach, zdoła wkrótce osiągnąć dochody, które można będzie w dużej mierze zużyć na krzewienie kultury polskiej. Niestety, zbyt wcześnie przerwano mi tę działalność... Ledwie zdążyłem przygotować w Centrum grunt, podwaliny, pod te przyszłe programy kulturalne o jakich marzyłem: biblioteka, teatr, zespoły taneczne i śpiewacze, kluby sportowe i młodzieżowe... Fundusze od władz administracyjnych otrzymalibyśmy na ten cel z pewnością. Trzeba było tylko udowodnić wpierw, że ta działalność kulturalna już istnieje, że ma określone cele i zadania, że służy określonej już, dużej ilości osób, oraz że żadna inna organizacja lub instytucja tej działalności nie poprowadzi, z uwagi na brak znajomości środowiska, historii, kultury, tradycji i języka danej grupy etnicznej.

Mając już dostateczną ilość wolontariuszy do tej pracy, własny lokal i strukturę organizacyjną, dysponowaliśmy dostatecznymi argumentami, niezbędnymi do złożenia propozycji o fundusze.

Znając te wymagania władz, od początku istnienia Centrum pielęgnowaliśmy nasze piękne, chrześcijańskie tradycje. Każdego roku urządzaliśmy wspólną wigilię. Wigilię obchodzili studenci kursów języka angielskiego, seniorzy w Klubie Krakus, a nadto każdego roku urządzałem wigilię dla wszystkich osób samotnych i opuszczonych. Wiedziałem, jak

ciężkim przeżyciem psychicznym jest spędzanie świąt Bożego Narodzenia w samotności. Weszło więc w nasz zwyczaj, że 24 grudnia nakrywaliśmy stół sianem i białym obrusem, z dostateczną ilością nakryć dla wszystkich spóźnionych i nieoczekiwanych gości. Łamaliśmy się wspólnie opłatkiem, składali wzajemnie życzenia, śpiewali tradycyjne, polskie kolędy, pod udekorowaną choinką. Spożywaliśmy dwanaście wigilijnych potraw i cieszyli z odwiedzin św. Mikołaja z prezentami.

Bywały i występy artystyczne. Często podziwialiśmy siostry Jolę, Elę i Marysię Niecieckie, a jednego roku na taką wigilię trafili moi rodzice z Polski, a mama, Romualda Totczyk, mimo 75 lat, doskonale bawiła zeb-ranych śpiewając piękne pastoralki.

Dla wielu te wigilie były wielkim przeżyciem i pozostaną na zawsze w pamięci.

Drugim świętem, nigdy w Centrum nie zaniedbanym za moich czasów, była Wielkanoc. I znowu, jak w domu, jak w kraju, przy święconym zbierała się nasza polonijna rodzina, złożona z ludzi samotnych. Zbierało się około 200 osób, które choć często nie znały się zupełnie nawzajem, tu w tej atmosferze świątecznej odnajdywały rodzinne uczucia i wspólnie, radośnie spędzali te błogosławione chwile święta Zmartwychwstania Pańskiego, jak we własnym domu, choć daleko od krewnych, czy bliskich.

W sezonie jesienno-zimowym, za moich czasów, prowadziliśmy w Centrum wzmożoną akcję informacyjną na różne tematy społeczne, z jakimi spotyka się nowoprzybyły emigrant. Dowodem, że poruszana tematyka trafiała w potrzeby środowiska, była duża frekwencja na każdym z odczytów. Tematyka tych odczytów była bardzo rozległa: od prawa imigracyjnego, prawa małżeńskiego, porównania prawodawstwa polskiego z prawem amerykańskim, aż po zagadnienia opieki społecznej, rolę prasy w USA, działalność kulturalną i pogadanki krajoznawcze.

Centrum organizowało także wycieczki autobusowe dla członków. Zgodnie ze starym przysłowiem, „podróże kształcą”, a nadto dają świetną okazję do wzajemnego poznania się. Wspólnymi siłami łatwiej i taniej poznać przynajmniej niektóre miejsca, będące dumą przybranej ojczyzny. Nie ominęło też Centrum żadnej rocznicy, żadnego święta, by nie uczcić ich należycie. Urządzaliśmy wieczory wspomnień, na których byli żołnierze opowiadali o napaści na Polskę, w rocznicę Września. Mówcami byli wówczas m.in. Józef Basiaga, Eugeniusz Witt, Ks. Mikołaj Wojnarowski i inni. Klub Krakus co roku urządzał pielgrzymkę autobusową do Amerykańskiej Częstochowy w dniu święta Żołnierza Polskiego.

Wszelkie rocznice i wieczory urozmaicane były wyświetlaniem filmów i przeżroczy, a pogadanki krajoznawcze połączone były zwykle z filmami dokumentarnymi, dzięki czemu cieszyły się ogromnym powodzeniem.

Centrum starało się też w tamtych czasach przyciągnąć artystów z kraju. Dwukrotnie miał tu swoją wystawę prac rzeźbiarz i malarz Tadeusz Teller. Wystawiał w Centrum także przedstawiciel starszego pokolenia, Stanisław Maria Gąsowski, z zawodu architekt, mieszkający w Argentynie. Swoją karierę na amerykańskiej ziemi rozpoczął w Centrum znany dziś rzeźbiarz Andrzej Pityński. Aleksandra Sienkiewicz-Wójcik wystawiała swoje dzieła wykonane z kryształków, koralu i barwionego szkła, odtwarzające trudną i pracochłonną metodą sztuki obrazów Matki Bożej i świętych w pięknych kolorach. Członkowie zarządu Centrum i pracownicy podziwiali swoje karykatury przedstawione na wystawie artystów Juliana Żebrowskiego, słuchali Józefa Wnęka, Mieczysława Gubernata i p. Warychowej. Trudno mi zresztą z pamięci wymienić wszystkich, którzy przyczynili się do tej żywej działalności kulturalnej naszego Centrum. Za co im wszystkim składam tu gorące podziękowanie. Jesienią każdego roku braliśmy udział w obchodach „Tygodnia Kultury Słowiańskiej”. Zorganizowany także został klub szachowy „Copernicus”, zarejestrowany w Federacji Szachowej Stanów Zjednoczonych. W roku 1974 nasz klub pokonał nawet klub szachowy nowojorskiej YMCA. Celem naszym było zainteresowanie wszystkich i cel ten był osiąganym. Centrum spełniało swoje zadanie, jako placówka kulturalna i nie bywało zamknięte podczas weekendów, jak to się dzieje obecnie. Cała ta działalność miała stworzyć podstawy do wniosku o fundusze na działalność kulturalną. Rada Artystyczna Stanu Nowy Jork przyznawała co roku poważne sumy na ten cel. Wystarczy tu wspomnieć, że np. w roku 1976 przyznano 15 milionów dolarów różnym grupom etnicznym. W roku 1983 suma ta wzrosła do 32 i pół miliona, a w roku 1984 aż do 40 milionów dolarów. Z tych ogromnych kwot ani centa nie otrzymali Polacy! Całkowitą winę ponosi obecny zarząd Centrum. Wielu pracowników, widząc zdradziecką akcję zarządu w stosunku do mojej osoby, odchodziło nie chcąc brać udziału w tym haniebnym postępowaniu. Biblioteka zaginęła, działalność kulturalna zamarła. Nie zastąpią jej od czasu do czasu urządzane akademie, bale sylwestrowe, czy też festiwale i bankiety ku czci niektórych księży, nagradzanych w ten sposób za często nieistniejące zasługi. Huczny bankiet to nie jest działalność kulturalna. Władze przyznające fundusze obserwują każdą organizację i jeśli widzą, że ich działalność nie spełnia określonych zadań dla społecznego dobra, to pomijają ją przy rozdziale dotacji. Oddać należy sprawiedliwie honor nie obecnym władcom Centrum, lecz staraniom artystów, którzy zdołali jednak w lutym 1985 zorganizować wystawę grafiki. Zasluga to wybitnych polskich artystów-grafików: Andrzeja Czeczota, Janusza Kapusty i Andrzeja Kendy. Był to chyba pierwszy przypadek, że wystawa w Centrum, po moim odejściu, została sfinansowana przez

miejskie i federalne agencje.

Napisał ktoś wówczas, że „nareszcie zaczynają i nas Polaków dostrzegać na polu artystycznym”. Powód do radości nieco przedwczesny, gdyż dotyczyło to zaledwie jednej wystawy, a nie szerszej, zaniedbanej przez Centrum, działalności kulturalno-oświatowej. Trzeba tą działalność prowadzić systematycznie, udawadniać potrzebę istnienia tej placówki kulturalnej, a następnie domagać się funduszy, a nie czekać aż ktoś raczy nas „dostrzec”. Tego oczekuje od Zarządu Centrum Polonia, a nie uprawiania gry w „bingo”.

15. 200-LECIE STANÓW ZJEDNOCZONYCH W CENTRUM

Obchody 200-lecia Stanów Zjednoczonych w 1976 roku rozpoczęły się w Centrum poświęceniem medalionów Kościuszki i Pułaskiego, bohaterów dwóch światów.

Imprezę tą mogliśmy urządzić dzięki Opatrzności Boskiej. Kilka miesięcy wcześniej zgłosił się do nas młody artysta-rzeźbiarz, Andrzej Pityński, prosząc o pomoc w pozostaniu w Ameryce. Nie bardzo wierzyłem w jego umiejętności. Wielu wyjeżdża z kraju mocno przesadzając swoje kwalifikacje. Popatrzyłem mu więc w oczy i wygarnąłem: „Wszyscy przyjeżdżacie z Warszawy i jesteście artystami, profesorami, inżynierami, jakby tam już w ogóle nie było zwykłych ludzi. A tu trzeba wykazać się pracą przede wszystkim, a nie papierkami. Wielu legitymowało się dyplomami, ale później okazało się, że zdobyli je drogą „awansu politycznego”. W rzeczywistości nic nie potrafili i wstyd nam przynosili, kiedy kierowaliśmy ich do pracy”.

Pityński nic nie odpowiedział na te urągania, tylko uśmiechał się. Śpieszyłem się na jakieś zebranie, ale nie chciałem zostawić go bez konkretnej odpowiedzi. Chwyciłem więc wychodząc tego młodego człowieka pod rękę i w drodze olśniła mnie nagle myśl. Pokazałem mu front budynku Centrum przy 940 Manhattan Avenue i zaproponowałem mu wykonanie

dwóch medalionów, Kościuszki i Pułaskiego, celem ich umieszczenia po dwu stronach napisu na tym budynku. „Jeśli jest pan rzeczywiście artystą-rzeźbiarzem, to niech pan je wykona, a wtedy nie tylko załatwię sprawę pobytu w USA, ale i zatrudnię pana w Centrum” — powiedziałem.

Pityński uściskał mi rękę i powiedział, że wobec tego umowa między nami zawarta, a medaliony wkrótce zawisną w Centrum. Chyba przez wszystkie lata moje w Centrum z nikim tak zgryźliwie nie rozmawiałem, a mimo to, po dwu tygodniach, wraca do mnie ten młody, obrośnięty człowiek, o którego obietnicy wcale poważnie nie myślałem, nauczony przykrymi doświadczeniami z wieloma inżynierami i artystami. Okazało się, że bardzo pomyliłem się porównując go z innymi. Powiedział krótko: „Przyszedłem zameldować, że Kościuszko w gipsie jest już gotowy, proszę przyjść obejrzeć, co mam poprawić i czy podoba się, bo chciałbym zacząć lepić Pułaskiego”.

Nie mam pretensji do tytułu znawcy sztuki, więc zabrałem ze sobą jeszcze parę osób. W mieszkaniu Pityńskiego stanęliśmy zdumieni przed medalionem Kościuszki. Pozytywna decyzja zapadła natychmiast, a po kilku tygodniach Pityński dostarczył do Centrum oba medaliony w gipsie. Nie bez trudności, z uwagi na koszt, wykonane zostały następnie odpowiednie odlewy z tworzyw sztucznych. Tak więc dzięki Pityńskiemu przeżyliśmy podniosłe chwile podczas wspaniałej imprezy, jaką było poświęcenie tych medalionów, imprezy otwierającej obchody 200-lecia Stanów Zjednoczonych w naszym Centrum.

Pityński podbił serca wszystkich, ale w szczególności jednej z naszych pracownic, Krystyny Gacek. Ta piękna dziewczyna została jego żoną, co niezmiernie uprościło sprawę stałego pobytu w USA rzeźbiarzowi.

Dnia 20 czerwca 1976 roku Centrum zorganizowało uroczysty obchód 200-lecia USA na polance „Sokoła” w Somerville, w stanie New Jersey. Myśl przewodnią tego obchodu można przedstawić w kilku słowach: Wiadomo, że Polonia jest rozbita i podzielona. Obcy nie znajdują na to lekarstwa, ani nie poprawią naszego losu. Praca społeczna jest tym terenem, na którym o porozumienie i współpracę Polonii najłatwiej. Wiemy, że Polonia jest nieobecna w wielu dziedzinach życia społecznego i politycznego Ameryki. Jedynie przez zjednoczenie we wspólnej walce o należne nam prawa możemy doprowadzić do zaniechania naszych własnych sporów politycznych, będących przyczyną rozdźwięków i podziałów. Pamiętajmy, że język, religia, kultura, tradycja i ponad 1000-letnia historia łączy nas i dlatego o te wartości przede wszystkim dbać musimy stale.

Następnie Centrum wzięło udział w Paradzie Dwustulecia w dzielnicy Greenpoint. Barwne, i jak zwykle oryginalne w swej treści transparenty wzbudzały powszechne zainteresowanie. Jeden z nich utkwiał w

pamięci obserwatorom uroczystości z ramienia władz miejskich. Powtarzali później to hasło często przy różnych okazjach. Było to bowiem w latach, kiedy Greenpoint pustoszał coraz bardziej. Ludzie uciekali do lepszych dzielnic i nic nie rokowało nadziei, by Greenpoint kiedykolwiek odżył i powrócił do swej dawnej świetności. Hasło to brzmiało: „Greenpoint, don't move — Improve!” Co oznacza: „Nie uciekaj z Greenpointu, lecz odnawiaj go!”

Przy okazji tych uroczystości Centrum miało okazję wyjść poza opłotki własnej dzielnicy. Dzień Seniora został zorganizowany w samym sercu Nowego Jorku, w parku u zbiegu 42-ej Ulicy i Alei of Americans. Wszystkie ośrodki skupiające w swoich klubach seniorów zaprezentowały swój dorobek. Wystąpiliśmy z zespołem słowiańskich mandolinistów oraz stoiskiem kulinarnym.

Kościół katolicki w USA odbył z okazji 200-lecia Kongres Eucharystyczny w Filadelfii. Centrum wzięło i w tej imprezie udział organizując pielgrzymkę autobusami.

Wzięliśmy udział także w Festiwalu Wieloetnicznym w McCarren Park. Był to niezmiernie pracowity rok. Chodziło nam przecież o to, by wykazać polski wkład w życie społeczne Stanów Zjednoczonych.

Wszystko to musieliśmy robić sami. Żadna prawie organizacja polonijna nie udzieliła nam pomocy. Nasze nawoływania o jedność i solidarność nie odnosiły żadnego skutku.

Urządziliśmy także wystawę pt. „Wkład Polaków i Słowian w Budowę Stanów Zjednoczonych”, za co otrzymaliśmy później dyplom uznania. Na tej wystawie zaprezentowaliśmy dzieła współczesnych malarzy i rzeźbiarzy: A. Pityńskiego, L. Węglarza, Telera, T.B. Sulikowskiego, J. Żebrowskiego i innych, a także zabytkowe emblematy, sztandary i pamiątki historyczne. Otwarcia tej wystawy dokonała Ewelina Sanz, wiceprezesa zarządu, a główne przemówienie wygłosił zaproszony przeze mnie b. płk. armii amerykańskiej, A. Podbielski. Na wystawie czynne było także stoisko z książkami, obrazami i wyrobami artystycznymi. Jan Mierzwa przygotował duże tablice, na których przedstawił w porządku chronologicznym nazwiska wybitnych osobistości polonijnych, zasłużonych w budowie Stanów Zjednoczonych. Tablice te cieszyły się tak wielkim zainteresowaniem, że umieściliśmy je po wystawie w Centrum, by wszystkich zapoznawać z utalentowanymi rodakami.

Wpadłem także na pomysł wydania z tej okazji pamiątkowego medalu „Polonia Unite”, raz jeszcze korzystając z usług młodego rzeźbiarza, Andrzeja Pityńskiego. Po dłuższych dyskusjach ustaliliśmy jego treść. Awers przedstawiał Orła Jagiellonów, symbol łączności wszystkich Polaków, a pod nim hasło: „Polonia Unite” — Polonio, łącz się! Nad orłem korona z

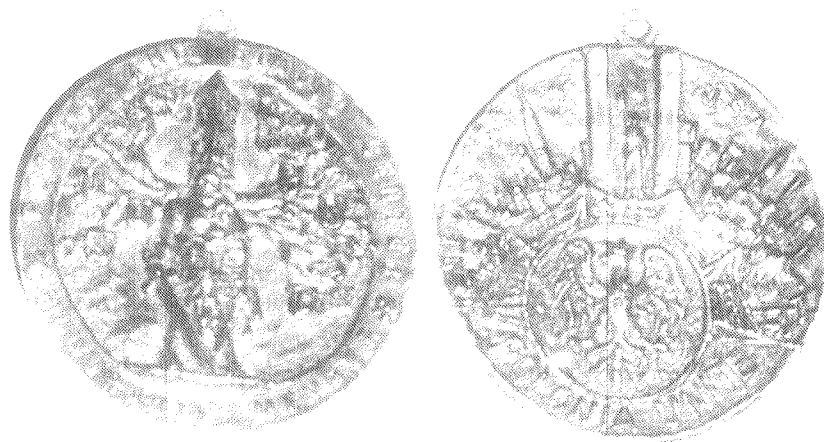
nowojorskich mostów, jako symbol więzi Polonii Amerykańskiej z krajem ojczystym, a nad nią sylwetka Manhattanu z dominującą Statuą Wolności. Z boku napis: New York, USA. Rewers natomiast przedstawiał Światowida na tle rodowego dębu z herbami plemion słowiańskich, oraz polskiego rycerza z krzyżem na piersi, jako zwiastuna chrześcijaństwa, z mieczem i orłem polskim na tarczy, za którą, wtulona w ramię rycerza, chroni się kobieta z dzieckiem na ręku.

Nie stać nas było na odlanie tego medalu w złocie, czy srebrze. Nawet wykonanie z pozłoceniem lub posrebrzeniem było dla nas zbyt kosztowne. Wydaliśmy więc ten medal w bardzo niewielkiej ilości w brązie. Medal ten w roku 1976 przekazany został m.in. Jego Eminencji Karolowi Kardynałowi Wojtyła, obecnemu Ojcu Św. Janowi Pawłowi II.

Wydaliśmy także znaczki do noszenia i nalepki samochodowe w kształcie serca, na którym u góry został umieszczony krzyż, symbol miłości i chrześcijaństwa obu narodów, a pod nim Polski Orzeł z datą Chrztu Polski — 966 i Orzeł Amerykański, z datą powstania tego państwa — 1776, i z napisem — Polonia Bicentennial.



Medaliony wydane z okazji 200-lecia USA przez Centrum Polsko-Słowiańskie. Proj. Andrzej Pityński



Medal „Polonia Unite” wydany z okazji 200-lecia USA przez CPS
Proj. Andrzej Pityński



Nalepka samochodowa wydana z okazji 200-lecia USA przez CPS

16. CENTRUM JEDYNYM FORUM POLONII W NOWYM JORKU

Ktokolwiek czytuje amerykańską prasę, lub studiuje dokumentację wielkich spółek, fundacji, banków, czy też informatory zawierające spisy wyższych urzędników miejskich, stanowych, czy federalnych, ten może sam obiektywnie stwierdzić, że we wszystkich dziedzinach, także wśród profesury wyższych uczelni, Polaków znaleźć trudno. Szczególnie wśród władz różnego szczebla, w porównaniu z innymi grupami etnicznymi, Polaków na scenie amerykańskiego życia prawie nie widać. Zdarzają się wyjątki, lecz te potwierdzają tylko regułę.

Trudno całą winę za ten stan rzeczy składać na dyskryminację, choć ta z pewnością odgrywa poważną rolę.

Na domiar złego, brak jedności, brak solidarności wśród Polaków powoduje, że nie byliśmy do tej pory zdolni stworzyć żadnego „lobby”, z którego zdaniem ktokolwiek by się liczył. A przepisy prawa amerykańskiego umożliwiają w zasadzie każdej grupie etnicznej nie tylko działalność organizacyjną, lecz także gwarantują prawo uczestniczenia w procesach politycznych, wpływania na ustawodawstwo, uzyskiwania najrozmaitszych subwencji, itp.

Narzekać na ten stan rzeczy, rzecz jasna, nic nie pomoże. Szukać nam trzeba przyczyn, które spowodowały, że znaleźliśmy się na szarym końcu, i szukać musimy sposobów, by te przyczyny hamujące rozwój naszej grupy etnicznej usunąć i wybić się na należne nam miejsce w rodzinie narodów, zamieszkujących te piękne Stany Zjednoczone Ameryki.

A przyznać trzeba, że nic prawie w tym kierunku nie robimy. Życie polonijne ograniczyło się do „grajdołków”. Nasze Domy Narodowe, czy Domy Weterana, od dawna przestały być instytucjami przynoszącymi nam chlubę. Istniejące zestarzały się, świecą pustkami, odpychają nieraz brakiem estetyki, a częstokroć grzeszą po prostu brudem i zaniedbaniem. W Londynie potrafią wybudować POSK (Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny), w Toronto wybudowano piękny Dom SPK, a w wielu miastach USA sprzedano, lub wprost zaprzepaszczono szereg dawniej imponujących budynków.

Usiłowałem mnie przekonać, że dochody z baru służą utrzymaniu np. Domu Żołnierza w Nowym Jorku. Nie chcą nawet słyszeć o tym, co kilkakrotnie sugerowałem, że organizacjom naszym przysługuje prawo uzyskania statusu instytucji o wyższej użyteczności publicznej, co daje zwol-

nienie od wszelkich podatków i możliwości uzyskania subwencji. Korzyść z takiego rozwiązania byłaby znacznie większa aniżeli dochody z cuchnącego baru. Ktoś jednak był najwidoczniej zainteresowany w tym, aby sytuacji nie zmieniać na lepsze.

Do momentu założenia Centrum Polsko-Słowiańskiego w Nowym Jorku, praktycznie biorąc, nie było żadnego forum, gdzie Amerykanie mogliby zetknąć się z Polonią. Bywali co prawda Polacy w różnych ośrodkach poza miastem podczas weekendów, ale w tym czasie możni tego świata odpoczywają i zwykle nie zamierzają poświęcać wolnego czasu na kontakty z „mniejszościami”. Odsuwało nas to jeszcze bardziej w cień zapomnienia, z którego w żaden sposób nie mogą wyrwać odświętne deklaracje i górnolotne rezolucje, zbyt długie zazwyczaj, by jakkolwiek polityk był skłonny je przeczytać.

Tak więc, organizując Centrum, pragnąłem nie tylko nieść pomoc naszym rodakom, lecz także stworzyć ośrodek, który by mógł posłużyć jako forum polonijne, ośrodek, który by wzbudził wreszcie zainteresowanie Amerykanów i udowodnił im, że potrafimy prowadzić działalność społeczną tak samo, jak to czynią inne grupy etniczne. Nasze żądania, tak wymownie poparte wielką manifestacją w dniu 5 maja 1974 roku, stały się podstawą dialogu z władzami wszystkich trzech szczebli administracyjnej drabiny.

Od początku istnienia Centrum było chyba jedyną placówką w Nowym Jorku, którą przedstawiciele władz m u s i e l i odwiedzać, gdyż wykazaliśmy sprężystość organizacyjną, udowodniliśmy, że Polacy potrafia działac według amerykańskich wzorów. Najbardziej przekonała ich o naszej sile ta majowa manifestacja. Władze muszą liczyć się z parotysięcznym tłumem. Władze musiały docenić pracę Centrum i dlatego, choć nie bez trudności, musiały udzielić nam pomocy w postaci funduszy na programy społeczne, których domagaliśmy się.

A lista tych gości Centrum była długa i imponująca: wicegubernator stanu Nowy Jork Mary Ann Krupsak, poseł legislatury stanowej Joseph Lentol, członkowie Izby Reprezentantów Kongresu USA, kandydaci na gubernatorów, radni miejscy, kandydaci na senatorów... Kontakty te były wielce pomocne dla naszej działalności.

Przez nasze stołówki przewijało się ponad 300 osób dziennie, dalsze 200 osób korzystało z kursów języka angielskiego, wiele osób korzystało z biblioteki i żywej działalności kulturalno-oświatowej w postaci odczytów, spotkań z artystami itp. Amerykanie widzieli tę pracę społeczną i rozumieli, że stanowi ona załączek ośrodka konsolidującego naszą grupę etniczną, rozumieli, że to jest załączek naszej siły. Gdyby praca Centrum po moim odejściu rozwijała się we właściwym kierunku, to dziś Polonia w Nowym

Jorku stanowiłaby potęgę, z którą musiano by się poważnie liczyć.

Centrum pod moim kierownictwem stało się już tym forum, jedynym forum polonijnym, którego rozwojem zainteresowali się nie tylko naukowcy, studiującą problemy etniczne, lecz i studenci, nawet spoza USA. Odwiedził więc nasze Centrum m.in. prof. Goj z Uniwersytetu Nowojorskiego, dr A.C. Martinez, prof. Szwarc, a nawet prof. Konosuke Yamada z Tokio, wykładowca ekonomii, który tylko rok studiował na SGPiS w Warszawie, w ciągu którego zdołał opanować język polski! W styczniu 1976 odwiedziła nas grupa studentów z Uniwersytetu św. Pawła w Minnesocie, a w czerwcu 1978 gościliśmy grupę 30 studentów z 24 krajów świata, z Instytutu Międzynarodowego Szkolenia.

Nie sposób wymienić mi tutaj wszystkich ważnych przedstawicieli grup etnicznych i świata amerykańskiego, którzy w tamtych latach znaleźli się na tym polonijnym forum, jakim stało się Centrum w stosunkowo krótkim czasie od jego założenia. Przewinęły się bowiem setki różnych przedstawicieli nauki, kultury i sztuki, świeckich i duchownych. Centrum gościło licznych biskupów i księży, także z kraju.

Za moich czasów Centrum było biedne, lecz ciągle tworzyło i budowało coś nowego. Nawet na myśl mi nie przyszło, by ratować budżet dochodami z gry w „bingo”. Wydaje mi się, i chyba słusznie, że placówce tego typu wyludzanie pieniędzy za pomocą gier losowych nie przystoi. Protestuję przeciwko tym, którzy obniżają w ten sposób prestiż polskiej grupy etnicznej i z instytucji, która ma wszelkie dane po temu aby być tym polonijnym forum — robią kasyno gry. Ostatecznie, może „bingo” prowadzić utworzone w tym celu Towarzystwo Przyjaciół CPS, a nie jak obecnie zarząd.

Mam nadzieję, że patriotyczni członkowie Centrum ten stan rzeczy zmienią i przywrócą Centrum jego rangę, że będą oni domagać się by Centrum znów spełniało swoje pierwotnie zamierzone cele społeczne i zadania, dla których zostało stworzone.

A działalność ta jest szczególnie potrzebna właśnie na terenie dzielnicy Greenpoint, która od lat jest największym skupiskiem Polaków w Nowym Jorku.

Życie społeczne i polityczne w tej polskiej dzielnicy prawie nie istnieje. Są na przykład dwie partie polityczne, które nominalnie posiadają lokalne kluby polskie. Siedziba klubu partii republikańskiej jest przeważnie zamknięta. Otwiera się ona „pięć minut przed dwunastą” przed każdorazowymi wyborami. Rozważa się wówczas, którego kandydata poprzeć, bo swój, dr Nadrowski, notorycznie przegrywa. Klub im. Smoleńskiego, partii demokratycznej, którego prezesem za moich czasów był zresztą Włoch, a nie Polak, otwarty jest każdego popołudnia, lecz nie

dla jakiejś pracy społecznej, czy politycznej, lecz dla członków — bywalców baru.

Jest jeszcze kilka organizacji, noszących dumną nazwę organizacji im. Pułaskiego, które jednoczą funkcjonariuszy policji, przedsiębiorców i sprzątaczy miejskich. Członkowie tych organizacji opłacani przez miasto mają swoje godziny pracy, ale nie mogą korzystać z tych placówek w czasie służby. Przedsiębiorcy natomiast muszą dbać przede wszystkim o własne interesy i poprzestają na drobnych darowiznach dla dzieci polskich szkół kształcących oraz na urządzaniu hucznych bankietów. Organizacje weterańskie nie wykazują żadnej inwencji, koncentrując się na pomocy własnym inwalidom i rodzinom poległych. Żadna z tych placówek nie usiłowała nawet stać się jakimś ważniejszym miejscem spotkań Polonii. Nie przesadzam więc ani trochę nazywając Centrum Polsko-Słowiańskie, które założyłem, jedynym forum polonijnym w Nowym Jorku. To, co osiągnąłem w latach 1972-1981 funkcjonuje, ale nie rozwija się w ciągu kilku lat następnych. Działalem w warunkach niełatwych i pod ciągłym naciskiem ze strony licznych wrogów, którzy ulegali chyba przede wszystkim uczuciu zazdrości. Nie mogli znieść, że sukces księdza Tołczyką nie jest ich sukcesem, lecz dowodem ich marazmu i bezczynności, dowodem ich bezpożyteczności dla społeczeństwa.

17. PROGRAM CETA

W latach 1975-79, za rządów prezydenta Cartera, nastąpił okres wielkiego bezrobocia w Ameryce. Władze federalne w Waszyngtonie usiłowały ratować sytuację w sztuczny sposób, asygnując ciężkie miliony dolarów na program Comprehensive Employment Training Act, zwany popularnie w skrócie CETA. Celem tego programu było przeszkolenie, przekwalifikowanie tych, którzy znaleźli się bez pracy. Poszczególne stany i większe ośrodki miejskie otrzymały wielomilionowe subwencje na ten cel, a fundusze te były następnie przydzielane różnym organizacjom

społecznym, które podpisywały odpowiednią umowę z władzami i brały na siebie obowiązek przeszkolenia bezrobotnych, wypłacając tym bezrobotnym jednocześnie wynagrodzenie, gdyż to szkolenie odbywało się jakby „przy warsztacie pracy”. Dla uproszczenia księgowości i prowadzenia dokumentacji wypłat, władze poleciły organizacjom społecznym łączenie się w większe jednostki, w postaci terenowych koalicji. Zrzeszone w ten sposób organizacje wybierały jednego dyrektora wykonawczego, i jedna z organizacji w danej koalicji stawała się jakby organizacją wiodącą.

Nasze Centrum złożyło wniosek-propozycję partycypowania w tym programie już w styczniu 1975 roku. Na terenie Greenpoint-Williamsburg powstała tymczasem koalicja, złożona głównie z włoskich organizacji, do której Centrum zostało przeze mnie wprowadzone, aby umożliwić nam wzięcie udziału w tym programie. Wskutek przewagi włoskich organizacji, które oczywiście głosowały na swoich, wiodącą została w tej naszej koalicji włoska School Settlement Association, która przejęła na siebie obowiązek sporządzania listy płacy, wystawiania czeków z funduszu płac itp., w ramach funduszy przyznanych dla każdej organizacji odrębnie.

Podpisałem więc umowę w imieniu Centrum wpierw na sumę blisko 230 tysięcy dolarów, a następnie już w kwietniu 1975 roku na dalsze prawie 150 tysięcy dolarów. Według tej umowy miałem zatrudnić 36 bezrobotnych, gdyż wykazałem w moim wniosku, że tylu ludzi potrzebujemy do pracy w zakresie realizacji istniejących już wtedy 2 programów społecznych. Fundusze otrzymywane na te dwa programy były bowiem w zasadzie przeznaczone jedynie na wydatki rzeczowe i pensje dla kilku pracowników, lecz większość pracy, do tej pory, musiała być wykonywana siłami własnymi organizacji, bez wynagrodzenia. Teraz, ten program CETA stwarzał wyjątkowo dogodne warunki prowadzenia tej pracy, gdyż umożliwiał wynagradzanie pracowników.

Nagle powstał problem, którego przewidzieć nie mogłem. Ledwo przyznano nam fundusze na program CETA, władze miejskie zażądały przedstawienie pełnej dokumentacji kandydatów do pracy, wraz z opisem zakresu pracy i nazwy dla każdego proponowanego stanowiska, w ciągu ledwie trzech dni! I to pod groźbą, że jeśli ta pełna dokumentacja nie będzie w ciągu trzech dni przedstawiona, to przyznane etaty przepadną!

Dałem więc natychmiast odpowiednie ogłoszenia do prasy i radio, ale te miały sens jedynie przez dwa dni. Zgłosiła się wówczas cała masa nowoprzybyłych. Zależało mi oczywiście na zatrudnieniu braci-Polaków, a nie obcych, gdyż była to wspaniała okazja ich zatrudnienia i wciągnięcia do pracy społecznej. Ciężką walkę stoczyłem, aby zezwolono na zatrudnienie nowoprzybyłych, nawet tych, którzy nie mieli jeszcze uregulowanej sprawy stałego pobytu, o ile można było tylko udowodnić, że złożyli

wniosek do władz imigracyjnych o zezwolenie na pobyt stały. Kwalifikował się właściwie każdy, kto otrzymywał w tym momencie zasiłek dla bezrobotnych. Po dłuższych staraniach udało mi się uzyskać zgodę władz na zatrudnienie nowoprzybyłych, w drodze wyjątku. Opracowując dokumentację kandydatów na zatrudnienie, na co mieliśmy tylko dwa dni czasu, powierzyłem to zadanie etatowym pracownikom społecznym nie polskiego pochodzenia (Robert Lederman, Sheila Kelly, James Thomas), aby uniknąć później posądzeń, że lepsze etaty przydzieliłem swoim znajomym, lub przyjaciółom. A pensje wahały się w granicach od 7 do 10 tysięcy dolarów rocznie, co na owe czasy było zupełnie godziwym wynagrodzeniem, w zależności od wykształcenia i stanowiska.

Programem tym byli objęci ci, którzy z uwagi na zbyt krótkie zatrudnienie przed zwolnieniem z pracy nie mogli otrzymać zasiłku dla bezrobotnych i którzy już ten zasiłek dla bezrobotnych otrzymywali lecz z uwagi na liczną rodzinę nadal żyją w trudnych warunkach. Dodatkowy warunek, to zamieszkiwanie na terenie dzielnic Greenpoint-Williamsburg, gdyż tylko ten teren obejmowała działalność naszej koalicji.

Proces zatrudniania był dość skomplikowany. Jeśli zatrudniony kandydat rezygnował, to etat przepadał. Nie wolno było zatrudnić nowego pracownika na miejsce takiego, który z jakichkolwiek powodów odszedł.

Tak więc 36 pracowników rozpoczęło pracę w Centrum. Był to z pewnością nowy rozdział w naszej działalności i wielki sukces Polonii, biorąc pod uwagę fakt, że uzyskaliśmy te etaty w okresie szalejącej inflacji i bezrobocia. Byłem dumny z odniesionego sukcesu. Część nowoprzybyłych ulokowaliśmy w nowoutworzonym dziale badań socjologicznych, pod kierownictwem specjalisty, któremu powierzyliśmy opracowanie zagadnienia potrzeb socjalnych nowojorskiej Polonii. Poza tym zorganizowane zostały sekcje: pośrednictwa pracy, kulturalno-oświatowa, oraz prasowo-informacyjna, która zajęła się rozszerzaniem wydawnictwa Informatora Społecznego.

W kilka tygodni po zatrudnieniu tych 36 pracowników opłacanych przez program CETA otrzymaliśmy zawiadomienie z Human Resources Administration, że CETA wyasygnowała spore fundusze na opłacenie studiów w College for Human Services i że nam przydzielono 5 miejsc. Oprócz pokrywania kosztów nauki, studenci mieli otrzymywać po 100 dolarów tygodniowo z CETA, za praktykę w Centrum, co w tamtych czasach było sporą kwotą, gdyż przeciętny zarobek tygodniowy wynosił ok. 120 dolarów. Zaprotekowałem natychmiast, gdyż te 5 miejsc uważałem za ilość stanowczo nie wystarczającą w stosunku do potrzeb i możliwości naszego środowiska. Byłem zresztą jedynym Polakiem na konferencji w tej sprawie, co walki mi wcale nie ułatwiało, ale pasja z jaką argumen-

towałem odniosła skutek. Otrzymaliśmy w rezultacie nie 5 lecz 20 miejsc, ale znaleźliśmy zaledwie 18 chętnych Polaków!

Kandydatom stawiano określone warunki: dostateczna znajomość angielskiego, brak zatrudnienia w okresie co najmniej jednego miesiąca, lub zarobki nie przekraczające 40 dolarów tygodniowo na jedną osobę w danej rodzinie, oraz wiek ponad 21 lat, lecz bez ograniczenia górnej granicy. Były to studia zawodowe dla pracowników socjalnych, a potrzeby w naszej grupie etnicznej w tej dziedzinie były ogromne. Wspomniałem już w innym rozdziale, że nie mogłem znaleźć wśród Polaków ani jednej wykwalifikowanej osoby, która by potrafiła sprostać wszystkim warunkom stawianym przez lokalne władze i amerykańskie przepisy w tej dziedzinie.

Udało mi się wreszcie znaleźć 18 odpowiednich osób, by dać im te stypendia i posłać na studia. Brakujące 2 osoby przysłano nam „z urzędu”, aby zappełnić komplet. Były to zresztą dwie Murzynki. W czasie dwuletnich studiów, ci studenci byli zobowiązani pierwsze miesiące studiować, a potem 2 dni nauki i 3 dni w tygodniu pracy w Centrum, co było im zaliczane jako praktyka zawodowa.

I znów, był to mój ogromny sukces. Dzięki tym programom, pracowników CETA i studentów, Centrum dysponowało 56-ma pracownikami etatowymi, dlatego musieliśmy mieć konkretne wyniki naszej pracy społecznej. Do tej pory przecież całą pracę wykonywaliśmy siłami zaledwie kilku pracowników zatrudnionych w programie etnicznym oraz w programie dożywiania, zwanym Klub Krakus. Pracę wykonywali często ludzie przygodni, wolontariusze, moi znajomi i ludzie dobrego serca. Jeszcze nie zdążyliśmy okrzepnąć i nabrać wprawy, a tu nagle personel nasz powiększa się o 56 osób. Niejedna doświadczona organizacja zachwiała by się w momencie takiej zmiany. W fabryce nie odgrywałoby to wielkiej roli. Nowych ludzi można postawić przy maszynie i lepiej lub gorzej, ale jakoś swoje zadania spełnią. Tu była praca umysłowa i w dodatku obarczona dużą odpowiedzialnością. Trzeba było udzielać porad i załatwiać wiele spraw urzędowych dla naszych interesantów, a tymczasem większość nowych pracowników słabo znała angielski i często nie miała pojęcia o specyfice amerykańskiego życia, czy o zasadach jej biurokracji. Trudności powstawały więc ogromne. Niemniej, musiałem zastosować zasadę „bierz Michale, co Bóg daje”, a później dopiero martwić się, co z tego wyniknie.

Kłopoty przewidywałem głównie z tego powodu, że przyjęcie 36 ludzi do pracy w ciągu paru dni, bez dokładnego zbadania tych ludzi, bez żadnej rekomendacji, ludzi, którzy przyszli do nas wprost „z ulicy” — musiało się źle skończyć, wcześniej czy później. Ryzykowałem jednak już nieraz,

więc i teraz uważałem, że dla dobra sprawy muszę na siebie wziąć to nowe ryzyko.

Największym błędem okazało się jednak przyjęcie do pracy Bogdana Wasiutyńskiego na stanowisko łącznika pomiędzy School Settlement a zarządem Centrum. Podosunął mi tę kandydaturę i namówił mnie do tego Jerzy Pańciewicz Tenże Wasiutyński stał się potem głównym inspiratorem buntu przeciwko mnie i Centrum...

A starałem się stworzyć im wszystkim godziwe warunki pracy i życia. Dla tak wielkiej ilości nowych pracowników trzeba było przede wszystkim znaleźć miejsce. Ulokowałem ich czasowo w piwnicy przystosowanej na biuro i na piętrze, ale na gwałt trzeba było szukać nowego lokalu. Udało się wynająć pomieszczenia po przeciwnej stronie ulicy. Ogromnym wysiłkiem i sporymi kosztami wyremontowałem te nowe pomieszczenia, organizując w nich biuro, bibliotekę i stołówkę, a wkrótce i pierwszą komórkę naszej Unii Kredytowej.

Oczywiście prawie każdy z tych nowych 56 pracowników zechciał korzystać z programu dożywiania, który był w zasadzie przeznaczony dla seniorów. Za trzydniowy posiłek liczyliśmy zaledwie 50 centów — prawie darmo! Starałem się ułatwić tym ludziom życie także i na inne sposoby. Czyniłem wszelkie możliwe ułatwienia w zakresie godzin pracy, tak by mogli oni poświęcić czas na ewentualne inne zajęcia, czy na uczęszczanie na kursy języka angielskiego. Każdy, kto znał i zechce obiektywnie ocenić moją działalność w tym okresie, musi przyznać, że niczym nie zasłużyłem sobie na tak ogromną przykrość, jaka mnie spotkała.

Zdobyłem przecież aż 36 miejsc pracy i 20 miejsc dla studentów w programie CETA. Centrum zyskało ludzi do rozszerzenia pracy społecznej, ale jednocześnie tych 56 osób znalazło godziwe wynagrodzenia w tamtych ciężkich czasach i dobre miejsce pracy, wśród swoich. W dodatku każdy z nich mógł się szczycić tym, że lepiej pracuje w instytucji społecznej, której celem jest przecież pomoc bliźnim, a nie sprzątanie cudzych brudów. Cóż mogło być lepszego? Czyż nie byłby to wystarczający powód dla jakiejś wdzięczności w stosunku do Centrum, a nawet i do mnie, jego założyciela i organizatora? Lecz nie wdzięczności oczekiwałem. Marzyłem, by przynajmniej trochę lojalności wykazali, choć odrobinę poczucia obowiązku...

Stało się inaczej.

18. TRZECIA OBRONA CENTRUM PRZED ATAKIEM STUDENTÓW I PRACOWNIKÓW CETA

Było, być może, trochę mojej winy w tym, że zbyt litowałem się i dopuściłem do pewnego rozluźnienia dyscypliny wśród pracowników i studentów. Okazało się, że zamiast wdzięczności za okazywaną im życzliwość, za tolerancję pod względem godzin pracy, należało oczekiwać właśnie tego, co się stało. Coraz więcej znajdowało się takich, którzy zaczęli uważać, że nie obowiązują ich w ogóle żadne godziny pracy. Kiedy odważyłem się zwracać uwagę, że jeśli nie będą przestrzegać czasu pracy, to nie mogą oczekiwać wypłaty za pełny wymiar godzin, to spotkałem się z taką odpowiedzią: „A co, to księdzu szkoda rządowych pieniędzy? Przecież to nie z księdza kieszeni!” Moje rady i ostrzeżenia, w pierw osobiste, a później i na zebraniach pracowników nie odniosły skutku. Zwracałem uwagę, że przecież naszą pracą zdajemy egzamin wobec władz miejskich i przed całą Polonią. Nic nie pomagało. Nie pomagały nawet pisemne przyrzeczenia, że nie będą pić przed pracą i w czasie pracy napoi alkoholowych. Sam kilkakrotnie, sięgając do szaf biurowych po jakieś dokumenty, natrafiałem na butelki z wódką. Upomnienia, że co by to się stało, gdyby znalazł te butelki ktokolwiek z kontroli miejskiej, także nie wpływały na zmianę „stylu” pracy tych ludzi. Starłem się temu przeciwdziałać w początkowej fazie przez powołanie specjalnych instruktorów. Zaangażowałem specjalnie dla tych grup dra Witolda Płońskiego, a nawet sprowadziłem z filii na Manhattanie Ewę Konikowską, aby jako starsza osoba zajęła się specjalnie studentami. Dla podbudowania jej aury upoważniłem ją do wystawiania studentom opinii z praktyki dla College. Zarząd wprowadził nowe obostrzenia dyscypliny, zainstalowując zegar, na którym trzeba było odbijać czas rozpoczęcia i zakończenia pracy na odpowiedniej karcie pracy. Ale i to nic nie pomogło. Poradzono sobie w ten sposób, że jedni odbijali te karty za drugich, nieobecnych, lub przychodzących później. Byliśmy zmuszeni wyznaczyć pracownika odpowiedzialnego za pilnowanie tego zegara, aby odbić kartę mógł tylko sam pracownik. Wprowadziliśmy także książkę wyjść służbowych, w której pracownik wychodzący musiał nawet podać numer telefonu, pod którym będzie osiągalny w czasie swej służbowej nieobecności.

Dochodziło do tego, że ludzie informowali mnie o przypadkach, kiedy

widzieli naszych pracowników w godzinach pracy... na plaży, albo urządzających pikniki zakrapiane alkoholem. To już przekraczało wszelkie granice. Centrum nie mogło pozwolić sobie na utratę programów, z tak wielkim trudem — i dla dobra Polonii i tych pracowników przecież — zdobytych.

Nad wprowadzonymi obostrzeniami dyscypliny pracy miał czuwać łącznik między Centrum, a School Settlement Association, Bogdan Wasiutyński. Mieszkał on jednak w Connecticut i przed przyjęciem do pracy obiecywał, że przeprowadzi się do Brooklynu. Nie uczynił tego, wskutek czego i sam przykładem świecić nie mógł: spóźniał się, a w piątki opuszczał pracę wcześniej, aby udać się w drogę do domu. Ewa Konikowska także nie mogła służyć za wzór wszelkich cnót. Pracowała na etacie programu CETA, co wymagało zamieszkiwania w naszej dzielnicy. Podawała jednak adres nieprawdziwy. Kiedy ten fakt został wykryty, to powinna była zrezygnować z pracy. Zamiast tak postąpić, przyłączyła się do grupy tych, którym obowiązkowość w pracy wydała się być zbyt uciążliwą. Zamiast nadzorować powierzonych sobie studentów, pod jej „opieką” zaczęto odbywać zebrania buntujących się przeciwko zarządowi i przeciwko mnie, w lokalu naszej filii na Manhattanie, w Domu Żołnierza.

Zarząd Centrum nie widział innego rozwiązania, jak tylko zwolnić pracownika odpowiedzialnego za nadzorowanie dyscypliny pracy. Bogdan Wasiutyński został więc zwolniony z pracy 3 marca 1976 roku i od tegoż dnia nagle rozgorzała walka zbuntowanych pracowników i studentów CETA. Atak był początkowo skierowany przeciwko Janowi Stachurskiemu, wyznaczonemu do pilnowania porządku i pilnowania zegara, na którym odbijano karty pracy. Domagano się jego natychmiastowego zwolnienia. Zarząd nie widział podstaw do tego kroku i pozostawił Stachurskiego na tymże stanowisku.

Zbuntowanym nie brakowało sprytu. Uderzono więc dosłownie „poniżej pasa”. Elżbieta Bahula, Elżbieta Lenkiewicz i Dolores Gregorek złożyły skargę na Stachurskiego o... „sexual harrassment”, tj. o seksualne molestowanie. Skargę skierowano do Canio De Vito, koordynatora programu CETA w School Settlement Association.

Wkrótce potem nową skargę skierowano do tegoż De Vito. Tym razem była to skarga Michała Czarnego, Zygmunta Wołotowskiego i Ryszarda Słowikowskiego, że zmuszałem ich do pracy fizycznej, niezgodnej z zakresem pracy określonej w etacie. Józef Przyjemski skarżył się nadto, że został niesłusznie zwolniony z pracy, choć nastąpiło to w trybie karnym.

Mijały tygodnie. De Vito nie mógł mnie bezpośrednio ukarać, ani nie był uprawniony do wywierania nacisku celem zmiany decyzji podjętych przez zarząd Centrum. Zbuntowani pracownicy i studenci o tym oczywiście

nie wiedzieli. Przyzwyczajeni do „socjalistycznej” zcentralizowanej struktury zarządzania w kraju sądzili, że to włoskie School Settlement Association, skoro ono dokonuje wypłaty zarobków, jest jakby instancją nadrzędną. Tak nie było, Centrum było i jest instytucją całkowicie samorządną.

Widząc więc bezskuteczność swych dotychczasowych działań, grupa składająca się z 9 pracowników i studentów, oraz 5 członków ich rodzin, wyszła na ulicę dnia 15 maja 1976 roku, ustawiła się przed Centrum i demonstrowała przez szereg godzin, obnosząc obelżywe i oszczercze hasła.

Ja tych obelg i oszczerstw wstydzić się nie muszę. Niech się wstydzą autorzy i ci, którzy te hasła nosili. Warto wiedzieć, kto kłamał, kto szkalował założyciela i społeczną instytucję, jedyną w swoim rodzaju wśród amerykańskiej Polonii, kto lżył bezwstydnie, kto dosłownie „gryzł rękę, która go karmiła”. Oto te wszystkie hasła i nazwiska demonstrantów:

- „Tołczyk — kompromitacja Polonii” — Ryszard Słowikowski.
- „Jest ksiądz, gdzie parafia?” — Elżbieta Lenkiewicz.
- „Nie pozwolimy okradać Seniorów!” — Jerzy Uranowski.
- „Żądamy księdza katolickiego” — Krystyna Sabik.
- „Dość zbierania majątku na biedakach” — Halina Szlachetka.
- „Siódme — nie kradnij” — Andrzej Markiewicz.
- „Na co idą pieniądze ze składek członkowskich?” — Modrzejowska.
- „Chcemy budować Polonię, a nie niszczyć” — Beata Dziewulska.
- „Dość obelżywych słów na pracowników” — Sabina Złotogórska.
- „Chcemy Dyrekcji, a nie kliki w CPS” — Roman Krupa.
- „Bronić emigrantów, a nie deportować” — Elżbieta Bachula.
- „Żądamy uczciwego dyrektora PSC” — Tomasz Goetzen.

Może i dobrze, że nie byłem obecny wówczas, podczas tej parodii „demonstracji”. Nie kierowali się przecież ci ludzie żadnym konkretnym, dobrym celem, ani też nie mieli żadnych dowodów, by posunąć się aż do takich oszczerstw. Celem było jedynie złośliwe zniesławienie mnie i zarządu Centrum. Dla osiągnięcia zamierzonego celu zbuntowani nie mogli przecież skorzystać z pomocy przechodniów na ulicy. Do tego konieczne było specjalne zebranie członków Centrum, które po rozpatrzeniu skarg i udowodnieniu winy byłoby władne usunąć mnie i zarząd ze stanowisk. Można było ewentualnie to osiągnąć żądając zwołania takiego zebrania, bez uciekania się do zniesławiania mnie i zarządu wobec amerykańskiego społeczeństwa.

Po tych wystąpieniach zbuntowanych pracowników i studentów CETA przypomniały mi się ostrzeżenia agentów FBI, którzy w kilka tygodni po zaangażowaniu tych dwóch grup zjawili się u mnie. Pokazali mi oni kilka

zdjęć i wymienili mi ich imiona i nazwiska. Byłem tym zdziwiony i zapytałem, skąd ich znają?

— „Znamy ich dobrze. To są ludzie przystani. Obawiamy się, że Ojciec będzie miał z nimi poważne kłopoty. Proszę być ostrożnym”. Odpowiedziałem, że przecież Centrum niesie pomoc wszystkim i jest intuycją społeczną, a nie organizacją polityczną, więc nie widzę powodu by tych ludzi bać się. Wyraziłem także do nich żal, że nie poinformowali mnie o tym przedtem, zanim ich do pracy przyjąłem. Mogli przecież mnie uprzedzić. Na to jeden z nich odrzekł, że im łatwiej jest tych ludzi obserwować, kiedy są w jednym miejscu...

Dla ścisłości pragnę dodać, że nazwiska tych nie figurują wśród demonstrantów, choć byli sprawcami, to jednak w czasie tej demonstracji pełnili rolę „aniołów stróżów”.

Większość pracowników Centrum rozumiała jednak, jaką krzywdę wyrządzili zbuntowani w stosunku do mnie, do Centrum i wobec całej Polonii. Okazywali oni jawną niechęć wobec zbuntowanych, którzy w sobotę demonstrowali, a w poniedziałek, z szyderczymi uśmieszkami, zjawili się w pracy. Lojalni pracownicy Centrum powitali ich rysunkami z napisem: „Polskie kundły na usługach wrogów Polonii” oraz „Zbrodniarze wracają na miejsce zbrodni”.

Artysta-rzeźbiarz, Andrzej Pityński, o gorącej polskiej krwi, zwrócił się wówczas do pracowników:

— „Proszę państwa, proponuję aby ci, którzy chcą dobra Centrum, zorganizowali się w pracowniczy komitet obrony Centrum Polsko-Słowiańskiego i programu CETA. Kto chce to zrobić, proszę tu pozostać, a kto nie — proszę wyjść. Pracowałem z Włochami, pracowałem z Murzynami, ale nikt by tego nie zrobił, co wyście tutaj zrobili. Człowieka może krew zalać. To, co ksiądz dla nas zrobił, tego nikt nie zrobił i nie zrobi... i ani pan Wołotowski, ani pan Markiewicz go nam tu nie zastąpi...” Większość zaczęła krzyżeć: „Wyjść, wyjść...!” Oczywiście, że w takich warunkach dalej nie można było pracować. Wytworzyły się dwa przeciwne obozy. Konieczna była natychmiastowa reakcja ze strony zarządu Centrum, aby nie pozwolić na dalsze rozwinięcie się tej choroby. Trzeba było „wrzód przeciąć w zarodku”. Radziłem więc, by zarząd porozmawiał z każdym pracownikiem, wyrobił sobie zdanie i podjął decyzję w odniesieniu do każdego z nich, kogo pozostawić, a kogo usunąć. Zamiast tego poradzono, aby ks. Altmajer opracował nawet specjalny kwestionariusz, który zarząd zatwierdził i wysłał do zbuntowanych pracowników, lecz ci podjęli natychmiast uchwałę zignorowania tego kwestionariusza i zaledwie dwie osoby nań odpowiedziały.

Byłem przeciwny zwołania ogólnego zebrania pracowników, wiedząc,

że zarząd sobie z nimi nie poradzi, przez co tylko zaogni sprawę i wskutek swej nieznamości wewnętrznych problemów tego zespołu doprowadzi jedynie do obniżenia swego autorytetu. Niestety, zostałem przegłosowany. Zgodnie z moimi przewidywaniami, zebranie nie dało żadnego rezultatu. Zarząd stracił wiele ze swego autorytetu, gdyż bał się podjąć jakąkolwiek decyzję. Prezesem był wówczas Mieczysław Przybyłowski, który nie należał jeszcze wtedy do spółki Nowego Dziennika, bał się więc cokolwiek zdecydować nie mając silnego poparcia z zewnątrz. Nie zdecydowano się nawet na zwołanie specjalnego zebrania członków Centrum, które mogło by spór jakoś rozstrzygnąć. Odwlekano podjęcie jakichkolwiek kroków od marca aż do sierpnia. Musiałem pracować w absolutnie nieznosnych warunkach. Zbuntowani pracownicy pozostawali nadal w pracy, ale zajmowali się głównie pisaniem donosów. Najwięcej paszkwili pisał i drukował w swoim piśmie „Tydzień” Jerzy Myssura. Wreszcie wymyślono półśrodek w postaci zwołania przedstawicieli różnych organizacji polonijnych, aby powołać specjalną komisję obywatelską. Zebranie odbyło się 5 sierpnia 1976 roku z udziałem około 60 przedstawicieli polonijnego świata. Sukces nie lada, gdyż porzybyło więcej ludzi, aniżeli na zebrania Kongresu Polonii Amerykańskiej. Zabrakło jedynie przedstawicieli Nowego Dziennika i tegoż KPA. Zebranie to nie dało żadnych konkretnych rezultatów, poza faktem, że Centrum, które dotąd wyrobiło sobie opinię silnej grupy polskiej, stało się obiektem ignorowania przez polityków amerykańskich. Polityk, gdy tylko zorientuje się, że wewnątrz jakiejś grupy są wewnętrzne tarcia, odsuwa się, odmawia swego poparcia, gdyż boi się narazić własną opinię w oczach wyborców. A sprawa przestała być już wewnętrzną sprawą Polaków w Centrum.

Zbuntowani odbywali swoje zebrania w koordynującej program CETA School Settlement Association. Sytuacja stawała się żenująca i trudna do opanowania. Miasto wstrzymało fundusze na żywność dla programu seniorów oraz płacenie rachunków i poborów dla pracowników. Ryzykując, pokrywałem wiele wydatków z własnych funduszy i z funduszy Centrum. Nastąpiła kontrola z trzech różnych szczebli, która trwała długo i przetrząsała nawet moje prywatne rachunki. Nad Centrum nadciągnęły wówczas prawdziwie ciemne chmury. Potrzebna była pomoc ze strony spółki Nowego Dziennika i innych działaczy, lecz tej nie było. Przeciwnie, niektórzy z nich zwalczali członków Komisji Obywatelskiej, która została powołana celem wykazania prawdy wobec Polonii. Antagonizowano niektórych jej członków do tego stopnia, że rezygnowali z działu w jej pracach. Niektórzy jednak nie rezygnowali i pracowali ciężko do końca, jak na przykład Józef Basiaga i Andrzej Sankowski, mimo potwornych szykan ze strony Konikowskiego i Kaleniaka. Dzięki ich wytrwałości Komisja do-

szła do sedna sprawy i stwierdziła to samo zresztą, co i kontrolerzy z trzech szczebli administracyjnych. Stwierdzono bowiem, że w Centrum nie było żadnych nadużyć, poza tzw. konfliktem interesów, polegającym na tym, że byłem jednocześnie właścicielem domu, w którym Centrum wynajmowało lokal. Dom został więc, jak już wspomniałem w innym miejscu, natychmiast sprzedany, aby ten konflikt interesów usunąć.

Rezultat, dzięki Bogu, był taki, że przywrócono nam wstrzymane fundusze i obdarzono Centrum nowymi programami.

Tymczasem jednak wojna toczyła się dalej.

Koordinator De Vito, na zebraniu 30 czerwca 1976, w roli oskarżyciela posadził nasze pracowniczki: Dolores Gregorek, Elżbietę Lenkiewicz, Sabinę Złotogórką, Elżbietę Bahulę, Halinę Link-Długołęcką, Teresę Grymińską i Krystynę Ostrowską.

O tej ostatniej warto wspomnieć, że złożyła podanie o pracę w programie CETA 28 kwietnia 1975, przyznając, że uczęszcza do Fashion Institute of Technology. Była więc w Centrum tylko parę razy po kilka godzin, ale podpisała listę obecności niezgodnie z prawdą. Gdy zwróciłem jej uwagę, naubliżała mi przy świadkach. Po kilku dniach odeszła z pracy. Centrum wskutek tego straciło jeden etat, gdyż na jej miejsce nie wolno było przyjąć innej osoby. Teraz, po roku nieobecności w pracy, w rok po odejściu, Krystyna Ostrowska skorzystała z okazji i raz jeszcze obrzuca mnie i zarząd Centrum błotem, tym razem wobec obcych. A przecież, Bóg mi świadkiem, czyniłem wszystko, co leżało w moich możliwościach, by ulżyć doli tych ludzi. Jakże litowałem się nad obarczonymi dziećmi pp. Goetzenami, córkę i matkę Halinę Link-Długołęcką przyjąłem do pracy, aby potem mieć w nich najbardziej zażartych wrogów.

Zebrani w School Settlement doszli do wniosku, że zarzuty streszczają się do wadliwego rozwiązywania problemów personalnych. Złośliwość oskarżycieli była dla wszystkich aż nazbyt jasno widoczna. Radny miejski, A. Gerges przedstawił wniosek, by skargi skierować na właściwe tory, a zebranie niech się zajmie istotą sprawy. Musiano więc wysłuchać i drugą stronę.

Postawiliśmy zarzut, że umowa z Centrum odnośnie wykonania programu CETA została zerwana w sposób tajemniczy, bez zachowania odpowiedniego okresu wypowiedzenia, oraz, że koordinator De Vito uniemożliwił nam wykonanie pracy, uważając siebie za specjalistę w sprawach życia społecznego Polonii. Zarzucaliśmy także, że obiecywał on tym zbuntowanym pracownikom dalsze zatrudnienie po ich zwolnieniu z budżetu, podpisanego przez Centrum, ale którym Centrum nie rozporządza, oraz narzucanie nam łącznika, który dla właściwego sprawowania swej funkcji musi mieć zaufanie obu stron.

W sądzie te argumenty miałyby swoją wagę i znaczenie, ale nie w rozgrywkach administracyjnych, gdzie górę bierze strona silniejsza. Nam nasze wewnętrzne rozdarcie oczywiście zaszkodziło. Na pewien czas straciliśmy poparcie polityków amerykańskich, a ze strony „leaderów” polskiego środowiska pełnym poparciem nie cieszyliśmy się i to zresztą od początku. Radny Gerges zaproponował więc rozwiązanie kompromisowe. „Dotychczasowi pracownicy CETA pozostaną na dotychczasowych stanowiskach w Centrum, a niezadowoleni z tego mogą przejść do innych agencji pod zarządem De Vito. Nadto obie strony wyznaczą po kilka osób celem powołania komisji, która ustali faktyczne przyczyny nieporozumień i określi warunki dalszej współpracy pomiędzy School Settlement Association a Centrum, na podstawie których zawarta zostanie nowa umowa. Do czasu ukończenia prac tej komisji obie strony powstrzymają się od wszelkich antagonistycznych akcji”.

Po dyskusji De Vito powiedział, że po wygaśnięciu obecnego kontraktu, od października 1976, zostanie zawarta nowa umowa z Centrum. Wszyscy w to uwierzyli, tylko nie ja. Znałem tego człowieka zbyt dobrze. Wiedziałem, że słowa nie dotrzyma. Chciał tylko dobrze wypaść w oczach obecnych przedstawicieli władz.

Podczas przerwy gorąco namawiałem nasz zarząd, by zażądano od niego tego przyrzeczenia na piśmie. Uważano, że nie wypada, że trzeba mu wierzyć. Wkrótce jednak okazało się jak dalece miałem rację. Już 12 lipca De Vito napisał do prezesa zarządu Centrum, że „koalicja nie zgadza się na powołanie dwustronnej komisji do zbadania zarzutów i wyświetlenia faktów. Była to tylko propozycja Centrum”.

Znów odbyło się kilka zebrań, które niewiele wyjaśniły, a tym bardziej nie pomogły rozwikłać sytuacji. Zbuntowani pracownicy Centrum nie zdawali sobie chyba nawet sprawy z tego, jak bardzo zaszkadzili swoim postępowaniem. Zaszkadzili przecież nie tylko mnie osobiście, czy ludziom z zarządu Centrum, lecz wyrządzili dotkliwą szkodę tym kilkudziesięciu ludziom, potrzebującym pomocy i ich rodzinom, którzy utracili możliwość dobrego zarobkowania pracującym w Centrum.

Sprawę można by oczywiście wygrać, ale trzeba by iść z nią do sądu, co wymaga ogromnego nakładu pracy, czasu, wysiłków i pieniędzy.

Wreszcie, zamiast kontraktu z Centrum, De Vito zgodził się na zatrzymanie pracowników CETA, którzy zechcą nadal pracować w Centrum, z tym że będą oni podpisywać listę obecności w Centrum lecz uważani będą za pracowników Greenpoint Cultural Society. Była to hańba dla nas, i choć wyrządzona przez obcych, to spowodowana jednak przez swoich. Musieliśmy te warunki przyjąć, aby jakoś naszą pracę społeczną kontynuować. Po odejściu zbuntowanych cały ciężar pracy spadł na

pozostałych pracowników Centrum, a ja i lojalni pracownicy wiemy najlepiej, ile ponieśliśmy upokorzeń i przykrości, oraz dyskryminacji ze strony obcej, fikcyjnej organizacji, nie mającej ani członków, ani prawdziwego zarządu. Mówili mi redaktorzy i właściciele Greenpoint Gazette, o tej organizacji Greenpoint Cultural Society, kierowanej przez Marię Finley. Kiedy tylko zabrakło funduszy z programu Ceta, to całe towarzystwo rozleciało się i ślad nawet po nich nie pozostał, podobnie jak i po wielu innych organizacjach byłej Koalicji Greenpoint-Williamsburg, którą De Vito zasłaniał się aż do momentu, kiedy władze orzekły, że ta Koalicja nie ma prawa decydowania o niczym. Stronami kontraktu były bowiem Centrum i School Settlement, a nie Koalicja.

Część tych naszych zbuntowanych pracowników, siedziała prawie beczynnym w domu Słowikowskiego przy Calyer Street, ale nazwała się organizacją „People for People” i korzystała z państwowych funduszy, lecz nie zdołała stworzyć dla siebie jakiegś bazy trwałego istnienia i działania dla dobra biednych i potrzebujących. W szkalujących Centrum artykułach nazywali siebie „wielce zdolnymi i wykształconymi”. Im tylko ksiądz Tołczyk przeszkadzał wraz z zarządem Centrum. Sami jednak niczym konkretnym nie wykazali się i znikli z powierzchni Greenpointu wraz z innymi organizacjami, które jedynie żerowały na państwowych subwencjach. Dla pełniejszego obrazu warto podać tu odpowiedź lojalnych pracowników.

ODPOWIEDŹ LOJALNYCH PRACOWNIKÓW

W „Greenpoint Gazette” z dnia 21 lipca 1976 grupa byłych pracowników i studentów Centrum z programu CETA, która przyjęła następnie nazwę „People for People”, zamieściła artykuł zawierający szereg zdań kłamliwych, wręcz oszczerczych. Wymaga to sprostowania, jeśli czytelnik ma wyrobić sobie obiektywny sąd o faktach.

Wiadomo, że człowiek skłócony z miejscem pracy będzie przedstawiał kwestie sporne subiektywnie, jednostronnie, a każdy fakt będzie tłumaczył jako krzywdę wyrządzoną jego osobie. Tymczasem prawda zwykle tkwi po środku.

W artykule tym twierdzi się, że pracownicy Centrum byli zmuszani do pracy przy składaniu Informatora Społecznego, odrywając ich w ten sposób od załatwiania interesantów. Jest to zwykle oszczerstwo. Nikogo, kto załatwiał interesanta nie zmuszano do składania pisma. Składali ci, którzy w danej chwili nie mieli żadnego zajęcia. Warto też dodać, że Informator Społeczny jest oficjalnym organem Centrum, zawierającym w każ-

dym numerze dział porad społecznych, wiadomości z życia i pracy Centrum, informacje o działalności Klubu Seniorów Krakus i plany działalności społeczno-kulturalnej. Stanowi więc on ważny środek łączności z członkami Centrum, rozszanymi po całej metropolii nowojorskiej i poza nią. Cóż to więc za przestępstwo, jeśli wykonuje się tak potrzebną pracę społeczną? Nie wiedzieliśmy, że byliście nietykalnymi hrabiami. Nikt, kto naprawdę pracował, nie był odrywany od pracy. I wy dobrze o tym wiecie.

Dziwne, że nie widzicie żadnych nadużyć ze swojej strony, choć wiadomo, że były. Fałszowaliście listy obecności, wpisywaliście fikcyjne wyjścia na miasto itp. O tym, jak wyglądało przykładanie się do pracy niektórych studentów, świadczy fakt, że z liczby dwudziestu kilku posłanych przez Centrum na studia skończyło tylko kilka osób. Reszta musiała opuścić szkołę.

Nie róbcie z siebie aniołów, bo nikt z nas skrzydeł nie ma.

Wielkim oszczerstwem są Wasze słowa, że klient był na ostatnim miejscu. Chyba w Waszej pracy. My o sobie nie możemy tego powiedzieć. Ilość spraw załatwianych w naszym Centrum codziennie, świadczy o czymś zupełnie innym i jest najlepszym argumentem przeciwko Waszym oszczerstwom. To, co mówicie o wypełnianiu rzekomo zbędnych papierków, świadczy przeciwko Wam. Po pierwsze, jest to jedyny sposób sprawdzenia, czy wyjście na miasto w jakiejś sprawie było rzeczywiste, czy też fikcyjne. A po drugie, nie był to wymysł Centrum, lecz wyraźny nakaz władz miejskich, gdyż każda sprawa musi być odnotowana w aktach i Wy o tym dobrze wiecie.

Jednym z największych oszczerstw przeczytanych w Waszym artykule, to zarzut rzekomych nadużyć finansowych. Prosimy to kłamstwo udowodnić. Ublżacie tym samym miejskim kontrolerom, którzy podczas regularnie przeprowadzanych inspekcji nie stwierdzają żadnych nadużyć finansowych, lecz piszą w swych sprawozdaniach, że wszystko jest w najlepszym porządku.

Domyślamy się jednak, dlaczego rzuciliście to oszczerstwo. Oto chcecie dyskredytować Centrum w opinii publicznej, aby fundusze przydzielono Wam, a odebrano Centrum. Droga do uzyskania funduszy wiedzie jednak nie przez oszczerstwa, ale przez solidną pracę.

Piszecie dalej w swym oszczerczym artykule, że Ks. Tołczyk i Zarząd Centrum nie wiedzą, co to znaczy służyć społeczeństwu. Tak mogą mówić tylko ludzie ślepi, albo pełni nienawiści.

Zapytamy Was tylko jedno, odpowiedź na to pytanie będzie zarazem odpowiedzią na Wasze oszczerstwa. Komu zawdzięczacie pracę i studia? Co zrobiliście Wy dla Polish Community? Co zrobił Ks. Tołczyk, to wszyscy wiedzą i udawadniać nie potrzeba. Wy sami z tego korzystacie do dzisiaj.

Wychodzicie pewne z założenia, że jeżeli fakty przeczą teorii, to tym gorzej dla faktów. Zbyt grubymi nićmi to szyte, by nie można było domysleć się, że chodzi Wam o rozbitcie Centrum i dla tego celu każdy chwyt uważacie za dozwolony.

Z tych właśnie powodów ubliżacie Księdzu Tołczykowi, odmawiając Mu wbrew oczywistym faktom nawet tytułu Księdza. Dajecie temu wyraz w gazecie. Wiemy natomiast, że dla wielu z Was Kościół i parafia nie mają w życiu osobistym żadnego znaczenia. Tym sposobem nie buduje się Community, choć podajecie siebie za ekspertów w tej dziedzinie.

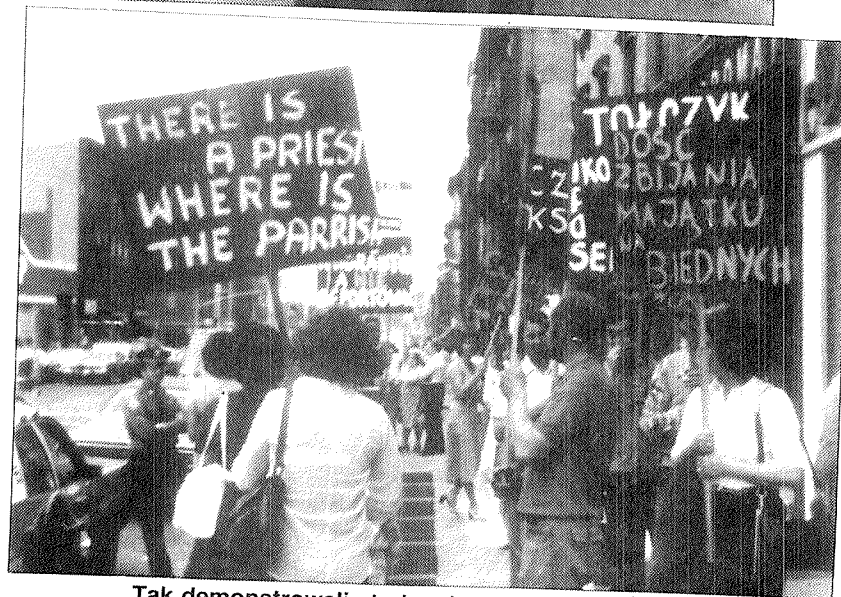
Kończąc życzylibyśmy Wam, abyście nie oszczerstwem lecz czynem udowadniali swoją rację, bo droga oszczerstw i insynuacji jaką wybraliście nie prowadzi do nikąd, a właściwie prowadzi do jednego: do rozbitcia Polonii i do utraty dotychczasowego, skromnego stanu posiadania. A na tym pewnym ludziom bardzo zależy.

Pracownicy Centrum
Polsko-Słowiańskiego

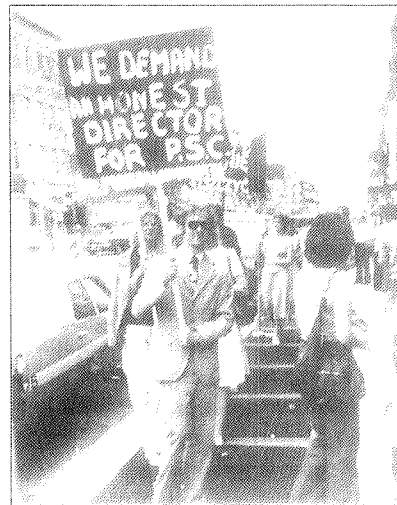
W tej byłej Koalicji, obok włoskiego działacza Canio De Vito, największą rolę odgrywała Marie Finley. W pierwszym rzucie uzyskała dla swego Greenpoint Cultural Society ponad 200 tysięcy dolarów. Była jedną z tych, którzy pierwsi głosowali, aby Centrum nasze usunąć z umowy. Sądzieli oni wówczas jeszcze, że jeśli uda im się Polaków wyrzucić, to sami skorzystają z przyznanych funduszy i obsadzić istniejące etaty swoimi ludźmi. Później okazało się to niemożliwe, a nasi domorośli "rozrabiacze", jako element niepewny, bez znajomości języka angielskiego, okazali się oczywiście dla obcych organizacji nieprzydatni.

Punktem kulminacyjnym było zebranie w School Settlement Association w dniu 1 lipca 1976 r., kiedy pod groźbą zwolnienia z pracy zwołano wszystkich pracowników CETA i po nakłanianiu do opuszczenia Centrum obcy polecili im siadać „po prawicy i po lewicy” decydując w ten sposób, kto chce odejść z pracy w Centrum. Była to dla Polaków rzeczywista potwarz. Wszyscy zaniemówili. Jedni patrzyli na drugich. Nastąpiła chwila sądu sumienia. Trudno było im o tego pierwszego, który by zdecydował się usiąść "po lewicy". I oto widzimy najstarszą wiekiem, wyniesioną przeze mnie do godności kierowniczej, Ewę Konikowską, jak swoim przykładem pociąga za sobą niezdecydowanych i oszołomionych. Nie wypadało tego uczynić księdzu Edwardowi Wawerskiemu, ale De Vito postarał się i o jego udział w grupie tych, co "wybrali wolność" i przeszli do pracy pod wodzą Ewy Konikowskiej.

Był to najciemniejszy dzień w historii Centrum Polsko-Słowiańskiego.



Tak demonstrowali studenci zatrudnieni w CETA



Bunt pracowników CETA i studentów
(zdjęcia z demonstracji)

19. FILIE CENTRUM

Po sławetnej manifestacji Polonii przeciwko miastu o równouprawienie Polaków i Słowian, w drugiej połowie 1974 roku Centrum otrzymało pierwsze fundusze miejskie na programy społeczne. A już 2 stycznia 1975 roku uruchomiliśmy filię na Manhattanie.

Sytuacja wydawała się wówczas dla Polonii korzystna i dlatego z lekkim sercem podjąłem ryzyko otworzenia drugiego biura Centrum. Filia miała być dodatkowym argumentem, aby domagać się zwiększenia funduszy na nowe programy społecznej działalności dla Polonii nie tylko w dzielnicach Greenpoint, lecz także na Manhattanie, w South Brooklynie, czy w innych skupiskach polonijnych w Nowym Jorku.

Dla osiągnięcia tego celu konieczne było utworzenie lokalnego zjednoczenia polonijnych organizacji. Władze liczą się tylko z siłą, a tą siłą trzeba pokazać nie tylko drogą masowych demonstracji i domagania się równych praw i przywilejów dla naszej grupy etnicznej, lecz również w postaci solidarnego wystąpienia większości miejscowych organizacji. Wynajmując lokal w Domu Żołnierza przy Irving Place 17, na Manhattanie, gdzie miał swoją siedzibę szereg polskich organizacji, stwarzaliśmy taką szansę zjednoczenia.

Napotkaliśmy jednak na wiele trudności.

Zaczęło się od sprawy zbyt biurokratycznego potraktowania przez władze miejskie faktu naszego pojawienia się na Manhattanie. Uznano, że skoro fundusze na działalność społeczną przyznano dla dzielnicy Greenpoint, to nie wolno nam pracowników Centrum zatrudniać w filii na Manhattanie. Trzeba było sporo różnych zabiegów, by wreszcie wyjaśnić, że staramy się jedynie nadażyć za potrzebami społecznymi. Filię Centrum na Manhattanie oparłem więc głównie na weterańskiej organizacji SWAP. Celem powiązania SWAP z Centrum zatrudniłem tam niezastąpionego redaktora Józefa Dubickiego, weterana pisującego w Nowym Dzienniku. Red. Dubicki propagował ideę Centrum nie tylko w gazecie, ale i na wszelkich zebraniach publicznych i na zebraniach różnych organizacji.

Po zwolnieniu się red. Dubickiego kierownikiem filii na Manhattanie został Eugeniusz Witt, zasłużony weteran. Później przydzieliłem mu grupę zatrudnionych z funduszu CETA, na czele z p. Konikowską, żoną adiutanta

gen. Zbigniewa Konikowskiego, który był właściwie panem i władcą całego Domu Żołnierza. Sądziłem, że w takich okolicznościach Centrum będzie miało zapewnioną współpracę ze SWAP, a także możliwość utworzenia szerszej koalicji wszystkich organizacji mających swą siedzibę w tym Domu. Szczególnie zależało mi na nowojorskim oddziale Kongresu Polonii Amerykańskiej. Dopóki prezesem tego oddziału był Bolesław Wojewódka, to Centrum miało zapewnione poparcie. Pan Wojewódka był wielkim zwolennikiem i przyjacielem Centrum. Wyjechał jednak do Pennsylvanii, a stosunek jego następców, Stanisława Rzetelskiego i innych, był bardziej niż oziębły.

Czyniłem wszystko możliwe, aby stosunki pomiędzy Centrum a lokalnym KPA poprawić. Wizytując nasze biuro na Manhattanie spotykałem się z ważniejszymi działaczami na naradach w Domu Żołnierza, lub w przyległym barze, służącym jako nieoficjalne miejsce spotkań.

Efekt moich starań był taki, że zostałem wybrany prezesem sekcji społecznej KPA. Stanowisko to otwierało mi drogę do dalszych starań o zjednoczenie wysiłków Polonii, z czego natychmiast usiłowałem skorzystać. Prezes sekcji społecznej KPA — to brzmiało dumnie. Ale, aby moja radość nie była zbyt wielka, dodano mi wiceprezeskę sekcji, spośród swoich zaufanych. Nie byłoby w tym nic złego, gdyby nie przykry fakt, że ta właśnie kobieta, jak na ironię trudniła się „kwaterowaniem” nowoprzybyłych: w nieznośnych warunkach, tłocząc tych biednych ludzi do małych pokojków w swych domach i każąc sobie słono płacić za każde „łóżko”. Wielu naszych rodaków do dziś ją wspomina z bólem serca. A ja tymczasem protestować nie mogłem.

Na pierwszym zebraniu — milczałem. Na drugim zebraniu zarządu nowojorskiego oddziału KPA zabrałem jednak głos i przedstawiłem plany działania sekcji społecznej. Sugerowałem jej rozbudowanie w taki sposób, by w każdej organizacji należącej do KPA był członek naszej sekcji społecznej w zarządzie danej organizacji, by te wybrali spośród swych zarządów lub członków specjalnego przedstawiciela, który by przychodził do Domu Żołnierza lub do Centrum na miesięczne zebrania sekcji społecznej, dzięki czemu KPA uzyskałby wpływ na działalność społeczną.

Rozpoczęły się debaty, że to niepotrzebne, gdyż są delegaci polityczni, to innych nie trzeba. Zgodziłem się, podsuwając myśl, że wobec tego ci sami delegaci mogą być także delegatami do sekcji społecznej. Im bardziej ustabilizowany skład, tym lepiej.

Ale i ta propozycja ówczesnym władcom KPA, na czele ze Stanisławem Rzetelskim, nie odpowiadała. Zanim głośno zaczęto na ten temat rozmawiać, zwróciłem się po przyjacielsku do wiceprezesa KPA Zbigniewa Konikowskiego z prośbą, że to przecież nasza wspólna sprawa by wzmo-

nić tu filię i otworzyć dalsze programy, niech więc postawi formalny wniosek do przegłosowania. „Ja nie mogę. Oni tego nie chcą”.

Taką otrzymałem odpowiedź i pomoc od szefa Weteranów, mimo iż SWAP otrzymywał czynsz za lokal naszej filii, a żona szefa miała dobrą pensję pracując w Centrum...

Innym razem poprosiłem o adresy organizacji należących do KPA w metropolii nowojorskiej. Były mi potrzebne, gdyż na wielu zebraniach miejskich przedstawiciele innych grup etnicznych zawsze szafowali ilością swych organizacji i ich członków. Odpowiedziano mi, że KPA dopiero porządkuje te adresy, wobec czego dać mi ich nie może.

Na następne zebrania zarządu KPA już mnie nie zapraszano. Kiedy odważyłem się dopominać o udział w tych zebraniach, powiedziano mi, że teraz odbywają się tylko zamknięte zebrania kilku członków ścisłego zarządu... i tak skończyła się moja działalność społeczna przy nowojorskim oddziale KPA.

Na najbliższe walne zebranie członkowskie KPA zarząd KPA przygotował się należycie. Obawiał się najwidoczniej, że Centrum przejmie wpływy, czy też odbierze im inicjatywę, a może i władzę, wobec czego prezesa Centrum, Mieczysława Przybyłowskiego, oraz wiceprezesa, mec. dra Antoniego Czarlińskiego, po prostu... wyproszono za drzwi, gdy tylko się zjawili. Oczywiście Przybyłowski nie należał wtedy jeszcze do spółki Nowego Dziennika i był lojalny w stosunku do Centrum i do mnie. Jedną z najgorszych naszych wad — zazdrość — uniemożliwiła dobrą robotę. Ciągłe słyszałem, szeptałem za plecami, pytanie: „Dlaczego Centrum otrzymuje pieniądze od władz miejskich? Nowa organizacja, a już dostaje dotacje. A nasza istnieje tyle lat i nic...”. Zazdrość ta ujawniła się wreszcie na jednym z zebrań KPA, kiedy przedstawiciel jednej z większych organizacji, W. Krusz, powiedział wprost: „Wtedy zapanuje w naszych organizacjach wzajemne zrozumienie i zniknie zazdrość, i będziemy wszyscy razem pracować, kiedy pieniądze otrzymywane od miasta przez Centrum będą szły do równego podziału dla wszystkich organizacji...”

Słyszając to rozumiałem wreszcie, że ci ludzie zupełnie nie rozumieją podstawowych założeń programów fundowanych przez władze i nie mają pojęcia o tym, że budżet jest tak kontrolowany, że niemożliwe jest ani jego zmienianie, ani przekraczanie. Zgodnie z umową, Centrum jest tylko kompensowane za wykonane, określone prace. O żadnych podziałach mowy być nawet nie mogło. Trzeba było im te sprawy wielokrotnie tłumaczyć, ale na złą wolę i upór lekarstwa nie ma.

W żaden sposób naszej nowej organizacji, do której należeli w większości nowoprzybyli, nie udało się wejść w łaski zasiedziały przez zesów.



Dowód zamknięcia filii CPS przez adiutanta Zbigniewa Konikowskiego i kolegów

Oczekiwania i nadzieje zawiodły. Ani SWAP ani KPA nie zamierzały nam pomóc w zjednoczeniu sił polonijnych, choćby tylko na polu tak potrzebnej działalności społecznej.

Przeciwnie. W roku 1976, kiedy mieliśmy najwięcej roboty w związku z obchodami Dwustulecia USA, w naszym własnym biurze, w filii Centrum w Domu Żołnierza, odbywały się liczne zebrania przeciwko mojej osobie. Spisek był prosty w swym założeniu, ale dla mnie był zupełnym zaskoczeniem. Główną rolę odegrała w nim bowiem Ewa Konikowska, zatrudniona przecież przeze mnie. Mój plan zjednania sobie SWAPu odwrócił się przeciwko mnie...

Cel był prosty: uniezależnić filię od Centrum i poddać ją nieograniczonej władzy ze strony małżeństwa Konikowskich. Pani Konikowska wystawiała opinie studentom zatrudnianych z funduszy programu CETA, dzięki czemu miała przemożny wpływ na pracowników filii i grupę studentów. Udało im się oderwać tę grupę studentów od Centrum. Na tym jednak nie koniec.

Nagle okazało się, że Eugeniusz Witt także przestał być lojalny. Stał po stronie Konikowskich. Zjawił się u mnie i przypomniał, że Centrum zalega 360 dolarów za czynsz SWAPowi. Natychmiast zwróciłem uwagę księgowemu, że nie powinien być do tego dopuścić. Czek został natychmiast wysłany. Nie wiedziałem jednak jeszcze, dlaczego Witt przyszedł do mnie z takim posłannictwem.

Okazało się, że spisek był już gotowy. Otrzymałem pismo: „Z wielką przykrością zawiadamiamy o zerwaniu umowy dotyczącej wynajęcia lokalu w Domu Żołnierza przy 17 Irving Place, w Nowym Jorku... Za Zarząd 2-go Okręgu SWAP: E. Kaleniak, R.A. Szlosowski...” A oto, co na ten temat pisała „Straż” organ Kościoła Narodowego — z dn. 19 sierpnia 1976 r.

„Na zebraniu obywatelskim w sprawie Centrum Polsko-Słowiańskiego w Brooklynie wyjawiono, że największymi przeciwnikami tej pożytecznej placówki są niezadowoleni Polacy, których działacze z innych grup etnicznych używają do szkodenia Centrum.

I tak działacz włoski, któremu nie podoba się dyrektor wykonawczy Centrum Polsko-Słowiańskiego, ks. L. Tolczyk, zwrócił się m.in. do dwóch organizacji polonijnych o współpracę w rozbiciu Centrum, proponując by ona zainicjowała pewne programy prowadzone już przez Centrum, oraz obiecując wszelkiego rodzaju pomoc w tej sprawie. Organizacjami tymi są: Fundacja Kościuszkowska i Stowarzyszenie Weteranów Armii Polskiej. Prezes Fundacji, dr Kusielewicz, odrzucił z pogardą propozycję Włocha, oświadczając, że nie przyłoży ręki do rozbijania istniejącej polonijnej organizacji. Natomiast adiutant generalny (sekretarz) SWAPu, p. Konikowski, poszedł Włochowi na rękę i doprowadził do zamknięcia

oddziału Centrum w Domu Żołnierza, a w nagrodę dostał to, że jego żona, która początkowo pracowała w Centrum, dostała od Włocha posadę społeczną, dającą jej ponad 10 tysięcy dolarów rocznie.

Zebrani jednogłośnie uchwalili udzielić ks. Tolczykowi całkowitego poparcia w jego pracy społecznej”.

Ta wielka i zasłużona organizacja zniszczyła filię Centrum w ledwie półtora roku od jej założenia. Był to chyba pierwszy wielki krok, zmierzający do osłabienia i rozbicia Centrum. Z trudem odzyskaliśmy meble. Dokumentacja biura nigdy nam zwrócona nie została przez Konikowską. Za ten niecny czyn oczywiście nie można potępiać całej organizacji, ani tym bardziej zacnych weteranów. Osoby posłuszne Konikowskiemu posłużyły się co prawda papierem firmowym SWAP. Brać weterańska o tym nie wiedziała. Nikt nie miał zamiaru ich informować. Komendant Józef Basiaga wysłuchał całą sprawę na posiedzeniu Komisji Obywatelskiej i oświadczył, że „zarząd” SWAP działał bez upoważnienia.

Sprawcy zlikwidowania filii Centrum na Manhattanie musieli jakoś zamaskować swoje cele. Nawiązali współpracę z Mary Finley, wrogo nastawioną do Centrum i rządzącą nie polską organizacją tzw. „Greenpoint Cultural Society”. Naszą filię przemianowano na Biuro Opieki Społecznej Polish Veterans and Greenpoint Cultural Society”, prowadzono działalność dalej, ale tylko do czasu, dopóki były fundusze z programu CETA.

* * *

Wobec palących potrzeb społecznych Polonii także i w innych skupiskach, poza Greenpointem i Manhattanem, uznaliśmy za celowe uruchomienie filii Centrum w dzielnicy South Brooklyn. I tym razem, mając na celu współpracę z innymi organizacjami, zwróciłem się o udzielenie nam jednego pokoju w ogromnym budynku Prospect Hall, przy 263 Prospect Avenue.

W tym budynku odbywały się zebrania wszystkich organizacji z terenu Południowego Brooklynu, skupiając od lat w swych wielkich salach całe życie polonijne tej dzielnicy. Znałem ją zresztą z lat 1962-67, kiedy pracowałem w parafii Matki Bożej Częstochowskiej. Znajomości z dawnych czasów nie na wiele jednak się przydały. Praca w kościele miała inny charakter: ludzie sami od lat tam chodzili. Pomoc socjalna dla Polonii była tym ludziom sprawą zupełnie nieznaną. Polacy pomagali tu jedni drugim, lecz głównie swym krewnym. Kto nie miał bliskich lub litościwych znajomych, ten z konieczności biedę cierpiał, bo nikt nimi się nie interesował. Dopiero od momentu utworzenia przeze mnie Centrum Polonia dowiedziała się, że można uzyskać pomoc od władz, a nawet od Diecezji.

Wydaje się, że tylko dzięki działalności Centrum, polonijni księża zdołali tą pomoc od Diecezji uzyskać i założyć biuro Catholic Immigration Service przy Bedford Avenue na Greenpoincie. Niestety, biuro to ma tylko jednego pracownika, co nie jest zbyt wiele w stosunku do potrzeb nowoprzybyłych. Uruchomiliśmy więc tą nową filię dzięki przychylności znanego i zasłużonego działacza, Stanisława Dworańczyka, prezesa i dyrektora The White Eagle Hall Co. Sam byłem zbyt zajęty i obciążony odpowiedzialnością za całość Centrum, więc delegowałem jako kierownika filii ks. Edwarda Wawerskiego, wraz z kilkoma pracownikami z programu CETA. Zarówno on jak i pracownicy, mieli zapewnione pensje i dobre warunki pracy, stworzone w Prospect Hall. Trzeba było tylko przyciągnąć miejscową Polonię i „zorganizować ją”, poznać jej najważniejsze potrzeby i zdobyć dostateczną ilość interesantów na codzień. Dobre to dla ludzi z inicjatywą i tych, co chcą pracować społecznie dla innych. Niestety, taki układ nie był dostateczną zachętą dla niektórych nowoprzybyłych, którzy jeszcze z kraju wywieźli maksymę „czy się stoi, czy się leży, dwa tysiące się należy”. Ci zapału do pracy nie mieli, ale chęci do „zarobienia na boku” — owszem. Po jakimś czasie okazało się, że nie śpieszyli się oni mieć nawet drzwi otwarte dla każdego potrzebującego, ale odważyli się na umieszczenie reklamy, że sprzedają zioła importowane z kraju. A tego organizacji wyższej użyteczności publicznej, jaką jest Centrum, czynić nie wolno. Zwróciłem na to uwagę i... naraziłem się. Pracownik obraził się i podjudzał potem innych, podsycając niezadowolenie, aż wreszcie odszedł z nimi. Krytykować umiało wielu, trzeba przyznać. Nie umieli jednak sami tworzyć. Grupy, które odłączały się od Centrum, wierząc we własne siły, czy to w Domu Żołnierza, czy też powstała później organizacja „People For People”, przestawały istnieć, rozsypywały się natychmiast, jak tylko utracili pensje otrzymywane od władz. Zaginął ślad po nich, a tyle przecież mącili swego czasu wśród Polonii, tyle jej obiecywali... To jest to całe nasze nieszczęście, że mamy zbyt dużo ludzi o wygórowanych ambicjach, wygłaszających nieraz piękne przemówienia, niezdolnych jednak do wykazania się żadnym konkretnym czynem. Często ufamy umiejącym dobrze mówić i wybieramy ich, by kierowali życiem społecznym. A trzeba wpieryw pytać: „A czego dokonałeś? Pokaż, co osiągnąłeś, a uwierzemy”.

Moje inicjatywy były realne i przetrwały do dziś. Nie wszystkie, to prawda. Filii w Prospect Hall utrzymać się nie udało. Złożyło się na to parę przyczyn.

Szczególnie trudna była sprawa personelu. Pracownik opłacany z funduszu CETA musiał odpowiadać określonym warunkom. Jeśli kandydat okazał się nieodpowiedni, to Centrum traciło cały etat. Przenosić pracownika z jednej dzielnicy do drugiej nie było wolno. Centrum kierowało się

miłością bliźniego i to mając głównie na celu, nie śpieszyło się ze zwalnianiem pracowników. Kilku złych zarażało swym wpływem innych, stąd bunty i podła współpraca z obcymi, przeciwko Centrum. Były zarząd i ja robiliśmy wszystko, co w naszej mocy, aby tę placówkę utrzymać. Widząc brak zaangażowania społecznego ze strony personelu, aby ożywić filię i wzbudzić zainteresowanie środowiska, szczególnie rencistów, przyjeżdżałem kilkakrotnie, nie tylko z przemówieniami, ale i z występami artystycznymi, a nawet ze smacznymi pączkami dla zebranych, które przygotowywała nasza kuchnia na Greenpoincie. Drukowaliśmy wiele ulotek informacyjnych... wszystko jednak poszło na marne. A cel przecież był słuszny! Przeczytajcie tekst takiej ulotki:

„RODACY”

My, Polacy, jako grupa etniczna, byliśmy i nadal jesteśmy spychani z areny życia publicznego. Pomimo, że jest nas w metropolii nowojorskiej około sześćset tysięcy, to jednak w życiu społecznym i politycznym nie odgrywamy większej roli. Dlaczego? Bo nie jesteśmy zjednoczeni, a z „masą” niezorganizowanych ludzi nikt się nie liczy. Centrum Polsko-Słowiańskie pragnie zmienić ten stan rzeczy. Pragniemy ożywić i pobudzić naszą świadomość do aktywnego życia społecznego. Chcemy Wam pomóc w załatwianiu waszych najróżnorodniejszych spraw absolutnie bezpłatnie.

Chcemy Was zapoznać z naszymi osiągnięciami i planami na przyszłość. Dlatego bardzo serdecznie zapraszamy Was na zebranie w Prospect Hall, przy 263 Prospect Avenue w dniu 20 listopada, w czwartek, o godzinie 2 po południu. Usłyszymy tam wiele ciekawych informacji z zakresu załatwianych przez nas spraw takich jak: imigracja, Welfare, wyszukiwanie pracy dla bezrobotnych, sprawy mieszkaniowe, dożywiania senior citizens, zniżki na przejazdy, food stamps i wiele innych.

Uważamy, że na tym patriotycznym naszym zebraniu nie powinno zabraknąć nikogo, komu leży na sercu dobro POLONII.

Po zebraniu atrakcyjne występy artystyczne oraz towarzyska herbatka.

CENTRUM POLSKO-SŁOWIAŃSKIE SERDECZNIE WSZYSTKICH ZAPRASZA

Drugą przyczyną naszej porażki w tej dzielnicy był brak zrozumienia ze strony tamtejszych organizacji. Spotykałem się z niektórymi przedstawicielami tych organizacji i prosiłem o współpracę. Udało mi się wreszcie zorganizować spotkanie z nimi oraz z akcjonariuszami Domu Prospect Hall. Wiedziałem już, że uda mi się zdobyć fundusze na programy

społeczne w tej dzielnicy. Prosiłem o wyłonienie komitetu, by w tym celu współpracował z Centrum. Opłacanie przez nas czynszu na rzecz Prospect Hall pomogło by przecież w utrzymaniu tej polskiej placówki, która była już mocno zadłużona. Niestety. Każdy z obecnych prezesów, jak to bywa, po długich debatach, wstrzymał się od jakiegokolwiek decyzji i nie wykazał ochoty do współpracy. I znów dało się słyszeć: „Jak to, ten ksiądz dopiero co z Polski przyjechał i już chce nami rządzić?! My tu starzy działacze, tu urodzeni, mamy swoje organizacje i nie będziemy dla jego dopiero co założonej organizacji pracować”.

Jedyne, co ustalono na tym zebraniu, to to, że Centrum ma płacić 280 dolarów miesięcznie za korzystanie z pokoju bibliotecznego. A w tamtych czasach i tyle było dla Centrum zbyt wiele. Z funduszy przeznaczonych na programy społeczne nie wolno nam było skorzystać na ten cel. Jedyńm dochodem Centrum były składki członkowskie i drobne datki, a z tymi u nas, Polaków, nigdy nie jest zbyt szczerze. Apele do członków nie pomogły, Centrum było rozdzierane już od wewnątrz przez własnych pracowników, wielu odeszło do obcych, niepolskich organizacji... nie pozostawało nic innego, jak likwidacja filii. Z perspektywy czasu widzę, że było to naprawdę wielkie nieszczęście. Tamtejsza Polonia do dziś żadnych funduszy nie otrzymuje, i długo chyba nie otrzyma. Ci, co zarządzili tym polskim Domem przez następne jeszcze kilka lat, utracili wszystko. Prospect Hall, gdzie dawniej kwitło życie, został później sprzedany i nic nie pozostało. A mogło być inaczej...

Akcjonariusze popełnili ten sam błąd, który stał się przyczyną upadku Domu Polskiego przy St. Mark's Place na Manhattanie. Powinni byli działać jako instytucja społeczna, zwolniona od podatków, a nie jako przedsiębiorstwo dochodowe. Albo mogli przepisać dom na własność Centrum i uwolnić się w ten sposób od ciężących, niezapłaconych podatków. Mogło wreszcie sprzedać nam ten dom. Ktoś powie, że to szaleństwo, przecież Centrum było biedne, jak mysz kościelna. I tak, i nie. Po pierwsze, mieliśmy już założoną Unię Kredytową, a po drugie — mieliśmy możliwość uzyskania dotacji miejskich. Prospect Hall na zawsze pozostał by w polskich rękach...

A po remoncie, byłby to największy i najpiękniejszy dom na wschodzie Stanów. Jego sale są większe od niejednego teatru na Broadwayu. Sala amfiteatralna jest nie mniejsza od najelegantszej sali w Waldorf-Astoria, gdzie zatrzymują się głowy państw. Obiekt ten ma interesującą historię: zbudowany w 1892 roku, zaprojektowany na operę, posiada wielką scenę ruchomą. Gmach ma 5-piętrową windę elektryczną, pierwszą tego rodzaju na Brooklynie. Mały, piękny park, należący do tego domu, ozdobiony jest pomnikami, którymi Polonia czcila swych bohaterów ostatnich wojen.

Była tam także kręgielnia. Odbывwały się walki bokserskie, a przed wojną właścicielami były organizacje niemieckie. Służył ten obiekt przez wiele lat Polonii, aż wreszcie narosły długi, stan budynku był coraz bardziej zaniedbany. Dziś trudno powiedzieć, czyja to wina. Nieudolność i niezaradność akcjonariuszy z pewnością przyczyniły się do smutnego końca.

Nowi władcy Centrum i Unii Kredytowej zaprzepaścili i tą sprawę. Mogli dojść do porozumienia z akcjonariuszami i ten dom uratować dla Polonii. Zamiast dbać o interesy Polonii, dbali o własne. Zamiast zainwestować spore kapitały Unii Kredytowej w taką właśnie placówkę, woleli inwestować we własne, prywatne interesy, jak to m.in. zrobił wiceprezes Unii Kredytowej, Jerzy Werner i inni.

* * *

I tak się rozwiłało moje marzenie o filiach Centrum...

20. PROGRAM OPIEKI DOMOWEJ NAD CHORYMI

Po przyjęciu na stanowisko dyrektora tego programu O. Zembrzuskiego do pracy w Centrum coraz częściej widziałem w jego biurze właścicieli „Nowego Dziennika” i, przyznam szczerze, raziło mnie wzajemne poklepywanie się i zwracanie na „ty”, Bolek, Michał. Sądziłem, że starszy, zasłużony kapłan, były zakonnik, zasługuje na większy szacunek. Zorientowałem się jednak wkrótce, że łączą tych ludzi zażyłe stosunki od wielu lat, a zatem nie powinno być w tym nic złego...

W pamięci mi pozostały dwie intrygujące rozmowy.

W Instytucie Naukowym odbywało się przyjęcie z okazji nadania Bolesławowi Wierzbiańskiemu przez Burmistrza Nowego Jorku, Edwarda Kocha, tytułu honorowego komisarza praw człowieka. Przedstawiciele różnych organizacji składali mu życzenia, więc i mnie wypadało coś powiedzieć.

„Okazuje się, że nie tylko ja zauważyłem iż panowie Bolesław Wierzbiański i Bolesław Łaszewski rządzą Polonią w Nowym Jorku... wie

o tym najwidoczniej burmistrz Koch także...” — powiedziałem. Wesółym głosem, przerywając mi, żona pana Jordanowskiego wtrąciła: „...a mój mąż, to co?”

„Myślałem, że rządzą tylko dwaj Bolkowie...”

Wiedząc jednak o tym, starałem się nie zwracać do nich o pomoc czy protekcję, kiedy Centrum było w kłopotach, gdyż nie chciałem uzależnić Centrum od wpływów prywatnych i politycznych. Centrum ma przecież inne zadania i cele, aniżeli pozostałe organizacje polonijne. Nieszczęśliwy, nie wiedziałem wówczas jeszcze, że przyjmując O. Zembrzuskiego już się uzależniłem, już oddałem Centrum pod wpływy tych ludzi. Wcześniej ode mnie zrozumiał to najwidoczniej były prezes Fundacji Kościuszkowskiej, który też był na tym przyjęciu, powiedział: „Teraz we dwóch możecie dużo dobrego zrobić, ale nie myślę, aby wam dane było wspólnie pracować”.

Przyznam, że wówczas tych słów nie rozumiałem. Zrozumiałem je nieco później.

O. Zembrzuski, gdy dowiedział się ode mnie, że został zaangażowany z wyższym wynagrodzeniem od mojego, wrócił do mojego biura, wziął mnie za rękę i powiedział znamienne słowa: „Przyrzekam księdzu, że księdza nigdy nie zdradzę”. Czyżby ruszyło go sumienie?... Tego też nie rozumiałem... Zrozumiałem te słowa dopiero wtedy, kiedy O. Zembrzuski potajemnie, bez decyzji zarządu, usunął mój podpis z konta czekowego tego programu opieki domowej nad chorymi, który mu powierzyłem, mimo iż to ja ten program zdobyłem i powołałem go na stanowisko dyrektora. Mój podpis na czekach zastąpił podpisem Marii Kaczor, która od tego czasu, po dziś dzień, odgrywa wielką rolę w Centrum i w Unii Kredytowej.

Przedstawiłem tę sprawę prezesowi, Mieczysławowi Przybyłowskiemu, który dziwnie jakoś nie wyraził żadnego zdziwienia, tylko nieco zmieszany obiecał sprawę załatwić. Przez dłuższy czas nic się nie działo, więc jeszcze raz zwróciłem mu uwagę na to, że teraz Centrum i ja jako jego Dyrektor Wykonawczy, który zgodnie ze statutem jest odpowiedzialny za działalność Centrum, nie mam żadnej kontroli nad tym programem. Powiedziałem mu, że tym bardziej musimy pilnować, aby nie było rozbicia, gdyż ten program ma swoją organizację, PSC Community Services, Inc., lecz zgodnie z założeniem ma być ona podporządkowana macierzystej organizacji Centrum. Widząc zmieszanie i brak konkretnej odpowiedzi doszedłem do wniosku, że coś tu nie gra. Zwróciłem się więc do jednego z członków zarządu o interwencję. Przybyłowski nie tylko nic nie wyjaśnił, ale z każdym dniem stawał się coraz bardziej chłodny w stosunku do mnie. Nie wypadało mi więc poruszać tej sprawy ponownie. Mnie samemu o podpis na czekach walczyć nie wypada, ale jeśli mam odpowiadać za całość, to muszę znać rozchody i mieć kontrolę nad tym

wielkim, kilkumilionowym programem.

Ów członek zarządu nie poruszył tej sprawy na zebraniu, lecz obiecał porozmawiać z Przybyłowskim prywatnie. Po pewnym czasie dowiedziałem się od niego, że Przybyłowski nie chce z nim po prostu na ten temat mówić. I tak już zostało. Nie wypadało mi zaczynać wojnę z prezesem o ten podpis, kiedy ledwo co ustały walki z byłymi pracownikami programu CETA i studentami.

Wpierw więc ten dziwny stosunek Przybyłowskiego do mnie, który nie był takim nigdy w ciągu ubiegłych lat, a następnie artykuły w prasie o Centrum i Unii Kredytowej, w których na pierwszym miejscu wymieniano O. Zembrzuskiego, Łaszewskiego i innych. Ja przestałem istnieć. Wreszcie radykalny zwrot nastąpił po powrocie prezesa Przybyłowskiego z wizyty w „PRL”. Po latach zgodnej współpracy nagle, cokolwiek robiłem, wszystko okazało się złe. Mimo, iż w niczym nie zmieniłem mego sposobu zarządzania, nagle zaczął czepiać się wszystkiego. W końcu rozpoczęły się potajemne zebrania. Miejscem spotkań, a później „przesłuchań” tych, którzy byli wierni Centrum, było biuro O. Michała Zembrzuskiego. Tu wykuwano plany, jak mnie się pozbyć.

Zrealizowanie obietnicy O. Zembrzuskiego — „ja księdza nigdy nie zdradzę” — dokonało się 29 marca 1981 roku, na walnym zebraniu Unii Kredytowej, na którym zwolniono mnie z władz Unii, a kilka tygodni później usunięto z Centrum.

Wtedy dopiero zrozumiałem ostrzeżenia dobrych ludzi, że „wkrótce ksiądz przekona się, kim jest O. Zembrzuski i dla kogo on pracuje”. I rzeczywiście, spełnił on rolę narzędzia, za pomocą którego spółka z „Nowego Dziennika” zdobyła stworzoną przeze mnie, ważną placówkę społeczną — Centrum Polsko-Słowiańskie oraz Unię Kredytową.

* * *

Chyba żaden z programów nie miał tak długiego okresu przygotowawczego, jak właśnie program opieki domowej. Od 1976 składałem wielostronicowe propozycje-wnioski o uzyskanie tego programu i każdego roku, gdy miała zapaść ostateczna decyzja i zatwierdzenie funduszy przez miejski Board of Estimates, zawsze znalaziono jakąś formalną usterkę i odsyłało do ponownego opracowania. Panowała opinia, że władze miejskie robią to celowo, aby utrzymać całą akcję opieki domowej we własnych rękach. Rosły stopy skarg ze strony chorych i potrzebujących opieki domowej ludzi, że przysyłani przez miasto „social workers” zajmują się tylko wypełnianiem dalszych formularzy, ale nie udzielają żadnej pomocy. Wreszcie zrozumiano, że miasto musi powie-

rzyć realizację tych zadań organizacjom charytatywnym i społecznym.

Naszym argumentem było głównie to, że chorzy potrzebują opieki domowej, otrzymamy także fundusze na administrację, a więc pieniądze na wyposażenie biur oraz na pensje dla naszych urzędników, zarządzających tym programem. A co najważniejsze, uzyskamy możliwość zatrudnienia setek ludzi, głównie kobiet Polek umiejących zaopiekować się chorym w jego domu. Te miliony dolarów na opiekę nad chorymi — to było jedno z najważniejszych osiągnięć Centrum. Pilnowałem więc tej sprawy, jak oka w głowie. Co roku składałem wielostronicowe propozycje-wnioski, aby nasza grupa etniczna nie została przypadkiem pominięta. Okazało się, że podobne propozycje składane były przez ponad 480 organizacji z terenu całej metropolii nowojorskiej. Powierzono wtedy ten program jednak tylko 37 wybranym organizacjom, w tej liczbie i naszemu Centrum, przydzielając duży obszar Brooklyna.

Trzeba tu przypomnieć, że powierzenie nam tego programu było sporym zaskoczeniem, szczególnie dla naszych wrogów. Dopiero przecież w 1979 roku udało się nam oczyścić dobre imię Centrum po licznych oszkalowaniach, zarówno przez obcych jak i przez swoich, które spowodowały całą serię dochodzeń ze strony władz. Próbowano więc oskarżyć mnie, że kradłem czeki zasiłków Social Security pewnemu starcowi, Walterowi Wytwickiemu, o czym spory artykuł wysmarował Jerzy Myssura w swym piśmie „Tydzień”. Tu warto dodać, że zarówno Myssura jak i jego pismo od dawna zniknęli z nowojorskiego firmamentu, mimo że „Tydzień” był wykładany na stolikach w poczekalni reżymowego konsulatu.

Teraz byliśmy już oczyszczeni z zarzutów. Przyznano nam program opieki domowej. Trzeba było tylko podpisać kontrakt.

I tu, ku mojemu zdziwieniu, w łonie samego zarządu Centrum, opory. Obawiano się, że nie podołamy, że to zbyt wielki program... Kwestia podpisania umowy z miastem przeszła większością tylko jednego głosu na posiedzeniu zarządu. Przybyłowski był przeciw... Później przyznał, że był to błąd z jego strony.

Przystąpiliśmy do organizowania wykonawstwa tego programu. Prezes M. Przybyłowski zaproponował mi, abym zatrudnił O. Zambrzuskiego na stanowisku dyrektora tego programu. Po tej propozycji Eugeniusz Witt zaczął urabiać opinię o kandydacie, opowiadając mi jak to O. Zembrzuski, taki zdolny człowiek, siedzi beczynn timer w Kittaning, w Pensylwanii, cierpiąc karę, i jak to został skrzywdzony za swoją pracę w Amerykańskiej Częstochowie.

Przyznam, że nie zapoznałem się z dowodami świadczącymi na niekorzyść O. Zembrzuskiego. Działając w dobrej wierze, uwierzyłem że jest on

niewinny. Sam przecież byłem obiektem oszczerstw, plotek i zaszczuwania, więc myślałem, że i O. Zembrzusi cierpi, jak i ja.

Zresztą, sytuacja O. Zembrzusiego była z pewnością gorsza od mojej. Ja byłem zaszczuwany przez rodaków jedynie za to, że brałem amerykańskie fundusze i zużywałem je na potrzeby naszego społeczeństwa... O. Zembrzusi zbierał pieniądze od rodaków... a z tego znacznie trudniej się rozliczyć...

Po kilku dniach odwiedził mnie w biurze prezes Przybyłowski wraz z O. Zembrzuskim. Widząc niedolę drugiego kapłana, przyjąłem go natychmiast na stanowisko dyrektora programu opieki domowej, z pensją wynoszącą wówczas 20,000 dol. rocznie, a więc wyższą od mojej. Pracowałem już kilka lat, ale moje wynagrodzenie, jako dyrektora programu etnicznego, wynosiło zaledwie 18,000 dol. rocznie.

Na odchodnym, O. Zembrzusi poprosił o kilka dni zwłoki, gdyż musiał wyrobić sobie numer Social Security. Zaskoczyło to nas niezwykle: O. Zembrzusi, od tylu lat w USA, operujący kilkoma kontami bankowymi i prowadzący budowę takiego obiektu jak Amerykańska Częstochowa, do dziś dnia nie ma numeru Social Security?!

* * *

Muszę przyznać, że Mieczysław Przybyłowski był przez lata całę wiernym w stosunku do mnie i do Centrum, rozumiał potrzeby nowoprzybyłych i starał się przestrzegać przepisów statutu. Był mi oddanym pomocnikiem w budowie Centrum. Nieszczęścia zaczęły się od momentu, kiedy Przybyłowskiego wciągnięto do spółki wydawniczej „Nowego Dziennika”. Potrzebny on był tej spółce nie tylko dla pieniędzy, których „Nowemu Dziennikowi” zawsze brakowało, lecz raczej dla innych celów. Przybyłowski był nieodzowny dla żadnych władzy „działaczy”, gdyż kuszenie mojej osoby nie dawało oczekiwanych rezultatów. Wystawne obiady i usiłowania „dobrowolnych” pertraktacji ze mną nie pomagały. Stroniłem od tych panów, więc musieli znaleźć inną drogę.

Muszę wyznać, że wykorzystano moją naiwność; szczególnie w odniesieniu do O. Zembrzusiiego. Wtedy jednak ufałem jeszcze Przybyłowskiemu i nie znałem materiałów obciążających O. Zembrzusiiego, którego w ten sposób wyciągnęliśmy ze spalonej pozycji, z klasztoru, gdzie został umieszczony za popełnione nadużycia, wykazane przez wizytatorów papieskich, bpa George H. Guilfoye i bpa Paul M. Boyle. Dopiero po przyjęciu do pracy O. Zembrzusiiego zaczęto do mnie dzwonić z różnych stron i sugerować, bym przeczytał tą osławioną dokumentację prasową koncernu Gannetta, w języku angielskim, w której

przedstawiona jest cała historia dochodzeń w sprawie Amerykańskiej Częstochowy. Pewnego razu miała miejsce następująca rozmowa między mną a O. Zembruskim:

— „Ile prawdy jest w tych materiałach Gannetta?” — zapytałem.

— „Wiele z tego mija się z prawdą. Czynniki kościelne źle jednak zrobiły ujawniając materiały z dochodzeń tej agencji Gannetta”.

— „Czy Ojciec może mi dać cały ten materiał z wyjaśnieniami, gdzie jest nieprawda? Ludzie dzwonią do mnie i przychodzą z różnymi zarzutami pod adresem Ojca, więc chciałbym mieć jakieś argumenty obrony”.

— „Sam nie wiem, gdzie to mam schowane, ale wkrótce podam agencję Gannetta do sądu o zniesławienie”.

— „Czy mogę w takim razie tym, co czynią zarzuty, odpowiadać, że tą sprawę wkrótce rozpatrzy sąd?” — zapytałem O. Zembruskiego, ale znając tutejsze sądownictwo, po przyjacielsku dodałem: „Ale co tu Ojciec sam jeden biedny może zrobić, występując przeciwko tak potężnemu koncernowi Gannetta?!”

— „Ja tu nie jestem sam. Mam dobrych ludzi, którzy mi w tym dopomogą”.

Na tym nasza rozmowa skończyła się. Nie wiedziałem jakich to ludzi ma O. Zembruski na myśli. Dopiero później okazało się, że byli nimi właściciele spółki „Nowego Dziennika”.

Cała ta afera O. Zembruskiego w Amerykańskiej Częstochowie nagle odżyła także i w świadomości Polonii, właśnie wskutek przyjęcia go do pracy w Centrum. A wiadomo, że zamknąć gęby najlepiej sądem. Toteż cichaczem powołano do życia specjalny komitet, pod nazwą „Polonia Defense Committee”, z siedzibą przy 17 Irving Place, na Manhattanie, a więc w lokalu SWAP, gdzie urzędował Adiutant Generalny imię pan Konikowski, współudziałowiec tejże spółki „Nowego Dziennika”. Przygotowania te odbywały się po cichu. Mnie O. Zembruski nie informował o nich, ani do komitetu nie zapraszał. W przededniu formalnego ogłoszenia o sprawie przeciwko koncernowi Gannetta, zaproszono mnie na konferencję prasową w hotelu Baltimore (15 września 1980). Na tej konferencji przedstawiono p. Michael Mantel, który miał być adwokatem skarżącego się O. Zembruskiego. Głos zabrało parę osób z tego Komitetu. Mowę O. Zembruskiego oraz komunikat dla prasy przygotowane były drukiem i rozdane obecnym.

Po tej konferencji prasowej powiedziałem O. Zembruskiemu, że niepotrzebnie miesza w tą sprawę Ojca Świętego i Kardynała Wyszyńskiego. Prowadzi przecież swoją osobistą sprawę i nie musi chować się w cień za dostojników Kościoła.

Jeden z zarzutów przeciwko niemu mówił, iż w Amerykańskiej Częstochowie zakonnicy nie prowadzili właściwego trybu życia. Nie wiem, czy O. Zembrzuski mógł z tego zarzutu oczyścić się, gdyż za jego władzy w klasztorze wielu Ojców Paulinów wystąpiło, nie tylko z zakonu, ale i z kapłaństwa w ogóle. Tym bardziej, że życie spłatało mu nie lada figla. Między innymi Tadeusz Chabrowski był księdzem-zakonnikiem w Amerykańskiej Częstochowie u O. Zembrzuskiego, a teraz znowu u O. Zembrzuskiego pracuje, ale w programie opieki domowej, w Centrum.

Szum wokół sprawy sądowej O. Zembrzuskiego przeciwko koncernowi Gannetta był oczywiście obliczony na to, że uspokoi opinię publiczną i niejako oczyści „poszkodowanego”. Szum ten pozostał tylko szumem. Upłynęło 7 lat od tego czasu, a nikt nic więcej o tej sprawie nie słyszał.

Tak więc, współudziałowcy „Nowego Dziennika” nie tylko wyciągnęli znow na powierzchnię O. Zembrzuskiego, ale też i dokładali starań, by zrobić mu odpowiednią reklamę. „Nowy Dziennik” zamieszcza artykuły z takimi na przykład tytułami, jak „O. Zembrzuski zasługuje na Medal Wolności”. Kolegium Związkowe w Cambridge Spring nadaje mu tytuł doktora honoris causa, a Towarzystwo „Medicus” — złoty medal. W marcu 1981, na pierwszej stronie, „Nowy Dziennik” wylicza zasługi O. Zembrzuskiego, pisząc, że „z narażeniem życia ratował od zagłady tysiące Żydów prześladowanych przez hitlerowców” — o czym dotąd nikt nie wiedział, ale także nazywa O. Zembrzuskiego „założycielem i dyrektorem federalnego charytatywnego programu opieki nad chorymi w domach”, kłamiąc w żywe oczy wszem i wobec, bo przecie wszyscy wiedzą, że został przyjęty przeze mnie na stanowisko dyrektora tego programu wtedy, kiedy program był już w naszych rękach. Sporym kosztem remontowałem pomieszczenia biur tego programu, aby O. Zembrzuski miał gdzie urzędować... i knuć przeciwko mnie.

Historyk będzie miał kiedyś nie lada trudność w rozgryzieniu faktów, w odróżnieniu prawdy od fałszu. Specjaliści od propagandy mieszają bowiem prawdziwe dane z fałszywymi, dobre fakty ze złymi, w taki sposób, że prawdziwy obraz staje się zupełnie zaciemniony.

W „Nowym Dzienniku” z 24 sierpnia 1984 opublikowano na przykład artykuł zatytułowany „Doroczna uroczystość z udziałem O. Zembrzuskiego”. Jaka uroczystość, z jakiej okazji — nieważne. Ważne, że z udziałem O. Zembrzuskiego. Czytamy w nim m.in. „Wśród wiernych krąży podawany z ust do ust pomysł, by na gruntach Amerykańskiej Częstochowy uroczystie zasadzić cztery drzewka (np.: dęby), upamiętniające symbolicznie papieża Jana Pawła II, kardynała Jana Króla, O. Michała Zembrzuskiego i ewentualnie O.L.B. Moczygębę. Kto zrealizuje tę słuszną do dziś szep-

taną inicjatywę? Może parafianie wspomnianej na wstępie świątyni (Matki Boskiej Częstochowskiej w Brooklynie) zechcą uprzedzić szerszą akcją i zrealizują pomysł na bodaj przykościelnych gruntach na Brooklynie?"

Nie wątpię, że pomysł ten szeptany był przez spółkowiczów „Nowego Dziennika”. Trzeba przecież bezgranicznej pychy, cechującej redaktorów i wydawców tej gazety, aby wpaść na pomysł postawienia O. Zembrzuskiego w jednym szeregu z naszym Ojcem Świętym, czy choćby Kardynałem Królem. Jako „czwartego” proponują „ewentualnie” wielce zasłużonego ks. O. Moczygębę; co do pozycji O. Zembrzuskiego — żadnych wątpliwości... Oto tylko parę przykładów, jak reżyserowana umiejętnie propaganda jednemu zaciera winy nawet udowodnione i wywyższa go na piedestał wielkiej chwały, a drugiego pogrąża, mimo że żadnych formalnie zarzutów wobec niego nie podniesiono.

Wróćmy jednak do historii organizowania programu opieki domowej. Przyjmując do pracy O. Zembrzuskiego wiedziałem, że muszę wpierw mu pomóc, zapoznać z tym zakresem działalności, o którym nie miał dotąd najmniejszego pojęcia. Przydzieliłem mu więc ze swego programu księgową Marię Kaczor, oraz ks. Emila Altmajera i Grzegorza Czuchlewskiego jako konsultantów, i Krzysztofa Żołnierowicza w charakterze łącznika. Sam zaś starałem się dopomóc O. Zembrzuskemu w zapoznaniu się z przepisami i systemem prowadzenia programu zgodnie z podpisanym kontraktem, znalazłem i zatrudniłem firmę komputerową oraz zaprzysiężonego księgowego, biorąc osobiście udział we wszystkich pracach przygotowawczych.

Ten nowy program opieki domowej miał do dyspozycji miliony dolarów, jego plan budżetowy kosztów przewidywał opłacanie czynszu za wynajęte lokale. Wszystkie organizacje mające ten program korzystały z tego faktu, wynajmując formalnie pomieszczenia we własnych obiektach i czerpiąc z tego znaczne dochody. Dla uniknięcia konfliktu interesów trzeba było zarejestrować nową organizację. Uczyniliśmy to w roku 1980, rejestrując „Polish Slavic Center Community Services”, jako ośrodek o wyższej użyteczności publicznej, zwolniony od podatków, mający prawo przyjmowania darowizn i zbierania datków. Dla zachowania zależności nowej organizacji od Centrum, do zarządu weszło ponad połowę członków zarządu Centrum. Dzięki temu Centrum otrzymuje spory czynsz opłacany przez program opieki domowej. Ten czynsz z kolei służy na spłacanie hipoteki, jaką zaciągnięto w naszej Unii Kredytowej, nabywając budynek byłej szkoły. Przez kilka miesięcy zarząd tej nowej organizacji, PSC Community Services Inc. posłuchał mego wezwania i zgodził się zbierać na

biednych te kilka tysięcy dolarów, jakie program przyznawał im za udział w zebraniach. Założyłem nawet specjalne konto w naszej Unii Kredytowej i zebrano trochę pieniędzy. Kiedy jednak O. Zembruski uniezależnił się ode mnie, sam postawił wniosek, by członkowie zarządu brali te pieniądze do własnej kieszeni. Oponowałem wówczas, powołując się na to, że inne programy za udział w zebraniach nie płacą, a mamy wielu członków zarządu Centrum, którzy od lat biorą udział w zebraniach bezpłatnie, więc dlaczego ci z Community Services mają być wyróżnieni? Pieniądze przemawiają jednak lepiej niż jakiś ksiądz. Wniosek O. Zembruskiego został poparty przez Zbigniewa Konikowskiego i został przegłosowany. Już na następnym zebraniu O. Zembruski miał przyjemność rozdawania czeków członkom zarządu. Tylko jeden z nich okazał się honorowym: mec. dr. Antoni Czarliński, który odmówił przyjęcia wynagrodzenia za udział w zebraniu, co czyni zapewne do dnia dzisiejszego.

Czytelnikowi należy się jeszcze nieco więcej wyjaśnień na temat organizacji wewnętrznej Centrum, a w szczególności na temat tej drugiej organizacji, założonej w 1980 roku, pn. PSC Community Services, Inc.

Prawie każdy rodak z Nowego Jorku wie o istnieniu Centrum, o stołówce i o Unii Kredytowej, ale nikt nie słyszał o PSC Community Services. Nawet członkowie Centrum nie byli poinformowani publicznie, że ponad 50% z nich należy także do tej drugiej, bratniej organizacji. Jaki cel utrzymywania w tajemnicy przed członkami istnienia tej drugiej organizacji? Chyba tylko ten, że jeśli raz jeszcze członkowie Centrum zrobią bunt przeciwko zarządowi, to zarząd przepisze majątek Centrum na PSC Community Services, i będzie mógł wówczas już śmiało nawet procesy sądowe przegrywać. Centrum będzie musiało szukać sobie nowego lokalu i zaczynać całą robotę organizacyjną od nowa. By do takiego rozłamu nigdy nie doszło, i aby zabezpieczyć istnienie Centrum wraz ze wszystkimi jego odgałęzzeniami i programami, należy zrewidować obecny statut, wrócić do pierwotnej jego wersji, a za to utworzyć jeszcze jedną korporację, uzależnioną statutowo od Centrum, który stanie się właścicielem wszystkich budynków i lokali, tak by bez konfliktu interesów mogła pobierać czynsz od wszystkich programów opłacanych z amerykańskich funduszy, a dochód przeznaczać nie tylko na utrzymanie budynków, ale i na inne dobre cele: na prawdziwą polską prasę, na przedszkola, na pomoc nowoprzybyłym itp.

W obecnym układzie prawnym program etniczny płaci spory czynsz do rąk prywatnych, i to nie polonijnych. Czyż to nie marnotrawstwo? Obecny zarząd wykazał zupełną ignorancję w tych sprawach. Nabył budynek w taki sposób, że Centrum nie ma teraz prawa pobierać czynszu od administracji programów, z uwagi na tzw. konflikt interesów. A można

było tego uniknąć i przysporzyć majątku Polonii.

W tajemnicy ukrywa się przed społeczeństwem nie tylko istnienie tej charytatywnej organizacji PSC Community Services, Inc., lecz także i ten największy program opieki domowej, którego budżet roczny idzie w miliony dolarów. W roku 1986 wynosił blisko 9 milionów dolarów. Budżet ten składa się z trzech zasadniczych części: wydatki na personel i administrację programu, oraz miliony dolarów na wynagrodzenie dla pracowników, opiekujących się chorymi w ich domach.

Do dziś dnia jest tajemnicą, w jakim procencie korzystają z tego programu Polacy, choć przecież głównym celem tego programu było zabezpieczenie opieki domowej chorym Polakom poprzez kierowanie do nich opiekunów mówiących po polsku. Tak samo tajemnicą otoczone są dane, ilu Polaków korzysta z tej opieki domowej.

Jednym z celów tego programu było zahamowanie wycisku naszych biednych Polek, które często sprzątają lub opiekują się chorymi w domach prywatnych, ale po doświadczeniu do wieku emerytalnego nie mają żadnych praw, gdyż prywatni pracodawcy oczywiście zaniedbują potrącania podatków, ale też i nie płacą składek na powszechne ubezpieczenie społeczne (Social Security). O tych sprawach nasze rodaczki były poinformowane za pomocą naszego Informatora Społecznego. Po moim odejściu z Centrum wydawanie tego informatora zaniedbano. Nie był wydawany przez 3 i pół roku. W sierpniu 1980 wydano „Głos Centrum”, wypełniany samochwalstwem. Na temat tego wielomilionowego programu powiedziano tylko to, że: „opiekuje się ludźmi starszymi, potrzebującymi opieki, niedołężnymi lub kalekami, w ich własnych domach i mieszkaniach”. Podano także, że „pod opieką tego programu jest około 460 chorych i około 470 osób pełni obowiązków opiekunów nad tymi chorymi. Korzystający z tego programu muszą mieć tzw. Medicaid, czyli niskie dochody miesięczne oraz stan zdrowia wymagający takiej opieki. Program pomocy, ze względu na rozmiary pracy i odpowiedzialność stworzył osobną korporację pod nazwą PSC Community Services, Inc., jako organizację niedochodową, ze swoim „niezależnym dyrektorem”. W tym ostatnim zdaniu tkwią znów dwa nieprzewidziane stwierdzenia. Po pierwsze, powodem utworzenia osobnej korporacji był czynsz, jak to przedstawiłem powyżej, a nie „rozmiary pracy i odpowiedzialności”; a po drugie, dyrektor tego programu nie może być „niezależnym dyrektorem”, przeciwnie, musi to być dyrektor całkowicie zależny od Centrum, które ten program uzyskało dla ogólnego dobra, a nie dla pożytku jakiejś odrębnej organizacji.

Tym „niezależnym” dyrektorem jest w oczach autora notatki, rzecz jasna, O. Zembruski.

Tragedia polega na tym, że skoro jest on „niezależny”, to nie ma on żadnego obowiązku tłumaczenia się przed społeczeństwem ze swego postępowania, czy też polityki.

A miałbym kilka pytań pod jego adresem...

Ilu Polaków jest obecnie wśród tych 470 nieźle płatnych opiekunów? Czy czynione są wysiłki, aby opieką objąć większą ilość Polaków, odpowiadających wymaganiom, tj. posiadających Medicaid?

W sierpniu 1981 roku, już po moim odejściu, w „Nowym Dzienniku” znalazła się następująca wzmianka na temat tego programu:

„W siedzibie Centrum Polsko-Słowiańskiego odbyło się spotkanie społecznego komitetu Home Attendants, zorganizowane przez dra Eugeniusza Śliwowskiego. W spotkaniu uczestniczyli przedstawiciele Unii Kredytowej, programu etnicznego oraz Community Action Program, Nutrition Program, przedstawiciele Centrum Polsko-Słowiańskiego i komisarz Nowego Jorku do spraw człowieka — Bolesław Wierzbiański. Podczas spotkania dyrektor programu O. Michał Zembrzusi i prezes dr Eugeniusz Śliwowski przedstawili działalność Home Attendants w ubiegłym roku. Przedstawiono też program oraz szczegóły nowego kontraktu, podpisanego z zarządem miejskim. Budżet programu na rok następny powiększony został o prawie pół miliona dolarów. Oznacza to możliwość objęcia akcją pomocy wielu potrzebujących jej mieszkańców Nowego Jorku, szczególnie ludzi starszych i chorych”.

Z tej sporej notatki zwykły śmiertelnik dowiedział się tyle, że sami swoi nawzajem się zaprosili i między swoimi porozmawiali. Trzy wielkie zdjęcia upamiętniają tych „wielkich” ludzi, zawsze tych samych, te same twarze, tylko kieliszki w rękach inne. Widzieliśmy te zdjęcia przy każdej okazji na łamach „Nowego Dziennika”. Teraz możemy je oglądać także i w „Głosie Centrum Polsko-Słowiańskiego”...

21. PROGRAM AKCJI SPOŁECZNEJ

Program ten nazywam ostatnim, gdyż otrzymałem go tuż przed pozabawieniem mnie władzy w Centrum. I nie tylko. Był to ostatni uzyskany przeze mnie dla Centrum o tak poważnym funduszu. Nowi władcy, na czele z O. Zembruskim, nigdy nie zdobyli tak rozległego programu. Fundator programu, miejska Agencja Rozwoju Środowiskowego, stawiał warunek, by w zarządzie rozporządzającym tym funduszem znalazło się co najmniej 51% ludzi biednych, tj. korzystających z SSI i z Medicaid, pomocy społecznej i kartek żywnościowych. Zarząd kandydatów nie przygotował, więc zająć się tym musieli nasi pracownicy społeczni i ja sam. Trzeba było wyselekcjonować z okolicy Greenpoint odpowiednią ilość Polaków tej kategorii. Przedstawiłem projekt oraz listę kandydatów do zarządu programu i uzyskałem zapewnienie i poparcie Rabina Cohna, że nasz wniosek i propozycja na ten program zostanie załatwiona pozytywnie. Nagle dociera do nas wiadomość, że fundusze zostały rozdzielone, a nas spotyka odmowa. Zwróciłem się znów do Rabina Cohna i dowiedziałem się co zaszło. Otóż organizacje hiszpańskie skorzystały z okresu świąt żydowskich i na pośpiesznie zwołanym zebraniu rozdzieliły te programy między sobą, z pominięciem prawie wszystkich organizacji żydowskich. Zaraz po świętach wybuchł więc skandal, decyzje unieważniono i dokonano nowego rozdziału funduszu. W tej sytuacji skorzystało i Centrum. Program został przyznany, ale władze miejskie nie śpieszyły się z uruchomieniem funduszy, które spoczywając na bankowych kontach przyniosły miastu nieliczne odsetki.

Tymczasem trzeba było przygotować lokal na te usługi. Wykorzystaliśmy w tym celu pomieszczenia przy 931 Manhattan Avenue, opuszczone przez stołówkę i Unię Kredytową, które przeniosły się do nowo nabytego budynku.

Wraz z tym programem usług Centrum uzyskało teren podopieczny bardzo rozległy, bo rozciągający się na południu od Brooklyn Queens Expresway aż po Williamsburg Bridge, Newton Creek na północy i aż po East River. Dzięki wyłączności działania na tym terenie Centrum stawało się rzecznikiem we wszystkich sprawach akcji społecznej. Zakładałem w mych marzeniach, że mając głos w sprawach społecznych zdobędziemy

także wpływy polityczne, gdyż te sprawy w życiu amerykańskim zwykle się łączą. Sądziłem, że od tego skrawka miasta zacnie Polonia żyć pełnym życiem społeczno-politycznym w Nowym Jorku. W propozycji tego programu nakreśliłem szereg ważniejszych celów, planując, że nasza placówka będzie koordynowała istniejące programy sąsiednich organizacji. Dzięki kontaktom i współpracy z miejskimi instytucjami społecznymi i medycznymi moglibyśmy zapewnić większą pomoc działwie, młodzieży i starszym, potrzebującym tego rodzaju usług.

Niestety, moje plany nie zostały zrealizowane. Informator Społeczny Centrum, wydawany już po moim odejściu, tylko ogólnikowo przedstawia zakres usług świadczonych przez ten program. Wyliczono w nim właściwie tylko te usługi, które Centrum i tak już świadczyło, prawie że od początku swego istnienia w ramach programu etnicznego, zwanego Rozszerzonymi Usługami Społecznymi. A skoro Centrum uzyskało nadto ten Program Akcji Społecznej, a później także i Program dla Uchodźców, to zakres świadczonych usług winien był przecież znacznie się rozszerzyć. Tymczasem wygląda na to, że te same usługi świadczone są, a raczej zaliczane tylko, do trzech różnych programów.

Centrum na przykład chwali się teraz, że jest jedyną instytucją uprawnioną do tłumaczenia krajowych praw jazdy, rzekomo w ramach Akcji Pomocy Społecznej. A to nieprawda. Centrum było uprawnione do tego od dawna, wyłącznie dzięki moim staraniom. Warto też przypomnieć, dlaczego w ogóle zająłem się tą sprawą.

Otóż Wydział Komunikacji wydał swego czasu zarządzenie, że zagraniczne prawa jazdy mają być tłumaczone na język angielski, z tym, że tłumaczenia muszą być potwierdzone w konsulacie danego kraju. Wiadomo, że większość naszych rodaków nie ma najmniejszego zamiaru składania wizyt w reżymowym konsulacie. Trzeba było więc jakoś naszym ludziom pomóc. Udałem się do Wydziału Komunikacji i przekonałem tutejsze władze, że należy Polaków potraktować inaczej. Moją argumentację przyjęto i wydano specjalne zezwolenie, żądając jednocześnie, aby nasze tłumaczenia prawa jazdy były dokonywane na papierze firmowym Centrum, by ułatwić urzędnikom rozpoznawanie tych dokumentów.

Nowy zarząd Centrum przypisał sobie zasługę administrowania bezpłatnych kursów języka angielskiego, prowadzonych jakoby „w ramach tego programu społecznego”. Dziwić się można tylko tupetowi, z jakim głosi się tak oczywisty fałsz. Kursy były prowadzone przeze mnie od samego zarania dziejów Centrum, kiedy nie było jeszcze żadnych funduszy miejskich na ten cel.

22. CZWARTA OBRONA CENTRUM PRZED NAJAZDEM „ZAWODOWYCH LIDERÓW”

„Murzyn zrobił swoje, Murzyn musi odejść...”

Każdego członka Centrum, a i tych wszystkich którzy naszą działalność znali, z pewnością zainteresują metody, jakimi posłużyli się panowie, którzy opanowali Centrum, aby usunąć założyciela Centrum i Unii Kredytowej.

To nie było dzieło przypadku, rzecz jasna. Przede wszystkim trzeba było to jakoś usprawiedliwić wobec społeczeństwa, trzeba było znaleźć „legalny” sposób. Zaczęto więc na „łatwiejszym” froncie. Jak już wspominałem w innym miejscu, sprowadzono członków „Pomostu”, mając ich różnymi obietnicami, na walne zebranie Unii Kredytowej w dniu 29 marca 1981 roku i przy pomocy głównie tych jednodniowych członków „wybrano” nowy zarząd. Bolesław Łaszewski ogłosił się „obrońcą” i „zbawcą” Unii Kredytowej... Przez całe lata powtarzano później tę wersję, jakoby on „uratował” Unię Kredytową od upadku, co było oczywistym kłamstwem. Zgodnie bowiem ze sprawozdaniem z tegoż „hucznego zebrania z Pomostem”, Unia Kredytowa posiadała wówczas blisko 5 milionów wkładów i wykazywała stałe dochody: 1977 — \$4,934, 1978 — 15,294, 1979 — \$2,220.

Zmniejszony dochód w tym ostatnim roku moich rządów w Unii Kredytowej usprawiedliwiony był tym, że wtedy kupiliśmy i remontowaliśmy obecny budynek przy Greenpoint Avenue. Lecz już w 1980 roku Unia kredytowa wykazała pierwszą stratę w wysokości \$17,874. Tę stratę nie ja zresztą wytknąłem, choć byłem w komisji rewizyjnej. Mnie by nie uwierzone. Wykazał ją kontroler z Credit Union League, H. Cen Herr, CPA.

W wersję „ratowania” Unii Kredytowej trudno uwierzyć choćby dlatego, że z tonącego okrętu zwykle wszyscy uciekają, co jest naturalne,

a tu było przeciwnie, pchano się na ten okręt bezceremonialnie. Nie mając jeszcze pewności, czy po usunięciu mnie z Unii Kredytowej uda się wyrugować mnie także i z Centrum. Bolesław Łaszewski przegłosował na tym zebraniu wnioski, że „jeżeli Unii nie uda się dogadać z Centrum, to ewentualnie może ona być przeniesiona do innej organizacji”. Z prawnego punktu widzenia był to nonsens. Mogli w to uwierzyć młodzi ludzie z „Pomostu”, ale starzy spryciarze musieli mieć na tyle rozeznania, że podważyliby „Charter” Unii Kredytowej, który oparty był na członkostwie Centrum. Musiano więc zadziałać inaczej, jeśli zamierzano osiągnąć swój cel, to jest wyrzucenie mnie również i z Centrum.

Plany akcji były już o wiele wcześniej knute na tajnych zebraniach w biurze Ojca Zembrzuskiego. Kiedyś wpadłem do jego pokoju, nic jeszcze nie wiedząc o zbliżającej się wojnie, i trafiłem na taką tajną „nasiadówkę”. Zmieszali się wszyscy, z gospodarzem biura na czele. Niektórych posunięć jednak nie przewidziałem. Nie podejrzewałem nic złego w tym, że jeszcze przed „wojną” ze mną przyszedł do mnie dr Eugeniusz Śliwkowski i poprosił o książkę, w której notowane były nie tylko wszystkie składki i ofiary na Centrum, ale i adresy. Później dopiero zrozumiałem, że już wcześniej zaplanowano pozbawienie mnie tej książki z adresami, abym nie mógł przypadkiem zwołać nadzwyczajnego zebrania członków Centrum, na którym mógłbym wyjaśnić wszystkim całą sprawę.

Znając drogę, jaką dr Eugeniusz Śliwkowski przybył do USA, kiedyś ufałem mu. Sam go zapisałem do Centrum i sam wpłaciłem za niego pierwsze składki członkowskie. Chciałem go mieć w zarządzie. Został formalnie wybrany, a nie „dokooptowany”, jak to teraz jest w modzie. Otrzymał funkcję skarbnika, miał więc prawo poprosić o spis członków. Dając mu tę książkę, kupioną zresztą za moje własne pieniądze, nie wiedziałem, że widzę ją po raz ostatni...

Nie było też zbiegiem okoliczności, że w kilka dni po tym burzliwym zebraniu i usunięciu mnie z zarządu Unii Kredytowej, już 1 kwietnia 1981, doręczono mi pismo Centrum, podpisane przez Mieczysława Przybyłowskiego, jakby w nagrodę za moją dziesięcioletnią pracę, zawiadamiającą mnie, że zarząd „umieścił mnie na 30-to dniowym okresie próbnym” bez żadnego uzasadnienia. Stało się to nagle. Do tego momentu przez całe lata Zarząd nie miał jakoś do mnie zastrzeżeń. W tym samym dniu, 1 kwietnia 1981, starszy pracownik Centrum Krzysztof Żołnierowicz i Stanisław Piekarski otrzymali zwolnienie z pracy, a zaraz potem, w ślad za nimi, usunięto Józefa, Helenę Waltoś i innych. Trudno było zrozumieć motywy. Przybyłowski do ostatniego dnia uśmiechał się do mnie, a kto go zna, ten wie, że nie był człowiekiem porywczym, działał zwykle rozważnie i spokojnie. W poprzednich rozróbach z pracownikami bał się nawet

wszystkiego, co brałem mu za złe. Widziałem pewną zmianę w stosunku niektórych pracowników do mnie, ale nadal nie potrafiłem sobie wytłumaczyć, co się dzieje właściwie za moimi plecami.

Do tej pory Prezes Przybyłowski wprowadzał swoich ludzi do pracy lub do zarządu w sposób łagodny. Uzasadniał to np. w taki sposób: „G. Czuchlewski był jednym z tych, którzy wstawiali się za tym, aby Pulaski Businessmen Association zorganizowało mi bankiet, więc trzeba go przyjąć do pracy...” Łagodnie też urabiał drogę Ojcu Zembrzuskim: „Ten biedak siedzi w klasztorze na wygnaniu i tak cierpi...” Ale już swego ostatniego kandydata na urząd dyrektora programu Akcji Społecznej, Jerzego Pańciewicza, forsował siłą. A Pańciewicz był im rzeczywiście potrzebny, gdyż swymi wywiadami dla Nowego Dziennika urabiał drogę przyszłym władcom: O. Zembrzuskim i B. Łaszewskiemu. Nawet wiceprezes mec. dr Antoni Czarliński pisał do Wierzbiańskiego, że te wywiady są niezgodne z prawdą. Nikt tego oczywiście nie zamierzał sprostować, a sytuacja zaostrzyła się.

Mr. Bolesław Wierzbiański
Editor and Publisher
Nowy Dziennik
21 West 38th Street
New York, N.Y. 10018
Drogi Panie Redaktorze!

10.30.1980

„Ceniąc sobie bardzo dotychczasową współpracę W. Pana i kierowanego przez Niego zespołu redakcyjnego na odcinku życia Polonijnego — w imieniu Centrum Polsko-Słowiańskiego proszę o zwrócenie uwagi na dwa artykuły zamieszczone ostatnio w Nowym Dzienniku:

1) wywiad z prezesem Bolesławem Łaszewskim — „O Polsko-Słowiańskiej Unii Kredytowej”

2) wywiad z księdzem Michałem Zembrzuskim — „Miłość bliźniego w praktyce”

Zarówno Polsko-Słowiańska Unia Kredytowa jak i organizacja reprezentowana w wywiadzie przez ks. Zembrzuskiego — powstały i istnieć mogą tylko w oparciu o Centrum Polsko-Słowiańskie, które jest w stosunku do wymienionych organizacją wiodącą.

By dać świadectwo prawdzie obiektywnej z naciskiem należy stwierdzić, że inicjatorem, założycielem, organizatorem, wykonawcą, a z upływem czasu współwykonawcą jest nie kto inny lecz wyłącznie i całkowicie ks. Longin Tołczyk.

To jego inwencja, jego osobisty — czasami nawet fizyczny wysiłek, jego permanentna zapobiegliwość „dobrego gospodarza” leżą u podstaw

stałego rozwoju i Unii Kredytowej i charytatywnego programu wartości około 2,5 miliona dolarów, nie mówiąc o programie dożywiania, czy programie etnicznym.

Zarząd Centrum Polsko-Słowiańskiego z uznaniem ocenia pracę ks. dyr. Longina Tołczyka, który dobrze zasłużył się i nadal zasługuje sprawom Polonii.

We wspomnianych na wstępie 2-ch artykułach ani słowa o ks. Tołczyku, ani słowa o Centrum Polsko-Słowiańskim; zmowa milczenia i przemilczenia ze strony prowadzącego wywiady jest rażąco oczywista.

Autor wywiadów — redaktor Jerzy Pańciewicz przez wiele długich lat pracował w Centrum Polsko-Słowiańskim i zna wszystkie problemy tej organizacji bardzo dobrze; szeroki zakres jego inteligencji dobrze nam znanej i przez nas cenionej nie pozwala na przyjęcie osądu, że konsekwentne wyeliminowanie osoby ks. Tołczyka i Centrum Polsko-Słowiańskiego było dziełem przypadku lub przeoczenia.

Wydaje się, że mamy prawo oczekiwać od redaktora Jerzego Pańciewicza rzetelności dziennikarskiej cechującej Pański Zespół Redakcyjny, a ponadto mamy prawo oczekiwać lojalności od byłego swego pracownika.

Łączę wyrazy szacunku i poważania oraz życzenia dalszego rozwoju dla Nowego Dziennika.

Uprzejmie proszę o opublikowanie niniejszego listu w rubryce „Listy do Redakcji”.



(Dr Antoni Czarliński)

Vice-Prezes Centrum Polsko-Słowiańskiego

Część ówczesnych pracowników znała dobrze Pańciewicza i wiedziała, że był kilkakrotnie usuwany z Centrum za brak dyscypliny, za każdym razem na nowo przyjmowany przez Przybyłowskiego. Niektórzy z nich brali udział w tych tajnych zebraniach u O. Zembrzuskiego, więc mi donosili o nich. Pańciewicz znany był z tego, że zawsze „kopał dołki” pod swymi pracodawcami, „gryzł rękę, która go karmiła”, taki już miał charakter. Wiedziałem o tym, więc nie brałem tego zbyt poważnie.

Część pracowników miała dość już wszelkich dochodzeń i ataków na mnie, więc wystosowała list do Przybyłowskiego, aby tą nową napaść zahamować. Znali go od lat, więc liczyli, że tą drogą osiągną zawarcie pokoju. Tym razem zawiedli się. Przeciwnie. Swym listem stworzyli mu

okazję, aby tym łatwiej rozprawić się ze wszystkimi moimi zwolennikami. Żądania pracowników zarząd zlekceważył, a zarzutów nie dyskutował. Przybyłowski poczuł się silny, dzięki oparciu jakie znalazł w spółce Nowego Dziennika. Pracowników „przesłuchiowano” przy pomocy Zbigniewa Konikowskiego, który doprowadził do usunięcia Krzysztofa Żołnierowicza po to, aby do programu etnicznego na jego miejsce wsadzić nie kogo innego, tylko własną żonę, która swego czasu pomogła oderwać od Centrum grupę pracowników i studentów z programu CETA i doprowadzić do zamknięcia filii Centrum na Manhattanie, tworząc nową organizację. Ktoś zapytał, jak to się stało, że Zbigniew Konikowski, współwinny w oderwaniu filii Centrum, poszedł na współpracę z obcymi, i nagle znów znalazł się w zarządzie Centrum.

A no, dla zwykłego śmiertelnika nie byłoby to możliwe, ale dla członka spółki Nowego Dziennika... wszystko staje się możliwe. Wpierw wciągnięto do tej spółki Przybyłowskiego, a ten utarował powrót, już nie filii Centrum, ale współpracę tej byłej filii, na zasadzie „równy z równym”, choć Centrum nadal płaciło czynsz za lokal w Domu Żołnierza, a SWAP z Konikowskim na czele nie dawał z siebie nic, oprócz pani Konikowskiej, jako kierowniczki tej placówki, opłacanej z programu Centrum, z którego usunięto Krzysztofa Żołnierowicza...

„Przesłuchania” były „mocną stroną” tych panów. Niektórych pracowników, którzy podpisali pismo protestujące, nastraszone ich sytuacją imigracyjną, skłaniając do wycofania swych podpisów, dzięki czemu czas jakiś pozostawiono ich w pracy, po czym, stopniowo, jako „element niepewny” z pracy i tak usuwano. Kto podpisu swego nie wycofał — był zwalniany natychmiast. Mam zapis tego „przesłuchania” na taśmie magnetofonowej. Niestety, ta parodia „dochodzenia” jest zbyt długa, by ją tu zamieszczać...

Eugeniusza Wita zatrudniłem, kiedy ten pomocy rzeczywiście potrzebował. Miał być łącznikiem z filią Centrum w Domu Żołnierza. Stał się jednak „człowiekiem” Konikowskiego. Nic też dziwnego, że odziedziczył po nim stanowisko w SWAP...

Nie wszyscy jednak w ówczesnym zarządzie mieli takie charaktery. Byli tacy, którzy nie mogli pogodzić się z nadużywaniem władzy i łamaniem podstawowych przepisów statutu. Woleli wynieść się cichaczem sami. Tak uczynili np. Frank Milewski, Ewelina M. Sanz i inni. Na ich miejsce do zarządu już nie wybierano, lecz „dookoptywano”, czy raczej kaptowano. Takimi „skaptowanymi” byli m.in. Eugeniusz Kaleniak, Stanley Tomczyk, Kazimierz Szablowski i szereg innych. Sprzeciwiałem się temu i wskutek tego „pozyskiwałem” sobie wrogów. Znalazłem się powoli w mniejszości. W tym ostatnim zarządzie z wyboru byli tylko: Mieczysław Przybyłowski,

Ryszard Bieżyński, Feliks Gościcki, dr Eugeniusz Śliwowski, Michał Labowski, inż. Marian Ostolski i mec. dr Antoni Czarliński. Ci dwaj ostatni byli jedynymi, którzy nie chcieli pogodzić się z wnioskiem usunięcia pracowników. Wreszcie dr Antoni Czarliński oświadczył, że wstrzymuje się od głosu, gdyż „zarząd nie wykazał tym pracownikom i ks. Tołczykowi żadnej winy i nie przedstawił żadnych dowodów”. Wtrącił się wówczas sprowadzony na to zebranie za pieniądze Centrum i Unii Kredytowej adwokat Andrzej Szczęśniak twierdząc, że winy udowodnić nie trzeba, gdyż to nie jest sprawa karna. Dr Czarliński odpowiedział, że „można kogoś skrzywdzić i zasłonić się tym, jakoby to nie była sprawa karna. Nie zgadzam się z taką zasadą. Nie będę głosował, bo nie wystarczy mówić na kogoś, że jest zły, zły... trzeba to udowodnić. A w tym przypadku nie przedstawiliście ks. Tołczykowi żadnych zarzutów i dowodów, co złego popełnił. Tym bardziej, że robicie to zaocznie, bez jego obecności...” Zapytał też Szczęśniaka: „Czy doręczył pan oskarżenie ks. Tołczykowi i zapewnił mu prawo obrony i wytłumaczenia się?” — „Nie”. „Wobec tego wstrzymuję się od głosowania”. Podobne stanowisko zajął inż. Marian Ostolski. Bronił, zarzucając im, że wyrządza mi się krzywdę. Nie pomogło to jednak wcale. Zebranie to miało miejsce 28 maja 1981 roku. Następnego dnia zajęli się nowi władcy Centrum opracowaniem pisma zwalniającego mnie ze stanowiska dyrektora programu etnicznego, który w tym czasie nosił nazwę Programu Rozszerzonych Usług Społecznych, zwolniono mnie także ze stanowiska dyrektora wykonawczego Centrum, a nawet usunęto mnie z członkostwa tej organizacji, którą sam założyłem!

Historia Polonii, a chyba i innych grup etnicznych także, nie zna przypadku, by w taki sposób skwitowano i wyrugowano założyciela jakiejś społecznej organizacji!

Ponieważ sprawcy tego perfidnego czynu powołali się w swym piśmie, że zwalniany jestem „w świetle wyżej wymienionych dowodów” — warto je pokrótce przeanalizować.

Punkt pierwszy mówi, że biuro inspektora generalnego Human Resources Administration prowadziło dochodzenie w marcu, kwietniu i maju odnośnie spraw Centrum. Ten ogólnik nic czytelnikowi nie mówi.

Jasne jest jednak, że jeszcze przed wyborami w Unii Kredytowej w dniu 29 marca 1981, szykując atak ostateczny na mnie, usiłowano znaleźć zasłonę dymną w postaci władz miejskich. Wysłano więc do władz nowy donos, odgrzebując dawno rozstrzygniętą sprawę tzw. konfliktu interesów, polegającego na tym, że byłem właścicielem domu, w którym Centrum miało lokal. Dom ten został, zgodnie z zaleceniem, sprzedany jeszcze w grudniu 1977, przy czym sprzedaż została zrealizowana przez adwokata Józefa Płońskiego w taki sposób, abym nie miał wpływu na

wybór nowego właściciela. Donos wywarł jednak taki skutek, że rzeczywiście sprawa była raz jeszcze badana. Stwierdzono, że wszystko było zgodne z prawem, a kontrolerzy oświadczyli, że jest im przykro, ale muszą badać każdy donos...

Widząc, że tym sposobem władzami miejskimi zasłonić się nie da, zwrócono się do mnie z innymi kwestiami, aby uzyskać choć cokolwiek na piśmie, co mogło by usprawiedliwić moje zwolnienie.

Powołano się więc na to, że władze miejskie „poinformowały zarząd” jakoby należało mnie zwolnić ze stanowiska dyrektora programu, na podstawie raportu inspektora generalnego. Był to ich najważniejszy argument, wykorzystany nawet przez Przybyłowskiego w specjalnym komunikacie Zarządu Centrum, opublikowanym przez Nowy Dziennik 9 czerwca 1981. Uderzyło to we mnie, jak piorun z jasnego nieba. Znałem przecież mechanizm działania władz miejskich i wiedziałem, że nikt tam się nie śpieszy. Dochodzenia ciągnęły się latami. Nagła decyzja wydała mi się niemożliwością. Tym bardziej, że taka decyzja nie mogła być podjęta przez jakiegoś małego urzędnika, lecz przez zwierzchnika Human Resources Administration. Nie wierzyłem w istnienie takiej decyzji. Tym bardziej, że nie powołano się na określone pismo z datą etc. Musiałem tę sprawę zbadać dokładnie. Musiałem mieć stuprocentową pewność odnośnie tego, czy taka decyzja władz miejskich była, czy też nie. Nie mogłem ośmieszyć się, zarzucając kłam komunikatowi Przybyłowskiego bez takiej pewności. Musiałem zaangażować adwokatów.

Decyzja ta wydała mi się nieprawdopodobna m.in. dlatego, że właśnie otrzymaliśmy pismo od kierownika tego programu, Stewata Solomona, z dnia 27 kwietnia 1981, w którym na pytanie kto ma władzę zatrudniania i zwalniania pracowników Centrum, odpowiada on cytatem z umowy pomiędzy Purchasing Bureau of Social Services a Centrum: „Wszyscy... pracownicy kontraktora (tj. Centrum), którzy są zatrudniani przez kontraktora (tj. Centrum) do wykonywania pracy zgodnie z niniejszą umową, nie są pracownikami miejskimi, ani nie podlegają miastu. Kontraktor (tj. Centrum) jest sam odpowiedzialny za ich pracę, zarządzanie, wynagradzanie i prowadzenie spraw personalnych podczas wykonywania niniejszej umowy”. I dalej, adresując bezpośrednio do mnie, „zgodnie z naszą uprzednią rozmową, jako pracownik kontraktora (tj. Centrum), podlega ksiądz nadzorowi i dyrektywom Zarządu Centrum Polsko-Słowiańskiego”. Z powyższego jasno wynika, że miasto nie miało żadnego wpływu na moje zwolnienie. Zasłonić się rzekomą decyzją władz miejskich nie można. Komunikat zarządu Centrum jest więc w oczywisty sposób kłamliwy. Jedynym dokumentem mego zwolnienia jest protokół zebrania odbytego 22 maja 1981. Do brudnej roboty sporządzenia tego protokołu

Przybyłowski zaangażował Jerzego Pańciewicza, choć ten w zarządzie nigdy nie był, ale trzeba było oprzeć się na jego znajomości języka angielskiego... Na podstawie tego zebrania udano się do kierownictwa mego programu i spowodowano wstrzymanie czynszu za lokal właścicielom budynku, w którym ten program miał swoje biura i w którym od lat mieściło się Centrum. Po co mają bogacić się Polacy... grube tysiące płaci się teraz obcym za lokal tego programu przy Greenpoint Avenue.

Z tych rozmów z przedstawicielami władz miejskich miało jakoby wynikać, że miasto życzy sobie mego zwolnienia. Ba, ale to kłamstwo, gdyż w tymże protokole czytamy, że „prezes Przybyłowski poinformował, że zwolnienie ks. Tołczyka będzie dyskutowane i głosowane na specjalnym zebraniu zarządu Centrum, które odbędzie się 28 maja 1981”.

Jasne? Zebranie byłoby przecież zbędne, gdyby miasto poleciło mnie zwolnić!

Z braku więc jakiegokolwiek pisma od władz miejskich musiano uciec się do sfabrykowania „protokołu” z dnia 22 maja 1981, podpisanego zresztą jedynie przez Pańciewicza, jako dyrektora Programu Akcji Społecznej, ostatniego programu uzyskanego przeze mnie, oraz przez Mieczysława Przybyłowskiego, jako prezesa Centrum. Pańciewicz więc, mimo że nie był członkiem zarządu, podpisuje wraz z prezesem przez siebie spreparowany „dokument”, na podstawie którego wyrzuca się założyciela Centrum i dyrektora wykonawczego, pozbawiając go nawet członkostwa! Oczywiście odbywa się to w taki sposób, abym na tym decydującym zebraniu, w dniu 28 maja 1981, obecny nie był. Nie można przecież stworzyć szansy bym mógł powiedzieć prawdę!

Coś podobnego mogło mieć miejsce tylko wśród Polonii, rządzonej od lat dziesiątków przez wichrzycieli w rodzaju Pańciewicza.

Sprawa jednak stała się coraz bardziej skomplikowana, kiedy zażądałem by Nowy Dziennik opublikował moje oświadczenie, choćby w formie płatnego ogłoszenia. Nowy Dziennik oczywiście opublikować tego nie chciał, ale powstała panika. Musiano za wszelką cenę zdobyć choć cokolwiek na piśmie od władz miejskich, aby jakoś uzasadnić to, co przedtem napisano. Udało mi się zdobyć kopię pisma z podpisem Donalda Schwartza, datowanego 19 czerwca 1981, a więc długo po moim wyrzuceniu, ale za Schwartza podpisał ktoś inny. To pismo władz administracyjnych programu etnicznego, ku mojemu zdumieniu, było skierowane na prywatny adres Przybyłowskiego. Nie było to normalne. Do tej pory wszelka korespondencja urzędowa była adresowana do biura Centrum. Sprawa była szyta zbyt grubymi nićmi...

W tym piśmie czytamy: „Płacenie czynszu ks. Tołczykowi, zatrudnionemu jako dyrektor wykonawczy, jest złamaniem umowy pomiędzy

HRA i Centrum. Komunikujemy, że prowadzenie programu jest w poważnym niebezpieczeństwie i że nie będziemy mogli nabywać usługi od Centrum, jeśli ks. Tołczyk będzie nadal zatrudniony i jeżeli Centrum nie będzie przeniesione do innego lokalu. Proszę zająć stanowisko i poinformować nas natychmiast o waszych zamiarach”.

Tym listem rzekomy Schwartz zdradził się przypadkiem, że nadal jest pod wrażeniem donosów, jakoby Centrum ciągle płaciło mi czynsz za lokal, jakobym ja ciągle jeszcze był właścicielem tego budynku. A sprawa była przecież od dawna nieaktualna! Pańciewicz i Przybyłowski okazali się zdolni do wprowadzenia Schwartza w błąd, a stąd i ten „groźny” ton jego pisma, napisanego zresztą w trzy tygodnie po moim zwolnieniu! Ten „dokument” rzekomego zwolnienia mnie przez miasto nigdy światła dziennego nie ujrział...

Jednym z punktów mających uzasadniać moje zwolnienie było i to, że jakoby moja „praca w okresie próbnym była oceniana na posiedzeniu zarządu w dniu 14 maja 1981. „Oceniano” mnie oczywiście zaocznie. Nie raczono nawet wezwać, dać jakąkolwiek możliwość obrony. Bali się, to jasne.

Zresztą dalszy zarzut, jakobym „złamał wszystkie warunki okresu próbnego”, był także niezgodny z prawdą. Ja po prostu z tymi warunkami nie zgadzałem się, bo i zgodzić nie mogłem. Żądano ode mnie na przykład przedstawienia raportu finansowego, ale pozbawiono prawa podpisu czeków, zabierając mi tym samym możliwość kontrolowania operacji finansowych. W tych warunkach składanie raportów finansowych było oczywistą niemożliwością.

Żądano także ode mnie, abym „powstrzymał się od jakichkolwiek komentarzy, czy publicznych wypowiedzi odnośnie któregokolwiek z dyrektorów lub urzędników Centrum”. W tym celu prowadzono jawny podsłuch, szczególnie podczas obiadów. Robił to z ramienia zarządu były Paulin, kolega O. Zembrzuskiego, Tadeusz Chabrowski.

A atmosfera, jaką sami wytwarzali wprost prowokowała do takich właśnie publicznych wypowiedzi... Pewnego dnia Kazimierz Szablowski i Jerzy Pańciewicz nakłaniali staruszkę, pracownicę kuchni, Gertrudę Sojda, do wycofania podpisu, jaki złożyła na piśmie do zarządu ze skargami pracowników. Grozili jej tak, iż biedaczka uciekła i przybiegła do mego biura na górę ze strachu. Gdy zszedłem do sali, gdzie właśnie odbywał się obiad dla naszych seniorów, Szablowski wyjął z teczki egzemplarz gazety i zaczął czytać rzekomy list nadesłany do Józefa Głowackiego, w którym Jola Mrówka skarżyła się, że jej pieniędzy przeznaczonych do kraju od szeregu miesięcy nie wysyłam. Wiemy wszyscy, komu w tym okresie Głowacki wystugiwał się. Otrzymywał od reżymu odznaczenia i

pochwały... więc też z radością w lutym 1981 ten paszkwil wydrukował i setki kopii listów od tej biedaczki roznosił do polonijnych sklepów, aby mnie zohydzić w oczach społeczeństwa.

Kiedy jednak Szablowski zabrał się do czytania, to seniorzy przegłosowali usunięcie go z sali i dali mi możliwość publicznego zabrania głosu w tej sprawie.

Różnymi torami szła ta walka, lecz stale w sposób podły i perfidny. Usuniętemu niesłusznie z pracy Stanisławowi Piekarskiemu usiłowano nawet uniemożliwić pobieranie zasiłku dla bezrobotnych. Wskutek ich pism do władz, te nakazały Piekarskiemu zwrócić wypłacone 909 dolarów. Poszedłem jako świadek, wytłumaczyłem całą sprawę sędziemu Keal Kaufmanowi, który cofnął tą krzywdzącą decyzję 27 października 1981 dzięki czemu Piekarski mógł otrzymywać zasiłek dalej.

Jednych pracowników krzywdzono, a innych przysyłano mi do pracy w zarządzanym przeze mnie programie, nie pytając mnie nawet o zgodę. Jak mogłem więc składać raport z mojej działalności, skoro pozbawiono mnie praktycznie wszelkiej władzy kierowniczej? Odbywano zebrania zarządu beze mnie. Kierowano więc do pracy do mnie tych z „Pomostu”, którym wdzięczni byli za pomoc w wyruganiu mnie z Unii Kredytowej: Leszka Jankowskiego, Dariusza Szczepańczyka, a później Krzysztofa Olechowskiego i innych. Pisemnie Przybyłowski zarządził, że drzwi Centrum będą odtąd zamykane przez Jankowskiego i Szczepańczyka... a więc nawet klucze od miejsca pracy nie należały już do mnie!

W piśmie zwalniającym mnie napisano m.in. „zwalnia się również księdza ze wszystkich innych funkcji posiadanych w Centrum”. Nie odważono się napisać wprost, że zwalnia się mnie również z funkcji Dyrektora Wykonawczego, gdyż byłoby to w oczywistej sprzeczności ze statutem, zatwierdzonym 21 stycznia 1973 roku. Art. VI, paragraf 2, głosi, że „Władze Centrum pełnią swe funkcje przez okres dwóch lat, z wyjątkiem dyrektora wykonawczego”. Członkowie ustalili, że miałem pozostać dyrektorem wykonawczym na stałe, wychodząc z założenia, że założycielowi należy zapewnić jakąś kontrolę nad swoim dziełem. Dopiero w nowym statucie władcy Centrum zapewnili sobie taki układ, by ich pozycja była niewzruszalna i czyniąc stanowisko kierownika wykonawczego wybieralnym przez siebie, a nie przez walne zebranie, zabezpieczając się w ten sposób, że mogą oni „dokooptować”, kogo zechcą, na miejsce członka zarządu, który zrezygnuje lub zostanie usunięty.

Usunięto mnie także z szeregów członków Centrum, bez podstaw i zaocznie. Uczyniono to na podstawie Art. VIII, par. 7 Statutu, który głosi, że „o ile członek, osoby lub organizacje, nie przestrzegają statutu Centrum, mogą być pozbawione członkostwa przez Zarząd zwykłą większością

głosów”.

Ten artykuł jednak do mnie nie pasuje. Ja statut przestrzegałem z największą gorliwością. To moi „sędziowie” statutu nie przestrzegali. To oni powinni być pozbawieni członkostwa!

Warto przypomnieć, jaka była sukcesja prezesów Centrum w okresie, kiedy pełniłem obowiązki dyrektora wykonawczego.

Pierwszym prezesem był Roman Mizgalski. Wydał on samowolnie decyzję przeniesienia kursów języka angielskiego z budynku Centrum do lokalu szkoły publicznej, za co członkowie Centrum, na specjalnym zebraniu, zawiesili go w czynnościach. Zgodnie ze statutem, obowiązki prezesa przejął wówczas wiceprezes Franciszek Gacek, który pełnił je aż do następnego walnego zebrania.

Na walnym zebraniu w roku 1975 jednogłośnie wybrano na stanowisko prezesa prof. Eugeniusza Klebana. Był on człowiekiem bardzo potrzebnym dla Centrum, gdyż rozwinęło się ono już wówczas, liczyło ponad 75 zatrudnionych i przystąpiło do badań nad Polonią, przygotowując książkę w języku angielskim pt. „Polish-Americans in the City of New York”, którą wydaliśmy w roku 1979.

Na tym samym zebraniu pierwszym wiceprezesem został Franciszek Gacek, a drugim wiceprezesem — Mieczysław Przybyłowski.

Dalsze zmiany przedstawione są w „Sprawozdaniu Prezesa Mieczysława Przybyłowskiego”, odczytanym na walnym zebraniu z roku 1977 i opublikowanym w Informatorze Społecznym ze stycznia 1978. Cytuję fragment z tego sprawozdania:

„Zanim doszło do otwartego konfliktu, (wystąpienia pracowników programu CETA oraz studentów i Koalicji Greenpoint Williamsburg przeciwko władzom Centrum), z początkiem lutego 1986 ustąpił z prezesury prof. Kleban, motywując rezygnację względami osobistymi. Ja (Przybyłowski), uprzednio mianowany wiceprezesem na miejsce pana Gacka, który w międzyczasie zmuszony był ustąpić ze stanowiska pierwszego wiceprezesa, bo jego córka była zatrudniona w jednym z programów miejskich w Centrum w charakterze sekretarki, i tu władze miejskie sprzeciwiły się, że jest to konflikt interesów i że jedno z nich musi odejść. Ponieważ była ona z wykształcenia dobrą sekretarką z prawdziwego zdarzenia, umiała pisać propozycje na programy, więc chcieliśmy ją za wszelką cenę utrzymać, dlatego wiceprezes Franciszek Gacek, który wniósł najwięcej w budujące się Centrum, zmuszony był odejść... byłem zmuszony następnie objąć funkcję prezesa”.

Widzimy więc, że poprzedni prezesi Centrum obejmowali swoje stanowiska zgodnie z przepisami statutu.

Czytamy teraz w Nowym Dzienniku i w Głosie Centrum Polsko-

Słowińskiego, że dopiero teraz jest „dobrze”, bo „uratowaliśmy Unię Kredytową i Centrum”. A tymczasem, wbrew tym samochwalczym stwierdzeniom, prezes wybrany został nie przez członków, demokratycznie, na walnym zebraniu, lecz przez zarząd. Mało tego, wybiera się prezesa nie spośród wybranych członków zarządu, lecz drogą „dokooptowania” zwykłego członka. Gdyby przynajmniej ten członek odznaczał się czymś szczególnym, to można by jeszcze jakoś z takim postępowaniem pogodzić się.

Nic z tych rzeczy. Zignorowano statut, „pominięto” dwu wiceprezesów dra Antoniego Czarlińskiego i Mike Labowskiego, a zarząd dookoptował Ryszarda Konopkę, motywując ten wybór oficjalnie tym, że „był od przeszło dwudziestu lat najbliższym przyjacielem i partnerem śp. zmarłego prezesa Przybyłowskiego”.

Nigdy nie przypuszczałem, że być współnikiem w prywatnej firmie poprzedniego prezesa, to wystarczająca kwalifikacja na objęcie po nim stanowiska... Prezesa Centrum Polsko-Słowińskiego...

Nowi władcy Centrum zaniedbali zastosować się nawet i do tego przepisu. Zignorowali wymóg odbycia dwóch zebrań, nie uprzedzono członków o zamiarze uchwalenia nowego statutu. Choćby już ten fakt kwalifikuje ich do pozbawienia członkostwa Centrum.

Nowi władcy nie liczą się z członkami, którzy dają się nabrać na swoiście pojmowaną „samorządność” nowego zarządu Centrum: ich samorządność bowiem oznacza — „rządzimy się sami”.

W ciągu tego okresu ciągnęła się wymiana korespondencji. Mam kopie tych listów. Reprodukować je tutaj wszystkie zabrało by zbyt dużo miejsca i chyba miałyby się z celem.

Dalej wypadki potoczyły się już szybciej. Wezwano policję i w obecności funkcjonariusza zamknięto mój pokój biurowy na kłódkę, uniemożliwiając kontynuowanie pracy. Warto zapoznać czytelników z okolicznościami, w jakich to ostatnie posunięcie odbyło się. Oto formalne oświadczenie sierżanta Josepha Mis:

„Ja, niżej podpisany Joseph Mis, sierżant policji miasta Nowy Jork, zaświadczam, co następuje:

1. Dnia 16 czerwca 1981, około południa, otrzymałem telefon od niejakiego p. Jerzego Pańciewicza, abym przybył do biura Centrum Polsko-Słowińskiego, przy 940 Manhattan Avenue, Brooklyn, NY 11222, by być świadkiem zamknięcia biura Księdza Longina Tołczyka w czasie Jego nieobecności.

2. Że byłem świadkiem tego czynu i widziałem, jak drzwi tego biura zostały zamknięte na kłódkę.

3. Że nie przedstawiono mi żadnego urzędowego upoważnienia Wy-

działu Policji, które by ustalało, że drzwi mają być zamknięte.

4. Że nie przedstawiono mi żadnego dokumentu upoważniającego do zamknięcia biura Ks. Longina Tołczyka w taki sposób, aby uniemożliwić mu wejście.

5. Że powiedziano mi, iż moja obecność jest potrzebna, aby zapewnić, że żadne zakłócenia nie będą miały miejsca.

6. Że nie dawałem żadnego upoważnienia p. Jerzemu Pańciewiczowi, ani jakiegokolwiek innej osobie, by umieszczono na zamkniętych drzwiach biura ks. Tołczyka napis, jakby zamknięcie zostało dokonane na polecenie 94. Komisariatu Policji Miasta Nowy Jork.

(podpis)

Joseph Mis
Sierżant, Tarcza Nr 2261
94. Komisariat"

Moje rzeczy zostały następnie usunięte z biura i złożone na składowanie na mój koszt.

Ta cała akcja przeciwko mnie nie była prowadzona dyskretnie, lecz przy akompaniamencie napastliwych artykułów na łamach „Nowego Dziennika”. Usiłowałem na te ataki odpowiadać. Oto treść moich listów do wydawcy oraz treść artykułu, którym próbowałem bronić się. Nie muszę chyba podkreślać, że nie zostały one zamieszczone.

W.Pan
Redaktor Naczelny
Bolesław Wierzbiański

Brooklyn, dn.22 czerwca 1981 r.

" W załączeniu przesyłam „komunikat” jako odpowiedź na Komunikat Zarządu Centrum Polsko-Słowiańskiego z dnia 9 czerwca br. z prośbą o opublikowanie go w numerze Nowego Dziennika w dniu 16 czerwca br.

Uprzejmie proszę o niezwłoczne nadesłanie mi rachunku za niniejszą publikację.

Z poważaniem
podpis nieczytelny
Ks.Longin Tołczyk

Powołując się na komunikat Zarządu Centrum Polsko-Słowiańskiego, podpisany przez Mieczysława Przybyłowskiego, opublikowany w „Nowym Dzienniku” w dniu 9 czerwca br. stwierdzam co następuje:

1. Oświadczam, że część członków Zarządu Centrum z prezesem M. Przybyłowskim nie przestrzegała Statutu Centrum PS, a w szczególności art.II, punkt B, który mówi, że dyrektor wykonawczy oprócz zarządzania

sprawami organizacji i kierowaniem pracy biura, ma obowiązek czuwania ażeby cele określone w Statucie Centrum PS były wykonywane solidnie i harmonijnie przez poszczególnych członków Zarządu.

2. Oświadczam, iż nie otrzymałem żadnego dokumentu o decyzji władz miejskich — Human Resources Administration jakoby zwalniających mnie ze stanowiska dyrektora Extended Services Program Title XX, tzw. „Programu Etnicznego”. Takowego dokumentu nie przekazał mi również Zarząd Centrum Polsko- Słowiańskiego.

Żądam od prezesa Mieczysłwa Przybyłowskiego dostarczenia mi rzekomego dokumentu o decyzji władz miejskich w powyższej sprawie oraz opublikowanie go w prasie, na co wyrażam swoją zgodę. Jeżeli prezes Mieczysław Przybyłowski nie uczyni tego do dnia 20 czerwca br. będzie to dowodem jego szkodliwej działalności dla Centrum Polsko-Słowiańskiego i Polonii.

3. Oświadczam, iż bezprawnie usunięto mnie z szeregów członkowskich, powołując się na art.VIII, par.7 Statutu, który mówi, iż członkostwa można pozbawić po udowodnieniu niewłaściwego sprawowania się. Z całą stanowczością oświadczam iż mnie, jako założycielowi Centrum Polsko-Słowiańskiego i inicjatorowi wszystkich jego programów, nie przedłożono żadnych zarzutów ani nie udowodniono żadnej winy.

Żądam od prezesa Mieczysława Przybyłowskiego przedłożenia mi dowodów rzekomej mojej winy i opublikowanie ich w prasie. W przeciwnym wypadku treść komunikatu godzi w podstawowe prawa ludzkie. ”

Brooklyn, N.Y.
12 czerwca 1981 r.

Ks. Longin Totczyk
673 Leonard Str.
Brooklyn, N.Y. 11222

A oto kolejny list do B. Wierzbiańskiego wraz z artykułem p.t.: „Dlaczego Nowy Dziennik świadomie wprowadza w błąd opinię polonijną?”

Bolesław Wierzbiański
Redaktor Naczelny
Nowego Dziennika
Polish Daily News
21 West 38-th Str.
New York, N.Y. 10018

Brooklyn, dnia 28 grudnia 1981 r.

„ Szanowny Panie,

W załączeniu przesyłam artykuł pt. „Dlaczego Nowy Dziennik świadomie wprowadza w błąd opinię polonijną” z prośbą o bezpłatne

opublikowanie go na łamach Pana Gazety, ponieważ artykuł ten jest odpowiedzią i obroną na krzywdzące mnie informacje zawarte w publikacjach „Nowego Dziennika” — „Walne Zebranie Centrum Polsko-Słowiańskiego” z dnia 1-go grudnia 1981 roku i w artykule redakcyjnym — „Złe Obyczaje i Groźne Objawy” z dnia 2-go grudnia 1981 roku.”

Z poważaniem
podpis nieczytelny
Ks. Longin Tołczyk

„DLACZEGO NOWY DZIENNIK ŚWIADOMIE WPROWADZA W BŁĄD OPINIĘ POLONIJNĄ?”

Redakcja „Nowego Dziennika” od dłuższego czasu prowadzi z uporem działalność oczerniającą moją osobę i nie daje mi możliwości obrony na łamach swego czasopisma. Takie bowiem metody stosuje tylko prasa komunistyczna w Polsce. My natomiast żyjemy w wolnym kraju.

12-go czerwca 1981 roku wysłałem do redakcji „Nowego Dziennika” płatne ogłoszenie, stanowiące odpowiedź na krzywdzący mnie i niezgodny z prawdą komunikat Zarządu Centrum Polsko-Słowiańskiego, podpisany przez Mieczysława Przybyłowskiego, a opublikowany w dniu 9-go czerwca 1981 roku. Mój płatny komunikat, po przeprowadzeniu redakcyjnej cenzury, odesłano mi z powrotem wykrętnie zastaniając się radą swego adwokata. Zapytuje, czy redakcja zasięgała opinii adwokata publikując kłamliwy komunikat podpisany przez Mieczysława Przybyłowskiego i zamieszczając oszczercze i wielce krzywdzące artykuły redakcyjne?

22-go czerwca 1981 roku wysłałem do redakcji „Nowego Dziennika” odpowiedź na wysoce krzywdzący mnie i wprowadzający w błąd opinię polonijną artykuł redakcyjny pt. „Zmiany w Centrum Polsko-Słowiańskim”. Do dziś dnia redakcja nie opublikowała tej mojej obrony. Nasuwa się pytanie, co uczciwi ludzie mogą sobie pomyśleć o nieetycznych praktykach, stosowanych przez redakcję „Nowego Dziennika”?

Upłynęło niespełna pół roku i redakcja znów świadomie wprowadza w błąd opinię polonijną w artykule „Walne zebranie Centrum Polsko-Słowiańskiego”, opublikowanym w dniu 1-go grudnia 1981 roku. Oświadczam, iż niezgodne z prawdą jest opublikowane stwierdzenie, iż „Ustępujący zarząd przejął ster władzy w okresie dla Centrum bardzo trudnym. Pograżone w tarapatach finansowych, ma jeszcze parenaście tysięcy długu”. Kategorycznie oświadczam, jako dyrektor wykonawczy Centrum w tym okresie, że jest to twierdzenie niezgodne z prawdą. Z chwilą objęcia władzy przez ustępujący zarząd w dniu 27-go stycznia 1980

roku Centrum Polsko-Słowiańskie nie miało żadnych zaciągniętych długów, co można sprawdzić w protokóle Komisji Rewizyjnej i księgach finansowych Centrum Polsko-Słowiańskiego.

Długi, o których mowa obecnie idą w dziesiątki tysięcy dolarów, zrobił właśnie ustępujący zarząd, zwłaszcza w ostatnim okresie swej kadencji.

„Składający sprawozdanie z działalności zarządu prezes Mieczysław Przybyłowski jeszcze raz podkreślił, że pozbawienie ks. Longina Tołczyka — b. dyrektora wykonawczego — władzy, w około czego narosło sporo kontrowersji, było koniecznością, warunkiem sine qua non przetrwania Centrum. Władze miejskie postawiły wyraźny warunek: albo będzie on odsunięty od zarządzania Centrum, albo skończy się finansowanie wszystkich programów miejskich — co byłoby równoznaczne z zamknięciem Centrum. Cała ta wypowiedź M. Przybyłowskiego, czyż nie jest jednym kłamstwem? Teraz mówi on o danym warunku przez władze miejskie — „albo będzie on odsunięty od zarządzania Centrum, albo skończy się finansowanie wszystkich programów miejskich...”, „że pozbawienie ks. Longina Tołczyka — b. dyrektora wykonawczego — władzy ... było koniecznością...”

Przedtem w komunikacie opublikowanym przez „Nowy Dziennik” z dnia 9-go czerwca 1981, a podpisanym przez M. Przybyłowskiego było pisane, że zostałem zwolniony decyzją władz miejskich ze stanowiska dyrektora Extended Services Program Title XX. Zapytuję M. Przybyłowskiego i „Nowy Dziennik”, czy zostałem zwolniony przez władze miejskie? Decyzją ich, czy warunkiem? Czy zostałem zwolniony z dyrektora programu miejskiego, czy władze miejskie zwolniły mnie z dyrektora wykonawczego Centrum? W dniu 12-go czerwca 1981 roku wysłałem do redakcji „Nowego Dziennika” komunikat płaćny, którego nigdy nie wydrukowano, a w którym wyraźnie pisałem: Powołując się na komunikat Zarządu Centrum Polsko-Słowiańskiego, podpisany przez Mieczysława Przybyłowskiego, opublikowany w „Nowym Dzienniku” w dniu 9-go czerwca br., między innymi w drugim paragrafie pisałem: Oświadczam, iż nie otrzymałem żadnego dokumentu o decyzji władz miejskich — Human Resources Administration jakoby zwalniającym mnie ze stanowiska dyrektora Extended Services Program Title XX, tzw. „Programu Etnicznego”. Takowego dokumentu nie przekazał mi również Zarząd Centrum Polsko-Słowiańskiego. Żądam od prezesa Mieczysława Przybyłowskiego dostarczenia mi rzekomego dokumentu o decyzji władz miejskich w powyższej sprawie oraz opublikowanie go w prasie, na co wyrażam moją zgodę...”

Ponownie oświadczam, że nie otrzymałem żadnego dokumentu władz miejskich z decyzją, czy warunkiem zwalniającego mnie ze stanowiska

dyrektora miejskiego programu, czy też z dyrektora wykonawczego Centrum Polsko-Słowiańskiego. O ile M. Przybyłowski lub „Nowy Dziennik” posiadają rzekomy dokument władz miejskich zawierający warunek i decyzję w sprawie mego zwolnienia z dyrektora programu i dyrektora wykonawczego Centrum jeszcze raz zezwalam i proszę o opublikowanie go w prasie i nadesłanie mi potwierdzonej kopii tegoż dokumentu.

Na tym nie kończy się fala kłamliwych informacji publikowanych przez redakcję „Nowego Dziennika”, oczerniających moją osobę. W artykule redakcyjnym pt. „Złe obyczaje i groźne objawy” z dnia 2-go grudnia 1981 roku czytamy: „I czwarty przykład. Ksiądz bez jurysdykcji, traci kontrolę nad Centrum Polsko-Słowiańskim. Nie naszą sprawą jest wdawanie się w analizowanie przyczyn. Ale publicznie rozdawane, anonimowe ulotki usiłują winę za decyzję zbiorowości zrzucić na jednostki, które zdecydowały się przeprowadzić moralną i materialną sanację potrzebnej Polonii instytucji...” Pomimo, że w tej wypowiedzi nie zostało wyraźnie wymienione moje nazwisko nie mniej sformułowane zdania wyraźnie wskazują na mnie, tak odebrali to czytelnicy „Nowego Dziennika”. Jest to znów nowy sposób oczerniania mnie jako kapłana. Redakcji przychodzi to z wielką łatwością. Nie tak dawno byliśmy świadkami skandalicznego oszczerstwa redakcji pod adresem naszego wielkiego Polaka, Papieża Jana Pawła II, informując świat o tym, że nowowybrany pierwszy Polak — Papież był żonaty.

Zapytuję, czy redakcja posiada dokument stwierdzający, że nie posiadam jurysdykcji od mojego biskupa? Jeżeli tak to pozwalam na jego opublikowanie.

Na zakończenie nasuwa się pytanie w imię czego redakcja „Nowego Dziennika” zdobyła się na tyle oszczerstw pod adresem mojej osoby i nie daje mi możliwości obrony na łamach swego czasopisma, na pewno nie w imię sprawiedliwości, uczciwości i jedności.”

podpis nieczytelny
Ks. Longin Tołczyk

A oto jeszcze jeden list i jeszcze jedno milczenie „Nowego Dziennika”.

W.Pan
Bolesław Wierzbiański
Redaktor Naczelny „Nowego Dziennika”

„ W dniu 10 czerwca 1981 r. w „Nowym Dzienniku” ukazał się artykuł redakcyjny pt. „Zmiany w Centrum Polsko- Słowiańskim”, którego treść jest wysoce dla mnie krzywdząca i wprowadzająca w błąd opinię polonijną. W załączeniu pozwalam sobie przesłać artykuł pt.„Ks. Tołczyk odpowiada na zarzuty zawarte w artykule redakcyjnym”. Uprzejmie proszę o niez-

włoczne bezpłatne opublikowanie mojego artykułu czego domaga się
sprawiedliwość i etyka dziennikarska."

Z poważaniem

~~Wojciech~~
Ks. Longin Tołczyk

Ks. L. Tołczyk odpowiada na zarzuty zawarte w artykule redakcyjnym

Artykuł redakcyjny pt. "Zmiany w Centrum Polsko-Słowiańskim", zamieszczony w dniu 10 czerwca br. jest dowodem dziwnego stanowiska "Nowego Dziennika" do naszej organizacji, co datuje się już od dłuższego czasu, chociażby publikacja artykułów Jerzego Panczewicza, zniekształcających obiektywną prawdę o Centrum Polsko-Słowiańskim, jego działaczach a także programach prowadzonych przez Centrum. Np. "O Polsko-Słowiańskiej Unii Kredytowej" - wywiad z prezesem Bolesławem Łaszewskim z dnia 11-12 października 1980 r. oraz wywiad z O. Michałem Zembruskim pt. "Miłość bliźniego w praktyce" z dnia 25-26 października 1980 r. Redakcja "Nowego Dziennika" do dziś nie opublikowała nadesłanych dwukrotnie artykułów polemizujących z powyższymi publikacjami Jerzego Panczewicza, wprowadzającymi świadomie w błąd społeczność polonijną. Jest to wydarzenie niespotykane w wolnej prasie światowej.

Nie będę na tym miejscu rozpisywał się na temat roli, jaką odegrali ludzie z "Nowego Dziennika" w walnym zebraniu PSF Unii Kredytowej w dniu 29 marca br. Wystarczy, że wspomnę tylko którzy ludzie z "Nowego Dziennika" weszli do zarządu Unii Kredytowej. Proszę przypatrzeć się składowi personalnemu współwłaścicieli "Nowego Dziennika", który podawany jest na str. 5 gazety oraz nowemu zarządowi PSF Unii Kredytowej: Bolesław Wierzbiański prezes wydawnictwa oraz redaktor naczelny gazety - ~~wiceprez~~ członkiem komisji rewizyjnej PSF Unii Kredytowej; Bolesław Łaszewski - wiceprezes wydawnictwa, prezesem Unii Kredytowej. Do zarządu Unii Kredytowej weszli: Mieczysław Przybyłowski - dyrektor wydawnictwa, Zbigniew Konikowski - dyrektor wydawnictwa. W Unii Kredytowej i w Centrum PS jest jeszcze zatrudniony syn dyrektora wydawnictwa Waltera Szczęśniaka. Ten skład personalny mówi sam za siebie.

Wobec powyższego "Komunikat Centrum Polsko-Słowiańskiego, ogłoszony we wczorajszym numerze "Nowego Dziennika" o zwolnieniu z funkcji kierowniczych ks. Longina Tołczyka i o usunięciu go z członkostwa Centrum, nie stanowi

niespodzianki". Rzeczywiście, nie stanowi niespodzianki dla Redakcji, natomiast wywołuje oburzenie wśród uczciwych ludzi, którym na sercu leży dobro naszej grupy etnicznej.

Redakcja pisze iż "Od szeregu lat Centrum PS było przedmiotem kontrowersji o szerokim zasięgu, obejmującym nasze własne środowisko, także Koła kościelne, a zwłaszcza społeczność w Brooklynie oraz władze miejskie". Rzeczywiście, można się zgodzić z częścią tego twierdzenia. W czasie istnienia Centrum PS znaleźli się źli ludzie, którzy szli do władz miejskich oszczercze anonimy i donosy. Koła kościelne, wyłącznie proboszczowie niektórych polskich parafii byli przeciwni założeniu Centrum Polsko-Słowiańskiego. Ordynariusz diecezji brooklyńskiej ks. biskup Mgavero, listem z dnia 2 lipca 1971 r. bardzo pozytywnie odniósł się do sprawy założenia Centrum Polsko-Słowiańskiego. W liście tym zakomunikował o powołaniu komisji z 4 polskich księży-proboszczów, którzy przeanalizują tę sprawę w porozumieniu ze mną. Powołana komisja nigdy nie spotkała się ze mną, jako założycielem Centrum PS, natomiast wypowiedziała się przeciw założeniu Centrum PS. Jak można mówić o kontrowersji ze strony władz miejskich, które od założenia naszej organizacji podpisują z Centrum umowy na prowadzenie programów i dają wciąż nowe programy, chociażby program Home Addendens, którego roczny budżet wynosi ponad 2,5 miliona dolarów!

Kolejną oszczerczą insynuacją Redakcji pod moim nazwiskiem adresem to zarzucanie mi stosowanie niewłaściwych metod działalności społecznej. Autor tego twierdzenia widocznie myśli, że tym śmiesznym i niedorzecznym twierdzeniem przekona opinię polonijną. Jak można mówić o niewłaściwych metodach działalności społecznej człowieka, który z ogromnym poświęceniem i uporem stworzył Centrum Polsko-Słowiańskie w oparciu o własne fundusze i wywalczył dla niego fundusze miejskie. Był to precedens w polonijnej działalności. Do tej pory żadna polonijna organizacja nie zdołała wywalczyć dla siebie funduszy, które od lat otrzymują organizacje innych grup etnicznych. Dziesięć lat działalności Centrum PS, które otrzymuje coraz to nowe programy jest najlepszym dowodem przeciw tym oszczerczym insynuacjom Redakcji pod moim adresem. A może Redakcja zechciałaby podać specjalną receptę na właściwe metody działalności społecznej. Jeżeli takowe posiada to dlaczego czekano do 1971 r. i nie powołano przedtem organizacji, która mogłaby nieść pomoc społeczną dla potrzebujących członków naszej grupy etnicznej.

Następnym zarzutem pod moim adresem Redakcja wysuwa to iż nie podporządkowywałem się woli zbiorowej, czyli Zarządowi, "zwłaszcza w ostatnim roku". Rzeczywiście, w ostatnim roku, a ściślej od powrotu niektórych członków Zarządu z wakacji w Polsce, współpraca z Zarządem stała się wprost niemożliwą. Każde zebranie nie wносиło nic twórczego a raczej miało charakter swyczajnej "rozróby". Doszło nawet do tego iż niektórzy członkowie przesta-

li poprostu przychodzić na zebrania gdyż nie mogli pogodzić się z tym, co się na nich działo. Ja również przestałem brać udział w tym, co miało nazywać się posiedzeniami Zarządu. Oznajmiłem, że będę przychodził na zebrania wówczas, kiedy wreszcie będą one miały charakter prawdziwego zebrania w oparciu o statut, wnoszącego coś dla dobra Centrum Polsko-Słowiańskiego.

Kolejnym poważnym zarzutem, jaki stawia mi Redakcja, to "występujący konflikt interesów". To już jest poważne oskarżenie. Proszę o przedłożenie mi dowodów!

"I wreszcie trzecia przyczyna trudności; był nią brak dostatecznej kontroli. Czy chodzi o fundusz dożywiania, czy Kasę Kredytowo-Pożyczkową". Czyżby autor tego redakcyjnego artykułu nie orientował się w funkcjonowaniu programów powierzonych Centrum, czy też z całą perfidią dążył do wprowadzenia w błąd opinię polonijną? Trudno zgodzić się z przypuszczeniem, że Redakcja nie wie o tym, iż odpowiednie władze miejskie przeprowadzają systematyczne kontrole działalności Centrum PS i poszczególnych programów prowadzonych przez naszą organizację. Kasa Kredytowo-Pożyczkowa jest kierowana przez odpowiednią komisję, której przewodniczącym od dłuższego czasu jest Mieczysław Przybyłowski. O udzielaniu pożyczek wyłącznie decyduje ta komisja. Nie do mnie obecnie należy ocena pracy tej komisji. Od tego są odpowiedzialni kontrolerzy federalni. Jeżeli natomiast chodzi o Centrum, to przeprowadzane kontrole nigdy nie wykazały żadnych nadużyć. Ostatnio, sprowadzona przez Zarząd kontrola, po skrupulatnym przebadaniu ksiąg finansowych, wykazała, że Centrum jest mi winne poważną sumę pieniędzy za lata 1979-1981. Tak wygląda prawda, udokumentowana sprawozdaniem przysięgłego kontrolera.

Na zakończenie Redakcja znów wprowadza w błąd czytelników informując iż zostałem zwolniony z piastowanego przez dziesięć lat stanowiska decyzyjną władz miejskich. W przesłanym do Redakcji płałym komunikacie, którego Redakcja nie opublikowała, oświadczyłem i nadal oświadczam iż nie otrzymałem żadnego dokumentu o decyzji władz miejskich jakoby zwalniających mnie ze stanowiska dyrektora. Takowego dokumentu o rzekomej decyzji władz miejskich nie przekazał mi również Zarząd Centrum PS.

Czytając artykuł redakcyjny, nacechowany tendencyjnością i nie zgodny z obiektywną prawdą, nasuwa się pytanie, w imię czyjego dobra czyni to Redakcja "Nowego Dziennika", która na swój jubileusz dziesięciolecia napisała: "musimy służyć polsko-amerykańskiej społeczności, całej Polonii, aby mogła "umieć i wiedzieć jak najwięcej". Szanowna Redakcjo, zamieszczając na łamach swego czasopisma artykuły redakcyjne takie, o którym mowa, napewno przeczyacie sami sobie.


Ks. Longin Tołczyk

I nie tylko ja, ale i inni, jak np. p. Gabriela Zielińska, która także usiłowała skłonić wydawców „Nowego Dziennika” do wydrukowania kilku słów prawdy na ten temat. Nic z tego. Ale treść tego artykułu jest także godna upamiętnienia.

Gabriela Zielińska
188 Eagle Str. Apt. 10
Brooklyn, N.Y. 11222

Nowy Jork, dn. 20 stycznia 1981 r.

W. Pan Redaktor Naczelny
Rolaław Wierzbiański

W dniu 14 listopada ubiegłego roku pozwoliłam sobie przesłać na ręce Pana Redaktora artykuł pt. "W imię prawdy", zawierający refleksje powstające na tle dwóch wywiadów prasowych Jerzego Panciewicza. Do napisania tego polemicznego artykułu skłoniło mnie dziennikarskie poczucie sprawiedliwości. Trudno bowiem przemilczeć krzywdzenie Centrum Polsko-Słowiańskiego, którego jestem członkiem oraz osoby ks. Longina Tołczyka, który niezamordowanie pracuje dla dobra naszej Polonii.

Doprawdy nie mogę zrozumieć, że do dnia dzisiejszego na łamach "Nowego Dziennika" nie ukazał się mój artykuł. Czyżby w Redakcji "Nowego Dziennika" stosowano metodę znaną mi z komunistycznej Polski, gdzie krzywdzony na łamach prasy nie miał możliwości obrony? Czytając systematycznie "Nowy Dziennik" odnoszę wrażenie, że w Redakcji znajdują się widocznie również nietykalne osoby z którymi nie dopuszcza się polemiki. Na pewno do nich nie należy redaktor Józef Dubicki. Taki wniosek wysnułam na podstawie przeczytania rubryki "Listy do Redakcji" z dnia 23 grudnia ubiegłego roku. Okazuje się, że Redakcja zamieszcza nawet publikacje ośmieszające członka Redakcji.

Z przykrością zwracam się ponownie z prośbą do Pana Redaktora o opublikowanie na łamach "Nowego Dziennika" mojego artykułu "W imię prawdy", którego celem jest obrona pokrzywdzonych osób zasłużonych dla naszej Polonii oraz dobro naszej organizacji Centrum Polsko-Słowiańskiego. Na prawdę nie chciałabym zamieszczać tego artykułu na łamach innego wydawnictwa polonijnego.

Łączę wyrazy należnego szacunku

Gabriela Zielińska
(Gabriela Zielińska)

Do wiadomości:

Zarząd Centrum Polsko-Słowiańskiego
940 Manhattan Ave. Brooklyn, N.Y. 11222

W IMIĘ PRAWDY

(Refleksje na tle dwóch wywiadów prasowych Jerzego Panciewicza)

Na łamach "Nowego Dziennika" ukazały się w niedługich ostępach czasowych dwa wywiady przeprowadzone przez Jerzego Panciewicza, byłego wieloletniego pracownika Centrum Polsko-Słowiańskiego.

Wywiad z prezesem Bolesławem Łaszewskim "O Polsko-Słowiańskiej Unii Kredytowej" z dnia 11-12 października br. oraz wywiad z O. Michałem Zembruskim "Miłość bliźniego w praktyce" z dnia 25-26 października br. Czytając te dwa wywiady dostrzega się w nich jeden wspólny mianownik, a mianowicie brak rzetelnej informacji i obiektywnej prawdy. Autor niniejszych wywiadów niewątpliwie zdaje sobie sprawę czego domaga się czytelnik od dziennikarza. Przede wszystkim rzetelnej i prawdziwej informacji, zwłaszcza w kraju wolnym, jakim są U.S.A. gdzie dziennikarz nie jest pod presją władz państwowych i nie podlega ograniczeniom cenzuralnym. Zgoła inaczej przedstawia się sytuacja dziennikarza w Polsce, o czym już wiele pisano na łamach "Nowego Dziennika". Ale nawet i tam w Polsce jeżeli dziennikarz chce "zachować twarz" i sumienie nie pozwala mu na publikowanie informacji nie zgodnych z prawdą lub przemilczających prawdę, poprostu unika takich tematów.

W wywiadzie p.t. "O Polsko-Słowiańskiej Unii Kredytowej" autor bardzo ładnie i szczegółowo przedstawia postać obecnego prezesa Unii Kredytowej - Bolesława Łaszewskiego. Cały wywiad jest interesujący, tylko to małe ale. Czytelnik znający poruszane w nim zgadnienia odczuwa niesmak i żal do autora wywiadu za pominięcie oczywistych faktów. Piszę, iż ma żal do autora a nie udzielającego wywiadu, gdyż pan Łaszewski, który piastuje funkcję prezesa od miesiąca marca br. może nie znać wielu faktów, tak bardzo istotnych w życiu tej instytucji. Natomiast pan Panciewicz tkwił w Centrum Polsko-Słowiańskim niemal od chwili narodzin tej organizacji aż do tego roku. Dokładnie zna wszystkie problemy i trudności z jakimi przyszło się borykać. Wie dobrze, że twórcą Centrum Polsko-Słowiańskiego i wszystkich programów w nim działających jest ks. Longin Tołczyk, który do dziś na codzień najintensywniej pracuje we wszystkich formach prowadzonej przez Centrum działalności.

Pisząc o Polsko-Słowiańskiej Unii Kredytowej nie można przecieżyć przemilczeć osoby ks. Emila Altmajera, który tyle energii włożył działając chyba na najtrudniejszym odcinku Unii, w jej Komisji Pożyczkowej. Nie można również nie wspomnieć nazwiska inż. Mariana Ostolskiego, poprzedniego prezesa, za którego kadencji został adoptowany ten okazały budynek naszej Unii Kredytowej.

Prawda jest, że "dużą zasługę w powstaniu Unii ma pisarz i działacz ukraiński, Marian Kots", jak mówi prezes Łaszewski. Wymienia także pierwszego prezesa Unii inż. Mirosława Luniewskiego i prezesa Centrum Polsko-Słowiańskiego, Mieczysława Przybyłowskiego. Zabrakło tylko nazwiska głównego twórcy Unii - ks. Longina Tołczyka, który do dziś z ogromną pasją poświęca się sprawom Unii nie tylko

jako przewodniczący jej Komisji Rewizyjnej. Wie dobrze zarówno pan Panciewicz jak i ci, którzy na codzień stykają się z Unią Kredytową, że głównym motorem jej działania jest ks. Longin Tołczyk. Pracując w Centrum Polsko-Słowiańskim pan Panciewicz wiele czasu ks. Tołczyk poświęcał Unii i czyni to do dnia dzisiejszego. Statutowo kierowniczym ciałem Unii jest Zarząd, którego członkowie z racji swych zajęć nie mogą na codzień udzielać się instytucji, w której działają społecznie. Jedyną przysłówiową "deską ratunku" w Unii jest dyrektor Centrum ks. Longin Tołczyk, również społeczny działacz tej polonijnej placówki oszczędnościowej. Etatowi pracownicy Unii Kredytowej z codziennymi swym kłopotami w pierwszym rzędzie spieszą do ks. Tołczyka. Autor omawianego wywiadu również dobrze

wie, kto najwięcej wysiłku włożył w adaptację zakupionego budynku Unii Kredytowej przy 138/140 Greenpoint Ave. w Brooklynie. Niejednokrotnie pan Panciewicz widział jak ks. Tołczyk na własnych plecach znosił zakupione materiały budowlane, które zdobywał po możliwie najniższej cenie. Widział również jak ks. Tołczyk osobiście sprzątał walający się gruz i sam wywoził ~~wymazki~~ na śmietnisko. Nie szczędził swego zdrowia i nie stronił od ciężkiej pracy, nawet fizycznej aby tylko zmniejszyć koszty związane z adaptacją nowonabytego budynku Unii Kredytowej. Zawsze mówił, że naszymi polonijnymi pieniędzmi, a więc wszystkich członków Unii Kredytowej, trzeba oszczędnie gospodarować i dbać bardziej o nie niż o swoje własne.

W drugim wywiadzie, przeprowadzonym z O. Michałem Zembrzuskim, pan Panciewicz znów w dziwnie wstydlivy sposób przemilcza nazwisko ks. Longina Tołczyka, dyrektora i założyciela Centrum Polsko-Słowiańskiego. Już wstęp do tej publikacji p.t. "Miłość bliźniego w praktyce" jest dziwnie zakamuflowany, wprowadzający w błąd czytelnika. Autor zdaje sobie sprawę, że Polonia nie jest organizacją społeczną lecz grupą etniczną. Natomiast ~~wprowadzając~~ polonijna organizacja społeczna, jaką jest Centrum Polsko-Słowiańskie otrzymała omawiany program opieki społecznej. Z chwilą otrzymania tegoż programu działające Centrum Polsko-Słowiańskie powołało osobną korporację pod nazwą ~~Rządząca~~ Polish & Slavic Center Community Service. Pan Panciewicz doskonale zna całokształt tej sprawy. Jednak gdyby chciał napisać w ten sposób musiałby podać do wiadomości publicznej, że ks. Longin Tołczyk był tym, który w niezmiernym sposób na codzień zabiegał u odpowiednich władz miejskich o otrzymanie przez Centrum Polsko-Słowiańskie tego poważnego programu.

Opublikowany wywiad z O. Zembrzuskim jest jakoś dziwnie skonstruowany i nie wszystkie wydrukowane odpowiedzi O. Zembrzuskiego korespondują z postawionymi przez pana Panciewicza pytaniami. Np. trzecie od końca pytanie brzmi: J.P. "Wiem, że jest szereg organizacji na terenie Nowego Jorku, które prowadzi podobne programy. Czy mógłby nam ojciec powiedzieć, jak to się stało, że do tego programu miasto Nowy Jork poprosiło i ważyła organizację?" W wydrukowanych słowach O. Zembrzuskiego pod tym pytaniem nie ma nań nie odpowiedzi. Niemal cała odpowiedź respondenta dotyczy poprzedniego pytania, a więc ilczyby chorych, którzy zostaną przydzieleni pod opiekę, kosztów z tym związanych oraz personelu prowadzącego program. Trudno sobie wyobrazić aby O. Zembrzuski, kapłan-zakonnik, tak pięknie mówiący o miłości bliźniego w praktyce, a przecież miłość łączy się nierozdzielnie z prawdą - nie udzielił prawdziwej odpowiedzi na postawione pytanie. Odpowiedź musiałaby być jednoznaczna. Miasto przydzieliło ten program, gdyż na podstawie wieloletniego doświadczenia i obserwacji ma zaufanie do Centrum Polsko-Słowiańskiego i jego kierownictwa. Władze miejskie wiedzą doskonale, że pod dyktando ks. Longina Tołczyka Centrum należy wywiązać się z prowadzenia powierzonych sobie programów. Nawet gdyby O. Zembrzuski w ferworze przeoczył odpowiedź na postawione mu pytanie to obowiązkiem prowadzącego wywiad jest dopilnowanie aby na postawione pytanie otrzymać odpowiedź. A może konstrukcja wywiadu powstała już po zakończonej rozmowie z O. Zembrzuskim?

Jak już powiedziałam wyżej, czytelnik nie może mieć pretensji do udzielających wywiadów, zarówno do pana Waszewskego, jak też do O. Zembrzuskiego za to, że w ich wypowiedziach zabrakło tych istotnych faktów, bowiem obaj działają stosunkowo nie długi okres czasu

w instytucjach, które stanowią organiczną część Centrum Polsko-Słowiańskiego. Tych istotnych faktów nie ma również w obszernych komentarzach Jerzego Panciewicza, poprzedzających omawiane oba wywiady. W jakim więc celu autor przemilcza prawdę? Krytykujemy komunistycznych pisarzy i dziennikarzy, że przemilczają fakty historyczne lub je poprostu zmieniają, kiedy sami jesteśmy świadkami iż na naszych oczach i to w kraju wolnym robi się to samo.

Czytając te dwie omawiane publikacje, podpisane przez Jerzego Panciewicza nasuwa się pytanie, w jakim celu autor przeprowadzonych wywiadów przemilcza istotne fakty? Na pewno nie w imię prawdy i rzetelności dziennikarskiej.

Gabriela Zielińska
Gabriela Zielińska

Warto jeszcze zapoznać się z treścią listu do redakcji „Życia Polonii” Nr 16/1981 Mirosławy Adamiszyn, który jest reakcją na artykuł umieszczony w „Nowym Dzienniku” z dnia 9 czerwca 1981 r. pt. „Zmiany w Centrum”

Szanowna Redakcjo
proszę umieścić mój
list w „Życiu Polonii”,
Dziękuję

Czytam i ja „Nowy Dziennik”, z którego mogę się dowiedzieć wiele ciekawych wiadomości a niekiedy wręcz oburzających. Moje uwagi na temat Komunikatu (N.Dz. 9 czerwca 81.) i artykułu: „Zmiany w Centrum”, (N.Dz. 10 czerwca 81) na temat decyzji nowego Zarządu Polsko-Słowiańskiego Centrum wypowiedziałam niniejszym. Tak karygodna decyzja jest właśnie wielką niespodzianką. Rozwojem Centrum interesuję się od pierwszych dni projektu jego założenia. Pamiętam, kiedy obecny, piękny lokal był rudera a Ks. Tołczyk usuwał gruzy własnymi rękami a pot zalewał mutwarz. Budował piękny

Polonijny Ośrodek wiele lat. Borykał się z trudnościami, ulepszał, rozwijał. Iłóż ludziom pomagał w przeróżny sposób: sprawy imigracyjne, praca, mieszkania, lekcje angielskiego, smaczne obiady dla ludzi starszych, stołówka ciesząca się wielką frekwencją i tysiące innych, dla każdego potrzebującego pomocy i wreszcie piękny dorobek Unii Kredytowej.

Iłóż ludzi otrzymało zatrudnienie, znalazło ciepło, życzliwość, zrozumienie i pomoc, chroniąc się pod płaszcz opieki Ks. Tołczyka. Ks. Tołczyk jest jedyny, który w historii Metropolii N.Yorku zaczął uparcie i nieustraszenie walczyć o Polonię, o poszczególne sprawy, zawsze z powodzeniem. Polonia zaczęła się liczyć jako grupa etniczna, liczone się również i z jej założycielem. A teraz decyzja

Zarządu, którego Dyrektorem jest p.Czuchlewski, a Prezesem p. Przybyłowski, którzy objęli swoje rządy i wielkie wpływy od paru miesięcy. Te autorytety dla zdecydowanej większości Polonii są nieznane. Gdzie byli ci panowie i ich doradcy, pytam w ciężkiej, od podstaw pracy, z pędzlem w ręku czy młotkiem na drabinie? Dlaczego tak prawi i szlachetni panowie nie zainteresowali się innymi Polonijnymi Obiektami jak np. pięknym Domem Narodowym Prospect Hall w SO. Brooklynie, dlaczego nie ratowali tego co trzeba było ratować? Dlaczego tam nie wykazali swoich możliwości organizacyjnych i wielkich wpływów?

Serce się kraje czytając takie decyzje. Straciliśmy Pałac Prospect Hall i zapowiada się, że stracimy i Polsko-Słowiańskie Centrum. Usuwając ze stanowiska dyrektora i pozbawiając członkostwa w Centrum Ks. Tołczyka, jest tego jawną zapowiedzią a dowodem tego jest fakt, że przed tak zasłużoną osobą zawiesz się kłódkę na drzwiach, że zmian dokonuje się pod nieobecność osoby zainteresowanej.

Rumieniąc się zamieszczam kilka wypowiedzi wiersza autora mi nie znanego a jakże tu pasujących: U nas Polaków czyż natura taka, że jeden buduje a

drugi zeruje i rujnuje; gdy Francuz Francuzowi funduje ślimaka - to Polak najczęściej podgryza Polaka; gdy Hiszpan Hiszpanowi gra na tamborynie - to Polak Polakowi podkłada świnię; gdy Włoch tak kocha Włocha jak pawica pawia - to Polak Polaka do wiatru wystawia; gdy Anglik Anglikowi robi przyjemności - to Polak Polakowi przykrości, zazdrości.

Osobiście ja i wielu moich znajomych zawdzięczamy bardzo wiele Ks.Tołczykowi za bezinteresowną pomoc, za zrozumienie, jesteśmy pełni słów uznania i podziwu w jego jakże trudnej pracy dla dobra Polonii i dla jednostek.

Apeluję do całej Polonii w N.Yorku o wypowiedzi i żądania aby Ks.Tołczyk ze wszelkimi mu honorami wrócił do Centrum, do nas, do Polonii bo to jedyna najbardziej odpowiedniejsza, najwłaściwsza, znana, lubiana i ceniona z autorytetem osoba, która dalej utrzyma i pokieruje najwłaściwiej pięknym owocem swojej pracy. Ci wszyscy panowie, którzy wcisnęli się na piękny gotowy dorobek i chcą rządzić niech rządzą zaczynając od podstaw, mają duże pole do popisu.

Członek Polsko-Słowiańskiego Centrum

Mirostawa Adamiszyn

„Nowy Dziennik” nie wzruszony milczy do tej pory, aby raz na zawsze pogrzebać moją działalność i moje osiągnięcia.

W innym miejscu tej książki wspomniałem o bezprawnym zwolnieniu niektórych pracowników. Okazją do tego były ich żądania. Na dowód zamieszczam tekst tych żądań, oraz późniejszy artykuł p.t. „Metody zwalniania pracowników w Centrum Polsko-Słowiańskim, które nigdy nie zostały przez „Nowy Dziennik” opublikowane.

Żądania pracowników Centrum Polsko-Słowiańskiego wystosowane do Pana
Nieczyława Przybyłowskiego, Prezesa Centrum

Niżej podpisani pracownicy Centrum Polsko-Słowiańskiego, mając na uwadze wyłącznie dobro naszej organizacji, przedkładamy następujące kategoryczne postulaty do natychmiastowego ich zrealizowania:

1. Dla dobra Centrum żądamy nie angażowania do pracy w programie C.D.A. Jerzego Panciewicza, który prowadzi krzywdzącą dla Centrum działalność.
2. Żądamy dla dobra Centrum usunięcia z Zarządu dr. Eugeniusza Sliwowskiego, który nie wypełnia należycie powierzonych mu obowiązków skarbnika.
3. Żądamy dla dobra Centrum usunięcie z Zarządu Kazimierza Szablowskiego za publiczne podważanie autorytetu władz Centrum i kompromitację naszej organizacji.
4. Biorąc pod uwagę dobro wszystkich pracowników Centrum żądamy w imię prawa i sprawiedliwości natychmiastowe wprowadzenie dla pracowników Stożówki przy 140 Greenpoint Ave. Fringe Benefits, w tym ubezpieczenia Blue Cross i Blue Shield, jakie posiadają pracownicy innych programów Centrum.
5. Dla dobra Centrum żądamy dopilnowania aby na przyszłość nie powtórzyło się dyskryminowanie pracowników Centrum przez niektórych Członków Zarządu.
6. W obronie dobrego imienia Centrum i w imię sprawiedliwości żądamy niezwłocznego opublikowania w miejscowej prasie polonijnej sprostowania dwóch publikacji Jerzego Panciewicza /"O Polsko-Słowiańskiej Unii Kredytowej" z dnia 11-12 października 1980 r. i "Niłość bliźniego w praktyce" z dnia 25-26 października 1980 r./ wysoce krzywdzących Centrum Polsko-Słowiańskie i jego działaczy.

Ewentualnych wyjaśnień odnośnie uzasadnienia naszych żądań możemy udzielić podczas wspólnego spotkania z Panem Prezesem.

Nie zrealizowanie w ciągu trzech dni naszych powyższych żądań zmusi nas do podjęcia dalszych akcji.

Nie cierpiąca zwłoki potrzeba ratowania dobrego imienia Centrum Polsko-Słowiańskiego zmusiła nas do wysunięcia naszych żądań i skierowania ich pod adresem Pana Prezesa, któremu z racji Jego funkcji, niewątpliwie powinno leżeć na sercu dobro naszej organizacji.

Nowy Jork, dn: 19 marca 1981 r.

K. Zolnier
J. Millon
J. Kottas
S. Stojak
E. Gierzak
S. Karłowicz
Rogalski
J. C. Rózycki
Z. Gierzak
K. Gierzak

W lipcu, w piśmie „Życie Polonii”, ukazał się list do redakcji, w którym ta afera została przedstawiona w sposób obiektywny. Fakt ten stał się powodem pisma adwokata Centrum do wydawcy „Życia Polonii”, w którym zawarta jest groźba procesu o zniesławienie. Oto treść tego pisma:

ANDREW W. SZCZESNIAK
adwokat

10 lipca 1981

Szanowny Panie Bałaban:

Informuję, że reprezentuję Centrum Polsko-Słowiańskie, które wspólnie z pp. Przybyłowskim, Pańciewiczem, Czuchlewskim i Łabowskim, zwróciło się do mnie o poradę w sprawie ewentualnej skargi o zniesławienie i znieważenie, spowodowane listem opublikowanym w wydaniu z 2-16 lipca 1981 Pańskiego wydawnictwa, jak również wstępem redakcyjnym do tego listu.

W oparciu o dochodzenie w tej sprawie, jest oczywiste, że zaniechał Pan zbadania treści tego listu, lub opublikował go w absolutnym braku poszanowania dla prawdy lub fałszu zawartego w jego treści. Z tego względu, w imieniu moich klientów, domagam się niniejszym aby wydrukował Pan odwołanie w najbliższym wydaniu.

Informuję, że moi klienci mają zamiar wszczęcia postępowania sądowego w przypadku jeśli takie odwołanie nie zostanie opublikowane”.

Wydawca „Życia Polonii”, już w dniu 15 lipca 1981 odpowiedział na tę pogróżkę w sposób następujący:

„Szanowny Panie Szczesniak:

Nie chcemy wypaść głupio starając się wytłumaczyć wybitnemu prawnikowi pewne podstawowe fakty z dziedziny prawa, lecz nie pozostawił Pan nam innego wyboru twierdząc, że obelga lub zniesławienie miało miejsce wskutek wydrukowania w naszym piśmie materiałów dotyczących sprawy Ks. L. Tołczyka.

Te materiały są OPINIAMI niektórych członków Centrum Polsko-Słowiańskiego i uważamy, że na podstawie klauzuli o wolności słowa mamy przywilej i prawo drukowania takich opinii. Nadto, osoby o których mowa są URZĘDNIKAMI PUBLICZNYMI, a zarówno Polsko-Słowiańska Unia Kredytowa jak i Centrum Polsko-Słowiańskie, obie są INSTYTUCJAMI PUBLICZNYMI, i z tego względu nie mogą skarżyć się, iż stają się obiektem nawet najsurowszej krytyki.

Niezależnie od powyższego, są świadkowie gotowi zeznawać w sądzie

odnośnie faktów przedstawionych w wymienionych przez Pana materiałach. Niemniej, gotowi jesteśmy wydrukować odwołanie, a tym samym zastosować się do Pańskiej prośby, co pomoże Panu w uniknięciu długiego procesu sądowego.

W tym celu winien Pan spełnić dwa wymagania. Po pierwsze, prosimy zacytować dokładnie słowa, które według Pańskiej opinii stanowią znieważenie, a oddzielnie te, które uważa Pan za obelżywe w stosunku do Pańskich klientów. A po wtóre, na podstawie tych cytata, prosimy o przedstawienie nam tekstu odwołania, jakie pragnie Pan aby zostało opublikowane w naszym piśmie.

Jeśli Pan, lub Pańscy klienci, jasno przedstawiają co według ich zdania jest fałszem lub nieprawidłowością, to z przyjemnością przedstawimy to naszym czytelnikom. Musimy także poinformować Pana, że do tej pory nikt nie napisał do nas w obronie Pańskich klientów, ani też nie zostało zrobione przez którąkolwiek z zainteresowanych osób.

Mam nadzieję, że ten list posłuży jako rozsądne i zadawalające wyjaśnienie sprawy i że pomoże Panu w wyciągnięciu odpowiednich wniosków, pożytecznych dla udzielania porady Pańskim klientom.

Z szacunkiem,
Adam Bałaban
Prezes"

Po otrzymaniu tego listu ani adwokat, ani tym bardziej sami „obrażeni”, żadnego dalszego kroku nie podjęli.

Ale nie zakończyła się akcja zniestawiająca mnie na łamach „Nowego Dziennika”. Jak ona wyglądała, najlepiej oddaje treść mego kolejnego listu-artykułu, który także nie mógł ukazać się w tej gazecie, ze zrozumiałych powodów.

Metody zwalniania pracowników w Centrum Polsko- Słowiańskim

Polonia nowojorskiej metropolii bardzo jest zaniepokojona tym, co się dzieje w Centrum Polsko-Słowiańskim.

Organizacja ta utworzona przed dziesięciu laty przez ks. Longina Tołczyka, w pierwszym okresie działała wyłącznie w oparciu o środki finansowe założyciela. Dzięki jego ogromnemu uporowi i wielkiej potrzebie służenia pomocą swoim współrodakom, Centrum zaczęło się rozwijać a nawet zdołało wywalczyć dla siebie fundusze miejskie, co było precedensem w polonijnych organizacjach.

Na przestrzeni lat do akcji ks. Longina Tołczyka przyłączyło się szereg działaczy polonijnych, którym na sercu leżało dobro potrzebujących pomocy członków naszej grupy etnicznej. Tej potrzebnej działalności Centrum nie potrafiły zachwiać różne burze jakie gromadziły się wokół Centrum łatwo było je pokonać, gdyż pochodziły one ze środowisk niechętnie nastawionych do naszej grupy etnicznej, a w przewyciężeniu powstałych kryzysów ks. Tołczykowi walnie pomagał ofiarnie pracujący Zarząd.

Zgoła inaczej przedstawia się obecny kryzys, który powstał w łonie samej organizacji i powodują go niektórzy członkowie Zarządu Centrum. Tutejsza Polonia z oburzeniem przeczytała w „Nowym Dzienniku” i „Greenpoint Gazette” komunikaty Zarządu podpisane przez prezesa Mięczysława Przybyłowskiego o pozbawieniu ks. Longina Tołczyka wszelkich funkcji w Centrum i wykluczenie go z członkostwa Centrum. Komunikaty te, podpisane przez prezesa Przybyłowskiego fałszywie informowały iż ks. L. Tołczyk został zwolniony decyzją władz miejskich, a z członkostwa organizacji został usunięty na podstawie art.VIII, par.7 Statutu, który mówi, iż członkostwa można pozbawić po udowodnieniu niewłaściwego sprawowania się. „Nowy Dziennik” poszedł jeszcze dalej i w następnym dniu po ogłoszeniu komunikatu, podpisanego przez prezesa Przybyłowskiego, zamieścił artykuł redakcyjny, pełen fałszywych informacji i oszczerstw pod adresem założyciela Centrum ks. Longina Tołczyka. Poszkodowany ks. L. Tołczyk wystosował natychmiast do tych pism oświadczenia informujące, że ani władze miejskie ani Zarząd Centrum nie przedłożyły mu żadnych dokumentów jakoby został zwolniony decyzją władz miejskich. Kategoriecznie również stwierdził, że Zarząd Centrum nie przedłożył mu również dowodów na podstawie których został pozbawiony członkostwa. Do redakcji „Nowego Dziennika” ks. Tołczyk wystosował również do opublikowania odpowiedź na oszczerczy artykuł redakcyjny.

Nasuwa się pytanie, i co dalej? Otóż „Nowy Dziennik”, który uważa się za organ naszej grupy etnicznej i jakoby obiektywnie informujący o sprawach polonijnych, do dnia dzisiejszego nie zamieścił tekstów obrony ks. Tołczyka. Natomiast „Greenpoint Gazette” w następnym numerze opublikowała odpowiedź ks. Tołczyka na komunikat Zarządu podpisany przez prezesa Przybyłowskiego, domagając się przedłożenia dokumentów o rzekomej decyzji władz miejskich w sprawie zwolnienia ks. Tołczyka z zajmowanego stanowiska oraz dokumentów, na podstawie których został usunięty z członkostwa Centrum. Prezes Mieczysław Przybyłowski do dnia dzisiejszego nie przedłożył powyższych dokumentów. Natomiast redakcja „Greenpoint Gazette” przy odpowiedzi ks. Tołczyka zamieściła notę, iż redakcja posiada dokumenty, których żąda ks. Tołczyk i te dokumenty zostaną opublikowane w następnym numerze czasopisma. Ukazały się już trzy kolejne wydania, a dokumentów, o których była mowa, nie ma. Jak się okazało wydawcy „Greenpoint Gazette” zawierzili słowom Jerzego Pańciewicza, który miał dostarczyć w rzeczywistości nieistniejące dokumenty. Tym niegodziwym podstępem Pańciewicz naraził na szwank dobrą reputację „Greenpoint Gazette”. Aż dziw bierze, jak Mieczysław Przybyłowski, bądź co bądź poważny biznesista wziął sobie za konsultanta Jerzego Pańciewicza, z którym niemal wszyscy pracodawcy rozstawali się konfliktowo. Człowiek ten był nawet usuwany z Centrum za intrygi, a po solennym przyrzeczeniu poprawy był znów przyjmowany dzięki dobremu sercu ks. L. Tołczyka.

Sądzymy, że właśnie obecny kryzys w Centrum Polsko-Słowiańskim zaczął się z powodu Jerzego Pańciewicza i jego publikacji w „Nowym Dzienniku”, wprowadzających w błąd społeczność polonijną odnośnie działalności Centrum Polsko-Słowiańskiego, programów prowadzonych przez Centrum oraz krzywdzących niektórych działaczy Centrum. Oczywiście „Nowy Dziennik” nie zamieścił nadesłanych materiałów prostujących błędne i krzywdzące informacje Jerzego Pańciewicza. W takiej sytuacji pracownicy różnych programów prowadzonych przez Centrum w dniu 19 marca 1981 r. wystosowali do Zarządu Centrum listę postulatów do natychmiastowej realizacji przez Zarząd. Pierwszy z postulatów brzmiał: „Dla dobra Centrum żądamy nie angażowania do pracy akcji społecznej w programie C. D. A. Jerzego Pańciewicza, który prowadzi krzywdzącą dla Centrum działalność”. W innych punktach domagano się usunięcia dwóch członków Zarządu za niewypełnianie swych obowiązków i publiczne podważanie autorytetu władz Centrum, a także za dyskryminowanie niektórych pracowników. Domagano się również: „Biorąc pod uwagę dobro wszystkich pracowników Centrum żądamy w imię prawa i sprawiedliwości natychmiastowe wprowadzenie dla pracowników

Stołówki przy 140 Greenpoint Ave. Fringe Benefits, w tym ubezpieczenia Blue Cross i Blue Shield, jakie posiadają pracownicy innych programów Centrum”.

Logicznie rozumując wydawałoby się, że Zarząd, mając na uwadze dobro Centrum, poważnie ustosunkuje się do postulatów pracowników, tak jak postępuje się w wolnym demokratycznym kraju. Niestety, niektórzy członkowie Zarządu hołdują nadal praktykom, stosowanym w Polsce w okresie komunistycznego „zamordyzmu” potępionym dziś nawet przez komunistów. Aby ukarać tych, którzy w imię dobra organizacji odważyli się wystąpić z koniecznymi postulatami, w dniu otrzymania od pracowników listy postulatów panowie z zarządu zmieniają natychmiast personalną politykę, od lat obowiązującą w Centrum i przedkładaną władzom miejskim przy zawieraniu kontraktów na programy. Prezes Przybyłowski z niektórymi członkami Zarządu wprowadza nowe przepisy, które swobodnie pozwalałyby trzymać im w ślepych poddaństwie pracowników. Wzorzec ten wiadomo skąd pochodzi. Tam nawet próbuje się dopasowywać prawa przyrody do swych ideologicznych celów. Ale jakie są tego skutki widzi cały świat.

Po zmianie w dniu 19 marca 1981 r. Personal Policies, o czym nawet nie został powiadomiony założyciel Centrum i jego dyrektor wykonawczy, ks. Longin Tołczyk, dochodzi do generalnej rozprawy, najpierw z tymi, którzy wystąpili ze słusznymi postulatami. Na pierwszy ogień poszli pracownicy socjalni. Jedyną motywacją ich zwolnienia z pracy było to iż wystąpili przeciw Zarządowi. Tak bowiem został zinterpretowany ich słuszny krok w imię dobra Centrum. Jednemu z nich prezes Przybyłowski podpisał zwolnienie z pracy w okresie, kiedy ten pracownik był na zwolnieniu chorobowym, tzw. disability, co jest wyraźnym naruszeniem prawa. Wymówienie z pracy było jedyną odpowiedzią na konkretne żądania pracowników.

Nie koniec na tym. Po pracownikach socjalnych przychodzi kolej na założyciela Centrum ks. Longina Tołczyka. Po prostu w głowie się nie mieści uczciwemu człowiekowi do czego okazał się zdolny prezes Przybyłowski z niektórymi członkami Zarządu. Ludzie ci w jakimś zaślepieniu odważyli się zastosować wobec założyciela Centrum, ks. Tołczyka tzw. okres próby. Na taką bowiem „nagrodę” zdobyli się tylko ci ludzie w stosunku do tego, który z wielkim trudem stworzył tak bardzo pożyteczną dla naszej grupy etnicznej organizację. Nie będziemy teraz podawać treści pisma informującego ks. Tołczyka o zastosowaniu wobec niego miesięcznego okresu próby. Treść tego pisma jest tak kompromitująca jego autorów i prezesa Przybyłowskiego, który złożył pod nim swój podpis, że aż nam wstyd informować o tym społeczność polonijną. Ogólnie

mówiąc było to coś w rodzaju aresztu biurowego. Wstydzimy się za was niekötóry panowie z Zarządu Polsko-Słowiańskiego!

Po okresie próby przyszła kolej na zwolnienie ks. Longina Tołczyka z wszystkich funkcji oraz pozbawienie go członkostwa Centrum, o czym mowa na początku artykułu. Aby jakoś umotywować swój nieczny czyn w stosunku do ks. Tołczyka, komunikat zarządu podpisany przez prezesa Przybyłowskiiego powołauje się na nieistniejącą „decyzję władz” miejskich. Aż dziw bierze, jak ci ludzie bez zastanowienia swoje bezprawne postępowanie wobec ks. Tołczyka starają się kłamliwie usprawiedliwiać stanowiskiem władz miejskich. Również zwolnienie kucharki i sprzątacza, którzy podpisali wspólny apel do Zarządu w dniu 19 marca 1981 r. motywuje się decyzją władz miejskich. Panowie, kto wam uwierzy w te bzdury? Tak jak wy czynią tylko mali ludzie, którym do usprawiedliwienia swego niegodnego postępowania potrzebna jest podpora silniejszego.

W „Życiu Polonii” w nr 14 z dnia 2-16 lipca br. zamieściliśmy art. Ryszarda Jaskórzynskiego pt. „Kłódka na drzwiach zamiast bankietu dla założyciela Centrum PS”, który informował o „wyczynie” Jerzego Pańciewicza i bezprawne wciągnięcie nieświadomego policjanta do akcji założenia kłódki na drzwiach gabinetu ks. Longina Tołczyka. Nie koniec na tym. W dniu 26 czerwca br. Pańciewicz znów był w swoim żywiole i żywo uganiał się w czasie akcji wywożenia rzeczy z gabinetu ks. dyrektora Longina Tołczyka, który w tym czasie przebywał na pierwszym od 10 lat urlopie. Smutny to i przerażający był widok kiedy kilku Murzynów ładowało na duży ciężarowy samochód rzeczy z gabinetu ks. Tołczyka, wśród których znajdowały się cenne przedmioty osobiste oraz przeróżne dokumenty niedokończonych spraw imigracyjnych naszych współrodaków. Ks. Tołczyk do dziś nie został powiadomiony dokąd te rzeczy zostały wywiezione i co się z nimi stało. Ten nieczny wyczyn Zarządu uniemożliwił ks. Tołczykowi doprowadzenie do końca rozpoczętych spraw w Immigration. W tej sytuacji nie może nawet odpowiedzieć na ostatnio nadesłane pismo z biura Immigration w sprawie naszego współrodaka, któremu grozi deportacja. Jak widać niektórym panom z Zarządu w swej zaślepionej nienawiści do ks. Tołczyka obojętne są sprawy współrodaków, którzy potrzebują natychmiastowej pomocy.

Na tych przykładach widzimy do czego prowadzi zaślepiona prywatna, której nie mogą powstrzymać wznioste cele niesienia pomocy potrzebującym członkom naszej grupy etnicznej ani normy współżycia obowiązujące w wolnym demokratycznym kraju, nie powstrzymuje jej nawet lęk przed naruszeniem przepisów prawnych. W tej sytuacji sądzimy, że jedynym hamulcem musi być wkroczenie autorytetu władz sądowych, które zmuszone będą położyć kres stosowanemu bezprawiu.

23. UKRADŁ, CZY NIE UKRADŁ?

To pytanie prześladowało wielu, tym bardziej, że zarzucano mi okradanie Centrum i Unii Kredytowej w licznych, podłych donosach do władz amerykańskich, zmuszanych wskutek tego do prowadzenia licznych dochodzeń, a także i w publicznych wystąpieniach, których punktem kulminacyjnym była demonstracja zbuntowanych pracowników z programu CETA oraz studentów, których sam przyjąłem, załatwiając im studia w Humane College i praktykę w Centrum, za którą otrzymywali wynagrodzenie. Wykorzystano te bezpodstawne zarzuty na walnym zebraniu Unii Kredytowej w 1981 roku, kiedy to klika z Nowego Dziennika „opanowała” założoną przeze mnie instytucję. Posądenia o nadużycia wygłaszali publicznie panowie dążący do opanowania Unii i Centrum. Wyprzeć się tego nie mogą, gdyż przebieg tego zebrania nagrany został na taśmie video-dźwiękowej. Plotka często bywa silniejsza od prawdy i zwykle szerzej się rozchodzi. Z pytania „ukradł, czy nie ukradł” pozostało tylko jedno słowo: „ukradł”. A że kradzież jest zwykle karana, więc wyolbrzymiono tę plotkę tak dalece, iż sporo ludzi myślało, że trafiłem do więzienia.

Napotkany przypadkowo poczciwy staruszek, który kiedyś był członkiem Centrum, zagadnął mnie jak zwykle prosto i szczerze, z nieukrywanym zdziwieniem:

— „Co to, już ksiądz wyszedł?”

— „Skąd?”

— „A no z więzienia. Mówili, że w Unii Kredytowej zabrakło pieniędzy...”

— „Panie drogi, to kłamstwo!”

Wtedy starzec zaczął narzekać i usprawiedliwiając się ujawnił nawet nazwisko osoby, od której to słyszał.

Z przykrością dowiedziałem się w ten sposób, że chodziło tu o człowieka, który do dziś jest we władzach Centrum.

Docierało do mnie sporo brudów, wymyślanych na moją intencję... Bolało mnie to, muszę przyznać, bardzo. Bolało tym bardziej, że autorami plotek i oszczerstw nierzadko byli ludzie, którzy dzięki mojej pracy, dzięki moim wysiłkom mają teraz czym rządzić, a inni siedzą na ciepłych posadkach i chętnie się cudzymi osiągnięciami.

Pracowałem ciężko, nie biorąc nawet urlopów, choć wszystkim

pracownikom je dawałem, niszcząc własne zdrowie, by doczekać się wreszcie, że zrobiono mnie w oczach opinii publicznej „złodziejem”.

Kiedy w końcu mnie, obrzuconego oszczerstwami skutecznie zaszczytowało i wyrzucono, nikt nie stanął w mojej obronie, gdyż nie stworzyłem własnej klikki, a do organizującej się klikki przystąpić nie zamierzałem, choć mnie wielokrotnie do tego namawiano. Mój charakter i moje kapłaństwo na to mi nie pozwalało. Dwóm panom służyć nie potrafię. Toteż i ten „patriotyczny i sprawiedliwy” Nowy Dziennik w mojej obronie nie stanął, ale całe szpalty poświęcił na pochwałę byłego prezesa, Mieczysława Przybyłowskiego, który na moje i Centrum nieszczyście wszedł nawet do zarządu spółki Nowego Dziennika.

Wspólnicy Nowego Dziennika zadbali o Przybyłowskiego nawet i po jego śmierci. O. Michał Zembrzusi nie tylko złożył jego doczesne szczątki w Alei Zasłużonych w Amerykańskiej Częstochowie, ale i w swojej gazecie niemalże „kanonizował” go na świętego... Jeden z księży z parafii św. Stanisława Kostki powiedział mi wprost:

— „Jestem tu długie lata, ale nie widziałem by kogokolwiek grzebano z taką „pompą”. Widzi ksiądz, co mogą pieniądze i przynależność do spółki Nowego Dziennika...”

Praktycznie nie miałem możliwości bronięcia się. Nowy Dziennik odmawiał mi nie tylko umieszczenia odpowiedzi na paszkwile, ale nawet nie chciał wydrukować repliki w postaci płatnego ogłoszenia. Dwutygodnik Życie Polonii wydrukował dwa listy do redakcji, których autorzy bronili mnie i ujawniali prawdę o moich przeciwnikach. Andrew Szcześniak, adwokat Przybyłowskiego, Łaszewskiego i innych, opłacany przez Unię Kredytową, usiłował zastraszyć Życie Polonii, grożąc procesem o zniesławienie. Redaktor Życia Polonii odrzucił groźbę, powołując się na posiadane oświadczenia świadków oraz na to, że zna o wiele więcej faktów. Jeśli chcą procesu, to te fakty wyjdą na światło dzienne... To poskutkowało. Z tego powodu żadnego procesu o zniesławienie oczywiście „Życiu Polonii” nie wytoczono.

Wielu znacznych ludzi pytało mnie po moim usunięciu z Centrum, dlaczego nie odpowiadam na te oszczerstwa. Na kontynuowanie walki nie pozwalał mi wtedy stan zdrowia. Wraz z wyrzuceniem utraciłem ubezpieczenia lekarskie, a leczenie kosztuje drogo. Nie stać mnie było na nic. W modlitwach prosiłem Boga tylko o to, bym nie umarł, by mi pozwolił jeszcze wykazać moją niewinność. Moje modlitwy zostały wysłuchane. Zdrowie moje poprawiło się, a i warunki materialne pozwalają mi teraz na to, by wydać tę książkę. Przyda się ona naszej emigracji... Zobaczysz ona w niej siebie, jak w lustrze...

24. FUNDUSZE CENTRUM I UNII KREDYTOWEJ W LATACH 1971 — 1981

	FUNDUSZE WŁASNE ks. L TOŁCZYKA	WPLÝWY ORGANI- ZACJI CENTRUM	STOŁÓWKA	PROGRAM ETNICZNY	PROGRAM DOŻYWIA- NIA KLUB KRAKUS	PROGRAM OPIEKI NAD CHORYMI	PROGRAM AKCJI SPOŁECZ- NEJ
1971/73	121,563	588	—	—	—	—	—
1973/74	—	4,802	—	—	—	—	—
1974/75	—	6,557	—	37,500	60,431	—	—
1975/76	—	6,213	13,300	64,866	70,547	—	—
1976/77	—	8,614	35,403	72,614	134,540	—	—
1977/78	—	6,353	60,669	124,796	102,802	—	—
1978/79	—	2,757	77,650	119,726	95,092	—	—
1979/80	—	4,046	90,308	129,996	95,775	—	—
1980/81	—	10,383	127,380	118,875	95,392	2,818,551	45,437

W tym samym okresie kapitał Unii Kredytowej wzrastał następująco:

1977/78	545,324
1978/79	1,310,926
1979/80	2,631,959
1980/81	4,725,277

Proszę zwrócić uwagę, że w ciągu pierwszych czterech lat, od 1971 do 1974 roku, gospodarzyłem praktycznie biorąc wyłącznie własnymi funduszami. Wpływy organizacyjne były tak znikome, że nie sięgały nawet 5% ogólnej sumy nakładów. Co prawda z sumy moich funduszy należałoby odjąć wartość budynku (20,552 dolary), gdyż z uwagi na „konflikt interesów” musiałem ten dom sprzedać. Niemniej, aż do maja 1974, do tej sławetnej manifestacji, która spowodowała przyznanie nam pierwszych

programów, sam ponosiłem koszty remontów, przystosowania budynku do publicznego użytkowania, zbudowania i wyposażenia kuchni w sprzęt, maszyny biurowe, materiały biurowe, opłat za telefon i energię elektryczną, opał, wszelkie ubezpieczenia i podatki, a także pensje dla pracowników. Nikłe wpływy organizacyjne pochodziły z opłat członkowskich, prywatnych datków, dochodów z bazarów, oraz drobnych opłat za kopiowanie dokumentów i tłumaczenia.

W pozycji „stołówka” mieszczą się dochody brutto, uzyskiwane ze sprzedaży obiadów i pieczywa. Dochody te szybko wzrastały, mimo bardzo niskich cen, ale zysku ze stołówki nie było, lub był on niezmiernie mały, gdyż ceny produktów spożywczych w owych latach gwałtownie drożały i wzrastały koszty opału, elektryczności itp. Nawet w roku 1980/81, kiedy suma tych wpływów wzrosła aż do ponad 127 tysięcy dolarów, nie zdołały one pokryć wydatków na stołówkę. Straty w tym okresie wyniosły ponad 8 tys. dolarów.

Programami nie ja zarządzałem, lecz dyrektorzy i miasto, więc też i z rozliczeniem tej działalności nie czyniono mi zarzutu. Gospodarowałem wraz z E. Wittem jedynie obrotami stołówki oraz sam — wpływami organizacyjnymi. Zarząd Centrum, z prezesem Przybyłowskim na czele, usiłował więc udowodnić mi nadużycia w tym zakresie poprzez powołanie biegłego księgowego, Mortona Bergera, który przeprowadził kontrolę dokumentacji za rok 1980.

Warto podkreślić, że decyzję tą podjęto już po moim usunięciu. Nawet w Sowietach tak nie robią. Tam przynajmniej fabrykują jakiś dowód zanim oskarżą ofiarę. O mnie powiedział natomiast Przybyłowski:

— „Wynajmę biegłego (CPA), sam zapłacę, ale mu nadużycia udowodnię”.

Działo się to jednak już po usunięciu mnie...

Biegły Morton Berger przedstawił swoje sprawozdanie 9 września 1981, ujmując w nim następujące rozchody:

	STOŁÓWKA	ORGANIZACJA
pobory pracowników	59,333	—
czynsze	4,900	465
zakupy art. spożywczych	60,169	—
koszty ogólne działalności	5,606	70
utrzymanie czystości i naprawy	2,719	2,043
zakup środków nietrwiałych	—	138
drobne opłaty i wydatki	1,102	1,125
amortyzacja sprzętu	1,954	—
ubezpieczenia	—	989
odsetki zapłacone Unii Kredyt.	—	1,125
druki	—	98
(w dolarach) Rozchody łącznie	<u>135,783</u>	<u>6,053</u>

Bilans otwarcia:	zapas gotówki	23,671
Dochody:	stołówka	127,380
	organizacja	<u>10,383</u>
		138,763
	łącznie	<u>152,434</u>
Rozchody:	stołówka	135,783
	organizacja	<u>6,053</u>
	razem	141,836
Bilans zamknięcia:	zapas gotówki	11,291
	uznane straty stołówki	8,401
	łącznie	<u>161,528</u>

Z tego rozliczenia wynikła różnica w wysokości 9,094 dolary, które stanowiły jakby nadwyżkę budżetową. W istocie jednak ta nadwyżka pochodziła z zaciągniętej wcześniej pożyczki w Unii Kredytowej w wysokości 11,000 dolarów, z przeznaczeniem na wydanie książki pt. Polish Americans in New York City, w nakładzie 5000 egzemplarzy, kosztem około 12,500 dolarów, a także w momencie sporządzania tego kontrolnego bilansu figurowały w inwentarzu, jako towar do sprzedania. W ogólnym rozrachunku więc dochody i rozchody bilansowały się i uczciwy biegły księgowy nie wykazał żadnych niedociągnięć, czy nadużyć. Odchodząc

nie pozostawiłem żadnego długu. To, co pisał na ten temat Nowy Dziennik było ordynarnym kłamstwem.

Zamiast znaleźć, post factum, jakikolwiek dowód mojej nieuczciwości, zarząd musiał przeczytać sprawozdanie biegłego, który orzekł m.in: „dowody finansowe odnośnie gospodarki funduszami Centrum Polsko-Słowiańskiego za okres kończący się 31 grudnia 1980 prowadzone były uczciwie, a wyniki operacji za ten rok są zgodne z ogólnie przyjętymi zasadami księgowości”.

Upragnionych przez nowych władców Centrum nadużyć nie znaleziono. Musiano jedynie zapłacić biegłemu 2,815 dolarów za tą szczegółową kontrolę i za przekonanie się, że jestem uczciwy. Tego jednak nigdy nie opublikowano! Korzystam teraz z tego sam, gdyż chociaż w wielkim skrócie mogę przedstawić społeczeństwu, jak w rzeczywistości wyglądało zarzucane mi „złodziejstwo”.

Nowi ludzie w zarządzie nic o tym nie wiedzą, będą więc z pewnością czytali powyższe z wielkim zainteresowaniem. Po raz pierwszy będą mieli okazję popatrzeć nieco innymi oczami na starych „weteranów” występujących przed nimi w roli „bohaterów”, co to niby wyciągnęli Centrum i Unię Kredytową z biedy i upadku. Wierzę, że ci nowi ludzie w przyszłości zdołają poprowadzić obie instytucje lepiej i sprawiedliwiej.

Jak wspomniałem, zarządzaniem programami miejskimi nie ja się zajmowałem, ale miałem z tym też nie lada kłopoty. Pierwszy dyrektor programu dożywiania popełnił nadużycia finansowe. Został zwolniony, ale cały program został narażony na niebezpieczeństwo. Władze mogły cofnąć nam fundusze. Dzięki mądrości ówczesnego prezesa, Franciszka Gacka, oraz zarządu, sprawa została jakoś zażegnana, tylko ja osobiście poniosłem stratę ponad dwóch tysięcy dolarów. Zwolniony dyrektor tego programu sprzymierzył się oczywiście z innymi moimi wrogami i brudził później co niemiara. Zamiast cicho pokutować za swoje przewinienia, przyczynił się wraz z innymi do takiej kampanii szkalowania, że zawieszono nam program CETA i wstrzymano fundusze innych programów na zapłatę pracownikom i zakup żywności dla seniorów w Klubie Krakus. Trzeba było pokrywać bieżące wydatki z konta organizacji, byle tylko nie przerwać działalności, a o to przecież chodziło nieprzyjaciołom Centrum i moim wrogom. Ryzykowałem wtedy sam, bo wiedziałem, że nic nam nie udowodnią. Zarząd Centrum zastanawiał się wówczas, czy pożyczać pieniądze na żywność, gdyż w kasie gotówki za dużo nie było. Zagwarantowałem więc sam, że jeśli program zostanie przerwany i nie wypłaci należności, to straty Centrum pokryję z własnych funduszy.

Ciężkie to były czasy, wiele przeżyłem, lecz któż to dziś zechce pamiętać i docenić?!

Warto też podkreślić, że Program Opieki nad Chorymi, ten największy zresztą, otrzymałem dopiero po zakończeniu wszelkich dochodzeń, niejako w „nagrodę”. Program ten otrzymały tylko duże i od dawna istniejące, znane organizacje. Nasz pierwszy budżet w tym programie opiewał na 2 miliony 800 tysięcy dolarów. Obecnie ten jeden program dysponuje funduszem blisko 9 milionów dolarów! Był to jeden z ostatnich programów uzyskanych przeze mnie. Otrzymywałem coraz więcej programów, gdyż pisałem propozycje i wnioski prawie na każdy z nich, a gdy je otrzymywałem, to stawiałem zarząd przed faktem dokonanym. Po moim usunięciu żadnego większego programu nowi władcy Centrum nie uzyskali. Trawią jedynie to, co ja osiągnąłem, i spoczywają na laurach, jakże niezasłużonych...

O nadużyciach w realizowaniu funduszy na program mowy w zasadzie nie było, gdyż nie ja nimi zarządzałem. Zresztą dyrektorzy tych programów muszą dokładnie rozliczać się przed władzami udzielającymi funduszy na określone cele. Dlatego ścisłej kontroli poddano jedynie konto stołówki i organizacji, za które uznano mnie osobiście odpowiedzialnym. Oczywiście nie poddawano „kontroli” okresu rozwojowego, kiedy oprócz ciężkiej pracy wkładałem grube tysiące dolarów, aby Centrum uruchomić i postawić na nogi.

W 1983 roku wystąpiłem do zarządu Centrum o zwrot niektórych sum, które Centrum było mi w oczywisty sposób winne. Chyba warto przedstawić tu kopie tych moich wniosków, gdyż wynika z nich jasno, że ja nic nie byłem winien Centrum, lecz przeciwnie: Centrum i Unia Kredytowa były winne mnie.

Ks. Longin J. Tolczyk
673 Leonard Street
Brooklyn, N.Y. 11222

II-go kwietnia 1983 r.

Do Zarządu Centrum Polsko - Słowiańskiego
176 Java Street
Brooklyn, N.Y. 11222

Poniżej przedstawiam zestaw załączników wykazujących moje należności od Centrum Polsko - Słowiańskiego i wnoszę o jak najszybsze ich uregulowanie.

- I. Meble, sprzęty i urządzenie biur w latach 1971 - 1981
- a/ Przesyłam kopje rachunków na ogólną sumę \$ 10,407.69, załącznik Nr. 1.
 - b/ Kopia listu adwokatów z dnia 23-go września 1981 wykazująca przesłanie spisu moich rzeczy, zał. Nr. 2.
 - c/ Kopia wyciągu z protokołu z zebrania Zarządu CPS z dnia 9-go czerwca 1977 r. zał. Nr. 3
 - d/ Rekompensata za moje meble, kopia czeku Aleksandra Jordana wystawionego na CPS, dowód depozytu \$ 2232.88 na konto CPS, zestawienie miesięczne z First National Bank wykazujące zapis na konto CPS zał. 4, stron 2.

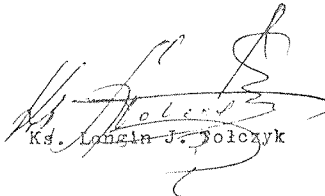
2. Wydatki związane z samochodem CPS w latach 1977-1981, kopia upo- 261
ważniająca księgową do wypłaty z dnia 2-go marca 1981 r., za bieżące
oleje, mosty, tunele i parkingi w łącznej sumie \$ 2.518.47, zał.Nr.5
3. Kiedy Centrum nie było w stanie płacić koniecznych zobowiązań i ra-
chunków, by utrzymać dobry kredyt organizacji i nie wypisywać czeku
bez pokrycia udzielałem pożyczek.
 - a/ Świadczą o tym чеки moich poborów za pracę w programie etnicznym,
które zostały zdeponowane na Koncie CPS, numery i sumy czeków:# I004
\$ 471.17, # I008 - \$ 471.17, # I012 - \$ 471.17, # I305 - \$30.70
w łącznej sumie \$ 1.444.21, zał. Nr. 6 stron 3.
 - b/ Suma \$ 800.00 pobrana z mojej książki oszczędnościowej w First
National City Bank, czek Nr. 2438357 i zdeponowana na konto CPS,
zał. 7.
 - c/ Kopia rozliczenia konta CPS jako organizacji za rok 1979, gdzie
księgowia Centrum, Pani Teodozja Abramajtis wyraźnie własnoręcznie
pisze o należności dla "księdza" \$ 1.741.00, zał.Nr.8, strn 3.
4. Domagam się zwrotu kosztów w sumie \$ 5,552.00 w związku ze stratami
poniesionymi przez zamknięcie mego biura i wywóz moich rzeczy z
których większa część zginęła, lub uległa zniszczeniu, co może być
potwierdzone zeznaniem ludzi którzy byli obecni przy przywiezieniu
z magazynu i rozpakowaniu tych rzeczy. zał. Nr.9 stron 4.
5. Przejazdy, przyjęcia i prezenty w okresie 10-ciu lat
 - a/ Przejazdy służbowe do różnych miast związane z działalnością CPS
w łącznej sumie \$ 1,136.00, zał. Nr.10.
 - b/ Oprócz tego szczególnie w pierwszych latach istnienia Centrum po-
krywałem z własnych funduszy wydatki związane z urzędowaniem przyjęć
z różnych okazji i dla różnych przedstawicieli.

Również z własnych funduszy pokrywałem w okresie 10-ciu lat
koszta reprezentacyjne i prezentów z różnych okazji. Na wyżej
określone cele ponosiłem niewątpliwie znaczne wydatki, których
z uwagi na dłuższy upływ czasu nie jestem w stanie sprecyzować i
określić, dlatego wysokość mojej należności z tego tytułu pozosta-
wiam do uznania Zarządu CPS.

Przy czym jednocześnie oświadczam, że nie domagam się zwrotu
wydatkowanych przeze mnie sum na doraźną pomoc biednym, którzy
właściwie zwracali się nie do mnie osobiście, ale do Centrum
jako organizacji, będąc wielokrotnie w błędzie i motywując, że
Centrum otrzymuje pieniądze z miasta dla najbiedniejszych.

Niezależnie od powyższego oświadczam, że nie żądam ekwiwalentu
choćby miałbym do tego prawo za bezpłatnie przepracowane lata
od 1971 do 1974, oraz za wszystkie soboty i świąteczne popołudnia
w okresie od 1971 do 1978, a także za niewykorzystane doroczne
urlopy i dni chorobowe w okresie 10-ciu lat.

Mam nadzieję, że powyższa sprawa wreszcie zostanie załatwiona
pozytywnie i wkrótce otrzymam moje należności zgodnie z prze-
dstawionymi dowodami.


Ks. Loncia J. Polczyk

Ks. Longin J. Tolczyk
673 Leonard Street
Brooklyn, N.Y. 11222

20 stycznia 1986 r.

Centrum Polsko Słowiańskiego
176 Java Street
Brooklyn, N.Y. 11222

Do Zarządu Centrum Polsko Słowiańskiego
176 Java Street
Brooklyn, N.Y. 11222

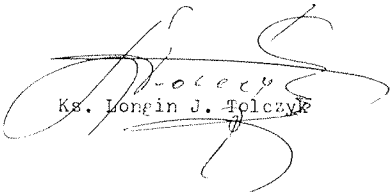
Pismami z następujących dat: 11 kwietnia 1983 r., 12 września 1983 r., 11 Listopada 1983 r. i 22 maja 1984 r. zwracałem się za pośrednictwem byłego prezesa Mieczysława Frzybyłowskiego do Zarządu Centrum Polsko Słowiańskiego o wypłacenie mi moich należności.

Zgodnie z faktami muszę stwierdzić jako jedyny inicjator i założyciel Centrum Polsko Słowiańskiego, Unii Kredytowej i wszystkich obecnie istniejących programów, że dzięki tylko mnie i memu dziełu Mieczysław Frzybyłowski został prezesem Centrum, a po śmierci okrzyczany przez współwłaścicieli "Nowego Dziennika" za "popularnego i wysoce zasłużonego działacza".

Faktem jest, że ten "popularny i wysoce zasłużony działacz" nigdy jako prezes Centrum nie odpowiedział na moje wyżej cytowane pisma odnośnie moich skromnych roszczeń.

Sądzę, że nowy prezes Ryszard Konopka przyjmie lepszą taktykę w rządzeniu i na korespondencję przynajmniej zgodnie z zasadami prowadzenia biura będzie odpowiadał.

Dlatego będę czekał na odpowiedź Zarządu Centrum Polsko Słowiańskiego na wyżej cytowaną i niezalatwiczną, a udokumentowaną korespondencję.



Ks. Longin J. Tolczyk

(Przesyłane listy długo pozostawały bez odpowiedzi, wreszcie adwokat Centrum zaoferował wypłatę należności moich za wyrzeczenie się roszczeń i pretensji do jego klientów). Na dowód tego zamieszczam tu reprodukcję pisma Unii Kredytowej (pomniejszenie z oryginału), w którym przyznano mi koszty remontu Unii Kredytowej, jakie poniosłem i zaproponowano tą sumą pokryć resztę mego długu, powstałego z zaciągniętej pożyczki.



POLISH & SLAVIC FEDERAL CREDIT UNION

140 GREENPOINT AVENUE, BROOKLYN, N.Y. 11222

Tel. (212) 383-6268

Rev. Longin Tolczyk
673 Leonard Street
Brooklyn, N.Y. 11222

October 10, 1983

Dear Rev. Tolczyk:

Referring to your letter of June 5, 1983, we acknowledge the costs which you incurred in the renovation of the credit union and agree to offset these costs against your loan. Enclosed please find a copy of your loan ledger shown paid in full.

Richard Konopka
Treasurer

Yours truly,

George Storożynski
General Manager

GS;hp
Encl.

(Dla nieznających języka angielskiego podaję treść powyższego pisma w tłumaczeniu na język polski:

Wielebny Księżu Tolczyk,

W odpowiedzi na list księdza z dnia 5 czerwca 1983 roku potwierdzamy koszty poniesione przez księdza w czasie prowadzenia remontów — budynku Unii Kredytowej — i zgadzamy się pokryć tymi należnościami (pieniężnymi) księdza pożyczkę.

W załączeniu przesyłamy kopię z księdza pożyczki wykazującą całkowite jej spłacenie. Z poważaniem, własnoręczne podpisy

Richard Konopka — skarbnik, George Storożynski — główny kierownik).

Na koncie moich prywatnych pożyczek w Unii Kredytowej wisiał jeszcze dług w wysokości 3,150 dolarów. Unia Kredytowa skorzystała z tej okazji i „łaskawie” zgodziła się w październiku 1983 roku uznać, że poniesione przeze mnie osobiście koszty remontu lokalu Unii Kredytowej zostaną uznane jako spłata tego długu.

Pewnego dnia jeden z kontrolerów zapytał mnie, jak to się stało, że bank wystawił czek na sumę znacznie większą, aniżeli w danym dniu było na koncie bankowym Centrum? Wyjaśniłem mu, że w tym dniu brakowało pieniędzy, więc dopłaciłem z własnej kieszeni, bo była okazja kupna na licytacji sprzętu kuchennego dla naszej stołówki. Kontroler mocno zaklął i dodał: „Cóż to za ludzie, ci Polacy! Ksiądz płaci własnymi pieniędzmi, a oni go jeszcze oskarżają!” Przykre to, rzeczywiście.

Innym razem spotyka mnie jakiś starszy pan w kolejce podziemnej i mówi: „Proszę księdza, ja w te plotki nie wierzę. Mówią, że ksiądz okradł Centrum i Unię Kredytową, a przecież pamiętam, jak ksiądz sam to wszystko budował, zakładał, śmieci zamiętał i sam wynosił. Stary jestem i życie mnie wiele nauczyło. Wierzyć w te plotki nie mogłem, bo przecież wtedy na początku to i kraść nie było z czego. Teraz to co innego, teraz Centrum i Unia ma grube miliony, to jest z czego kraść. Czy to nie podejrzanane, że co roku prawie wymieniają te komputery i inne rzeczy?”

Nie chciałem kontynuować tej niemiłej rozmowy. „Nie sądzmy, abyśmy nie byli sądzeni...” — odpowiedziałem — „jest jeden Sędzia sprawiedliwy, który kiedyś nas wszystkich osądzi...”

Jak wynika z dokumentów nie ja okradłem, ani byłem dłużny, ale Unia Kredytowa zwróciła moją należność w sumie \$ 3.150,00 również nie Centrum ale ja zgłosiłem pod jego adresem roszczenia w wysokości kilkunastu tysięcy dolarów. Zarząd Centrum gotów był tę należność uregulować o ile ja sprawę wycofam z sądu, ponieważ tak zapewnił mnie jeden z członków zarządu, że zapłata tej należności nastąpi. Kiedy już prawie doszło do ugody adwokat Centrum zażądał, abym wpierw podpisał sądowy akt cofnięcia teraz i na przyszłość wszelkich roszczeń. Nie zgodziłem się na podpisanie sądowego pisma nawet w zamian za zapłatę należności, bo właściwie z tego dokumentu wynikało, że w ten sposób ci panowie zamkną mi usta na zawsze. Byli pewni, że nie będę mógł nawet w przyszłości mówić i pisać prawdy na ten temat.

Moi wrogowie staliby się „nietykalni”, gdyż mogliby w przyszłości pociągać mnie do odpowiedzialności za każde słowo pod ich adresem. A na to nie mogłem się zgodzić. Nie podpisany przeze mnie dokument, przysłany mi przez adwokata Andrew Szczeńniaka zatrzymałem sobie „na pamiątkę”.

Kopia tego dokumentu jest dowodem, który załączam poniżej.

SUPREME STATE
COURT OF THE COUNTY OF KINGS OF NEW YORK.

Index No. 10791/82

LONGIN TOLCZYK,

Plaintiff(s)

Calendar No.

against

POLISH & SLAVIC CENTER, INC.,
MIECZYSLAW PRZYBYLowski, EUGENE
SLIWOWSKI and JERZY PANCIWICZ,

Defendant(s)

STIPULATION
DISCONTINUING ACTION

IT IS HEREBY STIPULATED AND AGREED, by and between the undersigned, the attorneys of record for all the parties to the above entitled action, that whereas no party hereto is an infant or incompetent person for whom a committee has been appointed and no person not a party has an interest in the subject matter of the action, the above entitled action be, and the same hereby is discontinued, without costs to either party as against the other. This stipulation may be filed without further notice with the Clerk of the Court.

*with prejudice

Dated: October 4, 1983

Andrew W. Szczesniak
The name signed must be printed beneath.

ANDREW W. SZCZESNIAK, ESQ.

X

The name signed must be printed beneath.

LONGIN TOLCZYK

Attorney(s) for Defendant(s)
225 Broadway
New York, New York 10007

~~XXXXXXXXXX~~ Plaintiff(s) Pro Se
673 Leonard Street
Brooklyn, New York 11222

Zresztą, straty materialne nigdy nie były dla mnie najważniejsze. Chciałem jednak mieć prawo i możliwość wykazania na podstawie posiadanych dowodów, że wyrządzono mi wielką krzywdę, nie tylko materialną, ale przede wszystkim — moralną. Krzywdę w oczach opinii publicznej i w oczach Kościoła, zarówno amerykańskiego, jak i polskiego. Wierzę w Boską Sprawiedliwość i wiem, że ta zawsze zwycięży. Nawet w tym okropnym, sowieckim systemie zdarza się, że niewinnie skazanych rehabilitują. Ja skazany nie byłem, jeśli nie liczyć skazania na moralną udrękę... Tu, w Ameryce, w wolnym kraju, istnieje przecież szansa publicznego wykazania prawdy. Korzystam z tej szansy. Mogę to zrobić, gdyż nigdy nie zrzekłem się ze swoich pretensji w stosunku do tych, którzy mnie skrzywdzili.

25. STOSUNEK „PRL” DO MNIE I DO CENTRUM

Każdy Polak wie dobrze, że wszystkie organizacje, instytucje, kluby, czy stowarzyszenia, mają swych „aniołów-stróżów” delegowanych przez reżym. Dotyczy to nie tylko instytucji krajowych. Nadzór poza granicami kraju prowadzony jest z nie mniejszą gorliwością.

Centrum było w owym czasie jedyną instytucją społeczną na terenie Stanów Zjednoczonych prowadzącą programy subsydiowane przez władze amerykańskie i choćby z tego względu, było obiektem szczególnego zainteresowania reżymowych organów bezpieczeństwa. Ich metody działania poznałem jeszcze w czasie studiów w Seminarium Duchownym, a później w parafiach w kraju, gdzie pracowałem.

Jednak w Polsce łatwiej było odizolować się od ich ingerencji i wpływów. Natomiast tutaj, w Ameryce, gdzie ultra-demokratyczne przepisy zabraniają najmniejszych nawet przejawów dyskryminacji, szczególnie w działalności społecznej subsydiowanej przez władze, nie sposób odizolować się od wtoczyk, garnących się do zarządu lub do pracy w Centrum.

Przez 10 lat nie sprawiało mi to specjalnych trudności w zarządzie, gdyż nawet jeśli trafiła nam się osoba podejrzana o działalność na rzecz reżymu, to działać wiele nie mogła. Przyznaję, że pod tym względem rządziłem zdecydowanie i stanowczo, dzięki czemu stworzyłem trwałe podstawy dla Centrum i Unii Kredytowej.

Pierwsze poważne trudności powstały dopiero wtedy, kiedy organizując realizację programu CETA musiałem w ciągu 2 dni przyjąć do pracy 36 osób. Gdybym nie angażował tych ludzi natychmiast, to fundusze CETA zostałyby przeznaczone na inny cel lub dla jakiejś innej instytucji.

W podobny sposób musiałem szybko zatrudnić ponad 20 studentów z kraju, nowoprzybytych, wśród których reżym komunistyczny mógł mi z łatwością wcisnąć kilka swoich wtoczyk. Zdawałem sobie z tego sprawę,

ale byłem spokojny, gdyż ci ludzie nie mieli żadnych szans na zaprowadzenie swoich porządków w Centrum, a tym bardziej nie mogli oni zmienić moich przekonań i stylu pracy.

Co nie znaczy, że nie usiłowali działać. Wichrzyli, gdzie mogli, wciągając do swej akcji niewinnych i niezorientowanych pracowników, nawet wychowanych już w Ameryce, jak na przykład Bogdan Wasiutyński. Nie mam najmniejszej wątpliwości, że to właśnie ci „aniołowie-stróże” wyprowadzili na ulicę grupę pracowników, z obelżywymi i kłamliwymi hasłami, atakującymi głównie moją osobę, a nawet cały zarząd Centrum.

Wyznaję tu przed Bogiem i ludźmi, że w ciągu prawie dziesięcioletniej kadencji zarząd Centrum i Unii Kredytowej wiernie służył idei niepodległościowej. W tym czasie Centrum nie było od nikogo zależne, a służyło jedynie Sprawie Bożej poprzez pomoc bliźniemu i z całym oddaniem sprawie polskości.

Jednak system panujący obecnie w naszym kraju stawia sobie za cel, aby wszystko i wszyscy, Polacy w kraju i na obczyźnie, a szczególnie wszelkie organizacje i instytucje polskie, były przez ten reżym kontrolowane i sterowane. Szukały więc władze „PRL” dróg i sposobów, aby ten cel osiągnąć także i w stosunku do Centrum, choćby z uwagi na to, że Centrum i Unia Kredytowa dysponowały już milionami dolarów na swoją działalność.

Jedną z pierwszych akcji wymierzonych przeciwko mnie i Centrum było założenie przez reżymową agenturę pisemka pn. „Tydzień”, które specjalizowało się w bezceremonialnych atakach na wszystkich, kto dla reżymu był tutaj niewygodny. Jadowite i bezczelne ataki na mnie nie dawały jednak rezultatów. Reżym postanowił więc zmienić taktykę. Jerzy Myssura, wraz ze swym pisemkiem „Tydzień” zniknął nagle z nowojorskiego horyzontu, a konsulat zmienił postępowanie wobec członków zarządu Centrum i Unii Kredytowej. Wiadomo było, że do tej pory nie chciano udzielać im wiz wjazdowych do Polski. Nagle worek pękł i wizy posypały się nie tylko dla tych, którzy przyjechali tu na wizytę i pozostawali „nielegalnie”, lecz nawet dla tych członków zarządu, którzy uzyskali tutaj azyl polityczny.

I znów, mnie to nie dziwiło. Wiedziałem dobrze, że jest to po prostu nowa próba pozyskania sobie ludzi z zarządu, zdobycia wpływu na nich, a przez to — zdobycie możliwości sterowania Centrum. Kilkuletnia walka wytoczona przez właścicieli agencji, organizacje oraz pracowników i studentów przeciwko zarządowi i mojej osobie spodziewanych wyników nie dała. Nie udało się oskarżyć mnie o nadużycia i pozbyć się w ten sposób, więc powoli skaptowano członków zarządu Centrum i Unii Kredytowej i przy ich pomocy przeprowadzono skuteczną penetrację na-

szych instytucji.

„Aniołowie-stróżowie” nie ograniczają się do obserwowania, czy działalności wewnątrz danej organizacji. Ich zadaniem jest objęcie pod „opiekę”, tj. urabianiem i pozyskiwaniem dla siebie jednostek, które wykazują własną inicjatywę w jakiejś dziedzinie i działają na własną rękę. Jeśli działalność takich osób w jakimkolwiek stopniu dotyczy spraw interesujących reżym, to natychmiast znajdują się życzliwi „aniołowie-stróże”. Wciągają w swoje macki wpraw bardzo delikatnie, oferując pomoc na początku zupełnie niewinną. Później zdradzają się kim są, oferując załatwienie paszportów na wyjazd do USA dla rodziny, lub oferując przedstawicielstwo Banku PeKaO, czy jakieś inne udogodnienia, aż do bezcłowego przewozu różnych atrakcyjnych towarów do kraju, aby umożliwić dodatkowe dochody w półlegalnym handelku, włącznie. Konsekwencją są już systematyczne kontakty z funkcjonariuszami „PRL” na terenie USA, prowadzące często do współpracy o charakterze szpiegowskim.

Niejeden świecki wpadł w ich macki. Przydarzyło się to także księżom, przyjeżdżającym do Ameryki. Już z uwagi na ich funkcję społeczną, stają się oni automatycznie obiektem pilnej obserwacji ze strony „aniołów-stróżów.” Jeśli nie wykazują mocnego charakteru, to stają się ich ofiarami. Agenci reżymu nie mają tu zbyt trudnego zadania, gdyż polscy księża w większości przypadków nie mają tu żadnej opieki ze strony Kościoła Amerykańskiego. Nie mają też opieki i poparcia ze strony Ośrodka Duszpasterskiego dla Polaków z odległego Rzymu. W nieco lepszej sytuacji znajdują się jedynie księża zakonni, znajdujący oparcie w swym zakonie. Ogromna większość księży diecezjalnych z Polski musiała na własną rękę wdzierać się do „amerykańskiej winnicy pańskiej”, a wielu z nich mogłoby grube tomy napisać o trudnościach, na jakie tu napotykali, kiedy usiłowali przedrzeć się przez gąszcz praw polskich, amerykańskich i kościelnych, zanim ustawili się tu zgodnie z sumieniem i prawem.

Dlatego też, szczególnie młody ksiądz z kraju, często przybywający z ogromnym zapalem do pracy wśród Polonii, zamiast znaleźć oparcie, trafiał „pod opiekę” „anioła-stróża”, który przedstawił mu się jako dobry patriota, pragnący pomóc jemu i innym biednym rodakom pozostawionym w kraju.

Piszę to w oparciu o moje własne, gorzkie doświadczenia. Sam znalazłem się właśnie w takiej sytuacji. Nie miałem żadnego oparcia u władz kościelnych amerykańskich. W Diecezji Brooklyn pracowałem na statusie „gościa”, z tą jednak różnicą, że w naszym pojęciu gość jest karmiony i pojony, a pracować nie musi. Tu było odwrotnie. Pracowałem szereg lat w tych warunkach i sam stałem się pastwą „aniołów-stróżów”.

Przyjąłem nawet przedstawicielstwo PeKaO, co uważam za największy mój grzech. Nie rozumiałem tego wówczas. Tłumaczono mi, że pomagam wysyłając paczki i pieniądze tym, co tu przyjeżdżają „na wizytę”, na zarobek, że dzięki temu ułatwia się im pomoc rodzinom w kraju.

Tłumaczono mi także, że Bank PeKaO jest placówką amerykańską, że pracują w niej nawet żony Bolesława Łaszewskiego i Zbigniewa Konikowskiego, znanych przecież, jako „wielcy patrioci” i Polacy...

Załatwiając jakąś sprawę w biurze podróży B. Łaszewskiego „Fregata”, zapoznano mnie z byłym dyrektorem PBP „Orbis” w Nowym Jorku, moim urzędowym „archaniołem — stróżem”, który nagle okazał się być moim „wielkim przyjacielem” i namówił mnie, abym zebrał wycieczkę i przez biuro Łaszewskiego pojechał w odwiedziny do Polski. Opierałem się początkowo, argumentując, że w kraju prześladowano mnie za nieodczytanie z ambony listu potępiającego Biskupa Kaczmarka i że nie chciano mi dać zezwolenia na nauczanie religii w szkołach nawet w okresie tzw. odwilży. Opowiedziałem mu historię, jak to Biskup Adam Sawicki targował się o zezwolenie dla mnie na nauczanie religii w szkołach, zgadzając się nawet na rozebranie garaży, wybudowanych nocą w ogrodzie Kościoła Farnego w Białymstoku, w zamian za co biskup uzyskał to zezwolenie. Ale i tak został przez władze „PRL” oszukany, gdyż wydano mi co prawda to zezwolenie, ale tylko na 3 miesiące. Wspomniałem i o innych prześladowaniach, które skończyły się tym, że Biskup Sawicki po cichu polecił mi wyjechać z kraju.

Mój „archanioł — stróż” zapewnił mnie, że w Polsce nie spadnie mi przysłowiowy włos z głowy. A po siedmioletnim pobycie za granicą, muszę przyznać, miałem chęć zobaczenia rodziców i spotkania się z rodziną i księżmi w kraju. Uwierzyłem naiwnie, że w kraju wiele się zmieniło, zebrałem kilkunastu znajomych i z wycieczką załatwianą przez B. Łaszewskiego odwiedziłem ojczyste strony...

Później, im więcej działałem wśród Polonii, tym bardziej byłem osaczany przez „aniołów-stróż”. Wpierw były to niewinne, „patriotyczne” rady i propozycje pomocy dla rodaków, później — w toku obiadków z napojami alkoholowymi — nawet oferty poważnych sum gotówki. Napoi alkoholowych nie piję, więc rozmowy wypadały drętwo, a propozycje skutku nie odnosiły.

Wtedy to „archanioł-stróż” użył środka ostatecznego. Zaoferował tysiące dolarów, w banknotach, jak powiedział, „nigdzie nie notowanych, które gotów jest dać bez żadnego pokwitowania, w zamian za pewne informacje”... Dokończyć mu nie dałem. Wybuchnąłem, jak rzadko kiedy w życiu. Powiedziałem wprost: „Chce mnie pan kupić?! Księdza do tej swojej brudnej roboty?! Precz!” Usiłował się jakoś usprawiedliwić, ale

otworzyłem drzwi szeroko i krzychałem: „Precz, zdrajco sprawy polskiej i amerykańskiej...” Na co ten pan: „Do Polski cię już nie wpuścimy... Pamiętaj, my ciebie załatwimy!”

Słowa dotrzymał. Zlecenia i czeki zostały mi natychmiast zwrócone z Banku PeKaO, doręczone osobiście przed adwokata PeKaO Malewskiego, bez uzasadnienia, ale wkrótce nadeszło pismo zawiadamiające, że przedstawicielstwo PeKaO zostało mi cofnięte.

Znikli z horyzontu ci „doradcy” i „dobrzy patrioci”. Wszelkie sprawy interesantów z moim podpisem i pieczęcią notarialną były bez wszelkiego uzasadnienia przez konsulát odrzucane bez załatwienia. Rodzicom i członkom mojej rodziny przez długie lata odmawiano wydania paszportów. Rodzicom w komendzie milicji powiedziano wyraźnie: „Wasz syn jest naszym największym wrogiem”. Wielu naszych interesantów mówiło mi i pisało z kraju, że załatwiano ich w kraju odmownie mówiąc: „Nie damy paszportu, bo zaproszenie było poświadczane notarialnie przez księdza Tołczyka, a on jest wrogiem Polski Ludowej”.

Tak więc stosunek władz komunistycznych do mnie zmienił się radykalnie. Dotąd obchodzono się ze mną łaskawie; dano mi nawet paszport konsularny. Teraz droga do kraju okazała się zamknięta.

Kiedys otrzymałem nagle telegram zawiadamiający, że Matka moja jest ciężko chora, w szpitalu, i chce mnie widzieć. Natychmiast wziąłem urlop w kościele, spakowałem najpotrzebniejsze rzeczy i pojechałem do Waszyngtonu, licząc na to, że złapię wizę i pojedę prosto do Polski. W Nowym Jorku wtedy jeszcze konsulatu „PRL” nie było. Ku mojemu zdziwieniu, telegram nie zrobił na urzędnikach wrażenia. Odmówiono mi wizy. Nie pomogły dłuższe targi z konsulami: Oreszczukiem, Nikitiukiem i Ciasiem. Nie myślałem jednak rezygnować. Poleciałem do Rzymu i wprost z lotniska zatelefonowałem do konsulatu „PRL”. Podałem tylko moje imię i nazwisko. Odpowiedziano mi, abym zaraz przyjeżdżał, gdyż kończą się godziny urzędowania. Złapałem taksówkę. Wpadam do konsulatu i trafiam na konsula Jankowskiego.

„To ja jestem Longin Tołczyk. Przed chwilą dzwoniłem. Mam telegram od chorej Matki...”

„Żałuję, ale księdzu wizy wydać nie możemy”.

Prosiłem o wizę choćby tranzytową. Nic z tego.

Przypadkowo spotkałem polskiego księdza z Wiednia. Poradził mi, że ma znajomego konsula i gwarantuje mi załatwienie wizy. Wieczorem poleciliśmy do Wiednia, a następnego ranka byliśmy już w konsulacie. Widziałem właśnie, jak konsul wydał wizę jakiejś kobiecie z amerykańskim

paszportem. Powiedziałem więc, że i ja chciałbym taką wizę, tylko na 5 dni. Konsul zdziwił się, uśmiechnął, powiedział, że „nam dolary są potrzebne” i zaoferował wizę na cały miesiąc.

„Chętnie bym skorzystał, ale zostało mi już tylko 20 dni urlopu z kościoła”. Zgodziłem się zresztą na 20 dni.

„Proszę udać się do sąsiedniego pokoju, przedstawić paszport i wrócić do mnie”.

W drugim pokoju zastałem kobietę w średnim wieku, która przejrzała mój paszport i wypełnione trzy druczki z wnioskiem o wizę, a następnie wzięła długą, wąską książkę z alfabetycznym spisem. Otworzyła ją na literze „T”, palcem wodząc po kolumnie nazwisk, aż wreszcie zatrzymała się, najwidoczniej przy moim nazwisku. Nic nie mówiąc książkę zamknęła i na jednym z druczków napisała w rogu u góry dwie duże litery: „NT”. W drodze powrotnej do konsula, domyślając się, że te litery świadczą iż jestem notowany, podłożyłem ten druczek pod spód. Konsul jednak go znalazł... Wyraził ogromne zdziwienie i z żalem stwierdził, że wizy mi wydać nie może.

Zacząłem znów moją litanię skarg o ciężko chorej Matce. Poradził mi, aby rodzina wysłała tu do Wiednia telegram o tym fakcie, ale potwierdzony przez Komendę Milicji.

„Będę miał wtedy prawo wydać księdzu wizę na trzy dni, a przedłużenie to sobie ksiądz załatwi na miejscu”.

Natychmiast zatelefonowałem do brata, że jestem już o miedzę tylko do domu i że potrzebny jest nowy telegram poświadczony przez Milicję. Wieczorem dostałem telefoniczną wiadomość, że owszem, telegram jest wysłany, ale z podpisem lekarza i dyrektora szpitala, gdyż Komenda Wojewódzka MO i Komenda Miejska MO, obie potwierdzenia telegramu odmówiły. Mimo to, następnego ranka znów udałem się do konsulatu. Ten sam starszy pan, tak uprzejmy i miły jeszcze wczoraj, gdy zobaczył podpisy lekarzy ze szpitala, zaczął mówić do mnie szorstko i urzędowo.

„Ani matki, ani Polski, ksiądz już nigdy nie zobaczy”.

Domyśliłem się, że musiał kontaktować się z Warszawą. Oświadczyłem mu z wściekłością prawie, że jeszcze dziś będę w Polsce...

Zdecydowałem się bowiem na swego rodzaju szaleństwo. Postanowiłem lecieć do kraju bez wizy. Wprost z konsulatu pojechałem na lotnisko. Wybrałem sobie ostatni samolot odlatujący nocą w tym dniu, tak by „towarzysze” nie mogli mnie zbyt szybko odesłać z powrotem. Udało mi się znaleźć pocziwą osobę na lotnisku, która zgodziła się dostarczyć mnie specjalnym samochodzikiem wprost do samolotu, zanim jeszcze nadejdzie obsługa i pasażerowie. Byłem więc w samolocie „Lotu” prawie o godzinę wcześniej od innych. Czekałem tylko na innych pa-

sażerów, by wyjść z ukrycia. Wszystko poszło sprawnie. Samolot PLL LOT ruszył z Wiednia do Warszawy, a ja rozglądałem się za jakimś godnym zaufania człowiekiem, by powierzyć mu następne zadanie. Wystartowaliśmy o 22:30. Pasażerów nie było zbyt wielu o tej porze. U prawie wszystkich widziałem paszporty dyplomatyczne i służbowe. Wracali zapewne z jakiegoś zjazdu. Upatrzyłem sobie jednak starszego pana, siedzącego niedaleko ode mnie. Kiedy pilot zapowiedział, że wkrótce będziemy lądować, wcisnąłem temu człowiekowi banknot 10-dolarowy prosząc, aby zaraz po wyjściu z lotniska zatelefonował na podany numer do mego brata i powiedział mu, że czekam na lotnisku bez wizy.

Pasażerowie z dyplomatycznymi paszportami przeszli przez kontrolę szybko. Ja byłem w kolejce ostatni. Podeszedłem do sympatycznie wyglądającego blondyna i podałem mu paszport. Zaczął szukać w paszporcie wizy.

„Niech pan nie szuka, bo wizy nie mam”.

Zdumiony podniósł na mnie wzrok.

„Wjechaliście do kraju polskim samolotem bez wizy?!”

Podeszedł kapitan, zabrał mój paszport i bilet. Zjawiła się zakłopotana stewardessa: „Jak to się stało, że nie zauważyłem, że ksiądz nie ma wizy?” „Byłem w samolocie w Wiedniu wcześniej niż pani!”

Wezwano mnie wreszcie do jakiegoś pokoju i oświadczone, że wizy nie mają prawa wydać, ale wysyłają żołnierza z moimi dokumentami do Warszawy i jeśli ten znajdzie odpowiednią, upoważnioną osobę, to być może będzie decyzja o jej wydaniu. Lecz sprawa jest trudna. Teraz jest już północ, piątek. Kazano mi czekać. Taśma z bagażem zatrzymała się. Została tylko moja walizka. Około drugiej godziny w nocy wrócił postaniec z miasta. Zakomunikowano mi, że nie znalazł kompetentnej osoby. Kapitan osobiście przyniósł moją walizkę i zaprowadził mnie do podziemnego hoteliku, którym zarządzała bardzo miła pani. Wskazano mi małą pokoi, oczywiście bez okna i wentylacji, w którym musiałem przenocować. Na moje narzekania, że w tej klitce można się udusić, że wolę siedzieć w poczekalni po naradzie, skierowano mnie do nieco większego pokoju, w którym były dwa łóżka. Od obsługującej ten „hotel” dowiedziałem się, że niedawno przyjechał ktoś z Niemiec bez wizy, a następnego dnia odesłano go z powrotem. A najnowszą historią była przygoda pewnego księdza z Rzymu, który przywiózł ze sobą obrazki religijne na prymicję swego krewniaka. Celniczka oświadczyła, że takiej propagandy religijnej wwozić nie wolno i obrazki zatrzymała. Ksiądz uparł się, protestował, więc ulokowano go także w tym „hoteliku”. Ogłosił głodówkę. Prawie trzy dni nic nie jadł i nie pił, wyzywając przedstawicieli władzy od bolszewików i hitlerowców. Przyjeżdżali z ministerstwa naczelnicy, ale nikt nie potrafił załatwić tej

sprawy polubownie. Po 2 dniach upór księdza zwyciężył. Oddano mu obrazki, z którymi pojechał jednak na wyświęcenie krewniaka.

Zmęczony, zasnąłem krótkim, ale twardym snem. Już o 6-jej rano byłem na wartowni, by dalej domagać się wizy. Ekipa zmieniała się. Kilkakrotnie pukałem do drzwi, ale ciągle odpowiadano mi: „Nie mamy jeszcze decyzji”.

Zaczęły się odloty samolotów do Ameryki. Spotykałem nawet znajomych, powracających z wizyty w kraju. Wśród nich był ks. Wacław Grochowski. Powiedziałem mu, że jestem bez wizy i mam kłopoty. Nalegał bym nie ryzykował, tylko załatwił sobie bilet i wracał razem z nim, gdyż mogę później żałować swego postępowania. Trudno, odpowiedziałem, mam już taki charakter, że w połowie drogi nie cofam się, a każdą sprawę staram się doprowadzić do końca. Byłem naprawdę zdecydowany na wszystko. Nie jestem przecież przestępcą.

O drugiej po południu wopista zaprowadził mnie na piętro tego samego budynku. Minęliśmy pierwszy pokój, w którym siedzieli funkcjonariusze o maskach podobnych do tych, którzy po wojnie rozstrzelali moich kolegów z AK. W drugim pokoju siedzieli dwaj urzędnicy o niewiele różniącym się wyglądem. Jeden z nich odezwał się natychmiast po wprowadzeniu mnie do tego pokoju.

— „Czy wiecie, dlaczego wam nigdzie nie wydano wizy?”

— „Nie, nie wiem. Właśnie po to przyjechałem tutaj, aby wreszcie dowiedzieć się”.

— „To ja wam powiem. Bo współpracujecie z FBI. My o tym wiemy”.

— „Spróbujcie mi to udowodnić. Ja pracuję tylko dla Kościoła i dla ludu Polonii”.

Po naradzie ze sobą powiedzieli mi, że mogą dać mi wizę warunkową tylko na siedem dni na odwiedzenie chorej Matki, ale pod warunkiem podpisania oświadczenia, że opłacę taksówkę wyznaczoną przez nich aż do Białegostoku, że będę przebywać tylko w domu rodziców, że nie pójdę do żadnego kościoła i nie będę kontaktować się z żadnym księdzem ani z żadną świecką osobą, poza najbliższą rodziną.

Odpowiedziałem na to, że warunki przyjmuję, gdyż bardzo mi zależy na zobaczeniu się z chorą Matką. Z jednym jednak zastrzeżeniem. Chciałbym się widzieć z byłym dyrektorem Orbisu w Nowym Jorku, aby mu udowodnić, że do Polski jednak przyjechałem. On to bowiem oświadczył mi, że wizy nigdy nie otrzymam i Polski nie zobaczę.

„Karzecie mnie nie za współpracę z FBI, lecz za odmowę współpracy w brudnej robocie szpiegowskiej, której jako ksiądz i Polak wykonywać nie mogę”.

Kilka razy wychodzili z pokoju, by naradzić się bez mojej obecności.

Zgodzili się na moje zastrzeżenie. Zaproponowano mi spotkanie z dyr. „Orbisu” i z przedstawicielem wydziału wizowego. Ku mojemu zdziwieniu spotkanie to wyznaczono na 17 sierpnia 1971 roku w jednym z budynków bezpieki, przy ulicy Rakowieckiej.

Stawiłem się w oznaczonym czasie, lecz zgodnie z rytuałem musiałem długo czekać, aż wreszcie zostałem przyjęty przez urzędnika MSW. Po kilku minutach wszedł sam „archanioł — stróż”. Wyciągnął formularz, podał mi go i powiedział:

— „Proszę wypełnić i podpisać, to cofniemy restrykcje i rozszerzymy wizę”.

Odruchowo wziąłem ten formularz i zacząłem czytać. Po kilku słowach zorientowałem się, że jest to zobowiązanie do tej samej pracy szpiegowskiej, do której nakłaniał mnie w Nowym Jorku. Oburzony i zdenerwowany zgniotłem ten papier, rzuciłem mu w twarz i podniesionym głosem oświadczyłem:

— „Przyjechałem szukać prawdy i sprawiedliwości, aby pana oskarżyć za bezprawne pozbawienie mnie wizy...” Nie dokończyłem. „anioł — stróż” zakrzyknął głośniejszą ode mnie:

— „Jak wy się odnosicie do władzy?!”

— „Uczyłem się tutaj, że władza należy do ludu, a teraz okazuje się, że należy ona do takich osób jak pan”.

— „Jak wam się nie podoba, to więcej tu nie przyjeżdżajcie. A jak nie podpiszecie, to do północy musicie opuścić Polskę”.

— „Wizę mam do 6 sierpnia, więc wcześniej nie muszę wyjeżdżać”.

Wyszedłem ogromnie zdenerwowany. Czekający na ulicy brat zapytał co się stało. Odpowiedziałem mu tylko, że nie dano mi żadnej satysfakcji, przeciwnie, kazano do północy opuścić Polskę.

— „A po coś poszedł do tego „gniazda” na Rakowieckiej?! W Pałacu Mostowskich Komenda Milicji przedłużyła wizy bez żadnych trudności”. Zameldował mnie u siebie, a następnego ranka w Komendzie Milicji anulowano mi wizę warunkową wydaną na lotnisku i zaopatrzone paszport w nowy stempel, z wizą ważną do 21 sierpnia 1971.

Od tej chwili poczułem się wolnym człowiekiem. Jeszcze tegoż dnia odwiedziłem Prymasa Stefana Kardynała Wyszyńskiego i ks. kanonika Władysława Padacza.

Po powrocie późnym wieczorem do domu mego brata dowiedziałem się, że byli już u niego kilkakrotnie funkcjonariusze Milicji i zostawili notatkę, w której omyłkowo napisano imię mojej Matki, zamiast mojego. Uznałem, że mam podstawę do zignorowania tego wezwania.

Tymczasem poszukiwano mnie także i w Białymstoku. Milicja wielokrotnie nachodziła dom moich rodziców oraz krewnych.

Wreszcie na adres brata dostarczono wezwanie, tym razem bezbłędnie zaadresowane na moje imię. Nie miałem wyjścia. Musiałem znów udać się do Pałacu Mostowskich. Przeczuwałem, że mi tam moją wizę anulują.

— „Pan pozwoli, pański paszport”.

— „Mam przy sobie, ale nie podam. Widzę na waszym biurku Dziennik Ustaw, gdzie napisane, że władza, która wydała wizę ma prawo anulować, ale sam paszportu nie dam, a jeżeli panowie zabierzecie mi go siłą i anulujecie wizę, to ten akt przemocy natychmiast doniosę do konsula amerykańskiego i poproszę o ochronę”.

To moje oświadczenie wywołało poważną konsternację. Zaczęli radzić między sobą, wychodzić do innych pokoi po radę, ale na użycie siły się nie odważyli. Długo usiłowali mnie zastraszyć, nalegając, że muszę natychmiast opuścić Polskę. Mój upór i tym razem zwyciężył. Wypuszczono mnie, a na odchodnym oświadczyłem, że będę przebywał w Polsce zgodnie z ważnością wizy.

Nie muszę chyba mówić, ile czasu i nerwów kosztowały mnie te przeżycia. Czas pobytu w kraju był przez to i tak zmarnowany, od pierwszego dnia do ostatniego. Wniosek z tego taki, że nikt z czytelników nie powinien liczyć na to, że wygra z tą władzą polegając na poczuciu sprawiedliwości, czy prawa.

W latach późniejszych zresztą, przy okazji bytności w Rzymie, kilkakrotnie znów starałem się o wizę, by odwiedzić rodzinę, czy załatwić jakieś konieczne, rodzinne sprawy. Zawsze słyszałem w konsulacie tą samą odpowiedź: „Niestety, wizy wydać nie możemy”. Oczywiście, bez żadnego uzasadnienia.

Raz jeszcze spróbowałem walczyć o wizę do kraju, tym razem jednak, nauczony doświadczeniem, wiedziałem, że to ja muszę być silniejszy; ja muszę atakować, by wygrać.

Miał właśnie Gierek przyjechać do Nowego Jorku, więc zatelefonowałem do konsulatu i oświadczyłem, że jeśli nie dadzą mi wizy, to spotkam się z Gierkiem i przedstawię mu dowody przeciwko funkcjonariuszom konsulatu. A mam tych dowodów sporo od członków i interesantów Centrum.

— „To się księdzu to spotkanie nie uda, gdyż będzie on dobrze strzeżony”.

— „W budynku konsulatu — na pewno, ale nie na terenie ONZ. Tam mi się uda. Byłem pierwszym, który od Amerykanów otrzymał fundusze na programy społeczne dla Polonii, to i Was, Panowie załatwię u Gierka”.

Po tej wymianie zdań konsul powiedział, abym zaczekał pół godziny na jego telefon, to usłyszę ostateczną decyzję. Zadzwoił do mnie przed upływem pół godziny i oświadczył:

— „Niech się ksiądz tu w konsulacie nie pokazuje, ale niech przyśle zaufanego pracownika ze swoim paszportem osobiście do mnie”.

Dali mi wtedy wizę na 14 dni, ale wolności w kraju nie zaznałem. Byłem obserwowany w dzień i w nocy. Przed domem rodzinnym stał policyjny samochód z wyciągniętymi antenami. Skoro nie zgodziłem się pracować dla nich, to najwidoczniej uważają mnie za pracownika obcej służby. Skoro odmówiłem współpracy z bezpieką, to jestem traktowany jako wróg. Takie traktowanie ludzi przez ten podły system musi mu przecież przysparzać wrogów.

Niech te moje przygody posłużą jako dowód, że jeśli ktoś chce działać dla dobra Polonii, to natychmiast zostaje otoczony zgrają „aniołów-stróż” i zmuszany jest do donoszenia, szpiegowania, służenia na wszelkie sposoby komunistycznemu reżymowi. W zamian za tą współpracę z reżymem ma zapewniony rozgłos w kraju, uznanie, a nawet pomoc materialną oraz formalną w różnych sprawach w kraju osiedlenia. Jeśli tej współpracy odmówi, to będzie zaszczuwany, opluwany, szkalowany, nie tylko wśród swoich, ale i wobec obcych, wobec władz tego kraju, który wybrał sobie jako drugą ojczyznę

Reżymowi zupełnie nie zależy na tym, by dana organizacja działała dla dobra Polonii, czy dla dobra Polski, lecz by podporządkowała się ona rozkazom bezpieki.

Przyjeżdżali nieraz z kraju reporterzy, dziennikarze, filmowcy, najwidoczniej niezbyt zorientowani w „niepisanych przepisach” bezpieki. Zbierali materiały o nowojorskiej Polonii, by przedstawić ją czytelnikom prasy krajowej, czy też widzom kinowym. Nic z tego. Mówiono mi o tym, że tu na miejscu otrzymywali instrukcje, by do Centrum nie iść. Mimo to przychodzili, z ludzkiej ciekawości, podziwiali pracę społeczną naszej instytucji i nie mogli zrozumieć, dlaczego jest ona na indeksie. Dziwili się, że muszą filmować, opisywać i wychwalać inne, mało znaczące organizacje, a Centrum omijać, jak obóz trędowatych. Nakręcano nawet filmy o Polonii, ale Centrum musiało być pominięte, gdyż „założył je i prowadzi wróg „PRL”. Tak właśnie powiedział mi jeden z filmowców przed laty.

Cierpiał z tego powodu, wcale nie z najszlachetniejszych pobudek, nie kto inny, tylko ówczesny prezes Centrum, Mieczysław Przybyłowski. Cierpiał biedak dlatego, że o innych prezesach tyle pisano w prasie krajowej, a o nim, jak do tej pory, ani słowa.

Aż pewnego razu zjawił się z wizytą jego ziomek, umiejący pisać, który obiecał mu, że w krajowym Kurierze Polskim ukaże się artykuł o Centrum.

Słowa dotrzymał. W Kurierze Polskim nr 25, z lutego 1980 roku, ukazał

się rzeczywiście artykuł o naszym Centrum, pt. „Siła w Jedności”. Niestety, nie wiem czy celowo, czy niechcący, nazwisko prezesa Mieczysława Przybyłowskiego zostało pominięte. Przeżył tę krzywdę bardzo mocno...

Po pewnym czasie z Polski znów przybył ów autor tego artykułu. M. Przybyłowski powiedział mi wówczas: „No, tym razem to on ode mnie nic nie dostanie...”

Zrozumiałem wtedy, że i ten artykuł był kupiony za gotówkę.

Miałem i inny przykład traktowania naszego Centrum przez reżym. Dziennikarz Zbigniew K. Rogowski opublikował wywiad z ówczesnym prezesem Rady Miejskiej Paul O'Dwyer na łamach Przekroju, z dnia 26 stycznia 1975. Mowa była między innymi o dotacjach miejskich na cele społeczno-oświatowe dla polskiej grupy etnicznej. Inne pytanie dotyczyło naszej demonstracji, kiedy to na całą szerokość Piątej Alei niesiono transparent, domagający się równego traktowania Polaków z innymi mniejszościami. W obu przypadkach Paul O'Dwyer, w swych odpowiedziach, wymieniał nasze Centrum. Raz — jako instytucję, której te fundusze na cele społeczne przyznano, a drugi raz — jako sprawców tejże demonstracji. Jednak nazwa Centrum w opublikowanym wywiadzie nie pojawiła się ani razu. Reżym nie mógł stawić ani dokonanego przeze mnie dzieła...

26. STOSUNEK DUCHOWIEŃSTWA DO MNIE I DO CENTRUM

Potrzeba założenia Centrum, jak to oświadczyłem swego czasu Biskupowi Brooklyna, zrodziła się z konieczności. Ktoś wreszcie musiał zaopiekować się nowoprzybyłymi i biednymi Polakami, nie znającymi języka i borykającymi się z trudnościami adaptacyjnymi w tym, jakże dla nich rzeczywiście nowym, świecie.

Catholic Charities, instytucja dobroczynności, zajmowała się wszystkimi potrzebującymi, tylko nie Polakami i nie Słowianami. Komitet Imigracyjny, choć otrzymywał pewne fundusze od władz federalnych USA, zajmował się wyłącznie przyjeżdżającymi poprzez różne obozy na prawach

azyłu politycznego.

Otworem stało ogromne pole działania na korzyść nowoprzybytych i najbiedniejszych, lecz dziwnie jakoś całymi latami nikt tym się nie przejmował i nikt nie miał nawet zamiaru zabrać się do roboty społecznej w tej dziedzinie.

Pracując przez jakiś czas w nie-polskich parafiach widziałem skuteczną pracę księży innych narodowości, a tym samym zaczynałem sobie zdawać sprawę z tego, jak bardzo zaniedbane jest nasze własne, polskie podwórko. Pojechałem więc do Rzymu i przedstawiłem moje plany założenia Centrum opiekunowi Duszpasterstwa Polonijnego, ówczesnemu biskupowi a obecnemu Kardynałowi, Władysławowi Rubinowi. Ocenił on moje projekty pozytywnie, więc też natychmiast po powrocie zabrałem się do dzieła.

Przedłożyłem więc mój projekt Biskupowi Diecezji Brooklyńskiej, Francis Mugavero, z prośbą o zatwierdzenie planu otwarcia Centrum usług społecznych i kulturalnych dla ludności polsko-słowiańskiej, oraz zezwolenie na nabycie budynku byłej szkoły i konwentu, mieszczącego się przy 4-ej Alei koło 9-ej Ulicy w Brooklynie.

Biskup Mugavero nie znając potrzeb społecznych ludności polsko-słowiańskiej powołał komitet złożony z polsko-amerykańskich księży by wypowiedział się w sprawie otworzenia Centrum Polsko-Słowiańskiego. Do komitetu weszli anstępujący księża: Ks. Edward Fus z parafii św. Krzyża jako przewodniczący, Ks. Walter Gałuszka z parafii św. Jana Kantego, Ks. Tomasz Oborowski z parafii Matki Boskiej Częstochowskiej, Ks. Gothard Krzyszczko z parafii św. Stanisława Kostki, jako członkowie. Po długich wyczekiwaniach na wezwanie bym wypowiedział się jako projektant w sprawie potrzeby założenia Centrum komitet nie uważał nawet za stosowne mnie zaprosić i zebrał się sam w dniu 27 września 1971 r. na Plebanii Św. Stanisława Kostki i zdecydował, że centrum ludności polsko-słowiańskiej nie jest potrzebne, jak mi później przekazał były kanclerz Ks. Anthony Bevilaqua.

(Dokładniej na ten temat patrz w rozdziale „Założenie Centrum Polsko-Słowiańskiego”).

Konsekwencje decyzji komitetu polonijnych księży były zgubne dla Polonii w nowojorskiej metropolii. Decyzja ta dała biskupowi Diecezji Brooklyńskiej podstawę, by odmawiać wszelkiej pomocy wiernym polskiego pochodzenia. Inne grupy etniczne otrzymywały pomoc materialną diecezjalnej Catholic Charities — Polonia nie dostała ani centa. Napisano o tym swego czasu nie jakaś polska gazeta, lecz nowojorski Daily News w artykule z 17 lutego 1974 pt. „Polish and Slavic Center —

a Voice in Wilderness“. Już wtedy od władz świeckich uzyskałem przynajmniej zwolnienie od podatków, ale w Kościele barierę nie do przebycia stworzyli sami księża polonijni. Tu walka była nierówna. Nie mogłem przecież jako ksiądz prowadzić tłumów na demonstrację pod siedzibę biskupa...

Występowałem z wieloma wnioskami i propozycjami. Pisaliśmy o tym w naszej broszurze pt. „Dwa lata walk i osiągnięć“. M.in. proponowałem, by założyć bezpłatną przychodnię zdrowia, w której pracowaliby lekarze znający język polski, aby lepiej służyć polskim imigrantom. Przedstawicielka Catholic Charities przeprowadziła ze mną nawet wywiad na ten temat, byłem więc pełen nadziei, że projekt uda się zrealizować. Gdzie tam! Jak tylko sprawa poszła do zatwierdzenia na wyższy szczebel w diecezji — została ubita.

Zwracaliśmy się niejednokrotnie i do tej upartej „góry“. Kiedy stało się nam ciasno, gdyż zatrudnialiśmy już ponad 70 pracowników, to zwróciliśmy się o zgodę na sprzedaż nam opustoszałych budynków po byłej parafii św. Alfonsa. List do biskupa Mugavero, zaopatrzonej w kilkanaście podpisów, z dnia 30 czerwca 1975, zawierał uzasadnienie w kilkunastu punktach oraz wyjaśnienie, że lokal potrzebny jest na kursy, na Klub Seniorów i dziesiątki innych potrzeb społecznych dla Polonii. Chcieliśmy także uruchomić tam przedszkole i stworzyć miejsce odpowiednie dla młodzieży, dotąd wałęsającej się po ulicach i narażonej na wpadnięcie w nałóg zażywania narkotyków. Po kilku tygodniach otrzymaliśmy odpowiedź negatywną, z zaznaczeniem, jakoby Diecezja będzie potrzebowała te budynki dla swoich celów... Na nic nasze prośby. Mijały lata, a budynki nadal stały puste, ulegając zniszczeniu. W lutym 1982 wpadłem na pomysł, że w tych budynkach można by zorganizować Centralną Misję dla Polonii, pod egidą Kościoła. Złożyłem więc znów pismo w tej sprawie, dowodząc, że mam teraz więcej doświadczenia w tych sprawach. Usłyszałem bowiem wówczas po raz pierwszy pochwałę z ust kanclerza Kurii, wówczas już biskupa, Anthony Bevilacqua: „*Ksiądz okazał się najlepszym księdzem — administratorem ze wszystkich księży w naszej diecezji*“. Mimo to, odpowiedzi pozytywnej nie usłyszałem, lecz znów tą samą wymówkę „sprawa polska, to wymaga decyzji księży polonijnych, więc ks. Thomas Oborowski zrobi zebranie i da odpowiedź, to wówczas ksiądz powiadomię“. Na tę odpowiedź czekam do dnia dzisiejszego...

Przypadkowo dowiedziałem się, że zebranie w tej sprawie rzeczywiście odbyło się, ale tym razem nawet ks. Edward Fus powiedzieć miał jakoby: „dlaczego Biskup nas pyta o zdanie, a sam nie decyduje“? Okazało się, że moja myśl założenia Centralnej Misji dla Polonii tak wystraszyła, że czym prędzej zgodzono się szkołę, a później i kościół, sprzedać Centrum,

z czego jestem w rezultacie zadowolony, bo przecież Centrum to moje „dziecko“. Żadnej łaski nam zresztą Diecezja nie zrobiła, gdyż zgarnęła za szkołę cenę zgodną z ceną rynkową w owych czasach, tj. 150 tys. dolarów, a teraz za kościół i plebanie podobno około pół miliona.

Gdy Centrum tak się rozwinęło, że sam go utrzymywać nie mogłem, dla dalszego rozwoju konieczna była pomoc z zewnątrz. Szturmowałem więc nie tylko władze amerykańskie, lecz i kościelne. Wiedziałem jednak, że sam nic nie wskóram, że negatywnego stanowiska księży polonijnych nie przełamie. Staralem się więc pozyskać łaskawość biskupa Mugavero poprzez działaczy polonijnych, którzy po wielkiej Manifestacji Solidarności Polonii byli zaproszeni do Centrum. Wybrana delegacja pod przewodnictwem prof. Eugeniusza Klebana przedłożyła odpowiedni memoriał biskupowi. W tym czasie byłem na zjeździe duchownych i świeckich w Cleveland, w stanie Ohio, dzięki czemu moja osoba pozostała w cieniu. Proszono biskupa, by wziął sobie tę sprawę do serca. Rezultat? Żaden! Biskup Francis Mugavero wyznaczył tylko ks. Oborowskiego jako łącznika pomiędzy nim a Polonią.

Szczerze mówiąc nie wiem, czy miałbym aż tyle odwagi by domagać się od duchownych i świeckich pomocy, gdyby nie moja pierwsza wizyta w Rzymie i rozmowa z kardynałem Rubinem. Jego zrozumienie potrzeb Polonii utwierdziło mnie i dodało sił do walki. Wyznaję, że nigdy nikogo nie atakowałem, nie potępiałem za okazywaną mi niechęć, i choć byłem niesprawiedliwie osądzany i posądzany, nie płaciłem pięknym za nadobne tym, którzy mnie zniesławiali. Pocieszałem się jedynie tym, że nikt i nigdy nie udowodnił mi najmniejszego nawet nadużycia. Broniłem się, co prawda, ale najtrudniej przecież wykazać własną niewinność.

Gdybym uzależnił się od ciemnych sił istniejących w łonie Polonii, to z pewnością do dziś byłbym dyrektorem wykonawczym Centrum... Z przykrością i ze smutkiem, ale i z dumą, stanowczo twierdzę, że ani ja ani Centrum, za moich czasów, nie było zależne od żadnych sił świeckich, a Diecezja i polonijni księża od początku do końca Centrum ignorowali... Przeciwnie, zamiast pomocy ze strony księży polonijnych, napotykałem na wiele przeszkód i przykrości.

Nie stawiam tego zarzutu gołostownie. Na zebraniu w plebanii św. Stanisława Kostki, w obecności biskupa, kłamliwie zarzucono mi jakoby udział w ślubu w nie Rzymsko-Katolickim kościele, co w powtarzanej plotce miało dla mnie przykre konsekwencje.

Od początku istnienia Centrum wysyłałem im różne ogłoszenia: o lekcjach angielskiego, różnych formach pomocy dla nowoprzybyłych itp. Prosiłem o zamieszczenie ich w biuletynach parafialnych. Zależało nam na tym, gdyż od rozpowszechniania naszych usług zależało z kolei uzys-

kanie funduszy. Niestety. Naszych ogłoszeń nie drukowano. Wysyłałem więc naszych ludzi z naręczami biuletynu — informatora społecznego, by rozdawali po mszach w niedziele. Niestety. Zabroniono nam i tego. Panie z Maspeth informowały mnie, że Informator Społeczny był konfiskowany... brzmi to prawie jak wiadomość z „Trybuny Ludu“. Rozdawano nasz biuletyn tylko przed kościołem św. Cyryla i Metodego, gdzie odprawiałem msze. Proboszcz nie miał odwagi mi tego zabronić.

Na pierwsze zebranie Centrum przyszło kilku księży, gdyż nie wiedzieli, że „starsi“ orzekli iż Centrum jest „niepotrzebne“. Później i oni, wystraszeni, przestali się pojawiać. Ks. T.Oborowski pofatygował się do Centrum tylko wtedy, kiedy wizytę nam składał ks. biskup Rubin. Nawet na tej naszej wielkiej Manifestacji Solidarności Polonii, kiedy demonstrowało ponad 3 tysiące ludzi, nie było, niestety, ani jednego naszego księżulka polonijnego. Opóźniliśmy nawet rozpoczęcie manifestacji o pół godziny, czekając na zaproszonych... Nie przyszli nawet ci, którzy mieli pomodlić się na rozpoczęcie i zakończenie tej wielkiej manifestacji.

Jedyną formą „współpracy“ ze strony księży polonijnych było kierowanie do Centrum biednych i potrzebujących pomocy. Dawano im adres Centrum, aby pozbyć się ich z własnej plebanii. Dawałem pracownikom polecenie, aby tymi ludźmi zajęto się ze szczególną troskliwością, wierząc, że w ten sposób zjednam sobie przynajmniej niektórych. Lecz i ta „chytro“ metoda nie pomogła...

Jedyną moją ostoją był ks. biskup, obecny kardynał, Władysław Rubin. Otrzymywałem od niego wiele listów, w których podtrzymywał mnie na duchu. Niektóre z tych listów publikowaliśmy na łamach Informatora Społecznego. Pisał on nawet do biskupa Mugavero, wstawiając się za mną i za sprawą naszego Centrum.

Siły czerpałem także z poparcia udzielanego mi w listach od śp. Prymasa Polski, Stefana Kardynała Wyszyńskiego i od mego byłego biskupa z Polski, a obecnego Kardynała Henryka Gulbinowicza we Wrocławiu. Miałem listy i poparcie od kilku innych biskupów, ale uległy one zniszczeniu, kiedy nowi władcy Centrum wywieźli moje rzeczy do magazynu na składowanie.

Jako ksiądz pracowałem i nadal chcę pracować dla dobra Kościoła Polskiego i dla jego wiernych. Niestety, księża polonijni, a za nimi i władze Diecezji Brooklyńskiej, odżegnywali się ode mnie i od Centrum. Bolało mnie to i zawstydzalo wobec świeckich, bo przecież żadnego kanonu prawa kościelnego nie naruszyłem i nigdy nie byłem karany. I cóż z tego, że biskupi amerykańscy wydali z okazji 200-lecia Stanów Zjednoczonych broszurę pt. „Sprawiedliwość dla wszystkich“, skoro nie stosują się do niej...

Kto ma prawo do kierowania losami Centrum i Unii Kredytowej? Jasne, że nie tutejsi księża polonijni, z władzami diecezjalnymi na czele, gdyż oni od zarania tej pracy społecznej nie chcieli. Jasne, że nie panowie weterani, czy też ci z tak zwanej emigracji politycznej, gdyż ci niewiele w budowie Centrum pomogli, a raczej naszą działalność ignorowali. Z jakiej więc racji mieliby oni piastować władzę w zarządach. Podobnie inni „wodzowie“, którzy przyszli na gotowe, aby pysznić się cudzymi osiągnięciami. Jeśli mają choć odrobinę honoru, to winni czym prędzej tę władzę zostawić, stanowiska opuścić i oddać je ludziom z nowej emigracji, wśród której jest wielu zdolnych, mądrych i wykształconych.

Prawo do kierowania Centrum i Unią Kredytową mają przede wszystkim nowoprzybyli, gdyż oni to są owymi „pszczołkami“, znoszącymi życiodajny nektar, podczas gdy opaśli starcy są „trutniami“, korzystającymi z pracy innych, pożywiając się „miodem“ do woli i rozdzielając pożyczki.

Siebie również do nowej fali emigracyjnej zaliczam, sam byłem i jestem poddany władzy Kościoła Polskiego. Moim życzeniem było i jest, aby nad tą pracą społeczną czuwali przedstawiciele Kościoła Polskiego. Z polecenia Prymasa, śp. Stefana Kardynała Wyszyńskiego, Kardynał Rubin udzielił mi poparcia od samego początku. Był on moją jedyną ostoją w trudnych chwilach. Zgodzą się chyba wszyscy ze mną, że Centrum i Unia Kredytowa powinny podlegać nadzorowi ze strony Kościoła Polskiego, który na przestrzeni naszych dziejów narodu polskiego nie zawiodł. Nie zawiedzie nas na pewno i tu, na emigracji. Rozsądek winien zapanować nad głupotą i pychą. Wszystko zależy bowiem wyłącznie od woli członków. Zarząd nie ma żadnych zasług, żadnych przywilei, tylko obowiązki. Siła Centrum i majątek Unii Kredytowej składa się z tego, co wnieśli członkowie swoim trudem. Z jakiej racji taki na przykład SWAP miałby rządzić w Centrum lub Unii Kredytowej? SWAP ma spory majątek, pozostały jeszcze po hallerczykach, pieniądze organizacyjne. Czyż nie było to logiczne i patriotyczne, by te ich pieniądze były ulokowane w naszej Unii Kredytowej? Ale skąd, swoje pieniądze trzymają w innych bankach, setkami tysięcy wkładów wzbogacają innych, sami natomiast uważają Unię Kredytową za swój własny bank, z którego mogą dowolnie korzystać.

Starych patriotów od święta nie zmienimy już w aniołów. Trzeba ich tylko odsunąć od władzy i przekazać ją w ręce najpewniejsze: w ręce nowych emigrantów oraz pod opiekę polskich władz kościelnych. Centrum i Unia Kredytowa mogą być tym załącznikiem rozwoju materialnego i duchowego Polonii, mogą stać się załącznikiem Centralnej Misji Kościoła Polskiego w Ameryce. To powinno stać się naszym celem.

A oto fotokopie niektórych listów od polskich władz kościelnych,

stanowiące dowód ogromnego poparcia, jakim cieszyła się moja inicjatywa utworzenia Centrum.

PRYMAS POLSKI

RZYM, dnia 22 maja 1975.

N.1179/75/P.

Drogi Księżu,

Całym sercem dziękuję za list, w którym informuje Ksiądz o pracy Waszego Polsko-Słowiańskiego Centrum w Brooklynie.

Kierunek działalności, jaki sobie wytyczyliście, jest niezmiernie trudny, wymaga bowiem olbrzymiego poświęcenia się i ofiary, a jednocześnie wielkiego taktu i delikatności. Chodzi tu o godność człowieka, rzuconego przez los w obce środowisko. Jak niezmiernie ważną jest dla tych ludzi świadomość, że w tym morzu obcości mogą jeszcze na kogoś liczyć. Szczególnie doniosłe znaczenie ma pomoc, niesiona w dziedzinie życia religijnego. Taka postawa i wynikająca z niej działalność jest na wskroś ewangeliczna, bowiem nasz Mistrz i Pan Jezus Chrystus stosunek do naszych braci uczynił sprawdzianem zbawienia.

Na dalsze trudy służby Rodakom z serca Wam Wszystkim błogosławię i Naszej Matce, Dziewicy Wspomożycielce polecam.

Czcigodny
Ks. Longin TOŁCZYK
Polish - Slavic Center
940 Manhattan Ave
Brooklyn USA

+ *Stefan Kard. Wyszyński*



WŁADYSŁAW RUBIN

Biskup tyt. Serty

DELEGAT PRYMASA POLSKI

dla duszpasterstwa emigracji polskiej

Prot. N. 3691/71

00186 Roma, 12.I.1972
Via delle Botteghe Oscure 15 - Tel. 675-347

Przewielebny i Drogi Księżu!

Uprzejmie donoszę, że otrzymałem list z miłymi życzeniami świątecznymi od Drogiego Księdza. Za pamięć jestem bardzo wdzięczny. Również w liście była dołączona ofiara na Mszę św. za którą przesyłam serdeczne podziękowanie.

Przykłą jest dla mnie wiadomość o negatywnym załatwieniu inicjatywy, którą zaproponował Drogi Ksiądz. Z mojej strony uczyniłem co mogłem. Napisałem list w tej sprawie do Ks.Bpa Nugavero, ale niestety widocznie nie wziął tego pod uwagę. Na dowód dołączam fotokopię tego listu.

Również bardzo mi przykro, że nie mogłem znaleźć chwili czasu, by natychmiast odpisać Drogiemu Księdzu. Proszę mi wierzyć, okres Synodu i Beatyfikacji O. Kolbe był dla mnie bardzo trudny, miałem tak wiele spraw, że nie miałem ani momentu, by pomyśleć o czymś innym. Stąd brak odpowiedzi. Serdecznie proszę o życzliwą wyrozumiałość.

Polecając Drogiego Księdza specjalnej opiece Bożej, przesyłam wyrazy mojego uszanowania i oddania w Panu

+ Władysław Rubin

1 załącznik

Przewielebny Ksiądz
Longin J. Tolczyk
St. Stanislaus Martyr Rectory
289 Fifteenth Street
Brooklyn, N.Y. 11215



WŁADYSŁAW RUBIN
BISKUP TYT. SERTY
DELEGAT PRYMASA POLSKI
DLA DUSZPASTERSTWA EMIGRACJI POLSKIEJ

Prot. N2673/72

00186 ROMA,

16.I.1973

VIA DELLE BOTTEGHE OSCURE 15 - TEL. 675-347; 679-0169

Przewielebny i Drogi Księżu Dyrektorze!

Dziękuję serdecznie za miły list, jaki otrzymałem w okresie świąt Bożego Narodzenia. Wdzięczny jestem za tę życzliwą pamięć. Przypominam sobie dobrze Drogiego Księdza od czasu naszego spotkania w Rzymie.

Cieszę się, że usiłowania stworzenia tam Polsko-Słowiańskiego Centrum dały dobre rezultaty i jest nadzieja, że z biegiem czasu przezwycięży się wszystkie przeciwności. Oczywiście, że podejmowane wysiłki wśród ciągłych przeciwności kosztują wiele nerwów i zdrowia. Niech Drogi Ksiądz nie zraża się jednak tymi przeciwnościami tym bardziej, że są już duże osiągnięcia, na których można się oprzeć. Trzeba mieć wielką ufność w pomoc Bożą i żyć przekonaniem, że wcześniej czy później przezwycięży się wszystkie przeciwności.

W czerwcu br. będę w Stanach Zjednoczonych i udam się na krótko do Nowego Yorku. Mam nadzieję, że będę mógł zapoznać się lepiej z tą całą sprawą i może pomóc coś Drogiemu Księdzu.

Będę wdzięczny jeśli Ksiądz zaprenumeruje dla mnie tamtejsze czasopismo "Nowy Dziennik".

Z najlepszymi życzeniami zdrowia i wszelkiego dobra w Nowym Roku łączę wyrazy czci i pozdrawiam serdecznie w Panu

+ Władysław Rubin

Przewielebny Ksiądz
Longin J. Tolczyk
940 Manhattan Avenue
Brooklyn, N.Y.



WŁADYSŁAW RUBIN
BISKUP TYT. SERTY
DELEGAT PRYMASA POLSKI
DLA DUSZPASTERSTWA EMIGRACJI POLSKIEJ

PROF. N.639/74

00186 ROMA. 5 marca 1974
VIA DELLE BOTTEGHE OSCURE 15 · TEL. 675-347 ; 679-0169

Przewielebny i Drogi Księżu Dyrektorze,

Bardzo dziękuję za list z dnia 28 lutego br. i za wycinki z czasopiema odnośnie Polsko-Słowiańskiego Centrum w Brooklyń'ie.

Jestem rad, że Drogi Ksiądz wchodzi mocno w życie tamtejszej Polonii. Życzę jak najlepszych osiągnąć w tych wysiłkach i Bogu tę sprawę polecam.

Oдноśnie proponowanego listu w sprawie uzyskania funduszy nie mogę niestety angażować się do tego w takiej formie jaką Ksiądz sugeruje. Na taką formę mogą sobie pozwolić ludzie żyjący w Ameryce i należący w jakiś sposób do społeczności amerykańskiej. Wyzwający list z mej strony zaszkodziłby tylko całej sprawie nie mówiąc już o innych niepożądanych skutkach jakie mogłyby z tego wynikać.

Wyraziłem Księdzu już nieraz uznanie i czynię to teraz w osobnym liście, którym może się Drogi Ksiądz posłużyć dla wykazania, że w działalności swej jest Ksiądz ściśle złączony ze mną.

Zapewniam Drogiego Księdza o mej życzliwości i oddaniu tym sprawom, którym służy Centrum Polsko-Słowiańskie. Nie trzeba się zrażać trudnościami których nigdzie nie brakuje i działać w tym przekonaniu, że wytrwałość przynosi ostateczne zwycięstwo.

Z najlepszymi życzeniami łączę wyrazy czci i serdecznie pozdrawiam

+ Władysław Rubin

Przewielebny Ks. Dyrektor L.J.Tolczyk
Polsko-Słowiańskie Centrum
940, Manhattan Avenue
Brooklyn, N.Y.11222



WŁADYSŁAW RUBIN
BISKUP TYT. SERTY
DELEGAT PRYMASA POLSKI
DLA DUSZPASTERSTWA EMIGRACJI POLSKIEJ

Prot. N. 1022/75

00186 ROMA, 6 maja 1975
VIA DELLE ROTTEGGH OSCURE 15 - TEL. 675-347; 679-0169

Przewielebny i Drogi Księżu!

Dziękuję serdecznie za miły list z dnia 19 kwietnia br. i za różne wieści a szczególnie za wiadomość o uroczystości w dniu 4 maja. Zaraz po otrzymaniu listu wysłałem w związku z tym telegram. Myślę, że zdążył on nadejść na czas mimo powolnego tempa z jakim są przekazywane przesyłki pocztowe.

Oдноśnie utworzenia Katolickiej Misji Polskiej w Stanach Zjednoczonych myśleliśmy już dawno i były podejmowane konkretne próby. Wszystkie nasze wysiłki zmierzające ku temu okazały się bezskuteczne, gdyż Episkopat sprzeciwił się temu. Z naszej strony nic się nie da zrobić. Jeśli są jakieś możliwości na utworzenie Misji to jedynie wtedy gdy Polacy żyjący w Stanach Zjednoczonych masowo będą się tego domagać od Biskupa tej diecezji na terenie której przebywają. Tego rodzaju domaganie się musi być w formie prośby zgodnej z "Instrukcją o opiece duszpasterskiej nad emigrantami" /Rzym C.O.D.E.1969/str.35-41. Jedynie w oparciu o przysługujące emigrantom prawa może coś uzyskać dobrze zorganizowana masa emigrantów jeśli jednomyślnie wystąpi z prośbą do miejscowego Ordynariusza. Staram się o wyjazd do Ameryki w związku z tymi i innymi sprawami, ale z uwagi na Synod nie mogę się oddalać na dłuższy czas z Rzymu. Może uda mi się w tym roku pojechać tam jesienią przynajmniej na krótki czas.

Z najlepszymi życzeniami łączę wyrazy czci i pozdrawiam serdecznie w Panu

+ *Władysław Rubin*

Przewielebny Ksiądz
Longin Tołczyk
940 Manhattan Avenue
Brooklyn, N.Y.



Prof. N. 2101/75

WŁADYSŁAW RUBIN
Biskup tyt. Serty
DELEGAT PRYMASA POLSKI
dla duszpasterstwa emigracji polskiej

00186 Roma. 15.X.1975
Via delle Botteghe Oscure 15 - Tel. 675-347

Przewielebny i Drogi Księżu !

Uprzejmie powiadamiam, że otrzymałem list z dn. 24 lipca br., w którym Drogi Ksiądz informuje mię o otwarciu tzw. "ekumenicznej" parafii w Greenpoint, która zamierza zająć się Polakami, a szczególnie nowoprzybyłymi. Wraz z listem otrzymałem dołączone materiały z prasy dotyczące problemu duszpasterstwa polskiego. Bardzo dziękuję za nadesłane mi informacje.

Miałem nadzieję, że będę mógł spotkać się z Drogiem Księdzem podczas planowanej podróży do USA. Niestety moje plany wyjazdu zostały pokrzyżowane przez bardzo pilne prace w Sekretariacie Synodu Biskupów i dlatego nie mogę oddalić się z Rzymu. W podróży do USA zastąpi mnie Ks. Biskup Wesoły, który będzie przebywał w USA wraz z Ks. Bp. Dąbrowskim, Sekretarzem Episkopatu Polski. Proszę uprzejmie porozumieć się z Ks. Bp. Wesołym i przedstawić mu sytuację. Informuję Drogiego Księdza, że będzie on przebywał w New Yorku na początku listopada.

Polecając Drogiego Księdza specjalnej opiece Bożej, łączę serdeczne pozdrowienia i wyrazy oddania w Panu

+ Władysław Rubin

Przewielebny
Ks. Longin J. Tołczyk
940 Manhattan Avenue
Brooklyn, N.Y. 11222
U.S.A.

Biskup Dr Henryk Gulbinowicz
ADMINISTRATOR APOSTOLSKI
ARCHIDIECEZJI
w Białymstoku, ul. Kościelna 1
Tel. 47-14

Białystok, dnia 31 sierpnia 1971 r.

"Patientia et caritas"

Jego Ekscelencja Najdostojniejszy
Ksiądz Biskup Dr Francis Mugavero
Ordynariusz Diecezji Broklińskiej

75 Greene Avenue
BROOKLYN, N.Y. 11238.

Uprzejmię proszę Waszą Ekscelencję o przyjęcie
szczerych wyrazów podziękowania za stworzenie odpo-
wiednich warunków do pracy duszpasterskiej dla Ka -
plana naszej Archidiecezji - Ks. LONGINA TOŁCZYKA.

Z prawdziwą radością dowiedziałem się także, że
Wasza Ekscelencja w Swojej trosce Arcypasterskiej, ma
zamiar na terenie swojej Diecezji założyć "Catholic
Slavic Center", który swoją działalnością, służyłby
pomocą naszym emigrantom.

Wdzięczny będę Najprzewielebniejszemu Księdzu
Biskupowi Ordynariuszowi, jeżeli powyższą pracę sle-
ci Wasza Ekscelencja Ks. Longinowi Tołczykowi, który
na tym odcinku, wiem że ma wiele dobrego doświadczenia.

Proszę przyjąć wyrazy głębokiej czci
i najlepsze pozdrowienia w Chrystusie

+ Henryk Gulbinowicz *ep*



bp Henryk Gulbinowicz

16-0-87 Białystok ul. Kościelna 1, 6. W. 1973.
Polska

+

Przewielebnemu Księdzu Dyrektorowi
Polsko - Słowiańskiego Centrum,

Staropolskim "Bóg zapłać" pięknie dziękuję za pamięć i nadesłane wiadomości o pomyślnym zrealizowaniu zamierzeń. Z tej okazji składam Przewielebnemu Księdzu Dyrektorowi i wszystkim Jego Współpracownikom życzenia pomyślnej działalności. Niech przez Waszą pracę podejmowaną dla naszych Rodaków, dzieje się wiele dobra. Niech Bóg ma chwałę, a Kościół św. niech cieszy się z realizowania zasad Ewangelii w codziennym wysiłku.

Na zbliżające się Święta Zmartwychwstania Pańskiego przesyłam Księdzu Dyrektorowi i wszystkim Jego Współpracownikom najlepsze życzenia - Bożych błogosławieństw, zdrowia i wszelkiej pomyślności. Oby Pani nasza Ostrobramska - Matka Miłosierdzia chroniła Was od wszelkiego zła i pomogła jak najlepiej służyć naszym Braciom.

Na wszystkie prace podejmowane w imię Boga i ku chwale naszej Ojczyzny z całego serca błogosławię.

+ Henryk Gulbinowicz

Przewielebny Ksiądz Dyrektor
Ks. Longin T o l c z y k
940 Manhattan Avenue
B R O O K L Y N, N.Y. 11222



Białystok ul. Kościelna 1

Polska , dnia 23 maja 1973 r.

bp Henryk Galbinowicz

+

Przewielebny Księżu Longinie,

Wzruszony jestem życzliwą pamięcią Przewielebnego Księdza i nadesłanymi życzeniami. Cieszę się ogromnie, że tak pięknie układa się praca duszpasterska w Polsko-Słowiańskim Centrum. Serdecznie dziękuję za miłe zaproszenie, nie mogę jednak skorzystać, gdyż przygotowuję się ze sprawozdaniem " Ad Limina ". Msze św. według załącznika odprawiam - Bóg zapłać !

Proszę przyjąć moje najlepsze pozdrowienia i życzenia obfitości darów nadprzyrodzonych w pracach duszpasterskich wśród Rodaków. Życzę również zdrowia, sił i wszelkiej pomyślności.

Łączę wyrazy szacunku i oddania w Chrystusie Panu przez Maryję " co w Ostrej świeci Bramie " - Matkę Miłosierdzia

+ Henryk Galbinowicz, bpa

27. DOM POLSKICH SENIORÓW I INNE PROJEKTY

Już wkrótce po utworzeniu Centrum wystąpiłem z projektem budowy Domu Polskich Seniorów. Niestety, zbyt mało ludzi doceniało wagę i potrzebę takiej placówki. Znaleźli się tacy, którzy twierdzili, że „jest to zbyt poważne przedsięwzięcie pod względem finansowym, aby Polonia mogła na nie się zdobyć”. Taka była opinia tzw. liderów Polonii, tych samych zresztą, którzy w Nowym Dzienniku z dnia 11 października 1972, w artykule pt. „Zasłyszane” pisali, że można by nabyć piękny budynek na rogu Madison Avenue i 37-ej Ulicy. Budynek ten należał do Partii Demokratycznej i był tak obciążony długami, że przeznaczono go na sprzedaż za niską cenę, bo zaledwie 900 tys. dolarów. Były wówczas dyskusje, że budynek ten idealnie nadawał by się na siedzibę Polskiego Domu Narodowego. Miały miejsce nawet konferencje i rozmowy na ten temat, ale skończyło się na niczym.

Niezupełnie jednak. Ktoś z usłużnych rodaków zainteresował tym budynkiem... władze „PRL”, które widać uzyskały prawo uruchomienia w Nowym Jorku swego konsulatu. Partia Demokratyczna także była bardziej skłonna sprzedać ten obiekt „solidnemu” nabywcy.

Nowy statut Centrum słusznie głosi, że „członkiem... nie może być osoba należąca do partii komunistycznej” ...co nie wyklucza jednak, aby „bezpartyjny” został członkiem zarządu, jeździł sobie do „PRL” i zakładał „polonijne” przedsiębiorstwa, dające dochód i jemu i komunistycznym władzom w kraju...

Na Dom Polskich Seniorów, czy Dom Polskiego Imigranta, jak się okazuje, nas nie stać. Stać nas na to, aby „przegapić” okazję i umożliwić komunistom nabycie reprezentacyjnego budynku po niskiej cenie.

Projekt upadł więc głównie dlatego, że poddałem go rozważce przywódców Polonii, a później musiałem się z ich opinią liczyć, bo sam ich woziłem aby obejrzeeli. Gdyby Centrum miało już wówczas swoją Unię Kredytową, to nie musiałbym nikogo pytać o opinię. Moglibyśmy zaciągnąć na ten cel odpowiednią pożyczkę i budynek nabyć. Wystarczyłoby nadzwyczajne zebranie członków, by podjąć taką decyzję. Podobnie upadł i drugi mój projekt kupna nowowubudowanego domu przy Seaside Boulevard na Staten Island. Nad morzem, przy parku, z dużym parkingiem, 120 pokojami i kilkoma salami. Dzisiaj ten obiekt miałby war-

tość 10 milionów dolarów.

Nie rezygnowałem jednak z zamiaru rozszerzenia działalności Centrum. Wpadłem na pomysł zbudowania Galerii 200-lecia, z okazji zbliżającej się rocznicy USA. Obejrzałem kilka placów nadających się pod budowę, ale były one w nienajlepszej części dzielnicy i zbyt drogie. Znajomi kupili wówczas plac przy Milton Street, jednej z najlepszych ulic Greenpointu. Szybko zawarłem z nimi umowę dzierżawy z prawem pierwokupu dla Centrum. Dostałem też okazjnie trochę materiałów budowlanych, z których postawiliśmy wpierw szopę dla zabezpieczenia materiałów i narzędzi. Opracowanie projektu budowy zleciłem architektowi Judson Schnellowi, który poradził by wpierw uporządkować teren i wyrównać buldożerem, gdyż zatwierdzenie planów budowy trwa zwykle dość długo. Nic z tego. Lokalna organizacja Partii Demokratycznej, pod wodzą Marii Finley zorganizowała demonstracje kobiet, które siadywały rzędem przed terenem budowy i nie dopuszczały kontraktora do pracy. Wołano policję, pędzono ze skargami do wydziału budynków, aż wreszcie doprowadzono do wstrzymania robót.

Miałem jednak poparcie u władz miejskich, dzięki czemu projekt został zatwierdzony. Do dziś nie rozumiem, dlaczego miejscowi ludzie dali się nakłonić do protestu przeciwko budowie galerii? Co było w tym złego?

Mimo to, moje zwycięstwo w tej sprawie okazało się tak samo płónym, jak i projekt kupna Domu Polskiego Seniora choć z innej przyczyny. Otóż kiedy projekt już był zatwierdzony, to fundusze na 200-lecie USA zostały już wyczerpane. Projekt miał kosztować około 150 tys. dolarów, których nie mogłem przecież sfinansować z własnej kieszeni. Przedstawiłem tę sprawę Zarządowi Centrum, ale ten nie mając dostatecznych funduszy własnych — od sprawy się odżegnał.

Upadł więc i ten projekt. Nie był to jednak koniec moich zmartwień. Pewnego dnia poprosiłem o pomoc przy tej budowie pracowników z programu CETA. Pomogli. Jeden dzień. Później użyli tego argumentu przeciwko mnie, skarżąc się, że niezgodnie z ich umową o pracę „zmuśzałem” ich do pracy fizycznej. Mało tego. Także i sporo kosztów wstępnych jakie poniosłem nie doczekały się zwrotu, gdyż Centrum, skoro projekt upadł, bało się brać na siebie tych wydatków, więc musiałem je pokryć sam.

Nikt jakoś w całym Greenpoincie nie chciał mi w realizacji tych projektów pomóc. Przeciwnie. Znana z wrogiego w stosunku do Polaków nastawienia, działaczka miejscowego oddziału Partii Demokratycznej, Maria Finley, powiedziała mi przy tej okazji: „Wy Polacy siedzieliście zawsze cicho, dopiero ksiądz ich tu podburzył, by nagle zaczęli domagać się społecznych funduszy, i krzyzczyć, że wam się tu krzywda dzieje. Na żadne muzeum, czy galerię na mojej ulicy nie pozwolę...!”

Dziwne. A Polacy przecież zawsze tę Partię Demokratyczną popierali... Nie zdobyli się tylko na to, by czołowym działaczem w polskiej dzielnicy był Polak.

Nie wiem, czy obecni władcy Centrum czynią to ze strachu, czy ze służalczości, ale tą Marię Finley zaprasza się stale do Centrum i sadza na honorowym miejscu. Tylko patrzeć, jak jej bankiet „ku czci” zorganizują...

Poza moimi plecami szła jednak już szeptana propaganda, że po co to komu potrzebne, po co te nowe kłopoty... rezultat był do przewidzenia. Przegłosowano sprawę — negatywnie.

Powiedziałem więc, że zrobię tak, jak z innymi projektami. Wpierw kupię obiekt sam, urządzę, zorganizuję, a później wszyscy przekonają się, że miałem rację. Tak samo, jak było i z Centrum, i z Klubem Krakusa, ze stołówką. Straszono przecież, że nic z tego nie wyjdzie, że nieroby i brudasy to zniszczą, a jednak okazało się, że ja miałem rację. Zarząd bał się wszystkiego, nawet założenia Unii Kredytowej, a przecież i Centrum, i Unia kredytowa pięknie się rozwinęły. Sporo czasu zajęło mi wyremontowanie budynków w Lafayetteville, gdyż mogłem dopilnować roboty prowadzone tam tylko podczas sobót. W pozostałe dni tygodnia byłem przecież zajęty w Centrum. Doprowadziłem obiekt wreszcie do takiego stanu, że mogłem zaprosić na otwarcie ośrodka wszystkich pracowników Centrum, Zarząd oraz naszych seniorów z Klubu Krakus. Odbłyło się parę wycieczek, ale panowie z zarządu nadal nie chcieli zmienić swego negatywnego stanowiska wobec tego projektu.

A skoro Centrum nie chciało wziąć obiektu pod swoją opiekę, a mnie jako księdzu nie wolno przecież prowadzić własnego przedsiębiorstwa, więc projekt upadł.

Po dziesięciu latach walk i zmagani, przy braku zrozumienia także ze strony moich braci-kapłanów, popadłem w długą chorobę. Spłacanie rat i podatków spadło na moje barki. Dobre moje chęci skończyły się tym, że sam znalazłem się w poważnych kłopotach finansowych. Nikt mi z pomocą nie przyszedł, musiałem sam się z tego jakoś wygrzebać. Znękanie życiem, moi starzy rodzice, podjęli się przyjmować w tym obiekcie wczasowiczów, by jakoś dopomóc mi w spłaceniu długów i podatków. Wreszcie i oni nie mieli już więcej siły, by się z tym borykać, więc obiekt został sprzedany. Miejsce było piękne. Chciałem sprzedać jakiejś organizacji polonijnej, lub przynajmniej rodakowi. Dawałem ogłoszenia w prasie, ale chętnych nie było. A szkoda...

28. L O S INFORMATORA SPOŁECZNEGO

Żadna organizacja nie może skutecznie działać nie mając nakreślonych celów i zadań. Centrum Polsko-Słowiańskie, jako organizacja społeczna, powstało dla zaspokojenia aktualnych potrzeb naszych rodaków, tu od lat zamieszkałych, a szczególnie tych nowoprzybyłych. Zakres działalności Centrum został ustalony w statucie i dokumentach rejestracyjnych, ale realizacja zadań wymagała przede wszystkim poinformowania oświadczonej przez Centrum pomocy tym, którzy tej pomocy potrzebują. Informacja okazała się więc pierwszą czynnością, pierwszą usługą, którą należało dokonać. Trzeba było zatem zacząć od wydawania biuletynu. Funduszy na ten cel nie było. Za własne pieniądze kupiłem najnowszy powielacz, za który zapłaciłem wtedy ponad tysiąc dolarów i dzięki pomocy inż. Stanisława Ciecierskiego, Jerzego Dylskiego i Adriana Paszkiewicza, już w grudniu 1973 roku ukazał się pierwszy numer biuletynu Centrum pt. Informator Społeczny.

Warto przypomnieć jego intencje, wydrukowane na pierwszej stronie:

„Pismo nasze dostarczy Czytelnikom informacji z dziedziny... opieki społecznej, a między innymi tych amerykańskich przepisów prawnych, których Czytelnik nie znajdzie w prasie codziennej, użytecznych przy załatwianiu wszelkiego typu formalności socjalnych. Pismo nasze będzie informowało cyklicznie o wszelkiego rodzaju imprezach kulturalnych, dydaktycznych i społecznych, organizowanych przez CPS w Greenpoint. Czytelnik nasz znajdzie również wiadomości na temat bezpłatnego nauczania języka angielskiego, informacje dotyczące spraw imigracyjnych, pomocy w zatrudnianiu, szczególnie dla nowoprzybyłych imigrantów, o kuponach żywnościowych dla bezrobotnych lub nisko uposażonych, o pomocy finansowej, legitymacjach na ulgowe przejazdy miejskimi środkami komunikacji itp. Informator Społeczny zawierać będzie informacje dotyczące spraw podatkowych i Social Security, pomocy w sprawach mieszkaniowych, oraz o imprezach kulturalnych i działalności oświatowej wśród Polonii.

Część naszego pisma będzie poświęcona poradom adresowym, prowadzonym w ten sposób, że ludzie różnych zawodów podawac nam będą adresy o możliwościach zatrudnienia w ich zakładach pracy, o możliwościach zdobycia świadectwa zawodu lub dyplomu właściwej uczelni, ułatwiając tym samym start najmłodszej Polonii w USA. Zamieszczać

będziemy również ogłoszenia o możliwościach zatrudnienia kobiet i mężczyzn, ogłoszenia kupna-sprzedaży, usług itp.

Konieczność tego Informatora dla osób nowoprzybyłych, a szczególnie nieznających języka angielskiego jest ogromna, zważywszy jego użyteczność w naszym codziennym życiu..."

Na zakończenie tego pierwszego biuletynu pisaliśmy: „Szczęśliwi będziemy, jeśli pismo to spełni rolę zasadniczej pomocy informacyjnej i jednoczącej polską grupę etniczną w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej”.

Centrum wydawało ten Informator od grudnia 1973 do lutego 1981 roku i to nie dwa razy w roku, jak złośliwie pisano w obecnym „Głosie CPS”, lecz 4 a nawet 5 razy, a więc praktycznie biorąc — co kwartał. Nie zrealizowaliśmy jedynie „porad adresowych”, gdyż nie było chętnych do ich opublikowania. W pozostałym zakresie Centrum wiernie spełniało postawione przed sobą zadania.

Informator był drukowany w nakładzie kilku tysięcy egzemplarzy i rozsyłany był bezpłatnie nawet do innych środowisk polonijnych w USA i Kanadzie, aby innych także zachęcić do podobnego działania. Treść wszystkich wydawanych przez nas biuletynów najlepiej świadczy o tym, że Centrum zmagало się z najróżniejszymi trudnościami, poczynawszy od walki o równouprawnienie dla polskiej grupy etnicznej, a kończąc na staraniach o fundusze na różne programy społecznej działalności.

Informator Społeczny wydawany był w zasadzie w języku polskim, ale każdy artykuł był zaopatrzony w streszczenie w języku angielskim. Chodziło o to, by mógł on służyć także i władzom miejskim, stanowym i federalnym jako informacja, czym Centrum się zajmuje. Celowo wysyłałiśmy sporo egzemplarzy wybranym przedstawicielom władz, aby zapoznać ich z życiem społecznym Polonii. Byli nam wdzięczni za to, gdyż często na urzędowych zebraniach pytano ich o polską grupę etniczną, a żadnej innej informacji na ten temat znikąd nie otrzymywali. Uważa się powszechnie, że to jest zadanie KPA. Niestety, KPA w Nowym Jorku chętnie sprawuje „władzę” nad innymi organizacjami, ale sam jakoś nie śpieszy się by odegrać rolę łącznika pomiędzy Polonią a władzami.

Z dniem usunięcia mnie z Centrum Informator Społeczny przestał istnieć. Obecni władcy Centrum nie wydawali go od roku 1981 aż po sierpień 1984, sądzili chyba, że skoro ich „bazą” jest Nowy Dziennik, to ta gazeta spełni zadania spoczywające na nich. A były to lata najbardziej nasilonej imigracji „solidarnościowej”, kiedy informacje dla nowoprzybyłych były sprawą tak palącą, iż zrozumieli to nawet Amerykanie. Burmistrz Brooklyna, przy pomocy finansowej Brooklyn Union Gas Company, wydał w tym krytycznym czasie specjalny informator dla no-

woprzybywających Polaków. Czy to nie wstyd? Czy Centrum i Polonię rzeczywiście nie stać było wówczas na wydanie odpowiedniego informatora dla masowo przybywających z kraju rodaków?

Centrum zamilkło więc na kilka lat, do momentu, kiedy nowi członkowie zaczęli wytykać zarządowi beład i nieróbstwo, rozdawać ulotki pod kościołami i wybierać nowy zarząd dosłownie na ulicy. Wtedy zarząd pod wodzą M. Przybyłowskiego ocknął się i zaczął znów wydawać biuletyn, ale pod nazwą „Głos Centrum Polsko-Słowiańskiego”.

Bardziej trafną byłaby nazwa „Głos zarządu”, gdyż zamieszczane tam były głównie wzajemne pochwały i zdjęcia członków zarządu. Obecny „Głos” nie ma nic z dawnego Informatora. Kontynuacja nazwy zupełnie oczywiście nowym władcom nie odpowiadała, gdyż brak w nim bieżących informacji o działalności społecznej Centrum. Nacisk ze strony ludzi, których nowy zarząd Centrum nazwał „grupą jednostek pozbawionych skrupułów moralnych”, spowodował, że w sierpniu 1984 roku pojawił się pierwszy numer tego „Głosu”.

Tłumaczył się kłamliwie zarząd Centrum z tego milczenia między innymi tym, że „Centrum Polsko-Słowiańskie zostało zmuszone przez władze miejskie do opuszczenia dotychczasowej siedziby przy 940 Manhattan Avenue w Greenpoincie”. Oświadczam kategorycznie, że żadnego przymusu nie było. Decyzję podjął sam zarząd.

Wykręcali się także tym, że „nie znaleźli miejsca w czterech lokalach”, podczas gdy już od 1982 roku posiadali wielki budynek byłej szkoły św. Alfonsa. Wykręcali się i wielkim wzrostem ilości członków, co winno być, wręcz przeciwnie, nie usprawiedliwieniem braku informacji, lecz pilną przyczyną jego wznowienia!

Wreszcie przyznali, że „okazało się, że brak organu prasowego Centrum i Unii Kredytowej został wykorzystany przez grupę jednostek pozbawionych skrupułów moralnych, które w okresie marzec — maj bieżącego roku (1984) przeprowadziły oszczerczą kampanię ulotkową przeciwko Centrum i jego działaczom”.

Przyznam szczerze, że tej „grupy jednostek pozbawionych skrupułów moralnych” nie znałem i nie znam, ale ulotki mi przynoszono, z komentarzem: „Widzi ksiądz, co się teraz w Centrum dzieje?” Ci młodzi ludzie byli być może powodowani jakimiś ambicjami, ale pewne jest, że mieli sporo racji. „Działacze” z Centrum nazywali ich „chołotą”, ale ta „chołota” dobrze wiedziała o skandalicznych stosunkach panujących w Centrum po moim odejściu. Wiadomo, że nie chciano tych młodych członków Centrum nawet wpuścić na zebranie wyborcze, wobec czego przeprowadzili wybory na ulicy. Wybrany przez nich zarząd władzy nie objął, a sprawa z czasem ucichła, bez jakiegokolwiek definitywnego załatwienia.

Nowy Dziennik informował co prawda o tym, że M. Przybyłowski wniósł sprawę sądową o zniesławienie, ale wobec masy dowodów przeciwko „działaczom” Centrum musiało zaniechać roszczenia sądowe. Zamiast służyć rzeczywiście Polonii, nowi władcy Centrum ani nawet myślą o otwieraniu filii, czy o zdobywaniu nowych funduszy na dalsze programy działalności społecznej. Korzystają tylko z tego, co zostało zorganizowane przeze mnie i przez ludzi, którzy pod moim kierownictwem skłonni byli rzeczywiście pracować społecznie z poświęceniem. Dziś nie ma w Centrum nic, poza wzajemnym kadzeniem sobie i powtarzaniem kłamstwa o rzekomym „uratowaniu Centrum i Unii Kredytowej.” Takie postępowanie jednak Polonii nie służy, a z pewnością nie zaspokaja potrzeb nowoprzybyłych.

Usiłowano nawet w „Głosie CPS” tłumaczyć się w jeszcze dziwniejszy sposób: „Nie znaczy to, że informacja na temat działalności Centrum była zupełnie zaniedbana... O każdej większej imprezie czy wydarzeniu pisał obszernie Nowy Dziennik i Greenpoint Gazette”... „Zawiadomienia ukazywały się na terenie Unii Kredytowej...” Władcy Centrum, „spokrewnieni” z Nowym Dziennikiem, mają czelność nawet czynić wyrzuty nowoprzybyłym, że „wielu naszych członków nie czyta Nowego Dziennika i mało wie o Centrum”. Cóż za pomieszenie pojęć! Nowy Dziennik jest pismem będącym prywatnym przedsiębiorstwem dochodowym. Centrum jest instytucją społeczną, niedochodową, której nawet nie wypada — ani prawnie, ani moralnie — wymagać od swoich członków, aby dowiadywali się o działalności Centrum z płatnej gazety. Centrum nie wolno udzielać poparcia przedsiębiorstwom dochodowym. Nowy Dziennik uniknął upadku finansowego zresztą głównie dzięki tym masom nowoprzybyłych, którzy nie znając języka angielskiego byli zdani na łaskę i niełaskę jedynej polskojęzycznej gazety, głównie by czytać ogłoszenia o pracy.

Podobnie zresztą i nowy zarząd Unii Kredytowej chlubi się wielkim wzrostem wkładów, jakby to była jego zasługa. W rzeczywistości starzy „działacze” tylko korzystają z sytuacji, jaka wytworzyła się w czasie masowego napływu rodaków z kraju.

Początki były trudne, to jasne. Tak było i z Informatorem. Brak było i pieniędzy i odpowiednich ludzi. Następne numery redagowali pracownicy Centrum: ks. Emil Altmajer, Jerzy Pańciewicz, Stanisław Piekarski. Angielską wersję opracowywali: Halina Kamińska, Irena Slewini, Krystyna Gacek-Pityńska. Drukiem i wysyłką stale zajmował się Krzysztof Żołnierowicz — bezpłatnie i poza godzinami pracy. Informator zawierał masę podstawowych informacji o opiece społecznej, o prawach lokatorskich, o ubezpieczeniach społecznych itp. Nawet o prawie małżeńskim, gdyż mało kto wie, że śluby zawarte w kościołach są tu w

Ameryce uznawane prawnie.

Informator Społeczny Centrum spełniał swoje zadania, gdyż za moich czasów kierowania działalnością Centrum mieliśmy przed sobą jasno sformułowany cel: służba potrzebującym pomocy rodakom.

Ten święty cel nowym władcom Centrum z pewnością nie przyświeca.

29. KWESTIE ZASADNICZE

Otrzymując w roku 1974 pierwsze programy społeczne subsydiowane przez władze miejskie, Centrum znalazło się na liście uprzywilejowanych, „białych”, grup etnicznych. Każda z organizacji tej listy ma Dyrektora Wykonawczego. Obecny zarząd Centrum, na walnym zebraniu w roku 1984, usunął tę funkcję ze statutu. Zwiększono natomiast ilość dyrektorów (tj. członków rady nadzorczej), którzy będą przychodzili na comiesięczne zebrania zarządu, aby umacniać jego władzę i — aby było różnie — przy kolacjach zaprawionych trunkami, akceptować decyzje rządzących. Nikt z nich, na codzień, nie będzie wykonywał zadań Centrum, nie będzie administrował, załatwiał bieżących spraw. Czyżby ci „wielcy leaderzy” nie rozumieli, że Dyrektor Wykonawczy jest konieczny, jako administrator organizacji? Że potrzebuje on nawet trzech zastępców, by spełnić to wszystko, co na nim ciąży?

Skoro Centrum raz już na tej liście uprzywilejowanych organizacji znalazło się, to raz uzyskane programy społeczne powtarzają się z roku na rok, niemal automatycznie. Na tym Centrum obecnie opiera się. Gwarantuje to, co ja uzyskałem, egzystencję Centrum. Nie gwarantuje jednak dalszego rozwoju. Do tego celu konieczne są dalsze, większe, szczerze realizowane wysiłki. A to nie leży na sercu obecnym władcom Centrum. Dla nich wcale nie jest ważne, co rzeczywiście robi się dla Polonii, lecz jedynie to, co o ich gospodarzeniu napisze ich własny „Nowy Dziennik”, lub ich własny biuletyn.

Niejedyn czytelnik pomyśleć może: „ależ ten ksiądz jest złośliwy! Prawie w każdym rozdziale nie daje spokoju obecnemu zarządowi Centrum

i tej spółce „Nowego Dziennika”. Broni swojej utraconej posadki Dyrektora Wykonawczego”.

Wyznaję szczerze, że ten tytuł i posadka nie przyniosły mi żadnych korzyści materialnych. Ogromne obowiązki, ciężka praca i jeszcze cięższa odpowiedzialność, ból głowy i nieprzespane noce, oto co mi to stanowisko gwarantowało. Zaczynałem przecież od zera. Publicznie wyznaję, że nie tylko do tej posadki nie tęsknię, ale bym jej i nie przyjął teraz, gdyby mi ją oferowano. Zbyt chory i stary jestem już, by podjąć na nowo walkę.

Więc to nie złośliwość, ani zazdrość, lecz ból. Ból człowieka, który pragnie by Polonia działała i korzystała z osiągnięć, do których zaliczam między innymi fakt wprowadzenia polskiej grupy etnicznej na listę innych uprzywilejowanych narodowości. To jest to, o co walczyłem i co osiągnąłem. Bez pomocy przedstawicieli grup żydowskich, greckich, włoskich i irlandzkich, dawno byśmy te programy społeczne utracili. Władze w dobie zaciskania pasa pośpieszyły by nas usunąć z listy uprzywilejowanych, ale nie pozwolą na to adwokaci innych grup i dzięki temu płyniemy spokojnie na jednym statku, na który wsiedliśmy prawie w ostatniej chwili.

Niech obecni władcy Centrum sumiennie odpowiedzą Polonii, czy tą szansę wykorzystują należycie? Czy współdziałają w tym nowojorskim lobby etnicznym? Czy starają się o uzyskanie większych subsydiów? Czy można nazwać rozwojem uzyskanie po moim odejściu tylko jednego małego programu o jednym, czy dwu urzędnikach? Czy po moim odejściu nastąpiło jakieś prawdziwe rozszerzenie działalności Centrum?

Zanim ktokolwiek posądzi mnie o złośliwość, niech zbada ilość programów społecznych zdobytych przez obecnych władców Centrum z danymi z okresu mojej pracy. Wtedy tylko można bezstronnie ocenić wkład mojej pracy w to wielkie dzieło. A działałem przecież w okresie znacznie trudniejszym. Obecny zarząd nie napotyka na takie opory, na jakie ja napotykałem. Ja nie miałem do swojej dyspozycji szpalt „Nowego Dziennika”, nie miałem poparcia ze strony innych organizacji.

Koalicja grup etnicznych, do której wprowadziłem Centrum, wraz z Burmistrzem Nowego Jorku organizowała wiele konferencji, sympozja na temat wkładu grup etnicznych w życie miasta. Koalicja grup etnicznych postanawiała, by w prasie etnicznej pojawiały się materiały na ten temat, aby wzbudzić większe zainteresowanie i zgromadzić przedstawicieli różnych narodowości. Wysyłałem te materiały do „Nowego Dziennika” z prośbą o opublikowanie i z zachętą do wzięcia udziału. Nic z tego. „Nowy Dziennik” naszą pracę ignorował zupełnie. Wszystkie narodowości były reprezentowane licznie, tylko nie polska. Pełno było świeckich i duchownych z innych grup etnicznych. Polaków reprezentowałem sam, z kilkoma

wiernymi pomocnikami.

To nie złośliwość, lecz stwierdzenie nader smutnego faktu. Kiedy chcą nas widzieć i słyszeć — to nas nie ma. Później narzekamy, że nas się pomija...

To nie złośliwość, lecz prawdziwy ból, że w tej „mojej” organizacji, której byłem jedynym założycielem, organizatorem i przez dwa lata fundatorem, dzieje się źle. Choć mnie fizycznie z niej wydalono, to duchowo jestem jej częścią. Obchodzi mnie jej los i zawsze będzie obchodzić, gdyż „zrodziłem” ją z niczego i wyhodowałem w niezmiernie trudnych warunkach w ciągu ponad 10 lat.

To nie złośliwość, czy chęć szkalowania mną powoduje. Ani też pasja rozrabiania, czy rozbijania Polonii, jak to się popularnie nazywa. Polonia zresztą i tak nigdy nie była zjednoczona...

Powoduje mną po prostu ból, ból ojca w stosunku do dziecka, które zeszło na manowce.

„Na litość Boga — któryś z czytelników powie — czyż te programy, o których tu ksiądz rozpisuje się tak szeroko są dla Polonii aż tak ważne? Czy Polonia nie może żyć bez nich?”

Jako ksiądz wiem aż nadto dobrze, że nie samym chlebem człowiek żyje. Przez osiągnięcie programów subsydiowanych przez władze nie należy jednak rozumieć tylko zdobywanie funduszy na udzielanie pomocy biednym, choć i to jest dobre i konieczne. Chodziło mi — i nadal mi chodzi o to — o sprawę daleko większą, bo o zdobycie pewnej pozycji moralnej, prestiżowej, takiej, by z nami liczone się w środowisku amerykańskim. A tego celu, niestety, jeszcze nie osiągnęliśmy. Boli mnie właśnie to, że walczyłem o jego osiągnięcie, lecz zostałem usunięty, a nowe władze Centrum, ani zresztą żadne inne organizacje polskie na emigracji, walczyć o ten cel nie zamierzają.

Chciałem aby opinia publiczna Nowego Jorku, stanu Nowy Jork i całej Ameryki, wiedziała o czynnej postawie społecznej polskiego środowiska i aby doceniała rolę, jaką Polacy odgrywają w życiu Stanów Zjednoczonych. Centrum mogło wiele w tej dziedzinie zrobić, mogło stać się bardzo wpływową organizacją. Niestety. Nowi władcy mają inne, własne koncepcje, które z dobrem społecznym niewiele mają wspólnego. Starzy „zasiedziali liderzy” opanowali wpierw Unię Kredytową, a następnie i Centrum, posługując się w tej aferze niezorientowanymi nowoprzybytymi. Nikt jakoś z nowoprzybytych nie zastanowił się, że i ja do nich należę...

Starzy spryciarze posłużyli się młodymi, którzy zapewne o własnej karierze myśleli, a nie o obowiązkach wyływających z chęci reprezentowania nowoprzybytych. Tak zwana polityczna emigracja nowej emigracji

z „PRL” wiele nie pomogła, ale za to teraz rządzi Centrum oraz zyskami z działalności Unii Kredytowej.

Boli nas wszystkich, że „Nowy Dziennik” nie tylko opanował instytucje stworzone przez nowoprzybyłych, ale jeszcze tym nowoprzybyłym ubliża. Kiedy grupa członków Centrum poznała się na niedołącznym prowadzeniu tej instytucji, to jej władcy, z O. Zembruskim na czele, wyrzucili tych ludzi z budynku. „Nowy Dziennik” wiernie sekundował temu przestępstwu, nawołując do rzekomej „społecznej uczciwości”. W artykułach z 2 marca i 15 maja 1984 „Nowy Dziennik” obrażał tych nowoprzybyłych, którzy pragnęli ożywić działalność Centrum, słowami, które muszę tu, choć ze wstydem, przytoczyć:

„Płazy wyłazą ze swych nor, aby rzucić cień na rodaków, na działalność ludzi ofiarnych, którzy tworzą i budują nasze życie zbiorowe, aby ściągnąć ich w dół w diabelskim kotle zawiści. Przed takimi metodami społeczność nasza musi się bronić.”

Ileż fałszu w tych paru zdaniach! Nasza społeczność zaiste musi się bronić, ale przede wszystkim przed takimi pismakami, którzy odważają się krytykujących porównywać do „płazów wyłazących z nor”. Styl ten żywcem przypomina „peerelowski” język osławionego Urbana. Faktem jest, że „płazy wylazły z nor” i opanowały Centrum i Unię Kredytową. Tego nikt nie jest w stanie zaprzeczyć. Stare organizacje nowym nie pomogły, lecz ograbiły je. „Nowy Dziennik” bezczelnie radził nawet, że „jeśli chcą, to niech sobie założą swoją organizację”.

A ja ośmielam się tu publicznie zapytać, co ci panowie założyli? Czy to oni założyli Centrum i Unię Kredytową? I czy w ogóle założyli cokolwiek dla dobra Polonii, poza własnymi, prywatnymi interesami?

Jasno chyba z tego wszystkiego wynika, że najnowsza emigracja nie może współpracować ze starymi spryciarzami. Nic dziwnego więc, że młodzi nowoprzybyli starają się zakładać własne, nowe organizacje i instytucje, nie dopuszczając do nich starszej emigracji.

Raz jeszcze ośmielam się podkreślić, że jedyną formą zjednoczenia może być tylko powołanie nowej organizacji nadrzędnej, lepszej od Kongresu Polonii Amerykańskiej, opartej bardziej na rozumieniu polskich, a nie amerykańskich interesów, której jedynym celem byłoby niesienie pomocy Polakom na emigracji i narodowi polskiemu, walczącemu w kraju o wolność i niepodległość. Głównym celem takiej organizacji musiało być nawiązanie bliskiej współpracy z podobnymi organizacjami innych narodów Europy Środkowej, rozumiejących właściwie nasze cele i zainteresowanych w utworzeniu takiej wspólnoty. Bez tego nie można wyobrazić sobie zwycięskiej walki o wolną Polskę i o równouprawnienie Polonii w USA w stosunku do pozostałych grup etnicznych.

30. DLA UMOCNIEŃIA WŁADZY — NOWY STATUT

Nowi władcy Centrum doszli do wniosku, że opracowany przez nas statut Centrum, zatwierdzony w roku 1973, nie sprzyja umocnieniu i utrwaleniu ich władzy. Ten stary statut był po prostu — demokratyczny. Poprawki wniesione do niego w roku 1977 dotyczyły jedynie zakresu działania, poszerzały art. III i mówiły o pomocy starszym w postaci żywności, odzieży i opieki lekarskiej, mówiły o opiece nad młodzieżą i innych formach działalności charytatywnej. Z punktu widzenia tych, którzy Centrum opanowali, te zmiany statutowe nie miały żadnego znaczenia. Potrzebne im były nowe zmiany, takie, które by gwarantowały ciągłość władzy w rękach tej samej grupy...

Autorzy zmian w statucie Centrum, zatwierdzonych w listopadzie 1984, posłużyli się wzorami znanymi z „PRL”, mieszając je zgrabnie z wzorami amerykańskimi — dla zamydlenia oczu, i tworząc w sumie gwarancję, że nikt bez ich woli do władz Centrum nie wejdzie...

Ustalono więc w Art. IX, par. 1 — system rotacyjny, tj. różne okresy kadencji dla członków dyrekcji (to znaczy odpowiednika rady nadzorczej). Tyle z systemu wzorowanego na senacie USA. Lecz już następne paragrafy tegoż artykułu ujawniają rzeczywiste tendencje autorów tych zmian. Kandydat musi zgłosić się do „komitetu nominacyjnego” na 2 miesiące przed zebraniem wyborczym. Ten „komitet nominacyjny” musi „zatwierdzić” kandydata, ale nie jest powiedziane, czy musi zatwierdzić, czy też może z jakichś powodów nie zatwierdzić.

Podobieństwo tego „komitetu nominacyjnego” do znanych z „PRL” wzorów w postaci tzw. „komisji matki” polega na tym, że według tego nowego statutu Centrum „komitet nominacyjny” nie jest ciałem demokratycznym, nie pochodzi z wyboru, lecz jest „powoływany” przez tzw. zarząd wykonawczy i „zatwierdzany” przez dyrekcję.

Inaczej mówiąc, raz wybrane władze Centrum „powołują” „komitet nominacyjny”, który decyduje o tym, kto będzie wybrany w następnych wyborach. Dzięki temu systemowi mowy nie ma o tym, aby ktoś „niepowołany” dorwał się do władzy w Centrum... a pozory demokracji niby to zachowane!

Publikując oryginalny statut mam na celu także i to, że mogą znaleźć się organizacje, które zechcą podjąć trud i skorzystać z przykładu.

Może w jakimś innym mieście USA znajdują się społecznicy, którzy odważą się na zorganizowanie podobnego ośrodka pracy społecznej.

Poniżej załączam tekst oryginalnego statutu z poprawkami dokonanymi w 1977 r.

S T A T U T
CENTRUM POLSKO-SŁOWIAŃSKIEGO.
(DO CHARTERU ORGANIZACYJNEGO ZATWIERDZONEGO
PRZEZ: COMMISSIONER OF EDUCATION OF STATE OF
NEW YORK — Z DNIA 8-10-72.
ATTORNEY GENERAL OF STATE OF NEW YORK —
LOUIS J. LEFKOWITZ Z DNIA 8-15-72; FILE NO. C-839.
JUSTICE OF SUPREME COURT OF STATE OF NEW YORK
— HON. FRANK S. SAMANSKY Z DNIA 8-15-72.)

Artykuł I.

Nazwa Organizacji: POLSKO-SŁOWIAŃSKIE CENTRUM.

Artykuł II.

Siedziba Organizacji: W lokalu własnym przy: 940 Manhattan Avenue,
Brooklyn, New York, 11222.

Artykuł III.

Cele i zadania Organizacji:

1. Nauka języka angielskiego (Czytanie, mówienie, pisanie).
2. Zaznajamianie z życiem amerykańskim (Tradycja, kultura, sposób życia).
3. Pomoc Polsko-Słowiańskim imigrantom w znalezieniu pracy, w dostosowaniu się ich do życia i potrzeb w U.S.A. Informowanie ich o przepisach mieszkaniowych, o społecznej pomocy lekarskiej, o ubezpieczeniach społecznych, o sposobie i obowiązku wypełniania form podatkowych.
4. Organizowanie dla w/w imigrantów kursów przygotowawczych do egzaminów obywatelskich U.S.A.
5. Pomoc imigrantom w sytuacjach specjalnych, powstałych na skutek braku znajomości języka angielskiego i praw imigracyjnych.
6. Udzielanie informacji o ujemnych skutkach używania narkotyków.
7. Pomoc w kształceniu i rozwijaniu talentów artystycznych wśród imigrantów.
8. Pomoc w znalezieniu odpowiedniej pracy przez imigrantów z odpowiednim wykształceniem i znającym język angielski.

9. Nauka języka polskiego i innych języków słowiańskich, udzielana dla tych Amerykanów, którym te języki są potrzebne.

Artykuł IV.

Władze Polsko-Słowiańskiego Centrum, ich prawa i obowiązki:

1. Skład Zarządu:

- a) Prezes,
- b) Dyrektor Wykonawczy,
- c) Wiceprezes,
- d) Sekretarz,
- e) Skarbnik,
- f) Dwóch członków Zarządu.

2. Skład Komisji Rewizyjnej:

- a) Przewodniczący,
- b) Dwóch członków.

3. Obowiązki i uprawnienia Członków Zarządu:

a) Prezes: Zwołuje i prowadzi zebrania Zarządu Centrum. Reprezentuje Centrum na wszystkich publicznych imprezach. Zwołuje i prowadzi zebrania ogólne Zwyczajne i Nadzwyczajne Członków Centrum. Powołuje do życia Komitety Centrum i mianuje członków do nich po uzgodnieniu tych spraw na zebraniu Zarządu.

b) Dyrektor Wykonawczy: Prowadzi sprawy organizacyjne, gospodarkę i kancelarię Centrum oraz czuwa nad wypełnieniem celów Statutowych przez poszczególnych członków Zarządu.

c) Wiceprezes: Jego obowiązki są te same, jak prezesa, o ile go zastępuje.

d) Sekretarz: Sporządza w dwóch językach (polskim i angielskim) protokoły wszystkich zebrań. Załatwia korespondencję Centrum również w dwóch językach (polskim i angielskim).

e) Skarbnik: Zbiera opłaty członkowskie oraz wszelkie fundusze, jakie wpływają do Centrum. Prowadzi dokładnie książkę kasową. Składa sprawozdania Zarządowi na jego zebraniach miesięcznych oraz wszystkim członkom Centrum na zebraniach ogólnych o stanie materialnym Centrum.

f) Dwaj członkowie Zarządu: Biorą udział w miesięcznych zebraniach

Zarządu. Wykonują prace zlecone im przez Zarząd.

4. Obowiązki Komisji Rewizyjnej:

Przeprowadza dokładną kontrolę ksiąg kasowych i całej gospodarki Centrum przynajmniej raz w roku i przygotowuje pisemne sprawozdanie o stanie materialnym Centrum na rocznym zebraniu członków.

Artykuł V.

Komitety Polsko-Słowiańskiego Centrum:

W razie potrzeby Zarząd Centrum może powołać do życia następujące Komitety, celem wykonania celów Statutowych:

- a) Edukacyjny.
- b) Sztuk pięknych.
- c) Imigracyjny.
- d) Poszukiwania pracy.
- e) Informacyjny o narkotykach.
- f) Pomocy lekarskiej.

Artykuł VI.

Wybory Władz Centrum:

1. Wybory Władz Centrum odbywać się będą na Walnym Zebraniu Rocznym, zwoływanym co dwa lata w drugą niedzielę listopada.
2. Władze Centrum pełnią swe funkcje przez okres dwóch lat z wyjątkiem Dyrektora Wykonawczego.
3. Do Władz Centrum mogą być wybierani ci członkowie Centrum, którzy są jego członkami przynajmniej dwa lata. Nie dotyczy to członków, wybranych do pierwszych Władz Centrum.
4. Kandydatów do Władz Centrum należy zgłaszać do Zarządu przynajmniej na miesiąc przed wyborami.
5. Każda kandydatura do Władz Centrum musi być poparta przez czynnego członka Centrum.
6. Obowiązkiem Zarządu jest podać do publicznej wiadomości zgłoszone kandydatury przed wyborami do Władz Centrum.

Artykuł VII.

Zebrania członków Centrum:

1. Zebrania Walne Członków odbywać się będą co roku w drugą niedzielę listopada.
2. Zebrania Walne Wyborcze odbywać się będą co dwa lata w drugą niedzielę listopada.
3. Zarząd obowiązany jest zwoływać co pewien czas zebrania ogólne członków Centrum, celem zapoznania ich z pracami Centrum.

Artykuł VIII.

Członkostwo Centrum:

1. Członkostwo Centrum może być:
 - a) Indywidualne. b) Organizacyjne.
2. Indywidualne członkostwo może być:
 - a) Zwyczajne. b) Honorowe.
3. Członkowie Centrum muszą być pochodzenia polskiego lub słowiańskiego.
4. Członkostwo organizacyjne przysługuje towarzystwom polskim, słowiańskim lub innym, które popierają cele Centrum.
5. Składki członkowskie będą ustalone przez Zarząd.
6. Przyjmowaniem nowych członków zajmuje się Zarząd. Decyzja przyjęcia zapada zwykłą większością głosów członków Zarządu.
7. O ile członek, osoby lub organizacje nie przestrzegają Statutu Centrum, mogą być pozbawione członkostwa przez Zarząd zwykłą większością głosów członków Zarządu.

Artykuł IX.

Poprawki Statutowe:

1. Celem wprowadzenia zmian czy poprawek do Statutu Centrum muszą odbyć się dwa kolejne zebrania ogólne członków Centrum.
 - a) Na pierwszym zebraniu odbędzie się czytanie zgłoszonych wniosków.
 - b) Na drugim zebraniu odbędzie się dyskusja i głosowanie nad zgłoszonymi poprawkami.
2. Wszelkie poprawki przechodzą większością 2/3 głosów obecnych członków na zebraniu.

Artykuł X.

STATUT POLSKO-SŁOWIAŃSKIEGO CENTRUM został opracowany przez Komisję Statutową w składzie: Ks. Longin J. Tołczyk, p. W. Kuskowski i p. A. Rudzinski.

STATUT ten został zatwierdzony przez Nadzwyczajne Walne Zebranie członków Centrum w dniu 21-go stycznia, 1973 r.

Komisja Statutowa:

Walter Kuskowski Ks. Longin J. Tołczyk Andrzej Rudzinski
Przewodniczący Nadzwyczajnego Zebrania Centrum:
Franciszek Gacek

Następnie przyjęto poprawki statutowe na walnym zebraniu, 18-go grudnia 1977 r.

W związku z rozwojem CPS otrzymywaniem coraz to nowych programów oraz wymogami administracji programów, które wymagały przy składaniu propozycji i wniosków na nowe programy by w statucie wyraźnie były wyznaczone w celach i zadaniach organizacji, Zarząd CPS powołał specjalną komisję statutową w osobach mec. dr Antoni Czarliński, William Krusz, Józef Dubicki i Jan Mierzwa. Komisja przygotowała poprawki, które były czytane i dyskutowane na dwu kolejnych zebraniach członków z zarządem. Poprawki statutowe, odnośnie celu i zadań organizacji do istniejących 9 paragrafów w Art. III dodano następne 9 paragrafów w kolejnym następie:

10. Pomoc starszym w postaci żywności, odzieży, opieki lekarskiej. Wyświadczenie im usług społecznych w Centrum i miejscach ich zamieszkania.

11. Pomoc młodzieży zainteresowanej studiami, muzyką i sportem, oraz wyświadczenie usług w ich zatrudnianiu i poszukiwaniu im odpowiedniej pracy.

12. Otwieranie w ramach CPS niedochodowych — charytatywnych organizacji, instytucji, ośrodków, kursów szkolenia itp., które by przynosiły pracę i dochód dla naszej wspólnoty polonijnej.

13. Pomoc specjalna sierotom i dzieciom oraz organizowanie żłobków i przedszkoli.

14. Pomoc w znalezieniu dobrych książek związanych z kulturą polsko-amerykańską, utrzymywanie biblioteki.

15. Zabezpieczenie ładu i porządku w naszych dzielnicach, oraz branie czynnego udziału w odbudowie dzielnic polonijnych.

16. Utrzymywanie funduszy i ubezpieczenia dla członków CPS przez patronowanie Polsko-Słowiańskiej Federalnej Unii Kredytowej, tworzenie nowych filii.

17. Utrzymywanie ciągłych kontaktów z przedstawicielami władz federalnych, stanowych i miejskich oraz współpracowanie z agencjami, grupami etnicznymi, mniejszościowymi i ich organizacjami w przedmiocie zrealizowania celów i zadań naszej organizacji.

18. Obrona dobrego imienia, szerzenie prawdy związanej z historią, kulturą i tradycją Polski i Narodów Słowiańskich, oraz wykazywanie naszego wkładu w życie i budowę Stanów Zjednoczonych.

Artykuł V — Komitety Polsko-Słowiańskiego Centrum

g) Pomocy w podatkach i uzyskaniu Social Security

h) Starszych i chorych emerytów

- i) Młodzieżowy
- j) Opieka nad dziećmi
- k) Książki i biblioteki
- l) Obrony i odbudowy dzielnic
- m) Finansów — PSFUK — filie
- n) Reprezentacji i współpracy z władzami i grupami etnicznymi
- o) Obrony Polsko-Słowiańskiego dziedzictwa.

Narzucony przez władców Centrum nowy statut, który przyjęto w listopadzie 1984 r., zasadniczo różni się od pierwszego. między innymi nawet cele i zadania w artykule II zostały zupełnie zmienione. Zaś artykuł III (członkostwo) oraz artykuł IV (prawa i obowiązki członków) podzieliły członków Centrum na lepszych i gorszych, z prawami pobytu stałego i bez. Dlaczego nowoprzybyli mają być odtrącani od pełnego członkostwa i dyskryminowani przez swoich, skoro władze amerykańskie nie kontrolują dokumentów naszych rodaków, ponieważ wiedzą i rozumieją, że na kartę stałego pobytu często trzeba czekać kilka lat. Decyduje o tym Urząd Immigration and Naturalization.

Trudno mi zrozumieć uprzedzenia i mentalność tych panów z Zarządu Centrum, którzy pozbawiają pełnych praw członkowskich te osoby, którym na równi z innymi potrąca się automatycznie składki roczne w wysokości 10 \$. Członkowie wspierający płacą składki, ale nie mogą być wybrani do władz, nie mogą pracować w agendach Centrum i nie mogą korzystać z praw i przywilejów członków zwyczajnych. Taka jest smutna prawda.

Nowy statut Centrum zawęził także cele i zadania, podzielił członków na elitę i plebs, ale za to zapewnił nowym rządcom władzę na zawsze dzięki Komitetowi Nominacyjnemu w składzie 5 członków. I tak w paragrafie IX czytamy: „Wybór dyrektorów następuje co dwa lata na wyborczym zebraniu CPS systemem rotacyjnym 1/3 na ogólną liczbę 15 względnie więcej wg. uchwały wyborczego zebrania”. Niech ten fragment oraz cały statut ocenią sami czytelnicy i znawcy przedmiotu.

Uważam więc, że fotokopia tzw. nowego statutu Centrum w porównaniu ze starym z poprawkami, jest najlepszym dowodem aby przekonać się w którym z nich, znajdujemy podstawy oraz istotę demokracji.

Zmuszony jestem przeprosić czytelników, że nowy statut zawiera błędy i skreślenia. Niestety lepszego tekstu nie mogłem zdobyć. Członkowie CPS informowali mnie, że nowy statut jest w zasadzie nieosiągalny. Wiadomo dlaczego.

S T A T U T
CENTRUM POLSKO-SŁOWIAŃSKIEGO

ARTYKUŁ I

Nazwa, teren działania, siedziba.

- Par.1 Organizacja nosi nazwę Centrum Polsko-Słowiańskie.
- Par.2. W dalszym ciągu niniejszego statutu nazwę organizacji wymienia się w skrócie : C.P.S..
- Par.3. Terenem działalności C.P.S. jest Metropolia Nowego Jorku oraz pobliskie stany, w których władze i warunki pozwalają na realizację celów C.P.S.
- Par.4 Siedzibą władz C.P.S. jest dzielnica Brooklyna Greenpoint w Metropolii Nowojorskiej w stanie Nowego Jorku.
- Par.5. Siedziba może być przeniesiona do innej dzielnicy Metropolii Nowego Jorku na podstawie uchwały ogólnego zebrania C.P.S..

ARTYKUŁ II

Cele, zadania i charakter działania.

- Par.1 Skupianie w szeregach C.P.S. obywateli Stanów Zjednoczonych lub posiadających prawo stałego pobytu oraz organizacji o charakterze naukowym i społecznym.
- Par.2. Rozszerzanie działalności na inne stany Ameryki Północnej, na mieszkańców i organizacje osiadłe w tych stanach, jeśli takie możliwości zaistnieją.
- Par.3. Krzewienie historii i kultury polskiej i słowiańskiej, stanowiącej wkład w rozbudowę i rozkwit Stanów Zjednoczonych.
- Par.4. Niesienie pomocy materialnej i moralnej członkom C.P.S. oraz obywatelom i stałym mieszkańcom Stanów Zjednoczonych, osiadłym na terenach działalności C.P.S., którzy takiej pomocy potrzebują.
- Par.5. Udzielanie pomocy emigrantom polskiego lub słowiańskiego pochodzenia w nauce języka angielskiego, w zaznajomieniu z podstawowymi przepisami federalnymi, stanowymi i miejskimi oraz z warunkami pracy.
- Par.6. Przychodzenie z pomocą w wypadkach dyskryminacji z powodu narodowości, religii, ułomności fizycznej lub wieku.
- Par.7. Tworzenie w ramach C.P.S. kursów języka angielskiego i polskiego, kursów zawodowych, stołówek, instytucji finansowo-kredytowych. Zabieganie o federalne, stanowe i miejskie programy przewidziane dla obywateli i stałych mieszkańców, dla grup etnicznych i młodzieży.
- Par.8. Współpracowanie z lokalnymi organizacjami społecznymi.
- Par.9. C.P.S. jest organizacją społeczno-charytatywną nie obliczoną na zysk indywidualnych członków.

ARTYKUŁ III

CZŁONKOSTWO - OPŁATA ORGANIZACYJNA

- Par.1. Członkowie C.P.S. dzielą się na : zwyczajnych, wspierających i honorowych.
- Par.2. Członkiem zwyczajnym C.P.S. może być :
- obywatel lub posiadający prawo stałego pobytu w Stanach Zjednoczonych słowiańskiego pochodzenia.
- Par.3. Członkami wspierającymi mogą być :

- a/ organizacje polsko-amerykańskie popierające cele i zadania C.P.S.,
- b/ osoby indywidualne ~~osobujace na prawo stałego pobytu w Stanach Zjednoczonych~~, które popierają działalność C.P.S.

- Par.4. Członkami honorowymi mogą być osoby, niezależnie od etnicznego pochodzenia, zajmujące stanowiska w życiu politycznym, naukowym, społecznym lub zawodowym, popierające działalność C.P.S.
- Par.5. Członków zwyczajnych i wspierających przyjmuje Zarząd Wykonawczy C.P.S. na podstawie indywidualnej aplikacji. Godność członka honorowego nadaje Dyrekcja C.P.S..
- Par.6. Członkiem C.P.S. nie może być osoba należąca do partii komunistycznej lub organizacji wyrotowej względnie opartej na doktrynach totalitarnych.
- Par.7. Opłatę organizacyjną dla wszystkich kategorii członków ustala Dyrekcja C.P.S.

ARTYKUŁ IV
PRAWA I OBOWIĄZKI CZŁONKÓW

- Par.1. Członkowi zwyczajnemu przysługuje :
- a/ czynne i bierne prawo wyborcze do władz C.P.S..
O urząd we władzach C.P.S. mogą ubiegać się członkowie należący do C.P.S. co najmniej dwa lata bez przerwy, mają uregulowane opłaty organizacyjne i biora czynny udział w działalności C.P.S.
 - b/ prawo korzystania z urządzeń i programów będących w dyspozycji C.P.S. zgodnie z przepisami tych programów.
- Par.2. Członkowie honorowi i wspierający mogą brać udział w zebraniach rocznych lub specjalnych z głosem doradczym. W zebraniach Dyrekcji tylko na zaproszenie Zarządu.
- Par.3. Do obowiązków członka zwyczajnego należy :
- a/ przestrzeganie przepisów organizacyjnych oraz uchwał i zarządzeń władz C.P.S.

- b/ postępowanie w życiu organizacyjnym i prywatnym zgodnie z zasadami etyki i moralności i dobrym imieniem polsko-słowiańskiej grupy etnicznej,
- c/ opłacanie w terminie opłat organizacyjnych,
- d/ branie udziału w działalności C.P.S.

ARTYKUŁ V

UTRATA CZŁONKOSTWA

- Par.1. Członek zwyczajny traci prawa członkowskie:
- a/ na własną prośbę,
 - b/ z powodu zalegania z opłatą składek członkowskich,
 - c/ z powodu ujawnienia okoliczności unieważniających przyjęcie członka,
 - d/ uchwałą Dyrekcji podjęta na podstawie ujawnienia działalności na szkodę C.P.S. oraz dobrego imienia polsko-słowiańskiej społeczności.
- Par.2. W wypadkach par.1, punkt b/,c/ i d/ władza rostrzygającą jest Dyrekcja.
- Par.3. Odnośnie członków honorowych i wspierających utrata członkostwa następuje : a/ na własną prośbę,
b/ jak Art.V, Par.1, punkt e/.

ARTYKUŁ VI

OGÓLNE ZEBRANIA CZŁONKÓW

- Par.1. Ogólne zebrania członków C.P.S. dzielą się na roczne, wyborcze i nadzwyczajne.
- Par.2. Ogólne roczne zebrania C.P.S. odbywają się w listopadzie każdego roku.
- Par.3. Zebrania Wyborcze odbywają się co dwa lata w listopadzie.
- Par.4. Zebrania roczne zwołuje Zarząd Wykonawczy komunikatem pisemnym umieszczonym w siedzibie C.P.S. oraz w budynku Unii Kredytowej i podanym w prasie na miesiąc przed terminem zebrania.

- Par.5. Roczne zebrania rozpatrują i zatwierdzają sprawozdania Zarządu Wykonawczego, Komisji Rewizyjnej oraz wnioski na dobro C.P.S.
- Par.6. Zebranie otwiera prezes C.P.S. a przewodniczy wybrane przez ogół prezydium w składzie: przewodniczący, wiceprzewodniczący i sekretarz.
- Par.7. Uchwały zapadają zwykłą większością obecnych członków C.P.S.
- Par.8. W zebraniu mogą brać udział członkowie honorowi i wspierający z głosem doradczym.
- Par.9. Zebrania wyborcze zwołuje Zarząd Wykonawczy według procedury dla zebrań rocznych na dwa miesiące przed terminem zebrania.
- Par.10. W zebraniu wyborczym mogą brać udział z głosem decydującym członkowie zwyczajni wymienieni w art.IV-tym, par.1, pkt.a/. Członkowie honorowi i wspierający z głosem doradczym.
- Par.11. Do kompetencji Zebrania Wyborczego należy:
- a/ rozpatrywanie i zatwierdzanie sprawozdań Dyrekcji, stałych Komitetów, Komisji Rewizyjnej.
 - b/ udzielenie absolutorium Dyrekcji.
 - c/ dokonywanie zmian i poprawek statutu C.P.S.,
 - d/ wybór 1/3 dyrektorów na okres 6 lat,
 - e/ wybór Komisji Rewizyjnej na okres 2-ch lat,
 - f/ rozpatrywanie i uchwalanie wniosków dla dobra C.P.S.
- Par.12. Uchwały zapadają zwykłą większością głosów, natomiast uchwały dotyczące zmiany statutu zapadają większością 2/3 członków biorących udział w zebraniu.
- Par.13. Nadzwyczajne zebranie C.P.S. ^{Zamoc Wykonawczy na zwołanie} zwołuje Dyrekcja, Komisja Rewizyjna lub 1/3 członków zwyczajnych C.P.S.
- Par.14. Nadzwyczajne zebranie załatwia tylko te sprawy, dla których zostało zwołane.
- Par.15. Procedura zwołania i wybór prezydium nadzwyczajnego zebrania odbywa się na zasadach ustalonych dla rocznych zebrań.

ARTYKUŁ VII
ZARZĄD WYKONAWCZY - C.P.S.

- Par.1. Zgodnie z artykułem VI-tym, par.3, pkt.a/ Dyrekcja wybiera Zarząd Wykonawczy w następującym składzie : prezes, dwóch wiceprezesów, sekretarza i skarbnika.
- Par.2. Zarząd Wykonawczy jest najwyższą władzą wykonawczą C.P.S. Do obowiązków i kompetencji Zarządu Wykonawczego należy:
- a/ realizowanie celów i zadań C.P.S. określonych niniejszym statutem,
 - b/ reprezentowanie C.P.S. wobec władz federalnych, stanowych i miejskich oraz polsko-amerykańskich organizacji,
 - c/ wprowadzanie w życie uchwał Walnych i Rocznych Zebrań oraz Dyrekcji C.P.S.,
 - d/ gospodarowanie majątkiem C.P.S.,
 - e/ przedstawianie Dyrekcji kandydatów na dyrektorów programów, kandydata na Kierownika Zarządzającego, angażowanie pracowników i ekspertów koniecznych do prowadzenia przedsięwzięć i eksploatacji zasobów C.P.S.,
 - f/ przedstawianie programu pracy i nowych inicjatyw dla poszerzenia działalności C.P.S.,
 - g/ skreślenie z ewidencji członków jak artykuł V-ty, par.2.,
 - h/ prowadzenie ewidencji członków oraz pobranych opłat członkowskich,
- Par.3. Prezes Zarządu Wykonawczego stoi na czele C.P.S. i jest z urzędu przewodniczącym Dyrekcji.
- Par.4. Obowiązki wiceprezesów, sekretarza, skarbnika oraz kierownika zarządzającego ustala Dyrekcja C.P.S., o czym informuje Zarząd Wykonawczy.

ARTYKUŁ VIII
KOMITETY I KOMISJE

- Par.1. Dla usprawnienia administracji i efektywnej realizacji zadań

C.P.S. Zarząd Wykonawczy powołuje Komisje lub Komitety, które zatwierdza Dyrekcja.

Par.2. Do stałych Komitetów należą:

1. Komitet Założeń w składzie 3-ch członków i 1 zastępcą.
2. Komitet Gospodarczy w składzie 5-ciu członków, któremu przewodniczy kierownik zarządzający.
3. Komitet Imprez w składzie 5-ciu członków.
4. Komitet Nominacyjny w składzie 5-ciu członków.

Par.3. W razie potrzeby prezes C.P.S. może z własnej inicjatywy powołać komitet do specjalnych zadań, o czym zawiadamia Dyrekcje na najbliższym zebraniu.

Par.4. Członkami komitetów mogą być zarówno członkowie Dyrekcji jak i zwyczajni członkowie C.P.S.

Par.5. Kompetencje poszczególnych komitetów ustala Zarząd Wykonawczy, a zatwierdza Dyrekcja.

Par.6. Dla sprawności działania Komitety mogą przedstawić własne regulaminy do aprobaty Dyrekcji, które nie mogą być sprzeczne z niniejszym statutem oraz z wytycznymi ustalonymi przez Zarząd Wykonawczy, zatwierdzonymi przez Dyrekcje.

Par.7. Przewodniczących komitetów wyznacza prezes C.P.S. a sekretarza i skarbnika wybiera Komitet z posród swoich członków. Zebrania Komitetu zwołuje przewodniczący, a uchwały zapadają zwykłą większością głosów.

Par.8. Sprawozdania z działalności Komitetu składa przewodniczący lub jego zastępca na zebraniu Dyrekcji.

ARTYKUŁ IX

WYBÓR DYREKCJI

Par.1. Wybór dyrektorów następuje co dwa lata na Wyborczym Zebraniu C.P.S. systemem rotacyjnym 1/3 na ogólną liczbę 15-tu względnie więcej według uchwały Wyborczego Zebrania.

Par.2. Prawo ubiegania się o urząd dyrektora mają członkowie zwyczajni, jak w artykule IV-tym, par.1, pkt.a/, którzy

ukończyli 21 rok życia, po uprzednim zgłoszeniu kandydatury do Komitetu Nominacyjnego na dwa miesiące przed Zebraniem Wyborczym.

Par.3. W wypadku ujawnienia braku wymogów z art.IV-go, par.1, pkt.a/ i art.IX-go, par.2, Dyrekcja ma prawo unieważnić wybór.

Par.4. Jedynie kandydaci zgłoszeni w terminie do Komitetu Nominacyjnego i zatwierdzeni przez Komitet mogą ubiegać się o urząd dyrektora C.P.S. Liczba ich nie może przekraczać 10-ciu.

ARTYKUL ~~VI~~^X.

DYREKCJA.

- PAR.1. W okresach pomiędzy rocznymi zebraniem C.P.S. najwyższa władza C.P.S. jest Dyrekcja wybierana na Walnych Zjazdach CENTRUM POLSKO - SŁOWIAŃSKIEGO.
- PAR.2. Ilość dyrektorów, warunki jakimi musi odpowiadać kandydat na dyrektora oraz okres piastowania urzędu, określa artykuł IX-ty niniejszego statutu.
- PAR.3. Do kompetencji Dyrekcji należy:
- a/ wybór Zarządu Wykonawczego z pośród Dyrektorów wybranych na Walnym Zjeździe C.P.S.
 - b./mianowanie Kierownika Zarządzającego z pośród członków C.P.S na wniosek Zarządu Wykonawczego,
 - c./rozpatrywanie i zatwierdzanie programu pracy i sprawozdań Zarządu Wykonawczego, poszczególnych Komitetów oraz Kierownika Zarządzającego,
 - d./przyjmowanie do wiadomości sprawozdań dyrektorów poszczególnych programów,
 - e./uzupełnienie stanu Dyrekcji w wypadku rezygnacji lub usunięcia członka Dyrekcji,
 - f./zatwierdzanie regulaminów poszczególnych Komitetów
 - g./nadawanie godności członka honorowego C.P.S.
 - h./pozbawienie członkostwa jak artykuł V-ty, par.1.pkte.
- PAR.4. Zebrania Dyrekcji C.P.S. odbywają się regularnie raz na miesiąc, w dniu wyznaczonym przez Dyrekcję oraz każdorazowo na żądanie Zarządu Wykonawczego, Komisji Rewizyjnej lub 2/3 członków Dyrekcji.
- PAR.5. Zebrania zwołuje Zarząd Wykonawczy pisemnie, a w wypadkach nadzwyczajnego zebrania również telefonicznie.
- PAR.6. W zebraniu biorą udział z głosem decydującym dyrektorzy

C.P.S. łącznie z Zarządem Wykonawczym, a z głosem doradczym, na zaproszenie Zarządu Wykonawczego:

- dyrektorzy poszczególnych programów,
- przewodniczący Komitetów,
- Kierownik Zarządzający,
- doradcy,
- członkowie honorowi i specjaliści.

- PAR.7. Do prawomocności zebrania Dyrekcji, wymagana jest obecność większości dyrektorów, a uchwały zapadają zwykłą większością głosów dyrektorów obecnych na zebraniu.
- PAR.8. Przy braku quorum, w wypadkach nie cierpiących zwłoki, wymagających decyzji Dyrekcji, przewodniczący odracza zebranie i zwołuje następne po 10-cio minutowej przerwie. Decyzje tak zwołanego zebrania są wiążące.
- PAR.9. Zebraniu Dyrekcji przewodniczy prezes Zarządu Wykonawczego, któremu przysługuje prawo decydującego głosu w wypadku równej ilości oddanych głosów.

ARTYKUL XI..

ZMIANA STATUTU.

- PAR.1. Wnioski zebrania rocznego lub Zarządu Wykonawczego o zmianę Statutu, rozpatruje Dyrekcja, powołując Komitet Statutu do opracowania zmiany i przedstawienia Dyrekcji do oprobaty.
- PAR.2. Aprobowane przez Dyrekcję C.P.S. zmiany, Zarząd Wykonawczy wnosi na wyborcze lub nadzwyczajne zebranie C.P.S., podając w zawiadomieniu o projekcie zmiany, których projekt jest do wglądu członków w biurze C.P.S.
- PAR.3. Zmiany Statutu zapadają większością 2/3 członków zwyczajnych biorących udział w zebraniu.
- PAR.4. Proponowane zmiany Statutu nie mogą naruszać podstawowych zasad działania C.P.S. ujętych w charakterze zatwierdzonym przez władze stanu NOWEGO JORKU.

ARTYKUL XII.

ROZWIĄZANIE ORGANIZACJI-DYSPOZYCJA MAJĄTKIEM.

- PAR.1. O rozwiązaniu C.P.S. decyduje specjalne w tym celu zwołane zebranie członków na uzasadniony wniosek Dyrekcji przyjęty większością głosów 3/4 dyrektorów.

- PAR.2. Zebranie zwołuje Zarząd Wykonawczy według zasad przewidzianych dla zebrań rocznych z wyraźnym zaznaczeniem celu zebrania.
- PAR.3. Uchwała o rozwiązaniu zapada większością 3/4 obecnych na zebraniu członków zwyczajnych C.P.S.
- PAR.4. W wypadku prawomocnej uchwały rozwiązującej organizację cały majątek C.P.S. może być przekazany tylko na cele charytatywne lub kulturalno-naukowe, związane z polsko-słowiańską grupą etniczną w STANACH ZJEDNOCZONYCH, według uchwały podjętej większością głosów 2/3 członków biorących udział w zebraniu likwidacyjnym.
- PAR.5. Zebranie likwidacyjne wybiera 5-cio osobowa komisja do wykonania uchwały o likwidacji i dyspozycji majątkiem C.P.S.

31. CENTRUM OŻYWIŁO GREENPOINT

Poszczególne dzielnice Nowego Jorku mają to do siebie, że przeżywają swoje okresy wznoszenia i upadku, nieraz zupełnie niezależnie od losów reszty miasta, a nawet niezależnie od koniunktury ekonomicznej danego okresu.

Tak było i w dzielnicy Greenpoint, niegdyś z pewnością bardzo zazielenionej, z klasyczną architekturą amerykańską połowy ubiegłego wieku. Początek naszego stulecia zamienił Greenpoint w dzielnicę typowo przemysłową. Tak, jakby w sercu ogromnego Brooklyna nagle powstała mała, szpetna Łódź. Przemysł przyciągnął emigrantów, szukających pracy. Za garstką Polaków, nawet nie wiadomo kiedy, pociągnęły tysiące. Greenpoint, po okolicach St. Mark's Place na Lower East Side Manhattanu, stał się drugim wielkim, a później największym skupiskiem naszych rodaków. W końcu lat sześćdziesiątych i początkach siedemdziesiątych Greenpoint zaczęły zaludniać masy taniej siły roboczej z Porto Rico. Powstały antagonizmy, doprowadzające nieraz do zupełnie niepotrzebnych ekscesów. Robotników portorykańskich, niestety, cechuje jeszcze niższa kultura

życia codziennego, aniżeli Polaków. Nie brakło wśród nich i Murzynów. Sporo białych zaczęło Greenpoint opuszczać. Budynki mieszkalne zaczęły ulegać dewastacji. Ulice stawały się coraz brudniejsze. Całkowity upadek dzielnicy był bliski. W takiej właśnie chwili organizowałem Centrum. Już samo pojawienie się naszej organizacji było jakimś bodźcem dla korzystnych przemian w dzielnicy. Okazało się, że Centrum stało się namacalnym dowodem rozwoju i Polonia nie miała zamiaru rezygnować ze swego Greenpointu. To do czego nasza emigracja dopuściła na Manhattanie, gdzie całą prawie polską dzielnicę opanowali w tychże sześćdziesiątych latach „hippisi”, a za nimi wszelkiego rodzaju zbrojeńcy, nie chciałem przeżyć na Greenpoint. Na Lower East Side tylko Ukraińcom udało się zachować swoją pozycję.

Niewątpliwie Unia Kredytowa także w znacznym stopniu przyczyniła się do ożywienia Greenpointu. Liczne pożyczki na zakup i remonty domów dokonały cudu. Jednocześnie mieszkania na Manhattanie zdrożały do takiego stopnia, że w ostatnich latach na Greenpoint zaczynają się wprowadzać artyści, malarze i ludzie zamożni.

Dziś Greenpoint przeżywa swój wielki renesans. Władze miejskie obiecują nawet podniesienie tej dzielnicy do rangi zabytku historycznego.

Nasze hasło z roku 1976: „Greenpoint, don't move — improve!” doczekało się pełnej realizacji. Mamy z czego być dumni. Nawet obcy, głównie żydowscy kupcy, przy każdym spotkaniu na ulicy wspominają tę naszą pionierską działalność i dziękują mi, że przez założenie Centrum i Unii Kredytowej przyczyniłem się do uratowania tej dzielnicy.

32. BANKIET I HISTORIA

W „Głosie” Centrum i Unii Kredytowej z czerwca 1987 ukazał się artykuł pt. „Historia Centrum”. Nie spodziewałem się, że dożyję tej chwalebnej chwili, by z okazji dziesięciolecia czytać historię założonych przeze mnie organizacji, napisaną przez tych, którzy z błotem mieszały imię ich twórcy.

Niektórym z nich leci już ósmy lat dziesiątek, więc na prawdziwy jubileusz, np. 25-lecia, czekać nie mogą... Własną chwałę muszą przeżyć sami. Za wszelką cenę pragną upamiętnić swoje nazwiska; tak wiele działali przecież dla Polonii... zagarniając cudze dokonania i przypisując sobie wszystkie zasługi. Doszli więc do wniosku, że historię trzeba pisać już po piętnastu latach, a właściwie po ledwie sześciu, gdyż ich panowanie w Centrum i Unii Kredytowej datuje się od połowy 1981 roku. Materiałów do całej historii nie mają, ale któż by tam się troszczył o fakty, o prawdę... Grunt, że rocznica bankietem będzie uświetniona (odbył się 16 października 1987 r. bez zaproszenia założyciela). Te skłonności do „uwieczniania” własnych nazwisk, to rzecz nie nowa. Pamiętam, kiedy to Jerzy Pańciewicz i Aleksander Jordan przyszli do mnie po tej wielkiej manifestacji Solidarności Polonii i męczyli mnie, że mi dopomagali, bym ich zatrudnił na programach i abym zgodził się na wydanie broszury pt. „Dwa lata walk i osiągnięć Centrum Polsko-Słowiańskiego”, napisanej przez Pańciewicza, oczywiście. Wydał ją w spółce „Nowego Dziennika”, a biedne jeszcze wówczas Centrum musiało zapłacić za to tysiące dolarów, bo wielki radca Pańciewicz przekonał zarząd o konieczności jej wydania.

Między innymi na tle tej broszury rozpoczęły się moje pierwsze boje z Pańciewiczem. Podkreślałem wówczas całą masę bredni, które usiłował wpakować w jej tekst. Zawsze twierdził wówczas, że nie jest ważne co było, lecz ważne to, co zostało napisane. Nowi władcy Centrum najwidoczniej dalej na czele z radcą Pańciewiczem tę zasadę uznają i będą jej się wiernie trzymać.

Jak można napisać prawdziwą historię, skoro w Centrum brak dziś kogokolwiek, kto był naocznym świadkiem jego powstania, skoro wszelkie materiały uległy zniszczeniu (oprócz tych zachowanych przeze mnie) z winy właśnie Jerzego Pańciewicza głównie, który „likwidował” moje biuro. Świadkowie mi opowiadali, że wszystkie dokumenty, a i moje prywatne rzeczy także, były pakowane przez Murzynów, a następnie wywiezione i oddane na składowanie, gdzie wskutek zacieków uległy zniszczeniu. W domu pozostały mi tylko kopie i mniej ważne dokumenty. Nawet moje osobiste papiery pozostały w Centrum. Dotyczące pobytu w obozie w czasie okupacji dopiero po latach przesłał mi O. Michał Zembruski. Widocznie sumienie go ruszyło...

Mniej więcej rok temu, zamiast formalnego pisma z zarządu CPS, zwrócił się do mnie telefonicznie wiceprezes dr Czarliński z prośbą o udostępnienie materiałów będących w moim posiadaniu radcy Pańciewiczowi, gdyż ten zamierza pisać historię Centrum.

We wspomnianym artykule pisze teraz tenże Pańciewicz z dużą dozą bezczelności: „Gdyby te fotografie i materiały były nadal w posiadaniu

Centrum — nie byłoby problemu w odtworzeniu historii Centrum...” po czym następuje wezwanie do byłych pracowników, aby zechcieli te materiały mu przekazać.

Nie przewidzieli panowie tej możliwości, że prawdziwą historię zarówno Centrum i Unii Kredytowej, jak i niemniej prawdziwą, choć bolesną i tragiczną historię mojej walki w obronie Polonii napisze sam, tak przez nich znienawidzony i pomijany w wypowiedziach i pismach, ksiądz Longin Tołczyk.

A czas już najwyższy, aby Polonia poznała prawdę.

SPIS TREŚCI

TOM I

WSTĘP	5
I. CZĘŚĆ PIERWSZA: O AMERYCE I O POLAKACH	10
1. Ameryka i Polacy — zarys historyczny.	11
2. Przyczyny emigracji i wkład Polaków w życie USA	23
3. Stara emigracja w walce o wolność Polski	29
II. CZĘŚĆ DRUGA: ŻYCIE ORGANIZACYJNE POLONII	33
1. Niektóre organizacje polonijne i ich działalność	34
2. Polski Instytut Sztuki i Nauki	47
3. Kongres Polonii Amerykańskiej	57
4. Polski Komitet Imigracyjny i spółka zawodowych „Liderów”	65
5. Parada Pułaskiego — Polonijne Forum od święta	72
6. Stowarzyszenie Weteranów Armii Polskiej i Stowarzyszenie Polskich Kombatantów	76
7. Polska Bratnia Pomoc	81
8. Fundacja Kościuszkowska	82
9. Fundacje	86
10. Muzea, Archiwa, Biblioteki	88
III. CZĘŚĆ TRZECIA: CENTRUM POLSKO-SŁOWIAŃSKIE ..	90
1. Założenie Centrum Polsko-Słowiańskiego	91
2. Nauczanie angielskiego	99
3. Sprawy imigracyjne	103
4. Pierwsza obrona Centrum przed atakiem Agencji Polonijnych	111
5. O programach Centrum	115
6. Wielka manifestacja solidarności Polonii	123
7. Program etniczny	134
8. Klub Seniorów — Krakus	139

9. Druga obrona Centrum przed atakiem organizacji polonijnych	146
10. Zamiast zjednoczenia — rozbiecie	149
11. Stołówka	156
12. Książka „Polacy w Nowym Jorku”	159
13. Biblioteka	166
14. Sprawy kultury	167
15. 200-lecie Stanów Zjednoczonych w Centrum	174
16. Centrum jedynym Forum Polonii w Nowym Jorku	179
17. Program CETA	182
18. Trzecia obrona Centrum przed atakiem studentów i pracowników CETA	187
19. Filie Centrum	200
20. Program opieki domowej nad chorymi	209
21. Program akcji społecznej	220
22. Czwarta obrona Centrum przed najazdem „zawodowych liderów”	222
23. Ukradł, czy nie ukradł	254
24. Fundusze Centrum i Unii Kredytowej w latach 1971-1981	256
25. Stosunek PRL do mnie i do Centrum	266
26. Stosunek duchowieństwa do mnie i do Centrum	277
27. Dom Polskich Seniorów i inne projekty	292
28. Los informatora społecznego	295
29. Kwestie zasadnicze	299
30. Dla umocnienia władzy — nowy statut	303
31. Centrum ożywiło Greenpoint	318
32. Bankiet i historia	319

E R R A T A

(Błędy dostrzeżone podczas druku)

Strona	Wiersz	Jest	Powinno być
30	19 od góry	sprawnie	sprawie
40	2 od góry	aby pomóc	aby pomóc
49	16 od dołu	poczmistrza	pocztmistrza
54	17 od góry	dotkowe	dotatkowe
54	4 od dołu	powinny	powinno
57	12 od góry	od	do
58	18 od dołu	naprędce	na prędce
60	14 od góry	przyjął	przyjęli
64	9 od dołu	...sprawa	Sprawa
70	4 od dołu	uhoronował	uhonorował
77	16 od dołu	Demokratycznego	Narodowego
92	13 od dołu	czekiwania	oczekiwania
94	6 od góry	jest jest	jest
94	1 od dołu	Niececką	Nieciecką
97	17 od góry	Edmudna	Edmunda
98	5 od dołu	Niecicka	Nieciecka
108	17 od góry	znleźć	znaleźć
110	17 od dołu	zajmuje	zajmuje się
121	2 od dołu	przed	przez
134	5 od dołu	o obudzenie	obudzenie
137	1 od góry	ze	że
154	6 od dołu	czy	i
189	6 od dołu	ewentualniie	ewentualnie
201	12 od dołu	wybrali	wybrały
222	10 od góry	jednodniowych	tygodniowych
223	16 od góry	Śliwkowski	Śliwowski
226	5 od dołu	dookoptowano	dokooptowano
232	15 od dołu	1986	1976
233	10 od góry	dookoptował	dokooptował
254	11 od góry	Unii	Unii i
274	18 od góry	strż	stróż
278	19 od dołu	anstępujący	następujący

KS. LONGIN TOŁCZYK

W OBRONIE POLONII

TOM I

